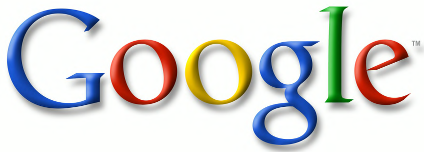


OBRAZ LITERATURY POLSKIEJ

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

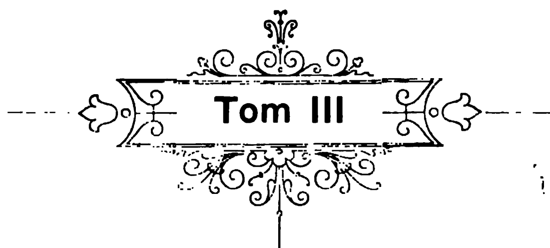
OBRAZ

LITERATURY POLSKIEJ

W STRESZCZENIACH I CELNIEJSZYCH WYJĄTKACH

UŁOŻYŁ

Piotr Chmielowski



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1898

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Сентября 1897 года.

OKRES SZÓSTY.

Początek i najświetniejszy rozkwit romantyzmu.

B) ROZWÓJ PROZY.

I. Marya z ks. Czartoryskich ks. Wirtemberska.

Malwina. (1816).

Pomysłem zasadniczym powieści jest nadzwyczajne podobieństwo dwu bliźniaków. Malwina, młoda wdowa, poznawszy w Krzewinie Ludomira (Płomieńczyka) i pokochawszy go, jedzie do Warszawy, gdzie spotyka drugiego Ludomira (księcia Melsztyńskiego) tak łudząco podobnego, że jedynie „domyślności serca" zawdzięcza bohaterka w chwili stanowczej możność uniknięcia pomyłki. Zawikłania powstają częścią skutkiem owego podobieństwa braci — wychowanych wśród całkowicie odmiennych okoliczności — częścią z powodu przysięgi Malwiny, iż nigdy i nigdzie nie będzie się starała podnieść zasłony losów Ludomira, swego wybranego, przysięgi pozbawiającej ją środków sprawdzenia swoich przypuszczeń drogą najprostszą i wikłającej myśli i uczucia bohaterki. Długie tęsknoty i cierpienia kończą się pomyślnie. Ludomir Płomieńczyk w bitwie pod Mohylowem ocala życie bratu; sam zaś raniony ciężko, dziwnym zbiegiem okoliczności, dostaje się w pobliże Krzewina, gdzie się wszystko wyjaśnia i Malwina oddaje mu swą rękę. W ustępie tu przytoczonym bohaterka, na kwestę wielkanocną wyszedłszy, w opowiadaniu cygana słyszy o obu Ludomirach, nie domyślając się, że mniemany waryat jest to jej ukochany, jak nie mniej że w kościele jego to widzi, nie zaś księcia Melsztyńskiego.

Obszedłszy znaczniejsze ulice w obrębie sobie wyznaczonym, Malwina zeszła ku Wiśle do zupełnie jej nieznajomego przedmieścia; lecz widząc niskie klitki, szczupłe zagrody, ubogiem pospólstwem[1]) zamieszkane, gdzie raczej dać niż zbierać jałmużnę należało, zwracać się już chciała, gdy postrzegłszy między temi mizernemi domostwami jeden porządny domeczek, śpiesznie do niego weszła. Wąskie przejście dzieliło kuchenkę i komórkę od dwóch izb wybielonych starannie, i gdzie łóżka, szafa z cynowemi talerzami, stół, stołki, obrazki, firanki, najporządniej zdawały się utrzymywane. Nie widząc nikogo w domu, Malwina weszła do sadu, który z boków wysokiemi stroiszami[2]) oparkaniony, do samej Wisły dochodził; środkiem ubita ścieżka do rzeki prowadziła; Malwina nią idąc, następujący obraz ujrzała. Pod rozłożystą gruszką, nad samą wodą, siedział człowiek

[1]) zamiast: przez ubogie pospólstwo [2]) tykami.

sędziwy, ciemnej twarzy, który na długiej żerdzi podrywką[3]) ryby łowił; przy nim kobieta młoda, z płcią takoż śniadawą i czarnemi oczami, zawieszone na drzwiach siecie naprawiała; u nóg ich kadź stała z wodą pełna rybek, w której mała dziewczynka także z włosami i oczami czarnemi, grzebała, drażniąc się z kotem, co na rybki czatował. Długi zakręt Wisły widać było z tego miejsca, łódka wartem[4]) płynęła, most i Praga horyzont kończyły, i zachodzące słońce właśnie w porę oświecając ten obraz, czyniło go godnym pędzla Werneta[5]). Niewiasta najpierwsza Malwinę postrzegła, i dowiedziawszy się, z czem przyszła, wnet ojcu doniosła.

— Mówisz, że dla ubogich to ta pani zbiera, — rzekł do córki, podrywkę z wody wyciągając — o! kiedy dla ubogich, to jakem cygan, Dzęga chętnie się do tego przyłoży! I to mówiąc, skórzaną dobywszy sakiewkę, parę talarów w worek Malwiny wrzucił.

— I jam był kiedyś ubogi, nędza mi była dobrze dokuczyła. Dlatego żem czarny, nikt mię w służbę przyjąć nie chciał, jednak i cygan czasem może być poczciwy. Ni służby, ni roboty nie mogąc dostać, w największą wpadłem był mizeryą[6]). Zięć mój i moja Jewa z głodu i nędzy zamarli, i stary Dzęga wkrótceby był za niemi poszedł, i zostawił te dwoje, co widzisz tu wpani, dzieci, sierotami na ziemi; ale Bóg dobry, który i o cyganach pamięta, pozwolił, że i Dzęga anioła spotkał. Ach! anioł prawdziwy ten kniaż Melsztyński (na te słowa pilniej jak kiedy Malwina słuchać zaczęła). Trafem, co długo gadaćby trzeba, do niegom się udał, on mię wysłuchał, dał sobie pracę dochodzić, czy Dzęga nie kłamie, przekonał się o naszej nędzy, i na zawsze nędzę od nas odpędził. On ten plac kupił, ten domek kazał wystawić, zadatek mi dał, bym mógł rybactwem (co jest moje rzemiosło) uczciwie na życie zarabiać; i już kilka lat minęło, jak Dzęga znów jesiotry i węgorze poławia, i nigdy podrywki nie zarzuci, niewodu nie wyciągnie, żeby tysiącznych błogosławieństw kniaziowi z Melsztyna nie posyłał. — Niech żyje kniaż z Melsztyna! — czerwoną rzucając w górę czapeczkę, wykrzyknął stary Dzęga, a Malwina, zapominając o wieczorze księżnej W.*** i o płochości obyczajów Ludomira, przejęta jedynie dobrem sercem jego, tysiączne swoje życzenia łączyła z duszy do błogosławieństwa cygana.

— A te korale, czy także od księcia Melsztyńskiego? — rzekła Malwina, postrzegłszy sznurek dużych korali, których szkarłatna farba mocno się świeciła, na czarnej szyi dziewczynki zawieszony.

— Och! nie — odpowiedział Dzęga — to znów inna historya, to ten poczciwy nasz waryat Rózi podarował. — Te słowa ciekawość Malwiny wzbudziły, i Dzęga, który chętnie rozprawiał, tak zaczął o tem znowu mówić.

— Pełnia trwa już od kilku dni, wieczory jasne i ciche, wtedy węgorze najlepiej się poławiają. To też widzi Jejmość co wieczór

[3]) podrywka — mała sieć o dwóch kabłąkach na krzyż przymocowanych do długiego kija. [4]) wart — główny nurt rzeki. [5]) Klaudyusz Józef Vernet († 1789) był sławnym francuskim malarzem, który widoki morza i brzegi rzek zwykle malował. [6]) nędzę.

tu przychodziłem i podrywkę-m zarzucał. Zarzuciwszy, czekałem spokojnie i tymczasem oglądałem się tu i owdzie, dla rozrywki tylko, moja jejmość kochana, aż jednego razu, po miesięcznym promieniu, który na niego uderzał, postrzegłem z drugiej strony płotu człowieka, który nad brzegiem Wisły po piasku i kamyczkach chodził. Szeroki surdut miał na sobie i kapelusz spuszczony, żem twarzy nie mógł poznać; wprzód i wzad zachodząc, czasem na miesiąc patrzał, potem z za pazuchy[7]) coś białego, na kształt cienkiej chusteczki wyciągał, i patrząc na to, wzdychał i sam do siebie gadał. Na co, moja jejmość kochana, Dzięga się domyślił, że to zapewne waryat być musi; ale że nikomu nie szkodził, niech go tam Bóg błogosławi, pomyślałem sobie. Dzięga węgorze poławia, waryat białą chusteczkę na sercu nosi, i tak każdy robi, co mu się podoba. Ale wczoraj wieczór cóż się stało? oto waryat, co zwykle ponad brzegiem Wisły chodził, wczoraj siadł na tym wzgórku, oto nad tą wapnistą przerwą, co ją stąd widać, i jak zwykle zpod serca białą swoją chustkę wyciągnąwszy, głęboko nad nią się zamyślił; alić wiatr duży się zerwał, i wyrwawszy ów kawał muślinu, na wodę go poniósł. Waryat krzyknął i chciał za nim lecieć (dalipan w Wisłę pono); szczęściem ten gałgan w sieć moją się wplątał i Dzięga miał czas zawołać na tego dziwnego człeka, który się chciał topić, dlatego, że taki gałgan utracił... ha, ale moja jejmość kochana, każdy ma swoje widzi mi się, niech go tam Bóg sekunduje![8]) oddałem mu muślin ukochany, którego, jak się znów dorwał, to tak się cieszył, że mi jeszcze śmieszno teraz, jak sobie przypomnę. Worek chciał mi dać swój z pieniędzmi, ale Dzięga nie chciał przyjąć; bo jejmość, chyba radość-bym mu był przedał i kazał ją sobie płacić, bo co ten zmoczony gałgan, to i grosza nie był wart. Wtedy waryat poleciał i niedługo potem wrócił, i przyniósł ten sznurek korali dla Rózi, któren dziś ma na szyi, — weźcie go proszę, mówił, niech i wam przypomina, żeście mi największą uczynili przysługę, oddając mi jedyny skarb, co posiadam na świecie; to wymówiwszy, uciekł i więcej o nim nie słyszałem.

Już Dzięga przestał był mówić, a Malwina jeszcze słuchała; mimowolnie oczy jej się wlepiły w tę wapnistą przerwę i skalisty pagórek, na którym siedział ten dziwny człowiek, którego w myśli swojej nieszczęśliwym zapewne, ale nie waryatem sądziła. Zdawało jej się widzieć go[9]) z niebezpieczeństwem życia lecącego w wodę za tym upominkiem, któremu chyba ręka miłości taką cenę dać mogła. Tysiączne myśli w młodej głowie Malwiny stąd wynikły i z westchnieniem te słowa: ach jakże ją musi kochać! z ust jej się wymknęły.

Zarumieniła się, postrzegłszy, w jak głębokiem była roztargnieniu, i natychmiast pożegnała poczciwego cygana, który ledwo że i ją waryatką nie osądził, widząc, że także sama do siebie gadała.

[7]) z zanadrza. [8]) sekundować wtórować grającemu prym; pomagać. [9]) zamiast: zdawało się jej, że go widzi.

Daremnie Malwina o czem innem myśleć chciała; dobroczynność księcia Melsztyńskiego, tak tkliwie prostotą Dzęgi opisana i wspomnienie tego nieszczęśliwego mniemanego waryata, jedynie ją zajmowały i w tak głębokie dumanie wprawiały, że sama nie postrzegła, jak do miasta wróciła. Koło Fary przechodząc,[10]) dźwięk organów, który się po sklepieniach tej dawnej budowy rozchodził, z tego ją przecie roztargnienia obudził. Będąc zmęczona całodziennem chodzeniem, weszła do kościoła, by nieco odpocząć.

Nieszpory wtedy śpiewano, przy wielkim ołtarzu światło tylko widać było, reszta katedry już zmrokiem była okryta. Ludzi było dosyć; Malwina blisko drzwi siadła, worek otwarty przed sobą położyła, czekając spokojnie, rychło kto z przechodzących jałmużnę jaką weń wrzuci. Świetność miejsca, dźwięk organów, zaciemnione sklepienia, wszystko to jeszcze pomnożyło skłonność do dumania, z którą weszła do Fary. To, czego u Dzęgi o księciu Melsztyńskim się dowiedziała, i traf, co ją sprowadził tam, gdzie szczere i tkliwe opisanie jego dobroci usłyszeć mogła, myśli jej ku niemu zwróciły. Warszawski Ludomir i błędy, któremi ją martwił, znikły z pamięci, a Ludomir dobroczynny względem Dzęgi, Ludomir tkliwy, pełen cnót, jednem słowem Ludomir ten, którego w Krzewinie znała, w Krzewinie kochała, stanął w oczach i całkiem duszę jej zapełnił. W tej chwili kochała go najżywszą miłością, i serce mając pełne najczulszego rozrzewnienia, wzniosła modły najszczersze ku Stwórcy wszech rzeczy, dziękowała Bogu z zachwyceniem za uczucie miłości, które wlał w serca wszystkich stworzeń, uczucie, którego prędzej czy później, każdy kiedy doznać musi, i w niem tylko znaleść może wyobrażenie wiecznego uszczęśliwienia.

Nie umiałabym powiedzieć, bo i Malwina sama nie bardzo zrozumieć mogła, dlaczego przy tych modłach, dlaczego przy tych myślach i wspomnieniach o Ludomirze, wspomnienie biednego mniemanego waryata łączyło się mimowolnie.

Wapnisty pagórek nad Wisłą, biały muślin (jak go Dzęga mianował), i ten nieszczęśliwy, którego jedynym był skarbem na świecie, malowały się ustawnie[11]) w jej pamięci, mieszając się do najwłaściwiej miłych jej myśli.

Wtem przechodzący jakiś, mijając Malwinę i poznawszy w niej kwestarkę, zatrzymał się i ładunek z monetą wrzucił w worek, a gdy w ten moment czarną koronkę, którą na twarz miała spuszczoną, podniosła, z niewypowiedzianem wyrazem — ach! Malwina... o Boże!— krzyknął ten przechodzący, w którym natychmiast, mimo grubego surduta i ciemności kościoła, Malwina Ludomira poznała. Wzrok jego najtkliwszą pałał miłością, a w głosie zadziwienie, radość, rozrzewnienie i lekki cień wymówki dostrzedz mogła Malwina.

Nie mógł Ludomir, jakośmy wyżej widzieli, w szczęśliwszej dla siebie chwili spotkać Malwiny. Tkwiła w jej umyśle świeża pamięć

[10]) zamiast: Kiedy koło Fary przechodziła... dźwięk ją... obudził. [11]) ustawnie ustawicznie.

dobroci jego, pochwały, głosem wdzięczności mu dawane, jeszcze w uszach brzmieć się dawały, cofniona myśl w szczęśliwe chwile Krzewina, całą czułość serca wskrzesiła i gdy Ludomir z tym tonem, co do jej serca trafiać umiał, te kilka słów wymówił, zdały się one Malwinie wyrazem najtkliwszej miłości, i sama czując także w ten moment, jak szczerze go kocha, z tąż szczerością jej właściwie wrodzoną, natychmiast wyznać to mu chciała, nie wątpiąc, że Ludomir tem wyznaniem zniewolony, nic już tajnego dla niej mieć nie będzie, i wytłómaczy jej nareszcie owe odmiany i tajemnice w postępkach swoich, które nieraz tak ją dziwiły i obrażały, które czasami od niego ją odrażały, a o których z własnem zadziwieniem w tej chwili ledwo pamiętała.

Malwina wstała, Ludomir z zachwyceniem oczy miał w nią wlepione, przysunęła się do niego i w obfitości serca raptownie rzekła: Ludomirze! Warszawa... Malwiny serca nie zmieniła; (pewnie dołożyć chciała) i dziś ci oddaje tak czyste, tak tobą zajęte, jak w szczęśliwych początkach naszego kochania. Lecz tych słów ostatnich wymówić nie mogła, pierwsze ledwo Ludomir był dosłyszał, gdy hałas niesłychany, bębny, co alarm biły, i różne głosy wołające: ogień, ogień... pali się... przerwały raptownie rozmowę między naszymi kochankami, do której zbiór okoliczności był ich doprowadził, od której może szczęście ich było zawisło, a która, teraz przerwana, nie prędko znów ich zwiąże.

Ludomir pobiegł widzieć, gdzie się pali, by podług tego Malwinę z kościoła wyprowadzić, ale Malwina przestraszona, zamiast czekania na miejscu, iść chciała za nim; ciemność kościoła i przelęknienie zdarzyły, że innemi drzwiami wyszła. Ogień okropny, naprzeciwko kościoła zajęty, przeraził ją natychmiast. Ludomira dostrzedz nie mogła. Chciała się do kościoła wrócić, tłum wychodzących ludzi tego jej nie dozwolił. Ulica pełna ludzi, koni, wozów z pompami, żołnierzy, była zewsząd zatarasowana; hałas niesłychany, blask pożaru ćmił oczy, jednem słowem wszystko się połączyło, żeby strach Malwiny podwajać. Szczęściem w ten moment Frankowską w tłumie postrzegła, która z wielką pracą przedrzeć się przecie do niej potrafiła, i nic nie odpowiadając nawet na wszystkie zapytania swojej pani, czy nie widziała, czy nie spotkała Ludomira, wziąwszy ją pod rękę między konie, ludzie, z niebezpieczeństwem życia, wyprowadziła ją przecie do spokojniejszej ulicy, gdzie w pół żywa biedna Malwina spotkawszy dorożkę, wsiadła w nią z Frankowską, i do domu zawieść się kazała.

Zmęczona niesłychanie, przyjechawszy położyła się zaraz, ale nie prędko zasnąć mogła. Troskliwość o Ludomira i myśl, jak się zadziwić musiał, gdy wróciwszy do kościoła, już jej tam nie zastał, długo jej snu nie dozwalały. Przytem żal, że miłości tej, która tak żywo znowu serce jej napełniła, wyznać mu nie mogła, spokojność od niej odsuwał. Ale cieszyła się myślą, że co odsunięte, nie stracone, i że gdy nazajutrz Ludomir (o czem nie wątpiła), będzie u niej, by się dowiedzieć, jak i czy szczęśliwie do domu wróciła, znajdzie

sposobność przerwaną wskrzesić rozmowę. Czułość i wdzięczność Ludomira z niewypowiedzianem szczęściem przewidywała, i w tych szczęśliwych myślach, znużona całodzienną pracą, usnęła nareszcie.

II. Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Dziennik Franciszki Krasińskiej. (1825).

Franciszka Krasińska jest to panna bogata, wychowana w rygorze staropolskim, ale z polorem nowszym francuskim. Pobożna, przesądna trochę, dosyć próżna, a wielce dumna i daleko planami swemi sięgająca, ulega chętnie wpływowi blasku zewnętrznego; ale przytem jest czuła, serdeczna, śmiała i odważna. Choć szanuje dawny zwyczaj domowy, choć się ujmuje za językiem ojczystym, z przyjemnością jednak patrzy na elegancyę, na piękne maniery, na grzeczność, na francuszczyznę; stąd młodszy Świdziński więcej się jej podoba od starszego; stąd w części i przywiązanie do księcia Karola. Lubi zabawy, wesołość, hojność, ale też zajmuje się pilnie i sprawami publicznemi. Lubi blask i przepych, ale dla osiągnięcia ich „prosić o serce" nie chce, bo za dumna. Boi się być nieposłuszną rodzicom; ulega jednak czarowi miłości i ambicyi, naraża się na przycinki, upokorzenia, biorąc tajemnie ślub z Karolem... Ten królewicz Karol, książę kurlandzki, przedstawia się nam jako roznamiętniony i rozkapryszony młodzieniaszek, bez energii i bez dumy, którą tylko w błahych okolicznościach zewnętrznych okazywać lubi; nie prosi np. sam rodziców panny o jej rękę, tylko się przypisuje do jej listu, a potem gniewa się, że nie dostaje odpowiedzi osobnej. Ojciec Franciszki — dumny, niezależny, nie kłaniający się wyższym, ale wysoko poważający dostojeństwa szlachcic; surowy, a przecież w głęci serca czuły; po tajemnem zamęściu córki przyjmuje ją etykietalnie; wstaje, gdy ona wchodzi, nie siada blisko niej... Macieńko wreszcie, błazen nadworny i prorok razem, zręczny, jowialny, należy również do wydatniejszych postaci w opowiadaniu.

Dnia 16 maja (1760 roku) w sobotę.

A! już też prędzej śmierci mogłam się spodziewać jak zdarzonego wczoraj szczęścia. Królewicz przyjechał, królewicz jest tu; ten pałacyk, ten zwierzyniec, wszystko to dla niego, a raczej dla mnie; bo już trudno taić się: on mnie kocha, on nie mógł dłużej znieść mojej niebytności, i książęta, chcąc mu się przypodobać, wynaleźli ten sposób zbliżenia go pozornie do przedmiotu tak niepojętego kochania. O Boże! do czegóż to mnie przeznaczasz?... Szczęście, wielkie szczęście, że już było ciemno, jak przyjechał; byliby wszyscy obaczyli mój rumieniec, moje pomieszanie, byłby i on zbyteczną radość w oczach moich obaczył. Jeszcze go nigdy tak dla siebie czułym nie widziałam; co to z tego będzie? na czem się ta miłość skończy?... Dotąd udawałam zawsze, że nie rozumiem rzeczy dwuznacznych, które mi mówił, starałam się pilnie ukrywać to, co czuję; ale czyż tak dłużej potrafię, osobliwie teraz, kiedy codzień w każdej chwili widywać go będę, i to przez czas niemały, bo tu i królewicze bracia jego zjadą; wielkie będzie polowanie na zwierza, umyślnie na to sprowadzonego, a którego jeszcze nie zwieźli... Jakże utrudza

i męczy ta nieustanna praca nad sobą, to ukrywanie uczuć, które gwałtem dobywają się z serca; ta niepewność przyszłości, ten dalszy los, który raz tak świetnym się wydaje, że się go aż lękać trzeba, drugi raz tak ponurym, że aż dreszcz przechodzi; ta bojaźń skryta, czy się nie zbłądzi, czy się źle nie czyni? wszystko to umysł w taki wprowadza odmęt, że rozpoznać myśli swoich nie zawsze można. Żebym przynajmniej komu zwierzyć się miała? Ale prędzej umrzeć jak słowo podobne księżnie powiedzieć; ona już dziś kilka razy napomykała, że szaloną byłaby ta, któraby miłości królewicza dała wiarę, i że jego żona będzie najnieszczęśliwszą. Książę zdaje się,[1]) że zwierzenia mego unika; prawda, zawsze coś powie takiego, co mnie zachęci, w nadziejach utwierdzi; ale ufności mojej nie wzywa: zdaje się, że tyle polega na moim rozsądku i cnocie, iż mu się wydaje, że nie potrzebuję rady i sama najlepiej sobie poradzę: ani wypuszczę z rąk szczęścia, które mi niebo podaje, ani też najmniejszej nie popełnię płochości. Bóg więc jedyna ucieczka moja; dziś prawie noc całą na modlitwie spędziłam. On mnie oświecić, poprowadzić raczy. O! jaka szkoda, że tu księdza Bodouin nie ma.

Dnia 18 maja, w wieczór.

Mamże wierzyć temu, co się stało? temu, co się stanie? Ja Franciszka Krasińska, nie żadna nawet księżniczka, ja będę żoną królewicza, księżną kurlandzką, a może kiedyś i czem więcej?... ja, tak od niego kochana, że dla mnie zapomina o ojcu, o nierówności stanów naszych, o wszystkiem. O Boże! mocny Boże! czy tylko mi się to wszystko nie śniło? Prawdaż to, żeśmy pojechali dziś wszyscy po obiedzie do zwierzyńca. Księżna wchodząc na schody źle stąpiła, i zostać w pałacyku musiała z panną respektową, która zawsze i wszędzie z nami, a książęta, on i ja poszliśmy chodzić po lesie; książę Marcin[2]) zatrzymał się, żeby pokazać księciu wojewodzie przygotowania do łowów, królewicz powiedział, że chodzić woli, i wziął mnie pod rękę. Długo milczał, jam dziwiła się temu, bo zawsze wiele zwykł mówić, szczególniej też ze mną; nareszcie zapytał się: „Czy nigdy zrozumieć nie zechcę, do kogo on tu przyjechał i po co?“ Zwyczajem moim odpowiedziałam: „Że zapewne do księcia Marcina dla zabawy polowania, które tak lubi“. A on już ani tając się, ani dwuznacznie tłómacząc, jak najwyraźniej oświadczył: że przyjechał jedynie dla mnie i po szczęście całego życia... Zdumiałam się na te słowa. „Gdzieżby to być mogło?“ wyrzekłam, „książę, czyż zapominasz, czem jesteś, czem być możesz? królewny dla ciebie“... „Ty królową moją — zawołał z zapałem — tyś naprzód wdziękami zajęła te oczy, a potem skromnością i cnotą opanowałaś serce. Nawykłem, że mnie szukały inne kobiety, skorom przemówił do nich. Ty jedna, luboś mnie może więcej od tamtych kochała, unikałaś mnie zawsze, zgadywać trza było, co czujesz. Tyś godna

[1]) Antoni Lubomirski. [2]) Lubomirski.

pierwszego tronu świata, i jeśli królem polskim być pragnę, to dlatego najwięcej, bym to piękne czoło koroną uwieńczył“...

Jakże ja nie mam myśleć, że mi się to wszystko śniło?... Kiedym osłupiała, odpowiedzi znaleść nie mogłam, książęta zbliżyli się do nas. „Was i niebo biorę za świadków, wyrzekł królewicz, jako innej żony mieć nie chcę, tylko tę Franciszkę Krasińską, stojącą tu przed wami; dla okoliczności łatwych do zrozumienia, żądam sekretu do pewnego czasu, wy tylko o miłości i szczęściu mojem wiedzieć będziecie, a kto mnie wyda, za nieprzyjaciela go poczytam“. Książęta kłaniać mu się zaczęli, mówić o wielkim zaszczycie, zapewniać, że ukryją tajemnicę; szepnęli mi oba do ucha: „Godnaś tego!“ i nieznacznie odeszli.

Jam jeszcze stała zdumiona, ale nareszcie trzeba było odpowiedzieć czułym królewicza wyrazom; musiałam nawet wymówić, że go kocham i to oddawna; i zdaje mi się, żeć można uczynić takie wyznanie przyszłemu mężowi. Mężowi? znowu odchodzę od siebie; czy nie czary to jakie?... Ale co słyszę? Północ bić będzie na zamkowym zegarze, jeśli to sen albo czary, mówią, że moc ich o tej godzinie się kończy i znika... Słuchajmy... Już wybiła dwunasta, a nie skończyło się szczęście moje, nie znikła wielkość... A ten pierścionek odmieniony cóżby znaczył? Miałam od Basi[3]) pierścionek z złotego węża, w Sulgostowie mi go dała; uważał go królewicz: taki sam zrobić kazał; wyryto w środku: *na wieki!* i wziął mój, a ten mi włożył. Tych skromnych zaręczyn naszych drzewa i słowiki jedynymi były świadkami... I ja tego wszystkiego, nikomu, księżnie nawet powiedzieć nie mogę; ani Basia, a więcej ani państwo o tem nie wiedzą. Pierścionków tych nikt nie poświęcił, nie ojciec kochany oddał mnie przyszłemu mężowi, nie pobłogosławiła mi matka!... O, już teraz wierzę!... nie sen to, ani czary; żal serce ścisnął, łzy obfite z oczów mi płyną... prawda!... wszystko prawda!...

Dnia 25 maja w poniedziałek 1760 r. w Janowcu.

W tak ciągłem byłam omamieniu, tak przeznaczeniem mojem, tem co jest, tem co kiedyś będzie, odurzona, że nie wiem, czy to moja, czyby też polskiego języka wina? ale nie stawało mi wyrazów do opisania tego wszystkiego, jakby należało. Tydzień minął, ani jednego słówka nie nakreśliłam w moim dzienniku; a był to tydzień takiego szczęścia, tak godzien wspomnienia! I we środę, i przedonegdaj i wczoraj brałam pióro w rękę; zawsze tyle się natłoczyło myśli i uczuć, iż nimem ładu z niemi doszła, nimem stosowne znalazła wyrazy, czas z trudnością na to upatrzony upłynął, i wstać trzeba było od stolika. Dziś pierwszy raz uderzyła mnie myśl okropna, że to szczęście moje podobno uleci, i dziś pisać mogę. Dziwna rzecz, bojaźń i smutek miałyżby mieć więcej słów od szczęścia?... Królewicz Klemens i Albrecht przyjechali tu we czwartek; w tenże

[3]) Barbara, siostra Franciszki, wyszła za Świdzińskiego.

sam dzień zwierza dzikiego ze wszech stron nazwożono; przez piątek i sobotę polowanie się odbywało: dziś dwaj królewicze wyjeżdżają, jak mi pokojówka oznajmiła to przed chwilą, i mnie dziś pierwszy raz ta myśl uderzyła, że i on odjechać może...

Przez ten tydzień cały, omamiona obecnem i przyszłem szczęściem, zajęta staraniem ukrywania go przed obcymi, wreszcie po raz pierwszy w życiu, grająca rolę gospodyni domu, bo księżnie od tego stąpienia tak noga spuchła, że aż w łóżku leży, i ja zastępować ją muszę, nie miałam bynajmniej czasu myśleć o tem, co nastąpić może, i nie wiem doprawdy, czym myślała, że to już rzeczy tak na zawsze zostaną? czy też podobno nie myślałam wcale; ale to wiem, iż bojaźń i smutek zupełnie mi wyszły z pamięci; dziś, jakby ze snu temi słowami pokojówki obudzona, czuję nieznośne udręczenie. Cóż to będzie, jak królewicz pojedzie? z jakąż ja myślą się obudzę? po co wstanę? dla kogo się starannie ubiorę? kim, czem przez dzień cały zajętą będę? Ani wiem, ani wystawiam sobie, ani pojmuję... aż mi nie dobrze.. okno otworzyć muszę. A!... oddycham, lepiej mi teraz; choć dopiero szósta godzina, już postrzegłam w oknie pałacyku, w tym pokoju, gdzie on od przybycia braci mieszka, powiewającą chustkę białą. Taki co rano znak na dobry dzień mi daje; nie przyznam mu się nigdy do tego, broń Boże! iż dopiero raz jeden znak ten już zastałam wstawszy; nie chcę go zawstydzać, żem od niego ranniejsza...

Ale któż to tak pędem, perspektywą przez las wyciętą na koniu jedzie? może on? nie, to strzelec ulubiony jego; zapewne z bukietem dla mnie: wiem, że po niego o mil kilka do jakiejś oranżeryi posyłał. Czegóż ja się też troszczyłam? po co te obawy? on tu jest jeszcze; od nikogo nie słyszałam, żeby miał wyjeżdżać; może wcale nie pojedzie, a przynajmniej nie tak prędko: ani wątpić, będę jeszcze miała i drugi i trzeci i czwarty takiego szczęścia tydzień.

Dnia 27 maja, we środę.

O nie! skończyło się na tym jednym! a już widzę, że pamięć jego, wszystkie następne w porównaniu z nim, czarne i posępne uczyni! Ale bo to najgorzej, kiedy się od poniedziałku źle darzyć zacznie. Te słowa pokojówki były pierwszemi, które usłyszałam w ten tydzień, i odtąd same złe nowiny słyszę; zaraz tego dnia dowiedziałam się z pewnością i od strzelca, który mi bukiet przywiózł, i od samego królewicza, że wyjechać wkrótce musi: pod różnymi pozorami trzy dni po braciach miał tu bawić, te jutro dopiero się skończą, a on już dzisiaj wyjeżdża. Król[4]) przysłał w nocy sztafetę z rozkazem, żeby wracał jak najprędzej; pojechał raz jeszcze do pałacyku, bo tam ważnych papierów zapomniał, za pół godziny wróci, a potem pojedzie. Sam nie wie, kiedy się zobaczymy. Ach! czemuż to dni szczęścia krótsze są od innych.

[4]) August III-ci, Sas.

Dnia 7 czerwca, w niedzielę.

Już blisko dwa tygodnie, jak królewicz pojechał, dwóch posłańców było od niego, dwa liściki wsunął do mnie pod kopertę księcia wojewody. Ale cóż to jest list? jakże to w nim słów i rzeczy mało dla tych, którzy rozmawiać, wszystko sobie zwierzać przywykli i czytam je i odczytuję, zawsze toż samo. List tak mało zastąpi rozmowę, jak portret osobę; zostawił mi swoją miniaturę królewicz, dosyć podobna: ale cóż mi z niej? ja mam twarz jego jeszcze podobniejszą w pamięci wyrytą, a ten portret zawsze jednakowy, ani mówi, ani się uśmiecha. A nadto, jakże to czczą rzeczą jest list, na który odpowiedzi dać nie można, to istna z niemym rozmowa; bo co już tego, to przenieść na sobie żadnem prawem nie mogłam: zdawałoby mi się, że mi ręka uschnie, gdybym bez wiedzy ciotki, rodziców, starszej siostry, do kochanka jednę literę napisała: powiedziałam królewiczowi, że listu odemnie mieć nie będzie, dopóki żoną jego nie zostanę, i choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztuje, dotrzymam słowa... O! jakże po wyjeździe jego dzień każdy był nieznośny... byłabym chciała jakim cudem przespać czas jego niebytności... Mamże powiedzieć, co mnie z tego letargu obudziło! Księżna nagle zapadła, wskutku tego nieszczęsnego stąpienia; nie umiano się obchodzić z tą nogą odrazu, spuchła i zaogniła się tak mocno, że księżna dostała gwałtownej gorączki, i przez trzy dni była bardzo źle. Ani wyrazić potrafię, co się ze mną przez te trzy dni działo? Nie sądziłam, żebym o czyje zdrowie, prócz o zdrowie państwa, sióstr i kogoś jeszcze, tak niespokojną być mogła.

Przez te trzy dni nie tęskniłam do królewicza, co więcej, rada byłam temu, że go tu niema; bo w jego przytomności nie byłabym mogła tak zupełnie zająć się księżną. Myśl, że ona umrzeć może, w rozpacz mnie wprowadzała; bo pomimo tego wszystkiego, co książęta, co królewicz codzień mówili mi i mówią, ja znam dobrze, że ją milczeniem mojem obrażam, i ta myśl trucizną jest dla mnie, bo niema zgryzoty nad zgryzotę sumienia. Od samego początku cieszyłam się jedynie nadzieją, że przyjdzie dzień, w którym i jej i państwu i kochanej siostrze do nóg upadnę i mimowolny błąd wyznam; przez te trzy dni, kiedy w niebezpieczeństwie była, ta nadzieja z każdą chwilą spełznąć mogła. Ach! cóżby się natenczas ze mną stało? Opanowała mnie także, nie wiem skąd, ta myśl sroga, że i państwo już nie młodzi, że i ich nagła choroba, śmierć zaskoczyć może. Piekielne męki przez te trzy dni wytrzymałam; księżna zdrowsza, z Maleszowej były dobre wiadomości: ożyłam.

Doprawdy, gdyby dziś powiedziano mi, że król pozwala synowi publicznie żenić się ze mną, nie mogłabym serdeczniej Bogu dziękować, jak kiedy doktór zaręczył, że księżna zdrową będzie; chociaż tamta wiadomość celem jest życzeń moich: bo cóż się to w sercu królewicza dziać musi? on, który pewny jest, że nietylko ukrywaniem swojej miłości, ale samą miłością srogo obraża ojca!... truchleję na tę myśl. O Boże! czemuż mi te uwagi dawniej nie sta-

wały w pamięci? czemuż mi nie postały w głowie przy królewiczu? pocóż on odjechał? póki tu był, los mój tak świetnym, tak szczęśliwym mieniłam; teraz zdaje mi się często, że niema nademnie nieszczęśliwszej istoty. Bo też tak jest. Obrażać najlepszych rodziców, ukochaną siostrę, szanowną ciotkę, być przyczyną tego, iż syn — dobrego ojca, poddany — króla swego obraża, to boleść dotkliwa, niepojęta; czemuż ja jej nie przeczułam? czemu mnie kto nie ostrzegł?... A gdy sobie przeszłość przypomnę, jakże gorąco pragnęłam tego, co dziś dzieje się ze mną; od jak dawnego to już czasu ta myśl wyniosła, jak wróg jaki, opanowała mój umysł. Nieszczęsny Macieńku! tyś ją podobno pierwszy mojej prożności podsunął.

Szczęśliwa Basiu![3]) czemuż królewicz nie urodził się równym moim? Równym? czy szczerze chciałabym tego? Ach! jak też dobrze, że nikt prócz Boga i nas samych w głębi serca czytać nie może; Bóg przez nieskończoną dobroć, my przez słabość tak wiele sobie wybaczamy!... Ale już pół godziny, jakem od księżnej odeszła; ona lubi mnie mieć koło siebie, nikt jej tak jak ja dogodzić w niczem nie umie, i prawdziwie, mnie już teraz nigdzie tak nie jest dobrze, jak przy łóżku: tam czuję się być potrzebną, tam widzę z radością, że serca mego nie opanowało wyłącznie jedno uczucie.

Dnia 18 czerwca we czwartek, w Opolu.

Księżna tak już znacznie do sił i zdrowia przyszła, iż przedonegdaj przyjechaliśmy tutaj, żal mi było wyjeżdżać z Janowca. W ostatnim liście zastraszył mnie królewicz, że do księstwa swego za parę miesięcy jechać będzie musiał; głowę sobie łamie, jakimby sposobem widzieć mnie przed odjazdem; dopieroż to te miesiące żółwim krokiem iść będą: trapi mnie nadewszystko jego zmartwienie. Jest tu kilka osób z Warszawy, jest nawet i biskup kamieniecki,[5]) tak godzien poważania i szacunku; uspokoić się nie mogą nad zmienieniem się królewicza: mizerny, smutny, od ludzi stroni, i to wszystko z mojej przyczyny. Ach! doprawdy, wielki kłopot, kochać kogo bardzo; wszystko w dwójnasób się czuje, a ponieważ więcej złego niż dobrego na tym świecie, trochę radości, wiele zmartwienia z każdem kochaniem przybywa. Co się też i ze mną stało? wszyscy mnie mizerną znajdują; kochana księżna składa tę zmianę na niewczas i trudy przy niej poniesione: każda podobna jej mowa, każda pochwała przywiązania mego ku niej, jakby sztyletem serce mi przeszywa. Kiedyż się te okoliczności odmienią? kiedyż szczęście wróci? kiedy na tem sumieniu, tak niegdyś lekkiem, nic ciężyć nie będzie?

Dnia 11 lipca, w sobotę.

Zabłysła chwila szczęścia i minęła; był tu, ale tylko dwie godziny; w tę środę wyjechał z Warszawy, niby do Kurlandyi, a on

[5]) Adam Krasiński.

tymczasem wysławszy tylko ekwipaże swoje, sam zamiast na północ, na południe się udał; przyjechał tu, a teraz dniem i nocą dąży, żeby razem z dworem swoim w Białymstoku stanął. Widziałam go tak krótko, że mi to widzenie snem się wydaje; przebrany za swego strzelca przyjechał, nikt go nie poznał, nikt też poznać nie był powinien, prócz mnie i księcia. Jak też mnie błagał, żebym pisywała do niego, płakał; szczęście wielkie, że tak mało czasu byliśmy z sobą, bo kto wie, czybym się była dłużej łzom jego oparła. Trzy miesiące, czas najkrótszy pobytu jego w Mitawie, ileż to dni w trzech miesiącach! ile godzin, ile minut! Niczem jeszcze byłoby samej cierpieć, ale jego to oddalenie tyle martwi: prawda, że zmizerniał do niepoznania.



III. Feliks Bernatowicz.

Pojata. (1826).

Głównem zadaniem romansu tego było przedstawienie stanu religii, obyczajów i oświaty Litwinów pod koniec wieku XIV, a mianowicie w chwili, kiedy Litwa z Polską połączyć się miały. Stąd wynikły obrazy mitologii i uroczystości religijnych, osnute głównie na wiadomościach zebranych przez Naruszewicza; stąd dalej opowiadania o walkach staczanych w samej Litwie pomiędzy potomkami Gedymina (Jagiełło — Kiejstut), o wyprawach na Polskę, o napadach Krzyżaków i wreszcie o połączeniu się dwu niegdyś nieprzyjaznych sobie narodów. W motywach tej unii, romansopisarz kładzie główny nacisk na stronę uczuciową, na miłość Jagiełły do Jadwigi, nawiasowo tylko wspominając o korzyściach politycznych, o chęci zgnębienia mocy krzyżackiej. Ta właśnie okoliczność łączy najściślej treść czysto historyczną z osnową miłosną utworu. Do Wilna przybywa młodzieniec, pod imieniem Trojdana przedstawia się jako Litwin pragnący zostać kapłanem, stróżem Znicza. Przyjęty przez krywekrywejtę Lizdejkę, przykładnem życiem, sumiennem spełnianiem obowiązków zyskuje ogólne poszanowaaie Niebawem w sposób tajemny odbiera i w mieszkaniu swem umieszcza jakąś pakę. Zawartość jej daje się poznać podczas nieobecności Trojdana, który, gdy Kiejstut opanował Wilno, przeprowadził Pojatę, córkę Lizdejki, i Aksenę, siostrę Jagiełły, tajemnem przejściem do siedziby krywekrywejty. Jerbut, naznaczony przez Kiejstuta najwyższym kapłanem, będąc niechętnym Trojdanowi, z mieszkania jego wydobył wtedy „zakiętą dziewicę“, i oskarżywszy go o stosunki zakazane kapłanom, spowodował wydanie nań wyroku śmierci. Już wyrok miał być spełnionym, gdy Jagiełło odbiera Wilno, oswobadza Trojdana i zobaczywszy „zaklętą dziewicę“, czuje się przez nią oczarowanym. Wie on, że to obraz, a nie istota rzeczywista; pragnąłby się dowiedzieć jej imienia, ale Trojdan woli śmierć ponieść, niż je powiedzieć, napomyka tylko, że jest to osoba, której ręki godzien zaledwie sam Jagiełło. Imię jej odkryła Jagielle dopiero Helena Habdankówna, która wzięta niegdyś do niewoli przez Dowojnę, dzielnego Litwina, tak wyższością swej ogłady potrafiła go ujarzmić, iż stał się najposłuszniejszym służką jej kaprysów. Helena wywierała wpływ i na Jagiełłę: ona powiedziała, że ów obraz przedstawia Jadwigę, królową polską, ona mu poddała myśl starania się o jej rękę. Z Jagiełłą miał wyjechać do Polski Trojdan, którego przywrócony do władzy Lizdejko chciał mieć swoim zięciem i następcą po sobie. W dzień rozstania Trojdan odkrywa Lizdejce, iż jest Polakiem, Firlejem, że pragnął, służąc pozornie bogom litewskim, rozszerzać chrześcijaństwo; a spowodowany był do tego, jak się później dowiadujemy, miłością

do Jadwigi, która raz, jeszcze na dworze węgierskim, oświadczyła, iż ten serce jej pozyskaćby mógł, ktoby w samym środku Litwy chrystyanizm zaszczepił. Gdy Jagiełło w Polsce swaty odprawiał, Krzyżacy wpadli do Litwy. Jeden z wodzów Sundstein od dawna już namiętną żądzą względem Pojaty pałający, starał się ją sobie wszelkimi sposobami zniewolić, a nie mogąc tego dokonać, podczas porażki Krzyżaków, uwiózł ją z sobą. W drodze jednak poznany przez współbraci, musiał się rozstać z ową branką, a sam uledz sądowi. Potrafił się oczyścić z zarzutów, zwalając całą winę na Pojatę, którą sąd tajny kapituły krzyżackiej skazał na śmierć. W chwili stanowczej zjawia się Trojdan (Firlej), Sundsteina spycha w przepaść, Pojatę ratuje. Lizdejko w przedśmiertnej chwili, łagodną namową Jadwigi skłoniony, przyjmuje chrzest i błogosławi związek swej córki z Firlejem. I Helena, straciwszy nadzieję zostania Firlejową lub Jagiełłową, wychodzi za mąż za Dowojnę, lubo nie bez trudu; Dowojna bowiem, któremu narzeczona postawiła za warunek ślubu przyprowadzenie pewnej liczby nowo-nawróconych, tak się rolą swą przejął, że o kapryśnej niewieście myśleć już nie chciał i zakonnikiem zostać pragnął.

Przygotowania godowe, któremi na obu zamkach służba księcia była zajęta, dawały poznać mieszkańcom Wilna, jak świetne Jagiełło gotuje swej siostrze wesele. Sprowadzone z Królewca zagraniczne przyprawy włoskie, marcypany i drogie napoje, mnóstwo ryb i zwierzyny, zapowiadać zdawały się najznakomitszych panów przybycie; atoli w dniach ostatnich zjazd gości wcale nie odpowiadał tak wystawnym zachodom; zbiór wprawdzie był liczny, lecz nie postrzegano w nim żadnego ze stryjecznych braci i możniejszych krewnych Jagiełły. Dalecy tylko powinowaci, których los zależał od łaski książęcej lub przyjaźni Wojdyły, w skromnych pocztach zjeżdżali się na zamek, lub nie dość śmieli stawali w mieście gospodą. Księżna Olgierdowa w ostatni przedślubny wieczór patrząc na tak nieświetną drużynę, z żałością przyciskała córkę do serca, tę do niej smutną czyniąc przemowę: — O ty! moje z najmilszych najmilsze dziecko, nie takich ja sobie obiecywałam na twem weselu częstować gości! Nie będą bogate księżniczki rozplatać we łzach twoich warkoczy, nie będą raźni książęta w tańcu dobijać się twej ręki, ani cię najwaleczniejszy z rycerzy odda w ręce małżonka! Nieśmiały Wojdyło przez jeden dzień tylko, jak na igrzysku, zwany będzie książęciem, a ty dla niego nazawsze zbędziesz czapki książęcej. Ani cię już ujrzą więcej me oczy w szubie szkarłatnej! Cóż czynić, moja miła, kiedy taka wola jest bogów i rada ludzi! obyś przynajmniej w tym związku znalazła niepłonny szczęścia zadatek! Już się świat dla ciebie odmienia, odstępują krewni, przyjaciele mniej cenią: ja jedna zawsze ta sama dla ciebie zostanę, a im bardziej od innych będziesz opuszczoną, tem serdeczniejszą mieć będziesz miłość twej matki. A kiedy już cię ani obronić, ani wyprosić nie mogę, idź spędzić ten wieczór między towarzyszkami. Dziś jeszcze do nich należysz, dziś możesz śmiać się i cieszyć; jutro śród mężatek zasiądziesz, a pojutrze już będziesz daleko ode mnie.

Aksena ze łzami ściskała nogi księżnej: a zadość czyniąc przedślubnym obrządkom, udała się na wieczór do przyległej izby, gdzie same tylko miały prawo znajdować się dziewice. Był już tam czekający na nią orszak córek najznakomitszych panów. Stanąwszy z pokorą u drzwi, prosiła towarzyszek, aby ją biedną i ściganą

przyjąć raczyły do siebie i dały schronienie przed przemocą swatów, których nasłał na nią Wojdyło. Rzucały się na jej obronę dziewice i życiem ją własnem bronić przyrzekały. Wieczór zszedł na tańcach i śpiewach: o północy w największej skrytości bożek tajnych wdzięków odbierał ofiary, i Godu śmiejące się uczczone zostało. Nazajutrz zaledwie słońce złocić zaczęło szczyty zamkowe, dał się słyszeć przed drzwiami dziewic dźwięk muzyki godowej, przeplatany wesołem swatów śpiewaniem:

— Obudź się, obudź, piękna księżniczko! opuść twe łoże samotne a poddaj się nam! Zawiedziem cię do twego miłego, postradasz długie warkocze, ale dostaniesz młodzieńca hożego, który cię przeniósł nad wszystkie świata dziewice. Do nas, do nas, prześliczna Akseno!

— On cię wyprosił u bogów i drogo krewnym zapłacić przyrzeka. Oto i Perkunatele[1]) swą córkę kochaną w nocnej wybieliwszy łaźni, przystrojoną w złote promienie, z niebieskiego dworu na twoje posyła wesele, bogowie radują się, naród się cieszy. Do nas, do nas, prześliczna Akseno!

— A wy, dziewice, darmo ją kryjecie, choćbyście pod ziemię schowały, my ją wynajdziem; przybierzcie ją raczej w godowe szaty, włóżcie na głowy wieńce ruciane, chodźcie wraz z nami cieszyć się, bo czas jej przyszedł wesela. Do nas, do nas, prześliczna Akseno!

I mocny hałas zrobiwszy, z trzaskiem drzwi otworzyli. Aksena, chociaż może się i potrafiłaby oprzeć ich natarczywości, z pobożną prawie uległością poddając się przeznaczeniu, mało się wzbraniała, lubo ją dziewice szczerze broniły. Dwaj pierwsi drużbowie chwycili ją i wziąwszy ją pod ręce, śpiewając i brzęcząc, z tryumfem do Wojdyły wiedli. Rzucił się za niemi tłum rozpaczających dziewic i jęki żałości mieszał z radosnymi okrzyki. Pan młody ubrany w purpurowe szaty, z pękiem kwiatów u piersi, na dzielnym rumaku, w postawie dumnego zwycięzcy, czekał na dziedzińcu mieszkania swego, otoczony krewnymi i przyjaciółmi, którzy poglądali na niego z radością i uszanowaniem. Stawiona przed nim Aksena niski mu pokłon oddała; on ją grzecznie przywitał i poleciwszy staraniu krewnych, jechał z drużbami do jej matki.

— Oświecona księżno! — wszedłszy, rzekł do niej wyniośle — wziąłem wam córkę, chcę ją zaślubić i pytam, wiele żądacie, żebym za nią zapłacił?

Długo złorzecząc księżna, wzbraniała się dać odpowiedzi; ułagodzona nakoniec wstawieniem się drużbów, rzekła z czułością:

— Gdybyś mi skarby całego świata wyliczył, nie zapłaciłbyś jej jeszcze; ale kiedyś już ją dostał, najlepiej mi ją opłacisz, jeśli ją kochać i szanować będziesz.

Przyrzekłszy Wojdyło wszystko, czego żądała matka, ofiarował jej drogi naszyjnik, a na dowód zezwolenia przyjąwszy od niej pierścień, pośpieszył z nim do narzeczonej. Na ten znak święty poddając

[1]) siostra i żona Perkuna, najwyższego boga litewskiego.

się córka woli matczynej, odebrała z rąk Wojdyły bukiet godowy; wtenczas wzięły ją drużki, wiodły na dziedziniec zamkowy i posadziwszy na dzieży nowej, dnem obróconej do góry, śpiewały żałośnie. Jedne jej rozplatały warkocze, drugie czyste nogi umywały w pachnącej wodzie, którą starosta godowy kropił przytomnych gości i lud licznie zebrany. Ozuto ją potem w złote obuwie, twarz okryto zasłoną i prowadzono z panem młodym na salę zamkową, gdzie matka i brat już czekali. Tam Aksena do nóg ich padłszy, odbierała błogosławieństwo.

— Wychowałam cię w cnocie i bojaźni bogów — mówiła rozczulona matka ściskając jej głowę — obym za moje starania doczekała cię widzieć szczęśliwą! Niechaj cię mąż przez wszystkie dni życia twego tak piękną znajduje, jak dziś piękną widzi: niech dom wasz bogowie miłemi rozweselą dziatki, a mężne syny i skromne córki plemię wasze rozrodzą! niech w nim nigdy na niczem nie schodzi, a pokój i gościnność niech wiecznie panują.

Po tej przemowie prowadzono Aksenę do śpichlerzów pana młodego, gdzie starosta swadziebny, sypiąc na jej głowę ziarna i krupy, tłómaczył obowiązki rządnej gospodyni i potrzebną sprawiania domu dawał naukę. O południu udano się na Antokole. Panna młoda z rozchwianemi warkoczy, z podniesioną z twarzy zasłoną, siedziała na wysokiej kolasie między dwiema drużkami, z których pierwszą była Pojata. Sześć dzielnych koni z kitami, w bogatym zaprzęgu ciągnęło weselny powóz. Poprzedzał go chorąży godowy, wywijając na koniu w powietrzu białą chorągwią. Był tam i łowczy swadziebny, puszczający strzały do góry, i trefniś, dowcipne żarty prawiący. Za kolasą dopiero jechał pan młody śród swatów i na bystrym rumaku dziwne zręczności okazywał sztuki: dalej szły dłu gim szeregiem wozy pełne drużyny godowej. Nim ten orszak stanął na Antokolu, po trzykroć zrobił okrąg po wszystkich miasta ulicach, gdzie mu się lud z okien i ganków przypatrywał ciekawie. Już od dawna w świątyni bogów Jerbut, w uroczyste szaty przybrany, czekał na przybycie państwa młodych. Wprowadzeni przez swatów, cześć winną bóstwom oddawszy, powtarzali za Jerbutem słowa małżeńskiej przysięgi: poczem kapłan podał im kubek bursztynowy, nalany piwem, z którego gdy się napili, pan młody cisnął go o ziemię i pokruszył nogą, a kapłan zawołał: „niech tak przepadnie wszelka nieżyczliwość tym związkom“. Natychmiast swatowie zapalili świece, a chór kapłanów pieśń godową zanucił. Gdy starosta swadziebny, w imieniu panny młodej, rozdawał przytomnym na pamiątkę jej ślubu ręczniki przedziwnej białości, poślubieni tymczasem przed każdem z bóstw składali należyte ofiary.

Przez cały czas obchodu, Trojdan, zajęty posługą koło Jerbuta, miał sposobność przypatrzyć się dobrze Pojacie. Świętość miejsca i uroczystość obrzędu zdawały się jej udzielać niebieskiej jasności. Nigdy ona bez przejęcia najwyższą czcią i trwogą nie wzniosła oczu na bóstwa, które ten święty napełniały przybytek; cóż dopiero w chwili, kiedy szło o los jej przyjaciółki? Serce Pojaty przeniknione było

najrzewniejszą czułością; a strój jej godowy, chociaż nie wyszukany, nieskończenie blask jej wdzięków powiększał. Biała skromna suknia, czysta jak jej dusza, blado-zielonym okolona pasem, włosy ciemne gładko zaczesane, objęte srebrnym galonem, za którym zatknięta gałązka ruty, ziele dziewic ulubione, i kilka bławatków u piersi, całą jej były ozdobą. Obecność bogów nie dozwalała jej mieć rąbka przed twarzą; ale jej anielska skromność i niewinność spojrzenia najlepszą wdzięków były osłoną i tak ją piękną czyniły, że każdy na nią tylko miał oczy zwrócone. Nie mógł jej i Trojdan odmówić podziwienia swego, patrzał już bez niepewności i trwogi: a chociaż między Pojatą a znaną sobie osobą znajdował różnicę, nie przestawał jednak zajmować się tak wielkiem ich z pierwszego wejrzenia podobieństwem. Tymczasem orszak godowy postępował napowrót śród dźwięku trąb, surm i różnych brzękadeł: a lud z okien i dachów sypiąc na państwo młode różnego gatunku ziarna, życzył im wszelkich powodzeń. Lubo zamek dolny z rozporządzenia swego dogodniejszy był do wyprawiania uczty, Jagiełło, pragnąc stosownie do stanu uczcić swą siostrę, na górnym gody jej obchodził i z chlebem i solą wyszedł do bramy na jej spotkanie. Matka zaś podając córce w jedną rękę garnek nowy, w drugą wrzeciono, na znak obowiązków jej stanu, z temi narzędziami wprowadziła na salę.

Czekał już tam u schodów Sławeńko, przysłany z Trok od księcia Kiejstuta z darem dla panny młodej i powinszowaniem jej postanowienia. Miał oraz polecenie pozdrowić Jagiełłę i przełożyć mu żal, który trapi jego stryja, że dla pogorszonego zdrowia nie mógł sam zjechać do Wilna. Na widok zbliżającej się drużyny, serce młodzieńca mocno bić zaczęło. Wiedział dobrze, że w niej znajdować się musi Pojata, ujrzał ją nawet zdaleka, lecz tłumiąc w sobie niewczesne uczucia, o tem tylko myślał, żeby mógł do pana przystąpić i wytłómaczyć mu cel swego przysłania. Gdy nadszedł książę, młodzieniec, skłoniwszy się mu pokornie, składał życzenia Kiejstuta, wystawiając niemożność jego przyjazdu.

— Mniejsza o to — rzekł zimno Jagiełło — gody mej siostry niemniej są godami; mógł nawet obejść się bez przysłania życzeń, które ani pomogą, ani zaszkodzą naszym układom. — I postąpił na schody.

— Do czego te żarty? — dodał Wojdyło — Książę ma zdrowie polować, a chory, kiedy trzeba zjechać na synowicy wesele; dlatego to, że za biednego Wojdyłę idzie. Gdyby tak za księcia Daniela, znalazłaby się ochota i zdrowie. Cóż robić! — I szedł dalej na górę.

— Pan stryj z nas sobie żartuje — rzekł przechodząc Skirgiełło — ale potrafim go wkrótce uzdrowić. — I nie spojrzawszy nawet na smutnego posłańca, poszedł za drugimi.

Zmieszany młodzieniec tak niemiłem przyjęciem, nie wiedział, co ma dalej począć, czy pójść na salę, czy do Trok obrócić. Bolała go bardziej wzgarda dla Kiejstuta i niewdzięczne odrzucenie życzliwości jego, niżeli własna obelga i byłby pewnie bez pożegnania odjechał,

gdyby spojrzenie przechodzącej Pojaty, biorące w podział jego zmartwienie, nie przeważyło szali; poszedł więc za nią, tem tylko zajęty, jakby mógł zbliżyć się do jej osoby. Wkrótce w tłumie gości dostał się na salę. Pojata w rzeczy samej żywo uczuła nieprzyzwoitość obejścia się z posłańcem trockim: wiedziała, że nieszczęśliwy młodzieniec, po tak niełaskawem przyjęciu, nie znajdzie pewnie w zgromadzeniu nikogo, któryby się chciał nim zająć przychylnie; wszystko więc starała się czynić, co tylko mogło gorycz jego słodzić: chwaliła księżnej piękność upominków, wymawiała Kiejstuta i skłoniła Aksenę do złożenia mu dzięk najczulszych za dary.

Tak zniewalające chęci, spokojniejszą myślą ciesząc młodego posłańca, serce jego ożywiły słodką rozkoszą, kiedy ta, dla której jedynie miłą mu była podróż wileńska, tyle się nim raczy zajmować: ale drużka Akseny nie mogła w tym dniu i w zgromadzeniu tak świetnem wyłącznie trudnić się Sławeńkiem, tem bardziej, gdy to zaczęło ściągać uwagę; zostawiwszy go zatem w tłumie z innymi, złączyła się z towarzyszkami, które szeregiem zajmowały siedzenia. Znajdował się tam w bliskości Jerbut w Trojdanem, otoczony znakomitszymi pany, z którymi rozmawiał. Ale nie tak rządcy świątyni obecność, jak raczej ciekawość poznania towarzysza jego, Trojdana, którego tak pochlebne zalecały wieści, wiodła w to miejsce największą część gości. Umiał też nasz ofiarnik skromną i przyjemną rozmową zajmować słuchaczów. Patrzyła na niego Pojata zdaleka, radaby była odezwać się, ale nieśmiałość wstrzymała jej usta. Tymczasem do obiadu znać dano. Szli parami goście i podług starszeństwa siadali za stołem, uginającym się pod ogromem srebrnych i złotych naczyń, które napełnione były najwytworniejszemi potrawami. Jerbut z Trojdanem, pod opieką księcia Skiergiełły, zajął na uboczu miejsce z innymi, którzy się u wielkiego stołu pomieścić nie mogli. Sławeńko, smutny znowu i nieśmiały, w powszechnym ruchu, który każdy czynił zabierając krzesła, nie wiedział, gdzie się obrócić; gdy nagle ujrzał się blisko drogiej swojej opiekunki Pojaty, która zatrzymawszy dla niego miejsce, dała znak skinieniem, aby je zajął. Uradowany młodzieniec, nie umiał wdzięczności swojej okazać za ten nowy dowód pamięci.

— Pani jesteś bóstwem, które nie zapomina nikogo — rzekł do niej z czułością. Czemuż tak okazać wdzięczności nie mogę, jak jej łaskę czuję! Dlaczegoż — dodał po chwili, jak gdyby zmieszany tem, co mówił — nie mam szczęścia widzieć w tem zgromadzeniu szanownego jej ojca?

— Mój ojciec cierpi ciągle na oczy — odpowiedziała smutno dziewica. — Prócz tego, miał sobie wiadome przyczyny, dla których nie chciał być na tem weselu.

— Jeśli mu tylko zechce błogosławić, bogowie szczęścia ślubującym nie ujmą — odpowiedział młodzieniec. — Ale skąd tu jest ten kapłan wymowny, co tak pięknie rozprawiał? głos jego i postać są tak ujmujące...

— Jest to niedawno obleczony w szatę ofiarnika młodzieniec,

nie wiem, skąd go bogowie zesłali; lecz mój ojciec i wszyscy niezmiernie go chwalą.

— Gdybym miał dar jego wymowy, możebym umiał lepiej dziękować!

— Albożtwe pieśni nie są powtarzane wszędzie? — odpowiedziała dziewica. — Nie uwierzysz, jak mnie obeszło to niegodne ciebie przyjęcie, a nadewszystko wzgarda Wojdyły, która wszystkich tak przykro dotknęła.

— Pani! — rzekł żałośnie młodzieniec — i mnie i moim się pieśniom nie wiedzie. Cóż mi z tego, że wszyscy je chwalą, kiedy nie każdy raczy rozumieć. Co do niełaski Jagiełły i wzgardy Wojdyły, czyż może ona mnie boleć, kiedy Pojata bierze moją stronę?

— Sławeńko, dziś trzeba być wesołym. — Albożja na to tu cię posadziłam, żebyś nic nie jadł? przejechałeś dziś cztery mile, pamiętaj, że niedługo obiad się skończy. Patrz, oto Jagiełło puhar życzeń wznosi.

Była to właśnie chwila spełnienia zdrowia państwa młodych. Służba zwijała się koło stołu, roznosząc pokrajany korowaj, gdy dźwięk trąb kilkunastu ogłosił poważne gospodarza życzenia. Szły z rąk do rąk koleją puhary: każdy sadził się na wybór oświadczeń, za które starosta swadziebny w imieniu państwa młodych dziękował.

— Jaka szkoda — rzekł Sławeńko — że mój dobry pan nie może dzielić tej wesołości! Tak pragnął być na tych godach i ustawnie względem wyjazdu dawał rozkazy: chciał bowiem okazale przybyć do Wilna i pewnieby przybył, bo już się mieć lepiej zaczynał, gdy nagle pora wilgotna znowu rany jego otworzyła. Dwa razy probował siąść na koń, boleść nóg żadnym sposobem nie dozwoliła jazdy; jeszcze mniej mógł znieść trzęsienie karocy. Niechby o tem przynajmniej pozwolił sobie książę powiedzieć, możeby nie był względem stryja tak niesprawiedliwym. Jak na nieszczęście jeszcze, żaden z synów pańskich nie był w Trokach przytomnym, żeby mógł ojca wyręczyć; możeby umiał lepiej tłómaczyć jego życzenia.

— Będzie o tem wszystkiem wiedzieć Jagiełło — rzekła Pojata — bądź tylko cierpliwym. Czy często książę cierpi tę niemoc?

— Każda prawie zmiana powietrza mniej lub więcej boleść w nim wznieca.

— Biedny starzec! niezmiernie go żałuję, a bardziej jeszcze, że cierpi w tej porze. Ale nie trzeba, abyś mu mówił, jak cię tu przyjęto: boby to mogło pogorszyć jego zdrowie. Już ja biorę na siebie wszystko naprzód księżnej przełożyć.

Sławeńko przyrzekł ostrożność, i ciągle Pojatą zajęty, uważał, że często miała oczy zwrócone w stronę, w której siedział Jerbut.

— Szczęśliwa strona — powiedział — którą tak często wzrok pani odwiedza.

— Przecież moje oczy jak i inne — rzekła z uśmiechem — muszą być gdzie zwrócone.

— Lecz zawsze odwrócone odemnie!

— Źle sądzisz o twoich przyjaciołach — odpowiedziała Po-

jata — w tym razie jednak, wyznaję, myślałam o tych dwóch kapłanach, co tam, radzi nie radzi pucharom, muszą z innymi równą miarę trzymać. Alboż darmo jestem córką pierwszego kapłana? Gdyby tu był mój ojciec, oni mniej byliby w tem zgromadzeniu obecni, a Skiergiełło nie byłby tak śmiały w naleganiu wznoszenia zdrowia.

— Prawda — rzekł Sławeńko — pod rządem takiego gospodarza, jak książę Skiergiełło, może sobie ujść najlepsza potrawa; ale za uchybioną czarę, pewnieby podczaszy odpowiedział surowo: myślę jednak, że ten młody kapłan, co tak pięknie mówił, potrafi wyjść z chwałą z zastawionych sideł. Żeby przynajmniej wiedział, kto się troszczy o niego.

W rzeczy samej, Trojdan, mimo natarczywości Skiergiełły umiał jego pilność oszukać: i kiedy inni, dobrze już podochoceni, wesołą wrzawą napełniali salę, on bynajmniej trunkiem nie ojęty, przypatrywał się różnym postaciom i wylewom serca, które zwykle przy biesiadnej ochocie najszczerzej malują obyczaje narodu i jego sposób myślenia.

. . . .

Przy wiosennej porze, król jeżdżąc z duchowieństwem po kraju, wszędzie ze szczęśliwym skutkiem wiarę zaszczepiał: sam lud pacierza nauczał, sam mu wykładał artykuły wiary. A że dla mnogiej nowowierców liczby niepodobna było chrzest każdemu z osobna udzielać, szykowano lud w gromady, mężczyzn i niewiast nad brzegami jezior lub strumieni, i każdą gromadę chrzczono jednem imieniem podług płci ludu; stąd te wody dostały nazwiska świętych rzek i jezior, któremi dotąd się szczycą. Towarzyszyli panu w tej pobożnej wyprawie królowa, Aksena z licznym pań polskich i litewskich pocztem, oraz najznakomitsza część dworu. Ponieważ miejsca, które odwiedzano, po większej części pozbawione były wszelkich potrzeb życia, trzeba było wieźć z sobą tabor, dobrze opatrzony żywnością i służbą. Podróż taka, przy pięknej porze, oprócz pobożnych korzyści, musiała być ożywioną i światowemi uciechy. Codzień znajdować na innem miejscu rozpięte namioty, codzień inne wód brzegi odwiedzać, było zapewne przyjemnością, znacznie osładzającą trudy tej religijnej pielgrzymki. Nie zaniedbał i Habdank z córką w czasie drogi służby swoje zalecać; ale Helena, smutne czyniąc uwagi nad przeznaczeniem swojem, nie bardzo chętnie ją dzieliła: chociaż królowa zaszczyciła ją względami, a król był zawsze dla niej z równą grzecznością. Nie tajne jej były rozmowy wesołego dworu, i ta dowcipna złośliwość, która najczystszym zamiarom lubi niegodne naznaczać powody. Wiedziała prócz tego, że serce młodego Firleja Pojacie należy, a jakikolwiek los go w jej obronie spotkał, była pewną, że już na zawsze dla niej stracony. W tak smutnej kolei, nic bardziej nie pragnęła, jak wrócić z ojcem do Polski; zatrzymywała ją tylko nadzieja powrotu Dowojny, którego pielgrzymka tak długa, coraz ją większą niespokojnością trapiła. Stanęły jej nieraz na myśli wszystkie jego ofiary, uległość i miłość, którą tak żywo

czuł dla niej. Jakże gorzko żałowała, że go przez tak przykre doświadczenia przewiodła! Czegóżby nie dała, aby wrócił, a wrócił wiernym i czułym; a Dowojna z pobożnej wyprawy najmniejszej o sobie wiadomości nie dawał.

Wkrótce książę Daniel, jako nowy chrześcianim i powinowaty Jagiełły, pośpieszył mu złożyć hołd uszanowania i poznać czcigodną jego małżonkę. Przyjęty mile, świadek domowego szczęścia Jagiełły, uczuł żywiej niż kiedykolwiek jego ponęty. Miał on już czas pod bytność w domu swoim Pojaty dostatecznie przekonać się, że serce jej nigdy mu należeć nie może; zwracając więc myśli na dawny przedmiot, wznowił odezwę o rękę Akseny: lecz i teraz nie więcej szczęśliwy odmowną odebrał odpowiedź. Nadaremne było wdanie się króla i Jadwigi przyczyna. Aksena wszystkie swe chęci do wojennych zabaw stosując, wolna i swobodna, zdała się wcale nie myśleć o powtórzeniu związków. Tymczasem dzieło nawracania coraz więcej pod swe prawa zagarniając kraju, dziwną gorliwością dla wiary świętej przejmowało naród. Byli wprawdzie tacy między nowowiercami, co po chrzcie wróciwszy do domu, żałując pośpiechu, przepraszali dawnych swych bogów, cześć im podwójną czynili i skrycie poświęcone węże i ogień chowali. Często też spostrzegano podcięte lub wywrócone krzyże na drogach, któremi chrześcianie oznaczać starali się pozyskaną ziemię; ale te wypadki były raczej skutkiem nałogu, niż złości; a ostrożność, nauczona przykładem, przez szpary na nie patrzeć radziła.

Król, znajdując się raz nad brzegiem rzeki, którą dziś Świętą rzeką zowią, gdzie do dwudziestu tysięcy narodu wiarę świętą przyjęło, ujrzał nowy rój ludu wychodzący z lasu, który prowadzony przez naczelnika swego, gromadząc się koło niego, zatrzymał się na polu. Wnet pogłos: ojciec Eliasz! ojciec Eliasz! rozległ się wszędzie, a pospólstwo coraz się z większym zapałem zbiegało, kędy nowo przybyła zatrzymała się rzesza. Król, ciekawy poznać człowieka, który tak głośnem potrafił uczynić swe imię, obrócił z panami ku niemu. Był to zakonnik barczysty, zakapturowany, którego mniszą niedbałość ożywiała jak od niechcenia rzeźwa śmiałego człowieka postawa. Twarz jego, opalona od słońca, błyszczała ognistym wzrokiem, którym niekiedy z pod brwi zapuszczonych przenikał tłumy. Mało on wiedział, gdzie się znajduje, a mniej jeszcze, że między słuchaczami jest król z duchowieństwem i dworem. Jak tylko upatrzył dogodne dla siebie miejsce, wstąpił na pień, zwiesił kaptur z głowy i zaczął rzecz swoją do ludu, powstając na świata zepsucie i dowodząc, że zakonne życie na puszczy jest najgodniejszem człowieka. Mowa jego była dobitną, ognistą i przenikającą. Milczenie naokoło głębokie pobożnem tylko niekiedy przerwane było westchnieniem. Im bardziej się w rzecz swoją zapuszczał, tem potężniej na świat i jego dziwactwa powstawał, tem żywiej malował korzyści zakonnego życia.

— Mój ojcze! — rzekła niespokojna Helena — przypatrz się tylko dobrze, jak ten zakonnik do Dowojny podobny!

— Dajże pokój, ty w każdym człowieku widzisz Dowojnę. To jest jakiś uczony kaznodzieja; szkoda, że dla ciżby nie można się lepiej do niego przybliżyć.

— Prawdziwie to jest Dowojna — mówiła wzruszona Helena — przecież znam dobrze głos jego.

Tymczasem zakonnik wciąż na świat piorunował. Gdy już zamknął mowę i zszedł z drzewa, a lud zaczął się poruszać, przystąpili do niego niektórzy ze słuchaczów hołd mu uwielbienia składając. Helena, najwyższą niespokojnością przejęta, coraz się bardziej przekonywując, że zakonnik jest jej narzeczonym, upatrywała tylko chwili, żeby się mogła do niego zbliżyć.

— Dowojna! — rzekła z wymuszonym spokojem — prawdziwie przewyższyłeś nasze nadzieje: niebo, jak widzę, pobłogosławiło twej pracy; ale chciejże wstąpić do namiotu naszego i wypocząć z trudu.

— Pobożna niewiasto — odpowiedział zakonnik, kryjąc głowę kapturem — niech ci niebo odpłaci twoją miłość bliźniego: jam mało dziś jeszcze na wypoczynek zasłużył — i chciał się oddalić, unikając dalszej rozmowy.

— Ale poczekajże cokolwiek — mówiła dziewica, przytrzymując za habit — przecież mamy z sobą co do pomówienia. A naprzód powiedz mi, co ten habit znaczy? Takaż to szata rycerzowi przystoi? w niejże to masz stanąć ze mną przed ołtarzem? Niewdzięczny! oczy odwracasz! Powiedz mi, gdzie jest ta twoja miłość dla mnie nieograniczona, te przysięgi, zapewnienia, ofiary, któreś mi uczynił?

— Bezbożna niewiasto! co ci się dzieje? — mówił zakonnik zgorszony — czego chcesz odemnie? ciebie szatan opętał. Odstąp, bo napisano: nie będziesz kusił sprawiedliwego.

— O ja nieszczęśliwa! cóż się to z nim stało! — powtarzała pełna żalu Helena.

— Rycerzu Dowojna! — odezwał się Habdank — napróżno chcesz się ukrywać. Mówmy tylko bez hałasu, bo ta okoliczność pewnie ani tobie, ani mej córce sławy nie czyni. Cóżkolwiekbądź, nie możesz zaprzeczyć, żeś mnie o jej rękę prosił, żem ci ją przyrzekł, i żeśmy tylko czekali powrotu twojego, aby odprawić wesele. Tymczasem przybywasz obleczony w habit zakonnny, jakby na urąganie nasze. Pomiarkuj, co czynisz. Bo wreszcie jest król i prawo, co nas rozsądzą.

— Widzę — odpowiedział kaznodzieja — żeście na złej drodze oboje. Ale bezbożni! jak ja was nie znam, tak pragnę, ażebyście nie znali zaślepienia waszego.

— Co widzę? — odezwał się przechodzący rotmistrz Stogniew. — Wszak to ten sam Litwin, któremu przed dwiema laty, w Sandomierskiem, zda mi się, czy w Lubelskiem, oręż wytrąciłem z ręki.

— Kłamiesz — rzekł oburzony zakonnik — nikt mi jeszcze z ręki nie wytrącił oręża. Jeślim wtenczas nie chciał się bić z tobą, to dlatego, żem służąc światu, posłuszny być musiał rozkazom jednej

niewiasty. Ale teraz, gdy chcesz, sprobuj się ze mną, a poznasz, czyj będzie oręż na ziemi?

— Daj spokój, Stogniewie — mówił Habdank, śmierząc uniesienie rotmistrza. — Widzisz tedy, Dowojna, żeś się sam wydał. Dlaczegóż więc chcesz dom mój osławić?

— Niewdzięczny! — zawołała Helena — jam dla ciebie opuściła ojczyznę, odrzuciła swadźby najlepsze, a ty mnie się wyrzekasz! i możesz spokojnem sumieniem ten stan obierać, póki ja żyję? Możeż być twoja ofiara przyjętą, kiedy ja, twoja narzeczona, opuszczoną zostanę? Okrutny! pomyśl tylko, jaki mnie los czeka?

— Idź do klasztoru i żałuj twych grzechów — odpowiedział niewzruszony zakonnik.

— Ale pobożny człowieku — rzekł król zbliżywszy się — powiedz mi, co cię znowu do tego stanu przywiodło?

— Nieznane są ludziom, miłościwy panie! drogi ich przeznaczenia — odpowiedział Dowojna. — Tyś nie wiedział, że ci się dostanie korona, jam ani pomyślał, że mnie kaptur przypadnie. Owo zgoła, wszyscy niedawno byliśmy na drodze zguby, dziękujmy Bogu, żeśmy z niej zeszli.

— Nic pewniejszego — odpowiedział uśmiechając się Jagiełło — ale radbym wiedział, jakim sposobem tak nagle z rycerza zakonnikiem się stałeś?

— Kiedym wysłany został za nawracaniem pogan, dzięki tej pobożnej wtenczas dziewicy, wielem znieść pracy, wielem trudu i napaści wytrzymać musiał, nim zostałem słuchany. Stawiał mi szatan wszędzie zasadzki, jam go wytrwałością usiłował pokonać. Na granicach Litwy, przyległych chrześciańskim krajom, spotkawszy uciekającego przed Świętosławem zakonnika, zamieniłem z nim odzienie za habit i wziąłem imię Eliasza. Odtąd coraz więcej miałem słuchacza i pochwalić się mogę, gdziem się tylko zjawił, wszędzie mię pobożne otaczały tłumy: a chociaż już dosyć nawróciłem pogan, czuję, jak mało jeszcze zrobiłem.

— Jakiż twój dalszy jest zamiar? — zapytał król.

— Prowadzę z sobą tę rzeszę do włości moich nad Niemen: Mam zamiar klasztor tam budować i resztę życia z towarzyszami zakonnej ciszy poświęcić; proszę cię zatem, miłościwy panie! racz ten mój zamysł łaską swoją potwierdzić.

— Bardzo dobrze, mój miły — odpowiedział król — ale powiedz mi, co zrobimy z Heleną?

— Ja o niej wiedzieć już nie chcę.

— To być nie może — odezwał się Habdank — ja nie dam ubliżenie czynić mej córce. Nim rycerz Dowojna zamknie się w swoich murach klasztornych, zechce mi zdać sprawę orężem z zawiedzionych naszych nadziei, a jeśli wiek mój nie podoła jego dzielności, mam licznych przyjaciół i krewnych, którzy mnie wyręczą we wzięciu na nim zemsty.

— Ja waszmości usługi moje poświęcam — odezwał się Stogniew.

— My na to nigdy nie pozwolim — rzekł jeden ze stronników Dowojny — żeby osoba ojca Eliasza na szwank wystawiona była.

— Ojciec Eliasz — rzekł drugi — dość z siebie czyni, kiedy tę dziewicę wolnością daruje. Ona była jego niewolnicą.

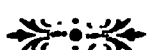
— Już on mi ją wtenczas darował wolnością — odpowiedział Habdank — kiedy ją odwiózł do domu mojego. Wtenczas, jako wolnej, prosił o rękę i jam ją mu przyrzekł.

— Przyrzeczenia te były tajne i niewiadome nikomu — odezwał się inny — a jako prawem nieupoważnione, ustąpić muszą przed powołaniem zakonnem, na którem wzrost wiary zależy.

Dowojna ze spuszczonemi oczyma słuchał tych sporów; Helena pomieszana nie śmiała odezwać się; król, chociaż ucieszony tym wypadkiem, starał się jednak zachować surową postawę i pewnieby dał prędzej kreskę za życzeniem Habdanka, niż przeciwników jego; ale słusznie w tych początkach zawiązku wiary lękając się ubliżyć jej prawom, a nadewszystko, widząc liczny zbiór stronników Dowojny, którzy stawali przy jego obronie, nie śmiał wznieść głosu: lecz królowa, ująwszy się za stroną Heleny, prosiła arcybiskupa Bodzanty, aby tę okoliczność podług praw duchownych rozstrzygnął. Wszedł roztropny prałat w ścisłe rozpoznanie rzeczy, a gdy się przekonał, że Dowojna ślubów zakonnych nie złożył i prócz habitu nie ma innej oznaki poświęcenia swego, naprzód go, na każdy przypadek, zobowiązał do zakładu i uposażenia klasztoru, który przyrzekł dla pobożnej rzeszy wystawić: potem, dla wypróbowania jego ducha, radził mu i zalecał, żeby pozostał przez czas niejaki na dworze królewskim i do prac nawracania był pomocą.

Taki rzeczy obrót postawił nadzieje Heleny na lepszej drodze; musiała jednak różne wytrzymać przymówki dworzan, nim się oswoiła ze swym stanem: udawała niedbałość i w samotności tylko lub w towarzystwie ojca szukała pociechy. Dowojna na większe jeszcze uwagi i spostrzeżenia był wystawiony; lecz nadto siebie pewny, żeby mógł raz jeszcze wpaść w sidła znanej sobie dobrze z dziwactwa niewiasty, ile tylko razy obok Heleny znajdował się, śmiałe i spokojne zawsze okazywał czoło. Ale pomału życie dworskie, otoczone tylu przyjemnościami, częste przyczyny światowych rozrywek, nieznacznie osłabiając w nim ducha, wzniecać naprzód zaczęły chęć do rycerskiego rzemiosła. Widok tylu dzielnych mężów na dworze, opowiadania ich spraw wojennych, któremi świeżo imiona swe naznaczyli, i niekiedy gorzkie bezczynności przymówki, osłabiać jego przedsięwzięcia zaczęły. Naprzód tedy włosy zapuścił: Helena najpierwsza z radością dostrzegła ten znak jego ze światem przymierza: a lubo jej nadzieję każdy dzień powiększał, umiała jednak dobrze obojętną udawać. Ale na cóż przedłużać próżne usiłowania obrony ojca Eliasza, kiedy go już nic uratować nie może! Oto nie wyszedł miesiąc jego na dworze pobytu, gdy niespodzianie dnia jednego dał się widzieć w ubiorze rycerskiego człowieka, i pełen najsłodszych wspomnień i tych ran, które Helena leczyła, tej miłości, której czuć dla niej nie przestał, oświadczył Habdankowi chęć jej zaślubienia.

Nie trzeba mówić, z jak wielką radością przyjął tę nowinę szczęśliwy ojciec: doniósł o tem zaraz królowi, który nie puszczając rzeczy w odwłokę, kazał ogłosić bliskie narzeczonej pary wesele.



IV. Fryderyk hr. Skarbek.

1. Pan Starosta. (1826).

Pan Starosta, zacny chwalca dawnych czasów, trochę gorączka, wielka powaga w powiecie, poznawszy na polowaniu Augusta, swego sąsiada, polubił go bardzo, ułożył sobie ożenić go z córką siostry swojej kasztelanowej i zapisać mu swój majątek. August jednak nie myśli o kasztelance, która go zresztą nie chce, i prosi Starostę o oświadczenie go córce bogatych dorobkiewiczów, Agacie Drobnickiej. Ale gdy ta ze wzgardą odrzuciła prośbę dzierżawcy, plany Starosty zdają się bliskie urzeczywistnienia: August podobał się Waleryi a Walerya jemu; kasztelanowa wszelako, chcąc się wprawdzie ratować z długów, ale nie chcąc dać córki dzierżawcy, wymyśla skuteczny środek: oświadcza Augustowi, że jest zmuszona przyjąć go za zięcia i że od niego zależy zadać jej ten przymus lub go jej oszczędzić. Szlachetny młodzian usuwa się, idzie na wojnę, wraca z krzyżem, lecz bez ręki. Kasztelanowa uznała, iż inwalid i szef batalionu może być zięciem przyzwoitym, i oddała rękę kochającej stale Waleryi. — Przytaczamy rozdział, w którym autor przedstawia rozchwianie się planów Starosty.

ROZDZIAŁ IV.

Pan Drobnicki i jego familia.

Opuśćmy na chwilę Starostę, który mało zważał na przekąsy kasztelanowej i z jej mowy to tylko wniósł rozsądnie, że jeszcze nie nadszedł czas, w którymby skryte swoje zamysły mógł komukolwiek wyjawić: pożegnajmy samą kasztelanową z córką, która po tysiącu oświadczeń i uściskań wyjechała nazajutrz z domu najukochańszego brata, ciesząc się, gdy tylko wsiadła do karety, że się z tych nudów wydobyła; zamilczmy na czas niejaki o poruczniku, który nie mając co śledzić i donosić, do dawnej wrócił nieczynności: a pójdźmy za Augustem, który w dni kilka po bytności swojej u Starosty nawiedził dom swego dziedzica, pana Drobnickiego.

Nie było jegomości w domu; jejmość, jako skrzętna gospodyni, zajęta była właśnie robieniem półgęsek, na których się w wielkiej części jej sława gospodarska opierała, a panna Agata siedziała w oknie i przy angielskiej gitarze śpiewała ulubioną pieśń:

Czarny kolor naszym miastom
Daje modę i ozdobę.

Wtem trzasnął z bicza furman Augusta, pienista piątka stanęła przed zamkniętemi wrotami. — „O dla Boga, goście jadą, mamo!“ zawołała panna Agata i korzystała z krótkiej chwili zajazdu, aby położyć gitarę, skoczyć przed lustro, poprawić włosy i po nowszą chustkę pobiegnąć do komody. — „A zobaczże, kto taki“, zawołała

z nieukontentowaniem mamula, „i proś go do bawialnego pokoju“. — Wykonała rozkaz córka, jak to mówią, zażenowała się nieco, gdy postrzegła, iż jako panna na wydaniu sama kawalera przyjmować miała. Ułożywszy jak można było najlepiej minę, która tem skromniejszą być musiała, że po dość częstych wizytach Augusta, po nowym koczu i piątce, można było mieć jakie podejrzenie o jego zamiarach; wyszła do pierwszego pokoju, zdejmując po drodze rękawiczkę przez szczególny wzgląd dla gościa. Po oświadczeniu, że mama zaraz przyjdzie, po głównym grzeczności dowodzie, to jest: proszę siedzieć, usiadła sama w oknie i milczała. Po krótkiej chwili zapytał August, czy wrócił jej ojciec — „dziś go się spodziewamy“, była krótka i zupełnie poważnie wyrzeczona odpowiedź. Nastąpiła chwila milczenia, którą August przerwał, mówiąc: „Wie pani, że kilka dni temu wiele o pani w pewnem towarzystwie mówiono“. — Zarumieniła się panna Agata i nie wiedziała co z tem zrobić; piękne jej oczy pod czarne schowały się rzęsy, jej twarz miała ten wyraz pomieszania, który żywsze tylko uczucie nadaćby powinno. — „Ale nic złego, broń Boże“, dodał August, „były to dwie damy bardzo znakomite“. — Ucieszyło to pannę Agatę, dlatego podnosząc nieco oczy, rzekła z uśmiechem: Doprawdy? — Mam nawet ukłon dla pani od panny Waleryi, którą z matką widziałem niedawno u pana Starosty. — „Bardzo dziękuję za pamięć pannie kasztelance“.

August, który nie był korzystał dotąd z pozwolenia siedzenia, zbliżył się nieco i usiadł naprzeciw panny Agaty, co podwoiło jej pomieszanie i rumieniec: szczęściem, że przybycie mamy uwolniło ją od niesłychanego mozołu prowadzenia ciągłej rozmowy z kawalerem. Po niejakim czasie kiwnęła na nią mama, która wraz z Augustem miejsce na kanapie zajęła była, i szepnęła do ucha, aby kawę przyporządzić i przynieść kazała. — Uradowana tą sposobnością wyjścia z pokoju, szła mierzonym krokiem, póki na nią gość patrzał, pobiegła zaś z pośpiechem, gdy mu tylko z oczu zeszła, do kobiecego pokoju i rzekła, wpadając wesoło do swojej ulubionej Elżbiety: „A widzisz, że przyjechał, a tyś myślała, że już nie będzie, dlatego, że jejmość ostatnim razem kwaśną była“.

— Tak, rychło wczas, po dwóch tygodniach niebytności. — Wie panna co? ja, tobym mu zaraz fochy robiła.

— Tak, żebym ja to wiedziała z pewnością, że on o mnie myśli, tobym mogła się drożyć, ale teraz to się go boję odstręczyć.

— Ale mi panna wierz, bo mi przecież jego Piotr powiedział dawno, że on od przeszłego roku, jak pannę widział na redutach, zaraz sobie umyślił przenieść się w te strony i umyślnie dla panny wziął Wolę w dzierżawę od jegomości.

— A czy widziałaś jego kocz i konie?

— Widziałam, dopiero je teraz sprawił w Warszawie, to wszystko dla panny.

— Jak ci się zdaje, czy ja mam iść za niego?

— A czemu nie, czy panna ma innego? to przecież chłopiec młody, przystojny wcale, i dobry pan, jak mi Piotr mówił.

— Tak, ale jabym też chciała jeszcze zobaczyć innych, może mi się który więcej spodoba.

— Zapewne, przebieraj panna jak w ulęgałkach, a potem możesz na koszu osiąść i rutkę siać na starość.

— I cóż ja mu powiem, jak mi się oświadczy?

— Juścić nie zaraz chcę ciebie, ale trzeba powiedzieć: „ja nie wiem, jeżeli moja matka... ja od moich rodziców dependuję“ albo coś takiego.

Ta rozmowa byłaby jeszcze wiele ciekawych wiadomości i nauk naszej pannie objawiła, gdyby jej nie był przerwał lokaj, który wpadł do pokoju z doniesieniem, że jegomość przyjechał. Ten odgłos powtórzyła Elżbieta i panna Agata pobiegła do ojca po nowiny i sprawunki warszawskie.

Lecz wchodząc z pośpiechem do pokoju, zapomniała o bytności Augusta i nie spodziewała się bynajmniej, że miała na nowy przedmiot pomieszania natrafić.

Jegomość wracając z Warszawy, spotkał się był na popasie z szambelanicem Gwizdzickim, wdowcem czterdziestoletnim, z którym go dawna przyjaźń wiązała, i przywiózł go z sobą, bądź to dla przyjemności przepędzenia z nim dni kilku, bądź też w odleglejszych widokach, które majątek pana Gwizdzickiego upoważniał. Ten gość otrzymał naturalnie pierwsze miejsce przed Augustem, który jak bądź tak bądź, zawsze był dzierżawcą Drobnickiego, a pan szambelanic dwie wsie czyste posiadał i dwóch miał dzierżawców: a do tego wszystkiego, za zdaniem jejmości, był bardzo mądry i zabawny.

— Czy to godna konsolacya acani dobrodziejki? — rzekł, posuwając się naprzód do pocałowania ręki wchodzącej Agaty — prawdziwie powinszować! — Bardzo mnie cieszy, że mam sposobność zarekomendować się acannie dobrodziejce, jestem szambelanic Gwizdzicki, dobry przyjaciel papy, a uniżony sługa acanny dobrodziejki.

Agata trzy razy dyksa zrobiła i kilkakrotnie raz po raz upiekła raka, na ten strzelisty akt afektów szambelanica, odetchnęła zaś, gdy jej rękę, którą w ciągu komplementów trzymał, wypuścił z swych dłoni.

— Czemże się dzieje — rzekł dalej szambelanic do Drobnickiego — że ja będąc już kilka razy w tym domu, nie miałem nigdy sposobności widzenia damy? Czy to wygórowana zazdrość rodzicielska?

— Moja córka była trzy lata na pensyi w Warszawie — ozwała się z tryumfującą miną pani Drobnicka i z uśmiechem zupełnego ucieszenia spojrzała na niego.

— Trzy lata! to za wiele — rzekł Gwizdzicki, — ja sądzę, że panna w jednym roku wszystkiego nauczyć się może i te madamy tylko próżno pieniądze z rodziców wyłudzają pod tym i owym pozorem nauki, a to wszystko niepotrzebne.

— Trzy lata zawiele? — odpowiedział z podziwieniem August — a jabym prędzej rozumiał, że za mało.

Na te słowa skrzywiła się jejmość, a pan Drobnicki jako me-

dyator rzekł: w sam raz, ni za wiele, ni za mało, dowodem tego nasza córka.

— Jegomość dobrodziej — rzekł Gwizdzicki, mówiąc do Augusta — zapewne należy do tych, coby chcieli, żeby i kobiety wszystkiego się uczyły i za mądre uchodziły. Błąd wielki, szkodliwy obyczajom i gospodarstwom naszym, przyczyna główna rozwodów. Ja to utrzymuję zawsze, i tak jest w samej istocie, a ja przecież mam doświadczenie, ja nietylko w książkach rozumu szukałem.

— Ja nie należę do żadnych takich, którzy własne uprzedzenie za prawdy nieodzowne wydają.

— Ale, mój mości dobrodzieju, pan jesteś młody i daj się nauczyć; ja to wszystko wiem bardzo dobrze, cobyś mi pan miał odpowiedzieć; ale bo to nie tak łatwo, jak się zdaje. Pan zapewne rozumiesz, że kobietom potrzebna jest naprzykład historya — uprzedzenie, to tylko napełnia głowę liczbami i imionami i więcej nic, a jak się kobieta stanie matką, to koniecznie chce, aby jej syn lub córka nosiła nazwisko jakiego bohatera lub bohaterki. Ja przeszedłem przez to wszystko, to ja wiem najlepiej, jak to głowę mąci.

— Może być, że historya na głowach osobliwie uorganizowanych ten skutek robi, nie zaprzeczam.

— Oto co ja lubię w kobiecie, to talenta piękne: muzykę, taniec, a tego, to się w kilka miesięcy nauczy. Panna Agata zapewne gra na jakim instrumencie? Czyliżby pani nie była tak łaskawa?

Mamula powstała do zawstydzonej Agaty, aby ją zachęcić do okazania swego talentu, mówiąc: „Moja córka śpiewa tylko przy gitarze, ma nie wielki głosek, ale bardzo przyjemny. No, Agasiu, zaśpiewaj moją ulubioną aryę“.

Posłuszna córka wstała i poszła do drugiego pokoju po gitarę, aby przy niej świat srogi, świat przewrotny przepiszczeć; a August zniecierpliwiony, korzystał z tej pauzy i pożegnawszy się z zimnymi nadzwyczaj rodzicami i z Agatą, odjechał do domu.

Pełen jeszcze nieprzyjemnych wrażeń, które w domu Drobnickiego odebrał, zasiadł do stolika i następujący list do przyjaciela swego w stolicy napisał:

„Chciałeś, kochany Karolu, abym ci doniósł, jaki będzie dalszy skutek moich zamiarów, które ty dziwacznymi nazywasz. Czynię zadość twemu życzeniu, i w jakiej chwili do tego? wtedy właśnie, kiedy mię moja piękność i jej rodzice i ich przyjaciel jakiś najserdeczniej znudzili. Tem lepiej, bo teraz właśnie nie będę uprzedzonym; nie jestem w tej chwili ani uniesiony powabem, ani upojony pięknemi nadziejami, ale raczej czczy w sercu, tak jak najgłodniejszy człowiek w żołądku. — Wracam dopiero od Drobnickich, moja Agata zawsze taż sama, śliczna, ale... jakżeż to powiedzieć? nie masz dość grzecznego wyrazu w języku naszym dla oznaczenia tego niedostatku czucia, tej nicości umysłowej, która żyjącą istotę gorzej jak w posąg zamienia. A do tego wszystkiego wystaw sobie przemądrego jakiegoś przyjaciela domu, takiego, co to wszystkie rozumy z mlekiem wyssał, a niedorzecznością cały oddycha, który ją wy-

chwala, psuje jej w głowie i utrzymuje, iż zanadto jest mądrą, że zbyt długo, bo trzy lata, na pensyi była! Byłbym go za drzwi wypchnął albo mu usta zalepił, gdyby można było; taki człowiek więcej złego w jednym kwadransie narobił, jak ja dobrego przez kilka tygodni dokazać mogę. — Teraz dopiero zaczynam uznawać trudność mego przedsięwzięcia: ale nie chcę jeszcze porzucać mej myśli, jest ona tak piękną, tak zachwycającą dla mnie, że mi się trudno z nią rozstać".

„Agata jest tym pięknym utworem, tą Galateą, której tylko na iskrze czucia zbywa, aby się w przedmiot ubóstwienia mego zamieniła. Poznawszy to piękne dziecię natury, postanowiłem być nowym Pigmalionem, ożywić tę martwą postawę, wpoić w ten czczy umysł uczucie pięknego i dobrego, wychować ją poniekąd na nowo i przysposobić sobie najwyższe szczęście, kształcąc jej serce na takie, jakiego dla mnie potrzeba. Ale ten zamiar jest trudny do wypełnienia; praca mozolna i niepewnego skutku: trzeba mi naprzód wzbudzić w niej uczucie miłości, ujarzmić poniekąd jej ufność, na nowo zacząć jej nauki, a tu do tego wszystkiego zjawia się oryginał jakiś, który ją chwali, który dowodzi, że kobieta powinna być głupia, i w jednej chwili wszystkie moje zamiary niweczy".

„Ale przecież tego długo nie będzie, uzbroję się w cierpliwość, wrócę do Agaty pracować nad naprawieniem tego, co mój wróg popsuł, i doniosę ci wiernie, jak mi się powiedzie".

2. Królestwo Polskie. (1860—1866).

Z dzieła tego, przedstawiającego dzieje Królestwa od roku 1815 do 1864, podajemy opowiadanie o zaprowadzeniu nowej formy rządu w r. 1815.

Rząd tymczasowy, przy samem zajęciu Księstwa Warszawskiego zaprowadzony, ogłosił w czerwcu uwiadomienie do obywateli: że przestaje urzędować i składa władzę swą w ręce namiestników królewskich, to jest: drugiego rządu tymczasowego, którego potrzeba tem mniej się dała usprawiedliwić, że mało czasu upłynąć miało do zaprowadzenia stałego porządku rzeczy, oraz że ustanowienie kilku namiestników nie było przewidziane zasadami konstytucyi, wreszcie, że tymi tymczasowymi namiestnikami były też same osoby, które składały pierwszy rząd tymczasowy. Nastąpiło to wszakże dla okazania, że ustał rząd rosyjski, a nastąpił rząd krajowy; lubo oddanie prezydencyi nad namiestnikami senatorowi Łanskoj, i powołanie Nowosilcowa do składu, a obok tego mianowanie ks. Czartoryskiego wice-prezesem i ks. Lubeckiego członkiem rządu: nie dowodziło bynajmniej szanowania zasady dopiero co ogłoszonej, że urzędy tylko przez krajowców sprawowane być mają. Należało zatem raczej zostawić dawny rząd tymczasowy, niż mianować nowy, złożony z ludzi nie będących obywatelami Księstwa. Organizacyą tego drugiego tymczasowego rządu, wydaną w Wiedniu 8 (20) maja 1815 r. przez cesarza, nadano namiestnikom władzę, odpowiadającą władzy rady ministrów, z postępowaniem kolegialnem, i decyzyą za większością głosów zapadającą, z tą tylko różnicą, że namiestnicy nie kierowali

ministeryami, które osobnym namiestnikom poruczane były. Namiestnicy zdawać mieli raporta wprost cesarzowi i znosić się z W. ks. Konstantym za pośrednictwem presesa swego.

Rząd ten ogłosił 22 czerwca postanowienie oznajmiające, że wszyscy urzędnicy krajowi pozostają przy swoich posadach, póki innego przeznaczenia nie otrzymają; że wszelkie akta urzędowe wydawane będą w imieniu Aleksandra I, cesarza Rosyi, króla polskiego, i że w wykonywaniu swoich obowiązków, rząd trzymać się będzie ściśle zasad konstytucyi.

Dnia 20 czerwca odbył się w katedrze św. Jana obchód uroczysty, na którym po nabożeństwie odczytano zrzeczenie się króla Saskiego, manifest cesarza Aleksandra, i zasady przyszłej konstytucyi Królestwa Polskiego, i w końcu odebrano przysięgę wierności od urzędników i obywateli. Ten obchód nosił znamię manifestacyi pojednania dwóch narodowości, z powodu objawienia ludowi zamiarów cesarza względem Polski. Był to dzień, od którego miał się zacząć nowy porządek rzeczy w kraju, i dlatego nadano mu cechę wielkiej uroczystości narodowej.

Podczas odbywania tego solennego nabożeństwa w katedrze, zawieszono na zamku, na ratuszu i na pałacu Krasińskich nowy herb Królestwa, nad którym w tem ostatniem miejscu powiewała chorągiew z kolorami narodowymi.

Z kościoła udały się władze do W. ks. Konstantego pod Wolę, gdzie wojsko polskie składało przed nim przysięgę wierności i gdzie po złożonej przysiędze oznajmił on mu, że bataliony i szwadrony jego wzorowe wyniesione zostały do stopnia gwardyi królewskiej. Następnie w zamku był obiad na 200 osób; po ulicach zaś igrzyska dla ludu i bezpłatne częstowanie go, wieczorem takież widowiska w teatrach i oświecenie miasta. Nadto ułaskawienie wielu winowajców, których do objawienia im tej łaski z więzień do kościoła sprowadzono, oraz ogłoszona oddzielnie amnestya dla zbiegów wojskowych, którzy się sami stawią. Na ostatek batalion gwardyi cesarsko-rosyjskiej w koszarach swoich, jazda tejże gwardyi w Mokotowie i artylerya rosyjska w Młocinach wyprawiły uczty dla odpowiednich oddziałów wojska polskiego, które następnie wyprawiły podobneż uczty dla oddziałów gwardyi rosyjskiej.

Obecni w stolicy senatorowie, wyżsi duchowni i urzędnicy zebrali się u prezesa senatu i postanowili wysłać do cesarza Aleksandra, wówczas w Paryżu będącego, z doniesieniem o wykonaniu przysięgi wierności przez mieszkańców kraju, deputacyę złożoną z ordynata Zamojskiego od senatu, księdza Wojniłowicza od duchowieństwa, Antoniego Ostrowskiego i Jana Tarnowskiego od stanu rycerskiego, Antoniego Zawadzkiego i Henryka Stekarta od stanu miejskiego, a księcia Sułkowskiego od wojska.

Deputacyę tę przyjął cesarz w dniu 30 sierpnia w pałacu Elisée Bourbon, ubrany będąc w mundur jenerała polskiego. Przy stosownem przemówieniu prezesa, złożyła ona na ręce monarchy medal, wybity na uwiecznienie pamiątki wskrzeszenia Królestwa Polskiego,

który zawierał z jednej strony popiersie cesarskie — a z drugiej napis: *Unus nobis restituit rem*[1]). Na mowę Zamojskiego odpowiedział cesarz w języku francuskim, jak następuje: „Jestem żywo wzruszony uczuciami, które mi naród polski przez pośrednictwo wasze oświadcza. Panowie! zapewnijcie go w mojem imieniu, że się względem niego jedną powoduję myślą, to jest: powrócenie mu jego narodowości. Przez połączenie narodu polskiego z drugim narodem jednakowego pochodzenia słowiańskiego, ustalam jego dobry byt i spokojność. Szczęście waszego narodu będzie dla mnie najwyższą nagrodą“.

W miesiącu listopadzie 1815 r. przybył cesarz Aleksander do kraju pierwszy raz jako król polski. Obywatele ziemscy urządzili między sobą gwardyę narodową, która miała od stacyi do stacyi towarzyszyć królowi w jego przejeździe od granicy kraju do Warszawy; lecz ta posługa tylko na pierwszej stacyi dopełnioną została. Cesarz nie chciał nią trudzić obywateli po całej drodze w powiatach konno zebranych. W każdem mieście były bramy tryumfalne, a na granicy każdego powiatu władze i obywatele witali okrzykami radości monarchę; to też wśród ciągłych owacyj przybył on uradowany tem przyjęciem do stolicy w dniu 19 listopada i odbył wjazd uroczysty konno w towarzystwie W. księcia Konstantego i świetnego sztabu w stroju jenerała polskiego. Przeprowadzono go rogatką Mokotowską, tą samą drogą, którą przed kilku laty król saski wjeżdżał, którą wojsko zwycięskie z kampanii austryackiej wracało. W tem samem miejscu, gdzie wówczas na przyjęcie tegoż wojska stała brama tryumfalna, wznosiła się i teraz podobna brama, przy której władze cesarzowi hołdy składały. Stąd przyjechawszy konno pomiędzy szeregami wojska polskiego po ulicach uszykowanymi, tłumami ludu witającymi go okrzykami radości, udał się na Plac Saski, a następnie po odbytej paradzie wojska obu narodów, do zamku, gdzie go władze rządowe przyjmowały. — Po tem pierwszem powitaniu udały się te władze do fary na *Te Deum*, a wkońcu dostojniejsi na pokoje zamkowe, gdzie im monarcha dał posłuchanie, prezesa zaś senatu, Ostrowskiego, oddzielnie przyjął w gabinecie. Przez cały czas pobytu swego w Warszawie, ujmował i zadziwiał Aleksander wszystkich łaskawością i uprzejmością; skutkiem czego i przewyższył postępowaniem swem to, co o jego dobroci mówiono. Sama powierzchowność monarchy, jego obejście się z każdym, co do niego przystępował, miały coś tak ujmującego, iż można było powiedzieć, że samą osobistością swoją podbijał serca. Jakoż okazało się po wyjeździe jego, że w krótkim czasie tyle potrafił wzbudzić skłonności ku sobie, iż czasowo stłumił wpływ, jaki niedowierzanie i tradycyjna nieprzyjaźń na Polakach wywierały.

Po wyjeździe cesarskim w dniu 3 grudnia dowiedziano się, że nie Czartoryski, ale Zajączek mianowany został namiestnikiem królewskim, co wpływowi W. ks. Konstantego przypisać należy. W dniu 24 grudnia, będącym rocznicą urodzin cesarskich, nastąpiło uroczyste

---

[1]) On jeden przywrócił nam ojczyznę.

zaprowadzenie konstytucyi Królestwa Polskiego, zupełnie zgodnej z zasadami poprzednio ogłoszonemi.

Wyższe władze krajowe zebrały się w izbie senatorskiej. Tak zwani namiestnicy, składający rząd tymczasowy, stanęli wraz z urzędnikami dworu przy tronie królewskim, prezes kazał odczytać dekret królewski, nakazujący ogłoszenie konstytucyi, a książę Czartoryski przemówił do zgromadzonych, wynurzając wewnętrzną duszy pociechę, że najgorętsze życzenia cesarza i jego własne spełnione zostały; poczem minister spraw wewnętrznych, Sobolewski, odczytał konstytucyą. Przy wymienieniu w artykule 108, że książęta krwi zasiadają w senacie, wszyscy senatorowie powstali i skłonili się W. ks. Konstantemu, ktróry ruszył się z miejsca i zasiadł zaraz krzesło senatorskie, po prawej stronie tronu przed biskupem. Po skończonem czytaniu konstytucyi, zbliżył się prezes senatu do prezesa rządu tymczasowego, odebrał od niego tę ustawę i przy stosownem przemówieniu poruczył dwom senatorom, aby ją złożyli do akt metryki koronnej. Następnie przeczytał sekretarz rządu tymczasowego nominacyę jenerała Zajączka na namiestnika, a minister skarbu łącznie z ministrem stanu zaprosili go, aby przystąpił do tronu i złożył przed rządem tymczasowym przysięgę wierności królowi i konstytucyi.

V. Joachim Lelewel.

1. Jakim ma być historyk. (1818).

Umysłowe władze swoje kształcący ród unosi się w zacnych uczuciach swoich do poznania jestestwa, które mu dało początek, bada Stwórcę świata, cześć Mu oddaje. Do towarzyskiego związku na kuli ziemskiej osadzony, dręczy się w rozpoznaniu natury i ustanowień węzłów społeczeństw, usiłuje swe związki wydoskonalić. Stąd najznamienitsze i najważniejsze do uwag historycznych sprawy religijne i polityczne wymagają posiadania przez historyka nader wielu wiadomości i nauk. Statystyczny skład stowarzyszeń i stan polityczny, poznawany w każdym wydziale dziejów ludzkich, najgłówniejszem zawsze staje się dziejopisa zatrudnieniem i wymaga porządnego tym końcem usposobienia.

Ważną jest przeto rzeczą: zgruntować naturę społeczeństw, stan ich polityczny, ich ekonomikę, zdolność i działalność, żeby na zasadach statystyki i polityki umieć z czystością wystawiać każdego czasu stan rzeczy ludzkich i w każdym razie usposobić się do przeniknienia rozmaitości miejscowych i wiekowych. Historyczne dania w stanie politycznym, religijnym i wszelkim innym ludzkości dają się poznawać ze źródeł, z któremi nie podobna się dokładnie, jak potrzeba, oswoić i obeznać, bez dostatecznej znajomości języka oryginalnego, w którym są pisane. Źródła, żeby z pewnością użyte być

mogły, muszą nosić niezaprzeczonej autentyczności znamię, a historyk ma się wprzód o ich niezawodności i naturze przekonać. Środki zatem, w paleografii, numizmatyce, dyplomatyce, podane, nieznanemi od niego być nie mogą. Są to nauki krytycznej pracy pomocne. Możnaby je liczyć i mnożyć w sposobie odstręczającym; wszakże, w przesadzonem pożądaniu usposobienia dziejopisa, znajdzie on w ćwiczeniach, pożyciu i w naturze swojej wielkie ułatwienia, wspomnione zaś wymaganie po nim świadomości i oswojenia się z istotnemi i głównemi naukami, bez których do prac historycznych przystępu znaleźć przytrudno, nie jest nad siły, jest nawet dla miernych sposobności nietrudne. Wreszcie natura w wielkiej części dziejopisa usposabia i zdolnościami obdarza, a niezmordowana praca i duch badawczy, ze wszelką usilnością w sobie podniecany i natężany — są środki do wynagrodzenia tysiącznych w swojem usposobieniu niedostatków, w swoich zdolnościach braku, są jedne ze znamion dziejopisa.

W miarę zdolności swoich, zasilony nauką i własnem ćwiczeniem swego ducha postrzegawczego, będzie nabywał znajomości człowieka, tak istotnej dla historyka rzeczy. Zajmując się działaniem rodu ludzkiego, ma w nim działanie wspólne pojedynczych ludzi: w społeczeństwach tego rodu patrzy na przymioty, na wady, naturze ludzkiej właściwe. Tak na społeczeństwa zewnętrzne okoliczności swój wpływ wywierają, jak na pojedynczego człowieka; takież stąd skutki na nich, jak na człowieku. Ani podobna zgłębić i z należytą tęgością przejąć się historykowi prawdziwemi sprężynami, które społeczeństwem i ludzkością kierują, bez znajomości człowieka. Prawda, iż to właśnie jest jeden z przymiotów, który się niezmiernie do darów przyrodzenia odwołuje: z tem wszystkiem właśnie dostrzegawcze usilności, wprawa zasiągania obcego, a wytrawnego doświadczenia, może bardzo daleko rozwijać uskąpione od natury łatwości.

Niewyczerpane morze wystawują dzieje ludzkie, w których pomykane prace nigdzie dna ostatecznego dogłębić nie zdołały. Żeby w całej zupełności historyą przetrawić, w porządku wskazanym badań własnych i czerpanych ze źródeł samych, tego wykonać nie podobna. Lecz pewny wydział dziejów, stając się zatrudnieniem badacza i pisarza, wymaga wszystkiej jego pracowitości. Przerazić może nie jednego trud, jaki podejmować wypada. Wszakże przeżyli długie lata niezmordowani znamienici historycy i stali się przykładem dla następców. Doświadczenie nauczyło, że w ogromie rzeczy słabość pamięci, niedostatek tęższych zdolności, pracowitością nadstarczone, ścigały się z talentami. Obdarzony nawet najświetniej od natury, nie ma polegać na siłach pamięci, na zdolności bystrego obejmowania: powinien nie szczędzić pracy, która może zapewniać niechybność. Najzmudniejsze wyciągi, wypisy, rozbiory, porównywania, utworzą mozolnie z ogromu czytania zebrane składy, w badaniach zasilające. Lecz przy pracy i badawczych działaniach historyka ma, szczególniejszym sposobem, prawy i godny charakter trudy i pisma jego zaszczycać.

Stu wieków doświadczenie ludzkie przekonywać będzie, że tam

w całej się świetności i zacności swojej historyka ukazuje, tam powstają w całem znaczeniu dziejopisowie, gdzie niepodległość, a wielkie znaczenie polityczne naród podnosi, gdzie swobody i wolności jak najpowszechniejsze, gdzie dość tęgie cnoty, duch publiczny w swojej trwa mocy. Tam jest gniazdo historyków, bo tam najsnadniej godność i prawość historyczna zasiedlić się może. Lecz nauka, naśladowstwo, filozofia, i cnych uczuć ożywianie, mogą niedostatek wspomnionych warunków zastąpić, kształcić dziejopisów. Dzisiejszy stan Europy wielce do tego ród ludzki usposabia.

W całym blasku swoim w dziejach mając jaśnieć, prawda pragnie widzieć w historykach wyznawców swoich, powołuje ich do wydawania głosu, w spokojności i łagodności, w najszczerszej bezstronności. Jest atoli człowiek igraszką zewnętrz nań działających okoliczności: i historyk uległy im, kierowany swem położeniem, stanem, swemi uczuciami, usposobieniem. Stąd zawołano niebacznie, że wyzuć się ze wszystkiego bezwarunkowie winien: nie mieć ojczyzny, nie mieć religii, przywieść się do zupełnej obojętności, wyzuć ze wzruszeń i ludzkiego uczucia. Ostre te wyrazy wymagają niezmiernego złagodzenia, obwarowania ich charakterem, który historya nosić powinna.

Zbliżająca tożsamości filozofia wprawia niepomału do bezstronności, waży na jednej ważce ludzkie religijne uczucia, waży uczucia przywiązania do ojczyzny, w równowadze wreszcie utrzymuje sprawę stron wszelkich w zawód lub do walki z sobą stających. Lecz niejednostajne wyobrażenia religijne w sercach ludzkich zagnieździły się; narody różnemi skłonnościami odznaczone; strony działające niejednostajnie zacne czynności przedsiębiorą. Historyk wszystko to oddaje we właściwej barwie, a wystawując szczerze, nie zaniecha w słowach swoich podnosić to wszystko, co tylko uzacniać i uszlachetniać czynności ludzkie może.

Kiedy więc ten jest wielki jego obowiązek, ma on sam być przejęty duchem publicznym, od warunków ubocznych niezawisłym, ma się napawać najżywiej uczuciami, które określać mu wypada. Musi czuć dostojność własnej religii, unosić się miłością ojczyzny i narodowości, żeby był mocen oceniać uczucia, z któremi najwięcej jest w dziejach do czynienia. Nie idzie tu, ażeby on, powabnie wystawując rzeczy ludzkie, rozlewał się w rozliczne sentencye, podniecać ludzkość do szlachetnych działań mające, bo jeśli sam będzie innych skłonności, te wśród wywoływań najpiękniejszych swe ślady rozproszą, jego prace skażą. Jest uległa krewkości człecza natura; ale pilną bacznością własne skłonności przenikający, winien jak najmocniej sam się przejąć tem wszystkiem, co ludzkość uzacnia, — do tego wszelkie swe poruszenia, życzenia i usilności, wszelkie trudy zwracać, żeby z najżywszem przekonaniem czuł, że jest tworem dla społeczeństwa żyjącym, żeby złe skłonności w najlepszych czynnościach markotność sprawujące umilkły: wówczas spokojnie wyrażana prawda historyczna będzie napojoną i nasiąkłą tą prawością i godnością, do której się historyk osobiście podniósł. Nie zachwieje nim lube mu uczucie przywiązania do ojczyzny, do politycznego znacze-

nia, do religii, do tych najdostojniejszych w czynnem życiu rodu ludzkiego widoków; nie zachwieje nim to unoszenie się we własnym duchu publicznym, bo tym sposobem obce tegoż rodzaju uczucia szanować może, ani sprawią na nim wrażenia otaczające go okoliczności, któreby ów duch publiczny i zacny względnym i warunkowym uczynić mogły.

Nieplątany w prywatne, ściślejsze związki, może spokojniejszem na wszystkie strony poglądać okiem. Lecz jeżeli familijne związki, jeśli go uwikłały zainteresowania się w obce sprawy, już z położenia takiego podnoszony jego duch publiczny starannie umarzać musi to, coby temu na zawadzie stawało, — gasić w sobie rozmaite uczucia, któremi ujarzmiony i spętany zostaje, a które, tłumione w sobie, albo nie dopuszczą dopiąć zamiaru i zjednają stronie, do której się przywiązał, pobłażanie, albolitež, przemożone, surowość zaostrzą. Przez takie wreszcie uplątanie się w stronnictwo małego interesu, historyk niepewnym się stawa: jak dalece z interesu powzięte skłonności, — jak dalece stanowić jego głosem będą, gdy mu przyjdzie obce, ale naturą swą podobne, przypadki wystawiać. Szczęśliwy historyk, który w małe związki nieusidlony, swymi interesami nie zajęty, do najzacniejszych uczuć społecznych podniesiony, w spokojności wolne słowa, bez przykrego oglądania się, w duchu publicznym głosi.

Całą usilnością zamieniający się historyk w jestestwo najwyższej moralności, cnemi uczuciami doda pięknej barwy historycznym zatrudnieniom swoim, albowiem niemi tylko może do serca ludzkiego przemawiać. Jego więc poruszenia nie będą uwłaczać znamionom historyka, jeżeli własne uniesienia swoje zwróci do pożądanych od historyi uczuć. Obruszą go przedmioty ludzkość poniżające, zadające jej cierpienia, krzywdzące ją; zachwycą go serca wspaniałe czynności, rozczuli go dobroczynny i litościwy uczynek: a to tak, iżby nie same pojedynczych osób drobiazgowe zdarzenia zabawiały, ale najwięcej, społeczeństwa, narody, powszechny rodu ludzkiego interes zajmował. W tak podniesionych uczuciach historyka jego miłość własna, w sprawie powszechnej rozkosz znajdująca, cieszyć się będzie, że wielkości przedmiotu, którym się zajmuje, swemi usilnościami odpowiada i w nich stara się ziomkom i ludzkości być pożytecznym.

Słowem, z natury prac historycznych wypada, że historyk, przy pracowitości niezmordowanej, przy usilnościach ducha postrzegawczego, przy sposobnościach, jakie mu natura udzieliła, powinien się starać o naukowe usposobienia, do filozoficznych działań wprawy nabywać, krytyczne zdolności doskonalić, i dokładać usilności, aby mógł się osobiście poszczycić charakterem tym, jaki sama historya mieć powinna. Takim gdy ma być dzieje ludzkie badający i wystawujący, obowiązki jego i prace powinnyby stawać się najpowszechniejszem i najulubieńszem zatrudnieniem człowieka rozumowie pracującego. Zaprawdę, ciężkie są dziejopisów zawody; prawda, że z liczby niezmiernej pracowników, około dziejów ludzkich chodzących, nader mała wspina się do szczytu: ale ułatwienia, jakie w sobie mniej

więcej każdy znajduje, zajęcie się tak interesownym przedmiotem, jakim jest śledzenie losów ludzkości, powinnoby wabić każdego. Nieotrzymanie najwyższego zaszczytu nie poniży zawodnika: pozostaną mu w wydziale wielkie zasługi, które otrzyma, wcielając się do uzacniających go zatrudnień. Skoro zaś dość szczęśliwym będzie, że zostawi w częściach wytrawne i dojrzałe prace, z chlubą to będzie mógł powtarzać: „I ja też przyczyniłem się do podniesienia historyi, do skierowania ziomków, że otrzymają wawrzyny historyków".

2. Bibliograficznych ksiąg dwoje. (1826).

Jest to obszerne dwutomowe dzieło, poświęcone historyi drukarń i bibliotek. Podaje też wiele cennych zabytków dawnej naszej literatury.

Mówią Francuzi, że być bibliografem jest rzeczą najpiękniejszą i najpoważniejszą. Cóż bowiem człowiekowi więcej satysfakcyi przynosić może nad oswojenie się ze wszystkiemi pracami ludzkiemi? co milszego jak, tocząc swe oko w obszernym ksiąg zbiorze, po szrankach, dzieł szeregach i pisarzy, odświeżać posiadane przez się wiadomości o autorach, o przedmiotach, o dobroci i wartości? Bibliograf, jak polihistor lub encyklopedysta, obowiązany znać wszystkie użyteczne, rzadkie i ciekawe księgi, jednym rzutem oka poznaje i ocenia; biegły w rozpoznaniu druku, znaków, rysunków, składu, papieru — wie, co się w książce znajduje, bo trawi swe życie na ich czytaniu, na ich rozbieraniu, klasowaniu, opisywaniu, na wyszukaniu dzieł wskazanych sobie od uczonych, na przebieganiu bibliotek i gabinetów dla zbogacenia swych wiadomości. Tym sposobem w przyjemnem zajęciu się ubogaca zapas swej nauki. Pisarzy, którzy o nauce książek pisali, nie wypuszcza z ręki, własną znajomością i własnem doświadczeniem ich przetrawia, błędy wytyka, zbija, przyczynia się do prostowania i poprawiania cudzych uchybień, które mu ustawicznie się nawijają. Znawca wszystkich dzieł, w tłumie nowych, przez pisma peryodyczne ogłaszanych, odróżnia te, które w pamięci dłużej trwać mają; które z powodu doskonałości, dobroci, z powodu przepychu, nadzwyczajności, osobliwości zasłużyły na to, aby zostały w bibliotece pomieszczone. Posiadacz skarbów zeszłych wieków snadno wytyka, co wieki późniejsze do dawnych dodają, w czem się wyższymi ukazują. W ciągłej pracy swojej nie śpieszy w miejsca, gdzieby rozkosze i znikome rozrywki znajdywać; stroni owszem od nich, roztargnienia unika, a to dlatego, aby się usposabiał być jak najwięcej towarzyskim. Albowiem zasobny w naukowe skarby, dla każdego przystępny, różnymi językami chętnie rad udziela, o dziełach uwiadamia, czy to ustnie czy na piśmie. Żyje w ciągłym ruchu, szuka i utrzymuje jak najrozleglejsze związki z uczonymi, równie z krajowymi jak z cudzoziemskimi. Wszędzie znajomy.

Tak Francuzi bibliografów trudy wysławiają. Lecz przy takiem rozerwaniu i tak zwieloraczonych przedmiotach bibliograf staje się polihistorem, encyklopedystą, który wie i umie wszystko, a w każdym

razie cierpliwie słuchać musi zarzutów, że wielu rzeczy nieświadom; bibliograf z równą do każdej nauki chęcią snuje się koło każdej, z równąż pilnością, żadnej poszczególe poświęcony być nie może. Stracone są dla nich jego zdolności, jakichby w jednym wydziale wiadomości pożytecznie mógł użyć. Imię jego, choć oznajmione żyjącym, nie zabłyśnie tak okazale, jak szczęśliwych twórców prawd w tylu naukach. Imiona bibliografów obijają się po zaciszach bibliotecznych; tam ich uczone katalogi poszukiwane, a chociaż niekiedy od uczonych w pomoc wezwane, wszelako światu, o naukach wiedzieć chcącemu, nieprzyjemne i nieznane. Stracone są jego dni i godziny życia, zmarnowane trudy na drodze, w której ogrom nie dających się rozpoznać widoków myśl jego uciska albo drobiazgowość i maleńkowatość w ostateczne roztargnienie go wprowadza. Jest to podróżny, obłąkany wśród pustyń piaszczystych, wśród puszcz i kniei lesistych, wśród stepów okiem nieprzejrzanych, wśród nocy na niepewnych ścieżkach zwodliwem światłem uwodzony; pragnie widzieć wszystko, a nie widzi.

Był podróżny, liczący w całej drodze swojej stąpania każdego z osobna czterech koni, co go ciągną, liczący obrót czterech kół, na których się toczy, pnie drzewa, które się przed nim migają, i gałęzie i liście, co go swym szumem otaczają; podróżny, liczący cegły i kamienie w budynkach lub żerdzie w płotach i zagrodach, które w oko mu wpadły; liczący krople deszczu, co drogę przezeń przebytą przemoczyły, liczący te drobnostki, zapominający tylko obrachować czas, na długą drogę i na to liczenie łożony. Patrz na tego podróżnego, a będziesz miał obraz pilnego i w obowiązku swoim niezmordowanego bibliografa, liczącego tomy, kartki, linie, a niekiedy litery, a nie rachującego minut, które mu z wiatrem ulatują. W przestrzeni niezmiernej nie widzi pięknych okolic, zachwycających widoków, nie czuje uroku natury lub sztuki, nie ocenia rozmaitości przedmiotów, bo go najmocniej drobne szczegóły zajmują; w nich zatopiony, marnuje drogi czas. Nikną mu godziny i lata w żmudnem i przesadnem szperaniu w pyle i śmieciach, po przegniłych lub zbutwiałych szpargałach...

Najbieglejsi bibliografowie są podobni do podróżnego, co staje w zachwyceniu zadumany przy wspaniałej, sobie nieznanej kaskadzie. Wielki to obraz poruszonej natury! Wydziera się woda z pośród skał, w różnym kierunku spotyka się i tłucze, w szybkim biegu ze wzrokiem podróżnego pragnie iść na wyścigi, zachwycić i zatopić wzrok jego w bezdenności przez siebie wybitej. Lecz podróżny zapatrzył się i cały zajął widokiem migających się bulek, tą bańką, która w tysiącznem poruszeniu ustawnie się odradza i rozpryska, która w tysiącznym wymiarze potrąca się i pieni, a drży, samym szumem kaskady wstrząśnięta. Przerażający jest łoskot szumu, lecz i na to stał się podróżny głuchym, bo mniema, że słyszy owych wodnych purchelów pryskot i pękanie; mniema, że słuchem schwyci tej pieni szelest, jak wzrokiem jej migot. Tej wietrznej piany, aby jej znikome bąble policzyć, aby ich kolory opisać, wyście mnie,

księgi bibliograficzne, wyzwały, gdym was pisać zaczął; wyście mnie z mych zagród w ten bibliograficzny odmęt pogrążyły.

Nie same wodniste bąble są celem bibliograficznych trudów; niemniej zajmują dzieje i historya nauk, piśmiennictwa, rozumu ludzkiego, kultury i postępu zdolności ludzkiej. To jest posada, na której opierają się mikrologiczne[1]) bibliografów prace; to jest wielkie światło, które z wysokości przez najeżone tytułami katalogi przedziera się do myślącej głowy, podobnie jak promienie słoneczne w ciemnych kniejach przez gęstwinę gałęzi i liści do poziomych, przy pniu drzewa porastających bedłek. Takie światło było rzeczywiście rozpromienione po wszystkich różnoimiennych dziełach... które pod zmiennemi nazwiskami toż samo mówiły, mówiły o pisaniu, pisarzach i pismach...

VI. Maurycy Mochnacki.

O literaturze polskiej w wieku XIX. (1830).

Po teoretycznym wstępie, w którem określa autor literaturę jako samowiedzę narodu, mamy tu charakterystykę walki klasyków z romantykami, rozbiór główniejszych utworów poezyi naszej przed r. 1830 i zestawienie tych utworów z pieśniami Rzymian za cesarza Augusta, nad któremi bezwarunkowo przyznaje im wyższość.

W pierwszych momentach rozjaśniającego się u kas brzasku cywilizacyi, ledwo nie z pierwszemi dniejącej jutrzenki promykami, ujrzeliśmy płody dowcipu francuskich pisarzy w zaszczycie wziętości u postronnych, i największym blasku chwały. Był to wiek panowania literatury francuskiej w całej Europie. I nasze olśnęły źrenice na widok tej świetnej, prędkiej, okazałej kultury. Na tych wówczas jeszcze nigdy dostatecznie nie wysławionych wzorach, jak u nas tak wszędzie indziej, i w Niemczech, i w Anglii, i we Włoszech, znamienitsze kształciły się talenta. Z potrzeby nie z przejrzenia, w niedostatku własnych, chwyciliśmy cudze opinie o sztuce i piękności, nie czyniąc braku nie odróżniając prawdziwych od omylnych, nie zapuszczając się w roztrząsanie tego, co przypadało do miary, a co mniej było zgodne, a nawet sprzeczne z duchem ojczystych ustaw i obyczajów, z charakterem, sposobem myślenia i czucia mieszkańców tej ziemi, z ogólną ich dziejów cechą, wreszcie z fizyonomią przeszłości i nadziejami, jakie daleka przyszłość w swem łonie tuliła. Nie przestrzegające rozsądnej krytyki upominanie, ale chęć podobania się współczesnym to błyskotkami dowcipu, to niestatkiem, którym lada wiatr mody władał, pisarzy naszych wiodły do zamierzonego kresu we wszelkich przedsięwzięciach Apollinowych[2]). Dla nich poezya była rozrywką i swobodnem po trudach wytchnieniem. Na umajonych kwieciem dolinach, około źródeł Hipokreny[3]) wesoło bujali, pląsali;

---

[1]) drobiazgowe. [2]) artystycznych. [3]) źródło natchnień u starożytnych.

lecz z samego zdrojowiska rzadko kto ważył się zaczerpnąć, a nikt podobno nie przejrzał jego głębi. W tym, jak go nazywają niektórzy, złotym wieku literatury polskiej, poezya u podnóża tronu, łaską możnych i mecenasów względami wzniosła się. Dworskim przeto jaśnieje blaskiem! Zdobi ją polor i okrasa, znamionuje dowcip i tok bardzo kunsztowny. Usilność ówczesna obrócona była na udoskonalenie mechanizmu wiersza i przyczynienie świetności zewnętrznemu kolorytowi. Wyższości w tym względzie poświęcono nieraz istotniejsze rzeczy. Na ostatek, czyliż śmielszych, szlachetniejszych uniesień nie tłumił wpływ współczesnych filozofów francuskich? Ceniąc czasy i ludzi, ogólną dążność ściśle rozważyć potrzeba. I poezya ma swoją filozofią. Lecz z grubych materyałów empiryzmu, sensualizmu i sceptycyzmu ani podobna było wykroić szaty, potrzebnej do robót sztukmistrza-poety. Wiek Stanisława Augusta był wiekiem krasomówstwa w poezyi opisowej; wiekiem satyr, bajek, epigramatów. Była wierszomania. Było modą ulotne pisać rymy. I na przedpodwojowem, przedpokojowem rymotwórstwie nie zbywało... Zaiste nie mogliśmy nie uledz rozszerzonemu w całej Europie wpływowi języka, filozofii i literatury francuskiej. Żądaniem, z tylu miar przechodzącem ówczesną możność, okazywalibyśmy tylko nieżyczliwe uprzedzenie ku tym prawdziwym założycielom i rozmnożycielom oświecenia w Polsce. Brodziński dobrze mówi: „byłoby to jedno co naśmiewać się z ojca, który zubożony, jako mógł, dorabiał się majątku, aby przynajmniej synów wychował!“ — Wyrazy prawdziwego krytyka — obywatela!

Poetycką literaturę polską owego czasu przyrównałem do brzmienia głosu, któremu jeszcze słowa brakuje. A ten głos, ten dźwięk szklany i harmonijny, pieszczony i mocny, jako czysty strumień płynący, małyż to dar? Czyliż go nam napróżno przekazano? — Że się wyrażę pożyczonem wysłowieniem od pewnego filozofa niemieckiego: literatura taka było to koło dosyć misternie zakreślone. Lecz zważmy pilnie: w to koło jeszcze duch nie wstąpił, wywoływany od guślarzy, co go na mylną rotę zakląwszy, z tamtego świata sprowadzić mniemali.

Taki był *status quo* polskiego Parnasu i estetycznej krytyki naszej przed niewielą jeszcze laty! Za naszej zjawili się pamięci długo oczekiwani nowi pisarze, prawdziwi poeci, pełni talentu i daru wieszczego ducha. A przodek przed nimi trzymał letni starzec, wyniosły mąż osiemnastego wieku, nad którym górował wyższością i mocą swego geniuszu, — sędziwy pobożny mówca, natchniony poeta *Sybilli* i *Lechiady*, — poeta żałoby narodowej. A obok niego w równej mierze stanął drugi starzec! Ten w grobowce sławnych ziomków swoich wszczepia gałązki cyprysowe i żadnego niemasz obrzędu pogrzebowego, gdzie wszyscy płaczą, któregoby za dni naszych nie święcił swoją wymową. Reprezentant powszechnego wszystkich żalu pisał dla dzieci i dla starszych *Śpiewy historyczne.* On wykształcił dumę polską. Nakoniec Kazimierz Brodziński wziął pióro do ręki; zaczął mądrze, głęboko rozmyślać o poezyi: i ujrzeliśmy pierwszego krytyka, pierwszego estetyka w Polsce! Wszczęła się

potem waśń; jedni na drugich ostre miotali słowa. Skądże ten rozterk? — Oto, że wedle wyrazów mędrca: chromy jako jeleń poskoczył i rozwiązał się język niemych. Zaczęto ściślej ważyć zasługę literacką, talent, poezyą. Rzecz nie mała tych rozpraw była przedmiotem. Sektarstwo podzieliło umysły. Rozchwiała się dawna nauka. Stare zdanie upadło. Pojrzeliśmy za siebie na wiek upłyniony i ku dalszym jeszcze czasom. Kiedy jedno przymierzamy z drugiem, nie było zgody w literaturze między przeszłością daleką, poetycką, rycerską podbijającej Polski, a tym wiekiem upłynionym Stanisława Augusta, gdy się już rzeczy znacznie miały do upadku. Jedno z drugiem nie rymowało. Mieliśmy boleść na sercu. Raziły przeciwieństwa jasne jak na dłoni. W literaturze poetyckiej naśladowanej, którą bez pomiarkowania chwalono, którą dzisiaj nawet niezłomny wielu zaciętych w zdaniu swojem upór wysadza za wzór niedościgły doskonałości, poloru i wdzięku, zniknęła stara Polska. To główna wszystkich niesnasek przyczyna! Pogasły były stare tradycye, pocichły wieści i powiastki tak potrzebne każdemu ludowi i każdemu wielkiemu poecie, wielkiemu sztukmistrzowi. Rozstroił się, ba nawet roztrzaskał na kawałki stary dźwięczny ów bardon, którym niegdyś chwalono Boga w kościele i walecznych w boju. Zdał się niby ladajakim sprzętem nowatorom. Zaszły także rdzą dawne pamiątki; a tymczasem nić kłębka dziejów, ledwie do połowy wyciągniona, co chwila to zrywała się, to gmatwała; wreszcie i wątku nie stało. Wszystko się jak ze szwu rozpruło! Dopiero przetarłszy oczy, w sam czas jeszcze przyszliśmy do siebie. Dopiero w myśl nam wpadło, że może przez długi czas w nie swojem poczuwaliśmy się jestestwie, tuląc do łona i piastując jakby umarłe w pieluchach dziecię umarłej imaginacyi. Zapał owionął głowy. Młodzi pisarze pochwycili gęśl minionych wieków. Przezwano ich romantykami, bo nieznane piosnki nucili o kozakach, rusałkach, dziadach i strachach; a Jan Śniadecki, bieglejszy zapewne matematyk i astronom, niżeli krytyk, wołał, jakby to wszystko było wymysłem osowiałej metafizyki niemieckiej.

Tak samo prawie lekarz doświadczony, okazale biegły w swej sztuce chorego za rękę bierze! Puls bije mocno, bije często, bije coraz mocniej i coraz częściej: oczywista gorączka. Idzie więc, siada, pisze receptę na ochłodę krwi wzburzonej. Lecz to nie pomaga. Niemoc głowę i myśl opanowała. Chory ma drżenie w sercu i boleść na duszy. Trzeba innego lekarstwa i lekarza!

Waśnią estetyczną, piśmiennem, krytycznem sektarstwem oznajmiliśmy, po długiem *far niente*, chęć wyrażenia ducha twórczego, łamiącego się z uprzedzeniem i przeciwnością; chęć objawienia naszych własnych wyobrażeń, pojęć. W Niemczech wyciągniono z filozofii ogólną, metafizyczną teoryę piękności. Krytyka, wsparta na tej teoryi, wszystko w odmiennem ukazała świetle. Ta chwila na zawsze będzie pamiętna w dziejach europejskiej poetyckiej literatury. Były to początki estetycznej emancypacyi zpod przymusu francuskich, cudzych pojęć. W to ugodził Kazimierz Brodziński rozprawami, pisa-

nemi ozdobnie, a z wielkiem, jak podówczas wypadało, umiarkowaniem, żeby nikogo nowością nie zrazić. On pierwszy, — jak powiedział Michał Grabowski — zrobił w literaturze polskiej krok stanowczy, krok olbrzymi; bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury. Pierwszy przeczuł poezyą narodową i we własnym ją sercu wynalazł. Chcieliśmy mieć swoją imaginacyę, swój rozsądek estetyczny, swoje uczucie i własne fantastyckie zmyślenie. W tem istotna przyczyna, w tem główna podnieta sporu, który przyjaciół poezyi i sztuki, pożywających dotąd jej owoce w zgodzie i dobrem porozumieniu, na dwa rozerwał stronnictwa. Cobądź na podstawie historycznej nie jest założone, własną niemocą, prędzej czy póżniej upaść musi, bo niema gruntu pod sobą. Poetycka literatura Stanisława Augusta (niechaj jako kto chce, wywyższa dowcip; talent wielu ówczesnych pisarzy) nie była ugruntowana na tej podstawie. Obcy zasiew wybujał; ale kłosy czcze były po większej części, a ziarno nie ważne, lekkie; reszta to w łodygę, to w nać się rozrosła. Następni tej niwy uprawiacze, tej samej szkoły uczniowie, chwalcy tych samych przykładów, coraz dalej doskonaląc, z początkiem dzisiejszego wieku wierszopiski mechanizm, ulepszając naśladownictwo, coraz większego nieurodzaju, coraz biedniejszego zbioru czynili nadzieję. Nie polska, nie z zapadłych czasów rycerskich, ni z czasów szlacheckiego gminowładztwa, ale obca jakaś postać, zemdlała, omdlewająca, nie męska w tem ich rymotwórstwie ukazała się.

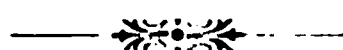
Czegóż chcieli romantycy na ziemi Bolesława Chrobrego? Ojczystej poezyi, związku z dawniejszą Polską i rozumem starego czasu; nie mieli tego u siebie za rzecz dobrą i piękną, że wiarę poczciwych ojców cieśniły w literaturze poetyckiej swawolne pieśni, jakby całopalenia, ze czcią tylko bożków marmurowego politeizmu, nie przypadającego do miary z cywilizacyą i duchem chrześciańskiej Europy. Chcieli oni większej zapewne z wspomnieniami zgody, mniemając, że groby i rumowiska do życia należą i jakoby samo zniszczenie było tylko atomem, jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazyą gminu, dlatego, że w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy i szczeroty. Oni to chcieli obraz malarski roztrąconego jestestwa w źwierciadlanem pokazać przeźroczu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą jak płomień, wzniecił rozpalił. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminął czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych nóg kobiecych i misternie trefionych kędziorów. Do górniejszego wznieśli się lotu! Ten gdzieindziej zmierzał. Do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów i piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich ręku, zabrzmiała! Żałosne i tęskne ich pienie, nakształt dumań samotnika, co po długiej niebytności, z burzy świata, z rozdartem sercem wraca do domu, nieznany, ledwie postrzeżony, choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go jednak nie rozumie.

Czegóż chcieli polscy klasycy? Oni tej całej nie pojmowali

zagadki. Mniemając, jakoby nie czas jeszcze było myśleć po swojemu, i wszystko rozumieć swojem pojęciem, przestrzegali delikatności, zalecali poprawność smaku. Po wielekroć śmiali się z złych wierszów i złej prozy niewyćwiczonego talentu. Chwalili, co było godniejsze nagany, a ganili, co ze wszech miar na pochwałę zasługiwało.

Ale jak pierwsi, tak drudzy — zacni ludzie; ja przynajmniej i jednych i drugich poważam, cenię. Nic nie szkodzi, że w tej materyi nie było i nie masz zgody, kiedy w tylu innych rzeczach jedno chcieć i myśleć możemy. Mniejsza wreszcie o gołe nazwiska, których rzetelne znaczenie gdzieindziej w tem piśmie roztrząsnę. Dość, że przez czas niejaki za hasło dwom przeciwnym służyły stronnictwom, których dysputy, czy potocznej czy piśmiennej, zdaniem mojem, nikt osławiać nie powinien. W całym toku tej sprawy nic nie było nagannego, nie dopiero zdrożnego. Że się przeto rozchwiała, jak mgła przemija, reputacya niektórych gładkich rymotwórców, nie wielka szkoda. Z innej strony cieszyć się powinniśmy z tych pierwszych zatargów w rzeczach gustu, z tego estetycznego u nas sektarstwa; bo kiedy publiczność do takich rozrywek starań przykłada, już to samo oznacza niemały postęp kultury. Jak w religii, tak i w literaturze pożyteczniejsze jest gorliwe, uporne nawet przy swojem obstawanie, od owej na wszystko obojętności, która, jeśli z obyczajów zmazanych jakową skazą nie pochodzi, najczęściej bywa znakiem umysłowej niemocy. Wspomnijmy sobie, że przed niewielą laty nikt prawie u nas o literaturze nie pisał; a rzadko kto niósł jej wspomożenie choćby gruntownem tylko o jej wielkich i licznych potrzebach rozmyślaniem. Tę sprawę przezorności krytyków i filozofów ślepemu niemal zlecono trafowi; dzisiaj stała się ona sprawą narodu, rzeczą wszystkich chęci i wszystkich usiłowań, rozmów. Zważmy także, że entuzyazm w popieraniu wszelkich opinij, nie gwoli osobistej korzyści i pożytkowi prywatnemu, zawsze okazuje poczciwe serce i myśl wspaniałą.

Zaiste, daleko lepiej rządzić się wątpliwem zdaniem w tej mierze, choćby nawet omylne było, jak żadnego nie mieć! Nasuwa się tu uwadze mojej przepis ateńskiego ustawodawcy, skazujący na grzywnę tych mieszkańców rzeczypospolitej, którzy w rozterkach domowych do żadnego stronnictwa należeć nie chcieli. Prawdziwej harmonii tak potrzebna zgoda, jak waśń i rozstrojenie. Światła polemika pożytecznie służy piśmiennictwu.



VII. Michał Wiszniewski.

Historya literatury ploskiej (1840—1845).

Z dzieła, na wielką skalę zamierzonego, opracował autor 7 tomów, doprowadziwszy swe opowiadanie do początków wieku XVII, ale i to nie we wszystkich działach, gdyż brak tu obrazu biografii, wymowy, teologii, filozofii, nauk prawnych, przyrodniczych i medycznych. Z notat autora o tych właśnie dzia-

łach ułożono spis bibliograficzny w tomie VIII i IX; wreszcie dodano skorowidz abecadłowy do całego dzieła w tomie X, wydanym r. 1857. Ustęp tu przytoczony jest początkiem rozdziału, przedstawiającego „historyą nowej poezyi polskiej od pierwszych jej w XVI wieku zawiązków“.

Poezyą, wymowę i historyą dlatego wyłącznie nazwaną literaturą, iż w nich dusza ludzka najmocniej ze słowem się łączy; że w tych dziełach geniuszu ludzkiego, jako w zwierciadle, wszystkie odrębne własności każdego narodu najmocniej się odbijają i wiernie malują. Matematyka, fizyka, chemia, są nauki kosmopolityczne; Francuz, Niemiec i Polak jednakowo o nich piszą. Nie masz matematyki i chemii narodowej; ale poezya, wymowa, historya, a nawet filozofia i prawo, noszą na sobie właściwą każdemu narodowi cechę.

Lecz ze wszystkich poezya, będąca przelaniem prawdy w postać piękności, płynąca ze źródła najgłębiej w duszy ludzkiej się kryjącego, jest najprawdziwszą własnością narodu, cząstką jego duszy, zwierciadłem, oznaką życia i żrenicą oka. W poezyi narodowej, jak w oku, poznajemy, czyli serce jest wesołe lub zdjęte żałością i smutkiem; w jej historyi losy narodu poznawać możemy; upadek poezyi jest najpewniejszą oznaką, iż siły duchowe narodu słabieć poczynają. Poeta wyrzeka to w słowach mocnych, czego naród ma dopiero niewyraźne przeczucie; myślom, które jeszcze stoją na progu duszy, jeszcze się wiedzą nie stały, ciało dotykalne nadaje. Jest on arfą eolską, przez którą głos narodu przechodząc, w pięknych rozwija się melodyach, i najgłębiej drzemiące w sercu uczucia obudza.

Będę więc teraz mówił o rozmaitych losach poezyi, w której dusza ludzka swoją przyrodzoną piękność, swoje pokrewieństwo z bóstwem najwybitniej objawia; zaprowadzę czytelnika w społeczeństwo ludzi natchnionych i podniosłego serca, mających zawsze otwarte do niebios wejście, w wyższych sferach duchowego świata żyjących; opowiem dzieje tej literatury, która w dziełach swoich zamyka wszystko, co naród posiada z najświętszych uczuć serca, ideałów szczęścia, co było dla niego żyjącem źródłem natchnień i boleści, co go niegdyś zajmowało i wzruszało najmocniej.

Dziecko, w którem zmysły są mocniejsze od władz rozumu, lubi opowiadać, co widziało lub widzi, jest to wiek Homera; młodzian pragnie wywnętrzyć się, oddać słowy uczucia, które w duszy jego się narodziły; to wiek Anakreonta; człowiek dojrzały, łącząc w sobie te dwie skłonności i odpowiadające im przymioty, lubi własne uczucia kłaść w usta drugich, patrzyć na losy, charakter, przymioty i wady ludzi, w postępkach się malujące; wtedy nastaje wiek Sofoklesa.

Poezya każdego narodu przez takie trzy wieki przechodzi: najprzód powstaje epoka opowiadania, czyli epos i dydaktyczna poezya, które w dzieciństwie literatury zastępują historyą i filozofią. Potem idzie epoka liryki, w której poeta opiewa pochwały Boga i bohaterów, uczucia podziwienia i miłości ku Bogu i wszystkiemu, co go na ziemi najwięcej przypomina; maluje głębokie i najżywsze uczucia serca, zapał religijny, miłość ojczyzny, poświęcenie się, miłość i nienawiść, boleść i radość, uniesienia rozkoszy, a niekiedy lekkie, wesołe, z wia-

trem przelatujące uczucia serca. Atoli z postępem światła, po wynalezieniu pisma, po zjawieniu się historyi, kiedy uczucie ustępuje rozumowaniu, wiara zamienia się na wiedzę; te rodzaje poezyi już mniej zajmują i mniej do ukształcenia ludzi są potrzebne. Odtąd poezya, nie tak ściśle z życiem duchowem ludzi związana, staje się zabawką, traci wziętość i powagę, i dopiero w kształcie dramatu nowe rozpoczyna życie.

A jako uczucia młodzieńca bywają żywsze, gwałtowniejsze, dla których dusza ludzka bardziej w siebie się zwija; podobnie poezya w młodości narodu objawia się w narodowym epos, który jest osobistą jego poezyą, i w pieśni, która jest poezyą człowieka; dopiero w dojrzalszym wieku narodu, gdy okrąg jej rozszerzy się, objawia się w postaci dramatu.

Jest jeszcze czwarty stan usposobienia umysłów względnie do poezyi, kiedy wiedza przemaga nad wiarą, rozumowanie nad uczuciem i imaginacyą, kiedy już wszystko w duszach wygorzało, ostygło, ścięło się i oziębło; wtenczas ludzie już nie biorą, jak dotąd, poezyi za narzędzie podniesienia się do wyższych uczuć, lecz unoszą się tylko i rozprawiają nad dziełem poety; jest to wiek krytyki poetycznej, do której ani w wieku Zygmuntów, ani za Stanisława Augusta, ani do chwili obecnej jeszcześmy szczęściem nie przyszli. Każdy wolałby jednego poetę, jak stu najlepszych Arystarchów, owych ludzi, którzy nic nie robiąc, wiedzą jednakże najlepiej, jak co zrobić należało. Krytyka poetyczna (jak gramatyka dla języka, jak retoryka dla mówcy, jak logika dla filozofa) jest całkiem dla poety niepożyteczną; krytyk bowiem z wierszokletу nie zrobi poety, a poecie prawdziwemu na cóż się przydał? Pod ostrzem krytyka ginie urok, życie poetyczne wymyka się i ulatuje; bo poeta nie tworzy rozumując, jak krytykom się zdaje; w jego duszy nie rozum, ale wiara przemaga. Jak powstaje poezya w duszy, tego widzieć rozumem nie możemy, jak nie widzimy, jak zioła rosną, jak nie możemy dopatrzyć, kiedy i jak kwiat się rozwinął, choć w niego długo wlepialiśmy oczy. Poeta, co własne płody rozumnie rozbiera, tak nieprzyjemne sprawia wrażenie, jak botanik, kiedy zerwawszy niemiłosiernie kwiat najśliczniejszy, z zimną krwią obrywa nadobne listki jego z korony, rachuje pręciki, i ostrym nożem nasiennik rozcina.

Gdzie się mnóstwo krytyków poezyi zjawiło, tam można być pewnym, że już poezya zagasła; ci więc, co krytyki estetycznej wyglądają i pragną, „nie wiedzą, co czynią“. Krytycy albowiam zbiegają się chciwie do kraju zagasłej już poezyi, jak kruki na padło, a do jej wzrostu przyczynić się nie mogą. Krytycy, estetycy nie poprzedzają poetów, ale jak cień za nimi się wloką. U Greków poetyka (teorya poezyi, estetyka) zawsze była o jeden stopień niższą od dzieł poetycznych, jak o tem łatwo przekonać się możemy, porównywając ich literaturę epiczną, liryczną i dramatyczną z poetyką Arystotelesa. Poezya tam tylko kwitnie, gdzie ludzie nie rozbierają płodów poetyckich, nie mędrkują nad nimi, ale się w górę z poetą

unoszą i wzlatują, i w duszy swej uniesienia jego powtarzać lubią i mogą.

Przez jakie koleje poezya przechodziła, co na nią wpływało w historyi jej dowiedzieć się można; historya więc tej gałęzi literatury, na której obok wonnych kwiatów dojrzałe rosną owoce, może być przyjemną razem i pożyteczną.

Lecz poezya, nawet wśród najbardziej sprzyjających okoliczności, nie płynie pasmem nieprzerwanem, nie podnosi się i nie wzrasta z czasem, jak inne gałęzie literatury, lub nauki przyrodzone; nie ma chronologicznej ciągłości, czasami tylko i to niespodzianie. zjawia się, jak błyskawica wśród nocy ciemnej zabłyśnie, poświeci czas jakiś, roztoczy szeroko łunę i znowu przebrzmi i ucichnie, a nikt przewidzieć nie może, kiedy się z powodzi czasu na nowo wynurzy.

Zobaczmy teraz, jakie było usposobienie duchowe Polaków ówczesnych do poezyi, i wśród jakich okoliczności poezya polska szesnastego i połowy siedemnastego wieku rozwijać się mogła.

Polacy w wiekach przedchrześciańskich mieli równie piękny i obfity wątek do epopei, jak Grecy przed Homerem. Owe wędrówki z południa ku północy, Światowid z całym orszakiem bożków i bogiń, owe gonitwy Lecha, podania o Popielu, Krakusie i Wandzie, których słaby tylko odgłos do późniejszych dochował się czasów, musiały żyć w pieśniach religijnych i świeckich, które przebrzmiały, zamarły w ustach ludu przedwcześnie, nie doczekawszy się polskiego Homera, któryby je był do poetycznego ideału podniósł, a nadając im więcej szlachetności, nie dał zaginąć. Tymczasem religia chrześciańska, szerząca się z dwóch stron w środku leżącej Polsce, przerwała tę kulturę rodzimą, niosąc narodowi w nagrodę wyższe ukształcenie moralne i nadzieje nieba sięgające.

Poezya więc polska szesnastego wieku nie była dalszem rozwijaniem się poezyi rodzimej, słowiańsko polskiej, ale nową całkiem poezyą, pod cieniem chrystyanizmu i przemagającym literatury starożytnej wpływem zrodzoną. Poezya bowiem z czasów słowiańskich, której ślady na poprzednich wskazałem był kartach, wraz z bałwochwalstwem upadła, i cienistego drzewa religii pozbawiona, już od pięciu wieków rozwijać się była przestała; szczątki jej tylko przechowały się jeszcze między ludem przez ustne podanie, ale już na nową szesnastego wieku poezyą żadnego niemal nie miała wpływu. Takim sposobem upłynął dla poezyi polskiej wiek, w którym epos kwitnąć może. Wszakże jeszcze w wieku szesnastym (a nawet osiemnastym, jeszcze za naszej pamięci, jak „Soplica“ dowodzi), jakieś ślady rodzimego epos postrzegać się dają; szlachta polska z natury ognista, z wyprawy na Turków, z pogini za Tatarami, z polowania na niedźwiedzie i wilki, łosie i żubry, biegła na hałaśne sejmiki, trybunały i sejmy, objeżdżała kuligiem sąsiadów, biesiadowała chętnie. Wśród nader żywego i barwistego życia, niemało było takich, którzy mieli szczęśliwy dar opowiadania. W tych nieujętych nigdy pismem powieściach, z chwilowego płynących natchnienia, gdzie zmyślenie bujnej imaginacyi dziwnie plotło się z rzeczywistością, a opowiadacz

był poetą, sam o tem nie wiedząc, w takich tylko powieściach objawiały się kształty rodzimego epos.

Tymczasem przez akademią krakowską, odbierane we Włoszech, Francyi i Niemczech wychowanie, ukształceni Polacy tak się oswoili z językiem łacińskim, iż nawet wszyzcy rymować w tym języku poczęli; ile w szesnastym wieku na to zmarnowano najpiękniejszych sił i zdolności poetycznych, już w przeszłym widzieliśmy tomie. Z tych żyjący w pierwszej połowie szesnastego wieku, tylko po łacinie rymowali, jak Krzycki, Janicki, Dantiscus; atoli od Reja z Nagłowic, który nie umiejąc dobrze po łacinie, ojczystym tylko rymował językiem, wszyscy poeci obok łacińskich i polskie wiersze składać poczęli, częstokroć równie dobre; mianowicie Jan Kochanowski, Klonowicz i Szymonowicz. Atoli i na tej nowej poezyi polskiej zostały mocne ślady kształcenia się na poetach starożytnych Greków i Rzymian: bo najprzód poezya polska, przyjąwszy kształty starożytnej, przekroczyła wiek dziecinny, odrazu przyszła do dojrzałości, podniosła się, ominąwszy epos, zaraz pochwyciwszy za lirę, do czego naród w wieku szesnastym największe miał usposobienie, odłamała się od swego korzenia, to jest podań narodowych; a wpadłszy w obce koło wyobrażeń i uczuć, w świat pogański (podobnie jak filozofowie scholastyczni w okręgu arabsko-arystotelickiej filozofii) uwiązłszy w mitologii, z tego żelaznego koła, jakby zaczarowana, rzadko wylecieć mogła.

Poeci albowiem polscy przyswoili sobie byli wyobrażenia i podania rozwiniętej przez greckich poetów mitologii, i tak byli do tego nawykli, iż nawet dzika jej mieszanina z wyobrażeniami chrześciańskiemi wcale ich nie raziła. W opisie Podróży do Szwecyi przez Andrzeja Zbylitowskiego, Zygmunt III skołatany nawałnicą morską, stawia ołtarze Neptunowi; gdy wiatr na Wiśle komięgami miotał, przestraszona królowa modli się do bogiń: Wisły i Wandy. Ks. Gałczyński, „prałat cnót pełen wielkich“, wypływając do Szwecyi, czynił ofiary Neptunowi i Eolowi. O sobie zaś poeta powiada:

A ja siedząc u masztu, błagałem wierszami
Ślicznego Palemona i z jego Nimphami...

Otwinowski Przemiany Owidyusza poleca, jako księgę „która własną jest pochodnią, która oświeca ciemne kąty niepojętnej w wierszach, bądź rymach zakrytej mądrości, i którą ona z cienia na światło wywodzi“.

Ta więc nowa poezya kwitła tylko między wyuczonymi literatury greckiej i rzymskiej, a ile nie mająca korzeni w gruncie ojczystym, wystawiona na wszystkie odmienności i burze zachodniej Europy, długo ostać się nie mogła. Jakoż od połowy szesnastego wieku spory, które wszystkich jak pożar jakiś ogarnęły, podcięły skrzydełka imaginacyi poetów polskich i zmroziły w nich wszelki zapał, potłumiły natchnienie. W pierwszej połowie szesnastego wieku jeszcze wielu (jako to Cikliński, naśladowca Plauta, nieznajomi tłómacze Terencyusza i Jan Kochanowski) pisało wierszem miarowym;

w drugiej i tego zaniechano. Poezya coraz niżej upadać i pełzać po ziemi poczynała; po Janie Kochanowskim już prawdziwego poety nie było. Prócz tego, sejmy elekcyjne, frymarki koroną, upadek ducha publicznego, gdy szlachta zapatrując się na możniejszych, ubiegała się za prywatą i w środkach nie przebierać uczyła; wreszcie przy coraz nowo wynurzajacych się sektach religijnych, zachwianie się w wierze, znalezione w literaturze rzymskiej przykłady urodziły i rozwinęły owego ducha satyrycznego, który się we wszystkiej polskiej poezyi szesnastego wieku, a mianowicie od jego połowy coraz mocniej przebija. Najlepsi poeci jak: Rej z Nagłowic, Klonowicz, Miaskowski, Grochowski, a nawet Jan Kochanowski, pisali satyry. Poeci więc polscy szesnastego wieku jeszcze byli nie wyśpiewali wszystkich uczuć, które w nich wiek tak pełen przygód i życia mógł wzniecić, gdy nowe nastawały czasy.

Bajki o zaklętych, w ziemi tkwiących skarbach, krążą najwięcej między ludem leniwym, w okolicy ubogiej; podobnie sielanki, opiewające swobodę złotych wieków, zjawiają się w literaturze w chwilach powszechnego zwątpienia i unudzenia. Ta ckliwa dla czerstwej duszy poezya jest ciężkiem zaskarżeniem przeciw pokoleniu, w którem kwitnęła; jest pewną oznaką, że tam coś w społeczeństwie zwichnęło się; że geniuszowi poezyi jakiś upiór przyłamał złośliwie skrzydła, aby już wysoko i daleko podlecieć nie mógł; wtenczas spłoszona imaginacya chroni się pod wiejską strzechę, w ustronia samotne, i usiadłszy nad przezroczystym strumykiem, marzy o niewinnem wśród natury, trzody i miłostek życiu. Takie właśnie w Polsce zbiegły się były okoliczności przy końcu tej epoki, kiedy znużeni satyrami poeci, rzucili się do sielanek. Najpiękniejsza więc epoka Zygmuntowska na sielanko-pisarzach: Szymonowiczu, Zimorowiczu i Gawińskim skończyła się, i inaczej skończyć się nie mogła; bo, jak nas uczy historya poezyi rzymskiej (która polskiej za Zygmuntów służyła za wzór i modłę), poezya, która nie miała młodości czyli epos, która cisnąwszy zawcześnie lirą o ziemię, do satyr i sielanek porwała się; nie mogła się odrodzić i odmłodnieć w dramacie, jak to w historyi dramaturgii polskiej niżej zobaczymy.

W przyrodzonym biegu rzeczy ludzkich naród zwykle ma pierwej poezyą niż prozę, która bywa późnym owocem wykształconego już i dojrzałego rozumu. Dlatego mamy tak wiele narodowych poezyj, ale wiele narodów długie przeżyło wieki i upadło, nigdy nie doszedłszy do prozy. Literatura, mająca dojrzałych i dobrych prozaików, dowodzi, iż naród ujrzał już i przybył szczęśliwie na granicę, prozę od poezyi oddzielającą. Ale w naszej poezyi wieku Zygmuntowskiego, zwichniętej zaraz na początku z prawego toru, mamy osobliwsze widowisko, jakiego w innych literaturach widzieć nie zdarza się; u nas bowiem nie przestano wierszować, choć proza przyszła już do dojrzałości. To przeciągnione w wiek dojrzały dzieciństwo umysłu było skutkiem owego cofania się w oświeceniu, które się już w drugiej połowie szesnastego wieku zaczęło. Poznawali to spółcześni Witkowski (*Złota wolność* 1606 r.) powiada:

„Siła nas takich, co rytmik piszemy,
Lecz wiersza mądrze nigdy nie stawiemy;
My rymołowcy, tamto poetowie,
Znać ich po mowie“.

Zimorowicz w jednej z swoich sielanek, tak na tych nienatchnionych poetów narzeka:

„Pełna niedoszłych nasza poetów ojczyzna,
Że miary zawierszona niema już polszczyzna;
Lada partacz wyrwie się z pospolitych ludzi,
To wiersze niepoczesne natychmiast paskudzi.
Przedtym rzadki kto Muzy jak świętości ruszył,
Tylko kogo swym duchem Cynthius[1]) napuszył:
Teraz lada kto z niemi swata się poprostu;
Jeszcze nie umie kozie zawiązać i chwostu,
A już słowom ogony zwięzuje na rzeczy“...

Albowiem za Zygmunta III wszystkich opanował szał rymowania, wszyscy i o wszystkiem wiersze pisali. Nie przykład Reja z Nagłowic, ale wrodzona w nas skłonność do poezyi, zachęciła do rymowania, nawet ludzi, poetycznej iskierki w sobie nie mających; stąd poszło, iż tajemnice wiary, lekarstwa na choroby, żywoty królów, krwawe wojny i pobożne rozmyślania wierszem opisując, najlichszemi ramotami literaturę zarzucać poczęto. Przy końcu więc tego okresu, gdy nie stało poetów, namnożyło się mnóstwo wierszopisów, wierszokletów i wierszorobów, którzy poezyi nawet od historyi odróżnić nie umiejąc, łatwość wierszowanie brali za natchnienie.

VIII. Józef Ignacy Kraszewski.

1. Raj i piekło. (1834).

a) Dwa domy.

W roku 1629 w Wilnie, na ulicy Niemieckiej, idąc od ratusza ku Wileńskiej Bramie, z prawej strony, stały obok siebie dwie kamienice wielkie, piękne dwie kamienice z pozoru. Jedna wyższa i świeższa z wierzchu bliżej ratusza, druga za nią czarniejsza i brudniejsza, ale równej prawie z pierwszą wielkości.

Pierwszą z nich lud prosty nazywał „Rajem“, drugą obok „Piekłem“. Te nazwiska nie były nadane bez przyczyny, bo zaraz w bramę wszedłszy, znać było różnicę Piekła od Raju.

Wszedłszy do Raju, widać było dziedziniec piaskiem wysypany, wschody na dwie strony czyste, okna szyb całe, wymyte, drzwi niepogruchotane, bruk wymieciony. Cicho było. Czasem który z mieszkańców przechodził spokojnie, modląc się, lub kobieta śpiesząc do

[1]) Apollo, opiekun poezyi i sztuk pięknych.

roboty. Pięknych kilkoro dzieci bawiło się w pogodną porę piaskiem na dziedzińcu, w klatkach zawieszonych u galeryi świergotały ptaszki, dalej za domem był sadek z zieloną murawą, z drzewami i altaną. Panem Raju był karaim.

W Piekle inaczej było. Wchodząc, dawał się spostrzegać dziedziniec szeroki, brudny, śmiecisty; rynny sączące wiecznie pomyje; rynsztoki zapchane wyrzucanemi obrzynkami jarzyn i kości. Kilkoro psów wyło, siedząc nad rynsztokiem, drugie tyle skomlało u drzwi mieszkań. Gwar, krzyk, stukanie drzwiami, dzień i noc nie ustawały. Miauczały koty, warczały psy, krzyczały koguty, ryczały dwie krowy chude w obdartej z dachu przybudówce, ale więcej nad to krzyczeli i wrzeszczeli mieszkańcy.

Najgłośniejszym nad wszystkie głosy był głos właścicielki, pani Doroty Janówny, córki kupca, żony próżniaka, która cały dom i męża i dzieci i psy i koty i wszystko, co tylko w obręb jej państwa wchodziło, za nos wodziła niemiłosiernie. Od rana, jak się obudziła, widać ją było w jednym trzewiku przydeptanym, drugą nogą boso, w roztwartej jupce, z roztrząśnionymi włosami, biegającą po galeryach, kłócącą się z mieszkańcami, bijącą zwierzęta i dzieci, swoje i cudze.

Tak upływał czas do południa, a kiedy wszyscy do stołu lub garnka zasiedli, na kilka chwil milczenie panowało. Potem znowu i pani Dorota i jej mąż i dzieci pół tuzina, i szewc z dołu i woźny trybunalski, i psy i koty i krowy i koguty, krzyczeć, wrzeszczeć, ryczeć, wyć, piszczeć, warczeć, jęczeć zaczynały do wieczora.

Wieczorem znowu na chwilę uspokajało się, zapalano światła, mało kto przebiegał po domu i dziedzińcu, prócz latających nietoperzów, szczurów snujących się i kotów i przemykających się kun.

W mieszkaniu pani Doroty słychać było krzątanie się i hałas głuchy, były to przygotowania do uczty i zabaw, które u niej, w świątki i piątki, w posty i popielce bez różnicy, niemal codzień się odbywały. Zaczynały się ze zmrokiem schodzić postrojone, czerwone mieszczki, mieszczanie wąsacze, panowie rajcy, panowie burmistrze i ławnicy z trzech jurydyk, wójtowie i kunsztów szlachetniejszych cechmistrze, panny wileńskie z fosforycznemi oczyma i młodzież gwiżdżąca, tłumno, gwarno, szumnie i wesoło. Jak się tylko wszyscy zeszli, zaczynała się żydowska muzyka, tańce, skoki, hałas, wrzaski.

Znów obudzone psy i koty krzyczały, pijani kłócili się, taczali po schodach, leżeli w rynsztokach, czepiali się ścian i drzwi, krzyczeli, bili się. Było to Piekło.

O tym czasie w Raju, mieszkańcy modlili się i pracowali przed ogniem, kobiety przędły, mężczyźni rozmawiali jedząc, lub kończyli dzień modlitwą, dzieci koło matek stały, rozmawiając z sobą po cichu, lub biegły chować się, szukać i znajdować po kątach.

Właściciel domu, Benjamin, z długą, siwą brodą, zwykle przy wrzasku, dolatującym z Piekła, kończył skromną wieczerzę, opowiadając synowi i młodej synowej swojej, Racheli, własnego życia jednostajne dzieje, tym powagi pełnym, biblijnym stylem Wschodu, który pierwsze wieki świata i prostotę ich wspaniałą przypomina.

Kiedy wybiła siódma na półzegarzu godzina i na ratuszu gaszenie ognia przedzwoniono, sługi zalewały w kominach żar, światła gasły, dzieci kończyły pobożne modlitwy za rodziców, rodzice za dzieci, żona za męża, mąż za żonę, i po pracy spokojnie zasypiali.

Taka była różnica Raju i Piekła; ale nie ta jeszcze przyczyna ich nazwania.

b) Ślepy i jego córka.

Dawniej stu laty przed 1629 rokiem, dwóch ludzi mieszkało w tych dwóch domach, a te domy były drewniane, małe i stykały się oba, tak, jak się potem dwie murowane kamienice zetknęły. W Raju mieszkał starzec osiemdziesiątletni, w Piekle chłopiec, który miał lat dwadzieścia kilka.

Starzec był ślepy, stary, chory i z łóżka już nie wychodził, miał córkę jedną, która go doglądała w jego boleściach, pocieszała go, czytała mu księgi, przez które Bóg obiecał ludziom niebo, miała serce dobre, duszę ognistą, łzę w oku na każdy jęk starca, pomoc na każdą jego boleść, pociechę na żal każdy.

Ostatek dni ojca zgryzionego pamiątkami, które mu życie truły, i niemocą, odbierającą mu wszystkie życia przyjemności, jeszcze się czasem złocił pociechą dobrej córki. W rannej godzinie, kiedy go ból obudził, pierwszy dźwięk, spotykający jego ucho, był głos Maryi, i cały dzień ten tylko jeden aż do późnej snu godziny dźwięczał w jego uszach, jak głos anioła w grobie.

Obok mieszkał młody właściciel domu, nieżonaty, a imię jego było Bruno. Sierota od dzieciństwa, sam siebie prowadził po drodze życia, i to tylko widział dobrem, co mu na chwilę zmysły dobrem pokazywały. Wesoły jak ptak w powietrzu, niedbały o jutro, niepamiętny na wczoraj, z cudzego i swego nie korzystając doświadczenia, za hasło życia wziął był sobie: „co chcę, być musi". Przy nim, koło niego, było zawsze wiele młodzieży. Kości, wino i do dziewcząt umizgi, od rana do nocy były ich zabawą i jedynem zatrudnieniem. Nieraz szczęk rozbitego przez pijaków puharu, szumny odgłos chóralnej pijaków pieśni, przez słabą ścianę dolatywał do łoża konającego tak długo starca. Był to jakby głos świata, śmiejący się szydersko z jego boleści. Nieraz córka, widząc cierpienie, jakie mu ten odgłos sprawiał, płakała lub starała się zagłuszyć go: ale jej srebrny głosek niknął przy tamtych, i starca jęki mieszały się z pieśniami. Bolesna była to sprzeczność wesela i otwartego grobu, jęków i pieśni.

Bruno widział Maryę nieraz i jej oczy zapłakane i pierś wzdętą i różowe niby śmiejące się, bo do śmiechu stworzone, usta. Nieraz całego piekła wzywał na pomoc, aby ją dostać, potem, przy innych zabawach, kobietach, ludziach, zapominał o Maryi. Marya widywała go także, ale go nienawidziła. Ten człowiek wiecznie wesoły, z uśmiechem niezmazanym na ustach, wydawał się jej szatanem. Ona przywykła widzieć cnotę cierpiącą, i jej młode serce inaczej sobie cnoty nie umiało wystawić, jak we łzach, smutną.

Raz na biesiadzie u Bruna, podochoceni towarzysze śmiać się z niego zaczęli, że słabego, ślepego starca córki, żyjąc od niej o ścianę, uwieść nie umie. I tak dobrze wypiekali mu jego tchórzliwość, tak podwyższali cenę jej wdzięków, że Bruno nakoniec zgrzytając zębami ze złości, krwią na twarzy z gniewu oblany, przysiągł im, że ją mieć będzie, ofiarując im zakład.

Był tam na tej biesiadzie, stary jeden szaleniec, którego zwano Czortubaćkiem; ten z uśmiechem przyjął zakład i swoją z muru kamienicę, obok stojącą, ofiarował przeciw drewnianej. Zakład rozbili z szumnym śmiechem towarzysze, a Bruno ich prosił, żeby miesiąc cały niczyja noga nie postała u niego. Ciekawi przyrzekli i dotrzymali. W parę dni, zmieniwszy postać, spuściwszy oczy, przechadzać się zaczął Bruno mimo bramy Maryi, aby ją zobaczyć; do samego nawet domu zaglądał, pod tym lub owym pozorem, a dziewczyna oswojona powoli, przebiegając, spoglądała na niego przyjaźniej, bo go widziała smutniejszym, a serce jej za powinność, za nałóg litość wzięło.

W tydzień, gdy wieczorem ojciec spał, a Marya w bramie siedziała na progu, wróciwszy z kościoła, Bruno znalazł sposób przemówienia do niej. Zaczął jej opowiadać, jak przeszłego swego życia żałuje; wspomniał jej o ojcu, użalał się nad nim, czasem łzy udawał, śmiejąc się w duszy. Marya uwierzyła łzom i mowie i tak się rozeszli.

Potem spotkali się znowu i coraz szczerzej rozmawiać zaczęli. Niewinna dziewczyna opowiedziała mu, co tylko ciężyło jej na sercu, on jej żałował, cieszył ją, i nieznacznie wtrąconem opowiadaniem, ściśnieniem ręki, rzuceniem oka, starał się w niej ogień, coraz głębiej palący mu duszę, zapalić. A ona miała już rok dwudziesty i czuła potrzebę kochania, połączenia swojego losu i serca z kimś drugim, bo do tego mieszała się myśl, że we dwoje lepiej ojcu dopomogą niż ona jedna.

I tak coraz częściej się widywali, coraz poufalej byli z sobą; a Bruno zaczynał powoli przemawiać o losie przyszłym i kochaniu.

Ona milczała, lecz umyśliła pomówić z ojcem. W wieczór, jednego dnia, siedziała u jego łoża. Chory był spokojniejszy, oddychał tylko ciężko, a wkoło cisza była. Po chwili zapytał chory, co się stało z sąsiadem, że taki pokój od niejakiego czasu panuje w tamtym domu?

Ona opowiadać zaczęła, ojciec milczał, powiedziała wszystko, jak się poprawił, jak się widują, nawet szepnęła coś o przywiązaniu, o losie przyszłym, o jego zamiarach. Potem zarumieniła się, wstała, wróciła, dorzuciła jeszcze słów kilka i czekała niespokojna. A ojciec stary milczał długo i coraz ciężej oddychał.

— Słuchaj — odezwał się nareszcie — jesteś cnotliwa, Bóg ci twoją cnotę wynagrodzi. Ten człowiek, to szatan, on nie jest dla ciebie, tyś nadto dobra dla niego, on się nigdy nie poprawi, on tylko pod skórą owczą chciał ciebie uwieść, nie widuj go więcej pod mojem błogosławieństwem, Maryo! Słuchaj mię, jam stary, mijaj,

kiedy przechodzi, uciekaj, kiedy się zbliża. Znałem takich ludzi: zbrodniarz się skruszy, rozpustnik nigdy. Jego skrucha jak błyskawica przychodzi i mija, a za nią piorun idzie! Nie widuj go więcej, Maryo, proszę, zaklinam, pod błogosławieństwem mojem.

Marya słuchała słabego głosu ojca i drżała. Chciała Bruna tłómaczyć, wymawiać przed nim, ale on dodał jeszcze:

— Bóg ci da inne szczęście, ja, konający, ostatek siły zebrałbym jeszcze, żeby cię oderwać od niego, on piekło nosi z sobą, chcesz-że piekła i mego przekleństwa? Maryo! Maryo! nie widuj go więcej!

Zamilkła na te słowa, myśląc tylko, że ojciec stary, znękany, zbolały, źle sądzi o ludziach, i nie znając go, tak mówi, a serce jej biło mocno, i czuła już, że nie mogła go nie widzieć i widzieć nie mogła także, bo błogosławieństwo umierającego ojca zabraniało jej tego na zawsze. Noc na mękach strasznych przeszła, ranek spłynął ze łzami, w dzień oknem go tylko widziała i biło jej serce i ręce drżały. Bruno przechodził często koło okna, miała jednak tyle siły, że ku niemu nie wyszła. Ojciec coraz był słabszy.

Nazajutrz spał pół dnia stary, ona wybiegła na chwilę, mówiąc sobie sto razy, że go nie spotka, że go spotkać nie może, a chcąc jednak mimowoli spotkać się z nim, zobaczyć go.

Szatan czatował i spotkał ją. Chciała uciekać, uchwycił i zatrzymał; chciała mu wszystko powiedzieć, pożegnać, odpędzić i słów nie znalazła. Rozmowa była krótka, żywa, ale ona pierwszy raz im pokazała, że należą do siebie.

W nocy nowe męki przyszły, straszniejsze stokroć od pierwszych, na jawie ojca przekleństwo, we śnie piekło i męki i płacz i rozpacz szarpały jej duszę. Budziła się i myślała:

— Jestem przeklęta za to, żem go widziała, cóż mam do stracenia? Ojciec mię przeklął, mogę go teraz widzieć, kochać, mieć go, wszak więcej nic być nie może nad to, co jest? przekleństwo ojca...

Po tych strasznych słowach, któremi się uspokoić starając, zabiła siebie i wydała sama wyrok swojej zguby. Marya nie unikała już od niego, spotykali się znowu coraz częściej, byli razem, a Marya powtarzała w duszy, dla uśmierzenia wewnętrznych zgryzot:

— Cóż więcej będzie nad to, co jest?

W trzecim tygodniu po zakładzie, często biedny starzec, dręczony boleścią, tarzał się po łóżku, próżno wołając córki. Pół dnia nie było jej w domu. W mieszkaniu Bruna, w jego uścisku przepędzała dni i noce.

Zakład był wygrany, ale Bruno nic jeszcze towarzyszom nie mówił.

Stary ojciec poznał swoje nieszczęście, konał coraz prędzej, przyciśniony wiekiem, chorobą i żalem po córce, i przypomnieniem swego przekleństwa, które wisiało nad jej głową.

Rano jeszcze czasem, obudzona zgryzotami, z objęcia szatana, wyrywa się dziewczyna biedz do ojca ze łzami. Służyła mu chwil kilka, płakała i żałowała swego występku. Ale zaledwie głos zwo-

dziciela dał się słyszeć, szelest jego sukni, chód jego, porzucała ojca i leciała ku niemu, do niego, za nim! A wówczas, kiedy z nim była, jęk konającego ojca, który przebijał ścianę i dźwięczył w jej uszach, nie mógł jej oderwać od niego. Słyszała, jak się tam ojciec męczył sam jeden, przewracał po łożu, wołał jej, płacząc, prosił o kroplę wody na ugaszenie pragnienia, zaklinał, jęczał, słyszała i nie szła. Przeklęta od ojca mimowoli, w objęciu zwodziciela, nie miała serca tylko na jego pieszczoty; uszu, tylko na jego słowa. Kiedy go nie było, płakała rzewnie i gryzła się swoją zbrodnią; kiedy przychodził, jak niewolnica za panem, szła za nim. Głos ojca, jęk, boleści, nic, nic ją nie zwróciło nazad. Oczy jej paliły się, drżały ręce, serce biło, usta gorzały. Przy dźwięku religijnym i grobowym modłów i westchnień przenikających ojca, ona całowała i ściskała zwodziciela, i mówiła sobie:

— Czegóż mam się obawiać więcej? wszystko się już spełniło na mnie, ojciec mnie przeklął!

Kończył się czwarty tydzień po zakładzie. Czortubaćko śmiał się w duchu, a Bruno czekał ostatniego dnia.

Przyszedł ten tydzień.

Tego dnia wieczorem biesiada szumna huczała w jednym domu, a przy Brunie wśród biesiadników, siedziała Marya z uśmiechem na ustach, z kubkiem w ręku, z bezwstydem na czole. Obok przez ścianę konał jej ojciec sam jeden, wołając o kroplę wody przy skonaniu, o córkę, jęczał, wyciągał suche ręce, chwytał powietrze zimne i mroźne niepalonej izby — nikt nie przychodził.

Nie było iskry ognia w domu na przenikające zimno, kropli wody na pragnienie, jednego słówka pociechy na serce. Zrzucał z siebie nakrycia, tarzał się, jęczał, gryzł ręce sobie i spragniony, krew z ran wysysał. Tłukł siwą głową o ścianę, aby ją prędzej rozbić i umrzeć przynajmniej — umrzeć nie mógł. Rozpacz rozdzierała go; nagle powstał z łóżka, na którem od lat dziesięciu leżał; włosy mu się najeżyły; wytężyły nogi i ręce, jakby były z kamienia; ślepe oczy przewrócił strasznie i szedł omackiem do sąsiedniego domu, szedł bliżej, coraz bliżej, słyszał głos córki, pieśni, hałas, — pot lał mu się po ciele, serce biło, wrzało, krew przewracała się po żyłach, głowa pękać się zdawała, a reszta zębów zgrzytała w otwartych ustach. Stanął przede drzwiami, psy Bruna obskoczyły go, padł u progu bezsilny, skoczyły mu na piersi, szarpały twarz, rwały włosy. On konał, słysząc głos Maryi, który szarpał duszę, jak psy wyschłe ciało starca. Otworzyły się drzwi izby na hałas psów, porwał się jeszcze, powstał i wbiegł. Choć ślepy, uczuł jednak kolące go w oczy światło, usłyszał także śmiechy, pieśni, brzęki, potem krzyk długi, i wszystko ustało, głos Maryi nawet. On stał przed biesiadnikami blady jak trup, poszarpany od psów, w rozdartej koszuli, z ślepemi oczyma, z całą powagą skonania i śmierci, z przekleństwem na ustach.

— Przekląłem cię, Maryo! — zawołał — i ciebie przeklinam człowieku, coś mi ją odebrał! Oddaję cię piekłu z nią razem. I ten

dach, pod którym zbrodnia twoja mieszkała z tobą, niech będzie przeklęty! Niech wnuki twoje, niech każdy co tu wejdzie i żyć będzie, zginie! Niech ten dom będzie piekłem! Za moje piekło, Bóg wam nim odpłaci, przeklinam!

Upadł i skonał.

— Cóż mam do stracenia? — wołała Marya, wieszając się na szyi kochanka.

Już nic, nawet cnoty nie miała do stracenia.

Trupa wynieśli i biesiada szła dalej.

Nazajutrz, kiedy trumnę starca wynosili z domu, Marya siedziała w oknie zwieszona na szyi Bruna, śpiewając.

W rok wypędził ją Bruno z domu i umarła wkrótce od wściekłego psa pokąsana. Bruna, konie, gdy szedł pijany, rozbiły na ulicy przed własnym domem.

c) Skutki i koniec.

Odtąd wisiało konającego przekleństwo nad tym domem, a niebo jakby na sprzeczność, stawiało zawsze obok — cnotę, pokój i szczęście. Zabójstwo, kłótnie, rozpusta, mieszkały w Piekle. Próżno zmieniali się mieszkańcy i dom stanął nowy — przekleństwo wisiało.

W roku 1629 mieszkała tam, jakeśmy powiedzieli, pani Dorota Janówna, a obok Karaim Benjamin. Tegoż roku córka szewca na dole udusiła dziecię swoje, żona struła męża na pierwszem piętrze; ojciec zepchnął syna z okna na poddaszu. I kiedy który pogrzeb wychodził z płaczem z Piekła, kiedy stamtąd prowadzili winowajców na ścięcie, umarłych do grobu, do Raju zawsze wówczas widać było idące wesele, lub słychać było śpiew matki nad kolebką dziecka, modlitwę starca do Boga, błogosławieństwo dziada nad wnukami.

Lud omijał Piekło, lecz byli zawsze ludzie, co się tam mieszkać nie lękali, a żaden szczęśliwie nie uszedł. Zbrodnia za zbrodnią, za nieszczęściem nieszczęście w ten dom biegło.

W roku 1748 dnia 11 czerwca o godzinie 9 rano, pożar, który całe miasto, ratusz, kilkanaście zniszczył kościołów i kilkadziesiąt pałaców, spalił Raj i Piekło, ludzie z nich jednak uciekli. W przeciągu roku potrafili go nakryć i mieszkalnym uczynić znowu. Panią podówczas była Joachimowa wdowa[1]). Zły los mieszkańców zdawał się mniej prześladować, kłótnie tylko i swary bezustannie mieszkały jeszcze w Piekle.

Lecz w następnym roku 1749 dnia 8 czerwca okropny pożar, gdy zniszczył miasto, a z Raju wszyscy uciekli i mienie swoje wynieśli, tak, że szkody nie mieli; w Piekle śpiący ludzie pogorzeli razem z majątkami, inni na ulicę wyrwawszy się, strzaskanych murów kawałkami pobici, inni uratowawszy się, ze strachu poumierali, kilku przez resztę życia żebrało w kalectwie, i wdowa sama, pani domu, w budce pod Dominikanami umarła, prosząc jałmużny.

---

[1]) Historyczne

Równo z tym pożarem znikły ślady przekleństwa starca i nazwisko Raju i Piekła. Odtąd żyją tam jak gdzieindziej spokojnie, i ani Raj lepszy od innych domów sąsiednich, ani Piekło jest gorsze.

2. Poeta i świat. (1839).

Gustaw jest sierotą. Dzieciństwu jego brakło czułego serca i miękkiej dłoni matki. Stryj jego był to samolub najobrzydliwszy, któremu imponowała jedynie potęga złota. Stryjeczny brat Gustawa, to miniatura ojca. U stryjenki i siostry znajdował pewną przychylność. W jaskrawo zarysowanem przeciwieństwie ukazują się jego marzenia dziecięce o duszy kwiatów i ich miłości. Wokoło niego serca albo twarde i prozaiczne, albo miękkie i prozaiczne. W dodatku za przekroczenie brata stryj go wypędza z domu. Gustaw wstępuje na uniwersytet; zraża go nauka pedantyczna, dreszczem przejmują materyalistyczne wyobrażenia o duszy i sercu, ucieka z lekcyi anatomii... A potem obudziły się w nim namiętności: ciało wystąpiło do walki z duszą. Marzył o miłości, ale urzeczywistnienie marzeń było nowym zawodem. Pierwsza jego żona, Marya, była to serdecznie kochająca kobieta, ale niestety nie rozumiała go, i rychło znudziła. Gdy Gustaw zaczął pisywać rozpaczliwe listy do drugiego ideału, który go zachwycił tem, że w księgarni bądź co bądź chciał nabyć dzieła Szekspira, Marya z poświęcenia dla męża, obiera klasztor. Gustaw żeni się z Łucyą, lecz prędko przesyca się rozmowami o poezyi z kobietą próżną, spragnioną zabaw; rozstali się. I z resztą ludzi nie może sobie Gustaw poradzić; gniewa go ich samolubstwo i poziomość umysłowa, lekceważy wszystkich, mniemając, że nikt go zrozumieć nie potrafi. Zostawszy przypadkowo bogatym, polubił próżniacze marzycielstwo — ideał romantytów krańcowych. Marzenia dawały mu dni rozkoszy, ale więcej jeszcze cierpień. Niezadowolony z siebie i z otoczenia, szuka zapomnienia w trunkach.

Monomachia[1]) duszy z ciałem.

Włożył Gustaw żałobę[2]) i pojechał na wieś. Z rozerwaniem tego ostatniego związku, uczuł się okropnie sam jeden na świecie, sam jeden, bo nie miał nawet kochanki, a tych, których przyciąga do człowieka złoto, jak bursztyn słomki i drobne wiórki, mógłże liczyć za coś? Muchy do cukru, krucy do ścierwu, podli lgną do bogaczów, żeby żyć nimi. Z tymi towarzystwo i związki nudne i nieznośne — inni — równi Gustawowi, przypadkowe jego wywyższenie widząc złem okiem, stronili od niego. A tak ci, ktorychby on żądał, jego nie chcieli, ci się tylko cisnęli, których odpychał.

Wówczas jak pustelnik zamknął się Gustaw w domu, obsadził książkami i pracował, uczył się, pisał, nie dając spoczynku głowie, aby się próżne serce nie odczwało. Lecz napróżno dusza jego nurzała się w Lecie[3]) nauk, ciało wzywało do świata. Walczył z ciałem, opierał mu się i oparł na chwilę!

Nic ciekawszego pod względem chodu, działań i skutków, nad to wieczne działanie i oddziaływanie ciała i duszy w człowieku. Jest ono najważniejszem dowodem bytności dwoistego pierwiastku w tem stworzeniu, której jednak zaprzeczają!!! Pokazuje stosunek sił ich wzajemnych i czyni często z życia długą i nieznośną walkę. Dusza

---

[1]) pojedynek. [2]) po starej hrabinie, której życie ocalił i która mu znaczny zapisała majątek. [3]) Leta, rzeka zapomnienia.

i ciało, dwa te pierwiastki są sobie przeciwne jak ogień wodzie, a jednak połączone tak ściśle, tak nierozerwane, że jedno z nich na ziemi bez drugiego obejść się nie może. Ziemia, do której należy ciało, potrafi powiedzieć ludziom, co się z ich ziemską dzieje powłoką, kiedy z niej dusza wystąpi; lecz któż powie, co się wówczas dzieje z duszą, kiedy emancypowana wyrywa się z więzów, zwycięska lub spodlona, czysta lub cięższa od kału ziemi, w którym się tarzała.

Każdy jednak, kto wierzy w duszę, musi wierzyć w jej nieśmiertelność. Kiedy ciało jest nieśmiertelne (bo cząstki jego rozbiegają się tylko, z jednego stanu w drugi przechodząc, ale nie giną), dusza zginąćby miała? — To niepodobna!

Fenomena duszy wlanej w ciało, jej walka z tem ciasnem naczyniem, w którem się burzy, z którego się wyrywa, stanowią jeden z najpiękniejszych przedmiotów, postrzeżenia i rozwagi ludzi godnych. W dzieciństwie, duszy niema, ciała nie ma, ciało nierozwinięte, zmysły nie wszystkie w stopniu działalności, w jakim dopiero z laty być mają. — Dzieciństwo, ten szczęśliwy wiek człowieka, dlatego że żadna myśl śmierci nie mieści się w głowie dziecka, dzieciństwo nie ma walki. Jak brat i siostra spoczywają razem ciało i dusza w jednej kolebce, szczęśliwi sobą, nie znając siebie, nie lękając się siebie. — Człowiek, jak Herkules, dopiero pozna niebieskiego Ojca, kiedy pierwszego węża, który jego szyję obwinie, udusi. Dopiero w młodości, kiedy tłumem myśli nowe, uczucia nowe, życie nowe, walą się na człowieka, przychodzi i ta walka, ażeby skutkiem swoim naznaczyć mu dalszą drogę. Jeśli wychowanie nie pokaże w człowieku duszy, a ciało owładnie, nie ma walki, człowiek staje się bydlęciem, brzuch panem, stół ołtarzem, wino ambrozyą, kobieta ładna (tylko taka) celem zabiegów młodości, pieniądz starszego wieku; egoizm staje się religią, a on sam siebie bóstwem. Przeciwnie jeśli dusza mocniejsza, a ciało słabe, jeśli dusza czuje godność swoją, upokorzenie i niewolę, jeśli czuje niewinność, wydziera się z jarzma, zaczyna się walka śmiertelna, a zgody nie będzie nigdy, aż póki jeden z przeciwników nie padnie na twarz przed drugim. Odmalować wszystkie epoki, odmiany, cienie i rysy tego boju, niepodobna. Dusza ma za sobą swoją niebieską wyższość, niebieskie rozkosze, zapały, złudzenia, lecz ciało czyż nie ma nic przeciw temu? O! wiele! Kiedy dusza ulatuje z niego marzeniem za kochanką, kiedy platoniczna miłość zaświta w dziewiczem sercu; ciało stawia na drodze kobiety piękne jak anioły, palące jak ogień, rozkoszne, lecz zozkoszne ciałem tylko, a bez duszy.

Ta walka z początku straszna i niebezpieczna. Lecz te dwie miłości tak się łatwo zlewają, że w końcu walka staje się mało znacząca, jak przejście z platonicznej do materyalnej miłości, zwierzęcej, żyjącej tylko jedną chwilą nasycenia. Powoli zniża się dusza obłąkana i żebrze u ciała o rozkosz, nie patrząc na upokorzenie, bo chce już koniecznie, żąda, pragnie rozkoszy! musi ją mieć i na oślep za nią leci.

Posiada nakoniec, nasyca się i żałuje, że znała tę rozkosz,

bo o ciało rozbijają się złudzenia duszy i miłość idealna, najrozkoszniejsza z miłości tego świata, topnieje i ulata na zawsze.

Straszniejsze daleko są fenomena tej walki w ludziach, którzy mocniej duszę czując w sobie, przeszedłszy już ten pierwszy peryod upokorzenia, nasyceni, podnoszą się duszą i rozumem, i pracy umysłowej oddając życie, chcą nawzajem rozkoszami, jakie ona przynosi, upokorzyć ciało zwycięskie. Nauka wymaga zupełnego zaparcia się ciała i jego rozkoszy, na chrzcie tym, który umysłowie żyć zaczynając, sam sobie daje człowiek, musi się wyrzec innych rozkoszy nad umysłowe, innego szczęścia nad to, które mu dusza poda z siebie samej. Życie pracowite uczonych, poetów, filozofów, postrzegaczy, tych osobliwie, którzy czuć umieją wartość czasu i potrzebę zrealizowania go na uczynki, jest ciągłą taką walką. Młody czy stary, pogrzebiony w księgach wieczór i rano, dniem i nocą, musi się umieć oprzeć pokusom, które raz go schwyciwszy, na wieki oderwałyby od pracy. Wśród natężenia wszystkich fibr mózgowych, wpoprzek strumienia myśli płynących lub odpływających do głowy i z głowy ciało staje, zagradza i utrzymuje bieg. Tu ból, tam świerzb, tam kurcz czuć się daje, głód, pragnienie, gorąco, zimno, wszystko nań z kolei uderza, a kiedy to wszystko odepchnął, nowe pokusy. Dzień pogodny, słońce piękne na zachodzie, wiatr miły i wonny, wpadający oknem, szum miasta, które leci za rozkoszami innemi, gwar wesoły, pieśń swywolna, twarz kobieca, pierś wzdęta dwiewczyny, westchnienie dalekie, spojrzenie z drugiego okna, wszystko to wabi ciało i duszę od pracy odrywa.

— Przed oknami, przed oczyma przelatują kobiety strojne na bal, na teatr, na wesele; a ty siedzisz sam jeden, szepcze ciało, a ty nie będziesz słyszał muzyki, nie będziesz w tańcu ściskał kobiety, nie złapiesz w drodze jej ognistego spojrzenia, balsamicznego oddechu. Przesiedzisz noc i wieczór w twoim krześle nad zapylonym ksiąg stosem! chodź! chodź!

— Patrz! przechodzą mężczyźni, bracia twoi, na uczty, na rozkoszną, próżniacką rozmowę u kominka, przy butelce, lub jakiej Laurze łagodnej, rozkosznej, która nie broni się od pocałunku i sama leci w objęcia! A ty siedzisz sam jeden?

— Patrz! czy widzisz te okna oświecone, tam się śmieją i bawią, a ty siedzisz? Czy widzisz tam ogród, ile tam kapeluszy kobiecych, jak poufałe wiatr niesie rozmowy? Tam ktoś czeka na ciebie, ktoś tęskni i wygląda za tobą — a ty siedzisz?

Wszystko to podsuwa ciało i tysiące innych pokus uwija się wkoło, aby wyrwać pióro, podrzeć papier, odepchnąć książki, p o t ł u c i pomieszać myśli. — Czasem zdaleka usłyszany urywek rozmowy, srebrny głos kobiecy, śmiech pusty, lub cokolwiek wyobrażającego świat, wpada do ucha, bije w serce pustelnika, zatrzymuje pióro, wytrąca księgę na chwilę. — Tamte rozkosze są mocniejsze, bardziej oczywiste, bo są bardziej powszechne, bo więcej rzeczywiste, dusza waha się, a ciało nie daje wytchnienia, zabija nowymi dowodami na swoją stronę. Wówczas zwyciężony rozbijasz nogą

ksiąg stosy, krajesz swoje rękopisma na papiloty, wylewasz atrament za okno, rzucasz pióra na śmiecisko, a myśli swojej głowy w kąt izby, ubierasz się, idziesz, bawisz, śmiejesz się, lecz nie długo! Odurzony z początku, prędko pożałujesz ciszy twego samotnego pokoiku, książek i pracy, bo po nich pożytek zostaje i pamięć słodka, po przyjemnościach świata nudy i fusy, jak dym po zgaszeniu balowego kandelabru.

Jeśliś jednak nie upadł ani przed kobiecym głosem, ani przed zaraźliwym przykładem twoich przyjaciół próżniaków, ani przed zimnem, zwierzęcem szyderstwem ludzi, którzy nigdy nie mieli i nie czuli w sobie duszy; jeśliś nie upadł jeszcze, ciało przynosi ci księgę dziejów doświadczenia, księgę prawd swoich i powiada:

— Cóż z twojej pracy? chcesz umieć wiele? czyż ta nauka pójdzie z tobą do grobu? Umrzesz, nie wiedząc, co to życie, — umrzesz i wszystko z tobą!

— A imię?

— Imię twoje to nie ty! Jest tobą, póki żyjesz, jak suknia, w której chodzisz, która chodzi, rusza się, żyje, jest tobą prawie, póki jej nie zrzucisz. Imię twoje — suknia! Ono będzie może kiedyś gdzieś świeciło, lecz cóż ci po tem, gdy ty zginiesz? Wartoż tyle pracy dla niczego poświęcać? Tyle czasu dla twojej sukni, którą wyłatawszy, nosić ci czasu niestanie?

— Wszak równie — odpowiada dusza — wszystkie rozkosze giną z człowiekiem i twoje giną. Wspomnienie tylko zostaje po ich przejściu, a przejść muszą! Po śmierci cóż mi z twoich rozkoszy?

— Za nic-że liczysz, mówi ciało, chwilę teraźniejszą, chwilę, w której będziesz istotnie używał? Wolisz więc łatać poszarpaną suknię twoją przez tę chwilę, w którejbyś mógł połknąć tyle istotnych rozkoszy? Nareszcie jeśli twoje ofiary wszystkie są tylko dla imienia i sławy, jesteś samolub. — Wyrzekasz się ciała, a czynisz, jak ono czyni, słuchasz jego praw. Jesteś prócz tego głupi, bo imię ginie niechybnie i ginie prędko. Ty tej sukni twojej poświęcisz życie, a przyszłe wieki przypatrzywszy się jej krojowi, obejrzawszy ją, uśmiechnąwszy się nad nią, rzucą w błoto, lub śledząc szwu, rozedrą.

Tak mówi ciało do człowieka, szydzi z jego pracy, aby go od niej oderwać, spotwarza cele, aby odstręczyć, pokazuje przyszłość jak otchłań — teraźniejszości, która cię ze wzgardą odepchnie; pokazuje, że ta nauka, w której żyjesz, małym będzie pożytkiem dla świata, że po twoich kościach i krwi zapiekłej idąc następni mędrcy, nie zechcą nawet wyznać, że się wznieśli bohaterską ofiarą twojego życia, kośćmi, krwią i mózgiem twoim wykarmili. Pokaże ci ciało tę przyszłość, od której czekasz nagrody, i świat pokaże ci sędziów twoich w ludziach, którzy cię rozumieć nie będą, którzy dla uszycia swojej podrą twoją sukienkę, którzy myśleć będą, że wiele uczynili dla ciebie, jeśli dwa razy wspomnieli imię twoje. Pokaże ci ludzi, od których czekasz sławy, stworzeniami miernemi, papugami bez myśli, zwierzętami bez duszy, kamieniami bez serca.

Przekona cię, że gdybyś zobaczył i poznał zbliska każdego z osobna, z tych, co imię twoje podnieść mają, — nie dbałbyś o jego zdanie. — Pokaże ci co to jest sława? sława! poruszenie kilku, kilku set, kilku tysięcy, kilku milionów papuzich ust, przez pewny przeciąg czasu powtarzających imię twoje tak zaraźliwie, jak ci, którzy kichać muszą, gdy jeden kichnie; — kilka, kilka set, kilka tysięcy lub milionów imion twoich wybitych na płatkach papieru, których los Bóg wie jaki! Sława twoja, gmach z błota, póki świeży — świecący jak marmur, potem zgarbiony, suchy i nikczemny.

Pokaże ci jeszcze ciało, aby cię oderwać od twojej umysłowej pracy i dusznego życia, ludzi, którzy ciałem żyją — ich szczęście, spokojność! — oni bowiem tylko są na ziemi rodzeni jej mieszkańcy (*indigenae)*, a ty — przychodzeń z innym językiem i myślami, dla których niema współczucia, bo ich nikt nie rozumie. Pokaże ci nakoniec ciało, że twoje prace, twoje życie jest tylko ofiarą, dla kilku takich jak ty wygnańców, którzy się poznają i zrozumieją, którzy zabiją się jak ty na ołtarzu duszy, aby nimi żyli ich nieszczęśliwi następcy. Pokaże ci nikczemność pracy, usiłowań i zdolności twoich, nikczemność nauk, doskonalenie się wszystkiego, a za tym upadek twojej pracy, pokaże ci niebo, ziemię, światy i ludzi, którzy się zaciekają w nich i w sobie, a nic jeszcze od początku świata nie skończyli tak, aby przyszłość nie mogła dorzucić cegły do ich gmachu. Pokaże ci to wszystko ciało, i tysiące pokus i obrazów swoich w sprzeczności z tymi obrazami.

A wówczas kto zwycięży, czy dusza czy ciało? Jeśli dusza stanie opornie i królować będzie jeszcze, ciało ma najstraszniejszych pomocników do sponiewierania duszy — choroby i nędzę! Temi narzędziami spodli ciebie, poniży, zhańbi, zetrze na miazgę i zwycięży! — ale — nie zawsze!

3. Chata za wsią. (1854).

W powieści tej Kraszewski podjął poetycką obronę szczątków narodu koczującego, cyganów, i wystawił ich z innej strony, aniżeli ci, co ich do oper wprowadzali; nakreślił silnie i z głębokiem przejęciem się ich uczucia, ich radości nie liczne, a liczniejsze smutki, których przyczyną stają się chłopi, patrzący z pogardą na czarne wędrowne plemię. Życie napół dzikie, wichrowate, pełne namiętności i charakteru przemówiło do wyobraźni artysty, który wymownie narzekając na jałowość i monotonię życia konwencyonalnego, aż za daleko dał się pociągnąć zamiłowaniu malowniczości, bo już nie tylko salony i bawialnie, ale chatę wieśniaczą za mniej poetyczną i mniej serca posiadającą poczytał, niż szatrę cygańską. Tylko upośledzeni fizycznie, bezdomni wśród wieśniaków czują litość nad wyrzutkami społeczeństw cywilizowanych. Mamy w powieści tej historyę dwu pokoleń: Tumry i Motruna (córka wieśniaka z krwi cygańskiej) w nędzy, a później w gniewie wzajemnym przepędzili krótkie swe życie; następnie córeczka ich Marynia, pod opieką żebraka Rataja i znachorki Sołoduchy, wyrasta na piękne dziewczę, w którem zakochał się młody szlachcic Choiński i pomimo przeszkód pojął je za żonę.

Wszelki człowiek w brudnej toni, z sercem czystem i poczciwem, jeśli nań zasługuje, otrzyma szczególny, do stanu jego zastosowany dar boży. Przez anioła opiekuna niewidzialnie ześle Opatrzność

myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jest to zapomoga wśród głodu ze śpichlerza bożych dzieci.

Biednej też sierotce[1]) w ciężkiej doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniej bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa, przyniesiona przez anioła i włożona na jej skronie.

Nazajutrz rano wstała rzeźwiejsza, wyszła na próg domu i spojrzawszy w słonko, na krzątające się ptastwo, na rozgrzewającą się ziemię, na gospodarski ruch wioski, której głos jej dochodził z parowu, poczęła dumać nieboga.

Oczy jej błądziły machinalnie, goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę, a z drogi pod strzechę,

— Ot, jakie to maleńkie — pomyślała — jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki[2]) i pokarm i życie im daje... Pracują niebożątka i, siedząc w strzesze przegniłej, gniazdka sobie budują i jeszcze śpiewają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady, jak się zawezmę do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywej świata, niemal dosłownie wypisane wyrazy ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz święty: „Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, iż nie sieją, ani żną, ani zbierają do gumien, a jednak Ojciec wasz niebieski żywi je. Czyliż wy nie daleko ważniejsi niźli one?“

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca, w żywej księdze życiem napisana. Marysia spojrzała na mogiłę, ale i ta do niej w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzej, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwoje, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przeżyło!

Otucha wstąpiła w jej serce.

— Czegóżbo ja stoję w progu? — spytała sama siebie — łzy otrzeć potrzeba, bo nic nie pomogą; zmówię pacierz za matuchnę i koło chaty się wezmę!

I przeżegnawszy się, wbiegła do lepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny rozpatrując się, jak w niej było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawki sukmany i nuż się zwijać po domku. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukień i biedoty leżały bezładne; pochowała, co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki,[3]) przymiotła i weszła do pierwszej izby. Tu jeszcze nietknięte stało łóżko, na którem umarła Motruna, a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się jej ścisnęło; ależ miała tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła i powoli z niejakim strachem i ściśnieniem serca wzięła się do tej bolesnej roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubem płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę, reszta już poszła jej żywo i łatwo.

---

[1]) dwunastoletniej Maryni. [2]) taki = przecież. [3]) sypanki = skrzynki.

Zamiotła więc podłogę, śmiecie rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogły, pościerała stoły i ławy, poprzechowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy, w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowinie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, skąd weźmie drzewa na opał, skąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę, trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano — mówiła — na wszystko mi czasu stanie; woda nie daleko, mnie i jedno wiaderko wystarczy; drewek w chróśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem uzbieram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chleb już nie naprzędła... Koszulinę jedną i drugą wykroję z matczynych, to mi wystarczą na długo. Świtek stanie mi na całe życie: w starej chodzić będę w dni powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się ta podrze, to i do matczynej dorosnę. O cóżbym ja sobie więcej głowę łamała?... Chleb i woda... nie ma głodu!... E! dam sobie rady przy pomocy boskiej, przy opiece matki, bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżej... i nie da dziecku swemu zginąć! stamtąd ona silniejsza, niżeli tu była, bo u Boga dziecku, co zechce, wyprosi.

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zaczerpnęła w niem, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą stąd całą widać było jak na dłoni: pośpieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czem, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyśliwała chwilę i skoczyła ku drabince na strych wiodącej, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości; na górze pełno było suchuteńkiego chróstu. Kiedyś go był „głupi Janek“ jeszcze przysposobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziewczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewka, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż łzy jej z oczu pobiegły.

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę — zawołała — tymczasem zima i śniegi zejdą do reszty, oschnie, i w chróśniaku zbierać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogieniek rozpłonął na kominie; Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianej miseczce nad piecem, i smaczna, o! smaczna dla głodnej zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tem żyć można? — mówiła w duchu, zajadając zacierkę chlebową. — Ot i obiad gotowy, na wieczór przemienię sobie i zjem suchego chleba z wodą zimną... a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozgrzało się od ognia, Marysia starannie umyła garnuszek, przeżegnała się i wziąwszy kądziel, poszła prząść do okienka. A wyciągając nić długą, oko jej raz-wraz biegało po chatce, po sierocem dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli, jak ją zalepić; gdzie glina odpadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę, gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słychać, jak ucieka, i już około południa ktoś przed chatą zagadał! Myśląc, że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić; wtem drzwi się otwarły i dwie nieznajome kobiety, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcząc coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maksymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one sieroty; jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęcia na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała, żeby się do niej odezwały; aż nareszcie Maksymowa, szturknięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się znamy... ale...

— Bóg zapłać — odparła Marysia — a cóż ma być? haruję i żyję.

— Patrzajcieno, patrzajcie — szepnęła Filipicha — jak to u niej czysto i porządnie: i ogień na kominie i wiadro pełne i umieciono... a któż tobie pomaga?

— Nikt! nikt! — tęskno odpowiedziało dziewczę — dwie ręce, trzecia głowa; a ktoby to chciał pomódz sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcej nikt; ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie — dodała Marysia, zmiatając im ławę fartuszkiem, a nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne; — Bóg zapłać, żeście przyszły choć słowo przemówić; wy nie wiecie, jak to ciężko być samej!

— A już to prawda — odpowiedziała młodsza — ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie; tak tu straszno i cicho być u was musi.

— Tylko, że nieludno — odezwała się Marysia uśmiechając — ale mi tu wróble swoim językiem cały boży dzień paplają pod strzechą, i sroczka krzyczy, i słoneczko zagląda, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojonych, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maksymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym

ruchem niedowierzania prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? — spytała tchórzliwie, oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jak to ona gada — poczęła w duchu Filipicha — co to za rozum, taż to i stary lepiejby nie potrafił... Niewidziana dziewczyna! Spojrzały po sobie baby coraz bardziej zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: — co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając i szepcząc między sobą i trącając łokciami; jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały, jak to Marysi oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły; było to coś więcej niż podziwienie: — rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom, choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie, do którego nie przywykły.

— Choć siądźcie, proszę — mówiła im Marysia — nie mam was czem przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czem chata bogata, tem rada.

— Jakto? to wy prócz chleba nic nie jecie? — zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic, alem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa i omasta, bylem motki skończyła, a prząść się znalazło więcej. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przędziwo nie przepadnie i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebiedzianka, dobrze mnie już znają, a ja i w dwudziestkę uprzędę.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a coraz to się więcej dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniuchną jej twarzyczkę z trochę zapłakanemi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dolę, a tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja mileńka — odezwała się Maksymicha — to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakoś mi rąk starczy — rzekła Marysia. — Jużem się wypróbowała i obmyśliłam, jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe, a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami! — powtarzały — krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna: schodzić się do niej a słuchać, patrzeć a dziwować!

Pobyły tak chwilę u Marysi i nie śmiały nawet wkońcu wy-

stąpić już z małym datkiem, który dla niej przyniosły; jak siedziały na ławie, tak poza siebie zasunęły, co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niej wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całych Stawiskach o Marysi cygance; z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie i nagadać się o niej nie mogły, tak, że w chatach, na dworskiem, u dobrodziejów w plebanii i w karczmie, nie było słychać tylko o niej. Nienawiść ku cyganowi i cyganisze dawno już była przygasła i wyczerpała się zobojętnieniem; ludzie o niej zapomnieli, a sierota wzbudzała teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niej Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość, a ludzie dziwy prawili o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawisk i okolicy zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczyna da rady; przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, skąd w młodej głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi.

4. Morituri[1]). (1874).

Upadek starego i z wielu względów sympatycznego domu ks. Brańskich stanowi przedmiot tej powieści, poruszającej z wielkim spokojem i wyrozumiałością kwestyę arystokracyi w społeczeństwie naszem. Brańscy nie spełniali już w niem żadnego zadania, a wymagali, ażeby wszyscy mieli dla nich to poważanie, jakieby zasługami swemi pozyskać dopiero musieli. Przyzwyczajenie do życia na wielką skalę, do nierachowania się z groszem, a przytem jakieś dziwne zamykanie oczu na grożące majątkowemu położeniu niebezpieczeństwa stanowią znamienne cechy ich postępowania. Obrażony w młodości szlachcic Zembrzyński, postanowił zbierać grosz skrzętnie, żyć jaknajoszczędniej, byleby upokorzenie dumnych książąt sprowadzić. Obmyśliwane przez nich środki (ożenienie księcia Roberta, sprzedaż kosztowności, zamążpójście księżniczki Stelli) zawodzą, gdyż paraliżowane są na każdym kroku skutecznymi zabiegami Zembrzyńskiego. Przywiedziona poniżej scena da poznać, jakie wrażenie sprawiły niepowodzenia te na jednym z przedstawicieli rodu, księciu Hugonie.

Późnym wieczorem powrócił jednego dnia generał od brata i poczynał się zabierać do odmawiania wieczornych pacierzy, gdy nagle wśród ciszy usłyszał w salce pustej stąpanie jakieś... Po chodzie poznał łatwo, że to nie był służący. Przechadzał się tam ktoś wolnym, nierównym i jakby myślami wstrzymywanym niekiedy krokiem. Ktoś tam więc był oczekujący nań, a wieczorna, spóźniona, niezwyczajna godzina naprowadzała na przeczucie, że z niczem dobrem przyjść nie mógł. Z dobrą wieścią się pośpiesza, a ten ktoś chodził, jakby mu wcale nie było pilno.

Tylu już dotkliwymi ciosami wypróbowany książę Hugon nie chciał się też z wyjściem naprzeciw przybyłemu śpieszyć i uczuł jakby obawę w sercu, jakby przeczucie czegoś złego, co go spotkać miało. Nie ruszył się więc i rzekł sobie w duchu:

---

[1]) Mający umrzeć.

— Pomodlę się wprzódy! niech, co Bóg zsyła, przyjdzie samo, poco się śpieszyć?

Serce mu się nagle ścisnęło i strach rósł; chciał się modlić, ale i myśl i usta odmówiły usługi... nie mógł. Drżącą ręką otworzył stare oficyum, poszukał w niem wieczornych modlitw, rozłożył je przed sobą na klęczniku, świece pozapalał, ukląkł z trudnością, chwiejąc się, wsparł na rękach głowę i został w tem położeniu, nie mogąc się ruszyć, ani rozpocząć pacierzy.

Brzmiał mu ciągle złowrogo w uszach ten zagadkowy jakiś krok chodzącego po sali, silił się na poznanie w nim człowieka, na przeczucie tego, co go tu sprowadzało, i nie mógł się domyślić, kto przyszedł. Serce tylko biło żywo, wróżąc nieuchronne jakieś nieszczęście.

Generał czuł się już wyczerpanym ostatnimi wypadkami, zdawało mu się, że gdyby jeszcze cios weń nowy uderzył, jużby go przenieść nie mógł. Obawa ta, coraz rosnąca, dowiedzenia się czegoś złego, była w nim poczuciem bezsilności. „To mnie dobije" — rzekł w duchu.

Klęczał ciągle, a słuchał, kroki dawały się słyszeć wyraźnie, zbliżały się nieco, stawał przechadzający się, jakby się namyślał, czy wnijść, wracał i chodził znowu... Przed generałem wisiał stary, na blasze malowany obraz Maryi Panny, który mu od młodości wszędzie towarzyszył; był to jedyny spadek po matce, a matka miała go od ojca swego. Starzec wpatrzył się weń, jakby z pytaniem gorzkiem, dlaczego na późne dni wydzielono mu największy ciężar, czemu czara ku końcowi właśnie tyle zawierała goryczy?

Tajemnicze kroki to ustawały i cichły, to znów szybszy pochód poczynały po salce, zwalniały nagle, jakby uczucie wzburzone rządziło niemi, oddalały się, zbliżały, przechodziły niemal w bieg, a w chwilę zaraz bezsilne ledwie się wlokły. Było w nich tyle wyrazu, iż je, jak mowę, czytać mógł stary zdaleka. Ktoś tam więc czekał, a nie śmiał sam iść do niego; zrywał się i obawiał, oznajmywał mu się chodem, nie mając odwagi głosem, przygotowywał go do tego, co niósł z sobą. Lecz któż to mógł być taki?

W salce było ciemno, chodził przecież śmiało, nie potrącając o sprzęty i zbroje, a więc znał dobrze miejsce, w którem się obracał.

— Co ma się stać, stanie — rzekł w duchu stary — po cóż napróżno i niemęsko zwłóczyć wypicie cykuty?

Chciał wstać i iść... nie mógł... drżał.

W salce chód ciągle słychać było, tylko coraz żywszy, tylko coraz śpieszniejszy, nieustający.

Generał począł sobie wyrzucać, że mu wzburzona fantazya z najprostszej rzeczy, z przyjścia sługi lub natręta tworzy niepotrzebną torturę, którą obawa przedłuża. Mógł się spytać, odezwać, niepewność-by ustała. Chciał podnieść głos, ale w ustach mu zaschło. Nie wiedział sam, dlaczego nie miał odwagi. „Będę się modlił, to uspokoi" — rzekł w duchu.

Książka już była rozłożoną na wieczornych pacierzach, popatrzył na nią — głoski migotały mu przed oczyma jakimiś ruchami dziwnymi, podnosiły się do góry, spadały, bladły, nikły płomieniste, przedłużone, olbrzymie, występowały z białego tła i brnęły w niem... Nagle przybierały kształty potworne... rosły im skrzydła, wyskakiwały szpony, świeciły w nich oczy szyderskie. Potem ruch ten ustał nagle, sznurem stanęły do porządku, spokojne, ale znać ręka drżąca musiała przewrócić karty — przed oczyma jego, zamiast pacierzy wieczornych, stało nabożeństwo przy konających...

Była to jakby przepowiednia i oznajmienie losu.

Głos tych kroków zwiastował nadchodzący... zgon. Zbliżała się więc ta nieodzowna godzina, której nikt uniknąć nie może — konanie!! Zimnym potem oblały się skronie... łzy oczy zakryły... przez nie świat wydał mu się, jak w mgle srebrzystej, spłakany cały. Przyszedł tu przed chwilą spokojny, wesół prawie; dlaczegóż nagle ten jakiś krok dziwny, głucho rozlegający się w sali pustej, wywołał takie przeczucia?

Jest w naturze ludzkiej coś, co zwiastuje jej nadchodzące niebezpieczeństwo i każe gotować się na walkę ostatnią bytu z nicością, bytu z nieśmiertelnym spoczynkiem... Byłoż to owo przedśmiertelne drgnienie? Oczy generała padły znów, szukając lekarstwa, na karty starej książki... znalazł na niej modlitwę za umarłych.

I począł się uśmiechać do spoczynku wiekuistego, był strudzony, jak po walce okrutnej. Myśl, smętna przed chwilą, zaczęła przybierać barwę dziwną, jasną, promienistą, rozbłysnęła i poleciała na wiosenne pola młodości, a z nich na złote przeszłości szranki... między rycerzy, którzy stali w obłokach z kopiami u boku, z tarczami na rękach, w przyłbicach słonecznych, z gwiazdami nad czołem. Witał ich z kolei... jadąc na białym rumaku skrzydlatym, a zamiast miecza dźwigał krzyż. W głowie mąciło się, plątało, szumiały w niej jakby ptaków stada, lecące długiemi pasmami. Stracił siłę nad myślą własną... szła już samopas.

Krok, dający się słyszeć w salce, chodził mu po sklepieniu czaszki pustej i rozlegał się po niej boleśnie...

Obszary jakieś niezmierzone czuł w głowie... pustynie wyschłe, ciemne. Wszędzie było pustkowie, w nim, wokoło na świecie, a wśród mroków, wśród niezbadanych ciemności rozlegał się ciągle ten chód nieustający. Kroki sędziego, czy kata... lecz żelazne, ciężkie, a coraz bliższe... Ktoś chodził mu po sercu i gniótł je, każde stąpienie wyciskało się na niem, jak w glinie ręka rzeźbiarza.

Napróżno starał się, znękany temi widzeniami, otrząsnąć się z nich i oprzytomnieć, — ciemności coraz gęstsze otaczały go. Potarł obu dłoniami drętwiejące czoło i ruchem gwałtownym strącił z klęcznika świeczniki oba... potoczyły się na posadzkę z płomieniem... mignęły nim i... pogasły.

Generał został wśród mroku, usiłując wstać i poruszyć się, ale ani odprostować, ani krzyku wydać nie zdołał. Rękami chwytał próżnię; coś, jakby olbrzymi głaz, nagle padło mu na głowę i roz-

trzaskało ją. Krzyknął nareszcie, lecz w tej chwili upadł i stracił przytomność.

Jęk ten ostatni musiał się rozledz aż w salce, bo w tej chwili wbiegł służący ze światłem, a z nim ks Robert. Jego to kroki liczył generał, nie wiedząc jeszcze o przybyciu. Książę przyjechał późno, a z tem, co przywiózł z sobą, nie śmiał wnijść, choć potrzebował. Wiadomość mogła przyjść inną drogą i jeszcze straszniej piorunowa.

Podnosząc generała z ziemi, ks. Robert znalazł go omdlałym, ale w twarzy zsiniałej znać było jakby rażenie jakie krwi buchnięciem. Gotowało się to pewnie dawno, a dziś przyszło w porę, bo ocaliło, pozbawiając przytomności, od boleśniejszego ciosu. Złożono go na łóżku. Nadspodziewanie generał ruszył się, zaczynał przychodzić do siebie... westchnął, otworzył oczy. Dźwignął się żywo i patrzył, zdziwiony niby, dokoła. Wzrok jego skierował się na synowca i wlepił weń oczy, poczynał się uśmiechać, usta ściągać, jakby do mówienia, i głosem zmienionym, słabym, bełkotliwym odezwał się cicho:

— Darujesz mi wasza królewska mość, natychmiast zbroję wdziewam i skrzydła przypnę, na koń siadamy i w pogoń za Saracenami. Jeruzalem zdobyte! Grób Zbawiciela odzyskany! Hosanna! zwycięstwo!...

Krzyknął tak gwałtownie, iż Robert pobladł z przestrachu, lękając się, by tego głosu nie usłyszano w podwórzu. Potem, jakby wysilony, padł ks. Hugon na poduszki i cienkim głosem śpiewać zaczął: *Omni die... dic Mariae...* (Codziennie wysławiaj N. Pannę).

Śpiew na wargach skonał wkrótce, powieki zaczęły się przymykać, stary zwolna zdrzemywał się, usypiał, bełkotał coś jeszcze niewyraźnie i zasnął.

Zostawując przy nim starego sługę, który płakał i drżał z przestrachu, dotknięty nowym tym ciosem, ks. Robert wybiegł natychmiast, aby wysłać po lekarza. Cała nadzieja była w tem, że pomieszanie mogło być przemijające, że sen, spoczynek, środki jakieś przywrócić przytomność zdołają.

Zbudzono Wincentowicza, wstali słudzy już śpiący... Robert przyszedł siąść na straży przy łożu, lecz tak złamany, bezprzytomny, pozbawiony woli, iż sam nie wiedział, co począć — ręce mu opadły.

Szczęściem ktoś, widząc to, wyprawił po Zenona, który w gościnnych pokojach tego dnia, do późna spędziwszy wieczór u szambelana, nocował. Żurba przybiegł przerażony, lecz z całą energią, która go nigdy nie opuszczała. Robert mu się rzucił na szyję.

— Przyjacielu, ratuj! Przyjechałem, wioząc z sobą najgorsze wiadomości, lecz nim z niemi przyszedłem do generała, stało się, nie wiem, co się stało... książę padł, uderzony apopleksyą, z klęcznika, przy którym się modlił... Gdyśmy go trzeźwili, był jakby obłąkanym. Mówił i śpiewał od rzeczy. To nowy cios!

— Po doktora! — zawołał Zenon.

— Już posłano — rzekł Robert. — Lecz teraz powiedz, co mam czynić?... Przywożę z sobą przegraną, przegraną stanowczą... wy-

darto nam najlepszą część majątku. Dług, ciążący na reszcie, pochłania ją: nie mamy nic! Ożenienie moje, jak się domyślisz łatwo, nie przyszło do skutku... Hrabia, na wieść o nieszczęściu naszem, nagle wyjechał z Warszawy i jest już gdzieś na drodze do domu. Wszystko stracone!... Co się stanie z generałem, z ojcem, gdy się dowie, ze Stellą?

Zenon nie mógł zrazu wymówić słowa.

— To okropne! — rzekł w końcu — lecz straszniej jest może lecieć w przepaść, niż pogruchotanemu leżeć na dnie. Nad nim zawsze świeci jakaś cząsteczka nieba. Gdzie niema ratunku żadnego, musi przyjść męska rezygnacya.

— Cóż się dzieje ze Stellą? co z tym człowiekiem? Co myśli i chce Garbowski? Jak to powiemy ojcu? — wołał Robert — może choć to nas chwilowo podtrzyma i oszczędzi wygnania a wstydu?

Zwrócił się do Zenona, który milczał, ponuro zamyślony.

— Garbowski — rzekł w końcu — Garbowski był już parę razy... i odjechał. Nie wiem dobrze, co myśli, lecz zdaje mi się, że widząc ofiarę księżniczki, waha się z jej przyjęciem. Jest szlachetne serce w tym człowieku...

— Cóż się stanie z nami, jeśli tej ofiary nie przyjmie? Daru nam nie czyni, ani my go przyjąć nie możemy...

— Nie wiem — dodał Zenon — w każdym razie z nim się ułożyć można, będzie cierpliwym, znajdą się środki jakieś.

— Żadnych niema — odparł Robert — ojcu należy oszczędzić pogodę dni ostatnich, a potem... pójdziemy pracować... Pracować? — dodał, ruszając ramionami — ale jak?... Stella pracować? ja?... My nie umiemy nic! My nie mamy pokory do pracy, myśmy skazani na konanie powolne! Jesteśmy istotami wymarłego świata, którym też umrzeć przeznaczono.

— Mości książę — odparł Zenon — nie wierzę w to, trzeba mieć odwagę dźwignięcia się, a wyrobi się możność.

— Ażeby mieć wolę, trzeba mieć jasny cel przed sobą, a tego oczy moje nie widzą.

— Radźmy — rzekł Zenon — o najpilniejszem: trzeba się nieuchronnie rozmówić z Zembrzyńskim, który ten nieszczęsny proces przeprowadził, a potem z Garbowskim.

— Lecz co ojcu powiedzieć?

— Nie trzeba mu nic mówić, musisz książę zaczekać, aż gdy tego wymagać będzie konieczność. Zresztą, dla uniknienia przykrych tłómaczeń... książę możebyś na kilka dni zataić mógł swój powrót i przebyć je w ukryciu.

Przez część nocy gwarzyli tak, siedząc w sali i przysłuchując się, azali generał nie przebudzi się, lub lekarz nie przyjedzie.

Stary przyjaciel domu, zamieszkały o mil parę w miasteczku, Sykstus Cieciorka, doktór niegdyś uniwersytetu wileńskiego, uczeń Franka i Śniadeckiego, na pierwszą wieść o chorobie generała, ledwie się przyodziawszy, na małej bryczynie dla pośpiechu przyleciał.

Był to mężczyzna nie stary jeszcze, wielce wykształcony, wiel-

kiego też spokoju i ducha łagodności. Nic go nie dziwiło nigdy, ani niecierpliwiło, ludzi wszystkich traktował potrosze jak pacyentów, z ojcowską dobrocią, ale i z powagą ojcowską, która przed żadną społeczną znakomitością i tytułami nie ustępowała. W innym stanie okrzyczanoby go demokratą i nieznośnym; jako lekarza, znosić musiano i szanowano też, jako człowieka.

Cieciorka był jednakowo z ekonomami i książętami z jakąś kwakierską, dobroduszną grzecznością, która się o żadne światowe nie troszczyła formy. Nie nadużywał swej wziętości, ale się nie kłaniał nikomu.

Powierzchowność jego na pierwszy rzut oka nie zdradzała niepospolitych umysłu i duszy przymiotów: otyły, gruby, trochę ociężały, mówiący zwolna i niedbale, podobny był do zardzewiałego szlachcica, ale wpatrzywszy się w jego głowę, twarz, w wyraz oczów i ust, poznać w nim było można jeden z tych typów, jakie starożytnych mędrców popiersia wystawiają. Czoło i oczy błyszczały potęgą rozumu chłodnego, myśl tryskała z wejrzenia; rozum ten a inteligencya nie nadawały mu ani wyrazu dumy, ani szyderstwa; znać doszedł do tej wyżyny, z której wszystko się tak małem wydaje, że nic nie gniewa i nie oburza, litość tylko budzi i miłosierdzie bez granic.

Gdy wszedł na palcach i siadł, ściskając rękę ks. Roberta, opowiedziano mu pokrótce symptomata. Słuchając opowieści tej, doktor milczał, przerwał je kilku zapytaniami, zdawał się przebiegu choroby nie rozumieć lub znajdować go anormalnym.

— Zaczekamy przebudzenia, zobaczymy — rzekł — nic z tego, co mi mówicie, wnosić nie mogę.

Czekano więc przebudzenia do rana, ale naprożno, sen był niezmiernie ciężki, głęboki, a na pozór spokojny; co dziwniej, nie towarzyszyła mu żadna gorączka. Chory wydawał się zmęczonym, nie chorym. Doktór Cieciorka badał puls ciekawie, wpatrywał się w rysy, twarz miał zasępioną.

Generał zwykł był się budzić o siódmej, i natura, tylu latami znałogowana, wywołała wistocie rozbudzenie. Poruszył się z westchnieniem ciężkiem, chciał wstać... opadł na poduszki. Oczy jego błędne potoczyły się po przytomnych, otwarły szeroko i uspokojone wpatrywały w każdego po kolei. Robert, Cieciorka i Zenon stali przy łożu. Ks. Hugon kilka razy obliczył ich wzrokiem, nic nie mówiąc, potem zaczął się uśmiechać.

— Poznaję was — rzekł. Ty — wskazał na Roberta — jesteś Ryszard Lwie serce; ty — obrócił się do doktora — przełożony mnichów św. Franciszka; a ty mistrz templaryuszów. Doskonale pamiętam. Zostałem wczoraj przez Saracena ranny w głowę, ale rana, zalana balsamem, już się zgoiła; zostanę dziś pod namiotem, jutro na koń!

Doktór wziął go za rękę zwolna, puls był naturalny.

— Możem się omylił, bo ty mi coś pulsu macasz? hę? — odezwał się generał — może jesteś Bombastus Paracelsus?...

Nikt nie odzywał się, on patrzył ciekawie...

— Co za klimat łagodny — rzekł — jakie ciepło miłe, zalatuje mnie zapach palm kwitnących.

Robert zwolna cofnął się z Zenonem, doktór pozostał i poważnie nań patrzył długo, a wreszcie rzekł głosem zwyczajnym:

— Pan generał sobie z nas żartuje, jakże nie poznać starego sługi, Cieciory, i pana Zenona, i księcia Roberta.

— Roberta — przerwał ks. Hugon — co ty mi bajesz? Gdzie Robert? Ten daleko z flotą popłynął, a Zenon hreczkę sieje... Niech rycerstwo nasze zanuci Boga-rodzicę... czas, godzina poranna, z Bogiem dzień zaczynać trzeba; — a po chwili dodał jaknajprzytomniej: — Czy szambelan już wstał?

Pochwycił doktór ten moment jasny i odpowiedział:

— Myślę, że się przebudził.. a może generał-byś wstał i poszedł na śniadanie z nim i ks. Stellą?

— Jakże? ranny przez Saracenów? zobaczyliby bliznę i toby ich nastraszyło. Zostanę pod namiotem.

Mówił tak niedorzecznie naprzemiany i przytomnie, ale ładu w myślach nie było, błąkały się, jakby wiatrami gnane pajęczyny. Doktór wyszedł zamyślony.

— Nadziei nie tracę — rzekł — lecz mam jej mało To, co jest teraz, musiało się przygotowywać zdawna.

Trzeba było myśleć, jak szambelanowi wytłómaczyć chorobę, powrót Roberta i zapobiedz, aby nie zapragnął sam przyjść do brata. Widzenie się ze Stellą było nieuchronne; i dla tej wszakże nagła wiadomość o nieszczęściach mogła być gzoźną.

Zenon poszedł po siostrę. Rano było jeszcze, p. Antonina, ledwie mając czas się ubrać, przelękła, przyszła z bratem na górę do pokojów generała. Na widok Roberta bladego, wycieńczonego, drżącego, rozpłakała się, odgadła wiele.

— Pomóż mi pani — rzekł — nie chcę przed nią nic ukrywać... Jesteśmy na ten raz zrujnowani ostatecznie, zgubieni, proces przegrany, od Brańska odetną to, co jego wartość stanowiło. O mojem nieszczęsnem ożenieniu mowy niema; zostaliśmy na łasce Garbowskiego. Przybyłem tu obarczony nieszczęściem, które wiozłem i wpadłem w chwili, gdy generał apopleksyą tknięty został. Od tej pory nie odzyskał przytomności. zdaje się obłąkanym.

Antonina w milczeniu załamała ręce.

— Chcę i potrzebuję się widzieć ze Stellą — dodał — ułatw to pani przez przyjaźń dla nas, przygotuj ją, niech mi pomoże, ojciec nic wiedzieć nie powinien. Biedna Stella!

— Tak, biedna Stella, wszyscyśmy biedni — szepnęła Antonina — ale mości książę, Stella ma ducha męskiego. Stella potrafi spełnić najcięższą ofiarę i usty się uśmiechać wśród męczeństwa. Nie lękaj się pan o nią. To anioł, to więcej niż anioł, to bohaterka!

Porwała rękę Roberta z zapałem i łzami w oczach.

— Mój książę, bądź spokojnym! w takich domowych nieszczę-

ściach, wśród czterech ścian, my kobiety was prowadzić powinniśmy i męstwa dodawać, pocieszać a krzepić.

Wybiegła szybko po Stellę.

Tymczasem dzień był wielki, obawiać się należało, żeby stary ks. Norbert nie dowiedział się od którego ze sług o przybyciu syna, chorobie generała, wezwaniu doktora; jedna Stella wiedziałaby, jak mu to oznajmić tak, aby nie przerazić starego.

W pół godziny może weszła ona z Antoniną. Na jej twarzy, mimo łez, było tyle spokoju i rezygnacyi, gdy postąpiła ku bratu, aby go uścisnąć, że Robert wydziwić się jej nie mógł. Wsparła się na jego ramieniu i znać tłumiąc jęk mimowolny, chustkę chwyciła w białe zęby... W chwilę potem odetchnęła spokojniej, wróciła do panowania nad sobą.

— Nie mów mi nic — rzekła — wiem wszystko, pójdę do ojca, lecz pozwól, spytaj, czy doktór pozwoli, chciałabym stryja zobaczyć!...

Cieciorka namyślał się.

— Idź pani — rzekł — może ktoś będzie tak szczęśliwy, że go do życia rzeczywistego napowrót ściągnąć potrafi.

Drżąca, ale z przymuszonym uśmiechem na ustach, wsunęła się na palcach Stella i przywitała generała zwykłem:

— Dzień dobry.

— Któż to jest? królowa Jadwiga?... — zawołał.

— To ja, Stella, twoja Stella, mój stryju!

— Stella... gwiazda... nie, ty jesteś królowa Jadwiga!

Popatrzył i spytał znowu:

— Czy szambelan wstał?

Ucieszyła się Stella, lecz po tem pytaniu rozsądnem nastąpiło:

— Najjaśniejsza pani! niegodzien jestem, byś namiot rycerza odwiedzała, ale tę szarfę, którą mnie darzysz, zachowam do zgonu. Na tarczy ją herbowej zawieszę, jak Nałęcz drugi.

Skłonił głowę i w tejże chwili znowu zdało mu się, że jest na łowach, począł psy nawoływać: hu! hu!

Zapłakana wyszła Stella. Spokojne to obłąkanie straszne było. Nie mówiąc słowa, przesunęła się przez salon... złączyła z Antoniną, i obie pobiegły czatować u drzwi szambelana. Gdy mu śniadanie jego wnoszono, trochę niespodzianie w tej porze weszła Stella i przyklękła przed ojcem.

— Cóż mi to acanna tak rano przynosisz? — uśmiechnął się stary — wszak to nie twoja godzina?

— Tak, kochany ojcze, alem wolała sama przyjść, aby ci powiedzieć, że generał trochę niezdrów... Nic to nie jest strasznego, zawsze jednak...

— Generał niezdrów! Widzicie! — przerwał szambelan — ja mu mówię: nie pij wody po baraninie. Cóż mu takiego?

— Trochę gorączki, nie wiem; jest dr. Cieciorka. A i nasz kochany Robert przybył w nocy, ale tam siedzi przy chorym.

— Widziałaś już Roberta?

— Na chwilę.

— Cóż przywozi? nadzieje znowu?

— Nie wiem, jakoś mi o tem nie mówił.

— A niechże przyjdzie do mnie. Generałowi dać rumianku i zostawić go w spokoju, a wody mu zakazać, do wieczora odejdzie. Niech Robert przyjdzie do mnie. Właśniem rad, że w porę mi powraca, pomoże do tego balu, który chcę dać. Bez niegoby mi to nie poszło, a koniecznie, póki żyję jeszcze, muszę raz wystąpić. Już jeśli Gozdowski poskąpi, ja z mojej szkatułki łożyć em gotów.

Stella nie mówiła nic.

— Przyślij-no mi Roberta...

Pocałował ją w głowę.

Całych sił potrzebowała Stella, by twarzą nie wydać uczucia, aby się okazać spokojną i wesołą.

Szambelan tego dnia był dziwnie rozpromieniony, wyglądał świeżo i usta miał uśmiechnięte.

— Proszęż cię — rzekł do odchodzącej — napędź tu Roberta do mnie... a generała zostawić w spokoju, on nie lubi, żeby mu się tam naprzykrzali, kiedy niezdrów.

Z tem poselstwem wróciła Stella do Roberta, który po chwili namysłu wybrał się do ojca.

Widzenie się z nim było prawie powtórzeniem przyjęcia Stelli i rozmowy z nią. Uderzyła syna ta pogoda oblicza ojcowskiego i ta szczęśliwa jego ślepota, co się niczego nie domyślała.

Tak dzień cały upłynął na doglądaniu dwóch starców, a rodzeństwo z sobą dłużej nawet rozmówić się nie mogło. W stanie zdrowia generała nie zaszła prawie żadna zmiana, był ciągle senny, a gdy się przebudzał, mówił od rzeczy. Podano mu jedzenie, zaczął jeść łapczywie, chciwie, nieprzytomnie także i zaraz po zjedzeniu zasnął znowu.

Doktór Cieciorka przypatrywał się temu z widocznym smutkiem. Żadnych środków lekarskich nie można było przedsiębrać, oprócz lekkich derywatywów, któreby odciągnęły nacisk na mózg, ale te widocznie jakoś nie poskutkowały.

We dworze ruch był niezmierny i popłoch. Szambelan go nie widział, parę razy spytał o brata, zalecił rumianek, przywołał do siebie ks. Serafina na rozmowę, uspokajał Stellę i spędził czas do wieczora bez żadnej zmiany w zwykłym porządku zajęć swoich.

Robert, zmęczony wrażeniami, podróżą, bezsennością, wieczorem zszedł do swego pokoju. Zastał w nim już oczekującą nań Stellę, która chodziła zamyślona.

— Przyszłam tu — rzekła powoli — aby ci dodać męstwa... Jestem pewną Garbowskiego, że się szlachetnie obejdzie z nami, że poszanuje niedolę. Chciałam, myślałam, marzyłam, że ofiarą swojej ręki spłacę dług... ale, mój drogi Robercie, ta ręka dziś nie ma szacunku, byłaby ciężarem, nie darem. Garbowski jej nie chce... pisał wczoraj do mnie. Może czuł, żem go kochać nie mogła, chociaż go szanuję, chociaż się zmuszałam, aby być dla niego dobrą, łagodną,

uprzejmą. Lecz serce czuje, gdy drugie mu nie odpowiada biciem równem. Zostaję wolną. Oddamy mu wszystko... ale szlachetny Zygmunt nie wypędzi nas ze starym ojcem, z biednym stryjem. Bądź spokojny. Ja zostanę, z tobą i ojcem, i dożyjemy, co nam Bóg wyznaczył. Umiełiśmy być szczęśliwi, potrafimy i cierpieć, Robercie.

Na te słowa wszedł Gozdowski. Domyślając się interesów, Stella znikła.



IV. Józef Korzeniowski (jako powieściopisarz).

Spekulant. (1846).

Pomimo tytułowej roli, nie August-spekulant wypełnia powieść, tylko Klara, córka wystawnego sknery, pana Chorążego, panna ładna, rozwinięta, znająca się trochę na sztuce, a bardzo — na prostej i niewinnej kokieteryi, rezolutna, nawet uparta, lecz ostatecznie dobra, pospolita natura. Zakochana w Auguście, idzie jednak za mąż za marszałka, ze względu na błagania i cierpienia poczciwej matki; dopiero przekonawszy się, że spekulant jest nikczemnikiem i że już o niej myśleć przestał, przywiązuje się do swego męża i darzy go miłością. Marszałek jest rozumnym i szlachetnym obywatelem (utrzymuje lekarza na wsi dla swych poddanych), nigdy nie deklamuje o swych obowiązkach, ale je spełnia. Najsłabszą w całym utworze postacią jest Chorążyna, którą Korzeniowski zapewne jako wzór dobrych żon i matek chciał wystawić, ale nie zdołał jej wznieść nad poziom pospolitości. W ogóle w „Spekulancie" wprowadza nas autor do świata powszedniej prozy, ani jednem uniesieniem nie wkraczając w dziedzinę poezyi, choć nawet poetę zaściankowego (pana Pawła) namalował. Do ludzi tu występujących, nawet zacnych, nie przywiązujemy się; mocniejszych uderzeń serca nie doznajemy; obserwujemy ich tylko wraz z autorem, uznajemy trafność rysów po większej części; ironicznie patrzymy na tę szlachtę podolską, głupią i niezbyt uczciwą, przyjmującą u siebie takiego jak August człowieka, bo czującą w sobie skłonności podobne, którym do objawienia się potrzebna tylko odpowiednia sposobność. — Pod względem artystycznym, przemaga tu opowiadanie, ruchu dramatycznego jest niewiele.

Około godziny drugiej po południu, w jasny i mroźny dzień lutego, szedł pieszo młody człowiek, okutany porządną szubą, obwiązany pięknym szalem, z antypką w ręku, ozdobioną bursztynem i czerwonym woreczkiem — a za nim szły bokiem złamane sanie, ciągnione przez dzielną czwórkę w krakowskich chomątach. Popędzał je wąsaty furman, idąc także pieszo, i ocierał ręką, w której trzymał długie biczysko, oczy i wąsy, obrastające co moment białym szronem. Wtem pokazała się na wzgórku Sewerynówka, o sześć mil od Odesy leżąca — i pan August Molicki, obracając się do idącego za nim lokaja, rzekł: Biegajże prędzej i postaraj się o rzemieślnika, któryby nam naprawił sanie. Nie opatrzyliście ich w Odesie — teraz ja z waszej łaski muszę iść pieszo, a może tu spać będę ze dwa dni...

Pan August byłto młody człowiek nowego pokolenia. W roku 1842, w pamiętnej dla niego epoce złamania sanek, miał lat 25. W jedenastym roku życia oddano go do Krzemieńca. Doszedł tam do klasy drugiej, i na tem skończyła się jego publiczna edukacya.

Resztę pierwszej młodości przepędził w domu. A gdy go, mającego lat 17, ojciec odumarł, zaczął rządzić piękną wsią na Podolu, pod okiem kochającej go, ale słabej matki. Pełen naturalnej zdolności, poduczony cokolwiek przez dawnego Krzemieńczanina, który się trudnił guwernerką, wprawiony do pięknej francuszczyzny przez guwernantkę siostry, rodowitą Francuzkę, która z dziwną gorliwością przez lat trzy blisko dawała lekcye szesnastoletniemu i siedmnastoletniemu chłopcu, dopełnił swej edukacyi na zjazdach młodzieży, na jarmarkach w Jarmolińcach i w Berdyczowie, tak, że gdy doszedł do lat dwudziestu, był-to młodzieniec skończony, rycerz przy zielonym stole, niezwyciężony przy butelce, na wyścigach czy konnych czy wozowych niepokonany.

W tym czasie stracił matkę — siostra na pół roku przed jej śmiercią wyszła za mąż. Ale gdy przyszło zapłacić posag, o który się szwagier stanowczo upomniał, i gdy się obliczył ze wszystkimi długami młodości, opamiętał się pan August. i wówczas rozwinął się właściwy jego charakter. W ten wir, w którym żył dotąd, wciągnął go nie naturalny popęd, nie gwałtowność namiętności, ale przykład młodzieży, wśród której wyrósł. Grał on tylko chętnie, bo zawsze lubił pieniądze, chociaż je rozrzucał — ale pił, bo inni pili; tracił i hulał, bo nie chciał się okazać niższym od współbraci — nie chciał milczeć tam, gdzie inni mówili, i starał się gorliwie, aby się miał także, jak oni, czem pochwalić. Lecz w gruncie był to człowiek zimny, egoista i spekulant. Te wady przy innem wychowaniu, przy gruntownej nauce, przy jakiemś ważniejszem zajęciu, któreby mu pokazało wyższe cele, byłyby może wzięły inny kierunek; ale to życie, na którem przepędził pierwszą młodość, odpoetyzowało zupełnie jego duszę; a jego serce jak śliwka węgierka, która przeszła przez wiele rąk, zmięte i zgniecione, straciło całkiem swą przyrodzoną barwę. Łatwiej więc niż kto inny, i już w dwudziestym pierwszym roku życia, przyszedł pan August do tego wielkiego rezultatu naszych czasów, że człowiek tylko przez pieniądze jest czemsiś, a bez pieniędzy niczem. Kłopoty gospodarstwa, nie wystarczajace na wszystkie wydatki, utarczki z dłużnikami i ze szwagrem, utwierdziły go w tej zasadzie. Już więc od tej pory postanowił zdobyć ten talizman, który otwiera wszystkie klamki i daje przystęp do każdego serca. Ale gdy się zastanowił nad swojem położeniem, gdy zimno i bezstronnie rozmierzył swoje zdolności, gdy zważył okoliczności, które go otaczały, spostrzegł, że żadnym innym sposobem dokazać tego nie zdoła, jak przez bogate ożenienie. Zaciągnął się więc jednym rzutem i bez najmniejszego wahania się pod chorągiew tego batalionu myśliwców, którzy wówczas i dziś, z zimną krwią i coraz bardziej wydoskonaloną taktyką polują na bogate żony. To raz przedsięwziąwszy, zapomniał o wszystkich szaleństwach młodości — jak Mieczysław zrobił się w mgnieniu oka starym — zmniejszył wydatki, zamknął się w domu, gospodarował, gromadził grosze, aby się cokolwiek otrząść z kłopotów i przygotować do wielkiej wyprawy na grubego zwierza. Dyabełka się nie wyrzekł, raz, że miał naturalną żyłkę do szu-

lerstwa, powtóre, że tem bardziej teraz pokochał pieniądze, łatwo i w wielkich kuszach nagle wpływające; a grał szczęśliwie, zimno, i zawsze prawie wygrywał.

Mimo tych wad, mimo zamiarów egoistycznych i niemoralnych, przyznać potrzeba, że pan August był bardzo miłym i ujmującym człowiekiem. Powierzchowność miał piękną, twarz przystojną, zwykle zimną, ale posłuszną jego woli — mogącą przybrać wyraz tkliwy i rozrzewniony; wzrok bystry, głos męski i dźwięczny. Ubierał się zawsze starannie. Przytem zdolności miał, jak powiedzieliśmy, wielkie: pamięć ogromną, rozsądek zdrowy, i w obejściu się z ludźmi ton łatwy, godny i naturalny. Jak wódz, zamierzający ważną ekspedycyą, robi wszelkiego rodzaju przygotowania, tak i pan August, nie tylko myślał o zewnętrznych środkach podobania się — wszystek czas, który mu zbywał od gospodarstwa i dyabełka, obracał na czytanie, i w przeciągu dwuletniego zamknięcia się w domu wiele skorzystał. Gdy raz ubrany z całą elegancyą, na jaką Podole zdobyć się mogło, gładząc wąs średnim palcem pięknej swej ręki, stanął przed zwierciadłem dla wyegzaminowania się, czy może już rozwinąć chorągiew i uderzyć w trąby, przypomniał sobie, że nic nie widział oprócz Jarmoliniec i Berdyczowa. Upokorzony tą myślą, i wiedząc, że zupełnie innem okiem patrzą u nas, szczególniej kobiety, na człowieka wracającego z zagranicy, postanowił i ten jeszcze powab przydać swojej osobie, i tak skompletować swe uzbrojenie do zaczepnego działania. Zebrawszy się więc z całemi siłami, pojechał do Warszawy, stamtąd do Berlina, nad brzegi Renu, do Szwajcaryi, zajrzał do Włoch, i po roku wędrówki wrócił do domu w jesieni. Kontent z siebie, zmierzywszy swe siły, i postrzegłszy, że oszczędność, dobre urządzenie gospodarstwa, i szczęśliwa ciągle gra powiększyły znacznie jego fundusze i oczyściły go prawie z grzechow młodości, postanowił tejże zimy rozpocząć łowy na seryo — i dlatego umyślił udać się na kontrakty do Kijowa lub do Dubna.

W takiem usposobieniu wybiera się w podróż, gdy niespodziewany interes powołał go do Odesy. Odebrał on urzędowe zawiadomienie, że mu ciotka umarła, po której został dom i kapitał w komercyjnym banku odeskim. Że była bezdzietna, a przytem kobieta dobra, mająteczek, który mąż był zebrał i jej zapisał, przekazała dzieciom swej siostry. Chociaż pan August nie spodziewał się, aby to było coś wielkiego, ale że od przybytku głowa nie boli, uzbroiwszy się więc w plenipotencyą siostry, wybrał się i pojechał. Nie tracąc nigdy z myśli jednego celu, dla którego żył i egzystował na tym świecie, postanowił i z tej okoliczności korzystać, i wszystko, coby zebrał ze sprzedaży ruchomości ciotki, z czego nie czuł się obowiązanym składać rachunku siostrze, obrócić na dokompletowanie swej garderoby. Właśnie więc ukończywszy interes, i uprowidowawszy się we wszystko, czego potrzebował, powracał nazad, gdy przypadek, który się musi do wszystkiego wmieszać, przez złamanie sanek przyśpieszył epokę tej ekspedycyi, do której się lat tyle i tak sumiennie gotował.

. . . .

Był on[1]) wszędzie i gościem strasznym i pożądanym, każdy bowiem drżał, aby się przed nim nie wydać ze swoimi sekretami, a rad był dowiedzieć się sekretów sąsiada. Przyjmowano go więc wszędzie uprzejmie, trzymano przy nim na wodzy serce, oczy i język, ale zato pozwolono mu gadać o bliźnim, co mu ślina do gęby przyniosła.

Takiego szwagra mając pan August, użył naturalnie całej dyplomacyi, aby go ujął i aby miał za sobą tę trąbę powiatową. Oddał się więc cały siostrze i szwagrowi, i to z taką sztuką, z taką naturalnością, z tak mocnem postanowieniem puszczenia sentymentalnego tumana, że biedną siostrę rozrzewnił do łez, i pana Kaspra, który z początku miał się bardzo *defensive*,[2]) był zimny, często mrugał i starał się go przeniknąć, zderutował wreszcie kompletnie i zupełnie wyprowadził w pole.

Gdy, po dwóch przeszło tygodniach takich manewrów, siedzieli raz obaj, i zjadłszy dobry obiad i wypiwszy po kilka kieliszków Soternu, rozmawiali, rzekł pan Kasper:

— Czy wiesz, Auguście, że ja miałem o tobie zupełnie inne wyobrażenie?

— Jakież miałeś? — zapytał pan August, ogryzając cygaro.

— Ty wiesz — mówił pan Kasper — że ja się nie żenuję z tem, co myślę o drugich.

— Och! wiem — odpowiedział pan August.

— Otóż ja zawsze myślałem — mówił dalej pan Kasper, poprawiając się na kanapie i mrugając prawem okiem — żeś ty egoista pierwszego rzędu, gotów poświęcić wszystko swemu interesowi.

— I nie omyliłeś się — odpowiedział pan August — żem egoista, jeżeli weźmiesz ten wyraz w takiem znaczeniu, jakie do niego u nas zwykle przywiązują. U nas egoistą nazywa się każdy porządny człowiek, który porzuca szalone życie, zamyka się w domu, nie przyjmuje zgrai próżniaków, zmniejsza i obcina swoje wydatki, aby mu wystarczyło na zapłacenie grzechów młodości i zobowiązań dla rodzeństwa. Gdybym był kredytorów moich pokrzywdził, wyprawił ich z kwitkiem; gdybym był posagu twojej żonie nie wypłacił, lub ją odrwił, jak robią inni z siostrami; gdybym był wsi nie przyprowadził do porządku, gospodarstwa nie podniósł, kilku tysięcy na książki nie wydał, drugich kilku nie stracił, żeby obaczyć, co się na świecie dzieje i otrzeć się między ludźmi; ale gdybym był to wszystko użył na baliki, na hulanki, na jarmarki i wybory, a przytem wiele gadał o ludzkości, o socyalnych postępach, nie mianoby mnie za egoistę. Byłbym poczciwy, dobry chłopiec, ale za to odłużony, goły i głupi, jak inni.

— Czy wiesz? — rzekł pan Kasper, wysłuchawszy tych słów zręcznych i tak na pozór dobrze go usprawiedliwiających — wybornie mówisz, prawie tak, jak ja, kiedy jestem w sztosie. Ale tu nie o to idzie, kochanku! Każdy, a ja więcej niż inni, pochwalałem

---

[1]) pan Kasper, „kulawym dyabłem“ przezwany. [2]) *defensive* = obronnie.

twoje postępowanie po śmierci matki waszej. Dałeś dowód wielkiej energii charakteru, zmieniwszy się tak nagle, tak stanowczo, tem bardziej, żeś był wówczas tak młody, i pod czarami takiej syreny, jak pani Onufrowa, która wszystkimi powabami swego ciała i rozumu ciągnęła cię w otchłań perdycyi[3]). I między nami mówiąc — dodał pan Kasper, mrugając okiem — ona cię do tej pory zapomnieć nie może. Kilku już...

— Zaczynasz obmowę, panie Kasprze! — przerwał pan August, przybrawszy poważną i skandalizowaną minę. — Wróćmy lepiej do mojego egoizmu. Jeśli masz co złego powiedzieć, to mów o obecnym.

— *Rien n'est beau que le vrai*[4]) — dodał pan Kasper. — Co zaś jest pięknem, będąc prawdziwem, to nie może być złem. A to jest prawda najprawdziwsza, żeś panią Onufrową okropnie skrzywdził! Byłem sam świadkiem, kiedy o tobie mówiła. Z jaką pogardą wówczas wzrok jej padał na biednego Stasia, który siedział obok ze spuszczonym nosem; na pana Hipolita, który niby nie słyszał, co mówi; na kapitana, który tylko pokręcał wąsa i uważał te jej słowa za wyjątek ze swojej miłosnej dymisyi. — No, no, nie wstawaj, nie uciekaj — mówił dalej, widząc, że pan August, ruszywszy ramionami, powstał i chciał iść do pokoju siostry. — Usiądź. Wrócimy do naszego przedmiotu: bo nie wiesz, dlaczegom zaczął tę rozmowę. — Usiadł pan August, a pan Kasper tak dalej ciągnął: — Nazwałem się egoistą nie dlatego, żeś zaprzestał hultajstwa, ale żeś mi się zdawał zimnym, bez serca, niezdolnym kochać nic i nikogo, prócz siebie.

— Oho! — rzekł pan August, zagryzając wargi — zdawało mi się, żeś bardziej przenikliwy. Czy dla tego, żem się śmiał z łez pani Onufrowej?

— Dlatego, kochanku — odpowiedział, mrugając prędko okiem, pan Kasper — żeś patrzył obojętnie na łzy matki, żeś się wyśmiewał z czułości siostry, że od tego czasu, jakeś się zreformował, nie zdarzyło mi się widzieć, ani słyszeć o żadnym postępku, któryby ci się wyrwał z serca, któryby nie był obmyślony i nie miał swojego źródła w arytmetyce. Utwierdziła mnie w tem mniemaniu o tobie i twoja powierzchowność. Ta ciągła zimna krew, to ustawiczne czuwanie nad sobą, ta rezerwa w każdym kroku i słowie, nie są naturalne młodemu człowiekowi z gorącem sercem i z wylaną duszą. Odkądeś się zreformował, nie powiedziałeś nigdy ani jednego głupstwa...

— Którebyś ty podchwycił — przerwał pan August.

— Nie wydałeś się z żadnym sekretem...

— Którybyś ty natychmiast rozniósł — przerwał znowu pan August. — I dlatego miałeś do mnie pretensyą, żem ci nie dawał na siebie broni. A toż nie egoizm?

— Żem nie egoista, dam ci zaraz najlepszy dowód — rzekł pan Kasper.

[3]) perdycyi = zaguby. [4]) pięknem jest to tylko, co prawdziwe.

— Ciekawym.

— Oto ten, że jakkolwiek jestem dyabłem, i do tego kulawym, przyznam ci się z pokorą, żem się w zdaniu mojem o tobie grubo pomylił — powiedział pan Kasper i wyciągnął do niego rękę.

Albo głupi, albo filut — pomyślał pan August i podał mu rękę milcząc.

— Dwa tygodnie przeszło siedzę już u ciebie i egzaminuję cię bardzo skrupulatnie.

— Szkoda, żeś mi tego pierwej nie powiedział. Byłbym się miał na ostrożności — rzekł z umysłem pan August.

— Niebyś był na tem nie zyskał — odpowiedział kulawy dyabeł. — Twoje postępowanie wziąłbym był za aktorstwo, i wyjechałbym był od ciebie, nie zmieniwszy mojej myśli o twojem sercu. Teraz, gdyś się pokazał, jakim jesteś, nie spodziewając się, że na ciebie patrzą, gdym się przekonał, że oprócz siebie możesz jeszcze kochać szczerze, serdecznie siostrę, a przy niej i mnie trochę; gdy widzę, jak się obchodzisz ze swoimi ludźmi, ze swoimi sługami; gdy na pierwsze słowo mojej żony zgodziłeś się chętnie na przyczynienie dwóch tysięcy do posagu, który my dajemy waszej biednej krewnej, a nadewszystko, gdyś sukcesyą po ciotce rozdzielił tak, że oddajesz siostrze gotowiznę, która nam potrzebniejsza, a sobie zostawiłeś jakiś tam grat, który ci nie przyniesie dochodu, i zrobiłeś to dlatego, że siostra biedniejsza, i że ja jestem *nequam*[5]) jako gospodarz, wracam ci mój szacunek i oświadczam, że masz we mnie sprzymierzeńca w wielkim twoim projekcie.

— W jakim projekcie? — zapytał pan August zdziwiony.

— Wszak myślisz się starać o pannę Wołczyńską — odpowiedział pan Kasper, mrugnąwszy z lekka okiem.

— Skąd ci to u dyabła przyszło do głowy? — zawołał pan August, zrywając się z miejsca.

— Wszak jechałeś z nią razem od samej Sewerynówki aż tu — mówił dalej pan Kasper — i ledwie nie całą drogę w ich karecie i naprzeciwko panny Klary.

— Skądże ty to wszystko wiesz?

— Och! wiadomo ci, że ja wiem więcej, niżby niejeden i niejedna sobie życzyli — odpowiedział pan Kasper. — Każdy ma swoje rzemiosło. Pan Michał pisze książki, pan Władysław fabrykuje krzywe kocze, pan Hipolit wygotowuje kwaśny cukier, a ja zbieram wzorki, gromadzę nowinki, śledzę słabości moich sąsiadów i sąsiadek, i puszczam to wszystko w obieg, temu dla nauki, temu dla przestrogi, tej, aby wiedziała, co o niej mówią, i strzegła się, tamtej, aby nie przyganiała garnkowi, kiedy sama smoli.

— To znaczy, żeś wyidealizował plotkarstwo — rzekł pan August, śmiejąc się.

— Wiem ja o tem dobrze, że mnie nazywają plotkarzem, i nie myślę się o to gniewać — odpowiedział pan Kasper. — Jest to po-

---

[5]) nicpoń, do niczego.

zycya, którą sobie zrobiłem w towarzystwie. Bez tego nie miałbym żadnej, ani z majątku, który mały, ani z urodzenia, które podejrzane, chociaż mię heroldya utwierdziła. Pozycya z nazwania nie bardzo zaszczytna, ale w rzeczy użyteczna. Wymaga ona rozsądku, przenikliwości, odwagi i sumienia. Nikt mnie jeszcze nie złapał na fałszu, na łatwowiernem roznoszeniu potwarzy; nikt mi nie może zarzucić, abym przypiął łatkę komuś takiemu, coby na to nie zasłużył. Dlatego boją się mnie i szanują. Obacz, jak każdy w towarzystwie, w którem ja jestem, ma się na ostrożności, jak stara się okazać lepszym, niż jest, jak mierzy słowa i kroki. Przy mnie prezesowa nie śmie komplementów mówić deputatowej; przy mnie pani Józefowa nie śmie zawieszać na czarnej wstążeczce krzyżyka i nosić go na piersiach, bo wie, że ja zacznę mówić o profanacyi znaków świętych; przy mnie pani Kajetanowa nie śmie otulać męża, żeby się nie przeziębił, nazywać go swoim gołąbkiem, koło niego gruchać, bo wie, że ja w ten moment zacznę mówić o panu Ambrożym, wychwalać jego rude wąsy i szerokie plecy. Słowem, mogę cię upewnić, że w każdym domu, gdzie ja jestem, wszystkie rażące wady równie gospodarza, jak gości, siedzą cicho na dnie serca, jak żaby w błocie, kiedy czapla stoi na brzegu. Czyż to nie jest być użytecznym? — dodał, mrugając okiem.

Widział pan August całą trafność tego ostatniego postrzeżenia, które jakby umyślnie było zastosowane do niego; spuścił więc oczy i na chwilę umilkł. Ale czując, że na niego patrzy pan Kasper, i bojąc się, aby go nie przejrzał, podniósł głowę i rzekł z uśmiechem:

— Czy wiesz, panie Kasprze, żeś tak zręcznie i tak ładnemi farbami siebie wyilluminował, że zupełnie teraz z innego punktu patrzę na twoje rzemiosło i widzę, żem się także grubo mylił, mając cię za człowieka, który tylko dogadza swojej złośliwości i świerzbiączce języka.

— Niezupełnie jesteś szczerym, kochanku! i dlatego frazes twój wykręcony — odpowiedział pan Kasper, mrugnąwszy. — Ale dajmy temu pokój, co o mnie myślisz, a wróćmy do rzeczy. Pannę Klarę kochasz, co?

— Kocham — odpowiedział, zająknąwszy się cokolwiek na tem słowie, bo to było wierutne kłamstwo.

— A co większa i lepsza, panna Klara cię kocha. Nie tak-że?

— Zdaje mi się — odpowiedział pewniejszym głosem pan August.

— Wszakże jeśli sądzisz, że zdobywszy serduszko panienki, zdobyłeś bateryą, która jest kluczem do fortecy, to się mocno mylisz — rzekł pan Kasper.

— Wiem, że tam jest jeszcze matka i ojciec — odpowiedział nasz Spekulant.

— Dwie rzeczy tak różne, jak niebo i ziemia — mówił dalej kulawy dyabeł; — dwie istoty tak do siebie niepodobne, jak pani Hieronimowa do swojego portretu, bo ona brzydka duszą i ciałem, a portret piękne ma rysy i anielski wyraz. Stąd wnieś, jak ci wiele

zostaje do zrobienia. Chorążyna jest kobieta zacna, dobra, szlachetna, jest to anioł w ludzkiem ciele, wzór cierpliwości i ideał matki.

— Panie Kasprze! — rzekł pan August.

— Dziwisz się — odpowiedział pierwszy — że z ust moich wychodzą tak bezwarunkowe pochwały? Powiedziałem ci, żem tylko tym wypowiedział wojnę, którzy na to zasługują.

— I nie mylisz się nigdy? — dodał pan August ironicznie, jakby mu chciał przypomnieć jego zdanie o sobie.

— Bardzo rzadko — odpowiedział pan Kasper, mrugając nań prawem okiem, tak, że pan August musiał spuścić oczy ku ziemi; a chcąc rozmowę co prędzej zwrócić do dawnego przedmiotu, dodał:

— Co się tyczy Chorążyny, toś się nie pomylił. Krótko z nią byłem, ale zbliżenie i poufałość podróży dały mi ją z gruntu poznać.

— Z tego tedy widzisz, bo masz rozum, że niczem innem nie przeciągniesz jej na swoją stronę, jak nieskażoną reputacyą dobroci serca, szlachetności uczuć, obyczajów i t. d.; że z rąk tej matki nie wydrzesz córki, choćbyś był bogatszym od pana Marcelego, jeżeli jej nie przekonasz, że ją kochasz nad wszystko, że ona z nikim nie będzie tak szczęśliwą, jak z tobą. Bo ostrzegam się, że ta delikatna, łagodna, dobra kobieta, stanie i nasroży się jak lwica nawet przeciwko swemu mężulkowi, gdyby chciał dla pieniędzy poświęcić szczęście jej dziecka.

— O! dziękuję ci, kochany bracie — rzekł pan August z udanym zapałem — że tak umacniasz moje nadzieje. Sądzę, że już mam za sobą Chorążynę, że nie zepsuje o mnie tej opinii, jaką ma teraz.

— A wiesz, komu za to będziesz obowiązanym? — zapytał pan Kasper.

— Zdaje mi się, że najpierwej sobie — odpowiedział pan August.

— Tym dwom tygodniom, mój łaskawco — rzekł kulawy dyabeł — które tu przepędziłem u ciebie, i przekonaniu, jakiego nabyłem o twojem sercu i charakterze. Gdybym był został przy dawniejszem, gdybym się był nie przeświadczył, że mnie twój zimny pozór oszukał, byłbyś siedział na koszu. Teraz masz we mnie sprzymierzeńca, i bądź pewny, że nie takiego, którymbyś mógł pogardzać.

— Zmiłuj się! czyż ja tego nie wiem? — rzekł pan August, wyciągając do szwagra rękę; i w duchu sobie dziękował, że się tak prędko zwyciężył w swojej obojętności dla siostry, i że tak skutecznie przez całe dwa tygodnie wyrabiał w sobie sentymenta.

— Co się tyczy papy — mówił dalej pan Kasper — to już twoja rzecz; ale i w tem mogę ci dać dobrą radę.

Na te słowa pan August przysunął się z krzesłem i nadstawił uszy: bo w jego myśli to była najważniejsza i jedyna przeszkoda.

— Chorąży — mówił dalej kulawy dyabeł — jest to stworzenie dziwnego nabożeństwa. Dwie są sprężyny, które poruszają tę potworną machinę: pierwszą jest skąpstwo i miłość grosza, drugą próżność i chęć wystawy. Pierwszej daj pokój, bo nie masz dość siły, aby ją poruszyć. Sto pięćdziesiąt dusz, które posiadasz, stano-

wią zapewne mająteczek piękny; a w twoich ręku znaczą trzy razy tyle, niżby znaczyły u mnie. U ciebie wszystko po pańsku i jeden tylko dyabełek wie, jak ci na to staje — dodał, pochyliwszy głowę i mrugnąwszy kilka razy okiem. Dla Chorążego jednak to kropla w morzu. Mojem zdaniem, wszystkie swoje dźwignie powinieneś obrócić na drugą sprężynę tej machiny, to jest na jego próżność. Chorąży naprzód chce uchodzić za wielkiego pana; i jest nim, bo ma dochód znaczny, a nie ma długów. Przesadzaj zatem jego dochody a ujmiesz go tem nieskończenie. Uśmiechasz się, że to, co mówię, sprzeciwia się głównemu znamieniu skąpca, który się zawsze udaje za ubogiego. W rzeczy samej tak jest wszędzie, ale nie u nas. U nas próżność przygłusza wszystko, i wyłazi wszędzie na wierzch, i panuje nad każdem uczuciem, jak oliwa nad wodą. Powtóre Chorąży chce uchodzić za wielkiego gospodarza. Daj się więc oprowadzać wszędzie; pokaż, że się znasz na tem i owem, ale ciągnij go za język, niech ci prawi swoje teorye; każ je sobie powtarzać, abyś nie zapomniał, i zrobisz z niemi to, co on robi, co robi tylu innych naszych panów ze wszystkiemi teoryami, któremi się popisują.

— Cóż takiego? — zapytał pan August.

— Nie używaj ich tak, jak ich używa Chorąży. On gospodaruje po staremu, po chłopsku: bo wie, że z tego najpewniejszy dochód; ale prawić ci będzie, dla pokazania się, duby smalone o różnych ulepszeniach, które sam porobił w zasadach Thaera, Oczapowskiego i innych. Po trzecie, pan Chorąży chce uchodzić za wielkiego mechanika. Ciągnij go więc do młyna, który, notabene, jest taki młyn, jak i nasze; ale on ci tam pokaże cudowne pomysły swojego geniuszu, które ty powinieneś widzieć, admirować ich nowość i prosić o dokładne ich objaśnienie. Po czwarte...

— A to widzę końca niema — rzekł pan August.

— Kochanku! — odpowiedział pan Kasper, mrugnąwszy strasznie okiem — czyż próżność polska ma koniec? Otóż powiadam ci po czwarte, że pan Chorąży chce uchodzić za wielkiego architekta. Wybudował ogromny dom, monstrum pod każdym względem, ale monstrum widne zdaleka. Gdy więc pojedziesz, weź z sobą perspektywę i umyślnie zwróć drogę na trakt pocztowy. Choć przez to nałożysz z półtory mili drogi, ale będziesz mu za to mógł powiedzieć i opisać, jak ten dom bryluje zdaleka. Bądź niezmordowanym w wysłuchaniu wszelkich szczegółów rozporządzenia, wielkości, wymiaru pokojów; ale wprzód, nim pojedziesz, przeczytaj jakie kompendyum z mitologii.

Parsknął ze śmiechu na te słowa pan August i zawołał:

— Cóż to? czy Chorąży ma pretensyą i do filologii?

— A cóżby to było dziwnego? — odpowiedział pan Kasper. — Do czegoż my nie mamy pretensyi? Ja ci daję dobrą radę, a do ciebie należy usłuchać jej, lub nie.

— Ale któżby nie usłuchał tak rozumnego doradcy — rzekł pan August, biorąc obie jego ręce i ściskając je z uczuciem wdzięczności, która tym razem była szczerą i prawdziwą. — Wierz mi,

panie Kasprze! nie mogę sobie darować, żem cię do tej pory znał tak mało. Tyś prawdziwy filozof!

— Plotkarz-filozof — odpowiedział kulawy dyabeł, mrugając okiem. — Nazywaj mnie, jak chcesz, ale słuchaj mojej rady.

Gdy to mówił, siostra Augusta, która się miała daleko lepiej, wyszła ze swojego pokoju. Łzy się zakręciły w oczach tej dobrej kobiety, gdy obaczyła brata i męża trzymających się za ręce. Pan August, który pamiętał dobrze cały ciąg rozmowy, i widział teraz tem lepiej, jak dalece pomoc szwagra była mu potrzebna, poskoczył ku siostrze, i całując jej ręce z uczuciem dobrze bardzo odegranem, zawołał: moja droga Maryniu! nie wiesz, jakem ci wdzięczny, żeś tu przyjechała i jego mi z sobą przywiozła!

Tu nastąpiła tkliwa scena między rodzeństwem, w której jedna tylko Marynia była w uniesieniu szczęścia. Pan August zimne usta przykładał do jej gorącej twarzy i udawał wylanie; pan Kasper zaś coś jak gdyby postrzegał z jego strony przesadę, a zatem komedyą, przechylał głową i zaczynał mrugać prawem okiem.

. . . .

Pan August Molicki, rozstawszy się z siostrą i szwagrem ze wszystkiemi oznakami przywiązania, postanowił nareszcie wybrać się do Niedolipia. Nie tęskno mu było do panny Klary, bo jej nie kochał, nie żal mu było, że się biedna panienka dręczy i może płacze, bo pan August nikogo nigdy nie żałował, a przytem wiedział z doświadczenia, że łzy, które dawniej wyciskał kochającym go kobietom, były jak deszcz padający na łąkę. Jak po nim trawa zieleńsza, tak uważał, że po płaczu zawsze miłość bywa gorętsza i głębsza. Dlatego nie bał się bynajmniej przez to odwlekanie stracić cokolwiek w sercu panny Klary; owszem, pewnym był, że im mniej okaże się nadskakującym, tem silniej rozmarzy się jej głowa i wzmocni namiętność. Lecz osądziwszy, że już czas, z flegmą, jak gdyby jechał dla ważnego interesu, wybierał się, rozważając, jak dalece i jak miał korzystać z rad szwagra, które mu się dość trafnemi wydały.

Przypadek, który lubi czasem pomagać i wspierać ludzki rozum, a który także lubi wywracać i psuć plany najlepiej ukartowane (i któż wie, co jest tak nazwany przypadek i od kogo on zależy?), przypadek, mówię, zrządził, że tegoż samego dnia Chorąży wyjechał do drugiego folwarku, leżącego o półtory mili od Niedolipia i za traktem pocztowym. Może umyślnie dlatego wybrał ten cel przejażdżki, aby obaczył, wracając nazad, jak też zimową porą, przy jasnym zachodzie słońca, wydaje się z traktu dom jego. Wszakże jest to domysł, który tak rzucam nawiasem, nie chcąc bynajmniej twierdzić, że innych powodów nie było.

Bądź co bądź, gdy pan Chorąży, wracając już do domu, jechał śpiesznie drożyną prostopadle wiodącą od jego wsi do traktu pocztowego i przecinającą go dalej pod kątem prostym, postrzegł na samem owem przecięciu stojące sanie i w nich dzielną czwórkę w krakowskich chomątach, a w saniach mężczyznę, który obrócony

na lewo, gdzie stał dom jego, przypatrywał mu się z wielką attencyą i coś jakby przez perspektywę. Serce architektoniczne zaczęło bić w piersiach pana Chorążego tak silnie, jak biło wówczas, gdy ładna, dobra i mająca czterykroć posagu pani Chorążyna odpowiedziała ojcu z pokorą: — Jeżeli ojciec dobrodziej każe, to pójdę.

— Ruszaj prędzej — krzyknął na furmana, i szybko posunął się kłusem, chcąc zajrzeć w oczy takiemu amatorowi sztuk pięknych i złapać jeszcze na trakcie, nim pojedzie dalej, tak pełnego gustu znawcę. Ale ten znawca nie myślał ruszać się z miejsca, bo to był pan August, jak się łatwo czytelnicy domyślają. Dlaczego zaś w tem samem miejscu się zatrzymał, o tem mam sobie za obowiązek powiedzieć słów kilka, czując to dobrze, że spotkanie to, na pierwszy rzut oka, ma minę strasznie naciągniętą.

Ze pan August pojechał traktem i przyczynił sobie drogi, to już wiadomo, z jakiego powodu i z czyjej rady. Przyjechawszy blisko tego miejsca, na którem właśnie się zatrzymał, postrzegł na lewo dom, pod którego dachem biło serce tak czyste, tak go kochające! przez którego szyby patrzyły ku niemu oczy tak błękitne, tak piękne! Ale o tem wszystkiem pan August wcale nie myślał. On chciał rzucić okiem na ten produkt talentu Chorążego, aby mu mógł coś o nim powiedzieć, i przydać jakiś szczegół, któryby pokazał, że się przypatrywał pilnie i z admiracyą. Z tej więc przyczyny kazał jechać stępo. Gdy furman dojechał do drogi przerzynającej trakt, zatrzymał się i zapytał: — Czy tędy pan każe jechać? — ukazując drożynę na lewo, która zdawała się prowadzić do pałacu.

— Czyż ja wiem? — odpowiedział pan August. — To twoja rzecz patrzeć, żebyś nie zbłądził.

Wówczas Franciszek, który także siedział na koźle, któremu pilno było do Niedolipia, i który z pewnych ważnych powodów bał się, aby nie zbłądzić, o co w zimie i pod wieczór nie trudno, zawołał: — Tam, panie, krzyżuje się wiele drożyn, że nie wiedzieć, która dobra. Ale oto ktoś do nas jedzie z prawej strony, to zapytamy się. Czy pan pozwoli trochę zaczekać?

— Mniejsza o to — odpowiedział pan August, opierając się w saniach i patrząc z niechcenia na dom Chorążego. Ale gdy się Chorąży zbliżył, Franciszek poznał go i zawołał: — Panie! to sam pan Chorąży jedzie.

Jak koń zmęczony marszem i idący ze spuszczoną głową, gdy nagle trąba bojowa uderzy, ożywi się, podniesie łeb, zestrzyże uszy, roztworzy nozdrza i zaogni oczy, tak i pan August na te słowa innym zrobił się człowiekiem. Nie obejrzawszy się nawet na prawo ku Chorążemu, wychylił się prawie z sanek na lewo, ku jego domowi, dobył w mgnieniu oka perspektywę, przykładał ją do oczu, rychtował, przechylał głowę, i w takiem zachwyceniu estetycznem był póty, póki Chorąży nie nadjechał, nie wysiadł z sanek, zacierając ręce od radości i nie zajrzał mu w oczy, obchodząc jego powóz.

— Co widzę? wszak to pan Molicki? — rzekł Chorąży.

— Ach, pan Chorąży dobrodziej! — zawołał pan August, jakby wychodząc z letargu; i podnosząc się prędko, wyszedł z sanek. — Przepraszam szanownego pana, żem nie postrzegł autora, zapatrzywszy się na jego dzieło.

— O! o! — odpowiedział Chorąży, dawszy temu wykrzyknikowi ową intonacyę skromności, która nam tak dobrze znajoma, mili bracia autorowie!

— Panie Chorąży dobrodzieju! — przerwał pan August — widziałem cokolwiek świata, i powiem panu szczerze, że mało jest rezydencyj, któreby tak z daleka wyglądały, jak ten pałac.

Chwycił pan August za serce Chorążego tem słowem, jak kleszczami; postrzegł to, i przykładając jak od niechcenia perspektywę do oka, zawołał: — Co za harmonia!

— Czy pan zawsze z perspektywą jeździsz? — zapytał pan Chorąży.

— Broń Boże! Tym razem tylko wziąłem ją; i jeśli nie obrażę skromności twojej, panie Chorąży — dodał z wyrazem ambarasu — to ci powiem, dlaczego.

— O! zmiłuj się! — odpowiedział Chorąży, biorąc go za rękę i ściskając czule.

— Oto przyznam się panu, że jadę do Niedolipia z zamiarem przypomnienia się znajomości tak szanownego obywatela i tak znakomitego gospodarza (za każdem tem słowem Chorąży podnosił się i spadał na śniegu, który pod piętami jego dziwne jakieś cmokanie wydawał), i dla złożenia uszanowania Chorążynie, którą miałem szczęście bliżej poznać we wspólnej naszej drodze z Odesy.

— Wiem, wiem — odpowiedział Chorąży. — Wyglądają tam pana niecierpliwie. A ja rad jestem, że mogę ci najpierwej podziękować za tę opiekę, jaką moje kobiety miały od ciebie w drodze. Zobowiązałeś mnie pan nieskończenie; i choć to nie miejsce, pozwól się za tę przysługę serdecznie uściskać.

Chorąży otworzył ramiona. Pan August rzucił się w jego objęcia, i filut-spekulant, udający admiracyą, całował filuta-głupca, udającego wdzięczność. Gdy się ta scena skończyła, pan August, kontent z takiego początku i błogosławiąc w duszy szwagra, rzekł:

— Może o tem nie wiesz, łaskawy panie Chorąży, że z mojej wsi do twojego majątku droga wcale inna i daleko krótsza. Ale sąsiedzi dalsi i bliżsi, z którymi widziałem się u deputata, dowiedziawszy się, że mam jechać do Niedolipia, nakrzyczeli mi pełne uszy, żem koniecznie powinien jechać tędy, aby z tego punktu spojrzeć na ten brylant naszego Podola.

— Sąsiedzi dalsi i bliżsi? Oho! czyż oni tu byli?

— Mnóstwo! Obstąpili mnie tłumem i każdy wołał: — A jedź tędy! a patrz na to! — rzekł z efronteryą pan August.

— To coś nakształt reputacyi — powiedział, podnosząc się na palcach Chorąży.

— Czy nie zasłużona? — dodał pan August. — Och! panie Cho-

rąży dobrodzieju! patrz teraz właśnie, kiedy słońce z prawej strony uderza o tę masę murów.

— A! z prawej strony. A prawda — rzekł Chorąży, udając, że coś widzi.

— Patrz pan na ten cień silny od kolumn. Jak to teraz wszystko wychodzi!

— Aleś znawca! — zawołał Chorąży, patrząc z dumą na swoje dzieło i chcąc dojrzeć, co tak wychodzi.

— Widziałem cokolwiek świata — odpowiedział pan August skromnie; potem, przykładając rękę do czoła, dodał: — Jaki to efekt od tych okien oblanych, jakby ogniem, zachodzącymi promieniami!

— Koneser! niech mię dyabli wezmą! prawda, że jak ogniem — dodał Chorąży, imitując gest pana Augusta. I tak długo stali oba, z rękami przy czole, w cichej kontemplacyi.

— Czy uważasz pan, jak te bareliefy brylują na portyku i gipsatury na gzymsach? rzekł wreszcie pan August.

— Ależ masz wzrok! — odezwał się Chorąży, i przymrużał oczy, chcąc dojrzeć bareliefy i gipsatury.

— Pomagam sobie tem — odpowiedział pan August, podając mu perspektywę.

— Pokaż, pokaż. Jeszcze mi nigdy nie przyszło do głowy przyjechać tu z perspektywą. — I przypatrywał się, szukając bareliefów i gipsatur blisko w milowej odległości. Potem rzekł: — Dziękuję ci serdecznie za ten pomysł. Teraz nie ruszę się inaczej z domu. To narzędzie bardzo użyteczne, nawet i w gospodarstwie. Czasem zdaleka obaczysz świnie w pszenicy, lub gęsi w prosie. — W tej chwili odezwał się drugi element jego serca. — Gdy się nasycił tym widokiem, a bardziej gdy poczuł, że w nogi zimno, dodał: — No, jedźmyż teraz, kochany sąsiedzie! Obaczysz, jak ci będą rade moje panie. Ale wierz mi, nie więcej jak ja. Siadaj ze mną, pojedziemy naprzód, a twoje sanie niech idą za nami.

Usiedli obaj i pojechali szybko, rozmawiając jak dwaj przyjaciele, którzy po długiem niewidzeniu spotykają się niespodzianie na drodze życia. Gdy przejeżdżali około folwarku, przypomniał sobie pan August przestrogi szwagra i stosowną wynurzył prośbę.

— Jutro, jutro oprowadzę cię — odpowiedział Chorąży. Gdy przejeżdżali koło młyna, znowu nauki pana Kaspra stanęły mu w przygodzie.

— Widzę, że wiesz o wszystkiem, co się u mnie dzieje — rzekł Chorąży, śmiejąc się.

— Sława stugębna, panie Chorąży dobrodzieju! A chociaż często roznosi głupstwa, ale i pomysły pożyteczne także roztrębuje. Nie masz nikogo w powiecie, ktoby o wynalazkach pańskich nie wiedział, ale przesądni, stojący przy starem, choć wiedzą, gdzieby mogli się oświecić i nauczyć, nie chcą. Ja zaś chwytam każdą okoliczność, która mi pozwala korzystać z doświadczenia i geniuszu drugich. Kto ma majątek niewielki, powinien go podwajać i potrajać wynalazkami i rozumem.

— Człowieku! — zawołał Chorąży zdumiony — mówisz, jak gdybym ja mówił; myślisz, jak gdybym ja myślał — i wziął go za rękę i ścisnął serdecznie; i te wyrazy: wynalazki, geniusz, brzęczały mu w uszach ciągle i długo.

— O! panie Kasprze! — pomyślał w duchu pan August — tyś głęboki filozof. Będziesz miał pomnik w Zakrzówku, jeśli mi się uda.

— Obaczysz wszystko później — rzekł Chorąży — bo nie myśl, abym cię tak prędko wypuścił od siebie. Chyba, że masz co ważnego, co ci przeszkadza.

— Parę dni mogę tym razem zabawić — odpowiedział z udaną obojętnością pan August — i miałbym sobie do wyrzucenia, gdybym nie korzystał z tak dobrego usposobienia pana dobrodzieja w nauczeniu mnie tego, czego mi nie dostaje.

— O! bądź pewny! zawsze gotów jestem na usługi sąsiadów; a dla ciebie wstałbym o północy.

Wjeżdżali na dziedziniec. Nie będziemy opisywać wszystkich grymasów podziwienia, którymi pan August starał się dobić swojego przyszłego teścia; wszystkich znaków przychylności, które nawzajem okazywał mu pan Chorąży, złapany tak znienacka w sidła pochlebstwa i zręcznej efronteryi. Powiemy tylko, że gdy nasz pseudo-pan, pseudo-agronom, pseudo-mechanik i architekt połykał dymek kadzideł, którego słodycz i zawrót jaki daje, nie obcy i nam autorom (a nam mniej niż komukolwiek); w tym czasie nasz Spekulant, czując, jak olbrzymi krok zrobił, przenosił się myślą w czas dalszy, dojeżdżał już niby do swego domu, przerabiał go wedle swego widzi mi się, skupował wioski okoliczne, przyjmował zabiegi braci szlachty, którą wziął za łeb przez zimną krew, rozum i pieniądze; i z coraz nowemi i coraz większemi cyframi igrając w rozkołysanej imaginacyi, o pannie Klarze wspomniał dopiero wtenczas, gdy ją obaczył.



X. Henryk hr. Rzewuski.

Listopad. (1845).

W powieści tej, pierwszej znakomitej próbie przedstawienia dziejów wewnętrznych społeczeństwa naszego w wieku XVIII, stają przed wyobraźnią naszą na tle konfederacyi barskiej i porwania króla w listopadzie 1771 r. dwa żywioły ówczesnej cywilizacyi: żywioł staropolski, oparty silnie na religii i tradycyach domowych, i żywioł reformatorski, pragnący zaprowadzić nieodzowne reformy zarówno w ustawie politycznej, jak w obyczajach i literaturze. Z rzetelnie artystycznym rozmysłem ugrupował Rzewuski przedstawicieli obu kierunków. Na pierwszym planie postawił dwu braci Strawińskich: Ludwika i Michała, którzy wśród odmiennych wychowani warunków, odmiennych też nabrali przekonań i nawyknień. Ludwik, wykwitnie wykształcony, dowcipny, bystry, szlachetny, miał jedną wielką wadę: brak hartu duszy, co go w końcu do samobójstwa doprowadziło. Michał, wychowany u jezuitów, nie odznaczał się lotnością umysłu, ale był człowiekiem prawym poprostu; pobożność jego szczera zasadzała się głównie na wykonywaniu praktyk religijnych; wszystko, co dawne

czci całą duszą i służy wiernie Radziwiłłowi Panie-kochanku w przekonaniu, że służy ojczyźnie; wadą jego główną był brak samodzielności w myślach i postępowaniu. — Obok tych dwu naczelnych postaci, ukazuje się nam na drugim planie z jednej strony król Stanisław Poniatowski, z dworem — oraz jego przeciwieństwo Karol Radziwiłł ze swymi klientami. Po stronie króla zarysował autor parę intrygancką: szambelana Gintowta i kasztelanową inflancką; po stronie księcia — jenerała Kunickiego, wzór pobożności staropolskiej, i Zosię, wzór posłusznych i pobożnych panienek, które dawszy się nawet porwać popędowi namiętności, umieją utrzymać ją na wodzy, krzepiąc się rezygnacyą i poddaniem się woli Opatrzności. Jest także kontrast wśród duchowieństwa: ojciec Kleofas nie wdaje się w rozumowania, lubi rubaszne dowcipy, poufali się z Bogiem i świętymi; ksiądz Prosper to teolog przejęty ważnością swego powołania, przypominający wciąż, że długie i głębokie studya odbywał, zapuszczający się w kwestye subtelne, na niektórych punktach wyrozumiały, w innych surowy; pozuje trochę na świątobliwego. — Na ostatnim wreszcie planie umieścił Rzewuski podrzędne figury: trefnisia Wazgirda, którego poetą narodowym nazywa autor, wiernego sługę Skołubę, odznaczającego się bezgranicznem przywiązaniem do pana i przebiegłością, wreszcie cyniczną parę szynkarzy: Jewkę i Kiścia. Postać Skołuby w swoim rodzaju jest arcydziełem.

Nim Ludwik i Michał, bracia Strawińscy, stanęli na zwodowym moście nieświeskiego zamku, już trębacz przed nimi czatujący otrąbił przybycie nowych gości, a za mostem warta Radziwiłłowska stanęła pod bronią, dla ich uczczenia. Godzina była piąta po południu, kiedy kareta zastanowiła się przed perystylem. czy jak to dawniej nazywano, krużgankiem zamku; natychmiast dwóch sążnistych hajduków otworzywszy karetę, na rękach z niej wynieśli naszych gości i lekko ich postawili na samym progu. Starosta (Ludwik) nie obzierając się za sobą, rzucił płaszcz z plec swojemu strzelcowi, a wojski (Michał) nieco uważniej zdjął huńkę swoją i oddał ją hajdukowi, z napomnieniem, by o niej miał staranie, — a podwoje, prowadzące do wielkiej sali zamku przed nimi się rozwarły.

Zastali w sieniach kilkanaście osób, a między niemi księcia wojewodę, który, jako gospodarz pełen gościnnej grzeczności, za każdem odezwaniem się trębacza biegł do sieni dla przyjęcia każdego, łaskawie pamiętającego na dzień jego imienin. Książę był wysokiego wzrostu, przyzwoitej otyłości, twarzy, na której pogoda serca się malowała i uśmiech, któremu się oprzeć było trudno. Duże oczy błękitne, pełne ognia i dowcipu, błyszczały jak dwa szczęsne luminarze, na licach, których białość mogłaby pobudzić zawiść kobiety. Wedle zwyczaju litewskiego głowę miał wysoko podgoloną, a wąs gęsty, do góry zakręcony, uzupełniał obraz prawdziwego Sarmaty. W dniu tym nosił na sobie mundur albeński, tak jak wojski i wielka część gości przybyłych, z tą tylko różnicą, że wszyscy Albeńczykowie na spinkach nosili cyfrę księcia, a on sam nie swoją cyfrę, ale na podobnej emalii błękitnej miał trzy litery brylantowe F. A. F., których znaczenie było: *fiducia amicorum fortis* (silny zaufaniem przyjaciół). Jak bracia zbliżyli się do niego, książę obu się skłonił, a do wojskiego naprzód obracając mowę:

— A przecież nasz wojski zawitał! Zacząłem już tęsknić za waćpanem, panie kochanku. Generał Kunicki mnie skrewił, myślałem już, że i jego przyszły zięć na mnie niełaskaw.

— Bóg świadek, książę panie, że pan generał nigdy tyle nie narzekał na niemoc swoją, jak dziś, zato jedynie, że waszej książęcej mości służyć nie może.

— To też żart tylko, panie kochanku; moi przyjaciele to całe moje bogactwo; znam ich serce, bo kiedy byłem w biedzie, to ich mogłem doświadczyć. Pan Józef (Kunicki) był moim dobrodziejem, tak jak i pan strażnik, świętej pamięci ojciec waćpana, po którego śmierci nieraz się łzami zalewałem, jak i wszyscy moi Albeńczycy. Za granicą wasz chleb jadłem, to też wszystko, co mam, jest wasze. A wiesz, panie kochanku, że twoja narzeczona już dawno u mnie; w bawialnych pokojach ją znajdziesz z mojemi siostrami. A jaką śliczną dzieweczkę dobrałeś sobie! Ruszajże sobie do niej, panie kochanku, bo widzę, że w duchu dyabłami mnie karmisz za to, że cię tak długo zatrzymuję.

— Wolne żarty waszej książęcej mości, ale w tej chwili nie tyle mi narzeczona moja w głowie, ile to, żebym umiał wynurzyć moją radość, iż doczekałem się dnia, tyle pożądanego dla nas sług i przyjaciół waszej książęcej mości, w którym mogę mu złożyć najgłębsze powinszowanie, najprzychylniejsze życzenia, a razem przedstawić mu mojego brata, starostę wieluńskiego.

— Bardzo się cieszę, że w moim domu przyjąć mogę pana starostę, przypominam się jemu, bo niejednokrotnie na pokojach królewskich miałem zaszczyt oglądać jego oblicze. Cóż to za szczęśliwa dla mnie gwiazda sprowadza pana starostę, orderowego pana i tak znakomitego kawalera wielkiego świata, do domu szlachcica, wieśniaka, i jeszcze w dniu jego imienin? chyba, żeby z nas wzorki zbierać i w Warszawie panów wielkiego świata zabawiać kosztem naszym.

— Mości książę, od dawna chciałem być przedstawiony w jego własnym zamku dostojnemu protektorowi nieboszczyka ojca i żyjącego brata i złożyć mu moje uszanowanie w dniu, tak świetnym dla całego narodu. A król jegomość i wuj jego, książę kanclerz Czartoryski, wiedząc o tym moim zamiarze, na moje ręce przysyłają waszej książęcej mości listowne oświadczenie ich życzliwości, które to listy księciu jmci śmiem składać.

— Z najgłębszem uszanowaniem przyjmuję ten dowód łaskawej pamięci najjaśniejszego króla, pana mojego miłościwego; a co się tyczy księcia kanclerza litewskiego, tem wdzięczniejszy mu jestem, że niezawsze zaszczycał mnie podobną łaską.

— Był czas, mości książę, kiedy kanclerz, za odmiennem idąc przekonaniem, sprzeciwiał się waszej książęcej mości; ale to pewna, że dziś niczego więcej nie pragnie, jak tylko dawać mu niepłonne dowody swojego wysokiego szacunku i życzliwości.

— A tak, tak, teraz i ja o tem nie wątpię, kiedy tak grzecznym listem ją oświadcza dla mnie. Przed kilku laty, w sam dzień św. Karola, ogłosił dekret sejmowy, skazujący mnie jako *hostem patriae* (wroga ojczyzny) na banicyę *et abiudicationem ab omni activitate* (na pozbawienie wszelkich praw obywatelskich); ale dzisiaj

mnie to wynagrodził, przysyłając mnie wcale inne wiązanie. bo już orderowego pana.

— Nie chełpię się z żadnych zasług dla kraju, mości książę, a jeżeli król jegomość, pan mój miłościwy, raczył orderem swoim wesprzeć me dobre chęci, jakkolwiek ten zaszczyt mało waży u w. ks. mości, za złe mi wziąć nie można, że wysoko cenię dowód łaski mojego monarchy.

— Jakto mało ważę? ja panie jego ważę wiele. Może go w duchu w. panu zazdroszczę, bo król mnie tej łaski nie zrobił, by mi pozwolił nosić swój order.

— Wolne żarty w. ks. mości. Król jmć chyba nie śmiał go dać w. ks. mości, jako kawalerowi wyższego orderu u nas i tylu wysokich zagranicznych.

— Nie wierz pan temu, mości starosto! Ja kilka razy przymawiałem się do tego zaszczytu, a król zawsze jakby tego nie chciał zrozumieć. Nareszcie pan Michał Rejtan, który zaraz może mi zadać kłamstwo, jeżeli zmyślam. jako szambelan najjaśniejszego pana, będąc u niego na służbie, wprost, jako łaskawy na mnie przyjaciel, zaczął prosić króla o order św. Stanisława dla mnie; ale król mu powiedział: „Wasz Radziwiłł młody, głupi, nic nie zrobił dla kraju; nie dam, pókąd na niego nie zasłuży“. I tak nas z kwitkiem odprawił.

Starosta zaczerwienił się, zacisnął zęby, ale tyle zostało mu rozwagi, że nie biorąc tego za żadną przymówkę, lekki uśmiech, acz nieco kwaśny, dołączył do głośnych śmiechów orszaku otaczającego księcia. Po chwili milczenia książę się odezwał:

— Mości panie starosto, najpokorniej przepraszam. że go tak długo zatrzymałem w miejscu tak nieprzyzwoitem dla jego godności, ale mam w zwyczaju po naszemu przyjmować gości łaskawych u podwojów mojego domku. Dałaby mi bracia litewska, gdybym aż gdzieś na nią czekał, póki się pierwsza ze mną nie przywita, jak to bywa u koroniarzów. gdzie gospodarz ani ruszy z miejsca, choć turkotanie kół na dziedzińcu zaprasza go do sieni. Proszę pana starosty z sobą na pokoje, bo nasze panie i panny pomyślą, że my na nie jakieś spiski knujemy.

I nisko się jemu skłoniwszy, puścił go przed sobą; a obracając się do wojskiego:

— Panie Michale, coś się trębacze nie odzywają; jak widzę, już nikogo więcej nie mam się spodziewać. Zapieczętowałeś, panie kochanku, liczbę Radziwiłłowskich przyjaciół. Oj, oj, oj. czemuż nie widzę mojego strażnika! to to ja jeszcze sylabizować nie umiałem, kiedy mnie smarkacza uczył nożem do celu trafiać, i na swoją biedę mnie wyuczył, bo potem w zakład rzucamy, on poważny regent, a ja sobie błazenek. Jednego poranku raz u niego dwadzieścia tynfów wygrałem. ale potem te zabawy dały mi się we znaki; ś. p. książę hetnan, mój ojciec, porządną batogową sprawił mi łaźnię za to, że rozmawiającemu z nim panu pisarzowi Rymszy, ciśnięciem noża, wylot od kontusza w ścianę zagwoździłem.

I po tych słowach, wszystkich puszczając przed sobą, poszedł za nimi do pokojów, opierając się z jednej strony na panu wojskim, a z drugiej na panu Michale Rejtanie.

Starosta, przechodząc sale staroświeckiego zamczyska, nie bez zadziwienia uważał skromność jego ubrania. Nie widać było ani bronzów, ani mahoniów, ani tych innych wymysłów, napełniających mieszkania nierównie mniej możnych obywateli w Warszawie. Tu zaś, oprócz kobierców, zawieszonych na niektórych ścianach, żaden zbytek, żadna wykwintność nie raziły równości szlacheckiej. Gdy weszli do sali, nazwanej portretową, że już to się zbliżyła szósta godzina, a pajuki zapalili światła, mógł więc uważać na ścianach szereg długi przodków Radziwiłłowskiego domu, poczynający się od protoplasty Lizdejki, ofiarnika wielkiego Perkuna, a kończący się na księciu Michale, hetmanie wielkim litewskim, ojcu księcia wojewody, którego wąsy, w kształcie kłów dzika strzyżone, coś surowego przydawały do twarzy, zresztą łagodnej. Wisiał jego obraz między dwiema jego żonami: pierwsza z królewskiego domu Wiśniowieckich, matka naszego księcia, druga ze znakomitego wielkopolskiego rodu Mycielskich. Wokoło tej wielkiej sali, pod ścianami były ławki, obite aksamitem utrechckim, kiedyś zielonym; a w przerwach między temi ławkami stały gdzieniegdzie kanapy dwa razy wyższe od ławek, z dwoma stopniami, jak ołtarze, aksamitem pokryte jedwabnym karmazynowym, ale niemniej spłowiałym. Oprócz tego, mnóstwo krzeseł i stołków, z których formowały się różne grupy, było porozrzucanych w rozmaitych dyrekcyach sali. Zamiast dzisiejszych posadzek, w arabeski wyrabianych, była po prostu gładka podłoga dębowa, starannie jednak woskowana. Jedyny sprzęt, któryby w tej sali mógł na sobie zatrzymać czas jakiś wzrok wędrownika, nawykłego deptać szlaki zagraniczne, był to pająk na pułapie zawieszony, z kryształu weneckiego: oświecony trzystu świecami, wprawdzie żółtemi, ale których blask, odbity w tysiącu brylantowych kryształków, zwracał sowicie wszystkie utracone blaski dzienne. Takich pająków w zamku było dwanaście, oświecających w potrzebie rozmaite sale. Była to jedyna spuścizna, spadła po królu Michale na dom Wiśniowieckich, a weszła z różnymi na Ukrainie i Polesiu dobrami w dom Radziwiłłowski, kiedy książę hetman zaślubił ostatniego tego domu potomka.

W tej to sali zebrani byli obojga płci krewni, przyjaciele, klienci i słudzy najpotężniejszego bogactwem i popularnością magnata polskiego. Kobiety, siedzące na ławkach, i matrony poważne urzędem i ważne osoby duchowne i świeckie, na wygodniejszych kanapach, żywą pomiędzy sobą prowadziły rozmowę; inni, usiłując panów i damy zabawić, kolejno od jednych do drugich przenosili grzeczności swoje.

Kiedy książę wszedł do sali z braćmi Strawińskimi, chociaż to jego przyjście może dziesiąty raz się odnowiło, wszystko na chwilę powstało, by go powitać uniżonym ukłonem: on też wszystkim jak najniżej się odkłonił; a zbliżywszy się do księcia biskupa wileńskiego, jeszcze raz mu podziękował za zaszczyt jemu zrobiony jego przybyciem, i dodał, przedstawiając mu swojego gościa:

— Mości książę, przedstawiam waszej pasterskiej mości pana starostę wieluńskiego, zapewne dobrze mu znanego w Warszawie.

— Nie tylko w Warszawie, ale i w Wersalu miałem przyjemność często widywać pana starostę, kiedy to jeszcze był pułkownikiem w wojsku francuskiem; a nawet nieco głębiej możemy zapuścić naszą pamięć, bo znam pana starostę od niemowlęctwa, gdyż byłem bliskim krewnym i opiekunem jego matki.

— Wiadomy mi jest ten zaszczyt, nawet koligacya z waszą książęcą mością niemało mi pomogła do otrzymania orderu św. Łazarza.

— A prawda! — na to książę wojewoda — zapomniałem, że Massalska was rodzi. Ona *secundo voto* była za Mycielskim, kasztelanicem poznańskim, bliskim krewnym mojej macochy. Pamiętam, że w całej Warszawie jego laufer był najbogaciej ubrany i najprędzej biegał.

— Tak jest, mości książę, ale jego majątek jeszcze prędzej biegał, bo syn jego, a nasz przyrodni brat, który służy zaszczytnie w wojsku francuskiem, po nim nie znalazł z czego sprawić sobie żałoby.

— To szczęście — odezwał się książę wojewoda, — że ma zamożnego krewnego w osobie jego pasterskiej mości, księcia biskupa wileńskiego, który mu zginąć nie da. Ale pozwól, mości starosto, żebym w. pana poznał z moją siostrą, Morawską, gospodynią mojego domu.

I zaprowadził go przed panią generałową, która blisko nich stała, opierając się na księżniczce Maryi, najmłodszej siostrze księcia, przezwanej Lilią nieświeską, dla nadzwyczajnej białości i wysmukłości jej kibici. Księżniczka słynęła z piękności, ale tak była nieśmiała, że jej książę inaczej nie nazywał, tylko siostrą-flegmiczką. Ukłonił się starosta księżniczkom, poruszeniem pełnem dworszczyzny oświadczając radość swoją, że może poznać tak znakomite i piękne damy. Na to generałowa rubaszna:

— Panie starosto, tylko ostrożnie z tymi komplementami, bo jak powiesz wyraźniej mojej siostrze Maryi, że piękna, gotowa się rozpłakać. Ja na takie rzeczy mam więcej odwagi, bo jużem tego się nasłuchała, będąc panną. Jednak, starosto, jeżeli zechcesz chwalić piękność moją, nakwasisz czasu niepotrzebnie, bo już mam takiego, co aż do naprzykrzenia unosi się nad moimi wdziękami; oto widzisz go, jak nakręcając wąsa, z niespokojnością na nas spogląda. Ale obejrzyj się wokoło siebie, mój starosto, a obacz, ile tu znajdziesz piękności, które nietylko mową, ale i wierszem pochwalić można, chociaż to prawda, że po paryskich i warszawskich może nasze wieśniaczki nie najlepiej się wydadzą jego oczom.

— *Princesse*, piękność Polek jest słynną w całej Europie. Ile razy w Wersalu jaka dama nasza pokazała się dla uczczenia królowej rodaczki, rozpacz była pomiędzy Francuzkami. I aż nadto o tem przekonać się można, okiem wokoło siebie rzuciwszy. Ale gwiazdy gasną przy słońcu, obok którego się znajdują.

Generałowa parsknęła śmiechem.

— Piękna to poezya, panie starosto, ale wolę pana w krainę rzeczywistości zaprowadzić, pokazując mu osobę, którą ze wszelkiego względu winieneś poznać.

I w głos się odezwała:

— Zosiu, Zosiu, mam ci coś ciekawego do pokazania.

Na te słowa powstała młoda dziewica z ławki, gdzie siedziała obok osoby już podeszłej w wieku, i z postawą pełną uszanowania i skromności przybliżyła się do generałowej. Czystość jej rysów, żywość granatowych oczu, osłoniętych długiemi a ciemnemi rzęsami, giętkość jej talii, wszystkie te wdzięki razem, wprzód jeszcze nim usta otwierała, już zniewalały, a sposób, jakim była ustrojoną, przekonywał o stopniu położenia towarzyskiego, na którym Opatrzność ją umieściła. Wszystko tak było dobrane, tak sporządzone z tym smakiem wrodzonym, którego wszystkie narody zazdroszczą naszym Polkom, że niema na kuli ziemskiej miejsca, gdzieby zjawienie się podobnej niewiasty, w takim stroju, jakiegoś wrażenia nie zrobiło.

— Powiedzże teraz, mości starosto — rzecze pani generałowa Morawska, śmiejąc się — która tu z nas gwiazdą, a która słońcem?

Stanął jak wryty starosta na widok tylu wdzięków, którym karmin wstydu, po tych słowach generałowej, nowych powabów przydawał. Skłonił się jednak pannie z uszanowaniem, jakiegoby przed królową francuską większego nie okazał, a mowę obracając do generałowej, rzekł:

— *Princesse*, domyślam się, że ta szlachetna pani musi być jedną z jej sióstr, a więc wszystkie, należąc do jednego rodu luminarzów, bez żadnego spółzawodnictwa z sobą, możecie panować nad nami.

— Nie, mości starosto, mylisz się, i jak widzę płonne to rzeczy, co ludzie mówią o zmyślności serca; bo gdyby ona była wistocie, powinienbyś był zgadnąć, kto jest ta panna, tak hoża: jest to Zosia Kunicka, przyszła pańska bratowa.

Zosia zarumieniła się, a generałowa odskoczyła od nich, śmiejąc się do rozpuku, i skacząc przybiegła do wojskiego, by mu opowiedzieć poznanie brata z jego narzeczoną.

Chwil kilka starosta pozostał w milczeniu; nakoniec wziął Zosię za rękę, a przycisnąwszy ją do ust:

— Pani — rzecze — ileż szczęśliwym się czuję, że przecie poznaję przyszłą siostrę, przyszłą ozdobę domu mojego! Jakżem się nie do myślił po gwałtowniejszem biciu serca, że się zbliżam do tej, której już jestem od kilku miesięcy kochającym bratem. Znam panią z listów brata mojego, ale że rzeczywistość tu jest wyższą nad wszelkie opisanie, wyznaję, że panią wziąłem za jedną z sióstr księcia wojewody.

— Co do mnie, ani na chwilę nie zostawałam w wątpliwości, że pan jesteś starszym synem nieboszczyka pana strażnika, bo obraz przysłany jemu tak do pana podobny, jak jedna kropla wody do drugiej.

— Byłżc więc obraz mój tak szczęśliwy, byś raczyła go chować w pamięci?

— Winnam panu staroście ponowić moje dzięki za dar, coś mi go pan raczył przysłać na pamiątkę, a który i teraz mam na sobie, jako pan widzi.

— Nic innego widzieć tu nie mogę oprócz pani samej; ale z jakąś bojaźnią przybliżam się do pani, chociaż serce moje do niej mnie gwałtem przyciąga, bo wszystko, coby gdzieindziej za mną przemówiło, tu będzie obrócone na moje potępienie.

— Nie rozumiem pana starosty.

— Łaska króla, niewinnie będącego przedmiotem nienawiści u jej bliskich, młodość moja w rzemiośle rycerskiem, ale zagranicą strawiona, nawet ten strój, tak obcy tutejszym okolicom, wszystko przegradza mnie od przyjaźni pani.

— Cóż może mieć wspólnego różnica ubioru z przyjaźnią?

— Ach pani, czyż na wstępie do tego pałacu nie doświadczyłem, ile ten ubiór mój ściąga na mnie podejrzenia? Sam książę, zapomniawszy na chwilę o względach należnych w domu swojemu gościowi, przybywającemu do niego z hołdem grzeczności od wspólnego im króla, a uszanowania od siebie, przywitał mnie cierpką przymówką. Pogardliwie dał mi poznać, jak lekceważy zasługi moje, za granicą nabyte, a których świadectwo na sobie noszę; a jednak jakaś sława, zyskana przez Polaka w ziemi obcej, własnej ojczyźnie hańby nie przynosi. Wszakże obojętnie zdołam uważać te wszystkie uprzedzenia, bylem sobie mógł pochlebiać, że dla pani nie jestem obcy.

— Nie do nas biednych dziewcząt o tych rzeczach należy rozumować, ale to pewna, że syn najściślejszego przyjaciela mego ojca nie może być dla mnie obcym.

Starosta, jakby zachwycony, drugi raz ujął białą i pulchną rączkę przyszłej bratowej, gdy głośny śmiech pani Morawskiej zwrócił jego uwagę: ujrzał wesołą generałową, opartą na ramieniu Michała.

— Wstydź się — rzekła do swojego przewodnika — mości wojski, żeś się dał mnie uprzedzić; wszakże do ciebie, a nie do mnie należało poznać brata z twoją narzeczoną. Ale coś zawczasu postępujesz po mężowsku, zagawroniłeś się z swoimi Albeńczykami, a do biednej Zosi dotąd słówka nie obróciłeś, a tymczasem starosta twoją rolę przy niej wygrywa. Nikomu nie wierz, mój wojski, a najmniej Paryżanom; dopiero pod bokiem mojego wąsala sypał mi komplementa. Teraz tłómacz się sobie przed Zosią, żeś jej zaniedbał. Już obiadowa pora. Wojski niech swoją Zosię prowadzi; wpan, panie starosto, prowadź moją siostrę Marysię, która trzyma oczy spuszczone, jakby szpilek szukała po drodze. A ja muszę poszukać Moriconiego; jest to Włoch z przodków, ale w kontuszu, przecie starosta grodowy wiłkomirski, a wkrótce będzie — nie potrząsaj tak głową, Marysiu, moim bratem.

I spostrzegłszy go o kilka kroków za nimi, spoglądającego na księżniczkę Maryę, porwała go za rękę i kazała siebie prowadzić do sali obiadowej.

Był to czwarty i ostatni obiad z rzędu, gdyż od godziny pierw-

szej popołudniu, co dwie godziny stoły zastawiano; na św. Karola bowiem w Nieświeżu zjazd był tak wielki, że nie byłoby sposobu wszystkich umieścić razem za jednym stołem. Książę biskup, a z nim duchowieństwo szli naprzód; po nich książę wojewoda podał rękę jw. Niesiołowskiej, wojewodzinie nowogrodzkiej, siostrze księcia biskupa, którą tyle szanował wraz z dostojnym jej małżonkiem, ile pogardzał osobą i sposobem myślenia jej brata. Po nich koleją postępowały pary, które jeszcze nie obiadowały. Na niekończącym się stole z orzechu, który nie na jedno pokolenie Radziwiłłowskie patrzał, były pozastawiane srebra prawdziwie monarchiczne, bo jedno pokolenie pokazywało je drugiemu, a zawsze z naddatkiem. Sala, był to długi prostokąt, którego węższe ściany były obite kobiercem, gobelin zwanym. Pradziad księcia dostał go w darze od Ludwika XIV wraz z orderem św. Ducha, kiedy się żenił z siostrą króla Jana. Jedna z tych makat wyrażała gody w Kanie galilejskiej, druga nakarmienie pięciu chlebami licznego narodu, zebranego dla przysłuchania się słowom naszego Zbawiciela. Książę kanclerz zawiesić je kazał w sali obiadowej, jako najstosowniejszej do przedmiotów, na tych kobiercach wyrażonych. I on i syn jego książę hetman długo przemyśliwali, by dobrać podobnych kobierców i do ścian dłuższych, ale zmuszeni byli tego zaniechać. Aż nakoniec ten ostatni kazał je domalować *al fresco*, przez dwóch sławnych malarzów, umyślnie na to sprowadzonych z Rzymu. Na jednej ścianie były oddane łowy, na których pan Ilinicz, wojewoda brzeski, rozdartym został przez niedźwiedzia, a na drugiej wjazd królowej Barbary Radziwiłłówny do Krakowa. Oprócz doskonałości pędzla, co było w tem malowaniu najszacowniejszego, to, że wszystkie osoby na tych obrazach były zdjęte z krewnych, przyjaciół i sług księcia hetmana. Każdy więc Litwin, siedzący za stołem, mógł rozpoznawać znajome, a często drogie oblicza.

Nic się nie pokazało na tym obiedzie, czegoby każdy zamożny szlachcic nie znalazł w potrzebie i u siebie. *Ad libitum* (do wyboru) barszcz i rosół dymek wonny puszczały z mis farfurowych; a na ogromnych półmiskach i jeszcze ogromniejszym blatach, wszystko ze srebra, pajuki roznosili wołowinę z chrzanem, flaki z imbirem, kaczki z kaparami, indyki z podlewą migdałową, kapłony z sardelami, cietrzewie z buraczkami i różne dziczyzny pieczone. A to wszystko przeplatane szczupakami, złoconymi szafranem — karpiami, miodem zarumienionymi — jazgarzami i sielawą, zaprawionymi goździkami i kwiatem muszkatowym. Były też rozmaite przysmaczki, w Litwie tylko widziane, jako łapy niedźwiedzie z wiśniowym sokiem, ogony bobrowe z kawiorem, chrapy łosie z figatelami, jeże pieczone, garnirujące maroki sarnie, przysmażone z pistacyami, głowy odyńca w korzennem winie duszone. To wszystko zakrapiało się w żołądku winem. Niknęły półmiski pod zębem litewskim, a książę, jako gospodarz, chodził około stołu od panów do szlachty, wszystkich przepraszając, że nie przyjmuje ich jeszcze wedle swoich życzeń i ich wartości. I nieraz na przyjacielskim talerzu brata-szlachcica nabierze jakiegoś jadła

i śpiesznie je pożywa na jakimś stoliku, postawionym pod jakąś ścianą.

Starosta, wstrzemięźliwy w pokarmie, zjadł trochę rosołu, ze wstrętem odwrócił się od pływającego w szafranie szczupaka, z większym jeszcze od łap, podobnych do ludzkiej ręki, przekąsił jednak skrzydło indyka i trochę głowizny dzika, jako potraw najwięcej zbliżonych do cywilizacyi kuchennej. I na tem poprzestawszy, czekał z niecierpliwością końca obiadu, w ciągłej obawie, by mu pajuki, noszący półmiski, w niwecz nie obrócili galowej sukni. Zaczęły kolejne kielichy krążyć za zdrowie solenizanta i innych, co jeszcze więcej popsuło mu humoru, ile że się nie mógł wymówić od spełnienia solenizantowskiego wiwatu z kielicha, który już wielu ust się dotykał i to winem węgierskiem, żadnego podobieństwa nie mającem z tem, co je wytłaczają mieszkańcy brzegów Garonny i Saony. A kiedy inne zdrowia zaczęły się powtarzać, pomimo najusilniejszych nalegań pić nie chciał, tłómacząc się piersiową chorobą, która pod karą śmierci zabrania mu być uczestnikiem tej miłej zabawy. Znudzony, roztargniony, głuchy na wszystkie krotofile kielichowe, nawet na genialne kłamstwa gospodarza, kiedy niekiedy szukał okiem swojej przyszłej bratowej, która opodal siedziała między jego bratem, wedle swojego zwyczaju mało do niej mówiącym, i jakimś innym Albeńczykiem, z podwójną kresą na czole, który do niej ciągle się obracał, jakieś jej mówił rzeczy, z których sam tylko śmiał się serdecznie, robił jej jakieś gałeczki z chleba i pokazywał je na swoim talerzu. Na zapytania odpowiadała Zosia, ale jak uważał, to wszystko niewiele ją zajmowało. Nie wiedział, kto to jest ten Albeńczyk, ale domyślał się po jego poufałości z Zosią, że musi jej być krewnym. Siedział starosta jak na szpilkach, i pewnie w kaplicy zamkowej, asystując królowi, nie z taką niecierpliwością czekał końca kazania, ile teraz czekał końca obiadu, chociaż siedział obok księżniczki młodej i pięknej.

Przyszedł nareszcie długo pożądany przez starostę koniec obiadu. Kawalerowie odprowadzili swoje damy do sali bawialnej, gdzie pozostało mnóstwo osób, które na wcześniejszych obiadach poprzestały. Już galeryą znikła była kapela księcia i na hasło zaczynającego się balu huknął taniec, który książę otworzył z jw. wojewodziną nowogrodzką. Tańcowały i rozmawiały z sobą pary, a kielichy krążyły i krążyły.

Na wielkich balach nic ciekawszego dla badacza, jak uważać rozmaite grupy, tworzące się po obszernej sali. Przy ławce, zajętej przez Zosię i łowczankę, słyszeć się dał głos starosty:

— Dziękuję ci, *mon frère,* że tak piękną i ukształconą dajesz mi bratową.

— Żebyś to szczerze mówił, bracie, rzekł wojski, nie tak prędko myślałbyś nas rzucać, nie takbyś tęsknił za swoją Warszawą. Biorę pannę generałównę za sędzię, niech powie, czy mamy wierzyć w przywiązanie brata, tak skwapliwego do opuszczenia nas.

— Pan starosta — odrzekła Zosia — przez dobroć serca może być

na nas łaskawym, ale nie do tego stopnia, by długo z nami chciał się nudzić. Za złe mu brać nie powinniśmy, że przekłada Warszawę, gdzie towarzystwa więcej są ukształcone, odpowiadające jego wychowaniu.

— A co, bracie, jak widzę już przegrałeś sprawę.

— Ach pani, czy zasłużyłem na tak cierpką przymówkę, na tak nielitościwe szyderstwo? Pomijam jej wdzięki, ale samem wychowaniem jużbyś zdołała pani zawiść wzniecić między najsłynniejszemi damami stolicy.

— Niech pan starosta przestanie tym sposobem mówić do mnie; chyba chcesz, bym myślała, że choć na tak krótki czas wydalony z Warszawy, boisz się zapomnieć języka tam zwyczajnego, z którym my na prowincyi nie jesteśmy oswojeni. Wszakże skwapliwość jego do powrotu najgruntowniej mię o tem przekonywa.

— Ani jutro ani za tydzień nawet nie opuszczam tych stron rodzinnych, co je dopiero teraz nauczyłem się oceniać. Zatrzymam się, ile tylko będę mógł, jakkolwiek obowiązki dla króla, dobroczyńcy mojego, mało mi czasu zostawują dla siebie, dla własnego szczęścia. Wszakże za dni kilka będę służył szanownemu ojcu pani w jego domu; jemu ponowię ustnie moją prośbę listową, by raczył zacząć i skończyć nasz interes działowy. Brzydziłem się dotąd prawnemi i ekonomicznemi zatrudnieniami, lecz teraz zaczynają one być dla mnie powabne, kiedy z ich powodu przez dni kilka będę do pani zbliżony.

— Dni kilka! żartuj sobie, bracie; byleśmy ciebie uchwycili w dom generała, niełatwo wyśliźniesz się z rąk naszych.

Tu przerwała im rozmowę masa dam, szukając kawalerów do mienianego tańca, a na ich czele generałowa Morawska, która porwawszy za rekę starostę, rzekła: „Proszę ze mną, a wpan, panie Michale, nuż z Zosią za nami“. Wojski, skłoniwszy się, wymówił siebie tem, iż jego żałoba jeszcze się nie skończyła; ale p. Wazgird, ten nakresowany Albeńczyk, który w czasie obiadu siedział obok Zosi, porwawszy ją za rękę, rzekł: — A widzisz, siostrzyczko, że zawsze gotów jestem na twoje usługi; ale coś mi nieszczerze oddajesz rękę, coś mi się zamyślasz niepotrzebnie. No, no, poczekaj zamawiam cię do pierwszego mazura; tam rozweselimy się hasaniem, a tymczasem proszę w taniec.

W jednym rogu sali była inna grupa: siedział trzymając kielich w ręku p. Horain, sędzia grodzki słonimski, i coś rozprawiał szlachcie, koło niego siedzącej. Między nimi siedział Miecznikowicz witebski, p. Bonifacy Sołłohub, chłopiec młody, wesoły, najswawolniejszy z pomiędzy wszystkich Albeńczyków, który ciągle dokuczał poważnemu sędziemu, przerywając mu mowę.

— Słyszysz, p. podkomorzycu nowogrodzki — odezwał się do przechodzącego blisko nich p. Tadeusza Rejtana, zawsze zamyślonego — posłuchajno, jakie koszałki plecie nasz poważny sędzia; chce nam wyperswadować, że nie nawozem bydlęcym, ale wapnem sterkoryzuje swoje grunta.

— Chciej jednak wierzyć wpan, że tak jest; bo jeśli grunt lekki, a trafisz pod posuchę, nawóz bydlęcy całą oziminę wypali, a wapno do każdego gruntu przydatne.

— Co wpan mówisz!

— Oto co wpan słyszysz.

— Porzuć, p. sędzio; żeby rolę wapnem posypać, to po lada deszczu ogień się zrobi?

— Wedle wpana głowy; pojedźno p. Bonifacy do Wołczy, a obaczysz. że nieinaczej gospodaruję; a daj Boże do śmierci oziminę, jaką miałem tego roku.

— To p. podkomorzyc temu wierzy?

— Za cóż nie mam wierzyć, kiedy i urzędem i wiekiem poważny mąż to twierdzi.

— Czy słyszysz, p. Bonifacy? jak to zaraz poznać człowieka ze zdaniem. Naucz się wpan od p. Tadeusza rozumu; co wpanu ze mną się spierać!

— Kiedy tak, to może i to prawda, co nam dopiero powiedział p. sędzia, że ma takiego charta, co pojedyńczo wilka osadza — czy i temu podkomorzyc uwierzysz?

— Czemuż nie ma być prawda? wszak niedaleko stąd od Radziwiłmontów, u księcia wojewody mińskiego podobnego charta obaczysz.

— I to pan na własne oczy widziałeś?

— Nieinaczej.

— Co wpan znasz, co wpan wiesz? zapytaj się godnego ojca, a mojego łaskawcy, pana miecznika witebskiego, gdzie byłeś jeszcze, kiedy już ja gospodarowałem i polowałem.

— Nie gderaj, sędzio szanowny; zabierają się do krakowiaka, trzeba pójść na służbę, byle mi tylko młodszej podkomorzanki Rejtanówny kto nie zamówił. — I odszedł skacząc, a sędzia: ruszaj sobie do panienek. świstaku; z p. Tadeuszem to ale rozmowa, ale u p. Bonifacego sama plewa w głowie.

Trzecia grupa, złożona z p. Ambrożego Korsaka, porucznika kawaleryi narodowej, p. Walentego Wojzbuna, sędzica mścisławskiego, p. Symeona Korbuta, mostowniczego lidzkiego, i innych. Po skończeniu tańca polskiego p. Jan Wazgird zbliżył się do nich szukać próżnego miejsca. Oto masz — rzecze p. Wojzbun — siadaj koło mnie, mości kawalerze św. Jędrzeja.

— Cóż to ma znaczyć, p. Walenty?

— A przypatrzno się temu krzyżowi, co go nasz książę nosi zawieszonym u szyi; jest to krzyż św. Jędrzeja; obacz, czy ten krzyż nie jest takiego kształtu, jak ten, co go na czole nosisz.

— Tędy wasze zajeżdża? a wiesz, że moja dubeltowa kresa tak jest osobliwsza, że za nią dozgonną wdzięczność zachowuję nieboszczykowi Wołodkowiczowi: ile razy obaczę siebie w zwierciadle, tyle razy na jego intencyę mówię jedno Zdrowaś Marya. Obznaczył ci on mnie w dwa tempa, ale szlachcic bez kresy, jak tanecznica bez fartucha.

— Co do mnie — rzecze p. namiestnik Reut — chwała P. Bogu! na głowie nie mam kresy, bo tyle ich rozdałem, że dla mnie żadnej nie zostało.

— Dobrze, dobrze, mości namiestniku, jednak u mnie to nie jeździec, co nigdy nie spadł z konia. Ale uważacie, że coś kompania nie tak animowana, jakem się spodziewał.

— Poczekaj — powie pan Korbut — tylko co się zaczęły tańce.

— Nie, nie, ja wiem, co mówię; siedziałem koło generałówny, mojej ciotecznej siostry, u obiadu, coś mi stetryczała i chociać koncept po koncepcie snuły się z ust moich, półgębkiem tylko się śmiała. Dopiero z nią skończyłem taniec; prowadząc ją, takie zabawne rzeczy jej mówiłem, że gdyby to dawniej, gwałtuby krzyczała od śmiechu, a ona, jakbym o czyim pogrzebie rozprawiał... Zeby mężczyzna tak się obojętnym na mój dowcip okazał, zaczepkibym z nim szukał.

— *Deus me custodiat* — odezwał się pan Korsak — niebezpieczny z wpana człowiek, panie Janie; ile razy do mnie mówić będziesz, proszę mię zgóry uprzedzić, że to, co powiesz, będzie konceptem, ażebym się zawczasu usposobił do śmiechu, a tem ocalił moją skórę od wpana szabli.

— A co, złapałeś za swoje, panie Janie — wykrzyknął p. Wojzbun, trzymając się za boki od śmiechu.

— Niema co mówić, złapałem, zato na zdrowie twoje wypiję ten kielich, panie poruczniku: w ręce twoje, p. Walenty!

— Z miłą ochotą przyjmuję kielich; ktoby takiego zdrowia nie wypił! Ale wiesz co, panie Janie, powiem ci otwarcie, że ile jestem przyjacielem p. Wojskiego, tyle jego brata nie cierpię; ani pije, ani się z nami zapoznaje; coś to ni w pięć ni w dziewięć. Choćbym miał potem od kogo drugiego dostać w łeb pół tuzina takich podwójnych kres, jakie nosisz na czole, radbym z moją szablą pójść na tego błyszczącego szpikulca, co go u boku nosi.

— Co wpanu się dzieje, panie Walenty? Słyszałem, że nasza szabla jest niczem w porównaniu z tym szpikulcem. Jak weźmiesz po łbie szablą, pierwszy cyrulik chlebem z solą temu zaradzi, ale jak taki rożen w kiszki wlezie, to i doktór księcia biskupa nie pomoże.

— A co to ja, malowany? Nim pomyśli o moim brzuchu, ręczam, że mu wymuskaną głowę rozpłatam.

— I niewielka byłaby szkoda — odezwał się p. pisarz Wierzejski, który dotąd nie mieszał sie do dyskursu. Ach, jakiż to półgłówek! Siedziałem obok niego za stołem; myślę sobie: przecie starosta sądowy, jest z kim o prawie pomówić; ja poczciwy człowiek, zabieram z nim znajomość, zapytuję go z dyskursu o *modum executionis* wyroków grodzkich w Wielkiej Polsce, w sprawach *expulsionis;* cóż powiecie? odpowiedział mi ni to ni owo. Ażem się wziął za głowę. Otóż to mi starosta sądowy! Ciekawy byłbym poznać substytutów, jakich on instrumentuje, bo jakim dyabłem on się pozna na ich wiadomościach prawnych? Panie, *averte a nobis* (chroń nas) takich starostów.

— Z tem wszystkiem, p. Walenty — rzekł Wazgird — żeby cza-

sem doprawdy nie przyszła wpanu fantazya szukać zaczepki staroście; pamiętaj, że on tu przybył w poselstwie od króla do naszego księcia, a nadewszystko jest bratem naszego poczciwego Michała, którego wpan pewnie nie chciałbyś obrazić.

— A niech mię Pan Bóg od tego broni!

W ostatnim węgle sali przy podwojach, prowadzących do sali jadalnej, była inna grupa, ze wszystkich najhuczniejsza śmiechem, bo w niej p. Leon Borowski dokazywał. Gdy się te śmiechy na chwilę przerwały: — Powiedzno nam, mości dobrodzieju, czy rad jesteś ze swoich gości — rzecze do p. Szabańskiego p. Gorski, ciwun ejragolski.

— Czemu nie mam być rad ale, p. Wojskiego od konwiktu znam ale, kiedy to jeszcze laskę nosił przed księciem panem, jako przed prefektem kongregacyi Sodalis Marianus, ale. I zawsze się szczycę ale jego przyjaźnią.

— Nie o nim mowa, ale ten starszy, co to hasa polskiego, chociaż mu po ojcu żałoba się nie skończyła, a tak świeci klejnotami, jak królewna na wydaniu, albo krzak leszczyny w nocy świętojańskiej, a fertyczny, a kusy, a nosa do góry zadzierający; powiedz wpan, co to za człowiek.

— Co, mości ciwunie dobrodzieju; na wołowej ale skórze nie napisać, com ale widział i słyszał ale od niego. Naprzód kiedy do mnie zajechali ale, to gdyby mnie ale nie był uprzedził p. Michał ale listem, to Bóg świadkiem nie byłbym zgadł ale, czy on pan, czy pani; czy ale ksiądz, czy świecki. Bo to twarzyczka ale nieszpetna wcale, a na głowie ale czepek.

— Co to być może, mości dobrodzieju!

— A tak, tak ale, jakem sodalis, a do tego ale płaszcz jakby trynitarska kapa, bo i z krzyżem ale, tylko że białym. A płaszcz ale aksamitny. A mości ciwunie dobrodzieju, herbatę pije szklankami, a tak ale tęgą, że jak piwo wyglądała. A to nic jeszcze, ale asystowałem mu ale do ubioru, a tak ale byłem ciekawy, że z miejsca ruszyć nie mogłem ale. Sześćdziesiąty szósty rok kończę, ale nigdy ale nie widziałem tego, na co dzisiaj ale patrzyłem.

— Co takiego, mości dobrodzieju...

— Cuda, dziwy, ale cały dzień tego nie wygadam, co się przez dwie, trzy godziny robiło i wypowiedzieć tego ale czy potrafię!

— Mów, co też przecie tam było ciekawego.

— Jakże nic ciekawego ale? pięciu drągalów potrzebuje do swego ubrania, a każdy innym językiem mówi ale. To siada ale, to znowu się zrywa, to znowu siada, a szlafroków ale kilka, a palcami kraje kopertę od listu jak nożyczkami, a tak z niego czuć zapachy ale jak z apteki ale.

— To mniejsza, ale czy wpan dobrodziej słyszałeś go mówiącego?

— Jakże nie słyszałem; mówił do mnie ale i słyszałem ale, jak długo rozprawiał bratu ale i skrobał wtedy czoło bardzo pięknym nożykiem. Jeszczem zauważał ale, że ma to samo przysłowie

co i nasza księżniczka Marya, kiedy mówi z księciem panem ale: *mofre*, coś nakształt tego, ale, i inne ma przysłowia niezrozumiane, ale jednak tamte rzadziej, a najczęściej ale *mofre (mon frère)*.

— Jakież u niego zdanie, czy człowiek do rzeczy?

— To jest las, mości ciwunie dobrodzieju, jakiej chcesz tam zwierzyny dostaniesz; to gada roztropnie, że miło ale słuchać, chociaż tłómaczy się nieco złamaną mową, ale coś zarywa na kapelmajstra księcia pana. To potem plecie nie do rzeczy ale. Oto ale tłómaczył przed nami, skąd data jego orderów; że jednego z nich dostał dlatego, że dobry ale katolik, a drugiego, że dobry szlachcic ale.

— A więcej co?

— A mówił nam, że jego kusa suknia z samych ofiar, a król, a książę kanclerz, a jakaś komedyantka na niego się złożyli ale; no więc nie miał ale jej za co sam sprawić sobie ale; a tam znowu jakieś starostwo, czy tam królewszczyznę we Francyi ale odstąpił bratu potrzebnemu, to mnie zbudowało ale, że potrzebnym ale się udziela i grubo.

— No, to wszystko bardzo przyzwoicie...

Na to p. Leon Borowski: Ale powiedz no nam, panie Teodorze, jak omal nie miałeś sprawy honorowej z twoim gościem, jakeś na niego napadł.

— Ja? a w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego ale, a to skąd data?

— Bo słyszę, jakeś zobaczył jego wór z pudrem, myślałeś, że mąkę wozi z sobą na pirogi i wymówiłeś mu niedelikatność, że jako sługa księcia wojewody nie ścierpisz tej krzywdy jego domowi wyrządzanej, iżby goście swoje wiktuały wozili.

Tu wszyscy zaczęli się śmiać, że ledwo kapeli nie zagłuszyli.

— Rada gęba, kiedy pan śpi, a jaki uradowany ale p. Leon, że nową anegdotkę na swoim ale warsztacie wykuł dla księcia pana, bo ja wiem ale, że nie tu na nią koniec! pójdzie ona dalej ale, tylko kiedy zmyślasz, to ale zmyślaj gładko. Bo jego puder biały jak wpana wilczate konie, tak podobny do mąki, jak wpan do poważnego człowieka, ale...

Tu nie można było dosłyszeć odgryzienia się p. Leona, bo jakiś szmer powstał w sali.

Pani generałowa Morawska z innemi damami i księciem wojewodą zaczęły prosić pana starosty Ludwika Strawińskiego, by raczył tańcować menueta, jaki był w używaniu na dworze króla francuskiego. A że pani generałowa wiedziała, że Zosia w Wilnie uczyła się tego tańca, przyprowadziła ją do pana starosty, jako parę do menueta. Pan starosta, ze zwyczajną uległością dla dam kawalera wielkiego świata, skłonił się na znak posłuszeństwa, ale że kapela księcia o tym tańcu nie miała wyobrażenia, on, uchwyciwszy pierwsze skrzypce, zaczął ją uczyć tej muzyki jakby z niechcenia, ale po zacięciu smyczka zaraz można było poznać mistrza. Po dwóch czy trzech powtórzeniach pojętna kapela była w stanie rozpocząć, zawód

i taniec się zaczął. Uroda i bogaty ubiór tej pary, zgrabność, którą oboje rozwijali w poruszeniach pełnych godności, to wszystko tak zajęło, tak zachwyciło Litwinów, że wszyscy stali jak posągi, czekając końca tej pantominy, prawdziwie czarodziejskiej. Oboje zdawali się być z liczby tych istot, któremi wyobraźnia zaludniła nieprzebyte krainy powietrznego widokresu. Wszystko na takowe zjawisko się poruszyło, najwięksi nieprzyjaciele zagraniczyzny, jakimś pociągiem mimowolnym odstępując na chwilę od swego przekonania, nie mogli nie dołączyć swoich pochwał do pochwał powszechnych. Odgłos jednomyślnych klaskań licznego towarzystwa odpowiedział skromnemu i uniżonemu, ale pełnemu wdzięku ukłonowi, którym zakończyła menuet tak dobrana para.

. . . .

Około 11-tej przed południem był wielki zgiełk przed Farą[1]). Każdy chciał oglądać króla, wracającego ze mszy do swoich komnat. Wielu było widać szlachty, wielu rzemieślników, a najwięcej było tych brukowych próżniaków, zawsze i wszędzie wciskających się, gdzie tylko spostrzegać się daje tłum ludzi. Stanisław lubił przyjmować supliki publicznie; tem wygrywał rolę panującego, bo prośby podane jemu były wyznaniem jego panowania nad tymi, którym niedawno był równym. A lubo proszący rzadko kiedy otrzymał skutek żądania swego, król jednakże tak umiał pocieszać jedwabnemi słowy, że się opędzić nie mógł od suplik.

W tym tłumie wciśnięci byli Wazgird i Buńczukiewicz, ale jeden odosobniony od drugiego. Pierwszy trudniejszy niż kiedykolwiek do poznania, bo w niemieckim stroju, z peruką gęstą, upudrowaną, i zakrywającą jego osobliwszą kresę; dwaj drudzy w kapotach, jak zwyczajnie służebna szlachta. Żaden z nich z oka nie spuszczał Wojskiego, który naprzód wysunięty, odziany w kurtce i szarawarach zielonych, stał pod kruchtą kościoła, trzymając w ręku papier złożony.

W tem okrzyki: niech żyje król! wznoszące się z całego tłumu, oznajmiły ukazanie się królewskie. Król stanął na krużganku, a za nim szambelani, adjutanci przyboczni, dworzanie, i niektórych dworów posłowie. Wielu z kolei oddawało mu supliki. Niektóre odczytywał, inne nie czytając oddawał szambelanowi; ale z każdym mniej więcej rozmawiał, nikogo bez jakiejś nadziei nie zbywając. Wszakże widać było, że już nieco był zmęczony, jedno a jedno powtarzając, kiedy Wojski zbliżywszy się, klęknął przed królem, oddając mu papier.

Król go zapytał łagodnie, co on za jeden i czego żąda?

— Szlachcic, poddany i sługa Waszej królewskiej mości — odpowiedział Wojski. Nazywam się Poraj — byłem podleśniczym w Białowieskiej puszczy — teraz nie wiem, z jakiego powodu oddalony zostałem — o nic nie proszę, tylko o zrobienie indagacyi.

---

[1]) w Warszawie kościół św. Jana.

Król nie otwierając supliki, wręczył ją szambelanowi, róg w niej zagiąwszy[2]). Wojski natychmiast utonął w pospólstwie...

Dawszy król posłuchanie narodowi przed domem Pana nad pany, gdzie wedle zwyczaju swojego szczególną uprzejmość okazywał dla kobiet, i był równie przystępny dla mieszczan jak i dla braci szlachty, poważnie z orszakiem go otaczającym powrócił do swojego mieszkania. Po mszy zawsze się przebierał. Przechodził przez obszerny pokój garderobą zwany, gdzie zastawał pełno domowników i obywateli, pragnących codziennie powitać Najjaśniejszego pana. Było we zwyczaju, że każdy obywatel z prowincyi, po przyjeździe, szedł do garderoby, pewnym będąc, że tam znajdzie znajomych i zasięgnie wiadomości mu potrzebnych.

Gabinet, gdzie król się przebierał, był przedzielony od garderoby małym pokojem; ale kiedy szlachta w garderobie się rozgada, czasem taki gwar powstaje, że w gabinecie królewskim słyszeć siebie nie można. Natenczas szambelan dzienny wychodzi do garderoby, i zaczyna potrząsać chustką nad klatką z kanarkami przy oknie wiszącą, mówiąc: a cicho kanarki! tak hałasujecie, że królowi przeszkadzacie czytać supliki jemu podane — szlachta na jakiś czas ucichnie, ale nie na długo. Czasem szambelan i pięć i sześć razy wychodzi z admonicyą do kanarków.

Kiedy król przechodził przez garderobę, wszystkie głowy, czy ogolone, czy ufryzowane, ledwo że nie do samej ziemi się pochylały. Każdy z upragnieniem oczekiwał z ust jego chociażby jednego słówka — a to słówko, jakkolwiek obojętne, z niekończącymi się komentarzami rozchodziło się po familii i przyjaciołach szczęśliwego męża, który je otrzymał.

W dniu tym król był nadzwyczaj wesoły, bo kuryer z zagranicy przywiózł mu listy, których z niecierpliwością oczekiwał. Jeden był od pani Geoffrin, napełniony plotkami wersalskiemi — drugi od innej znakomitej damy — trzeci od Corticellego, agenta jego w Rzymie, który mu donosił, że kilka obrazów najpierwszych mistrzów szkoły włoskiej, i nader piękne kamee z wieku Peryklesa, nabył dla niego za sześć tysięcy czerwonych złotych; że król znany w całej Europie za najpierwszego znawcę sztuk pięknych, jak obaczy ten nabytek, przekona się, że go za bezcen dostał, i że nigdyby nie dobił tak pomyślnego targu, gdyby właścicielowi (kawalerowi Antoniniemu) nie był obiecał wyrobić od króla gwiazdę św. Stanisława, a dla jego syna kanonią warmińską; że zatem ośmiela się prosić króla, by raczył uiścić tę nadzieję, którą zrobił. Czwarty list był od Woltera, datowany z Ferney — ten list w zachwycenie króla wprowadził. Był on odpowiedzią na list królewski na czterech stronicach zapisany, a nie mniej był długim. W tym liście Wolter nazywał króla Salomonem północy, wyglądając chwili, jak druga królowa Saby przybędzie do niego z za morza, wyuczyć się od niego rządzić wła-

---

[2]) zagięcie rogu u supliki był to znak, że król ją rozważać będzie ze szczególną pilnością.

snem państwem, a potem cieszyć się u siebie jego żywym obrazem. W tym liście żartował z Polaków, jako barbarzyńców, wszakże dodał: pokazali się oni rozumniejszymi od Opatrzności, kiedy wynaleźli króla, jakiemu równego traf urodzenia nigdy nie okazał. Temi pochlebstwami, co je Stanisław August przyjmował za gotowe pieniądze, wywiązywał się jemu Wolter za przysyłaną mu coroczną gratyfikacyą trzech tysięcy czerwonych złotych, o których jednak nie wspomniał, mając to za uiszczenie tylko haraczu jemu należnego od wszystkich głów ukoronowanych. Prócz tych listów, jeszcze otrzymał kilka od różnych dam swojego dworu, co je codziennie widywał, z któremi jednak korespondował. Król był promienistym, kiedy do gabinetu przechodził przez garderobę. Kilka figur przybyłych z prowincyi powitał najuprzejmiej, każdej z nich rzucając słowa za serce chwytające.

Bo zaprzeczyć nie można, że jeżeli w kierowaniu rządu aż nadto dowodził, że nie był z rodu wdrożonego do panowania, za to wygrywał doskonale część reprezentacyjną roli monarchy.

Gdy przez garderobę przeszedł do gabinetu, tam go oczekiwał fryzyer Angielczyk, który oprócz rodowitego żadnego języka nie umiał. Król go lubił, raz, że był doskonałym w swem rzemiośle, powtóre, że z nim rozmawiać mógł po angielsku, językiem najwięcej mu ulubionym między tylu innemi, co je posiadał[3]). Ryx, kamerdyner królewski, a razem starosta krasnostawski z niemałem zgorszeniem zakutej szlachty. rozebrał króla, i gdy nałożył na niego pudermantel, nic nie pszeszkadzało Phlipsbornowi rozpocząć pracowite ubieranie królewskiej głowy. Bywało wielu dworzan w gabinecie, bo król zwyczajnie fryzował się w asystencyi; a obracając na to około dwóch godzin, te godziny przepędzał często w uczonych rozmowach, nawet kazał sobie czasem czytać coś z nowości przysyłanych mu z Paryża.

Dnia tego było więcej przytomnych niż zwykle, bo właśnie Ksawery Branicki, łowczy koronny, zostawszy regimentarzem partyi ukraińskiej, był u króla na pożegnaniu. Między wielu innymi dworzanami znajdowali się: Książę podkomorzy, brat królewski, Krasicki nominat warmiński, Byszewski i Orłowski, jenerałowie adjutanci, Poniński kuchmistrz koronny, Bacciarelli malarz, Sio doktór nadworny, hrabia Siedlnicki, Gintowt, Trembecki, szambelanowie, Bielawski, Boskamp i Camelli, dworzanie.

Król siedział w krześle, trzymając ręczne zwierciadło, w którem często się przeglądał. Szambelan Gintowt rozkładał z chustki pliki suplik, na stolik opodal od królewskiego krzesła postawiony, przy którym usiadłszy wypisywał treść odebranych suplik, by je potem przełożył królowi.

Król najpierwej do pana Branickiego się odezwał: Przecie mości Łowczy wyleczyłeś się zupełnie z tej rany, co ci ją Casanowa

---

[3]) król mówił ośmiu językami jakby rodowitym, a temi były: francuski, łaciński, niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, rosyjski i turecki.

zadał — daj Boże, byś równie szczęśliwie przebył i te nowe niebezpieczeństwa, na które masz się narażać; bo na Ukrainie masz się spotykać z morowem powietrzem i zbuntowanem chłopstwem.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, przyszedłem pożegnać Waszą Król. Mość, i o błogosławieństwo prosić.

— I rana już się czuć nie daje?

— Najmniejszej rzeczy, Najjaśniejszy Panie. Pernet, doktor W. Król. Mości, moim kosztem sławę sobie zjednał; ale kłamie Francuz, bo wszystkie jego lekarstwa przez okno kazałem wyrzucić, a po swojemu się kurowałem.

— Sam byłem tego świadkiem — odezwał się ksiądz Krasicki — jak pan Łowczy, zaledwo go opuściła gorączka, zamiast klejku, na którym Pernet chciał go trzymać, zjadł całego kapłona.

— Ale dodaj Waszeć mości książe, że tego kapłona popiłem dwiema kwartami mojego dekoktu.

— A jakiż to dekokt? — zapytał król.

— Dekokt węgierski — odrzekł pan Łowczy. Pernet chciał mnie zapajać perzem, ale ja jemu parsknąłem w żywe oczy. Niech mnie dyabli wezmą, Najjaśniejszy panie, jeżeli tym doktorom piątej klepki nie brakuje. Ja już od dwóch tygodni wyprawiłem na Ukrainę moją prezerwatywę od wszystkich chorób: kilka beczek maślaczu. Stępkowski tak jak ja wierzy w moją medycynę: Niczego się nie bój, niczem się nie martw, a dobrze jedz i pij, a będziesz żył, póki zechcesz.

— Szczęśliwy — odezwał się król westchnąwszy — kto ma tak wesoły humor jak wpan, Mości panie Łowczy. Jednak nie nadużywaj odwagi — niema sześciu tygodni, jak omal że życia nie straciłeś.

— Ani trochę, Najjaśniejszy panie. Czyżbym siebie narażał na strzał awanturnika, którego przez moich kozaków mógłbym kazać osmagać, gdybym nie rachował na moje szczęście, gdybym nie był pewnym, że lat dziewięćdziesiąt dożyję!

— Mój Łowczy — rzekł król — gadałeś nieraz przed nami o jakiejś kabale, którą gdzieś wpanu ciągnęli, ale do tych rzeczy trudno przykładać wiarę.

— Jak to kabała! to były wyraźne przepowiednie, Najjaśniejszy panie — kilka z nich już się sprawdziło, więc i reszta sprawdzić się musi. Kiedy to byłem przy królewiczu Karolu, głośno mówiono o jakimś czarnoksiężniku, który się w Lipsku miał znajdować, nazywano go Schöpfer — królewicz chciał go koniecznie poznać. Raz około północy, tylko we dwóch, poszliśmy do niego *incognito*. Niepodobna do wierzenia, cośmy tam widzieli — powiem tylko, że pokazywał nam takich, co już oddawna pomarli; oni chodzili przy nas, z nami rozmawiali.

— Przyznaj się, Mości Łowczy — rzecze na to król — że trochę haftujesz na tle może i rzeczywistem.

— Niech mnie dyabli porwą, Najjaśniejszy panie, niech wszyscy mają mnie za podłego człowieka, jeżeli jedno słówko dodaję do tego, co rzekłem i co jeszcze powiem. Królewicz chciał widzieć babkę swoją, żonę króla Augusta II, — ona stanęła przed nami, i powie-

działa wnukowi, że otrzyma wkrótce udzielne księstwo na północy, ale że je zaraz i utraci — że się ożeni z prostą szlachcianką, czem się narazi królowi. Mnie także ruszyła ciekawość widzieć się z nieboszczykiem moim ojcem, kasztelanem halickim — i on stanął przed nami, i powiedział mnie: Panie Ksawery, choć już zjadłeś to, co ja z taką pracą przez całe życie uzbierałem, jednak nie masz potrzeby oglądać się na przyszłość — z każdego niebezpieczeństwa bez szwanku wyjdziesz, otrzymasz najwyższy urząd w kraju, a przeszedłszy rok dziewięćdziesiaty życia twojego, umrzesz najbogatszym panem w Polsce. A czy już wiele rzeczy nie sprawdziło się, Najjaśniejszy panie? Tak jestem pewny siebie, że kiedy ten Włoch utrapiony na wylot mnie przestrzelił, mocno to mnie zdziwiło, ale pomyślałem sobie: rana nie śmierć, z niej się jakoś wyleczę, a swojego dożyć muszę. Niech Najjaśniejszy pan będzie spokojny — hajdamaczyznę przyduszę, a morowemu powietrzu nie dam się szerzyć. I pocałowawszy rękę króla, odszedł, bo miał tego dnia na śniadanie mnóstwo szlachty, gdzie miał się potykać kielichem z Konarzewskim[4]).

Kiedy Branicki odszedł, Trembecki pierwszy się odezwał: Nasz Łowczy ma zdatność do poezyi — dał tego dowód opowiadaniem swojem. Ktoby takim baśniom uwierzył?

— Nie mów tego, Trembecki — odpowiedział król. Są w naturze takie tajemnice, że najgłębszy rozum ich nie docieknie.

— Ciekawy jestem — odrzekł Trembecki — coby Wolter na to powiedział, gdyby usłyszał relacyą naszego Łowczego.

— Byłby tego samego zdania co ja — powiedział król. On nieraz przedemną mówił, że gdybyśmy to tylko brali za prawdę, co jasno pojmujemy, summa wiadomości ludzkich byłaby zbyt szczupłą. Ale à propos Woltera, powinszuj mi, Trembecki, odebrałem dziś dowód jego pamięci — przeczytaj głośno ten list; niech wszyscy wiedzą, jaką mam u niego łaskę.

Jak Trembecki odczytał list, ksiądz Krasicki rzekł: Najjaśniejszy panie, to, co Wolter pisze, cała Europa czuje i myśli. Cała jego zaleta w tem, że nikt oprócz niego nie umiałby tego powszechnego uczucia równie pięknie wyrazić.

— Najjaśniejszy panie — przydał Trembecki — nigdy się lepiej Wolterowi nie udało powiedzieć, jak to, co mówi, że nasz naród pokazał się mędrszym od Opatrzności, wynosząc ciebie nad sobą. Nigdzie traf urodzenia nie sprostał wyborowi: ale do razu sztuka. Jako poeta sięgam w przyszłość, i widzę w niej, że Wasza król. Mość będziesz ostatnim królem wybranym, a pierwszym dziedzicznym.

Król się uśmiechnął, a wszyscy przytomni odezwali się: amen!

— Najjaśniejszy panie, jako kapłan i nominat muszę z obowiązku stanąć w obronie Opatrzności, przeciwko Wolterowi i panu Szambelanowi: nasz wybór nie był zrobiony na przekór Opatrzności, ona wyrokowała, a myśmy ten wyrok spełniali. Dzień siódmy września[5]) był prawdziwie dniem natchnienia.

---

[4]) Konarzewski, sławny opój. [5]) dzień elekcyi Stanisława Augusta.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się Trembecki — Wasza król. Mość jesteś słońcem; nie tylko że własnym blaskiem oświecasz, ale jeszcze go użyczasz planetom swoim, że i one błyszczą na horyzoncie. Czyby kto uwierzył, że i ja dnia dzisiejszego odebrałem list od Woltera — oto go składam u stóp Waszej król. Mości, bo zaszczyt, mnie zrobiony, do mojego króla należy.

Król, przebiegłszy list oczyma, powiedział: Wiesz, Trembecki, że masz z czego być dumnym. Rodak większej sprawiedliwości nie mógłby wymierzyć twoim wierszom, nad tę, którą otrzymałeś od mędrca fernejskiego...

Podczas kiedy tak wesoło rozmawiali, pan szambelan Gintowt raptownie zerwał się ze stołka, a w ręku trzymając jakiś papier, przybliżył się do króla w największem pomieszaniu, tak, że król mu powiedział: — A co to się stało z W. panem, Mości szambelanie?

— Okropność, Najjaśniejszy panie, zgroza! między suplikami, jakiś nikczemnik, potwór, śmiał wcisnąć paszkwil przeciwko Waszej król. Mości.

— Czy wierszami? — rzekł król uśmiechając się — jeżeli dowcipny, nabawimy się nim; a jeżeli sprawiedliwy, będziemy się starali z niego korzystać

— Gdzież tam wierszami! — odrzekł szambelan — ni mniej, ni więcej, tylko pozew we wszelkiej formie położony Waszej król. Mości, żebyś się stawił osobiście przed Konfederacyą.

Król porwał papier z rąk pana Gintowta i zaczął go czytać cicho. Nie skończywszy czytania, wstał silnie poruszony i zaczął się przechadzać po gabinecie; potem stanął i do otaczających rzekł: — Patrzcie, Mości panowie, na zniewagę wyrządzoną waszemu królowi — cierniową koronę włożyliście mi na głowę!

— Najjaśniejszy panie — odezwał się Poniński, kuchmistrz koronny — żadnego między nami niema tak wyrodnego obywatela, żeby nie umiał czuć krzywdy, całemu narodowi wyrządzonej w osobie jego pomazańca. Żeby jaki ślad powziąć o tym, co się odważył być jej sprawcą!

Pozew, położony królowi, nie otrzymał tych skutków, jakich się po nim spodziewało stronnictwo. Król odebrał z prowincyi mnóstwo adresów, oświadczających niezłomną wierność obywatelów i ich współczucie.



XI. Ignacy Chodźko.

Pamiętniki Kwestarza. (1843).

Pamiętniki te składają się z urywkowych obrazków i opowiadań, odtwarzających plastycznie stosunki prowincyonalne na Litwie z końca XVIII i początków XIX stulecia. Powszednie lub bardzo charakterystyczne postacie są najlepiej odmalowane; sytuacye natomiast wzniosłe, tragiczne słabo się tu przed-

stawiają. Podaję zarys początków życia zakonnego, jakie wieść postanowił Michał Ławrynowicz, spisujący niby te Pamiętniki.

Miły Boże! czym się mógł spodziewać albo pomyśleć przed kilku tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*,[1]) a po prostu mówiąc, bernardyńskim? bo jeszcze niebardzo przyzwyczaiłem się do tego nazwania. Prawdę powiedział, wyprawując mię z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek.

Opiszę tu w moim kochanym raptularzu progres przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka.

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościuteńko do karmelitów. Klasztorek to nędzny i drewniany, ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął:

— Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencyi taką pipę![2]) Waść i mnie samego zjeść gotów.

Podałem mu obedyencyę,[3]) ani czytać jej nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy na kopercie: *soli*, spojrzał na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — Ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo...

— Nie alteruj się![4]) *reverendissime*[5]) — przerwałem — proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater* i wyniósł stamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posil się wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę.

Jakoż ja i posiliłem się i siedziałem już z pół godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi, nic nie mówiąc; odczytywał tylko list pokilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem, na czemby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru bernardyńskiego.

— *Salve*,[6]) *reverendissime! salve!* — rzekł on; a spostrzegłszy mnie: — Cóż to? masz nowego przybysza? — i mierząc mnie okiem od nóg do głowy. — Postura *tamquam*[7]) kufa! ot co jest! — Ale tem lepiej. Przyszedłem prosić wielebność waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie bożej na uczciwą pieczeń baranią i na konsolacyę, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebrę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj *reverendissime* ten list! wyrozumiesz może lepiej ode mnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — Cóż tu niezro-

---

[1]) bernardynów. [2]) kufę, beczkę. [3]) rozporządzenie przełożonego w klasztorze. [4]) nie gniewaj się. [5]) przewielebny. [6]) witaj. [7]) jakby.

zumianego? — rzekł. — Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskiem, że ucieczka i przebranie się jegomości nie z jego broń Boże przyczyny lub jakiego ekscesu, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu*[8]) zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte*[9]).

— Aha! *verte*, nie postrzegłem — i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc, ojcze, *per viam persuasionis*[10])... *Una salus servire Deo, caetera fraudes!... intelligis?... Prudenter age!... et fiat voluntas Dei*[11]).

— *Est res et nulla res est!* jest rzecz i niema rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda! *bene dixisti*[12]). Ot co jest! Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio*[13]) zostań naszym bratem bernardynem: bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży karmelitów. Ot co jest!

— A to za co? — zapytał poruszony przeor.

— A to dlatego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, p o k o r ę, która, jak wiecie, niebiosa przebija. Ot co jest!

— No, ale, *computatis computandis*,[14]) na czemże staje? — i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: — ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze, klasztorku może być panu exmarszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum*,[15]) mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*,[16]) nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto dopomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale*[17]).

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał mi się być kontent z pozbycia się i pożegnał wdzięczniej, niżeli

---

[8]) w najwyższym stopniu. [9]) obróć. [10]) drogą namowy. [11]) jedyna droga zbawienia w służbie bożej, reszta kpiny! rozumiesz?... czyń mądrze!... i niech się dzieje wola boża. [12]) dobrze powiedziałeś. [13]) bez wątpienia. [14]) rozważywszy, co rozważyć należy. [15]) proszę z sobą. [16]) pożywienie i odzież. [17]) bądź zdrów.

przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z mą szablą przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się odrazu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata **kanaparza**; jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej pierwszej próbie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim*[18]) przełożeństwa nad zamożną klasztorną **dyspensą**[19]) i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza, żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadało mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga: bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało; i co najbardziej, że gdy rano wstawszy, poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał. to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potem każdy do swojego, a ja na *consilium*[20]) z bratem kanaparzem względem obiadu, który że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies*[21]) prawie w każdej celi, *post requiem*[22]) albo odwiedzimy wzajemne i *colloquia*[23]) mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano*[24]) dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz, jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszek na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufałej komitywie aż do *silentium.*[25]) które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po korytarzach, *stricte*[26]) pilnując reguły zakonnej. O tem ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele. w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi. ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć...

---

[18]) tymczasowo. [19]) spiżarnią. [20]) naradę. [21]) odpoczynek. [22]) po odpoczynku. [23]) rozmowy. [24]) z czystego ziarna. [25]) znaku milczenia. [26]) ściśle.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty, złoty, w karpią łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus*[27]) wszystko, co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ks. kustosz.

— A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ksiądz przeor głębocki, — a w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, żem nie zpod płota wylazł.

— Ot to byłaby piękna kapa na *asperges*[28]) — mówił on, gładząc pas mój lity — a z żupanów grodeturowych i atłasowych ornaty, z kontuszów *antepedia*, a z właściciela — obracając się do mnie — bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tem złego? Dyabeł na świecie tańcuje koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze, ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod obedyencyą! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod obedyencyą. Ot co jest!

— Widzisz, *reverendissime,* na kapłana trzeba osobnej nauki; gdzież mi już rozpoczynać na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tęgo, a dla ochoty do teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i dyscyplinę, mógłbyś od razu zostać jubilatem, zwłaszcza że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój animusz nie do tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób profesyę na braciszka *sine missa*,[29]) zostań z nami bernardynami, Boga chwal, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała[30]); ale po krótkiem milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek; z tymi przymiotami, za błogosławieństwem boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę ci długo apostołował: bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzywał siebie, że nie chcąc się z tobą rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych obligacyj[31]) na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo: to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski,

[27]) i tym podobne. [28]) pokropienie (przed sumą). [29]) bez prawa odprawiania mszy św. [30]) przekonywała [31]) zobowiązań.

aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencyę nieszpory, wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób, co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił bronić, i upór na upór, ale najgorsze w życiu ludzkiem to: jak chcesz! I tak dobrze, i tak dobrze; albo i tak źle, i tak źle... A Bóg wie tylko, co lepiej, a co gorzej. Więc czekałem już niecierpliwie nieszporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc, modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę:

Kto chce Pannie Maryi służyć,
A Jej osobliwszym miłośnikiem być...

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu tej Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: — Będę Tobie i Twojemu najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski bożej pełna! przyjm ofiarę moją; oddal odemnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski...

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele i nie spostrzegłem, jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z chóru, i ja sam jeden zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migała przed ołtarzem... gdy wtem usłyszałem stąpanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ks. kustosz, który siedział w konfesyonale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląkłem. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląkł potem obok; zmówiliśmy *Te deum laudamus*[32]) i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne korytarze.

Dopadłem śpiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakąś pociechą moje suknie i pasy do kuferka — To, ojcze! — rzekłem — zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zaniesiemy obadwa kuferek ten do zakrystyi: bo już to ni moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum factum[33]). Kuferek został w zakrystyi, a ja, pożegna-

[32]) Ciebie, Boga, chwalimy. [33]) jak rzekł, tak się stało.

wszy księdza przeora, udałem się na spoczynek i bez żadnych żalów lub molestacyi, najspokojniej zasnąłem.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *servitor*[34]). — Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit... wtem zastukał do celi ks. kustosz, idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrystyi, rzekł do mnie: — A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętej znowu duch nowy i jakby pragnienie habitu weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud boski i powołanie; więc aż dreszcz mię przeszedł na tę propozycyę odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!* — odpowiedziałem — idźmy do celi i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i Jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię. Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu... ale to krótko, bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się i złoto z głowy znikło; a ksiądz kustosz, obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi i za jego rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale obedyencya dzwoni.

— Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej wokacyi,[35]) którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus*[36]) zatem, bracia mili, i przyjmijmy go *apertis manibus:*[37]) bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą profesyę.

— A potem — odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor — przejść powinien na probanta i serwitora.

— A czy waści — odpowiedział kustosz — uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim serwitorze? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornem sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite materyalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła; to znaczy, że się wyrzekł szczerze marności światowych. Serwitorów, definitorów mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych za mało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

---

[34]) służebny. [35]) powołania. [36]) cieszmy się. [37]) otwartemi rękami.

— Bracie Michale! — mówił dalej kustosz — zdaję waszeci zupełnie naszą dyspensę, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd, w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną benewolencyę[38]) i rzekłem: — Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik — i podałem kieskę z kilkunastu talarami — ekscypuję[39]) tylko sobie, *si licet*,[40]) dukata *cum effigie*[41]) Najświętszej Panny.

— *Iterum iterumque gaudeo!* [42]) — rzekł, ściskając mię za głowę — z tak pobożnej twej intencyi; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tem bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem*[43]). Bo i u któregoż bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? A że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek; a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobim z szabelką? — jeszcze zapytał, uśmiechając się.

— Odeślę ją przy okazyi memu przyjacielowi, podczaszemu Świebodzie.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów, jadących razem do Nieświeża na kapitułę. Nie powstydziłem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed patrami, warte było ich gęby. Nie traktowałem ja ich żadnymi pańskimi frykasami; ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty kaletki[44]) postne, śliże,[45]) szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do kontentacyi zupełnej nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie? — zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek, Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i experyencyi,[46]) smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem, śledziami nadzianym — *gratias ago!*[47]) — rzekł on, spojrzawszy na mnie i zmierzywszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawa *ex ordine*[48]) pojedynczo przed nim dla egzaminu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. Kwestya pierwsza: czy nie mam jakiej krzywdy lub skarg na kogo w klasztorze? — Nie. — Kwestya druga: Czy

---

[38]) życzliwość. [39]) zatrzymuję. [40]) jeżeli wolno. [41]) z wizerunkiem. [42]) bardzo się cieszę. [43]) co do grosza. [44]) rodzaj pierożków. [45]) gatunek ryby, pokrewnej piskorzom. [46]) doświadczenia. [47]) dziękuję. [48]) kolejno.

nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić? — Nie. — Kwestya trzecia: jaki był mój stan przeszły i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to odpowiedziałem *summatim*[49]) i pokrótce całe moje życie, a szczególniej, jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgnąłem się *insperate*[50]) na karmelitę i *tandem* za pomocą bożą na bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moją ojciec nasz. — Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcyi. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będziesz waszeć i tam w Nieświeżu urządzał *sumptem* naszym obiady, a potem obierzesz sobie rezydencyę, gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w Nieświeżu, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spasłymi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnymi *omnis generis*[51]) i specyałami z klasztoru sióstr naszych bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanymi, oraz puzdrem pełnem, od którego klucze pod moją są kustodyą[52]).



XII. Ludwik Sztyrmer.

Dusza w suchotach. (1843).

Jestto jedna z najwcześniejszych naszych powieści psychologicznych. Autor brał tu materyał z własnego życia i usposobienia. W Karolu wystawił jednego z bohaterów bajrońskiej epoki, z umysłem bujnie rozwiniętym, ale z sercem oschłem, lubiących kruszyć serca niewieście i „patrzyć, jak się kruszą“, nie znajdujących zadowolenia w niczem, ginących marnie z sarkazmem na ustach. Analiza niemiłosierna nieuleczalnej choroby duchowej, której objawy autor obserwował sam na sobie, nie złagodzona żadnem rzewniejszem, serdeczniejszem uczuciem, dokonana ręką biegłą i pewną siebie, może robić przykre wrażenie, ale dla umysłów badawczych mieć zawsze będzie urok niepospolity. Gdyby więcej było plastyki w obrazowaniu osób i wypadków, gdyby nie ta okoliczność, że największa część analizy owej jest dziełem pacyenta, zachowałaby „Dusza w suchotach“ znaczenie nazawsze nietylko psychologiczne, ale i artystyczne.

O północy Karol zadzwonił. Pobiegłem do niego. Spojrzał na mnie z niejakiem zadziwieniem, przeciągnął ręką po czole, ziewnął i rzekł obojętnie:

— Macieja wołałem, ale kiedyś tak dobry, że nocujesz u mnie, to siądźże. Nie mogę spać... Co to za okropna męczarnia bezsenność!... Opowiedz mi, Ksawery, co też się działo z tobą od czasu naszej rozłąki?...

---

49) ogólnie. 50) niespodzianie. 51) wszelkiego rodzaju. 52) strażą, opieką.

Opowiedziałem mu w kilku słowach całą moją historyę. Życie moje było tak ubogie w wypadki, tak ciche i spokojne, chociaż nie bez mozołu i cierni, że prawdziwie nie miałem o czem długo mówić. Karol zamyślił się, potem rzekł: — Jak widzę, dusza twoja była zawsze tak zdrowa, jak i ciało. Ze mną działo się zupełnie inaczej.

Prosiłem go, żeby mi opowiedział swoje życie.

— Po co rozgrzebywać ten popiół? — odpowiedział Karol smętnym głosem. — W każdej powieści, a nawet w dziejach, wypadki tyle mają ceny, o ile prowadzą do jakich ważnych wniosków. Na co ci wiedzieć, gdzie byłem? co robiłem? kogo znałem? i t. d. Musiałbyś te rzeczy kombinować i roztrząsać, żeby dojść do tego, co ci mogę powiedzieć w kilku słowach. Łaknąłem nieustannie spokojności ducha i nie znajdowałem jej i siliłem się załatać jakąś dziurę w sercu, przez którą wyciekało mi szczęście, i nie mogłem tego dokazać, dręczyłem się niepojętemi dla mnie żądzami; oczekiwałem czegoś z dnia na dzień i szukałem na wszystkich drogach, nie doczekałem i nie znalazłem!... słowem życie moje przedstawiało jakby symptomata jakiejś moralnej choroby... Doktorze! to twoja rzecz znaleźć dla niej nazwisko.

— O, mój Karolu! — rzekłem z westchnieniem — znam tę chorobę, spotykałem ją nieraz w towarzystwie, w silniejszym lub słabszym stopniu. Jest to na nieszczęście dość pospolita w naszym czasie choroba — to są suchoty serca.

— Ha! dość trafnie! jednak niezupełnie. Moje cierpienie było większe, bo i umysł pasował się z boleścią. Suchoty duszy byłoby dokładniej. No, panie doktorze, a jakież przepisujesz lekarstwo od tych suchot?

— Jest tylko jedno, ale pewne — religia; to jest: przekonanie w umyśle, miłość w sercu, i wylanie obojga w uczynkach. Człowiek, który z pokorą i ufnością w Bogu używa tego lekarstwa, uważa życie ziemskie za czasową pielgrzymkę, i chociażby była najboleśniejszą, nie traci nigdy pokoju ducha. „W miłości niema bojaźni — mówi Jan św. apostoł — gdyż bojaźń ma utrapienia; a kto się boi, nie jest doskonałym w miłości“.

— Szukałem tego lekarstwa — rzekł Karol — ale byłem zanadto oddany światu, żeby je odnaleźć. Czułem jednak, że błądzę; o! głęboko to czułem i nieraz, kiedy przesyt, albo niespokojność dręczyły mą duszę, wołałem do Boga z rozpaczą o promień łaski niebieskiej, coby mi ogrzał serce miłością, lecz wołałem jak próżniak, który nie chcąc pracować, żebrze, i dlatego niebo nie wysłuchało mego głosu. A bez tego, czemże było moje życie? Błądziłem ciągle po manowcach, sam nie wiedząc, gdzie biegnę? i czego szukam? podobny do okrętu, który straciwszy igłę magnesową, krzyżuje ocean w różnych kierunkach po woli fal i wiatrów, pasuje się z burzami, i nigdy nie wie, gdzie go zaniosą. Rozum i honor zachowały mnie od zmazy; imię moje było zawsze otoczone szacunkiem towarzystwa, w którem mnie los postawił; ale w duszy ileż to razy nazwałem siebie

fałszywym, podłym, okrutnym, nikczemnym człowiekiem! Padałem z błędu w błąd, ze słabości w słabość, z męczarni w męczarnię; szukałem ciągle nowych wrażeń, żeby odurzyć tęsknotę serca. Chęci i żądze moje ciągle się zmieniały. Ani przyjaciel, ani kochanka nie mogli mnie długo zajmować. Serce moje było w pewnym rodzaju zimnej egzaltacyi, której wybuchy dawały drugim tak fałszywe o mnie pojęcie, że uważali mnie za człowieka czułego i przywiązywali się do mnie. Ja sam łudziłem się często, upędzając się za marami miłości, przyjaźni i sławy, ale wkrótce spostrzegałem z rozpaczą, że mniemana czułość była nic więcej, jak drażliwość nerwów, albo szał gorączkowy, chorowite wzruszenie serca, bez stałej osnowy, a zatem fałszywe i nietrwałe.

Żal mi tych ludzi, co zbliżali się do mnie. Ja byłem jak żelazny piecyk, co chwilę grzeje mocno, a potem mrozi rękę, która się do niego dotknie. Nikt nie przeniknął do głębi mej duszy, nikt mnie nie znał!

Choroba moja przeszła wkrótce i do umysłu. Myśl zaczęła szukać także coraz nowego pokarmu, i przeżuwszy go, rzucała z niechęcią. Przechodziłem od jednej nauki do drugiej, zgłębiłem jedne więcej, drugie mniej. Każda z nich zajmowała mnie mocno, póki nie doszedłem do stałych o niej pojęć, póki nie wyczerpałem przedmiotu lub ciekawości; a potem każde przeczytane dzieło stawało się dla mnie obojętnem — Laplace tak samo jak Byron, Cuvier jak Tacyt, i Kant jak Rabelais. I nie mogło być inaczej. Wszak książki są to ludzie z papierowem ciałem, i każdy postępuje z niemi tak samo, jak ze zwyczajnymi ludźmi. Znudziło mnie wszystko; straciłem bodziec do pracy, wpadłem w rozumne lenistwo, najgorsze ze wszystkich rodzajów próżniactwa, i zostałem zupełnie bez obrony przeciw temu robakowi, który mi toczył serce.

Nie lubię wogólności długich dysertacyj w przedmiotach moralnych. Świat jest tak dziwnie stworzony, że w materyi jest więcej niż materya — jest mądrość. Dlatego używam często porównań — bo krócej i dobitniej. Oto naprzykład: wracając do mojej biografii, widzę, że mógłbym był porównaniem dać ci dokładne o mem życiu pojęcie. Jak w suchotach piersiowych powietrze, wciągane w chorowite płuca, zamiast ożywiać organizm ciała, coraz więcej je niszczy, tak w suchotach duszy wrażenia życiowe, padając w głąb schorzałego ducha, wytępiają w nim pierwiastek niebieski i niszczą życie moralne.

Skończywszy, zamilkł.

— O, Karolu! — zawołałem — dlaczegóżeś?...

— Wiem, co chcesz mówić — przerwał mi Karol niecierpliwie — będziesz deklamował o mojej oziębłości dla ciebie, o przerwie listowania, dlaczego nie szukałem pociechy i rad u brata? i. t. d. Daj pokój! nie mam ci co na to odpowiedzieć. Oziębłem, no, cóż robić? stało się, a kiedy się stało, to nie chciałem udawać z grzeczności, że się nie przemieniłem, bo widzisz, mój Ksawery, po kilku latach zrobiłem sobie postanowienie, wyjąwszy obowiązków społe-

cznych, nigdy nie czynić tego, co mnie nudziło, ani marzyć o tem, co wiedziałem, że nie jest prawdą.

— Ja myślę — rzekłem uśmiechając się — że każdy ma ten zwyczaj.

— Gdzie tam! Widać, że mało obserwowałeś ludzi. Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, a człowiek w naszych czasach zrobił z siebie małpę. Większa część czynności ludzkich pochodzi z małpiarstwa. Człowiek, nie zdając sobie rachunku, naśladuje drugich, zwodzi samego siebie, smuci się i ekstazyuje na cudzy manier.

— To mogą czynić tylko dzieci.

— Mylisz się. Dla dzieci małpiarstwo wogólności pożyteczne, bo inaczej jakżeby się nauczyły jeść, pić, chodzić i mówić? ale w ludziach dojrzałych ta wada jest płaska i często zgubna. Przejdź myślą swoich znajomych, czyliż to jeden z nich z małpiarstwa osobom żyjącym, a nawet bohaterom powieściowym, nagina swoje życie na ich ład? pozbywa się samobytności, wspomina uczucia, których nigdy nie czuł, poetyzuje to, co go wistocie nudziło i śmiesznie kłamie przed swoją własną personą? Nie jeden, spędziwszy najprozaiczniej dziecinne lata, przeszedłszy przez nudne miłostki, przeczytawszy drzemiąc jaki poemat, który mu zachwalono, albo wycierpiawszy nędzę obojętnie, jak osioł. marzy potem, idealizuje te płaskości, i powiada drugim o błogich chwilach młodego wieku, o gołębiej miłości, o cudnej poezyi i strasznych cierpieniach, których kiedyś doświadczał? Z małpiarstwa ludzie często chcą być kochani jak drudzy i zawiązują romanse bez wewnętrznego uczucia, chcą mieć tęgą głowę i piją, chcą uchodzić za nieustraszonych i pojedynkują się i t. d. Sądzę więc, że to jest niezła rzecz, kiedy człowiek dobrze się rachuje sam z sobą i nie robi tych niedorzeczności.

— O, jakże zimna twoja filozofia, mój Karolu! wolałbym żebyś był za przykładem drugich nie zrywał związków z bratem, chociaż się stał dla ciebie obojętnym.

— Może to być, doktorze, ale do czegóż nas doprowadzi ta pusta rozmowa? wróćmy lepiej do małpiarstwa. Kiedyś, będąc na wsi, zrobiłem ciekawe doświadczenie nad owcami. Kiedy otworzono owczarnię, postawiłem we drzwiach pierwszej owcy kij przed nogi, i gdy przez niego przeskoczyła, odszedłem. Cóż powiesz na to? wszystkie owce, ile ich tylko było, skakały wylatując z wrót, jak gdybym trzymał im kij, i czyniły to rozumie się nie z potrzeby, ale dlatego, że pierwsza owca podskoczyła na tem miejscu. Otóż towarzystwo jest taką samą owczarnią. A teraz bądź zdrów. Sprobuję, czy mi się nie uda zasnąć.

Nazajutrz rano, Karol całą godzinę rozmawiał z księdzem, potem modlił się gorąco. Gwałtowny i bolesny kaszel przerwał mu modlitwę. Kiedy wszedłem do niego, przywitał mnie łagodnie, rozmawiał o religii, o życiu przyszłem i próżności wszystkiego na świecie. Obrok duchowny jeszcze ogrzewał jego serce, i bijąc promieniami niebieskiego światła, rozjaśniał, podwyższał i barwił myśli, które

umysł wyrabiał w tej chwili. Widziałem wyraźnie, że ta potężna głowa zgięła się z pokorą przed uczuciem prostego kapłana, i żal mi się zrobiło mądrości ludzkiej. Ognisko duszy jest niezawodnie w sercu! Cały dzień był dość spokojny i przypominał sobie jasne dni życia. co nas wciągnęło w długą rozmowę o domu rodzicielskim i czasie naszej młodości.

W nocy lodowaty jego Demon znów wziął nad nim górę. Wpadł w zwyczajny swój humor, zrobił się obojętny, niespokojny, zgryźliwy i nudny. Rozmowa jego nie zatrzymywała się długo na żadnym przedmiocie, mieszał wszystko, zaczynał i nie kończył; zamiast rozumowania, po większej części drwinkował, rzucając sarkazmy, tchnące jakąś odrętwiałością, chłodem, zgnilizną uczuciową. Wypisuję tu z jego zdań te, które, bez wyraźnej przykrości, mogłem sobie przypomnieć.

Jeżeli życie człowieka jest podróż od kolebki do grobu, to wyznać należy, że nikt jej nie odbywa w prostej linii, sumiennie i bez straty czasu. Naśladujemy żaków, którzy, idąc do szkoły, wybierają najkrętsze drogi, zatrzymując się wszędzie, gdzie się można pogapić, biegną w stronę za motylem, żeby go przypiąć na czapce, i jako ozdobę nosić na głowie, robią psoty żydom, myślą o wszystkiem, wyjąwszy o tem, że im trzeba iść do szkoły. Takim sposobem żaki i ludzie robią dziwaczne zygzaki, i często strudzeni bieganiną, żałując niedokończonej pustoty, niespodziewanie stają u mety.

Śledźcie naturę, a zobaczycie ścisłą sprawiedliwość. Jeśli ta matka skrzywdzi człeka w jednym względzie, to wynagradza mu krzywdę w drugim. Tak naprzykład, ślepy lepiej słyszy i czuje palcami, głupi bywa zdrów, jak nosorożec. Kto często choruje, to za to bez niebezpieczeństwa; kto rzadko, to ciężko; kto ma wielką pamięć, to mniej innych zdolności umysłowych i t. d. Wszystko to powinnoby nas naprowadzić na tę myśl, że sprawiedliwość wcale nie jest pojęcie względne, ale zakon zasadniczy, bez którego świat by się nie ostał.

Nieraz pewno widziałeś, jak pies, zwyczajnie młody szczeniak, kręci się na miejscu w kółko, usiłując uchwycić zębami koniec własnego ogona? i mówisz mimowolnie: głupia bestya! a wszakże pies w innych przypadkach bywa mądry.

Umysł większej części młodych ludzi karmi się prozą; serce wyrywa się do poezyi i tym biedakom zdaje się, że te dwie połówki, zlepione razem, mogą uformować coś lepszego. jak nędzną ramotę! sądzę, że to to samo, co uzbroić nogi kaloszami i wejść do salonu z miną człowieka, który przyjechał w karecie! Biedni spekulanci! wszakci wychodząc, musicie zebrać z sobą swoje zbłocone kalosze i wędrować piechotą.

Oprócz pospolitego ryczałtowego kłamstwa, które każdy uważa za wadę i cechę dusz bezsilnych lub zepsutych, jest jeszcze drugi rodzaj łgania. który można uważać za ekstrakt subtelny z pierwszego. Ten ekstrakt łgania destyluje się nieustannie z człowieka dla zadowolenia sekretnego głosu miłości własnej, dla durzenia najbliż-

szych znajomych, przyjaciół, żon, czytającej publiczności, i wreszcie dla poetyzowaoia płaskich wspomnień własnego życia. Jest on tak subtelny, że go często nie dostrzega sam nawet destylator.

W niektórych miejscach używają psów do obracania pieczeni na rożnie. To biedne stworzenie patrzy całą godzinę na wyborną sztukę mięsa, wie, że jej nie liźnie, a jednak, wróciwszy do swej budy, nie narzeka na ludzi, nie pisze rozpaczających elegii i nie odejmuje sobie życia. Zdaje się, że ten fakt zasługuje na uwagę.

XIII. August Wilkoński.

O piorunach (ramotka, 1841).

Gdybym na własne nie słyszał uszy, nie byłbym wierzył, — przecież w mojej obecności pan Zdzisław i pan Witold, następną prowadzili rozmowę:

Zdzisław. Noc była parna; od wschodu słońca gorąco, następnie gwałtowny upał; około południa zdawało się, że ogień z nieba leci; rośliny powiędły, śpiew ptaków ucichł, zwierz dziki w gęstych zaroślach chłodnego szukał schronienia. Na obszernej niwie wrzeszczał rozgłośnem gardłem karbowy: „dalej! dalej! żywo!...“ i tysiące kropel krwawego potu oblewało ciężką pracą wycieńczone ciała żniwiarzy. Niemowlęta na utkwionych w ziemi drążkach w grubej zawieszone płachcie, po długim i bezskutecznym płaczu za pokarmem matczynym, anielskie spojrzenia mimo wiedzy w niebo unosząc, wreszcie umilkły. Z po za lasu czarna wystąpiła chmura. Wiatr począł się nagle wzmagać, bezprzestanny grzmot i błyskawica okropną zapowiadały burzę. Od wioski na spienionym koniu pędził dziedzic Tarlina, Kazimierz Rastowiecki, cudnej urody młodzieniec, budowa jego ciała doskonałej piękności, w błękitnych oczach jakoby wrodzona śmiałość, na świeżych licach zdrowia i siły piętno, na ustach wyraz dobroci, ubiór miał lekki i bez przesady, wogóle, dziwnie do mnie podobien. Ledwo że pierwszych dosięgnął zagonów, „do domu! do domu!“ zawołał. I wnet pobiegły matki, tuląc spragnione dzieci do piersi; chłopi błogosławiąc dobremu panu, szli zwolna za niemi. Wkrótce też potem grad pokrył pola, deszcz ulewny zaciemnił widnokrąg, pioruny biły z przeraźliwym łoskotem. „Ignacy, wolno! przez miłosierdzie boskie wolno! prędką jazdą utworzone pasmo wiatru może piorun sprowadzić“. — Proszę jegomości, co rychlej, to rychlej, pod dachem będzie bezpieczniej“, odrzekł trwożliwy Ignacy. Wtem walka żywiołów zwiększyła się, ziemia zadrżała, grom i bezzwłocznie piorun w prawe, tylne koło mojego pojazdu uderzył. „Kaczaj!“ krzyknął Ignacy, jam się przeżegnał, konie biegły, ile im sił starczyło. — „Ignasiu, stój! stój! jeżeli Boga masz w sercu, stój! ja

wysiądę". Ognista wstęga i dym siarczany dalszą wstrzymały prośbę, lewe przednie koło zdruzgotane zostało w kawałki. „Stój!" wołam, „stój!" nie, on jeszcze silniej konie zacina. Minęliśmy cegielnią, kuźnią, dyszel we wrota stajenne uderzył, roztwarły się na roścież, i na pół żywy ujrzałem się pod pożądanym przez Ignacego dachem; pojazd stracił wreszcie równowagę, wywrócił się, a ja, wysypałem się na ziemię.

Witold. Więc pan dobr. na dwóch tylko kołach wjechałeś do stajni.

Zdzisław. Tak jest, łaskawy panie, na dwóch, i to na jednem tylnem i na jednem przedniem, na lewem i na prawem, przez co równowaga zachowaną być mogła.

Witold. Dalekoż od karczmy, gdy pierwszy uderzył piorun?...

Zdzisław. Najmniej... żebym nie skłamał, ukraińskiej mili — ćwierć dobra — pocztowej była połowa — i może jeszcze kroków kilkanaście.

Witold. Zazdroszczę panu dodr. tego wypadku; ja, co tak bardzo lubię pioruny, jeden raz mi się dopiero coś podobnego w życiu przytrafiło. Będzie temu lat pięć, gdym na łaskawy rozkaz ciotki mojej, pani Z... do Cichostronia przyjechał. Na świętą Emilię spodziewano się gości. W lipcu nie wolno do czworonożnego strzelać zwierza; a więc poszedłem na wodne ptactwo, iżby cioci na jej imieniny myśliwską zrobić niespodziankę, zwłaszcza, iż ciocia dobrodziejka lubiła bekasy. Zaopatrzony we wszystko, co na dzień cały polowania potrzebne, wyszedłem z pałacu jeszcze przed wschodem słońca; — dzień był przepyszny, łąki i gaje, chłodną rosą zwilżone, wydawały aromatyczną woń, którą tylko czuć, ale jej opisać nie można. O, pamiętam! cudny, boski to był poranek! Drobne ptaszyny o lekkiem skrzydle w nadpowietrzne wzbite szlaki, piękność przyrodzenia głosiły, bociuś na niebotycznym dębie dopiero co klekotać począł, strwożony zając w obrane miejsce kamieniem przypadł, — na purpurowe obłoki wtoczył się złoty wóz słońca, a wedle Kopernika ziemia raczyła się na osi w ten punkt przechylić, żem ranne słońce zobaczył. Nie umiał cenić tak wspaniałego widoku Tyras, wyżeł mój, bo wietrząc zwierzynę, na jeziorko popłynął. Podrywa się cyranka jedna, druga, trzecia, czwarta i dziesiąta, strzeliłem na zakręcie ich lotu, siedm spadło, pies przyniósł do nogi, przytroczyłem i idę dalej; ale pocóż pana dobr. nudzić, przed godziną dziewiątą miałem przy torbie 24 cyranki, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków i 8 dubeltów...

Zdzisław. O wierzę, wierzę, bo ja przez jedną godzinę...

Witold. Proszę nie przerywać, nie o to rzecz idzie. Gdym, mówię, sześćdziesiąt sztuk ubił, spocząłem na pobliskim pagórku, wyżłowi rzuciłem chleba, sam napiłem się wódeczki, i mimowolnie na słodko zasnąłem. Co to jest, panie dobrodzieju, namiętność! i we śnie strzelam, morduję zwierzynę, już nie pamiętam, ilem ja to wówczas nastrzelał, nie wiem nawet, jak długo poiłem się słodką snu karmą, gdy mnie ciężki grzmot przebudził. Od zachodu toczy się ogniem

ziejąca nawałnica, szum ją okropny poprzedzał — wicher z korzeni rwał drzewa — piasku tumany biły mi w oczy. Nie naśladując pana dobr., któren się bałeś piorunów, przeciwnie, podziwiając widok gniewnego nieba, z zachwytem przypatrywałem się, jak szybki do mnie zbliżał się uragan ognia i wody; obnażoną pierś wystawiłem naprzeciw burzy, rozwartemi usty połykałem wiatr, który może przed godziną o mil trzydzieści łono mojej pieścił kochanki, i tak poetycznym uniesion zapałem, czekam, rychłoli nad moją głowę nadejdzie łoskot piorunów; gdy wreszcie wielkości strusiego jaja krople na czoło moje upadły, a wkrótce deszcz strumieniami się puścił. Panie Zdzisławie! nie uwierzysz, co to za rozkosz widzieć wśród rozległego pola naokoło siebie, nad sobą, i pod sobą, nic więcej tylko ulewny deszcz. Niecierpliwiłem się wprawdzie, że pioruny zdala odemnie padały, jam pragnął doświadczyć wrażenia blisko, jak najbliżej uderzającego pioruna.

Zdzisław. Istotnie wać pan dobrodziej do bardzo śmiałych policzonym być możesz.

Witold. Jestto błędem naszej rodziny; mój nieboszczyk stryj w czasie najgwałtowniejszej burzy, zwykł wchodzić na dach swojego pałacu, i trzymał się zawsze lewą ręką konduktora, aby miłego doznać wstrząśnienia, w razie gdyby piorun uderzył: radzili mu to nawet lekarze na zatwardzenie wątroby.

Zdzisław. Prawdziwie osobliwszy rodzaj przyjemności i leczenia się, ale jakżeż było wówczas na polowaniu?

Witold. Oto kiedy złorzeczę nieżyczliwemu kierunkowi chmury, która mi żadnego nie naprowadziła pioruna, zdawało się, że ktoś wiedeńską kitajkę nad memi uszami rozdziera, i czy pan dobrodziej uwierzysz, piorun w prawą lufę mojej strzelby uderzył.

Zdzisław. To pan dobr. zapewne rękę, a w najszczęśliwszym przypadku strzelbę utraciłeś?

Witold. Bynajmniej, jak pan widzisz, mam ręce całe, a ze strzelbą inaczej się stało. Lecz mówiąc dalej, ha! pomyślałem sobie: raz przecie życzenie moje spełnionem zostało, gdy wtem trzęsie się ziemia jak galareta, łamie się ogromne niebios sklepienie i drugi piorun wpadł w lewą lufę. Patrzę!... panewki przywarte, proch nieporuszony, oczywiście obydwa pioruny albo wśród pakuł, albo wśród śrótu zostały, nie dotknąwszy prochu. Po nagłym burzy przelocie, słońce żywszym zaświeciło promieniem, i prócz kontuzyi, której u nóg moich tulący się wierny Tyras w ogon był dostał, bez najmniejszego szwanku, zdrów, wesół i cały, dźwigając 24 cyranki, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków i dubeltów, i dwa pioruny, powróciłem do cioci.

Zdzisław. Być może, ale i wierzyć trudno.

Witold. Jeżeli pan dobr. pozwolisz, pokażę tę samą dubeltówkę, mam ją tutaj ze sobą, możemy nawet jeden piorun wystrzelić.

Zdzisław. Jakto? do tej chwili są jeszcze w tej fuzyi, te same pioruny...

Witold. Tak jest, panie dobr. pozwolę panu dobr. jeden wystrzelić, hej, Janie!...

Zdzisław. Nie, nie potrzeba; ja wierzę panu dobr. co do słowa, nie wątpię, szkodaby było pozbywać się takiej osobliwości.

Witold. Ależ jeden tylko wystrzelimy.

Zdzisław. O nie, nie, panie Witoldzie, ja wierzę, ja znam pioruny, i wiem, że się zdarzają nadzwyczajne przypadki, którym tylko głupcy wiary dać nie chcą. Co za szczęście, żem ja wówczas pod Tarlinem żadnej nie miał strzelby.

Witold. Ale byłbyś, panie Zdzisławie, dwóch kół nie postradał.

Pan Zdzisław powiedział, że się zdarzają wypadki, którym głupcy wiary dać nie chcą. Jak się komu podoba; co do mnie, ja uwierzyłem zupełnie.



XIV. Ferdynand Bronisław Trentowski.

Chowanna. (1842).

„Chowanna" jest to systematyczny wykład pedagogiki, podzielonej przez autora na trzy części: nepiodykę czyli naukę o wychowaniu, dydaktykę czyli naukę o wykształceniu i epikę, obejmującą dzieje wychowania. Trentowski utworzył własną terminologię filozoficzną, którą w przypiskach zwięźle objaśniam. Ustęp, tu przytoczony, wzięty jest ze wstępu do „Chowanny". Podaję go według drugiego wydania tego dzieła, 1845 roku, w Poznaniu.

Mamy na ziemi cztery powracające ustawicznie epoki ogólnego żywota, czyli cztery pory roku: wiosna, lato, jesień, zima. Wiosna wywija kiełki z nasion, które odziedziczyła po matce zimie; lato zamienia je w kwiat, jesień w owoc, a zima w nasiona dla nowej wiosny. Mamy także w żywocie człowieczeństwa cztery wieki: dzieciństwo, młodość, dojrzałość i starość. Chłopiec i dziewczątko są w dzieciństwie, młodzian i dziewica w młodości, mąż i kobieta w dojrzałości, starzec i baba w starości. Dzieciństwo przyjmuje nasiona, które ofiaruje mu starość, i przeistacza je w kiełki nowego żywota; młodość wyrabia kiełki te w kwiat, dojrzałość w owoc, a starość w nasiona dla dzieci nowego pokolenia. Porównanie to mieści w sobie należyte pojęcie czterech pór życia ludzkiego, wskazuje każdej z nich właściwe przeznaczenie, oraz wyświeca owo koło, którem toczą się po linii prostej ciągle dalej: historya, duch czasu i postęp.

Cztery pory żywota, czyli cztery wieki przenikają wszystko, co człowiecze. Widzisz codziennie wpływ ich nietylko w sposobie myślenia, w temperamencie i charakterze, w cnotach i wadach pojedyńczych ludzi, ale także na ogólnych polach religii, polityki i umiejętności, w kościele, w państwie i w izbie dziecinnej, w stronnictwach wszelkiego rodzaju, które świat rozdzierają. Chcąc cztery te wieki opisać w pełni, ścigać je przez wszystkie objawy i malować barwy rozliczne, których życiu udzielają, potrzebaby rozległe poświęcić im

dzieło. Ze zaś otworzyć tu dla nich możemy zaledwie jeden paragraf, przeto chwytamy za styl urywkowy. Kto przedsięweźmie obszerniej o rzeczy tej rozmyślać, niech czyta Fryderyka Rohmera o czterech wiekach i czterech politycznych stronnictwach, z którego kiedyniekiedy robimy tu stosowny do przekonań własnych użytek.

Jakie wewnętrzne znaczenie mają cztery wieki ludzkiego żywota? Dzieciństwo jest stanem *in potentia*[1]) wymagającym rozwicia, t. j. wychowania, nauki i oświaty, czyli wykształcenia, jest więc właściwie dopiero wstępem, przygotowaniem, przedsienią do życia. Inne trzy wieki są stanem *in actu*,[1]) czyli samoistnem życiem na różnych rozstajach. Starość, bogata w nabyte mnogoletnim żywotem wiadomości i doświadczenia. wyobraża ludzką realność; młodość, jest idealnością, a dojrzałość rzeczywistością ruchu naszego. Stąd wynika, że ze starością łączy się religijny, polityczny i naukowy historyzm, z młodością radykalizm, a z dojrzałością liberalizm. Starzec żyje w przeszłości, przelewa ją w chłopca, chce oczarować nią męża. walczy za nią ze starcem; mąż żyje w teraźniejszości i urzeczywistnia w niej religijne, polityczne i naukowe słowo boże. Tylko mąż jest człowiekiem czynu, mistrzem ducha czasu i postępu. Starzec i młodzian wyrabiają dlań śród ciągłej walki z sobą do nowego świata materyał.

Przez cztery te wieki żyje i odmienia się człowiek nie samem ciałem, lecz także duszą, a po części nawet jaźnią[2]). Dziecięcość jest cielesną, duchową i jaźniową biernością; młodość cielesną, duchową i jaźniową czynnością, dojrzałość cielesną, duchową i jaźniową dzielnością; a starość, jak wnet przeświadczymy się o tem, cielesną, duchową i jaźniową samowładnością. Dzieciństwo stoi otworem dla wszystkości; młodość przejmuje się jednością, a dojrzałość całością i całostką; starość wreszcie, przelewając śród długiego żywota zebraną wszystkość w szukający tejże wiek dziecięcy, jest chodzącą i nauczającą wszystkością. Stąd wypada, że starzec występuje jako naturalny nauczyciel biernego chłopca, tudzież, że wiek podeszły, jako gubiący się we wszystkości, jest powrotem do dzieciństwa. Jakoż starzec zgrzybiały jest dzieckiem, acz w innym rodzaju. I tutaj także koniec przepływa w początek. Masz linią żywota, oznaczoną czterema punktami: dziecko, młodzian, mąż i starzec. Zegnij linią tę w koło, którem toczy się bieg wszech rzeczy, a starzec spotka się z dzieckiem i utworzy w niem punkt jeden. I pozostaną się li trzy punkta, jako udzielne działacze. Na kole tem młodzian wznosi się od dołu, t. j. od dzieciństwa, coraz wyżej w górę; mąż staje na szczycie koła, jako punkt przesilenia, albo raczej wierzchołkowania, a starzec spuszcza się zwolna z wyniosłości dawniejszej na sam dół, t. j. aż do drugiego dzieciństwa. Koło żywota jest jedną linią, wszelakoż ma dwa kierunki: postępny i zwrotny.

---

[1]) wyrażenie: *in potentia* oznacza zarodek czegoś, co się ma później rozwinąć, co ma być w rzeczywistości: *in actu*. [2]) jaźń w słownictwie Trentowskiego oznacza najwyższą potęgę w człowieku, powstającą z czynnego oddziaływania ciała i duszy na siebie.

Między wiekami zachodzą przyjaźni i nieprzyjaźni zupełnie naturalne. Chłopiec i młodzian przyciągają się wzajem, albowiem obadwaj znajdują się na drodze postępnej. Chłopiec ugląda w młodzianie, do którego przez połowę podobien, ideał przyszłej doskonałości własnej, i z tego powodu go kocha, a młodzian widzi w chłopcu przyszłego pomocnika swego i obrońcę idei, dla której sam dziś żyje; stąd więc uracza go miłością. Mąż i starzec znowu przyciągają się wzajem. Mąż, poznawszy czczość dawniejszej idei młodzieńczej, oraz zwróciwszy się ku rzeczywistości, której czynnicą jest także realność, ucząc się więc codzień bardziej uznawać wartość doświadczenia, szanuje starca, jako doświadczyńskiego, ma cześć dla jego rad, a dla przywar podeszłego wieku, które sam niezadługo posiadać będzie, wyrozumienie. Starzec, ze swej strony, przywiązuje się do męża, jako do jedynej istoty, zdolnej go jeszcze na świecie tym pojmować, uwielbia w nim charakter i dzielność, ma nadzieję, iż skłoni go do czynności, jakich sam wykonać już nie zdoła. Atoli z innej strony odwracają się tu stosunki. Czynny młodzian lekceważy li biernego i dającego się powodować starcowi chłopca, a dzielny mąż uśmiecha się nieraz litośnie ze słabego starca. W takowych razach starzec, wymagający posłuszeństwa i gadatliwy bez miary, lubi chłopca, który go pilnie słucha; mąż znowu ma pociąg do młodzieńca, który rozkwita świeżą, acz niedojrzałą jeszcze i dlatego pełną przesady dzielnością. Mąż, sympatyzując raz ze starcem, drugi raz z młodzieńcem, stanowi wierzch na kole żywota; a chłopiec, sympatyzując raz z młodzieńcem, drugi raz ze starcem, tworzy spód, którym koło dotyka się ziemi. Na chłopcu tedy, na calcowej piaście[3]) ludzkości opiera się w końcu ruch wszelki. Czem on zostanie, tem będzie przyszłość świata. Stąd niesłychana ważność wychowania. Atoli mąż, jako wierzchołkowa piasta,[4]) sam jeden króluje nad całem kołem i włada teraźniejszością.

Najodleglejszemi przeciwieństwami, niejako z dołu ku górze, biegunem magnesu północnym i południowym, a w poprzek biegunem elektryczności wschodnim i zachodnim, są z jednej strony chłopiec i mąż, a z drugiej młodzian i starzec. Mąż nie zdoła porozumieć się z chłopcem bez pośrednictwa młodzieńca lub starca, a starzec z młodzieńcem bez pomocy męża lub chłopca. Chłopiec nie pojmuje męża bynajmniej, gdyż ten za dojrzałym odzywa się doń językiem, a mąż najniechętniej zajmuje się chłopcem, jako istotą zbyt nisko względem siebie stojącą. Mąż woli zostawić chłopca pod wpływem starca lub młodzieńca, a sam porwać za rządy narodu. Jego myśli zmierzają do wyższych celów. Ma władać teraźniejszością, nie zaś żyć w wątłej nadziei i hodować przyszłość niepewną. Ogień młodzieńca nie zgodzi się znowu nigdy z zimną wodą starca. Starzec nie cierpi zapału i zowie go szaleństwem, a młodzian nienawidzi rachuby i lękliwego rzeczy rozbioru. W dwu tylko punktach starzec i młodzian zgadzają się z sobą, t. j. w niechęci dla męża, który od

[3]) calcowa piasta przy osi. [4]) wierzchołkowa piasta = sam obwód koła.

nich jest wyższy, a stąd mimowolnie miłość ich własną obrażający, i w przychylności dla chłopca, w którym obaj pokładają nadzieję. Chłopiec, młodzian i starzec, oglądają się mimowolnie na męża, choć okazują się mu przy lada nagodzie[5]) nieżyczliwymi; mąż ma dla nich wyrozumiałość i spuszcza się we wszystkiem na samego siebie.

Chłopiec i starzec, jako przeciwna sobie, a zlewająca się z sobą w punkt jeden człowiecza słabość, okazują charakter niewieści, między siebie rozdzielony, t. j. bierność i upór; młodzian i mąż tchną charakterem męskim, t. j. czynnością i dzielnością.

Chłopiec i niewiasta podobni są do siebie. Duch ich potrzebuje wciąż obcej karmi, a pierś obcej miłości. Mają więcej pojętności, niż siły. Twórczości im braknie. O loice nic wiedzieć nie mogą. Nie dostateczne powody, ale przykłady, wzięte bezpośrednio z życia ich zakresu, zdobywają tu przekonanie. Od nich ucieka chętnie mąż i młodzian; do nich zbliża się rad starzec.

Starzec i niewiasta mają także jednakie znamiona. Taż sama tu drażliwość duszy, biegłość i pewność tak w mowie jak w każdym uczynku, krew zimna w zamiarach, miłość przyzwoitości i sztuka jej utrzymania. Oznacza ich zarówno niemoc wraz ze świtą do niej należącą, tj. z podstępem, uporem, zawziętością, chęcią intrygi, rachuby i zdolnością władania mężem lub młodzieńcem niepostrzeżenie, ze zmiennością, dziwactwem, chorobami i złemi humorami. Oboje chcą rządzić, choć nie mają do tego usposobienia. Jeżeli wyrzekają się rządu, to tem więcej idzie im o panowanie. Samem wystąpieniem zniewalają do czci pewnej dla siebie i liczą nader wiele na wrażenie, jakie zewnętrznie sprawiają. Mądrość ich polega na doświadczeniu. Rada ich jest zawsze bez idei, ale pożyteczna i prawdziwa, ilekroć odnosi się do znajomości pojedyńczych osób lub jakich drobnostek.

Chłopiec, starzec i niewiasta, to stworzone dla siebie towarzystwo. Gadatliwość jest im wspólna. Ich potęgami są: zmysł, wyobraźnia, pamięć i rozum,[6]) który wnet tu wykwintnia się w bystry rozmysł i igrający dowcip. Dla bajek, plotek i anegdot jest tu gaj poświęcony. Młodzian zaś wyrabia w sobie pewną ideę, a mąż wyrabia za sobą pewną rzeczywistość. Obadwaj, dając się przybić do krzyża dla świętego celu, odpychają bez warunku przynajmniej oczywisty wpływ niewiast, chłopców i starców. To właśnie oddala ich z namienionego towarzystwa i nacechowywa charakterem męskim.

Pod względem charakteru ma się z płcią niewieścią wprost odwrotnie. Młodziuchny dziewczak i stara baba okazują charakter męski, a dziewica godna kochania i kobieta dojrzała charakter żeński. Stąd pochodzi, iż płeć słaba w dzieciństwie i starości bywa płcią mocną, tudzież miewa nad mężczyznami naturalną przewagę, a płeć nasza w młodzieńczości i męskości, pomimo najczulszych dla kobiety względów, włada wszechmocnie niewiastą. Dlatego starzec jest potulnym służką młodziuchnej, a chłopiec zgrzybiałej żony. Tylko

[5]) sposobności. [6]) rozum w terminologii Trentowskiego jest niższy od rozsądku; oznacza tylko najwyższy stopień rozwinięcia zmysłu.

młodzian i mąż zdołają rządzić pięknością. Życzymy mu przecież brać w małżeństwo dorosłą dziewicę lub dojrzałą kobietę; z dziewczakiem będzie miał bój kilkoletni, a z babskiem — nieustanny.

Gdzie płeć męska starzeje i dziecinnieje, tam w naturalnem rzeczy następstwie płeć żeńska młodzieńczeje i mężnieje. Tam zniewieściali i za miękką realnością ubiegający się mężczyźni idą pod zarząd kobiet, a kobiety zmężczyźniałe i idealnością oddychające wodzą za nos mężów. Stan ten objawia się w całej Europie, a nawet w Polsce, po domach przestarzałej szlachty, niemieszającej się nigdy z krwią ludu, którąby ród jej odświeżyć zdołała. Że nasze jaśnie wielmożne panie piszą księgi i wydają dzienniki, że niemal jedynie czytają naukowe dzieła, trudnią się literaturą, umiejętnością i sztuką, o, niedobra to wcale wróżba dla szlachty polskiej, gdyż dowodzi z cicha, że ojczyzna niewiele już po niej spodziewać się może! Takie okoliczności zapewne wprowadziły autora książeczki: „Bóg i Ludzkość,[7]" który nazwał się „Czterdzieści i cztery" na prawdziwie dziwną myśl wychowania kobiet li duchowego, ażeby zdołały natchnąć płeć męską idealnością. O, biada, biada, jeszcze raz biada, skoro aż takich potrzeba do naszego odrodzenia środków! Jestto bez wątpienia nieświadoma siebie ironia ze szlachty polskiej i skromna, szczera chęć odmłodzieńczenia oraz zmężnienia jej za pośrednictwem niewiast.

Każdy z ludzi, co dłużej żyją, przechodzi przez dzieciństwo, młodość, dojrzałość i starość, ale po większej części li zewnętrznie, li ciałem. Duch i jaźń rzadko dosięgają dojrzałości, jaką im Bóg przeznaczył. Stąd są ludzie z siwym włosem, lubo młodzieńcami; są i dzieci, co zaczynają być starcami i pozostaną nimi na zawsze. Wiecznymi chłopcami byli np. Alcybiades, Radziwiłł Panie kochanku, Stanisław August; wiecznymi młodzieńcami: rycerze krucyat, konfederaci barscy, Plato, Fichte, Hegel, Szyller, król Sobieski, Mickiewicz, Demokraci emigracyjni; wiecznymi starcami: Filip II w Hiszpanii, Zygmunt III w Polsce. Najwięcej mamy dorosłych dzieci; mniej młodzieńców i starców niezmiennych. Mąż istotny np. Sokrates, Epaminondas, Perykles, Cezar, Napoleon, Bolesław Chrobry, Batory, Władysław IV, jest nader rzadki. Księża z powołania i obowiązku, a szlachta z urodzenia i prywaty są starcami, kobiety zaś z natury dziećmi; stan średni wydaje mnóstwo młodzieńców, a czasami mężów, stan zaś kmieci żyje, zwłaszcza u nas, w odwiecznem dzieciństwie.

Jak z pojedyńczymi ludźmi i stanami, tak z całymi narodami. Chiny, Japonia, Tybet, wszech Azya składają się z wiecznych dzieci, któremi kierują starcy. Tu miesza się starość z dzieciństwem bez wiedzy przeciwieństwa. Afryka wogóle jest chłopięctwa, Ameryka młodzieńczości, a Europa męskości siedzibą. Mówimy tu ryczałtem, a więc nie spominamy o wewnętrznych kombinacyach.

Każdy lud, jako rzesza, a czasami tłuszcza, mianowicie zaś

---

[7]) dziełko to (str. 124) wyszło w Poznaniu r. 1844. Jego autor napisał także „Filozofię praktyczną" (1845).

polski, znajduje się dotąd w dzieciństwie. Trzymają go w niem uporczywie obce berło i obca tyara, jako też rodzimy klejnot szlachecki. Lud więc, który prosimy odróżniać od narodu, potrzebuje wychowania, przejścia z dzieciństwa przynajmniej w młodzieńczość. Gdy stanie się mężem, będzie wolność i królestwo boże na ziemi. Chowanna ma go wciąż na myśli. Za każdym razem, gdy napotkasz, czytelniku, w niej wyraz wychowaniec, racz pod nim rozumieć, nie jedynie własne dziatki, ale także poddanych i cały lud polski!

XV. Józef Kremer.

Listy z Krakowa. (1843).

W popularnej formie listów, wyłożył Kremer ogólne zasady estetyki czyli nauki o pięknie (cały pierwszy tom i dwa listy w drugim tomie), a następnie podał dzieje rozwoju fantazyi artystycznej czyli historyę sztuki u różnych narodów, od najdawniejszych czasów aż do końca wieku XVI. Zamieszczony tu wyjątek wzięty jest z listu IV-go, zajmującego się oznaczeniem stosunku sztuki do natury.

Wszędzie i zawsze znać, iż sztuka jest córą ducha, w najwyższych chwilach jestestwa jego poczęta, a nie zaś niewolnicą form, narzuconych jej od natury. Zechciej zważyć, że gdyby jedynie o naśladowanie natury chodziło, jużby było zupełnie obojętnem, jakiby był przedmiot natury do naśladowania wzięty: byleby tylko był dobrze udany, jużby też i dzieło było doskonałe. A przecież na to się nikt nie zgodzi; owszem każdy żądać będzie, aby mistrz przebierał, i co najpiękniejsze w naturze, za wzór sobie uważał. Jeżeli zaś człowiek w sztuce pięknej ma wybierać, co jest najwznioślejszem w naturze, wypływałoby znowu stąd, iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą jej stronę, najwyższą jej potęgę w całej świeżości jej uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma, bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonej, albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo też na zawsze zasłonione przed śmiertelnemi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tem przekonać zdoła.

Człowiek, ciałem swem z prochu do ziemi przykuty, zdolen jedynie marzyć o przestworzach niebiańskich, bez końca, początku granic jak wieczność, kędy światów, słońc i planet tłumy bieżą niby pochodnie boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to królestwo niebieskie, mijać tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jednę świecącą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie darmo to już Plato[1]) marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale pocóż rzucać

---

[1]) filozof grecki z IV w. przed Chrystusem, twórca systemu idealistycznego.

się w te myśli zawroty? Alboż to nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunione od świata i sztuki pięknej, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi? Spojrzyjmy na owe zwrotnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszej chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicestwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura niewidzianej u nas siły jakby kościołem bożym obejmie cię dokoła. Paprocie, znane naszej ciemnej i biednej północy jako mdłe i nikłe trawy i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią — rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłej i poetycznej formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zwojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym splotem w ciemną strzechę, co nieprzebite słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu niema próżnego miejsca — krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedne drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody w całej mocy i uroku cieszy się bogactwem i siłą młodego życia. wegetacya tak wielka, iż zewsząd kipi bujnością swoją. Nieprzebrane rośliny pnące wiją się wężem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi linami, a tak utwiedzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoją. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdem drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnej barwy: bo odmienne z natury swojej pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach, i wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące, niby czarem nad ziemię wzniesione. Scena to cudownego powabu, zaludniona gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, takby się skąpały w złotem świetle słońca, a roje płoche różnogajunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub huśtając się po rozwieszonych wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, lub witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych, gdzieś znów z daleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia wylany na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby była wczoraj wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznem natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszczą, i ogniem błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, mocuje i szarpie, wtedy chmury ciężkie, czarne, pękną z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy,

niby katarakty huk. W lesie, kołysanym burzą, jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych: ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo i otworzy nawałnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drżąc do nór, powszechna trwoga, bo życie lęka się szału żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznej przyrody.

Tu, do tej czystej krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszcze, by odświeżyć ducha swego w tej naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszem zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacyi, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona, nie wycieńczona na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia przeczekawszy wieki w spokojnej swobodzie, padają nareszcie, nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je jakby w grobie gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści, długim lat szeregiem złożone. Gdzieniegdzie tylko sterczy z ziemi konar zuchwałem ramieniem, dając znać, iż w tej dzikiej i wolnej przyrodzie śmierć włada. Ale tu śmierć odradza się żywotem tysiącznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiące pieśni śpiewaków skrzydlatych.

Ale tych cudów natury my tu w Europie nie znamy, u nas ona podeszła, zaledwie zachowała rysy swej dawnej piękności, a nim cywilizacya rozłoży się w tych tam błogich stronach, już tej natury więcej nie będzie. Nim sztuki zatkną tu panowanie swoje, wprzód rolnik zaorze ziemię, a siekiera wyprzedzi pędzel. Natura niknie przed cywilizacyą, jako przed wyższą od siebie potęgą — świat fizyczny korząc się ustępuje duchowemu — wszak i ten ma swoje kwiaty, ale kwiaty, co nie więdnieją nigdy: tymi wiecznotrwałymi kwiatami są piękności dzieła.

Czyliż cała przeszłość ziemi naszej, cała historya jej żywota nie jest dobitną i głośną nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swej wielkości obojętną jest na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie: bo właśnie gdy planeta nasz odprawiał młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, sztuka piękna nie zaznała go jeszcze.

Słuchaj, co mówią geologowie o onych lat tysiącach, co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona — rzekłbyś, że ci plotki prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwają cały wątek łomotów i wywrotów, jakie przecierpiała ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły ostatecznie na węgłach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących; a tak niby pieczęcią wierzytelności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapuść się w głębiny ziemi, rozświeć te jej tajniki ukryte przed światłem dnia białego — odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamiennem późniejsze przywaliły stulecia — tu jakby w podziemnym grobowcu

znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata: myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi, patrz, jak te ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich; a znów po kilkanaście ich stanowią osobne grupy, oddziały, z których każdy do innej wielkiej epoki czasu należy. Wody je w długim i w bardzo długim przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i owdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę — tam znów są pogruchotane, wykręcone; a sprawcami tych wywrotów i nieładu pokładów były masy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym cisnęły się w górę, gruchocząc, podźwigając i przeginając ławy, dziełem wód będące. Te masy wrzące ostygły, stężały w ciągu wieków — są to bazalty, porfiry, gnejsy, granity sterczące grodami Alp, Tatrów i gór olbrzymich ziemi naszej, i stanowią jakby jej wzrąb i wiązanie. Tak na rozkazanie boże, ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy; a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wulkanów, trzęsienia ziemi, dające się uczuć po przez pół oceanów przestrzenie, i owo podnoszenie się lądu szwedzkiego na ogromnej przestrzeni od Kalmaru do Tornea, odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszemi, toć wszystko jest niby drobiazgowe porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podźwiganie się onych skał ogniotrwałych. Łomoty te i wywroty wszystkich kształtów lądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały; a była ta tragedya świata z wielu, wielu bardzo aktów złożona. Lądy tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchę ziemską — tak lądy stały się trzonem mórz, a dna oceanów lądem — i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na tej scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowej ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią. Aż gdy znowu na nią kolej przyszła, wszystko przepadło w żywiołów zamęcie i znów mór padł na żywot wszystek i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i sobą pochłonął, a wszystko, co na suszy było, pomarło. Ale duch boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zatamowany jest deszcz z nieba — i wróciły się wody, z wierzchu ziemi idąc i wracając się. Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiej żywota uczty. A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz, przypatrując się onym zabytkom w puściznie z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kostnica, ziemia nasza, pełna jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi do tysiąca stóp poniżej posady morskiej, znachodzimy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczy-

tach Alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Tak tedy cała kula była życiem hożem i pełnem siły, z którem porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczach zwrotnikowych, jest martwą i głuchą. Wszak pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącymi śniegami podbiegunowej sfery, odkrywamy skamieniałe reszty organicznego świata, będące tej samej istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tylko wśród spieków i waru ciepła. W zimnej północy Europy i Azyi znachodzimy kości krokodylów, słoniów i lwów, mających ojczyznę swoją wśród skwarnej strefy, kędy nigdy niema zimy. Nie mówmy, iż te cząstki spławione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weź np. one reszty palm i paproci, w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż wszystkie ich cząstki, nawet najmisterniejsze, jak kwiaty i kity, w całości zachowane są; coby przecież być nie mogło, gdyby były falą zpod równika aż pod biegun przyniesione. Z tego raczej rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem, pochodzącem właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom, czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocią nasycona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dawały aż do zbytku siły i przesycały sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach potwornych i igrała fantastycznymi, pełnymi swawoli kształtami.

Była epoka ziemi, mówią geologowie, osobliwie obfita w płazy, a były one olbrzymie, bo z kościotrupów znać, iż miały do stu stóp długości. Czyliż ci wspomnieć o tym ichtyozaurusie długim na 30 stóp, co to był na poły rybą, na poły jaszczurem, a łączył w sobie kształty zupełnie różnych od siebie zwierząt; bo kręgi rybie, głowę jaszczurczą, pletwy wieloryba, ogon ogromny, w paszczy 180 zębów krokodylich, oczy tyle jak głowa męska, a tak sztuczne, że mu do wszystkiego służyły — gdy je ścisnął lub na wierzch wysadził, miał z nich wyborne mikroskopy i widział co najdrobniejszego; a gdy je roztworzył, zamieniał je na teleskopy i dostrzegał najodleglejszych przedmiotów. Wiesz, że ten ichtyozaurus zjadał spółczesnego mu towarzysza wód plezyozaurusa, podobnego jemu dziwaka — ten miał 12 stóp długości, tułów i ogon jakby u zwierza ssącego, pletwy wieloryba, zęby krokodyle; nurek to był wyborny, bo miał płuca ogromne i silne, szyję długą jak wąż; legał sobie snadź w trzcinie nad wodą, kędy strzelał głową na wszystkie strony za mniej silnemi zwierzętami. Czyli może wolisz onego osobliwszego pterodaktyla, co to był pół ptaka, niby nietoperz, ale ogromnej wielkości, a miał w paszczy 60 zębów krokodylowych, a oczy nadzwyczajnej wielkości, bo zapewne w nocy polował; co mu ze skrzydeł wychodziły niby palce, zakończone długimi szponami; nogi tylne tak silne, iż złożywszy skrzydła, wygodnie na nich stać mógł, a u nóg między palcami były błony do pływania. Otóż o nim sławny jeden geolog angielski (Buckland) powiada, że miał wszystkie zalety szatana

w Miltonie,[2]) bo mógł, gdy mu się podobało, latać po powietrzu i z niego spadać na zwierzęta, pływać po wodach i chodzić dowolnie po ziemi. O tych ogromnych żółwiach, hyenach, lwach, tygrysach, słoniach i t. d., z którymi porównane nasze dzisiejsze nikną i są drobną fraszką, ani ci już wspomnę[3]).

Lecz natura pierwotna nietylko w kościach skamieniałych zostawiła nam po sobie dziedzictwo, ale obwijając swoje przedpotopowe muszki i robaczki bursztynem, lub mrożąc biegunowem zimnem ciała potworów, udarowała nas niby pamiątkami dzieł swoich.

Ledwie najśmielsza wyobraźnia zdoła w myśli skreślić sobie, choćby słabym zarysem, on żywot, co wrzał na łonie pierwotnych epok czasu naszego. Również ogromne, a może ogromniejsze i fantastyczniejsze jeszcze było państwo roślin, bujające w promieniu słońca, a ocieplone dojmującym skwarem własnym planety, bo szczątki tej roślinności bogatsze są niż zwierząt. Dowodzą tego puszcze całe skamieniałe, w głębiach ziemskich zamknięte lub schowane na dnie morza, a nadewszystko one ogromne ławy i kopalnie węgla kamiennego, nie będącego niczem innem, jak przeobrażonemi zabytkami borów pierwotnych. Te puszcze zwęglone, te olbrzymie drzewa i bogactwo skamieniałych roślin, są zwiędniałym wiankiem weselnym starej matki ziemi naszej.

Lecz czemże był człowiek w onych świata epokach? Otóż wśród tych zwłok, wśród stosów kości, co jakby cmentarzem zasypały skorupę kuli naszej, dotychczas nigdzie a nigdzie nie znaleziono kości człowieczych. Czyliż wierzyć, mówi Cuvier,[4]) że człowiek nie patrzał jeszcze na te przeobrażenia się świata?

To przecież pewna, że tych epok nie zaznała historya człowieka, i że je tem mniej sztuka zaznać mogła. Natura w chwilach, gdy była olbrzymich sił i rozwijała całą potęgę panowania swojego, była zupełnie obcą dla pamięci człowieczego rodu. Czyliż się tedy ostać może twierdzenie, że ona powinna być wzorem dla sztuki pięknej?

Ten rzut oka na istotę natury i na wątek jej dziejów, przedewszystkiem nietylko jasno dowodzi, iż piękności przyrodzone nie mogą być celem naśladowania dla sztuki, ale co więcej, wyświeca jednę z najgłówniejszych różnic między pięknością natury a pięknością sztuki. Piękność natury jest i trwa bez względu, czyli znajdzie ducha pojmującego jej uroki; piękność zaś sztuki jest dla duchów przeznaczona, bo jest ducha robotą i odezwą do wszech serc i myśli, i w nich rozumienie i odgłos swój znajduje. Jest ona cichą duchów z sobą rozmową — a łącząc czarem swej potęgi w jedno wielkie koło wszystkie jestestwa nieśmiertelnością natchnione, jest hasłem i językiem wszystkich narodów i wieków. Cześć i zamiłowanie pię-

---

[2]) Milton, poeta angielski, autor poematu „Raj utracony". [3]) Geologowie złożyli te zwierzęta doskonale z kości pozostałych, jakby z mozajki, a genialnie wysnuli wątek ich obyczajów i naturę. [4]) Jerzy Cuvier (1769 † 1832) znakomity naturalista francuski.

9*

kności jest spólnem sercem świata — sztuki piękne, samotne, bez współczucia, nie miałyby wagi. Życie sztuki jest zupełnie duchowe, przybrane jedynie w materyi szaty, i na wzajemności stoi. Natura zaś sama jest materyalna tylko, i obchodzi się bez wzajemności i współczucia.

XVI. Karol Libelt.

Estetyka czyli Umnictwo piękne. (1849).

W tem trzytomowem dziele rozwinął Libelt z idealistycznego punktu widzenia, podobnie jak Kremer, poglądy swoje na piękno i sztukę. Całości, według pierwotnego planu, nie tworzy ono: w pierwszym tomie znajdujemy określenie stosunku człowieka do sztuki, stosunku sztuki do natury i do Boga, rozkład i system sztuk pięknych, wreszcie (najobszerniej) rozbiór „estetycznych potęg ducha“ t. j. zmysłów, wyobraźni i umysłu estetycznego (talent, geniusz). W dwu dalszych tomach mieści się przegląd rozległy piękna przyrody. Podaję tu ustęp z tomu pierwszego o znaczeniu cudowności w utworach sztuki (głównie według drugiego wydania z roku 1854).

Wszelka cudowność jest wielkiego powabu i uroku, lecz, że przed trybunałem rozumu nie wytrzymuje krytyki, była i jest zawsze paradoksem pojęć estetycznych. Jeżeli cudowność jest tylko złudzeniem, pytamy, jaki może być trwały z takiego złudzenia urok? Jeżeli niema cudów w naturze, jeżeli ich niema wśród ludzi, i wszystko naturalnym odbywa się trybem; czemuż sztuka, będąca nietylko pięknem, ale i prawdą, przywdziewa nieraz na się cudowności szatę i przedstawia ją, jako odpowiednią prawdzie? A jeżeli nakoniec sztuka w takim przypadku błądzi i my się na tym błędzie poznajemy, czem dzieje się, że cudowność, dziełem pięknem przedstawiona, nie razi, ani odstręcza, ale podoba się i zachwyca? Nie ulega wątpliwości, że w tem leży jakaś tajemnica. i że w cudowności muszą być utajone sprężyny rzeczywistego ducha, co tak silnie działają na umysł ludzki.

Wszystko dla nas ma urok, co jest niedocieczonem, dlatego właśnie, że ciekawość naszą zaostrza. Wyobraźnia wtedy nadzwyczajnie czynna i nieskończone otwiera się pole domysłom. Domysł wszelki jest naszą akcyą, utworem naszej fantazyi. Dlatego zajmuje naszą uwagę każdy przedmiot niedociekły, symboliczny, lub allegoryczny, że naszą wyobraźnię wciąż drażni i nas twórcami domysłów robi. W cudowności przedstawia nam się ta sama strona sfinksowej zagadki, nierozwiązanego rozumem ludzkim objawienia, a stąd przeniesiona za pomocą fantazyi niewidomego świata w kształty widome, acz nadprzyrodzone. Bez tej fantazyjnej barwy — mówimy tu z estetycznego stanowiska — niema cudowności.

Przedmiot cudowny nie przestaje być uroczym, dopóki go rozum zmysłowy nożem anatomicznym nie rozkraje, albo w chemicznej retorcie nie rozbierze światu ku pokazaniu, że co go zdumiewało,

było złudzeniem oka, co go trwogą przejmowało, było sił naturalnych wypadkiem, a co mniemał być potęgą ducha, było samą materyą. Tak grzmot, piorun i błyskawica mają urok, dopóki je mamy za cudowne objawy potęg nadprzyrodzonych; jeżeli rozgłos straszliwy, co się ponad głowami naszemi rozlega, wyda się nam jako głos gniewu bożego. Bo i zawalne chmury zaciemniły horyzont, i słońce, jakby z przestrachu ukryło twarz światłem pałającą; ptak ucieka z powietrza i zwierz kryje się po norach; woda ściemniała i wzburzyła się; wichry zaszumiały; warczy grad i tłucze zboża i kwiaty; to ulewa leje, grożąca zalać świat potopem; cała natura przedstawia groźne zagniewanego Boga oblicze. Załysło. Niebios sklepienia długą szczeliną się odemkły[1]) i światło niebieskie mknęło tędy i rozświeciło noc na ziemi zaległą od wschodu na zachód. Już wypadł i piorun. Gdzież uderzy? kogo nim dosięga gniew boży? drżąc pyta strwożony mieszkaniec ziemi. Na tej poezyi uprzytomnionego w nawałnicy Boga, osnuty jest piękny wiersz Karpińskiego: „na piorun wypadający“; i wzniosły obraz księgi Exodus,[2]) gdy się żydom na Synaju okazuje Jehowa w grzmotach i błyskawicach, a oni przerażeni błagają Mojżesza, aby on sam poszedł i mówił z Bogiem, „bo gdy do nas mówić będzie, pomrzemy“. W takim obrazie pojmowali Grecy Jowisza piorunowładcę i pogańscy Słowianie Perkuna[3]) swego.

Równie cudowną jest tęcz siedmiokolorowa, w wyobrażeniu mitologicznej Iris; albo mostu niebieskiego w religii dawnych Germanów, po którym bogowie zstępują z nieba na ziemię. I w starym testamencie znaczy znak wieczny na niebie przymierza Boga z człowiekiem, oraz obietnicy danej ofiarującemu Noemu, że Bóg już więcej świata potopem karać nie będzie. Stąd piękny pomysł Ouwatera w sądzie ostatecznym (w kościele Panny Maryi w Gdańsku), wystawiający Chrystusa siedzącego na tęczy, gdy zstępuje sądzić żywych i umarłych.

Urok cudowności owiał Tanakwil, gdy ujrzała światło promienne na włosach śpiącego Tarkwiniusza[4]) i było to dla niej wróżbą przyszłej jego godności królewskiej. Malarze opromieniają podobnie skronie świętych i lud poczytałby niechybnie i dziś za świętego, czyjąby głowę jego światłem cudownem rozświeconą zobaczył.

Cudowność, a z nią i urok poezyi znika, gdy ci fizyk wytłómaczy, że bywa. iż z włosów ludzkich, tak, jak ze sierści kota lub lisa, niekiedy elektryczność wydobywa się i światłem zapromieni; że tęcz nie ma rzeczywistości przedmiotowej. ale jest złudzeniem oka naszego, do którego dochodzą promienie słońca, złamane w kroplach wody w powietrzu zawieszonych; — że piorun kawalcem prostego żelaza z nieba na ziemię ściągnąć, nieszkodliwym uczynić, a nawet stosem galwanicznym naśladować można. Tym sposobem rozum zmy-

———

[1]) zam. odemknęły. [2]) Exodus Księga Wyjścia, druga księga Mojżeszowa. [3]) Perkun, właściwie Perun, bóg grzmotów i piorunów. [4]) Pysznego, ostatniego króla rzymskiego.

słowy zatryumfował nad ideałem. Zdarł cudowną szatę z natury, starł z niej piętno ducha i wziął jako niewolnicę w posługi. Człowiek rozczarowany nie wie, czy mu za to być wdzięcznym, czy nań narzekać. Wszystkie inne rzeczywistości, a w szczególności cudowne powiaty wiary, uczucia, fantazyi, obrane zostały z cudu. A jednak czuje człowiek, że świat bez cudu jest światem bez Boga. Cóż znaczy, że mi nożem zeskrobiesz farbę z Madonny Rafaela, czy mnie tem przekonasz, iż tam było tylko płótno i farba, a nie żywy wyraz geniuszu mistrza, co oddał ideał matki syna bożego? Mamże nie czuć i nie wierzyć w duchową potęgę muzyki, dlatego, żeś mnie nauczył, iż te tony materyalne są wibracyą powietrza?

Widzimy, że sztuka idzie cudowności rzeczywistej w pomoc, głosząc własną cudowność, objawioną w arcydziełach swoich, na materyale natury wykonanych, i dając tym sposobem świadectwo cudowności Stwórcy, wśród dzieł stworzenia.

Lecz w cudowności jest jeszcze inna strona, nie symboliczna, zagadkowa, lecz plastyczna, rzeczywista. Jest to wiara w bezpośrednie działanie ducha, upostaciowanego w indywidualność, na wzór postaci człowieka; wiara w żywot wieczny i we wpływ tego żywota na życie ludzi doczesne.

Życie bez ciała, podobnie jak ciało bez życia — trup, silnie uderza naszą wyobraźnię. Wiara pojmuje ducha nieśmiertelnego bez ciała, ale w kształcie ciała i w związku ze światem żywych. Od najdawniejszych czasów fantazya ludów i poetów stroiła owe nieznane okolice zmarłych, od których nas grób przedziela, w różne obrazy, i nadawała mieszkańcom niebios i piekieł różne potęgi nad naturą i ludźmi, nareszcie religia objawiona zawiązała na zawsze związek między dwoma światami: wiecznego i doczesnego żywota. Temi wyobrażeniami już za młodu nasiąkły umysł widzi wszędzie świat duchów w styczności ze światem ludzi; a niedocieczone tamtego stosunki są nieustanną grą wyobraźni, nieustającem tworzeniem obrazów świata zazmysłowego, w którym wszystko musi być inaksze, nadprzyrodzone i dlatego cudowne. A że wedle objawionej wiary i głębokiego przeczucia ludów, każdy z żyjących, gdy go śmierć z ciałem i z tym światem rozdzieli, wstąpi w owe pozaświatowe przestrzenie na wieczne w nich zamieszkanie, ku nagrodzie lub karze za żywot na ziemi, w małżeństwie ducha z ciałem dokonany; przeto wszystko urokiem nas napełnia, co po księżycowym promieniu fantazyi, z nocy tamtego świata, w brzasku cudowności się przedstawia.

Zupełne, materyalne niedowiarstwo i oszustwo mogłoby tylko być na ten urok obojętnem i nie widzieć w niem ni poetycznej prawdy, ni wdzięku. Atoli jestże kto, coby miał takiego niedowiarstwa niewzruszone przekonanie? Coby śmierć miał za powrót do nicości, a świat za dzieło bez Stwórcy? Sądzę, że ci nawet, co tak twierdzą i piszą, nie potrafią nigdy wyrugować z duszy wrażeń raz nabytych, a dlatego tak ściśle z nią zrosłych, że na ich gruncie jest prawda niezatarta; — i że są chwile w ich życiu, chwile nawet częste,

gdzie ich ogarnia jakoby przytomność żywego ducha, a myśl puszczona w niepewną przyszłość poza grób, trwożna i niespokojna wraca do duszy, co ją napróżno rozumem niedowiarstwa od siebie odpycha. Są momenta wątpienia nietylko u tych, co wierzą, ale u tych, co nie wierzą. Dlatego zasłona grobowa, zakrywająca przed nami przyszłość pośmiertną, ściana z desek trumny, przedzielająca żywych od umarłych, będzie zawsze owiana urokiem fantazyi, a chwile krótkie, nieuchwytne, w których jakby przez szczeliny materyalnego świata, duch nasz w sfery innego świata czyni poglądy, należeć będą do najpoetyczniejszych obrazów, bo najżywiej wyobraźnię naszą uderzających. Jeżeli przytem i sama natura i jawy duchowego życia w człowieku w tak niedościgłych przedstawiają się tajemnicach, i w tak cudownej, ze względu na niewiadome przyczyny, obłoczy[5]) — możnaż myśleć, aby to źródło poezyi kiedykolwiek zaschło, a nie skrapiało i nadal pożywną rosą błoni jej kwiecistych; na listkach jej świeżych i w kielichach jej kwiatów, nie zawisło kryształem kropli przezroczych, w których się tak cudnie łamią promienie światła sennego, że zdaje się, iż brylantami posiane te błonia?

Ale artysta powinien znać miarę, gdzie i jak użyć uroku cudowności. Musi ona przystawać do ludzi, czasu i miejsca, i nie zostawać w sprzeczności z przedmiotem. Powinna być jego naturalną pięknością, a nie samą tylko ozdobą. Wyborną jest scena w Mickiewicza „Dziadach“ zaraz na wstępie części III. Śpi młody Konrad; dusza jego marzy przeszłe koleje życia i przyszłe cierpienia, a duchy opiekuńcze nad sennym się unoszą i wywodzą z przeszłości jego żywota przyszłość zasłużonych cierpień, ale i ulitowania boskiego. Nierównie poezyi wdzięku pełną jest scena w „*Nieboskiej Komedyi*“, wystawiająca matkę zmarłą, nawiedzającą dziecię, aby upoetyzować duszę jego niemowlęcą, jak powiada: „by ojciec twój kochał ciebie“. Jaka naturalność takiego pomysłu! Bo jeżeli jest związek jaki świata zmarłych i świata żywych, cóż naturalniejszego, jak, że go utrzymuje miłość, i że matka po śmierci do opuszczonego przybywa dziecięcia; ażeby je zaś zrobić podobnem i lubem ojcu, który ostygł w miłości dla niej, że się za życia do poetycznych jego uczuć podnieść nie umiała, zbiera po błoniach poezyi wszystkie jej rozkoszne kwiaty i obsypuje nimi fantazyą uśpionej dzieciny, by się tam przyjęły i z czasem poezyą odkwitły.

Wszakże cudowność nie samej tylko poezyi jest żywiołem. Wszystkie sztuki piękne czerpią z niej, jak z Hipokreny[6]) obfitego źródła. Najbliżej z nią spokrewniona muzyka, bo sama jest cudownej natury. Jej tony nieme a jednak tyle wypowiadające i wskróś przenikające duszę, symboliczność myśli utajonych w melodyi, uczucia, harmonią rozwiane, są tem właśnie, czem jest cudowność z istoty swojej. Jak o blasku księżyca olbrzymie przesuwają się cienie i przedmioty w dziwne przetwarzają się widzenia; jak wśród gór o poranku

---

[5]) formie. [6]) mityczne źródło, kopytem lotnego konia, Pegaza, dobyte, skąd Muzy natchnienie swe czerpały.

w mgły szmatach wiją się jakieś postaci: tak brzmienia tonów kształtują się w duszy słuchacza w dziwne, niewyraźne ideały, co go okwilają i ogwarzają głosami z innego świata. To boleść niewypowiedziana z nich jęczy, jakby z piersi rozdartej, usta już mówić nie mogą, więc dusza kwili i boleje i tonami płacze; głos ten słyszą i rozumieją anieli i znowu pociecha w duszę zbolałą wstępuje; — to znów burza namiętności wszystkiemi silniami tonów rozgrzmiewa; słychać straszliwą walkę żywiołów, zamieć dwóch potęg przeciwnych, co się wzięły w zapasy; to wreszcie taka czułość harmonijna sączy, że zdaje się, iż te melodye po niebie płyną i mżą deszczem harmonii śmiertelnikom ku uśpieniu. Zgoła nic nie jest tak cudownem samo z siebie, ile jest muzyka. *W Don Juanie* Mozarta jakaż to duchowa postać tonów, którymi kompozytor komtura ukształtował, gdy z posągu kamiennego zstąpił, wyzwany do boju przez rozpustę. i niedowiarstwo! Nie słyszymyż w tych tonach głębokich, jakby głos z poza grobu, głos ducha pogromcy? Jaka odstań równocześnie w śpiewie *Don Juana* i *Leporella*, w którym słyszysz głos ludzki, strachem i przerażeniem nabrzmiały! Co może być niedorzeczniejszego pod względem poezyi, jak tekst Schikanadera do opery Mozarta „Flet zaczarowany“, a co wdzięczniejszego nad muzykę tej opery? Czego poezya wydać nie była zdolna, stworzyła kompozycya. Dwie są strony Czarodziejskiego fletu: symboliczność walki królestwa światła i królestwa nocy i zwycięstwo, przechylone na stronę światła; powtóre ubranie tej symboliczności w powiastkową szatę nadprzyrodzonych jestestw i zaczarowanych okolic. Ale w poezyi forma taka tak jest niewłaściwa, że w niej urok symboliczności ginie, i żaden człowiek dobrego smaku nie wziąłby takiego dzieła do ręki, zostawując je dzieciom i niańkom na zdumienie i podziw. Muzyka potrafiła to oboje połączyć z sobą ku zadowoleniu estetycznego upodobania. Albowiem po tonach, nie po wyrazach, unosi się w symboliczność. W poezyi symboliczność przez niewłaściwy obraz przeglądała; w melodyi występuje sama, bez tej szaty, co raziła...

I malarstwo i snycerstwo są, jako sztuki, cudowne z siebie, bo obie martwemu materyałowi nadają życie, wlewają weń wyraz ducha, świecą ideałem z poza farb i kamienia. Powieść o Pigmalionie,co się w swem własnem dziele rozkochał i gorącą miłością zimne objąwszy członki posągu, miłością je rozgrzał do życia, najlepiej allegoryzuje sztuk plastycznych cudowność. Religia jest ich głównem polem popisu; w niej dla nich najobfitsze żniwo przedmiotów, a gorąco wiary jest tchnieniem ożywczem, co je do najwyższego stopnia ideałów podnosi. Nie jestże religia cudowności wszelkiej źródłem i podstawą? W ten urok stroją się zatem i sztuki plastyczne. Najwyższem ich było zadaniem, wszystkie cuda wiary plastycznie przedstawić, ściągnąć niejako ducha nieskończonego ze sfer nieskończoności i przenieść go w formy dotykalne, a jednak niezmierzoność jego przedstawiające. Olbrzymie i natchnione są postacie proroków Michała Anioła[7]). Z po-

---

[7]) Wielki artysta włoski, Buonarotti, 1475 † 1563.

stawy jego Mojżesza w Watykanie taka siła i potęga niezmierzonego ducha przegląda, że widzisz, jako duch boży w majestacie swoim na niego zstąpił i ducha jego napełnia. Najcudniejsze jest ostatnie Rafaela[8]) dzieło „Przemienienie na górze Tabor", bo urokiem najwyższej cudowności obwiane. Zdaje się, że furty niebios się roztworzyły, bo w świecie niebiańskiej jasności świecą ciała ubłogosławionych, a najwięcej jaśnieje ciało najwięcej ubłogosławione; spodem zaś zaległa ziemia, a na niej ciała śmiertelne uczniów Chrystusowych. Mamyż przytoczyć nieocenione dzieło „Nocy" Corregio[9]), obraz owej boskiej dzieciny, co blaskiem boskim jaśnieje i roztacza światło, w którem się oblicza śmiertelników rozświecają, a między niemi niewypowiedzianie czułe oblicze Maryi? — Co tylko wielkiego sztuka plastyczna stworzyła, od cudowności pożyczyła barw i konturów.

Zdawałoby się, że architektura najmniej z tego źródła czerpie. Ale i ona jest symboliczną, a w tej symboliczności cudowną. I jej najwyższe dzieła są dzieła wiary; olbrzymio rozpięte budowy katedr i kościołów średniowiecznych, jakby objąć chciały niezmierzonego Boga. Przy tych filarach w górę sadzących, przy tej wysokości sklepienia i rozległych rozmiarach nawy kościoła, człowiek wydaje się maluczkim i duch korzy się w prochu przed potęgą Boga. Już z zewnątrz uderzą każdego te masy nastosowanych murów, co zdają się być na całą wieczność postawione. Mimowolnie uderzon ich ogromem, przechodzień stanie i zatrzyma się i podziwi wiek i ludzi, co się na takie dzieło zdobyli: co to za przepych całej facyaty takiego gotyckiego tumu; jaka wytworność sztuki w wyrobieniu tylu ozdób architektonicznych? całą potęgą wiary czuł snać architekt, że Bogu, Panu niebios i ziemi, tę bazylikę stawiał, aby w niej wśród wiernych zamieszkał i dlatego z taką rozrzutnością wyobraźni, takie bogactwo form roztoczył i rozwinął. Pojrzyj na ten portal olbrzymi, jakby tędy całe miasto wejść miało. Ponad zwojem jego łuczatych półkolumn, wyglądają gromady aniołów i świętych, jakby odźwiernych Jehowy, zapełniających przedsionek domu chwały jego, i przyjmujących lud, cisnący się do jego oblicza. Co za przepych w tej róży, co się ponad portalem w środku facyaty roztacza; jakie wyrobienie najdrobniejszych szczegółów, jaka sztuka! A teraz dwie wieże, wyciągnione w górę, niby dwa ramiona narodu całego, podniesione w niebiosa i błagające Boga. Szczyty ich obłoków sięgają, a niema po nich miejsca próżnego; po całej ścianie kamiennej rozściela się powłocz architektoniczna, strojna rzeźbą, przedstawiającą różne dziwy ze świata natury i ducha...

We wszystkich zatem sztukach pięknych cudowność jest ich żywiołem i urokiem. Urok ten, jakeśmy już powiedzieli, leży w utajonym związku przyczyn i skutków, przez co przedmiot z ziemskiej, rzeczywistej sfery, gdzie się wszystko wedle tego związku odbywa, przenosi się w sferę nadziemską, idealną, w okolicę nadprzyrodzonych zjawisk, gdzie nic się nie dzieje wedle ludzkich rozumowych

---

[8]) żył od r. 1483 † 1520. [9]) właściwie Allegri 1494 † 1534.

obliczeń, ale jest tajemne, niedocieczone działanie potęg niewidzialnych. Z tego to powodu może poprawdzie powiedział Kant: że pięknem jest to, co się bez pojęcia podoba. Rzeczywiście, gdybyśmy wytłómaczyć sobie umieli, dlaczego błękit nieba jest piękny, przestałby nim być dla nas; gdybyśmy zanatomizować potrafili i rozłożyć na cząstki urok, który na jakimkolwiek przedmiocie pięknym spoczywa, przestałby dla nas być urokiem. Podobnie urok cudowności znika, gdy ją wytłómaczymy i zniżymy w poczet zwyczajnego trybu rzeczy. Dla nas niema nic cudownego list, bo nam jasne są środki wyrażenia przez pismo myśli naszych i posyłania ich w odległe strony; ale dla człowieka, nie mającego pojęć takich, będzie list nader cudownym przedmiotem, będzie rozumiał, że duch w nim zaklęty, i jak powiastka powiada, będzie go przytykał do ucha, azali mu czego nie powie, schowa pod kamień, aby nic nie wiedział. Tak cudownem narzędziem wydawał się w powieści Krasickiego nóż Doświadczyńskiego mieszkańcom, nie znającym ani własności, ani użytku ostrza i rozumiejącym, że to zły duch w tem narzędziu mieszka i ludzi do krwi kaleczy.

W tych potocznych przykładach widzimy na jaśni, że urok cudowności na nieświadomości przyczyn i skutków polega. Chronić się zatem artysta powiniem, aby tego węzła przyczynowego nie rozwijał. W innych sztukach, które same z siebie są symboliczne, niema takich objaśnień podobieństwa, ale zachodzić może w poezyi. Tu poeta-by sam ścierał ten urok, który cudownością po poezyi albo po powieści rozlał, gdyby się w wytłómaczenia i w objaśnienia wdawał. Cudowność jest, jak owa bogini w Sais, zasłoniona przed ciekawym wzrokiem ludzi, i kto się odważył tę zasłonę uchylić, padł śmiercią.

XVII. August hr. Cieszkowski.

Ojcze-nasz. (1848).

Jest to utwór filozoficzny, na wielką zamierzony skalę, lecz w części tylko ogłoszony drukiem. Miał on zawrzeć, na podstawie allegorycznego wykładu modlitwy Pańskiej, pogląd na przeszłość i wieszczenie przyszłości człowieczeństwa. Według autora, ludzkość w rozwoju dziejów przebiegła dotychczas dwie tylko epoki, których punktem granicznym i zwrotnym jest Chrystus. Przed Chrystusem panowała zmysłowość, po nim „umysłowa bezsenność"; poprzednio było panowanie natury nad duchem, potem panowanie ducha nad ciałem. W epoce trzeciej, która ma nadejść, ma zapanować wola, kojarząca czucie z wiedzą, byt z myślą i wydająca czyn. „Jak kamieniem węgielnym pierwszego świata był byt, zmysł wrodzony, zakon natury, i jak znowu kamieniem węgielnym drugiego świata była myśl, wiara, zakon kościelny, tak węgielnym kamieniem trzeciego świata jest czyn, wolne dzieło ducha, zakon woli i wolności". W tym trzecim świecie rolę przewódców mają odegrać Słowianie. O tej misyi Słowian mówi wyjątek, który przytaczam.

Jeżeli do obalenia zachwianej już w zasadach starożytności i wystawienia na jej gruzach drugiego piętra dziejów potrzeba było nowego szczepu narodów — dotychczasowym świata dziedzicom zupełnie obcych, lecz właściwymi ducha zarodami opatrzonych, a wręcz przeciwnemi skłonnościami obdarzonych; — to znowu do skojarzenia rozerwanego po dziś dzień świata, do ukojenia zawichrzonych w nim żywiołów i do założenia nań wielkiego Pokoju (miasto miecza przez Chrystusa sprowadzonego), słowem, do otwarcia trzeciej ery świata, potrzeba takoż nowego ludów pokolenia, odrębnego wprawdzie od owych, które dotąd rej wiodły w historyi, a przecież niezupełnie im obcego, ani odwrotnego, ani wszelkiej styczności z nimi pozbawionego, albowiem nie o bezwzględne zaprzeczenie, jak wtedy, ale o wszechstronne spośredniczenie dziś idzie. Otóż jak niegdyś tak i teraz znajduje się właściwy, potrzebie odpowiedni szczep ludów w pogotowiu, bo ani na wielkich ludziach, ani na wielkich ludach nie zabraknie ludzkości, ile razy odezwie się ich potrzeba. Skoro wielka otworzy się sprawa, sprawcy niezwłocznie się znajdą.

Szczep to ogromny, rozległy i silny, niezmierną przestrzeń świata zalegający, a przecież odpowiedniego w dziejach świata udziału dotąd pozbawiony, owszem nad podziw poniżony i sponiewierany, jakoby umyślnie przez Opatrzność do przyszłych powołań zachowany.

Jużci to nie jest jak przy pierwszem przesileniu szczep ludów barbarzyńskich, obecnej cywilizacyi nienawistnych, żądzą zburzenia pałających i jakby gniewu bożego powodzią świat cały zalać pragnących. Owszem, jest to szczep mnogimi węzły z dotychczasowymi narodami powiązany, a do rozerwania takowych ani do zaparcia się ich wcale niepochopny, bo zatwierdność, a nie zaprzeczność cechą jego ducha, tak dalece, iż mu nawet za wadę plemiennego charakteru poczytano zbyteczną bierność i przenikliwość dla cudzoziemskich wpływów. Jakkolwiekbądź, lubo już nie stoi ów szczep w tak bezwarunkowej sprzeczności do ludów drugiej epoki świata, w jakiej te się postawiły do ludów starożytnych, to przecież w obyczajach, skłonnościach i żywiołach swoich od średniowiecznych ludów niesłychanie się różni, rzekłbyś, że raczej ze starożytnymi spokrewniony, a dopiero wspólnem wychowaniem i wiekowem obcowaniem z ludami drugiej ery spowinowacony.

Gdyby światu dzisiejszemu podobna groziła zagłada, jakiej starożytność uległa, zaiste mógłby spotkać te nowe ludy los podobny, jakiemu popadły celtyckie plemiona. Bo gdzie idzie walka na zabój, tam pośrednicy ustępować muszą. Lecz historya się ani cofa, ani powtarza, jedno rytmicznie rozwija. Jeżeli więc dla Celtów zajście w stosunki z konającemi ludami stało się powodem ich własnego pokonania, bo godzina skojarzenia i spośredniczenia jeszcze w historyi nie była wybiła, to przeciwnie dla Słowian, zajście w stosunki ze zgrzybiałymi, lecz przerodzić się mającymi dzisiejszego świata dziedzicami, staje się owszem rękojmią ich własnego usposobienia.

Tamten świat już był skazany, więc obcowanie z nim tylko skazić mogło obcujących; dzisiejszy owszem do życia, ale odrodzonego powołany, i dlatego zażyłych już z nim ludów, acz nowych i świeżych wymaga.

— Cóż tedy uprawnia te ludy do tak wielkiego dzieła? cóż nam ich pełnomocnictwo do tak brzemiennego powołania poświadczy? — Ich rodzime skłonności i obyczaje, ich pierwiastkowe prawa i podania, ich przygotowawcze cierpienia i zasługi. Bo jak w pierwiastkach germańskich średniowieczne, tak w pierwiastkach słowiańskich nowowieczne losy ludzkości zapisał sam Bóg!

Już dziś zaiste nie potrzeba dla odnowienia świata, rodu ludów samopaśnych, żadnym węzłem ani w sobie ani między sobą niespojonych, wojną i łowami żyjących, rzeczywistością świata gardzących, a do czegoś niewidzialnego wzdychających, wiarę nadewszystko ceniących, a o uczynki mniej dbałych; miłość bliźniego uwielbiać skwapliwych i prawa człowieczeństwa idealnie uznawać zdolnych, a jednak na tym padole płaczu ludzi i ludy w poddaństwo obrać skorych, wolność w dowolności upatrujących, a publiczną rzymską cnotę na prywatny romantyczny honor zamieniających, niedomyślaną dotąd głębokością i wewnętrznością ducha obdarzonych, a społecznego życia i wszelkich jego skarbów, choćby tylko pod miarą, jaką nam starożytność przekazała, zakosztować niezdolnych. Inny czas innych wymaga warunków. Szczep do nowej sprawy powołany, już z natury nie swawolny, ale wolny, nie walczący, ale waleczny, do boju zawsze gotów, ale nie łaknący tego, nie napastujący sąsiadów choćby bezustanku przez nich napastowany, ale ludom-bliźnim z zapałem i z poświęceniem w pomoc nadbiegający nietylko bez własnej, ale nawet wbrew własnej korzyści; albowiem miłość chrześciańską, dotąd prywatną, zamienić na publiczną i takową do potęgi podniesioną, jeszcze od ludzi do ludów przenieść, jest przeznaczeniem jego.

Raczej obronny niż zaczepny, nie nosił on nigdy w potocznem życiu owej nieodstępnej u Germana broni, ale owszem, ilekroć mu sąsiad pozwolił, żelezce dzid swoich przekuwał na lemiesze. Ani zbrojny, ani rozbojny, ani awanturniczy, ani koczujący, ani podbojów, ani łupów chciwy, alo owszem pobożny i spokojny, dobrowolny i gościnny, wesoły i śpiewny, w domu zamiłowany a do ziemi nad wyraz przywiązany, nie tratujący po jej plonach ani też pracą około niej gardzący, ale owszem rodzimym obyczajem sam ją piastujący i uprawiający, wolał on zawżdy utajone w swojskiej roli dobywać dostatki, niżeli zdobywać je na obcych, lub cudzą przymuszoną pracą ich sobie przysparzać.

Tchnący swobodą, ale nie swawolą, nie uganiał się on nigdy za luźną niepodległością Germanów, nie szukał jej w odosobnieniu, ale owszem w zgromadzeniu; a przecież wolność nadewszystko miłował, i nietylko niewoli, ale nawet poddaństwa w pierwiastkach swoich do siebie nie dopuścił.

Jak dalece wolność człowieka za świętą i nietykalną poczyty-

wał, dowodzi obchodzenie się z pojmanymi w boju jeńcami, owymi naturalnymi wszelkiej niewoli rodzicami. Daleki od obracania ich w wieczną niewolę lub od zabijania takowych, jak się to spółczesnym zdarzało, zatrzymywał je u siebie do czasu, do którego upływie, jeźli ich wprzód nie wykupiono, odsyłał wolnych do swoich, lub jako przyjaciół u siebie zachowywał.

Niestety! wkrótce się to okropnie zmieniło. Biegiem dojrzałego do takiej wolności czasu porwany, przykładem ościennych szczepów zarażony, a bardziej jeszcze odwetem za doznawane w obcej niewoli uciemiężenia pobudzany, zaczął i on przywykać do lekceważenia świętych praw człowieczeństwa, zaczął pojmanych jeńców sprzedawać i kupować, do ciężkich robót zaprzęgać, i nimi się wyręczać, a po upływie terminu wykupna już nie za wolnych przyjaciół, ale za poddane na zawsze sługi poczytywać. A dopuściwszy się z razu na obcych takiego świętokradztwa, powoli się i względem swoich nań odważył...

Wieki trwało to pasowanie się ze złowrogą pokusą, wieków potrzeba było, aby ten szczep swobodny tak dalece się zapomniał, tak dalece w zatwardziałości postąpił, iżby, nie starożytną wprawdzie niewolę, ale średniowieczne poddaństwo do siebie wprowadził; przez wieki nawet było to poddaństwo tak łagodne, iż je dziejopisy ledwo takowem nazywać śmieją; ale przecież targnąwszy się raz na klejnot powszechnej wolności, już nie było dla niego ratunku. Upadł, i z raju swobody wypędzony został. Od tej chwili już tylko za okruszynami owego klejnotu żarliwie ubiegać się począł, i pielęgnował je, i cieszył się niemi jeszcze przez wieki, aliści tych okruszyn nawet, los, nie zawistny, ale zasłużony, bo własną zapamiętałością sprowadzony, coraz go bardziej pozbawiał. Sroga, ale nie daremna nauka!

Za ten grzech pierworodny, za ten upadek w pokusie, gorzko cierpieli przez wieki, i do dziś dnia cierpią Słowianie.

— Lecz czemuż inne ludy nie odpokutowały tak boleśnie acz mocniej może wolności sprzeniewierzyły się?

Zaprawdę, sprawiedliwe są boże wyroki! Bo im komu więcej dano, tem więcej się od niego wymaga; a im komu więcej przeznaczono, tem więcej temu dosłużyć się potrzeba. W raju wolności zrodzony, do społecznego jej rozwinięcia powołany, zakosztował Słowianin owocu z drzewa świadomości złego i dobrego, i poznał największe zło na świecie, bo najprzeciwniejsze istocie i przeznaczeniu ducha, poznał piekielną niewolę. Najszczodrzej od Boga obdarzony, dał się ludziom tak dalece upośledzić, że rodowa nazwa jego stała się samej niewoli mianem! I przyszło do tego, że dziś, na całej ziemi przestrzeni, której tak niezmierny obszar ów ród zalega, niemasz swojskiego zakątka, w którymby choć jeden z owych milionów swobodną mógł położyć głowę!...

Ale Bóg miłosierny widzi ich łzy dzisiejsze i ocenia obecne usiłowania, i przyjmuje niewinną ofiarę ukrzyżowanego narodu za braci i przez braci, i zbawia ich w tej godzinie, bo czekał tylko na własne ich upamiętanie, na wielką pokutę i zadość uczynienie!

Przyjmijże, potępiony dotychczas rodzie, dobrą nowinę zbawienia. Wiedz o tem, że naród, który na domiar nieprawości a na odkupienie politycznych grzechów świata, poniósł śmierć męczeńską, wstąpił do piekieł niewoli, i przemógł ich wrota. A zmartwychwstając w chwale ducha, objawia ci, że spełniły się czasy, a z nimi twoja wybiła godzina; żeś już sam przebył twój czyściec niewoli, i że nadmiarem cierpienia zasłużyłeś sobie na to u Boga, abyś erę wolności samemu światu zwiastował i ludzkości całej do raju swobody przewodniczył.



OKRES SIÓDMY.

Przekwitanie romantyzmu (1850—1863).

I. Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla).

A) Poezye liryczne i epiczno-liryczne:

1. Dumanie Poety. (1845).

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro,
Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
Co siedząc przy stoliku, temperował pióro.

On szukał nowych myśli w swej duszy odmęcie,
Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem!
Ale myśli, przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem.

On po sklepieniu nieba wieszcze oko toczył,
I pół wieszczego pióra w wieszcze usta włożył,
I w wieszczym kałamarzu wieszczy nos umoczył,
I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

2. Dyfferencya. (1846).

I.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnej siedzą,
A wokoło młodzież wrząca
Tysiąc gniewnych słów wytrąca,
Lud się na dwie strony dzieli,
Błyszczą ostrza karabeli.
Pan komornik z sznurem stawa,
Woźny wznosi papier w górę,
Słowem jakaś tu rozprawa,
I *de hajda* — i *de jure*.

At mospanie, któż i kiedy
Przywileje szlachty zaćmi?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojej schedy,
A u szlachty takie chucie:
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa tam i bitwa,
Potem kończą na statucie,
Potem kielich i modlitwa.
Szlachcic poczciw — bo ma duszę,

A wrzaskliwy — bo szlachetny,
Urodzony — nie sławetny,
I nie straszne mu ratusze!
Proces w sądzie — to nie boli,
A zabawka nie zła wcale; —
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.
Ich się ojcu niegdyś szczęści,
Dość zostawił dla nich mienia,
Co dziś dzielą na dwie części
Wedle Boga i sumienia.
Dzielą słusznie, jak wystarczy,
I grosiwo i spiżarnie,
I oborę i owczarnię,
I nabytek gospodarczy.
Potem z obu stron namowy,
Pan komornik przez zagony
Ciągnie sznurem na dwie strony
I wydziela dwie połowy.
Zabił wiechę strojną w liście,
Wsunął cyrkiel za popręgę,
I zawołał zamaszyście:
— „No, skończyliśmy mitręgę!
Waść, sądowy generale,
Mości stary — i starszyzna!
Niech mi teraz każdy przyzna,
Żem wydzielił doskonale.
Ot jak z boru do sosenki
Idzie ścianką tu drożyna,
Stefanowe z prawej ręki,
A co z lewej — to Marcina,
A zaś młynek i zatoka
Służą obu jednostajnie.
Równe schedy jak dwa oka,
Nawet pręta nikt nie stracił;
Mierzę słusznie, nie przedajnie,
Bo mię żaden nie zapłacił,
Nie skaptował, nie przyodział, —
Ot i sprawa i rozprawa.
Pytam trzykroć wedle prawa:
Czyli zgoda na mój podział?“
Stefan krzyknął: „niemasz zgody!
Bo mi krzywda w oczy kole —
U mnie piasek — a tu pole,
Że choć zaraz siej ogrody!
„Morg pod lasem... tak daleko!...
Co ja zrobię z tym kawałkiem?
Wezmę raczej mórg nad rzeką
I zatoka do mnie całkiem!...“
— „O!! zatoka za głęboka!“ —
Krzyknął Marcin — „Panie bracie!
Wcześnie siatkę zapuszczacie,
Nie dam ryby ani oka!
Morg mój, Mości Dobrodzieje,
Co nad rzeczką, tam pod drogą!
Nie pytając u nikogo,
Sam zaorzę i zasieję.
Bo pomiarem“...
— „Co mi pomiar?
Kto się skrzywdzić mię ośmieli,
W klindze mojej karabeli
Słusznej kary znajdzie domiar“. —
— Panie woźny!...“
— „Woźny płazem!
A mierniczy — w łeb żelazem!
Niema pana dla Stefana —
Zaraz wszystkich stąd wypłoszę! —
Morg nad rzeką i toń rybna
Moje!...“
— „Moje, rzecz niechybna!...“
— „Ja zasieję“
— „A ja skoszę!“ —
— „No bratuniu, to za śmiało!
A czy znasz ty moją rękę?“
— „A czy znasz ty, świszczypało,
Moję szablę damascenkę?“
— „Za mną szlachta!“
— „Bij, kto sprzyja!...“
Szlachta w dwie się strony ściska,
Walka w zabój... aż krew tryska...
Pan komornik wiechę zwija,
Woźny pozwem broni duszę,
Papier, wiecha w zawierusze,
Popękały się od kija.
Aż skrwawiona, zapocona,
Porąbana, zadyszana,
Ta i owa padła strona,
Wypoczywać na murawie;
Jeszcze w jęku i we wrzawie
Słychać głosy: — „To Stefana“...
— „To Marcina... morg przy drodze“.
— „Morg nad rzeką i zatoką“...
— „I okopię i ogrodzę“...
— „Nie doczekasz; nie pozwolę;
Będę bronił moje pole,
Jak źrenicę mego oka!“

— „Nie o pole, nie o szkodę,
Lecz tu idzie o bezprawie“.
— „A ja mówię i dowiodę,
Że na swojem rzecz postawię.“

— „Ciężko skarzę upór bratni“...
— „Wara leźć mi w moją grzędę!“...
— „Krwią słuszności bronić będę,
Do kropelki, do ostatniéj!“

II.

— „Cyt mi, szersznie! — tfu do kata!“ —
Huknął stary pan Ambroży. —
„Taki rankor brat na brata!
Mospanowie, to gniew boży!
Bić się z bratem! jakby z wrogiem!
Jakiem okiem, jakiem czołem,
Staniesz jutro przed kościołem,
A pojutrze i przed Bogiem?
Uściśnijcie mi się szczerze,
I wypijmy pojednanie, —
Jutro spowiedź“...
— „O mospanie!
A zatokę kto zabierze?“
— „Nie chcę morga, co pod lasem“.
— „Nie dam morga, co przy drodze!“
— „ No, uciszcie się z hałasem,
Ja wam całą rzecz pogodzę“.
— „A to jaki śmiałek groźny
Medyacyę swoją wnosi?!“
— „Sza, panowie! — krzyknął woźny —
Pan Ambroży o głos prosi!“
Więc Ambroży siadł na miedzy,
Brzęknął czarą po butelce:
— „Bracia szlachta i koledzy,
Mościwi wielce, a wielce!
Za zatokę i za pole
Będzie zawsze wrzawa sroga,
Będą skargi i zatargi,
I procesa i swawole,
I obraza Pana Boga.
Bracia zniszczą się ze szczętem.
Przez rankory i rozpusty,
Będą dzieciom testamentem
Przekazywać proces pusty;
Na braterskich karkach — szpetnie
Czynić próbę szabel hartu,
Mazać herb swój nieszlachetnie
I oddawać duszę czartu!
„By więc zetrzeć plamę z czoła,
Zmazać karę nieochybną,
Radzę oddać do kościoła
Oba morgi i toń rybną.
Za tę skruchę Pan Bóg — juści
Grzech dzisiejszy wam odpuści,
I ofiarę przyjmie wdzięcznie
Za zgładzenie tych bezprawi, —
A ksiądz proboszcz — comiesięcznie
Za was świętą mszę odprawi.
Bóg okryje swem ramieniem
Tarczę herbu starożytną,
Wasze domy z pokoleniem
Pomyślnością wam zakwitną...
No! czy zgoda?“
— „Mądra rada —
Już inaczej nie wypada;
Oba morgi niepodzielne
I zatoka koło młyna
Ni Stefana, ni Marcina,
Ale odtąd już — kościelne.
Niech pan woźny tu posiedzi,
I dokument spisze żywo —
Jutro idziem do spowiedzi
Z tą pobożną donatywą“.
— „A salarya?“
— To nie minie,
To proboszcza rzecz nie nasza, —
A za cięcie od pałasza
Damyć żyta po ośminie“.
— „Zgoda! — krzyknął woźny żwawie —
Teraz kielich do roboty!“
Dictum, factum, i po sprawie
Wykonano co do joty.

III.

Oto sto lat już się zaczną,
Jak braterskie kości społem
Gniją w ziemi pod kościołem,
A mogiły ani znaczno.
Ale ród ich gęsty w Litwie,
I poczciwy i zamożny;

Bo co miesiąc głos pobożny
W mszalnej wzmienia ich modlitwie.
A na morgach w pszennym plonie
Pleban piękne żął owoce,
Stawił kopy na zagonie,
Łowił rybkę na zatoce....
Teraz słyszę inne dzieje, —
Ktoś już inny morgi trzyma,
I pszeniczkę i lny sieje,
I za zmarłych mszy już niéma.
Słyszał nawet dzwonnik głuchy
Zpod grobowca u parkana,
Jakieś krzyki i rozruchy —
Spór Marcina i Stefana.

3. Lalka. (1851).

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,
Ładnie mi się ukłoni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,
Jak mi rodzice mówili.

W święto... mama mię w nową sukienkę ubierze,
I różową przepaskę zawiąże u czoła:
Ja wtedy będę umieć francuskie pacierze,
Pojedziem do kościoła.

Toż-to będzie się dziwić prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisano zagraniczne słowa,
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada:
Czy-to ja chłopka wioskowa?

Lecz cichutko... po polsku... poproszę w kościele,
Niech mi Bozia da rosnąć i wyładnieć prędzéj
A dla mamy i papy niech da wiele... wiele...
Żółtych i białych pieniędzy!...

Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,
Dają na mszę dwa złote, całują obrazy,
A Pan Bóg taki dobry — że co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda w sto razy.

Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,
A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną;
To zbierze się pieniędzy tak dużo... tak dużo...
Że i przeliczyć nie można.

Lalko! jaka ty śmieszna... nie rozumiesz zgoła:
Pytasz, czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci,
Albo przyśle z pieniędzmi swojego anioła,
Co za pobożność zapłaci?

Gdzie tam! — jak mówi mama — z Opatrzności boskiéj,
Przyjedzie żyd brodaty, da groszów i dosić...
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,
Co nam będą żąć i kosić.

Ty tego nie wiesz — że my — to panowie,
A jeszcze lud inszy chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany.

Brudne, brzydkie i pjane — często, jak nędzarze
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni: to Bozia ich karze,
Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi;
Doprawdy, że aż szkoda... skąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi!...

Ot i wczora... gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się — czy to pięknie, i co za potrzeba,
Weszli, zbrudzili pokój, krzyczą, jak niedźwiedzie,
„Chleba, panoczek! daj chleba!“...

Więc kazano ich obić... i słusznie obici;
Już ja kiedy wyrosnę i będę mieć zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy spać się nie położę.

Bo, proszę, jak tu zasnąć, kiedy naród blady
I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą:
Nie nakarmić ich chlebem... to przyśnią się dziady,
Jeszcze do torby zabiorą.

Lub co gorsza — w obrazku Pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chléb i rybę łamie:
Lalko! zmówmy pacierze o chléb i o zdrowie,
Chłopom, i papie, i mamie.

4. Lirnik wioskowy. (1852).

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
Snadź ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
I smutno i wesoło;
Ja-m szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
Przechodzę całe sioło!
Z tobą się nie napieszczę: i dzień, i noc i jeszcze...
Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
Przecie tonów nie zniżę;
Nie żałuję méj głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna z czarodziejskiego drewna!
Niebezpieczne narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
I tęsknota ogarnie.
Tyś pokarmem bożym, z tobą, jak z ostrym nożem
Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
Co tam w duszy lirnika?
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Że mnie tak chętka bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą;
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy bawi się ochoczo.
Patrzcie na dziewę moją, przy niej chłopcy się roją,
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem połyska.
Mnie Bóg więcej przeznacza: znaj, co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę
Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy
Skonam, grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Wątłe z tobą nadzieje!
Snadź twe piosnki nie piękne: czy przed Bogiem uklęknę,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
O! dolo moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wytężę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
Smutnym tonem mitrężę.
Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klnę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.

Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada —
Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze
I z innym pląsa rada.
Starzec westchnie i powie: „Za mych czasów grajkowie —
To grali dla duszy;
Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bez brody;
Trąbić mu w róg pastuszy!“
I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani, —
Kłaniam, kłaniam uprzejmie.
Otóż mi wielka łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!
Liro! próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
Z ciebie ciernie i krzyże!
Lecz tyś promień mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!
Tyś dla mnie ulgą bożą, a gdzy mnie w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej! rozgłośnie, rozgłośnie, twoje echo urośnie!
Zolbrzymieją me słowa;
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakołata:
„Przyszliśmy patrzéć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
Lirnik głośny u świata“.
Wtedy z całego sioła ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać, ściskając plecy: „Skąd ci ludzie dalecy
Znają pieśni tej wioski?“
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzéj ziemi,
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybyszy do cmentarnéj zaciszy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
I rzekną, wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy
Skonał, grając na lirze“.

5. Dedykacya gawęd gminnych Litwinom. (1852).

O, bracia moi znad Wilii, znad Niemna!
Gdy wam swojacka gawęda przyjemna,

Zasiądźcie w kółko — a ja wam pogwarzę.
Stukniemy w czarki, rozweselim twarze,
A może prawda wynurzy się na dnie,
Albo się chwilka smutkowi wykradnie.

Ja czasem wierszyk skleciwszy naprędce,
Lubię się wylać w niewinnej gawędce,
A wy niekiedy serdecznie i czule
Dajecie ucho sielskiemu gadule!
Będziem wzajemnie radzi — tak mi właśnie!
Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
Aby snadź jaki panek czy półpanek
Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadanek.
U nas, wiadomo, domowa czeladka,
Wiersz od siekiery, robota niegładka,
A słuchacz patrząc w serce gospodarza,
Wdzięczen z przyjęcia, czem Pan Bóg obdarza.

Łatwiéj to z wami wywinąć się księdze,
Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!
Gmin nieuczony łatwiej się pozwoli
Podkraść, wysłuchać, czy mu serce boli,
Czy własna wina, czy boża niełaska,
Czy błoga radość po sercu pogłaska.
Oblicze gminu blednie, to się płoni,
Pierś przezroczysta — widno jak na dłoni;
Na sercu grają uczucia otwarte!
Łatwoż je schwycić i przenieść na kartę, —
A potem w kółku tych samych słuchaczy,
Któż niedołężnej piosnce nie przebaczy?
Kto zechce śpiewek nicować dziadowski
Z myśli do myśli, ze zgłoski do zgłoski?

Z jasnymi pany nie tak idzie składnie:
Któż ich oblicza, i serca odgadnie?
Jak dla nich śpiewać? kiedy mają narów,
Że za swój pieniądz chcą dobrych towarów?
Dla nich się książki w pozłocistych szatach
Robią w Paryżu w najpierwszych warsztatach.
Gdzież nam dościgać? nierówna gonitwa,
Co insza Paryż, a co insza Litwa.
Kogo zamorskie pachnidło przynęci,
Cóż mu aromat naszych sianożęci?
Po śpiewie oper, jak nudną jest rzeczą
Ranne skowronki, co na Litwie skrzeczą!

Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,
Dla ciebie śpiewam, gminu szaraczkowy!
O tobie śpiewam i z tobą zespolę:
Nadzieje, radość i smutki i bole:
Twojem powietrzem orzeźwię oblicze,

Od twoich ptasząt wyrazu pożyczę.
Niech się myśl moja zpod serca wygwarzy
Nutą żniwiarską w takt brzęku kosarzy, —
Gdzie chata słomą lub darnią pokryta,
Serdeczny Litwin niech piosnkę przeczyta,
A gdy swojaka dopatrzy się we mnie,
Zgrzeszyłbym, mówiąc, żem śpiewał daremnie.

6. Grajek wioskowy. (1854).

I.

Ubogi odzieżą, lecz myślą bogaty,
Siadł grajek wioskowy na przyzbie u chaty,
I wierną skrzypicę wziął w ręce;
A w głowie snadź ważna toczy się narada,
Coś brząka, coś mruczy — bo w myśli układa
Strój nowy ku nowej piosence.

I błądzi spojrzeniem ku niebu, ku ziemi,
Nad polem zielonem, nad strzechy sielskiemi
Spogląda ku lasom, ku rzeczce.
Wnuk przy nim trzyletni ciekawy, a żywy,
Znalazłszy we drwalni dwie szczapy łuczywy,
Grał niby na drugiej skrzypeczce.

II.

Uśmiechnął się stary, podumał i milczy:
— „Już tropisz do lasu, o synu ty wilczy!
Poczekaj! nic z tego nie będzie.
To brzydka zabawka! to gra nie do rzeczy!
Rzuć, chłopcze, tę trzaskę, boć ręce skaleczy —
Skrzypica — zaklęte narzędzie!

Gdy raz ci do duszy przyrosną jej tony,
Już będziesz zgubiony, na zawsze zgubiony,
Młodości i sił twoich szkoda.
Snu tobie nie będzie, tem gorzej im daléj,
Gorączka pragnieniem duszę twą rozpali,
A gdzież tu na świecie ochłoda?“

III.

„Weź inną zabawkę — ja krzyżyk ci zrobię,
I będziesz po dworze przechadzał się sobie,
Śpiewając *oremus* księdzowski:
Jak kiedyś zostaniesz rozumny i duży,
To może ci dola życzliwa posłuży,
Że będziesz plebanem tej wioski.

Czy ludzkość żałobą, czy kwieciem pokryta,
Wesele czy pogrzeb — ksiądz brewiarz czyta,
I cóż go zasmuci, rozrzewni?
Czy piękny urodzaj na polach rolnika,
Czy Pan Bóg pomorem i głodem dotyka,
Plebani dziesięcin swych pewni".

IV.

„Lub baw się w żołnierza — weź kij mój sękaty,
I hasaj dokoła stodoły i chaty,
Jać szablę wystrugam z łuczywy;
Gdy pójdziesz do wojska — ej, będzie do twarzy:
Twój mundur, twój kaszkiet od złota się żarzy,
A rumak — kasztanek lub siwy!

Szablica, ostroga błyszcząca ze stali,
A wąsik runieje, a oko się pali,
Dziewczęta ci z całej lgną włości;
W gospodzie, czy w domu na każdej zabawie,
Ty jeden rej wiedziesz i głośno, i żwawie,
A każdy ci z chłopców zazdrości!"

V.

„Cóż z liry za korzyść? Ot, marnie zaginie;
Ubogi syn pieśni, w ubogiej wioszczynie
Daremną zamęczy się pracą.
Tu rzadkie obsiewki, dożynki, wesele,
Tu chleba niewiele i zabaw niewiele,
Niewiele grajkowi zapłacą".

— „Ej dziadku mój, dziadku!" — odpowie mu wnuczę —
— „Ot! ja cię dobrego sposobu nauczę:
Rzuć wioskę, gdzie żyją nędzarze;
Weź skrzypkę i pytaj, gdzie ludzie bogaci,
Tam każdy posłucha i hojnie zapłaci,
I drogę do inszych pokaże".

VI.

„Ja kiedy wyrosnę, gdy skrzypkę mi kupią,
Tak pójdę na świecie — to wcale niegłupio;
Obaczysz, jak mi się poszczęści".
— „O dziecię!" — rzekł starzec — „nie bluźnij w ohydzie,
Niech raczej z pieśniami zaniemieć ci przyjdzie,
Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści!

Gdy nędzarz w tej wiosce wyprawia biesiadę,
To serce grajkowi życzliwe i rade,
Gospodarz najwyżej go mieści;

I grajka obsiądą, słuchają z rozkoszą,
I czarkę najpierwszą ku niemu przynoszą —
Tu pieśnia w pożytku i cześci".

VII.

„Na uczcie bogacza nie szukaj dusz bratnich;
Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
U progu ci chyba grać każą.
Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
Westchnienia nie wzbudzisz, bo duch u nich zimny,
Z szyderczą słuchają cię twarzą.

A kiedy na uczcie zapieni się wino,
Sto razy służalcy pieśniarza pominą,
Nim puhar podadzą ci hardo.
Gdy czasem bogacza napadnie szał pusty,
On każe, byś zagrał piosenkę rozpusty,
I rzuci garść złota z pogardą!"

VIII.

Tu starzec złagodniał i wnuka pogłaska.
— „Tak, chłopcze... bądź grajkiem!... O, Boże! Twa łaska
Niech zawsze na pomoc mu przyjdzie!
Nim kiedyś mą skrzypkę powierzę ci w ręce,
Przeżegnam ją naprzód, w kościele poświęcę,
Byś pieśni nie podał k'ohydzie.

Choć czasem chleb suchy pożywać się zdarzy,
Bądź grajkiem poczciwych wioskowych nędzarzy,
Jak ja sam przebyłem lat tyle".
Chłopczyna wysłuchał, co stary dziad gdera,
Podumał, zapłakał i oczka ociera,
I pobiegł uganiać motyle.

7. Illuminacya. (1856).

I.

Nastały nieskończone jesienne wieczory,
Natura drzemie!
Pochmurniały niebiosa i deszcz lunął spory
Na suchą ziemię.

Po wilgotnej przestrzeni, grzechotka pocztowa
Jęczała płaczem.
Mnie z dumkami obległa tęsknota grobowa,
Pan Bóg wie za czem!

Jak ten wietrzyk jesiennny, co szumi na drzewie,
To w polu krąży,

Tak i myśl rozrzewniona sama siebie nie wie,
Skąd? dokąd dąży?
O minionej przeszłości marzy się coś — marzy
Dumka głęboka;
I czy to kropla deszczu bryznęła po twarzy?
Czy to łza z oka?

Zawstydziłem się płaczu, zamknąłem powieki —
Było mi ciemno;
I obraz zapomniany, miniony, daleki
Stanął przedemną.

II.

Dawno, dawno, przed laty, było jak w tej chwili
Noc, jesień, deszcze;
Tylko wtedy na sercu było jeszcze miléj
I raźniej jeszcze.

U moich towarzyszów zamiar się ułożył
Jeszcze na łowy;
A choć zgoła na strzelca Pan Bóg mnie nie stworzył,
Szedłem gotowy.

Ułożyłem do drogi bez długich wymówek
Wszystko, co trzeba:
Wziąłem książkę i lulkę, papier i ołówek,
I kawał chleba.

I wesoło z chychotem puściwszy się w drogę,
Skracamy chwile.
A do lasu, gdzie jedziem — przypomnieć nie mogę,
Dwie czy trzy mile.

Przemokliśmy do nitki, bo deszcz lał jak z kadzi;
Broń nasza moknie...
A jacyż my szczęśliwi, jak byliśmy radzi
Ze świata w oknie!

W chatce gościnny strzelec osuszał nam suknie,
Sprawił wieczerzę;
A gdy z myśliwskiej flaszy raz i drugi stuknie,
Gawędził szczerze.

Matka jego, pomimo starości i bolu,
Postać nielada,
O nieświeskim przepychu, o księciu Karolu,
Cuda nam gada.

Bo widziała naocznie wszystkie tamte dziwy
Jeszcze z dziecięcia,
Kiedy Stanisław August, król pan miłościwy;
Odwiedzał księcia.

Na dzisiejsze wypadki prawie jak umarła,
Tamtemi pała, —
Jedną swoją powieścią serce mi rozdarła
I łzę wylała.

Powiastka skromna, prosta, z wątku i osnowy,
Z łez i goryczy;
Powtórzę ja przed wami jej własnemi słowy:
Słuchaj, kto życzy.

III.

— „Ot, co to! książę Karol, można mówić śmiało,
Morze miał groszy!
I oko nie widziało, ucho nie słyszało
Takich rozkoszy.

Żyje stary Lachowicz, Szybicki Bazyli,
Bukowski szatny:
Ci niechaj wam powiedzą, jak w tę porę żyli,
Jak był człek płatny.

Co szło ptactwa na kuchnię, co miodu, co wina,
A co kapeli!
Jakie bywało książę dziwy rozpoczyna,
Gdy się podchmieli!

Ot wiadomo, z rozkoszy szaleją bogacze,
Szumią magnaci;
A zato biedny człowiek bolesno zapłacze,
Gorzko przypłaci.

Było to w drugim roku po mojem zamęściu
(Jak dzisiaj pomnę),
A człowiek zawsze w biedzie i zawsze w nieszczęściu
Wiódł życie skromne.

Z niedolą całe życie łamie się i łamie,
Płacze kryjomu...
Mój mąż służył za stróża tuż przy słuckiej bramie,
W Arona domu.

W Nieświeżu święty Karol to feta nielada,
Gości najwięcéj;
Trzeciego czy czwartego jakoś listopada,
Patron książęcy.

Mąż pojechał (nie pomnę), do Słucka, do Naczy,
Aha!... Do Klecka;
A Pan Bóg miłosierny udzielić nam raczy
Pociechy z dziecka.

Urodził się syn pierwszy... kubek w kubek po nim,
Jak z Nieba spada;

Ksiądz lektor bernardyński ochrzcił go Antonim,
Imieniem dziada.

Złoto — mówię — nie Antoś: te późniejsze dzieci,
Schowaj się z niemi!
Dziś spróchniał — może nawet szkieletem nie świeci
W surowej ziemi.

A żyłby może dotąd... Dzień imienin księcia
Wszystko odmieni.
Przyszła ospa — zwyczajna choroba dziecięcia,
Jak raz w jesieni.

No, uważasz jegomość, ospęby nareszcie
Przebył swobodnie;
Ale na święty Karol nakazano w mieście
Palić pochodnie.

Zamek od świec jarzących jak latarnia gore,
Tam bieży tłuszcza.
A rektor jezuicki pod wieczorną porą
Fajerwerk puszcza.

Na grobli małą szpilkę przy kagańców mnóstwie
Znalazłbyś pono;
A w mieście, jak mówiłam, przy każdem domostwie
Pochodnie płoną.

Słupy przy każdym domu wkopano do ziemi,
Lampa na słupie,
I wszyscy stróże domów siłami wspólnemi
Pracują w kupie.

O biednaż moja głowa! mój słupek nie gore,
Spóźniłam trocha;
Musiałam zakołysać moje dziecko chore,
Mego pieszczocha.

A pamiętam, że była z ulicy na dole
Nasza siedziba.
Stuka tedy do okna z ratusza pacholę,
Aż pękła szyba.

— Hej stróżu! pal światło, jak raczył zalecić
„Pan burmistrz miasta!“
Nie wiem, czy tulić dziecię, albo ogień świecić —
Biedna niewiasta.

Tam ogniów i tak dosyć, tu chora dziecina —
Boli mię dusza!
Wtem przypada do izby, w plecy mię zacina
Sługa z ratusza.

Wybiegam na ulicę, rozpalam pochodnię,
Wiatr ją zadyma,

Patrzę w okno — tam dziecię drętwieje i chłodnie
Tuż przed oczyma.

I krzyczy w niebogłosy, czernieje jak sadza,
Serce się kroi:
Chcesz pobiedz, ale tutaj ratuszowa władza
Nad karkiem stoi.

Rozdmuchywam pochodnię, a wicher ją gasi,
Mój słupek w ciemnie!
Pachołek grzmoce w plecy, a stróżowie nasi
Śmieją się ze mnie!

Ich kagańce goreją, a mój ciągle gaśnie! —
Ze łzą goryczy
Rozpaliłam kaganiec — a mój chłopak właśnie
Najmocniej krzyczy.

Wiatr przez rozbitą szybę zawiał do kołyski
Mojego zucha.
Śmierć z wiatrem naleciała, bierze go w uściski,
A matka słucha!...

Ale nie może śpieszyć: bo tu ogień gaśnie,
Pachołek strzeże...
O dwunastej godzinie dały z armat właśnie
Zamkowe wieże.

Tam wykrzyka wiwaty i chyli węgrzyna
Gości gromadka
A tu ogień rozpala, opłakując syna,
Zbolała matka.

Z zamku przywożą beczki trojniaku starego
I wina stare,
I sławetni mieszczanie aż pod ratusz biegą
Wychylić czarę.

A kiedy wszyscy krzyczą: wiwat mości książę,
W sukcesów drodze!
Ja do mojej dzieciny, do kolebki dążę...
Trupa znachodzę!

A nazajutrz, gdy każdy imieniny księcia
Wspominał szczerze,
Ja niosłam na mogilnik trumienkę dziecięcia,
Mówiąc pacierze.

I długo, długo jeszcze dusza zapamięta
Te huki całe;
Żółtą jak wosk twarzyczkę i żółte rączęta
W krzyku skostniałe.

Umarł... tak już sądzono — nie zaś z czyjej winy,
Broń Panie Boże!

Ale huczne przed laty były imieniny
W nieświeskim dworze.

8. Wyzwolenie włościan. (1859).

Czytałem wolę dobroczynną Cara,
Co prawa ludzi ludziom przypomina, —
I byłem pewien, że żadna ofiara
Nie będzie ciężką dla serca Litwina.
Wróżąc urodzaj tego roku rzadki,
Piękne dożynki społecznego żniwa,
Chodziłem codzień patrzeć za rogatki,
Czy wielu szlachty do miasta przybywa.
Gdy mnie obrzucił pył pańskiej kolaski,
Gdy ujrzał postać znajomą w przezroczu,
Łzy biegły z oka — czy to gryzły piaski?
Czy coś z pod serca płynęło do oczu?
Ja nie wiem, nie wiem, skąd ta łza się kręci,
Skąd moje czoło hardzieje wawrzynem:
Że mój prapradziad był szczerym Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

Myślałem sobie: — Napróżno krzykacze
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas niedarmo szlachetnymi zwano;
Jutro, pojutrze z uniesieniem powie
cała Europa,
Żeśmy Litwini w dobrowolnej zmowie,
Jarzmo i łańcuch rozwiązali z chłopa;
I że najpierwsze odbiorą oklaski,
I kartę w dziejach, jako przykład światu,
Ci, którzy dzierżą marszałkowskie laski,
Którzy są głową i sercem powiatu;
Jak Zygmunt August, oni z własnej chęci
Zrzekną się bicza, nie słowem, lecz czynem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

Ze szlachtą w Kownie piłem, przed miesiącem,
Radosny toast wyzwolenia włości;
Czytałem z Grodna, jak inkaustem wrzącym
Brat swemu bratu dawał wiadomości:
Choć tutaj piaski, choć tu grunt nieżyzny,
Choć do Druskienik pieniądze mieć muszę:
Winszuj mi, bracie, zrzekłem się pańszczyzny!
Bom ja nie szatan, by posiadać dusze".
Myślałem sobie: — O! wy, fanfarony!
Co mi tam w Kownie? — i co mi tam w Grodnie?
W Wilnie jest serce mej Litwy rodzonéj;

Wilno tę sprawę rozwiąże nam godnie.
Tam wszyscy dobrem ogólnem przejęci,
Wodę chrztu Litwy przemieszają z winem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

Ze starej Lidy, ze starej Oszmiany,
Z Trok Kiejstutowych, z Wilejki i z Dzisny,
Kwiat naszej szlachty dokoła wezwany
Wyrok dla ludu podpisze korzystny,
Z takim oklaskiem, w tak niedawnej chwili,
Wybrani świetni powiatów ojcowie,
Czyżby się Wilnu wstydzić dozwolili,
Odjąć koronę Palemońskiej głowie?...

Przecież się stało... Kraju mój rodzony!
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili,
Ojcowie twoi własnemi imiony
Kajdany ludu pismem utwierdzili!
Podali dziejów ohydnej pamięci
Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
O! wstyd mi Wilna! nie chcę być Litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!

9. Co umiem nakreślić. (1860).

Kiedy biorę ołówek (chętka dzisiaj rzadka),
I nie wiedząc, co kreślić, błędne stawię kreski,
Zawsze wyjdzie zpod ręki lub litewska chatka,
Lub kościołek wioskowy, lub dworek litewski.

Nic innego nie umiem kreślić na papierze,
Tylko to, com ukochał z całej mojej duszy;
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze,
Chciałem kreślić gmach pański — ołówek się kruszy.

Bogdaj to wiejska chata! tu prostemi strychy
Dach słomiany, bierwiona, okienka wywiodę,
A w środku wyobrażam, że mieszka lud cichy,
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode.

Młodość, co kochać, wierzyć, spodziewać się umie,
Starość, co starych wspomnień wygrzebuje zgliszcze,
Oni serdecznych dumek nie zgubili w tłumie,
Choć im wicher przez szpary piosnkę nędzy świszcze.

Bogdaj to wiejski kościół! — dzwonnicę pochyłą,
Z dranic skleconą wieżę zrysować tak łatwo!
Wewnątrz księdza plebana wyobrażać miło,
Jak pszenne ziarno cnoty sieje między dziatwą.

Lub stary organista, gdy kantyczki złoży
I na pacierz wieczorny uroczyście dzwoni,

To słyszysz wyobraźnią, jak leci Duch Boży
W drganiu echa świętego po zielonej błoni.

Bogdaj szlachecki dworek z ogrodem, stodoła!
Sam zdaje się z pamięci pod ołówek bieży
Dąb przed gankiem, co zwiesił pochylone czoło
Nad szczepy dębowemi chocimskich rycerzy.

Ot i wszystek mój talent wyczerpał się marny,
Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny.
Ot jeszcze umiem skreślić wiejski krzyż cmentarny,
Pod jakim chciałbym spocząć obok ojca trumny.

10. Owidyusz na Polesiu. (1861).

August cezar, co niegdyś dla pańskiego tonu
Posprowadzał do Rzymu muzy z Helikonu,
Nie szczędząc hojnych darów i sutych przyrzeczeń,
Wirgilich i Horacych zapraszał na pieczeń, —
Dostrzegł, że z etykiety straszliwą obrazą,
Bałamuci mu córkę Owidyusz Nazo.
Był to poeta, dworak przy wielkim Auguście,
A pannie były jego pentametry[1]) w guście...
Julka to, panie, była hoża czarnobrewka,
Rzymianka, krew nie woda, spirytus nie dziewka...
Dyabeł nie śpi w tych rzeczach, może być nieładnie...

. . . .

Tak myślał cezar August...

. . . .

Więc się radzi przyjaciół, nie zwlekając chwili.
Agryppa i Mecenas tak mu poradzili:
— „Trzeba zaraz ostudzić te zapały wieszcze.
Szkoda, że nikt Kajenny[2]) nie wymyślił jeszcze;
Lecz jak można, w tych czasach, zaradzając biedzie,
Niech nad morze Euksyńskie[3]) poeta pojedzie;
A tam, jeśli się gadać nie nauczy prozą,
Niech go na szuhalei do Pińska zawiozą“.

Jak się rzekło, tak stało: znękany i chory,
Już Nazon w pińskich lasach zbiera muchomory,
Łowi wjuny i raki cezarów dworaczek
I z łuku sarmackiego pudłuje do kaczek.
A co poczta, przyjaciół swemi listy nudzi:
„Jak mi tęskno do Rzymu, do tamecznych ludzi!
Proście, niechaj mnie cezar uwolni od kary,
Bo tutaj mnie poleskie zagryzą komary“.

---

1) pentametry = gatunek wierszy greckich i łacińskich. 2) Kajenna, miejsce zesłania dla zbrodniarzy francuskich. 3) Czarne.

Przyjaciele, zwyczajnym torem przyjacieli,
Przyrzekli uroczyście, potem zapomnieli.
Julia! — puchu marny! istota kobieca! —
Do junkra pretoryańskiej straży się zaleca.

. . . .

A poeta, wygnaniec, z głodu i ze smutku
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.
Odtąd jego imieniem góra się nazywa...
Otóż czułych poetów dola nieszczęśliwa!

Ja, co żadnej Julii nie zaszedłem w drogę,
Ja, co z Owidyuszem równać się nie mogę,
Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopocie,
Siedzę w Borejkowszczyźnie, jak on w pińskiem błocie.
Kazano mi naturą napawać się wiosną:
Patrzę na wielkie brzozy — a tam rózgi rosną;
Na łąkach niemasz trawy, a kłosów na niwie,
Wśród kwiatów bujny oset wyrasta szczęśliwie.
A ja biedny wygnaniec z krainy dalekiéj,
Nawet raków nie łowię, bo tu niema rzeki.
A Litwinki nadobne, a królowe żniwa?
Każda się z nich do roku dwa razy umywa,
Każda snadź dla większego sielskiego uroku
Czesze złocisty warkocz tylko raz do roku.
A swą śnieżystą szatę, z góry aż do dołu,
Ozdabia w długie pasma sadzy i popiołu.
Bohaterki litewskie: Aldony, Pojaty!
Musiałyście myć częściej oblicza i szaty,
Albo wasi rycerze w kudłatej niedźwiedni,
W zapalczywej miłości nie byli wybredni,
A dzięki wajdelotom i harfie pieśniarzy,
Litwinki wyszły piękne, choć nie myły twarzy.

Wychodzę do ogrodu, a tu żyd się kłania,
Polak mojżeszowego, chcę mówić, wyznania.
Za czterdzieści srebrników, co mi dał na dłoni,
Arenduje owoce gruszy i jabłoni,
I jako mąż przezorny, przygląda się bacznie,
Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie.
Więc krok w krok postępując od drzewa do drzewa,
Jerozolimskie hymny pod nosem mi śpiewa.
Jakże tutaj potrafisz, o synu człowieczy!
Zgłębiać filozoficzne lub dziejowe rzeczy,
Lub siadłszy pod gałęźmi cienistej topoli,
Grać na wiejskiej fujarce twemu sercu gwoli?
Choćbyś został Newtonem, domyślać się snadno,
Że tutaj żadne myśli z jabłkiem ci nie spadną.

Powracam do komnaty, do cichej komnaty,
Kędy człowiek pracował i marzył przed laty,

Gdzie były stosy książek, mój pokarm młodzieńczy:
Dzisiaj echo samotne pod stopami jęczy...

. . . .

11. Melodye z domu obłąkanych. (1861).

Kot się w pląsach wywija,
Snadź niegłodna bestyja!
Kocie, moje kochanie,
Jakie miałeś śniadanie?
Możeś chodził na łany —
I pod kamień schowany,
Wyszpiegował ptaszynę,
Co nam dobrą nowinę
Co wiosnę przepowiada!
Sama z jutrzenki spada,
A pełna jej promieni,
Gdy je w pieśnię zamieni,
To tak tryska, szczebiota,
Że aż płakać ochota,
Że aż serce sieroce
Obertasa zagrzmoce!

Naprzód, ptaszek z ukosa,
Potem leci w niebiosa,
I w błękitne sklepiska
Ostrze pieśni swej ciska,
I znać daje do nieba:
Że tu ludzie bez chleba,
Że nam łaski potrzeba;
A gdy niebo rozczuli,
Spada na dół w lot kuli,
I nad głową oracza
Rzeźwe kręgi zatacza.
Na „dzień dobry" mu rzecze:
— „Uśmiechnij się, człowiecze!
Bóg rozjaśnił swe lica,
Siej! a będzie pszenica!"

O! to anioł nie ptaszę!
O! to szczęście on nasze!
O! to kapłan tej niwy!
To poeta prawdziwy!
W jego słówku i treści
Dobrodziejstwo się mieści.

A ty, kocie, twe szpony
Może w piersi natchnionéj,
Może w sercu śpiewaczem
Zatopiłeś cichaczem?
Mów! czy żyje skowronek?
Czy wydzwoni nam dzionek?
Czy dla siewcy nadzieję,
Gdy ten potem się zleje?

Kot tak spojrzał zuchwało,
Że odgadłem rzecz całą:
Legł rozszarpan na szmaty
Bogomodlca skrzydlaty.

* * *

Kot się drapie po ścianie.
Kocie! dziki tyranie!
Powiedz: krwawe twe gardło
Co na obiad dziś żarło?
Możeś chodził na łowy,
W młody gaik liściowy,
Gdzie leszczyna cienista,
Kędy wierzba się chysta;
I gdzieś w ciemnej leszczynie
Śmierć zadałeś ptaszynie,
Co swą pieśnią wieczorną
Spędza troskę uporną,
A w jej miejsce — nadzieje
Zdrowia, życia naleje?
Pieśni jego ciekawa
I leszczyna i trawa;
Księżyc, przy jego śpiewie,
Własnej drogi już nie wie:
Zatrzyma się i słucha,
I westchnieniem wybucha:
I łza, co leje z duszy,
Na ziemię rosą prószy.
Mów, potworo! mów, dzika!
Czy zabiłeś słowika?

Zbrodniarz siadł przy ognisku,
Krew wymywał na pysku;
To krew była — niestety!
Gajów naszych poety!

* * *

Kot się bawi jak dziecko,
Wzrok mu patrzy zbójecko:

Powiedz, straszne ty zwierzę,
Jaką miałeś wieczerzę?
Może za swą zdobyczą
Wpadłeś w strzechę rolniczą,
Gniazdo jaskółcze zdarłeś
I pisklęta pożarłeś?
Przyleciała z daleka,
Zdała w ręce człowieka
Swoje gniazdo z pisklęty —
Skarb swój drogi i święty!
Onaż nasza gosposi
Ona lato przynosi,
Ona w ciepłe już lato
Nad stodołą, nad chatą
Pływa długiem skrzydełkiem
I szczebioce nad zgiełkiem;
Pędzą czeladź leniwą:
— „Do roboty co żywo!
Jedno lato jest w roku,
Zwóźcie zboże do toku!“
A gdy obłok się brudzi,
Lata nisko wśród ludzi
I przestrogę swą kwili:
— „Deszcz! deszcz będzie w tej [chwili!“

Słyszysz?... jęczy tak głucho!...
Ponad gniazda okruchą;
Wpośród gruzów się świeci
Krew i piórka jej dzieci!
Nieszczęśliwa ptaszyna
Nas i siebie przeklina;
Bije pierśmi o ścianę,
Woła dzieci kochane.

Gdy tak mówię do zwierza,
Kot się na mnie najeża
Ze strasznemi oczyma...
Wątpliwości już niéma!
Zgubił w całym jej losie
Strzech litewskich gosposię!

* * *

Kot z mruczeniem zdradzieckiem
Usnął w cieple za pieckiem;
A ja myśląc, niedługo,
Jak go skropię maczugą!
Aż się zerwie, zapieni
I wyskoczy do sieni,
Na dziedziniec, do lasu,
I już kota ni śladu...
Ha!... na drzewie... ja za nim...
„My go prędko dostaniem!“

Pan dozorca szpitala,
Wyszpiegował to zdala,
Kazał ściągnąć mię z drzewa,
Zimną wodą oblewa,
Sadzi w ciasną zagrodę:
— „Trzy dni na chleb, na wodę!“
Za co? żem się mścił czynnie
Krwi przelanej niewinnie,
Krwi ptaszęcej, śpiewaczej?
Czyż być mogło inaczej?

Pan dozorca!... ej biada...
Pewno ptaszki zajada,
Więc pogląda przez szpary
Na pobite ofiary.
A toż mamy już przecie
Dziewiętnaste stulecie!
Nadaremnie się trudzi:
Nie poprawi już ludzi!
Cóż ja pocznę? mój Boże!...
Chyba spać się położę.

12. Cupio dissolvi[1]). (1861).

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała?
Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie
I zatrzymuje na ziemskim świecie.
Ja jestem duchem... duchem, nic więcej...
Po co mam chodzić w szacie zwierzęcej?
Moje radości, moje katusze,
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,
A nieśmiertelnych myśli osnowa
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mnie stworzył wolną istotą
Między występkiem a między cnotą,
Czyż grzech i cnotę, przed okiem nieba,
Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?
Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,
Czyż tylko ciało braterstwo splata?

[1]) pragnę być uwolnionym z więzów ciała.

Czyż tortur ducha nie masz w Twych
[ręku?
Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?
Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż choć cień myśli mej wytłómaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy z nich słaby.
Każdy kłamliwy w swojej osnowie,
Żaden mi ścisłej prawdy nie powie.
W uchu i w oku, w smaku i woni,
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczéj,
By doskonalej pojęła rzeczy.
W ziemskich warunkach ciała i kości
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
Ziemska namiętność swe prawa bierze,
Wysokie żądze giną bezpłodne,
W zamian rozkoszy, co mnie niegodne;
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka.
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca, co było boże.
Tak... nawet miłość, uczuć królowa,
Tutaj świętości swej nie dochowa.
A zawsze bólem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mię ziemskie cierpienie wzmoże,
Z więzów bolesnych wyrwiesz mię, Boże,
Ale już dusza nie będzie młoda,
Już jej przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata
Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

B) Utwory epickie:

1. Urodzony Jan Dęboróg. (1847—1851).

Treścią główną gawędy jest pogodzenie dwu rodów drobno-szlacheckich (Dęborogów i Brochwiczów), poróżnionych o granice swych posiadłości. Pogodzenia tego dokonywa miłość dwojga osób z poważnionych rodzin, oraz wpływ zacnego księdza definitora, umiejącego przemówić nie tyle do rozumu co do serca starego Dęboroga.

Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno
Kiedy ściany domowe gości nie ogarną.
Tam przy matce matrony, tu przy ojcu męże;
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają oręże.
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa, i gości zaprasza;
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie lub miodzie,
Rozpowiada o panu trockim wojewodzie, —
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klienteli, spędził młode lata.
I promienieje starzec, kiedy gwarzyć zacznie.
Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie Rotmistrza — wnet się ojciec zmienia,
I gryzie gniewne wargi — nudzą go przytomni;
Chyba, że ktoś trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, nie bacząc, że mu serce boli,
Odzyskiwa wesołość powoli, powoli.

Raz, widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: co to wszystko znaczy?

Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dlaczego, gdy się gniewa w jednostajnej mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dlaczego, gdy żałuje, dwór omija zdala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam nie pozwala?
Tu się ojciec zapłonił, potem zbladł jak ściana:
„A skądże ta ciekawość? — at, proszę aspana,
„Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
„Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
„Dowiesz się — teraz, błaźnie, zapisz to w swej głowie,
„Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
„Może to prapradziady, mieli z sobą waśnię,
„I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie
„Póty z naszego serca, dopóki wystarczy
„Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
„Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
„Dopóki się Dęboróg z Brochwiczem pobrata;
„A o tamtych zatargach pamięć i nauka
„Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka;
„I chyba który z rodu... at i gadać szkoda!
„Coby to rzekł, mospanie trocki wojewoda,
„Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
„Nie rozumiesz tych rzeczy — więc milczeć, i kwita“.

Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi wąsik na krasnej twarzy;
Czas był do szkoły — ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
— „Proszę aspana, czas wyśmienity,
„Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
„A gdzie się uczyć bez jezuity?
„Minęła wiara i karność stara!
„Po szkołach jakieś nowotne dzieło:
„Nie masz łaciny, nie masz Alwara;[2])
„Równo z Alwarem – wszystko zginęło.
„Ksiądz jezuita niegdyś dobitnie
„Wrażał łacinę i karność w dziecię,
„Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
„I lepiej jakoś było na świecie.
„Przodkowie nasi stąd mieli ducha,
„Stąd wiekopomne tworzyli cuda;
„Dzisiaj bez rózgi moralność krucha,
„Z pijarskich książek łacina chuda.
„Synabym w domu nie trzymał dłużéj,
„Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie;
„Dać do konwiktu[3]) możność nie służy,
„Uczyć przy farze[4]) jakoś nie chce się,
„Zwłaszcza, gdy człowiek z dawna pa- [mięta,
„Że dom nasz bywał w świetniejszym [stanie,
„Byliśmy w szkole między panięta,
„Chłostę na perskim brali dywanie.
„A dziś... mój dziedzic... biada nam, biada!
„Daremno człowiek ratunku szuka,
„Codzień to ciężej ród podupada
„Z ojca na syna, z syna na wnuka.
„Proszę aspana, uczyć się pora,
„Lecz niemasz za co, niemasz wido- [cznie.
„Uproszę księdza definitora,
„Niech bakalarzyć nad tobą pocznie.

[2]) nazwisko autora gramatyki łacińskiej, powszechnie używanej w szkołach jezuickich. [3]) t. j. pensyonatu. [4]) t. j. w szkółce początkowej dla biednych.

„Kształć się w łacinie i świętej wierze,
„Nim pójdziesz do szkół wedle zwycza-
„Może się u mnie grosiwo zbierze [ju —
„I jezuici wrócą do kraju“.

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże.
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie...

Ksiądz definitor był kapłanów wzo-
[rem —
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą;
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy, bywało, zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spo-
[wiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie —
A ojciec mówi: „At, proszę aspana,
„Ksiądz i poczciwy; lecz pożal się Boże,
„Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
„Że o szlacheckim zapomniał honorze...
„Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
„Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
„By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
„Bo już co prawda, to wyznać potrzeba,
„Że jego głowa przemądra, choć stara —
„Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
„A cnoty — chyba od samego nieba;
„Uczony, skromny, pracowity, szczery,
„Czysto jak święty Franciszek Ksawery.
„O! dla młodego taki mistrz nielada,
„Święte w tych rękach boćkowskie na-
[rzędzie:
„Lecz iść i prosić, nie wiem, czy wypada,
„Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie“.
Taka w tym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała rozstrzygnąć ją może.
Więc ujął karty, liczy: tuz, król, kralka...
Z kart wyszło dobrze — idźmy w imię
[boże.

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło
I rzekł: — „Zostań tu, chłopcze, ucz się w imię boże!
„Wszystką miłością w sercu, chlebem, co w komorze,
„I nauką, co w głowie — choć jej tak niewiele,
„Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę!
„Tylko, że widzi waszmość — rzekł do ojca daléj —
„Ja stary, mam narowy, a szlachcice mali
„Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
„Bo dwa grzechy śmiertelne — lenistwo i pychę;
„A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
„Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
„Czy kto ma herb, czy nie ma, braciaśmy po prostu;
„Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chróstu,
„Chłopyśmy i parobki przed bożem obliczem! —
„Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
„Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada;
„W zakrystyi wyręczać kulawego dziada;
„Na polu mnie się nieraz w pracy dopomoże:
„Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże;

„A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
„Z gramatyką łacińską i Wergiliuszem,
„Z konwią mleka i z chlebem — toż to będzie cudnie,
„Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
„Posilając się sobie póki skwaru chwila,
„*Tityre! tu patulae...*[5]) tłómaczyć z Wergila:
„Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą.
„A szlachcic, co ma dzierżeć lud boży pod władzą,
„Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty,
„Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
„A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
„Równiejsze będą skiby“...

Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie;
Tak i z moją nauką — pojętność, pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...

Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę,
Potem dziady grzanego piwka nam przyniosą —
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wziąwszy więcierze, idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch znad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy uniósłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Linneja,[6]) Newtona[7])
I tłómaczy mniej z książki, a więcej z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów miryady?
Co jest grom, błyskawica i śniegi i grady?
Jak się obiega ziemię w żeglarskiej podróży?
Jak się ów ptak nazywa, k'czemu kwiat ten służy? —

Biegły me dni jak w niebie na takiej nauce,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.

---

[5]) początek jednej z sielanek Wergiliusza; znaczy: „Tytyrze, ty pod rozłożystym“ (bukiem). [6]) znakomity botanik szwedzki (1707 † 1778). [7]) wielki astronom i fizyk angielski (1642 † 1727).

Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczepiał mnie z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział, jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach, co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!
— „Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
„Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
„A tarcza z Dęborogiem, wśród chłopstwa wytarta,
„Co kapelusz żydowski, tyle będzie warta.
„Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
„Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
„Staremu trzeba uledz, bo mię zrzędzić zacznie,
„Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
„I folgować swym rękom by znał gmin ciekawy,
„Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy.
„Dłoń szlachcica stworzona dla miecza, nie żniwa,
„Krom rycerskiej zabawy niech wolno spoczywa“.
Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnej rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przede mną:
Tam dla duszy przestronniej i sercu weseléj.
Ojciec to zauważał — więc jednej niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo
I syna wnet zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy.
Już wybiła bolesna godzina podróży.
Ksiądz mię rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem,
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili, aż ku wielkiej sośnie;
Stary *Servus*[8]) zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu. Ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek, gdziem przeżył tak błogo,
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

Gdzie wy, jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klasy
Przylgło, przyrosło na głucho!
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli;
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre nie bardzo cieszy, złe nie bardzo boli...

---

[8]) *servus* = niewolnik, sługa.

Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoją mądrość, księże profesorze?
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnej ławicy.
Kiedy ksiądz matematyk zadania rozbiera,
Lub kiedy ksiądz łacina, mistrz na kazalnicy,
W błoto strąca Buffona,[9]) Russa[10]) i Woltera[11]);
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?
Przysiągłbyś, że to prawda, wychowańcze młody!
Że Pan Bóg księdzowskimi przemawia wyrazy —
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest biało? co czarno? co prosto? co krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie, przygłuszony ostem i pokrywą.

Ot sześć latek przebiegło jakby chwila cicha, —
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze;
Co rok głowa bogatsza, a serce usycha;
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.
A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga;
Składam ojcu świadectwa; dzękuję mi za to,
I mówi, żem dostojen herbu Dęboroga.
W niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha —
Tam gdy gradem mądrości na przytomnych rzucę,
Aż się ojciec raduje i wesół uśmiécha,
Aż się dziady kościelne dziwią mej nauce.
Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrząsa siwą głową — więc ojciec go pyta:
„Nie prawdaż, zacny księże, iż Dęboróg młody
„Skończy szkoły uczony jakby jezuita?“
„Tak – rzecze definitor — zna wszystko potrosze,
„A gdzie niema zdolności, tam pracą okupi:
„Braknie mu jednej rzeczy...“ „A czegóż to, proszę?“
„Mądrości Sokratycznej — poznania, że głupi.
„Lecz z czasem i to przyjdzie — duma zniży rogi,
„Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie.
„Tymczasem daj mi rękę wychowańcze drogi —
„Nie gniewaj się na starca, gdy ci prawdę powie“.

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie,

[9]) sławny naturalista francuski (1707 † 1788). [10]) Jan Jaków Roussean, filozof, socyolog i powieściopisarz francuski (1712 † 1778). [11]) Franciszek Marya Voltaire, filozof, dramatyk, poeta i powieściopisarz francuski (1694 † 1778).

„Słuchaj — rzekł — Janie! nim ci się przetrze
„Jakiś tam zawód na Bożym świecie,
„Dam ci zabawkę, i co się zowie,
„Co nie poniży herbowne dziecko,
„Przez którą starzy Dęborogowie
„Zyskali niegdyś godność szlachecką.
„Bartosz Paprocki w swych herbów zbiorze
„Pisze, skąd nasze godło urasta:
„Jak na Zygmunta Augusta dworze
„Był *quondam*[12]) strzelcem nasz protoplasta;
„(Proszę aspana, dzielny myśliwy
„Na pańskich dworach zawsze jest w cenie).
„Razu jednego znalazł — o dziwy!
„Wrosłe do dębu rogi jelenie.
„Rzecz taka rzadka i niewiadoma!
„Więc gdy ją złożył królowi w darze,
„Król mu szlacheckie nadał dyploma,
„I Dęborogiem nazwać się każe.
„I od tej pory chętka myśliwska
„Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię;
„Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,
„Choć nie senator, venator[13]) przecie.
„Ja sam za młodu strzelałem dużo,
„Świadkiem nieboszczyk trocki wojwoda —
„Dzisiaj mospanie, oczy nie służą,
„A jednak pola zależeć szkoda;
„Więc się chowają, proszę aspana,
„Strzelby i pieski dobre do pola,
„Stara myśliwska szkapa bułana,
„Wojewodzińska trąbka bawola,
„I zasłużona torba borsucza:
„Otóż ta cała strzelcza spuścizna
„Dziś się waścinym rękom porucza;
„Żeś ty Dęboróg, świat niechaj przyzna,
„Mamyć tu przecię las jaki-taki,
„W zatoce kaczek bywają stada,
„W naszych zaroślach skaczą szaraki,
„Czasem z pod żyta wilk się wykrada.
„Będziesz polował, — wy młodzieniaszki
„Winniście wprawiać oko do strzału.
„Otóż...“ lecz dalszą powieść jak z karty
Ojciec już gadał do głuchej ściany:
Bom z podarunku uradowany
Żwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześlad zajęczy;
Konno, to pieszo zwijam się szlakiem;

---

[12]) niegdyś. [13]) venator = myśliwy.

Bułany tętni, a trąba brzęczy,
I strzał po strzale wstrząsa chróśniakiem.

2. Ułas. (1857).

Sielanką bojową nazwał ten utwór Syrokomla Powstał on pod wpływem „Pana Tadeusza". Rzecz się dzieje na Polesiu w czasie wojny r. 1812. Na Czartowskim Ostrowie drobna szlachta długo znajduje bezpieczne schronienie, robiąc z niego wycieczki na nieprzyjaciół. Dopomaga im stary chłop Ułas i jego córka Oksena; dostarczając amunicyi i pożywienia. Nakoniec zdradzeni przez żyda arendarza giną w boju.

W nocy, w odludnej puszczy, dwa ogniska płoną,
Na drzewach smugi światła migają czerwono,
Nad lasem dym kłębami zwija się, majaczy
Co chwila fantastyczniej, co chwila inaczéj.
Ze słupa, co nad lasem roziskrzony dymi,
Piętrzy się smok ognisty lub orzeł olbrzymi,
Wionie skrzydłem na prawo, to znowu na lewo,
Rzuci tysiąc odblasków na pożółkłe drzewo;
Zamigoce na listkach, na badylach ziela,
Spłoszy ze snu ptaszynę i w górę wystrzela.

Z trzaskiem płonie chróst suchy na stosie ogniska,
Coraz nowemi iskry pod niebiosa pryska;
A przy żywym płomieniu, jak gdyby w pożarze,
To czarne, to czerwone migają się twarze.
To szlachta cześnikowska — w niedostępnej głuszy
Warzy strawę wieczorną i odzieże suszy;
Gwarzy o dziennych sprawach, biedzi się lub chwali,
Trąbi sobie w szklanice i luleczki pali.

Stary cześnik Belina, do ziemi przypadłszy,
Długiem, smutnem spojrzeniem na ognisko patrzy;
Ze źrenic nieruchomych, po zoranej twarzy,
Dwie łzy spadły na wąsy — snać boleśnie marzy.
I nie dziw; — stary Ułas wczorajszego rana
Przyniósł smutną wiadomość: że pani kochana,
Po niedługiej, lecz ciężkiej umarła chorobie,
Nawet miejsca w święconym nie znalazłszy grobie;
Że gdzieś w dzikim ostępie wędrówki tułaczéj,
Krzyżyk z jodłowych bierwion jej mogiłę znaczy:
Że się w trumnie zdawała aniołem z postaci,
Że umarła z modlitwą za męża i braci.

Nożem ta wieść przebodła biedne serce męża;
Ale Litwin-Spartańczyk boleść przezwycięża,
By widokiem swych cierpień i łez, co uroni,
Nie osłabił na duchu towarzyszów broni.
Bo każdy z towarzyszów w rycerstwie ochoczem
Miał czego żałować, miał zapłakać po czem:

Temu dom zrabowano, temu dziatwa chora,
Temu w chłodzie jesiennym wypadła obora;
Lecz każdy krzepiąc ducha w braterskiej gromadzie,
Na ołtarz wspólnej sprawy swe boleści kładzie,
Myśl zasługi obraca ku domowej strzesie,
Hardy z ofiar, co poniósł lub jeszcze poniesie.

Och! wiele jeszcze przenieść, wiele jeszcze dożyć,
Wkrótce i własną głowę wypadnie położyć!
Jesień coraz chłodniejsza, las opada z liści,
Ścieśnia się dobre pole wojennych korzyści,
W lasach trudno wojować — trzeba będzie tłumno,
Z wojska regularnego złączyć się kolumną;
A tymczasem głód, zimno lub kula kozacza
Mogą sprawę przyśpieszyć — lecz nikt nie rozpacza.
Każdy radby się chlubić hartem wojownika,
Co do myśli śmiertelnej z rozkoszą przywyka.

Senną głowę złożywszy na torbie borsuczéj,
Pan mostowniczy Kurdesz jakąś piosnkę mruczy;
A opodal, na mokrej trawie rozciągnięty
Śpi suchy i sążnisty szlachcic, pan Walenty;
Pan Wrzosek piecze w ogniu sarninę na rożnie,
Drobny podsędek, Prościa, modli się pobożnie;
A insza szlachta z boku gwarzy i broń czyści,
A wszyscy jeszcze rzeźwi, a wszyscy ogniści.

Pan Baltazar Kapota wstał, pokiwał głową,
Dobył kapciuch skórzany i lulkę piankową
Naładował potężnie, wziął z ogniska głownię,
I na pana Kurdesza spojrzawszy wymownie,
Rzekł: — „Czy wyjdziem na sucho, czy zginiem w tej dziczy,
Na dwoje babka wróży, panie mostowniczy;
A z mojej karkulacyi najwłaściwsza rada,
Że wziąwszy się za strzelbę, rzucić nie wypada!“
— „A jabym z tej kryjówki drapnął pokryjomu,
I powrócił do domu, ale nie mam domu.
Słyszę, jacyś złodzieje podkradli się cicho,
I spalili dwór cały — a bierzże go licho!
Jeszcze sobie potrafię poradzić na świecie:
Żona z dziećmi przy siostrze w Owruckim powiecie,
Mam w trzosie kilka groszy i mam silne ręce,
Popróbuję dalszego szczęścia na wojence“.

Tak powiadał pan Kurdesz: „Widno jak na dłoni,
Albo my ich splażymy, lub nas splażą oni:
W pierwszym razie, uważasz, mospanie Kapoto,
Poleją się honory, posypie się złoto,
A kiedy się fortuny i sławy dorobię,
To nie taki folwarczek odbuduję sobie;
A jeżeli zabiją — no... to się umiera,

W ziemi i w czterech deskach najlepsza kwatera.
Już ja dobrze w mej głowie obliczyłem skutki,
Wiesz co, panie Kapoto? napijmy się wódki!"
— „*Bene dictum!*" — rzekł Prościa, pan podsędek piński,
Który lubił i trochę znał język łaciński: —
I ja waściom pomogę; a czemu? a czemu?
Mówią: kto się w opiekę poda Panu swemu,
Nigdy na tem nie straci, a znowu... od śmierci
Żaden *mortalis homo*[14]) wszak się nie wywierci.
Czyż nie lepiej umierać na polu i z bronią,
Niż w domowej komorze, gdzie łzy baby ronią?
Co na to aspanowie? *qui volet, qui nolet,*[15])
Bierzmy strzelby na plecy, a za pas pistolet,
Tak radzą wszyscy mądrzy — ot *exempli gratia,*[16])
Choćby i nasz pan cześnik!..."
— „Czysta karkulacya!" —
Odpowie pan Kapota, chyląc kielich do dna —
„Tylko widzisz jegomość, sprawa niedogodna:
Odcięli nas od wojska, nic niemasz w folwarku,
Tu nas mogą ogłodzić, a zima na karku,
Będziemy tu siedzieli, podkurczywszy szyję —
Nim słońce dla nas wzejdzie, rosa oczy wyje,
W lesie jak rude myszy poginiemy marnie".
— „A czy tobie nie dosyć, że masz mięso sarnie?" -
Krzyknie chorąży Wrzosek, nasrożywszy minę,
Odskakując od ognia, kędy piekł sarninę; —
„A czy to my niewiasty, czy broń Boże, szewce,
Aby mając grankulki i proch na panewce,
W lesie pełnym zwierzyny z głodu umrzeć żywo,
Albo zginąć od chłodu, kiedy jest krzesiwo?
Wstydź się, panie Kapoto!"
— „Tak! moi panowie!" —
Zawołał pan Jan, dziedzic na Oczeretowie —
„Bać się głodu i chłodu my nie mamy prawa,
Z takimi sprzymierzeńcy, jakich Bóg nam dawa.
Patrzcie, jak wszystko dla nas poświęcić gotowi
Nasi rybacy, strzelcy i chłopi wioskowi!
Kiedy szczęście chybnęło na szlacheckiej szali,
Twardą pierś, bratnią rękę, patrzcie, jak podali,
Przytulili rodziny i dobytki nasze,
Wzięli grunta w opiekę, a trzody na paszę;
Oni idą do miasta, narażając siebie,
Kupują proch i kule ku naszej potrzebie.
Panie Wrzosek, wszak smaczna twoja pieczeń sarnia?
Panie Walenty, słodki sen, co cię ogarnia?
Panie Prościa, dziś w boju usłużyła-ć kulka?

[14]) śmiertelnik. [15]) czy kto chce, czy nie chce. [16]) na przykład.

Panie Kapota, pysznie dymi twoja lulka?
Panie Kurdesz, aż miło po szklance gorzały?
Ucałuj chłopską rękę, bo to chłop zuchwały
Przekradł się przez kozackie pikiety i czaty,
Nie lękał się niewoli lub życia utraty,
Kupił ci twoje zbytki, przeniósł po zdradziecku,
I rozkazał swej córce, bezsilnemu dziecku,
Nieść przez błota, przez lasy ciężar nad jej siły,
Byś miał nabój do strzelby, by twe usta piły.
A gdy ty z jego łaski chylisz czarkę do dna,
Może w tej samej chwili twoja żona głodna
Z czarnej ręki wieśniaczej czarny chleb zajada.
Ani głód, ani zimno, ani żadna zdrada
Nie zagraża ni tobie, ni twojej rodzinie.
Zobaczymy, szlachcicu, kiedy groza minie,
Czy potrafisz chłopkowi wywdzięczyć się szczerze!“
— „Wedle swej kalkulacyi każdy rzeczy bierze,
I często rozumuje jak kulą do płota!“ —
Rzekł ekonom z Brzozówki, Baltazar Kapota: —
„Jaśnie wielmożny panicz biedną szlachtę hasa,
Bo sam polubił córkę starego Ułasa.
Któż się broni wpisywać do takiego cechu?
Cha, cha, cha! z przeproszeniem, ja sam nie bez grzechu;
Ale choćby krzyczała cała Europa,
Nigdy nie karkuluję na uczucie chłopa!“

Pan Jan spojrzał gniewliwie; lecz w tej samej chwili
Żółtą gałąź leszczyny ktoś nad nim uchyli.
Młodzian zerwał się z miejsca zapłoniony cały,
Pochwycił pistolety, co przy nim leżały,
I ruszył szybkim krokiem pod sosnę pochyłą,
I zniknął w ciemnej puszczy, jakby go nie było.
Pan Kapota donośnym śmiechem się zakrztusi:
— „Karkuluję, że dziewczę w zaroślach być musi!
Nie raz i nie sto razy — któż to wszystko zliczy?
I my byliśmy tacy, panie mostowniczy!“

Żyd ziścił swoje groźby. W parę godzin może,
Łoskoty kopyt końskich tętniły na dworze,
Zabrzęczały szablice, zamigały piki,
I krzyk zatrząsł ścianami przeciągły a dziki,
Ktoś jeden głośniej krzyknął, i w tej samej chwili
Kozacy Ułasową chatę otoczyli.
Uradnik wbiegł do chaty, a zanim się wkrada
Postać żyda zuchwała, lubo jeszcze blada, —
I wskazując ku ławie, rzekł głosem pokory:
— „Oto on, jasny panie! jak teraz, to chory,

A jak ludzi zabijać, to on bardzo zdrowy,
Jak ze szlachtą prowadzić konszachty i zmowy,
Jak nosić im do lasu proch, kule i noże,
To on bardzo rozumny — nie dopuszczaj Boże!“
— „Czyś ty Ułas Prochorów? czy to ty, psia wiaro?“ —
Rzekł uradnik szarpnąwszy strzelca odzież starą,
A zwiesiwszy swą głowę po nad samą szyją,
Ściągnął starca przez plecy harapem jak żmiją.
Już powtóre żelazna ręka podniesiona,
Lecz wstrzymał się, odskoczył:
— „Ten człowiek już kona!“

Ale Ułas Prochorów nie miał skonać jeszcze;
Zwinął się, syknął z bólu, przeszły po nim dreszcze,
I do piersi ostatnie przywołując życie,
Spytał spokojnym głosem: — „Za co mię dręczycie?“
— „Nie lękaj się, Ułasie!“ — rzekł kozak łagodnie: —
„Ale cię oskarżają o straszliwe zbrodnie:
Żeś przechowywał w lesie całe szlachty roje,
Żeś jej dostarczał prochy, jadła i napoje,
Że ty znasz jej kryjówki, wiesz, dokąd ucieka, —
A za to straszna kara buntowników czeka.
Możesz być rozstrzelany! Na to jedna rada:
Wskazać kryjówki szlachty natychmiast wypada,
Bo inaczej... rozumiesz... łańcuchy i pletnie“.
— „I bez tego za chwilę Bóg życie mi przetnie!
A tam dla grzesznej duszy sąd będzie łaskawszy,
Jeśli umrę, przysięgi mojej nie złamawszy.
Ja-m przysiągł moim panom na Chrystusa rany,
Że tu wiecznie ich sekret będzie dochowany,
Że nie wydam nikomu i za nic na świecie...
Czyż wy dla mojej duszy potępienia chcecie?
Nie, chociażby przypłacić życiem albo zdrowiem,
Ja wiem kryjówkę szlachty... ale wam nie powiem!...“

— „A co? już się zeznaje, że tu była zdrada!
Weźcie go po swojemu, to więcej wygada;
Pod dobremi pletniami wyśpiewa, jak sądzę,
Gdzie szlachta zachowała srebra i pieniądze.
Każcie go, ale prędko, ochłostać surowie:
Bo jak, broń Boże, skona, to potem nie powie!“

Tak szeptał kozakowi arendarz na ucho,
Ale ten groźnie krzyknął: — „Milcz, niechrzczona jucho!
Biczem wyciągać prawdę!... nie taka godzina:
Uszanuj, niedowiarku, zgon chrześcijanina!
A jeżeli zaprzysiągł — widzę po tej twarzy,
Że się swojej przysięgi złamać nie poważy.
Znaj, że człowiek ochrzczony, co ma Boga w duszy,
Zaklęcia na Chrystusa nigdy nie naruszy.

Ty nas dobrze przywiodłeś, ale już po czasie.
Precz, żydzie! czekaj w sieni! bo on kona, zda się!"

W istocie strasznym kaszlem zakaszlał się chory.
Przestraszona Oksena wybiegła z komory,
Podniosła głowę starca, — ucichnął po chwili,
Tylko piersi chrypiące do oddechu sili,
Coraz ciszej i ciszej... i wzrokiem zatoczy;
Jasną iskrą strzeliły nieprzytomne oczy,
Blask źrenic jakby ciemnym pokrył się ołowiem,
Usta tylko szeptały: „Nie powiem... nie powiem!..."

Kozak rozpiął czamarkę — z piersi odsłonionéj,
Zdjął swój krzyżyk miedziany w Kijowie święcony,
Włożył go w ręce starca — i rzekł głosem brata:
— „Idź, duszo chrześcijańska, w pokoju ze świata!
Poczciwie żyć musiałeś, gdy konasz tak pięknie!"
Rzekł, i u nóg Ułasa pobożnie uklęknie.
A jeszcze ręce starca krzyż święcony gniotą;
Westchnął... Oksena zgadła, że już jest sierotą.
Jęknęła długim jękiem bolesnej rozpaczy,
I uklękła na ziemi... zsunęła się raczéj.
I razem lecą w niebo chyżym lotem ptaka,
Dusza ojca, jęk córki i pacierz kozaka.

Oksena umarłemu rzuca się na szyję,
Kładzie rękę na sercu, może jeszcze bije,
Zaskrzepłe ręce, nogi całuje starcowi...
Kozak skończył modlitwę: — „No! bywajcie zdrowi!
Zbawienie jego duszy!" — i wybiegł do sieni,
Nawet nie zapłakawszy. Oni oswojeni
Z widokiem różnych śmierci... ot może, za chwilę
I samemu wypadnie zaniemieć w mogile!
Ot może, przejeżdżając, kędy gęsta jodła,
Gwizdnie kula nad uchem i powali z siodła.
Wszak-eśmy chrześcijanie — śmierć nie żadne dziwy —
Dusza pójdzie do Boga, a Bóg miłościwy...

Ledwie słów tych domawia — oto wkrąg dąbrowy
Odezwały się krzyki, zagrzmiały podkowy,
Błysnęły ostrzem spisy — kozactwo napada...
— „Karkuluję, że zdrada! mówiłem, że zdrada!
Mówiłem, ufać chłopom, że to sprawa dyabla!
Gdzież moja prochownica? a gdzież moja szabla?..."

Tymczasem sto wystrzałów nad głową gruchnęło,
Szlachta szuka oręża, — ale trudne dzieło,
Bo strzelby nie nabite, bo szable w nieładzie...

Kula trafia w pierś Wrzoska i trupem go kładzie.
Pan komornik broń nabił, zmierzył się na kłodzie,
Chciał palnąć, lecz go spisa tak w plecy ubodzie,
Że aż drzewce grubego złamało się kija;
Pan komornik zajęczał: „Jezus i Maryja!“
Wtem Jan z Oczeretowa, odważny a młody,
Chciał mu bieżeć na pomoc — przez chrósty i kłody
Darł się, co stało siły, ale nim pośpieszył,
Już cios drugi i trzeci komornika przeszył.
I w tejże samej chwili jakby węże z góry
Ponad głową młodzieńca zaświstały sznury;
Nim zdołał poodwijać wszystkie skręty żwawe,
Już go krzepko związawszy rzucono na trawę.
Obok niego przeklina żałosnemi tony
Kopytami końskiemi Walenty stłoczony:
Reszta szlachty w rozsypce. Sam cześnik Belina,
Plecmi wsparłszy się w drzewo, bitwę rozpoczyna:
Dwóch kozaków — ze strzelby dwururnej powali,
Lecz do niego przypadli, strzelbę odebrali,
A on złamany pałasz ściskając we dłoni,
Trzem barczystym kozakom jak Samson się broni;
Za cios każdemu ciosem sprawiedliwym odda,
Znać, że będzie zwalczony, ale się nie podda.

Kozacy nie zgadują, kto im bitwę przerwie:
Pan Baltazar Kapota, za panem w rezerwie,
Przyczaił się w leszczynie... odprowadził kurki,
I już gotów wybuchnąć wystrzałem z dwururki,
Zatrzymał się i lufę na gałęzi kładnie,
I okiem karkuluje, gdzie wymierzyć snadnie; —
Wreszcie wykarkulował... nie w prawo, lecz w lewo...
Tam klęczała Oksena oparta o drzewo.
Tyle dziś miała wrażeń, tak jej serce darto,
Że pogląda na walkę źrenicą otwartą;
Twarz jej zżółkła, zczerniała, — już biedne niebożę
Ani się zarumienić, ani zblednąć może.
A gdy Jaśka-sokoła wiązano we sznury,
Tylko uśmiech w jej twarzy odbił się ponury:
Lecz ani drgnęły oczy, ani łzy jej płyną.
Dojrzał ją pan Kapota: — „A tuś mi, gadzino!
Wprowadziłaś kozaków na drogę najprościéj!
Otóż jest, panie Janie, cel twojej miłości!
Dobrze skarkulowałaś przedać nasze dusze!
Ja zginę, ale pierwej zgubić zdrajcę muszę!“
Skończył — i jednym palcem pociągnął dwa kurki,
Huknęły dwa naboje z dwóch lufek dwururki:
Dziewczę martwe upadło — krwi bryznęła struga,
Jedna z pięknego czoła, a zpod serca druga...
Pan Baltazar ukryty w leszczynowej ciszy,

Za dymem nic nie widzi, za hukiem nie słyszy;
Lecz gdy opadły dymy, gdy ujrzał, że kona:
— „Panie cześniku!“ — rzecze — „już klęska zemszczona!“
Jeszcze nie skończył wołać — gdy kozacka pika
Już mu piersi rozbija, do serca przenika...
Ryknął straszliwym jękiem, pod włócznią się miota,
I skonał krwią zalany Baltazar Kapota.

Jeszcze chwilę bój kipiał, lecz już nie tak srodze.
Szlachta, widząc zabite lub wzięte swe wodze,
Straciła całkiem serce, pozbyła otuchy!
Jeszcze wystrzał niekiedy rozejdzie się głuchy,
Ktoś krzyknie rozpaczliwie — a tych krzyków krocie
Powtarza leśne echo, albo szatan w błocie.
I wespół z jęczącymi jęczy puszcza naga...

A już tętent podkowy coraz się oddala,
Śpiewanie coraz głuchsze, jęk coraz ucicha;
Tylko sosna jak płaczka po umarłych wzdycha,
Tylko dąb kilku liśćmi żółtymi poruszy,
Jak gdyby mówił pacierz za spokój ich duszy.

II. Teofil Lenartowicz.

1. Jak to na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne.
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe, pod błękitem suną.

Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach, i śmiechy, i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie po wrzosie,
I śpiewa miłemu: Pędź, głosie, po rosie.
Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słychać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju —
Jakby jedna dusza była w całym kraju.

Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze —
I sosny roślejsze, i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.

Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się roześmieje tak raźna dziewucha?
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły — oj, tęskno mi do niéj!
Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj Mazur, ja Mazur pomiędzy obcemi,
Zmarnuję ja młodość na nieswojej ziemi.

Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało,
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
Oj, poczerwienione, jak oczy matczyne
Co mnie błogosławiąc patrzyła w dolinę.
Wiatr szumiał po polu, a pszeniczne kłosy
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy.
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
Na gałęziach wrony krakały nademną, —
Sierocemu sercu tak się wydawało,
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie — nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło.
Daremno po drodze patrzyłem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali,
Nie było nikogo — i poszedłem daléj.
I dalej i dalej w świat szeroki, długi —
Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi!

Skrzypki moje, skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też, Mazury, chętnie posłuchajcie.
Wszystko zostawiłem, a wziąłem to jedno,
Od czego wam lica to płoną to bledną,
I włóczę się oto, i tęskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię i łez się napiję.
I tak schodzi zima i za zimą lato —
Boże dopuszczenie — chwała mu i za to!
Zagrajcie, skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
I życie i piosnka dobrze się opłaci,
Jeżeli łzy-perły weźmie z serca braci.

Witajże mi, witaj, kraino kochana,
W boleści, w tęskności — oj dana! oj dana!

2. Wiecznie to samo. (1854).

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą jak kryształ rzeczułką;
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
I słonko przygrzewa w poranek
Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy i cichszy,
W zielonym gaiku przepadnie.
Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościółka,
Z za lasu daleko zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczółka,
Zabrzęczy na kwietnej na błoni;
A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
O! Boże mój drogi — w wiosenny poranek,
Jak wszystko i świeższe i letsze!

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączku rozpuka;
I słucham, jak w lesie pod sosny koroną
Kukułka wciąż kuka i kuka.
Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?...
O, ptaszę ty moje! o, ptaszę ty wieszcze,
I kiedy tam będzie ostatek?...
Już dziesięć, dwadzieścia, i jeszcze wciąż dzwoni,
Za wiele, moja ty ptaszyno. —
— Nie bój się, nie wiele — w ojczystej ustroni
Twe lata jak woda przepłyną.
. . . .

II.

Bławatki, kąkole zbielały od słońca,
Gdzieniegdzie się tylko niebieszczą;

A polne koniki w zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszczą.
Maleńka przepiórka już woła z pod prosa:
Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć, co żywiéj,
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,
To potem się słota sprzeciwi. —
Bóg zapłać, przepiórko, twój głosik kochany
Wesoło przypada mi w ucho;
Pójdź, koso, z komory, pójdź sierpie, ze ściany,
Bo w chacie wieśniaka już krucho.
Pocieszcie się, dzieci, chleb będzie, chleb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar boży;
Matuchna upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy. —
Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
Chłopaki, dziewczęta jak róże;
O! chwałaż ci, Boże, za nowe za latko
Hej, chłopcy, dziewczęta, a nuże!
Brzęk brzęku, brzęk brzęku pośpiesznie a chyłkiem,
Śmiech słychać, spłoszyli zająca.
I oto się bielą nad rannym posiłkiem,
Pod gruszą, co chroni od słońca.
A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe;
A w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził,
Czerwone, niebieskie i białe.

III.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie strurże dziadulo staruszek.
Gdy spojrzę na dziadka, jak z niemi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednako,
To cichą modlitwą źrenica się łzawi,
O! Boże, daj starość mi taką.

IV.

Na polu omglonem, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza wokoło, a gąsiór gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty:
Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu;
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.
Brat w małym ogródku motyką wciąż kopie,

Dziadunio jak struże tak struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.
I jakoś nam błogo, choć chmurno na dworze,
Nam woda do chaty nie leci,
Człek żyje, jak może, i robi, co może,
Dla ojca, dla żony, dla dzieci.

V.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili;
I nie wiem, co milsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?
Nad żonę, co w białej len przędzie świetlicy?
Nad ziemię, co zboże mi rodzi?
Nad gwiazdkę, co w czystej kąpie się krynicy?
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi?
I nie wiem co milsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?
I nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną?
Nad serce poczciwe gorętsze?
Co bardziej smutniejsze nad młodość straconą?
Nad pracę i miłość co świętsze?
Nad krzywdę rodaka co bardziej porusza?
Co lepiej nad kosę uzbraja?
Co prędzej nad wiarę łzy z oczu osusza?
Co więcej nad radość upaja?

Są różni na świecie, są tacy i tacy,
Są dobrzy, niedobrzy — któż nie wie?
Ja o tem nie myślę, co zbywa od pracy,
To spędzam przy dzieciach, przy śpiewie.
To z ojcem, to z dziadkiem, to z dziećmi się bawię
To niby na niczem, tak oto:
Jak teraz gdy stojąc przy zżętej otawie,[1])
Patrzę się na zorzę, na złotą...

2. Wiochna.

Już słoneczko powstało
I przelgąda się w rzece;
Oj na rosę na białą
Polecęż ja, polecę!
Jak to z brzozy płaczącej
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącej
Zwieszają się i cieką.
Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,

[1]) otawa = potraw.

Jakie czyste potoki,
O mój Boże! mój Boże!...
Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się w kółko;
Ja nie jestem jaskółką
A potrafię tak samo.
Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniecę,
Niechno krówki wydoję,
Polecęż ja, polecę!...

Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten śliczny świat stworzył,
Tak cudnie go ozdobił,
Tyle kwiecia rozmnożył. —
I że mnie dał braciszka,
Z którym codzień się pieszczę; —
Pójdę cicho jak myszka,
Zajrzeć, czy też śpi jeszcze. —
Śpi w kolebce; więc daléj
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy uczesać.
A robotaż to nudna
Te warkocze do ziemi,
Plątanina och zmudna,
Tak tam bawić się z niemi...

Kiedy mówią o oczach,
W których ja nic nie widzę,
I o moich warkoczach,
To się tylko nawstydzę.
I skarżą się, mój Boże!
Że mam oczy uroczne...
Może prawda, a może...
Ale cóż ja z tem poczne?...

Mateńka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę.
Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę:
Niech ja na deszcz wyskoczę,
A dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża...

Pająk przędzie, oj przędzie
Swoje szare włókienko;
I ja umiem tak cienko,
I moje też tak będzie. —
Bo przecież ja coś umiem:
Kądziel przędę i pielę,
I na książce rozumiem,
I zaśpiewam w kościele.

Jakem raz na święcone
Ulepiła baranka,
Co miał wełnę kręconą
I klęczące kolanka;
To się bardzo dziwiono,
Bo tak siedział jak żywy,
Jak baranek prawdziwy,
Z chorągiewką czerwoną.

Jak zrobiłam w Trzy króle
Świętą Pannę i Syna,
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule,
I z liliją staruszka,
I z lirenką pastuszka,
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli,
I za głowę się brali,
Matce wierzyć nie chcieli.

A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki
Jak najpiękniej uplotę.
Kwiatki lubię ogniście,
Boże drzewko, lilije
I to, co tak na liście
I na prątki się wije...

Oj nie dobra to córka,
Co się próżno zabawia;
Dalejże do podwórka,
Trzeba ciągnąć żórawia.
Oj! ta, da, da... A cicho! —
Matka będzie się gniewać;
Podkusiło mnie licho,
Chciałam sobie zaśpiewać...

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje,
Zajrzę w wody lusterko,
W niem ja druga się śmieję.
Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi,
To aż wzdryga się oko,
Aż mnie zimno przechodzi.
Nie spotka mnie nic złego,
Choć nad studnią tak stoję;

Nie boję się niczego...
Oho prawda! nie boję?...
Naprzód straszą mnie bąki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy znad łąki
I jałówka, co bodzie.
Potem boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzięczy,
Pijąc wodę z potoku.
Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła, broń Boże!
Z ziemi unieść mnie może
Do białego miesiąca.
Wreszcie trwożą mnie grzmoty
I piorunów trzaskania,
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania.
Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszej bojaźni,
Mnie tam radość przejmuje,
W sercu jeszcze mi raźniéj.
Tak mi rzeźwo, wesoło,
Jak u matki w chałupie; —
Ludzie szepczą wokoło:
Ot cieszy się, bo głupie...
A co mi tam, niech sobie!...
Mnie ogarnia myśl błoga,
Co ja robię?... co robię?...
Raduję się do Boga.
Kiedyć może skowronek
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy,
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłoni,
I spoglądać z radością.

U spowiedzi gdym była,
Ksiądz, co ludzi spowiada,
Mówił: gdybym zgrzeszyła,
Że pokutę mi zada.
Więc umyślnie dlatego
Dziś zgrzeszyłam od rana:
Na stół miodu złotego
Usączyłam ze dzbana.
Niechże zada raz przecie,
Bobym sobie myślała:
Otóż żyłam na świecie;
A pokutym nie znała.

Jako ptaszek na roli,
Prześpiewałam dni płoche,
I nie znałam niedoli; —
Oj! znam-ci ją, znam trochę...
Trzy razym już płakała,
I serdecznie, mój Boże!
Raz gdy babka skonała
W tej tam ciemnej komorze,
A drugi raz gdy w nocy
Ludzie po wsi biegali,
Krzycząc na gwałt pomocy,
Że kościołek się pali!
A trzeci raz, gdy w progi
Przyszedł dziadek pochyły,
Taki oto ubogi,
Ale dobry i miły,
I piosenka zabrzmiała
O Polaku w niewoli.
Wtedym bardzo płakała,
Bo mnie zaraz tu boli.
Całowałam go w rękę,
— Nie smućcie się, dziadulu, —
A łzy żalu i bólu
Upadły mu w lirenkę.

Z za mgły słońce powstało,
Wronka kracze na roli;
Nie wiem, co mi się stało,
Coś mnie smuci, coś boli.
To chce mi się zapłakać,
To mnie pusta myśl łechce
Weselić się i skakać —
I chciałabym i nie chcę.

4. Mazur.

Hej! do tańca, dziewuchy!
Zagraj, dudko Jaśkowa; —
Cóżto, grajku, czyś głuchy,
Co tak siedzisz jak sowa?
Ano! żywo do licha!
Cóżto wam się przydało?
Każdy siedzi a wzdycha —
Czy złe ludzi spętało?

Bartek z boku spoziera,
Łzy rękawem ociera,
A dziewuchy, parobcy —
Jak nie swoi, jak obcy.

Gdy tak Maciek ochoczy,
Każdy przetarł swe oczy,
A Jan stary z za stoła:
Grajże, grajku — zawoła.

Chwycił Józef za basy,
Żwawo smykiem potoczył;
Maciek w taniec wyskoczył,
Ognia dały obcasy.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Cóżto grajko tak smutnie?
Wesołego niech utnie,
Bo mnie na złość kapeli
Jakoś coraz weseléj!
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoły?
Spaliły się stodoły,
Kłopot sobie nie zadam,
Kędy zboże poskładam:
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoły?
Mój majątek dwa doły,
A w onych dołach żona
Z małem dzieckiem złożona...
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Grajże, dudko wesoła!
Toć na mnie nikt nie woła!
Nikt nie czeka stęskniony
W mej chałupie spalonéj...
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Żywa dusza nie żąda,
Próżno człek się ogląda.
Więc tańcuję najszczerzéj,
Jutro pójdę w żołnierzy.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Gdy tak tańczy ochotnie,
Cóżto grajko tak potnie?
Kropla w kroplę przez oczy
Z twarzy grajka się toczy.

Czy się zmachał od grania?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmanem
I coś mruczał i szeptał;
A dziewki się spłakały,
Że skrzypki grać przestały.

Bądźcie zdrowi, wy starzy,
Niechaj Pan Bóg wam darzy!
A gdy skrzypków nie stało,
By się w karczmie hulało,
Śpiewam sobie: Oj dana,
Doloż moja kochana!

5. Do mojego grajka.

Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
A basista nie najgorzéj;
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi!

Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami — jedna, druga,
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci:
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę.
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą;

Bo to dziewczę pozna żywo,
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo,
Zabłąkane nuty chwyta;
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...

Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina!
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchnu ano wkoło,
Potem raźno na odsiébkę —
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby wkoło —
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami jako mogą
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą źrebce,
Dziecko śmieje się w kolebce;
Kędy spojrzeć, radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu na wysokim,
Przegląda się jednem okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Niewiedząca, co się dzieje;
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Po lipowym starym moście
Na wesele jadą goście.
Jedzie matka dobra wola,
Aż się złocą od niej pola.
Bywaj z nami, wieśniakami,
Stara matko, bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeśli nie my, ludzie prości?

Danaż moja dana, dana,
Od wieczora aż do rana.
Grajże, grajku, bo daremno,
A ty, Baśko, kręć się zemną.
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze;
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze, to wygrzmoci.

Zagrajże mi, grajku, proszę,
Wysypię ci w skrzypkę grosze.
Więc i dziewczę, szczere licho,
Podśpiewuje jeszcze cicho:
Grajże, grajku, będziesz w niebie.
A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi;
Po weselu cicho wszędy,
Tylko kogut frunął z grzędy,
I na śpiących snem głębokim
Ogląda się jednem okiem.

6. Dzionek na wsi.

Raniusieńko, jak zorze,
Słychać ptaków śpiewania —
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania.

Każde przy swej robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa a śpiewa,
Żołna lasy rozsiewa.

Przyśpiewują na głosy
To wywilgi, to kosy:
A człek myśli, że w raju,
A on w kraju, o! w kraju.

Na zachodzie pogoda,
W jasnem niebie wesele —
Dał Bóg ludziom oj! wiele,
Może jeszcze co doda.

Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki —
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:

Dylu dylu od ucha!
Kto ma uszy, niech słucha.

Szumią lasy, hej! lasy,
A w karczemce grzmią basy:
Kiedy skakać, to skaczą,
A jak płakać, to płaczą.

Ot i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele:
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele —

I za wszystko, co miłe,
I za wszystko, co boli —
W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli!

7. Zachwycenie[1]).

Matulu moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą.
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki —
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potem widziałam przeróżne kwiatki,
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebo powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza Panna?

— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe.
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnéj,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami;
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest też jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniej, jeszcze weseléj.
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

---

[1]) Letarg nazywają u nas zachwyceniem, w ciągu którego dusza człowieka ma sobie odkrytą przyszłość, ogląda niebo i piekło; ale jej o tem mówić po ocknięciu się nie wolno, chyba przed istotami niewinnemi, jakiemi są małe dzieci. Wedle podania ludu, każdy, który był w letargu, wie godzinę swojej śmierci, i na to tylko ma sobie przedłużone swoje życie, ażeby się do wieczności przygotował. *Przypisek autora.*

— Tam, gdzie się uczą ptaszkowie leśni,
I nasi ludzie — w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożéj...
— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy Bożej męce?
— O! widać wszystko, gdzie się kto ru-
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy! [szy,
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną;
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.
— Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?
— Potem widziałam, strasznej wielko-
Dwóch archaniołów stało w jasności, [ści
Trzymając wielką księgę otwartą;
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owej księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie.
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko. —
— Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?
— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą
Tyle aniołów na skrzydłach lata, [świata
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed o-
Tylko z promieni, co stamtąd lecą, [kiem.
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże. —
— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Bodaj tam miesiąc, o! moje dziécię,
Iść tam potrzeba przez całe życie.
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.
— Toście wy dużo, matko, widzieli,
I pewnie byście wrócić tam chcieli:
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga. —
— O! ty zostaniesz, małe pacholę,
Bo któżby gąski wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody?
Krasiatą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak, moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę...
— Ej, co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie...

III. Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).

1. Tęsknota. (1854).

Choć tęskność nieraz duchem ludzkim miota,
On jej znaczenie z trudnością wysłowi.
I ja podległszy nieraz jej wpływowi,
Pytałam jednak: czemże jest tęsknota?
Przeszłej jesieni wracałam z wieczora,
Z uczty odbytej wśród przyjaciół koła,

Te kilka godzin spędziłam wśród kwiatów,
Wśród grzmiących pląsów i hucznych wiwatów,
Lecz do wesela myśl nie zawsze skora;
I ja wychodząc, — nie byłam wesoła.

Jak łódź na pozór błądzi bez żeglarza,
Lecz ma kierunek, bo wiatr przy jej sterze,
Tak ja w marzeniu nie wiedząc, gdzie zmierzę,
Za żaglem przeczuć, doszłam wrót cmentarza.

Świat jeszcze nosił szatę świata białą;
Wśród krwawych błysków, wśród omdlałych zmroków,
Na pozłacanym ołtarzu z obłoków,
Święte ognisko już dogorywało.
Przedemną smutno czerniała mogiła,
I smutnym świat był; — jam smutną nie była.
— Pod łzawą wierzbą, na posłaniu z darni
Siadłam, wśród krzyżów zdobnych w cierni zwoje.
Im było ciszej, im w gęstwinie czarniéj,
Tem we mnie żywsze wrzały niepokoje.
I wciąż pytałam, błędnie patrząc wkoło:
Jestżem ja smutną? — jestżem ja wesołą?
— Ten chłód jesienny, — te pożółkłe liście,
W których się z wichrem puszczyki trzepocą,
Wszystko świat dumań otwierało mgliście.
„Ach! zawołałam, — istność nasza blada
„To nieprzerwany bój życia ze zgonem,
„Tak długi, smętny, jak walka dnia z nocą;
„W pasmie dni, ciągłą jesienią zamglonem,
„Gdzie z każdą chwilą liść złudzeń opada“.

Widząc lot ptaków w przestworzu dalekiem,
Bieg chmur nad ziemią, — powiew traw przy ziemi,
„Czemuż — wołałam, — nie mogę być niemi?
„Lepiej czemkolwiek być, niż być człowiekiem.
„Lecz nie: — i ptak jest przez strzelców ścigany,
„Kosa tnie trawę, — piorun mieszka w chmurze,
„Wszystko umiera i cierpi w naturze;
„Więc i tej w losie już nie pragnę zmiany. —
— „Oto wybłysła pierwsza gwiazda w niebie,
„Jakby pochodnia przy ziemi pogrzebie!
„Ach! chociaż gwiazdy są blade i drżące,
„Może się szczęście nie rozstało z niemi?
„Czemuż mię od nich dzielą sfer tysiące?
„Lepiej gdziekolwiek żyć, niż żyć na ziemi!
„Choć świat pozornie stroi się spokojem,
„Mnie w jego piersiach brzmią stłumione żale...
„Ty tylko jeden, mglisty ideale,
„Tyś mą ucieczką, pocieszeniem mojem!
— „Tak: — przecież kiedyś w twej mrocznej krainie,

„Będziem się mogli jeszcze ujrzeć zbliska!
„Wszak świat straconą swą jedność odzyska,
„I człowiek wstąpi w tajemnic świątynię!“
Tak rozdrażniona w kołyskowym ruchu,
Kiedym spostrzegła jeszcze, wśród podziwu,
Że to zdraźnienie rosło niepojęcie,
Wtedy wyrzekłam gorące zaklęcie:
„Duchu! — tak duchu! — bo tylko duch zdoła,
„Mocą wpół-światłą, wpół ciemną,
„Zrządzić, żem razem smutna i wesoła; —
„Ktokolwiek jesteś, — o duchu!
„Jeśli masz postać, — ukaż się przedemną,
„Niech wiem, czyjego doznawałam wpływu!“
Na to wyzwanie, mogiła
Pierwszy cień nocy rzuciła.
Cień padł na cierniów korony;
Jak smutek uwidomiony,
— Lecz i zachód w tejże chwili,
Ostatnim promieniem strzela;
Promień na ziemię się chyli,
Jak świetlana skroń wesela!
I strzał dnia, — i cień mogiły,
Spotkały się — i przeszyły.
I z ich wspólnego odbicia,
W uśmiech zdobna, łzą zamglona,
Postać z kształty niewidnemi,
Nad której złudnym obrazem,
Na chorągwi z chmur i złota
Powiewał napis: Tęsknota
Mdlejąc, chwiejąc się w przestrzeni,
Wstała; — a nie była ona
Ani z świateł, — ani z cieni,
Ani z śmierci, — ani z życia,
Ani z nieba, — ani z ziemi,
Lecz z nich wszystkich razem.

2. Sobieski pod Wiedniem. (1894).

Jest to poemat na wielką zamierzony skalę. Dotychczas wyszedł tylko tom pierwszy, obejmujący trzy pieśni (Kraków, 1894). W pismach peryodycznych i zbiorze poezyi p. t. „Młoda Polska“ były ogłoszone niektóre pieśni dalsze. Autorka trzyma się w opowiadaniu swojem porządku chronologicznego w rozwoju wypadków dziejowych, ale wprowadza także i żywioł nadziemski w postaci Anioła Polski, opiekującego się losami kraju i jego króla. Podajemy tu wyjątki z pieśni IV, malującej społeczeństwo wiedeńskie w czasie oblężenia, w szczególności zaś towarzystwo, w którem się znajduje Jerzy Kulczycki, pragnący pozyskać względy aptekarzówny Urszuli; oraz z pieśni XII, gdzie przed pamięcią Sobieskiego przesuwają się wspomnienia z czasów dawniejszych, dające mu otuchę, że i teraz w przededniu wielkiej walki z wrogiem chrześciaństwa, Bóg mu dopomoże i dobrej sprawy nie opuści. Kunsztowna strofa 10-

wierszowa po raz pierwszy chyba została w poezyi naszej wprowadzona przez Deotymę; posługuje się nią poetka z wielką swobodą zarówno w opowiadaniu wypadków potocznych, powszednich, jak i w scenach podniosłych.

Funty straciwszy a łut zarobiwszy,
Na życiu biednem i awanturniczem,
Nigdy on jednak nie wątpił o niczem,
Gdyż był to człowiek od pawia chełpliwszy.
A że się ludziom podobał ów śmiałek,
Za złe mu nawet nie brano przechwałek.
Rzecz dziwna! wszyscy do niego tak lgnęli,
Jak ta pijawka, co w oknie się kula.
Zatem rzekł sobie: — „Niech Waść okiem strzeli,
„Przylgnie i panna Urszula“.

Wprawdzie jej ojciec go ściął bez ogródki:
— „Panie szlachcicu! wysoko ja cenię
„Twą szablę długą i język nie krótki,
„Aleć ta szabla — to całe twe mienie?
„Przytem, i latka nie bardzo masz młode.
„Wiedeń ci winien, jak mówisz, nagrodę?
„Prawda! lecz nie wiem, czy jej się doczekasz,
„A pókiś goły, nie zyskasz nic u mnie“.
Tak po przyjaźni doń mówił Aptekarz,
I mówił dosyć rozumnie.

Inny wydała sąd — Aptekarzówna.
— „Ach, oprócz ciebie, nikogo na świecie!“
I zaręczyli się wczoraj w sekrecie.
A on uwierzył, że to jest rzecz główna,
I że kto pannę, kto wszystkich pod słońcem,
Umiał zwojować, ten ba! koniec końcem,
Będzie i ojca po woli miał swojéj.
Stąd dziś już, próżen obawy wszelakiéj,
Do cudnej buzi palił koperczaki,
Jak narzeczonym przystoi.

Pięknie wieść musiał swą rzecz, bowiem ona,
Włożywszy ręce w kieszonki szlarkowe,
Stała pod czarem, wsłuchana, wpatrzona.
On zaś tym zwrotem zamykał przemowę:
— „Złotą ja przyszłość dam pannie Urszuli.
„Jeśli są ludzie na zasługę czuli,
„To do fortuny mam pole otwarte,
„Boć ja tak dziwne tryumfy odniosłem,
„Jak ów Spartakus, co założył Spartę,
„I do Kartagi był posłem“.

— „Ach tak!“ — szepnęła — ach tak, panie Jerzy,
„Świat cię oceni jeszcze sprawiedliwie.
„Tyś jest bohater! Ja przytem się dziwię,
„Skąd ty znasz wszystko? jaki kraj gdzie leży?

„Jakie w nim żyły Daryusze i Dyany?
„Wszystko to widzisz, jakby świat był szklany.
„A wiem od mego maluśkiego palca,
„Że są i serca dla ciebie przezrocze...
„Lecz co to? Boże! tam grają gdzieś walca?
„Ach, ja ze skóry wyskoczę!

„Patrz... po tej stronie, jak ulica długa,
„Tak od głów czarno... a śpiewy! a skrzypce!
„Skąd? czyby Turcy już byli w rozsypce?
„A tam... kto jedzie? to Johann, twój sługa!“
— Kulczycki patrzył, i marszczył się srogo.
— „Prawda“ — przyświadczył. — „No proszę ja kogo,
„Takie honory dla takiego chama!
„Cóżby dopiero mnie się należało?“
— „Tobie?“ — westchnęła tryumfalna brama,
„To jeszcze byłoby mało!“

W chmurnej oboje czekali postawie,
Wszakże gdy Jaśko zeskoczył do pana,
Gdy jak należy ścisnął mu kolana,
Pan go poklepał po plecach łaskawie,
I rzeczy z gładkiem wysłuchawszy czołem,
Rzekł: — no, wart jesteś być moim pachołem.
„Ph! jaki ciekun[1])! a jakie siądzenie!
„Bogiem a prawdą, co ci po tym łupie?
„Bedew,[2]) rzecz pańska. Niechno się ożenię,
„To ci go zaraz odkupię“.

— „Jakże to będzie?“ — rzekł Jaś pełen troski.
„Ja se ślubował dziś rano, w złym czasie,
„Że na tym koniu wrócę na Podlasie;
„I ofiaruję ten zięd Matce Boskiéj“.
— „Ha! to go trzymaj!“ — pan ozwie się z żalem.
„Już ja tam niebu nie będę rywalem,
„Tylko go szanuj, bo to konik złoty!
„Postaw go z moim kasztanem u żłobu,
„I syp mój owies. Wystarczy dla obu“.
— Takiej to pan był szczodroty.

— Już się żegnano, już biła dwunasta.
Prawda, że teraz, godzina obiednia
Skąpe rozkosze miewała dla Wiednia,
Tłum jednak topniał na wsze strony miasta,
I każdy zdążał do swego komina,
Choć jego dymek był jak pajęczyna.
— Grzegorz Pahr tylko znalazł niedaleki
A suty obiad, bo szczęśliwym losem,
Paulus go dojrzał, wciągnął do apteki,
Ściskał i mówił półgłosem:

[1]) ciekun = prędko biegający. [2]) dzielny rumak.

— Śliczna wątróbka! dziękuję ci za nią.
„Ach, a te flaki? to prawie jak w darze.
„Tylko przyjaciel sprzedaje tak tanio.
„Siądźże dziś ze mną do stołu, mój Pahrze,
„Choć raz użyjmy, jest gar pełen grochu,
„I mlecznej zupy znajdzie się potrochu,
„Nakoniec będzie ta pyszna wątroba.
„I ty Herr Dolmecz, mój dobry sąsiedzie,
„Kiedy już jesteś, zostań na obiedzie“.
— I owszem, zostali oba.

Wprzód jednak rzeźnik przezorną dał radę:
„Jeśli jeść mamy, to nie od ulicy,
„Bo niech podpatrzą nas tu zazdrośnicy,
„To zaczną krzyczeć na zbytki, na zdradę.
„Szyby wybiją sąsiedzi miluchni“.
— Więc trzej mężowie szli chyłkiem do kuchni.
W pomrocznym kącie obsiedli półmisek,
I głód sycili, pilnując się wielce,
Aby nie dzwonić w misy ni widelce.
Obiad szedł cicho jak spisek.

Panna Urszula, wyborna kucharka,
Służyła mężom, patrząc w ich oblicza,
Zgadując chęci, to znowuż do garka,
Składała reszty dla Michałowicza.
Lecz ten nie śpieszył, on wolał w stajence,
Oglądać swoje zdobycze książęce.
Tarł konia, poił, częstował przy żłobie,
Dziwił się jego arabskiej dobroci.
Aż przykucnąwszy, i sam zaczął sobie
Nadgryzać swój pasztet koci.

Póki jadł, póty miał jeszcze pół głowy.
Lecz gdy odetkał flaszę Voeslauera,
Wnet z niej wyskoczył ten dyablik pąsowy,
Co i wyspanym przytomność odbiera;
Cóż ma dopiero za moc w niewywczasie!
Chłop nie mógł nawet powiedzieć: „a zasię!“
Jakieś chochlików nasenne czeredy
Zeszły go, pstremi obmotały nitki;
Runął i usnął, sam nie wiedział kiedy.
Lecz stękał, bo sen miał brzydki.

Śnił, że jest w Turcyi, że płynie Bosforem,
Aż tu paf, burza, pioruny ze grzmotem,
Szum, koniec świata!... Zdało mu się potem,
Że pan go woła, i że Pahr z toporem
Stoi tuż nad nim, i krzyczy, i macha.
Tu strach go nasiadł. By odpędzić stracha,
Cały się mrucząc odwrócił do ściany.

Pomogło! gromy uciekły w błękity,
Na morzach marzeń opadły bałwany,
I odtąd spał jak zabity.
Jednak te gromy nie były złudnemi.
Tylko że piorun, bijący na jawie,
Ród swój wywodził nie z nieba, lecz z ziemi.
A rzecz tak poszła: po trzeciej potrawie,
Już w kuchni bankiet zakończył się wielki.
Polak przemawiał, trącając w kufelki:
— „Bóg zapłać, bracie-serdeńko, twa córka,
„Jak Semiramis nas dziś uraczyła.
„Przecie brzuch pełen, a i to rzecz miła,
„Że jakoś cicho od Turka".
— „Prawda — rzekł Moritz — choć uszy odpoczną!"
Lecz na to rzeźnik: — tak, cieszcie się oba!
„Mnie się ta właśnie cichość nie podoba.
„Jam zauważył taką rzecz wyroczną,
„Że ile razy ma być figiel nowy,
„To zaprzestają armatniej rozmowy.
„Chcą pewnie uśpić strach i czujność naszą".
— „E, — krzyknie wąsal — przy dobrej wiwendzie,
„To mnie tam żadne ich figle nie straszą.
„Wierzcie mi, jakoś to będzie".
Jeszcze nie skończył, gdy mury zadrżały —
Stół zadygotał — szkło z okna wypada —
I huk, pocięty na setne wystrzały,
Ryknął w niebiosa. To nie kanonada,
To coś gorszego... znów huk, świat się wali...
Znów! trzej mężowie jak jeden powstali.
— „Mina! — wołają. — To mina wybucha!"
— Panna się czepia swojego rycerza.
Ten wpół ją objął, coś szepcze do ucha —
Płaczącą ojcu powierza.
Lecz ojciec krzyczy: — „Nie marudź mi, córko!
„Przynoś narzędzia, zapakuj bandaże!
„I mnie tam przecie mój zawód iść każe".
— A pan Kulczycki już wpadł na podwórko.
— „Jaś, dawaj strzelbę! gdzież jesteś, wałkoniu!"
— „Jest! — woła rzeźnik. — Tu leży, przy koniu,
„Lecz go się nijak dobudzić nie mogę.
„Zbiła go podróż, i ta, i poprzednia.
„A niech śpi! Dość on już zrobił dla Wiednia.
„Słyszysz dzwon? Amen! i w drogę!"

. . . .

(Anioł Polski, zesłany przez Boga, idzie do obozu Sobieskiego pod Wiedniem, by mu przynieść pociechę).

Idzie, — podobny do świetlanej smugi —
Staje przy królu, — pociesza go cicho.

Nie przypomina mu żadnej zasługi,
(Takie wspomnienie zawsze grozi pychą),
Lecz mu w pamięci rozjaśnia zagadki,
Różne prorocze i tajne wypadki
Z jego przeszłości. Te, nakształt półsłówek,
Ręczą za przyszłość. A jest ich niemało
Szczęśliwe czoło, nad którem jaśniało
Tyle opatrznych wskazówek!

Już od kolebki świta cud po cudzie.
Wszystkie w obrazach stają przed Sobieskim.
— Kiedy się rodził, nad zamkiem oleskim
Szalała burza. Najstarsi tam ludzie
Nie pamiętali takiej nawałnicy.
Od bicia gromów głuchli domownicy.
(W matce się tylko nie zalękła dusza).
Pytano: „Cóż to za znak w firmamencie?
„Co za istota, na której przyjęcie
„Niebo się z posad porusza?“

Potem, coś jeszcze większego nastało:
Dziecię na stole kamiennym złożono,
Płyta marmuru huknęła jak działo
I pękła. — Znowu na domowe grono
Padł wielki popłoch. Lecz teorbanista
Nadszedł i mówił: „Nie, — to-ż oczywista
„Zapowiedź sławy! Gdy zostanie duże,
„To dziecko takie powyrabia rzeczy,
„Co same z siebie, bez ręki człowieczéj,
„Będą się ryły w marmurze“.

Wkrótce też potem rzecz niezrozumiała
Zaszła w Krakowie, gdzie braterska parka,
Do Akademii na studya zjechała.
Tęgi był uczeń ze starszego Marka,
Ale i Jasio, choć dwunastoletni,
Uczył się świetnie; a czego najświetniéj,
To retoryki, bo w niej mu był mistrzem
Człowiek wyborny, ksiądz Michał Dąbrowski,
Świadom i ludzkiej mądrości i boskiéj,
Pół-anioł z sercem najczystszem.

Raz się zapalił przy lekcyi wymowy,
Giestykulował tak pięknie i śmiało,
Że biret zjeżdżał, aż i spadł mu z głowy.
Nikt się nie ruszył. Kilku chichotało.
— Tylko Jaś, pchnięty kawalerskim duchem,
Skoczył, i pełnym rewerencyi ruchem
Podniósłszy, oddał. Przycichli słuchacze.
A ksiądz, proroczem przejrzeniem natchniony,

Wyrzekł: „Nie umrę, póki nie zobaczę
„Na twojej głowie korony“.

. . . .

(Ksiądz Dąbrowski doczekał tej chwili, a król odwiedzając go przed wyprawą, posłyszał znowu przepowiednię zwycięstwa, którą uważał za pewną, gdy pierwsza się spełniła. Potem przypomina sobie wypadek podczas łowów w Krasnopuszczy, kiedy jeszcze był hetmanem).

Tam stał pan hetman pod „Bracką pasieką,“
Mały kozaczek Sawa, niedaleko
Czając się, broń mu podawał.

Zwierza nie brakło. Dobrze szła naganka.
Ale dnia tego miał ciągłe ferały.
Próżno rogacze w gałęziach furkały,
Próżno i niedźwiedź mignął. Od poranka
Nic nie ubijał, nic tylko drobiazgi.
— Nakoniec, łomot... sypnęły się drzazgi...
Prosto na niego wali czarna bryła.
Strzelił. Dzik upadł. Dobrze celowano.
Kozak do rogu, — już głosi wygraną.
Zawcześnie! Bestya ożyła.

I hyc! wąwozem pomyka. Pan za nią.
Kozak za panem bieży, lecz w omroczu
I krętych dołach utraca go z oczu.
Bo też Hetmana chyba ptak dogoni.
Raz już w myśliwskim rozpędzony szale,
Skacze zawrotnie i zapamiętale,
Chociaż z wąwozu nie łatwy gościniec;
W śniegu się tonie jak w puchatej wełnie.
A coraz dalej przeklęty odyniec.
Oho! Już przepadł zupełnie.

Stanął. Pustkowie. Oprócz kordelasu,
Nic nie ma w ręku. Czem tu dać sygnały?
Róg i guldynka z kozaczkiem zostały.
Huknął co siły. Ale nikt mu z lasu
Nie odpowiada. Widać, że pogonie
Zmylone w innej szukają go stronie.
— Na gwałt się zmierzcha. Śnieg pruszyć zaczyna.
Już ta zadymka do rana nie puści.
Trzeba koniecznie wyjść z owej czeluści.
A to fatalna godzina!

Kopnął się w górę i wyszedł z parowu.
Jakaś dolinka. W ciemnościach, na prawo,
Przez mżącą wilgoć miga czerwonawo
Drobne światełko. — No, a toż co znowu?
Jeleń się wyrwał, zpod nóg jego prawie.
Stanął, popatrzył na niego łaskawie,
I pobiegł, szyją wywijając gibką,

Jakby go prosił za sobą. Zjawisko!
— Więc Hetman poszedł. Widzi chatkę niską,
Z owem' światełkiem za szybką.

Jeleń się schyla, koniuszkami rogu
We drzwi uderza. Skoczyła zaszczepka,
I pokazuje się jasna izdebka,
Światłem łuczywa drgająca. Na progu
Stoi pustelnik, wspaniały urodą,
W ciemnym habicie, z białą po pas brodą.
— Hetman uchylił czapeczki bobrowéj,
Pozdrowił starca kilkoma ukłony.
Widząc, że stoi bez ruchu ni mowy, —
„Niech będzie“ rzekł „pochwalony“.

Anachoreta powoli odrzecze:
„Na wieki wieków sława Panu Bogu,
„I tobie sława na wieki“. — „Człowiecze“,
Zawoła Hetman, cofając się z progu,
„Nie bluźnij Panu. Tylko Jego sława
„Trwa na wiek wieków, — nigdy nie ustawa, —
„Ludzie, znikomi — sława ich znikoma“...
. . . .

A gość w kąciku runął na posłanie
Ze mchu miękkiego i pachnących ziółek.
Nigdy pod pańskim swoim pawilonem
Nie usnął z sercem równie ukojonem,
Jak pod tym daszkiem biednego eremu.
Sen miał przepyszny: w takiej-że postawie,
W jakiej pustelnik widział go na jawie,
Odnalazł się po sennemu.

Żadnych cudownych nie brakło mu znamion.
U głowy dźwigał taki jasny dyadem,
Że dzień szedł za nim promienistym śladem.
— Trzy gwiazdy z przodu, dwie gwiazdy u ramion,
Tak się srebrnymi promieńmi stykały,
Że mu na piersiach tworzyły krzyż biały.
— Rękę do nieba wyciągnął radośnie,
Zdjął z niego księżyc jak szklaną podkowę,
Z łatwością złamał i usłyszał mowę:
„Już on się nigdy nie zrośnie“.

Szedł, — (chociaż ciężko mu było w dyademie).
Gdziekolwiek stąpił, tam krzyże bez końca,
Jak las wysoki porastały ziemię.
I głos wyleciał od zachodu słońca:
„Biały krzyż idzie! Krucyata! Krucyata!
„Chrystus odzyska panowanie świata!“
— Potem usłyszał jakiś huk daleki,

Szum orłów, brzęki rozłamanych oków,
Głosy narodów i przyszłych proroków:
„Sława ci, królu, na wieki!“

Gdy rozwarł oczy, już bielała zorza.
Za skroń się schwycił, jakby tajemniczy
Dyadem jej ciężył, i wyskoczył z łoża.
— We drzwiach był natłok: Jarchowski leśniczy,
Kozaczek, strzelcy, wszyscy potrwożeni
Zginieniem pana, cisnęli się w sieni.
— „Ojczulu, ze mną! W drodze wam opowiem,
„Co myślę zrobić“. — Wychodzą i gwarzą.
— Już znikli. — Chatka została pustkowiem,
Pod wierną jelonka strażą.

Lecz rok nie minął, a w pustelni cichéj,
Pan Hetman stawiał kościół i monaster.
Osiadły w puszczy bazyliańskie mnichy,
Jak pszczoły słodki budujące plaster.
Gedeon rządził duszo-nośnym ulem.
— W dziesięć lat później, pan Hetman był królem.
Grunt im darował, wystroił ich mury,
Dał ikonostas przesławnie bogaty,
Co Włochów dziwi cudnemi piktury,
I dzwon z chocimskiej armaty.

Cóż? Czy nie dziwna przygoda myśliwska?
A toż zupełnie jakby słuchać baśni.
I wszystko dotąd sprawdza się najjaśniéj:
Wziął już ow dyadem (co mu skroń uciska),
Wziął krzyż, jak niegdyś Krzyżowce go brały,
(Lecz nie czerwony, tylko czystszy, biały,
Bo tak sen kazał). Stanęła krucyata.
Już teraz tylko niech księżyc przełamie,
A krzyż odzyska panowanie świata.
— „Wzmocnij-że, Chryste, me ramię!

„Wzmocnisz! Wszak oto po drodze do Wiednia,
„Znowu zsyłałeś fortunne sygnały?
„Primo: ów orzeł, co jakby straż przednia
„Jechał przed wojskiem. Prognostyk wspaniały.
„(Jeszcze Rzymianie tak augurowali:
„Orzeł: zwycięstwo). — Secundo: nie daléj
„Jak wczoraj wieszczba ważniejsza od ptaków,
„Obraz i owo anielskie pisanie,
„Choćby nie było żadnych innych znaków,
„Ten jeden za wszystkie stanie“.

Tak wśród obietnic niebieskiej pomocy
Zwolna się w Janie myśl uspokajała
I rosło serce...

. . . .

Zagadka wdzięków! Kleopatra nowa![2])
Jej włos figluje w zaczepne kędziorki.
Przy ustach dołki, gniazda na Amorki.
Ręka głaszcząca, do berła toczona.
Oko przemądre, gdzie zechce, zwycięża.
Czasem ukryty u śnieżnego łona,
Gniew mignie jak centka węża.

Maryo Kazimiro! Cokolwiek sąd świata
Wyrzekł o tobie, niech ci będą dzięki
Za te dni słodkie, nektarowe lata,
Które bohater wychylał z twej ręki,
Perły, w cypryjskiej roztopione czarze.
— Niech co chcą mówią chmurni kronikarze,
Miłość za tobą świadectwo przesyła:
— Musiała w duszy bogate mieć wiano
Zdumiewająca istota, co była
Tak przepaściście kochaną.

Umaczał pióro. Zaraz cichuteńko
Serce w nim gada, a list jakby echo
Gra: „Najśliczniejsza moja Marysieńko,
„Jedyna duszy i serca pociecho!“
— Tak zawiązawszy kokardę nagłówka,
Wysnuwa szarfą przecudowne słówka,
Pas myśli krasnych jak urobion w Słucku,
A wszystko białą podszyte prostotą.
— Sam Anioł patrząc na tę kartkę złotą,
Uśmiechnął się wpół po ludzku.

Pięknym jest rycerz, gdy ręką stalową
Przez grad kartaczy, w dymiącym tumanie,
Zdobyty sztandar unosi nad głową,
— Pięknym jest rycerz, gdy na sztucznym planie,
Dwie armie zbliża niby pion do pionu,
— Pięknym jest rycerz, gdy z murów bastyonu,
Jak orzeł z gniazda wychylon, uderza
Bronią i okiem i duszą na wdzierce,
— Lecz najpiękniejszym, gdy mu zpod pancerza
Przegląda bijące serce!

---

[2]) Mowa tu o żonie króla Jana, do której pisał on właśnie list swój serdeczny.



IV. Leonard Sowiński.

1. Z życia. (1860).

Ideą główną poematu, w formie dramatycznej napisanego, było budzenie do czynu w zakresie spraw społecznych. Przedstawiciel nauki abstrakcyjnej, nie związanej z życiem, Omega, pokutuje za pychę rozumu w szpitalu obłąkanych, a Ugo, jego uczeń, dopiero przez bezpośrednie zetknięcie się z wynikami drogi, jaką postępował, przekonywa się o jej błędności, porzuca sfery oderwane i wspiera ziemskie działania Ludmira, reprezentanta mas i czynu społecznego. W czynie tym bierze udział poeta Henryk, wzgardziwszy gruchaniem miłosnem i niewieścimi wdziękami. Natomiast ginie w obłąkaniu Adam, dusza czuła, rzewna, oddana miłości jedynie, nie pojmująca ani energii Ludmira, ani uniesień Henryka. Najsłabiej przedstawiona została kobieta, Ewa, zmienna i z nader różnorodnych pierwiastków złożona wietrznica, która stała się przyczyną zgonu Adama, a w końcu rzuca kwiaty na bohaterów odrodzenia narodowego i płonie rumieńcem na wspomnienie Henryka. Rzecz dzieje się we Włoszech.

Wieku, wylęgły w grobach, wzrosły na ruinie!
Straszny dla mnie twój połysk w czartach i w aniołach!
Przerażająca pieśń twa, co w sercach nam płynie,
I troska tajemnicza na porytych czołach,
I zapał gorączkowy w bezpotomnym czynie!

Niejednemu, co jęczał po czci twej kościołach,
Co krzyż twój wlókł po trudu bratniego wyżynie
I myśl młodą gruchotał w mądrości twej kołach, —
Dzisiaj skroń cała — we krwi, nadzieje — w popiołach,
Trumnami zawalone pamiątek świątynie...

Życie! duszo służebna prochów i poziomu,
W kształty bytu jak w kleszcze potworne ujęta!
Tyżeś-to, drobna, cieniem bożego ogromu?!
Iskro woli, w otchłanie konieczności tchnięta!
Ciemna! tyżeś-to rodem z tęczowego domu?!...

Gdzieś tam w piersi poetów ma być ziemia święta,
Wielka jak przepaść niebios, czysta od pęt sromu;
Spokojna ciszą bogów, zmazą krwi nie tknięta,
A piękna, jak myśl świata w twórczym śnie poczęta,
Jak grecki duch — gdy wyjdzie ze skalnego złomu.

Ach! i tutaj wiek cisnął głownie swych pożarów...
Ideał, rozogniony żądzą i cierpieniem,
Buchając dymem walki ze skarbca swych czarów,
Przezrocze nieba swego zbrukał ziemi tchnieniem
I w deszcze łez roztopił błękit swych obszarów.

Zagasł promień pogody nad wieszczów natchnieniem...
Wicher życia powiewa śród ciemnych bezmiarów...
Świat Sztuki, zasępiony bojowem marzeniem,
Niezdolny porwać ducha archanielskiem pieniem,
Przestrasza zgrzytem gromów i burzą sztandarów.

Nigdzie szczęścia w tym wielkim żywota odmęcie!...
Wola, zmarniała waśnią, nie dźwignie go z siebie,
Nie odbuduje pieśni potężne zaklęcie,
Od kiedy, po olbrzymim wszystkich wiar pogrzebie,
Pierś człowieka zwątpienia przygniotły pieczęcie.

Świecie typów mych jasnych! stań się! wzywam ciebie!
Zlatuj, powiewny roju, w drżące słów objęcie!...
Dam ci życie, krew, miłość, łzy i śmierć w potrzebie:
Szczęścia nie dam -- bo w bólu jest twoje poczęcie,
I smutna gwiazda twoja na ludzkości niebie!...

Cherubinie natchnienia! Mistrzu strun i pieśni!
Lutnisto harmonii wiecznej!
Znijdź mi w pierś!... niech do zgonu śpiewem twoim prześni
I muzyką arfy słonecznej!

W tej chwili już, na wzór twój, czuję — w głębi łona
Bohater mój w posąg odlany!
Słyszycie? — drgnął, jak niegdyś głaz Pigmaliona,
Poezyi czarem owiany...

O synu mój! kochanku burz, miłości, kwiatów,
Poświęceń, łez, pamiątek, szału!
Poeto! rzuć się w pył ten brylantowy światów
I rozpal w nim blask ideału!

Potrząśnij kwieciem róż tę dzikich walk arenę,
I łzami, krwią, ramieniem, czołem,
O piękno boże walcz za wzgard i śmierci cenę,
A z martwych powstaniesz aniołem.

Gdzież ty, olbrzymie ciżb, społecznych potęg mężu,
Owiany huraganem narodowych dum?...
Ach, ukaż we krwi skroń i połysk na orężu,
I wzrok w milionowy zatopiony tłum!

Patrzajcie: otóż on! Posępne cienie czoła
Rozdziera jasna myśl, jak piorun kłęby chmur;
Ofiarą zbrojna pierś ogromnem hasłem woła
A chór — przerażający odgrzmiewa mu wtór.

Z tysiąca woli drgnień odlałem postać twoję,
Boleścią bratnich serc uolbrzymiłem duch...
O Panie! zejdź w otwarte pieśni mej podwoje
I senny świat ten mój w żywota porwij ruch.

Hrabia Ugo. Obszary przestrzeni, bez granic, bez końca,
Zaległy planety, księżyce i słońca...

Bezduszne, bezwiedne, wirują i świecą...
To zbliżą się wzajem, to znowu odlecą...
I czyjaż-to wola, co w ładzie je trzyma,
Kierując ruchami sennego olbrzyma?
Dlaczego ta mądrość letargiem ujęta
Jest wyższą niż ludzka, czuwaniem napięta?...
Gdy promień natchnienia, jak meteor ducha,
Rozjaśni na chwilę tajemnic tych chmurę, —
Widzimy ogniwa jakiegoś łańcucha,
Co wstęgą bez końca obwija naturę —
A każdem ogniwem jest liczba ogromna,
Odwieczna jak bóstwo, jak fatum niezłomna!
I cóż my w obliczu tych potęg zdołamy
Z naszymi rozumy i dumą ich biedną? —
Dźwięk próżny, nazwisko zaledwie im damy...
Lecz nazwać i poznać — czyż jedno?...
(Chwila milczenia)

Na tle tem nieskończonem — jak pyłek znikomy,
Okruszyna jednego z milionów ziarna —
Snuje żywot swój ludzkość, niedojrzana, marna,
Chłonąc duchem niesytym wszechświata ogromy...
I siły te — co wieczną szamotane wojną,
Gubią, nakształt bagnetem poszarpanych szmatów,
Co chwila miryady niezliczone światów —
Ludzkość chwyta je myślą dumną i spokojną,
Pętami kształtów nędznych olbrzymy krępuje
I ku celom swym karlim jak trzodę kieruje!...

I czemże jest ta ludzkość? — Może kroplą bóstwa
Uronioną na ziemię w bezładzie tworzenia,
Jedyną zpośród światów obumarłych mnóstwa?...
Czy dziecięciem tej ziemi i potęg tych bytu,
Co drgając tajemniczo w jej piersi z granitu,
Zajaśniały w człowieku kwiatem przeświadczenia?...

I jakiż dzień Genezy skrzydły promiennemi,
Po raz pierwszy jej błysnął na ostygłej lawie?...
Czy zginie też i ona z dziełami swojemi,
Gdy nowa jaka siła, w piekielnym objawie,
Rozsadziwszy kamienną skorupę tej ziemi,
Zgliszcza tylko i trupy po sobie zostawi?...

Co się stanie ze światem, gdy po tym wybuchu,
Świadomość siebie straci w człowieczeństwa duchu?...

Ludzkości! wiekuista zagadko stworzenia!
Jaka też myśl zawarta w kształtach twego bytu?
Czyś owocem przypadku, słowem bez znaczenia?
Czy napisem wyrytym u wszechżycia szczytu?...

Sfinksie wieków! Czyż twe dzieje,
Myśli, serca, woli czyny,
Są dla świata tego niczem,
Jak ów senny byt rośliny,
Co gdzieś kwitnie i więdnieje
W pędzie ziemi niewolniczem?...
Czy przeciwnie, wszechświat cały,
Choć pozornie skamieniały,
Obumarłem swem obliczem,
Jak w pomysłów bożych księgę,
W dzieła twoje się wpatruje
I rozważa i pojmuje
I podziwia twą potęgę
Zmysłem jakim tajemniczym?...
Precz mi, myśli! precz — zadania
Bez nadziei rozwiązania!...
O! przeklęte widma szału
I niezłomna ich konieczność!...
Ciemni, marni — wieczność całą —
Gonim za czemś dumą smutną,
Niosąc w mózgu myśl pokutną
I piekielną w duchu sprzeczność...

(Chwila milczenia)

Uczucie i rozum, jak fale płomienne,
Zalały żywota otchłanie bezdenne...
I kiedy myśl dumna, w szalonem pragnieniu,
W pęk grotów śmiertelnych potęgi swe składa,
Aż kiedyś w obłędzie śmierć sobie nim zada:
Natenczas gdzieś w piersiach uczucie wypływa —
I nakształt skorpiona, co w ognia pierścieniu
Morderczym swym kolcem sam siebie przeszywa —
Umiera, spalone we własnym płomieniu.
I wszędy, gdzie tylko konają ofiary,
Gdzie rzeki łez płyną na piekieł zaklęcie,
Tam myśl i uczucie, jak krwawe sztandary,
Szeleszczą złowrogo w bojowym odmęcie.

(Bierze ze stołu puginał i krucicę).

W starożytnych wiekach świata,
Gdy znękane ludów serce
Drżało w myśli poniewierce,
Jak syn pierwszy w ręku brata;
Gdy społeczność, w przeddzień zgonu,
Prawdy zbawczej wyglądała,
Co wykwitnąć krzyżem miała
Z pod cezarów dumnych tronu:
Łzy natenczas w sercu wrzały,
Pierś przybytkiem była męki, —
W pierś też zawsze uderzały
Samobójcze ciosy ręki.

Dziś — gdy wiedzy żądza wściekła
Do szaleństwa doprowadza —
Kiedy czaszkę myśl rozsadza:

(Wskazując głowę)

Tu nas pali ogień piekła,
Stąd boleści łza wybucha, —
Tu druzgoczem rozpacz ducha!...

(Po dłuższej przerwie, łagodniej)

A uśmiech ów pierwszy, co usta dzieciny
Otwiera w kolebce na widok matczyny!
A promień wesela u matki na duszy,
Gdy uśmiech ten głębie jej serca poruszy!...
A młode marzenia o życiu tem cichem,
Co tobie w zachwycie nad ofiar kielichem!...
A owe szalone wśród walki nadzieje,
Gdy szczęście już całe zgliszczami czernieje!
O! czyliż to wszystko jest żartem okrutnym,

Rzuconym przez Boga duszyczkom pokutnym?
Nie! szczęście jest ducha niezbędną potrzebą —
I musi być szczęście — i musi być niebo!

(Z goryczą)

Lecz gdzież się to szczęście ukrywa dla tego,
Kto rzucił ze wzgardą przesądy motłochu —
I nie chce zaprawiać kielicha swojego
Słodyczą dobytą z ciemnoty i prochu?
Gdzie myśli w niepewność rozwianej przybytek?
Gdzie przystań, co we mgle czasami jaśnieje —
A kiedy się do niej przedziera rozbitek,
Z przed oczu mu znika jak światło w zawiei!...

(Zatrzymując się przed wizerunkiem starca, odzywa się z ironią i gniewem)

Tyś, Omego, dotarł końca —
Łowcze wielki w puszczy światów!
Najjaśniejszy królu słońca —
Poza kratą waryatów!
To zapłata, mistrzu stary,
Za tę krótką chwilę wiary,
Gdy trucizną twej nauki
Chwytał chciwie w orle szpony
Kształty stare życia, sztuki...
By zdruzgotać w śmiałych sądach,
I we wrzących ducha prądach
Świat przetworzyć w dzieło własne,
Posągowe, wielkie, jasne!...

Nie wiedziałem, głupie dziecko,
Dokąd wiedzie taka droga,
Nie odgadłem w tobie wroga,
Co tuż przy mnie knuł zdradziecko
Mordu zbrodnię...
Starcze! powiedz mi: dlaczego
Na ołtarzu ducha mego
Zapaliłeś sto pochodni,
A strąciłeś Bóstwo z niego?

Odtąd pusto w tej świątyni...
Czart przeklętych strzeże progów,
Chyba zastęp mar przepłynie,
Lub pogańskich poczet bogów...
Zrazu-m powziął myśl szaloną,
Że tę próżnię niezgłębioną
Zalać zdoła miłość silna.
Cha, cha!.. „Znałem ludzi dwoje!“
I przekląłem szczeście moje —
Gdyż rachuba była mylna...

Zrazu-m kochał niecieleśnie,
Sercem czystem, myślą świętą,
Łzą gdzieś w niebie zaczerpniętą,
Albo rzewną zwrotką pieśni...
Lecz gdym raz to biedne serce,
Z okrucieństwem niepojętem,
Oddał zmysłów poniewierce, —
Potąd wściekle-m nad nią szalał,
Ażem rozdarł, zdeptał, zwalał,
I odrzucił precz ze wstrętem.

I znów kościół mego ducha
Aż do szczytów drgnął, ponuro
Hymnem śmierci... Rozpacz głucha
W mózg mi wbiła pięść z marmuru.
Wtem — gdy przyszłość moja cała
W myśli mglistej poczerniała,
Jak pustynia wypalona —
Głos mi jakiś przebrzmiał w duszy,
I surowo i boleśnie:
„Patrz! śród hańby i katuszy,
Wenecya we krwi kona —
A ty szczęście roisz we śnie!...“
— I ryknąłem piersią całą
Okrzyk zemsty, boju hasło...
Tysiąc głosów ze mną wrzasło,
Tysiąc młodych serc zawrzało...
I zaświtał dzień ów cudny:
Dożów prochy w trumnach jękły,
Lagun brzegi stalą szczękły, —
Znów mój kościół stał się ludny...

Lecz wśród szczytnych cudów męstwa,
Ani razu promień wiary
Nie uderzył o sztandary
Obryzgane krwią zwycięstwa.
I nadeszła chwila klęski —
Bój przegrany — wróg zwycięski —

I na nowo kraj w żałobie,
We krwi skonał duch ofiary —
I na ludu świeżym grobie
Osiadł geniusz niewiary.

Nikt nie pojmie stanu mego,
Grobowego duszy chłodu,
Gdym u łona uczuł swego,
Jak olbrzymią zmorę z lodu —

Odtąd obszar życia cały
Stał się dla mnie stepem dzikim,
Gdzie już nigdy, nigdy, z nikim
Cele się me nie spotkały.
Odtąd wszelka myśl społeczna
Ścieżek moich smutnie stroni —
I niewiara ostateczna
Tęsknić nawet sercu broni...

Raz tylko w te pustkowia uczuć zgruchotanych
Zawitał poczet wrzących i bezładnych wrażeń —
Gdym zajrzał do kostnicy myśli i wydarzeń,
W pokładach wiekuistej wiedzy zagrzebanych.

I nanowo z rozpaczą chwyciłem się trudów,
Marząc, że tę naukę, co pełza po ziemi,
Podniosę do potęgi wszechmogących cudów —
I popchnę o sto wieków prawdami nowemi.

Szalony! kruchą czaszką biję w mur z granitu —
I zamiast ostatecznej prawdy dla ludzkości,
Trudem krwawym zdobywam próżnię niepewności
I wieczny, wieczny rozbrat myśli mej i bytu.

(Chwila milczenia)

Wczoraj jeszcze olbrzymie roiłem nadzieje....
Pracę moją dłoń silna w przyszłość wielką rwała...
Dzisiaj — dłoń ta w mogile robactwem czernieje!
Z rąk mi wypadły kwiaty — żmija pozostała!...

Boże mój! wskaż mi dzisiaj nowy szlak dla ducha,
Pomiędzy zgliszcza wiary i celów i chęci!
I ogień, co dotychczas z pogorzelisk bucha,
Zaléj morzem nadziei albo niepamięci!

Ludmir (z oburzeniem). Zamilcz, echo przeklęte wieków rozpasania!
Poznaję wycia twoje, puszczyku dziejowy!
Niejeden lud je słyszał w godzinę konania,
Niejeden przegrzmiał niemi obchód pogrzebowy!

Któż was nie zna, upiory, z pocztem czarnych duchów,
Z rozpaczą, rozprzężeniem i widmem niewiary?
Precz stąd, trupy z resztkami spleśniałych okruchów!
Niech je z ziemią swych mogił dogryza świat stary!

Piersi wasze przesiąkły bezruchu zgnilizną!
Napróżno anioł dziejów „naprzód!“ wiecznie woła;
Wy, jak czarty, schyliwszy marmurowe czoła,
Urągacie się prawdzie doświadczeń siwizną.

Lecz dość tego... Między nami
Nic wspólnego!... gardzę wami!
Precz mi z myśli... Nad tym domem
Dzieje wiszą z hańby gromem...

Wrażą one z czasem w ludy,
Że gdy Włochy walką wrzały,
Wasz natenczas żywot cały
Pochłaniały magów trudy.
Biedna Roma! kraj ten bieden!
Karły nędzne, płazy, gady
Zaludniają lwów posady...
O, jeżeli z was choć jeden
W zdrojowisku tem przeklętem
Duszy nie struł pychą kłamną,
Jeśli w łonie, rdzą już tkniętem,
Wstyd ma jeszcze — za mną! za mną!

2. Pytanie.

Z myślą hardą, w bezmiar wiedzy wpatrzoną,
Nie znającą ani tam, ani granic,
Świadomości własnej dumni koroną —
Syny boże! słusznież mamy się za nic? —
Za pył marny niedojrzanych atomów
Na żywota ogólnego wszechfali,
Wobec niezmierzonych Bytu ogromów?...
Ach! tak wielcy — a zarazem tak mali!...

3. Świat Ducha.

Bez granic wielką jest kraina Ducha,
Promienna Bóstwa blaskiem u swych szczytów,
A w dole — otchłań mroku, łkań i zgrzytów,
Skąd rozpacz i nienawiść wciąż wybucha!
Kto w głosy jej się tajemnicze wsłucha,
Ten dozna już-to grozy, już zachwytów,
Nieznanych tym, co w prochu zasklepieni;
Dla których Byt — to puszcza światów głucha,
A oni sami — poczet marnych cieni.

Rojenia młodych lat, natchnienia błyski,
Ofiarność, wiara wrząca, czar miłości: —
Czyż nie jest to świat wrażeń niebios bliski —
Słoneczny, wiosną tchnący raj ludzkości?!...
Czy nad wspaniałe tęcz i gwiazd widoki,
Lub zorzy biegunowej ogniotryski,
Nie wyższy umysł twórczy i głęboki?
Cóż mówić o tej niedościgłej cnocie,
Dla której wzór zajaśniał na Golgocie?!...

A oneż wulkaniczne serc otchłanie,
Gdzie wiecznie płonie brudnych żądz pochodnia,
Gdzie lęgnie się występek, zdrada, zbrodnia!...
Czy może iść co z niemi w porównanie

W ohydzie okropności?!... Krwią i łzami,
Jak lawą, broczą one ludów dzieje;
Podziemny grzmot ich postrach w ciżbach sieje;
Żałoba, rozpacz idą ich śladami,
A potem cisza spustoszenia głucha...
O! straszne — straszne są przepaście Ducha!

Zaprawdę, owa martwych brył gromada,
Co świat materyi bezwiednej składa,
Choć także niema liczby ani granic,
Lecz w każdej chwili niknie i przepada, —
Wszechmocny kruszy je co chwila na nic.
I czemże jest ów świat w obliczu Ducha,
Co tylko sam posiada
I twórczą myśl i samodzielność,
I czynu moc, i nieśmiertelność,
Co światem włada?!...

V. Mieczysław Romanowski.

1. Poezye liryczne.

a) Chwila myśli.

Znużony jestem... trzykroć upadałem
Pod krzyżem pracy — skrwawiony i drżący —
I trzykroć, trzykroć z upadku powstałem:
I uspokoił się duch bolejący...
Zadrzemał może jak pustyń wędrowiec,
Nim go zwierz zbudzi, ryjący grobowiec.

Przeszedłem myślą takie straszne piekło —
Przez dzieje świata — snułem lat tysiące.
O Panie! po cóż tyle krwi wyciekło?
Poco pękały serca pałające?
Olbrzymy przeszli po tej biednej ziemi —
I skamienieli, jak od bolu niemi.

Może za wiele mieli twego ducha —
Toż niepojęci przeszli pośród tłumu;
Głos ich za silny dla ludzkiego ucha,
Podobien gromom lub do morza szumu;
Wołali: Wolność! — i rozdarli łona...
Padli! — dziś stoją posągi — imiona.

Ciała ich w ziemi, duchy gdzieś daleko
Błądzą po gwiazdach — cierpliwi tułacze.
Kiedyż ich grobów rozpęknie się wieko?
Panie! czyż nigdy nie dojdą cię płacze?...

O ześlij, ześlij proroki — Mojżesze,
Niech w kraje światła zaprowadzą rzesze!

Tam żale sierot, a tu kajdan brzęki
Straszną muzyką spływają do ucha;
Słowik w drzew cieniu rozpływa się w jęki;
Tam gwiazdy błyszczą, wietrzyk z lekka dmucha,
Na nocnych polach żałobne szemranie,
Niby pacierze grobów...
Słyszysz, Panie?!...

b) Znużony ptak.

Ciężką wędrówką znużony ptak
Odpocznę może,
Krwią moich piersi znaczony szlak
Tam — za mną — Boże!
Wichrem i gromem skrzydła podarte,
Kiedy nocleżą czyniłem wartę
We śpiących duchów taborze.

Im słodki spokój płynie na skroń,
A mnie gra burza;
Ich czoła gładzi kochanki dłoń
Wonna jak róża;
Ach! a ja ledwie ujrzę przelotnie,
Już muszę wracać, czuwać samotnie
Na kopiec nocnego stróża.

Gdybyż choć rychlej z tych ciemnych pól
Tam — w kraj promienia!
Gdybyż na chwilę choć uśpić ból
I żal pragnienia!
O, ale z piersią rwaną bólami
Tylko przemieniać noce ze dniami...
Tchnienia dla piersi!... o, tchnienia!

Gdybyż choć ona — ten anioł mój
Popatrzył na mnie!
I gdy mi piersi oblęże znój,
Uśmiech miał dla mnie;
Z uśmiechembym leciał — hulaka mło- [dy —
Na nudy, trudy, na niepogody,
Choć światby walił się na mnie!

c) Nowa znajomość.

Stałem w jasne zapatrzony zorze,
We wieczorną Karpat aureolę;
Cisza była na polach i w borze,
W mojem łonie przycichały bole;
Zapomnienia tknięte ręką białą,
Serce z niebem i z ziemią się zlało.

Ciche lilie, zdobiące strumienie,
Woń z mych marzeń wzięły i śnieg biały;
Smutek duszy wzięły borów cienie;
Fale pieśni moje powtarzały —
Do stóp mi się kłoniąc po kolei,
W smutne pieśni lały dźwięk nadziei.

Więc po gwiazdach rzuciłem oczyma,
Po świecącej, niebieskiej krainie:
Tak przez morza błądzi wzrok pielgrzy- [ma,
Nim korabiem z zatoki wypłynie,
Nim porzuci ziemię, ojców domy...
Tam za morzem kraj dlań nieznajomy.

I zbliżyła się do mnie dziewica,
W czystej bieli, z zadumanym wzrokiem;
Jak posągi greckie miała lica,
Szła poważnie w myśleniu głębokiem,
Szła i postać nachyliwszy wiotką:
„Jam śmierć twoja!“ — rzekła do mnie [słodko.

Lewą ręką serce uśpię twoje,
Jako matka usypia dziecinę,
Prawą oczu przysłonię ci dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę
I ulecisz od bolów jak płomień
W światło, w życie wieczne — nowy pro- [mień“.

Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wró- [żono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały.
Jeszcze nieba gromami nie płoną;
Czekaj jeszcze, piękny cieniu biały,

I na polu bitwy o mnie spytaj.
Teraz, nowa znajoma, mi witaj!

Stała milcząc, a nad nami w górze
Z za obłoku księżyc się wyłonił.
Do pół skronią oparty na chmurze,
Na tę białą łzy promienne ronił,
Na jej uśmiech senny, na spojrzenia —
I odeszła, mówiąc: „Do widzenia!“

2. Dziewczę z Sącza. (1859).

Jest to pierwsze u nas epos mieszczańskie, bo chociaż Wincenty Pol opowiedział swoję „Historyę szewca“ na tle stosunków mieszczańskich, ale uwydatnił w niej jedną tylko (tytułową) osobę, a ton rubaszny obniża wartość estetyczną utworu do stopnia gawędy. Treść poematu Romanowskiego, osnutego na tle wojny szwedzkiej z r. 1655, jest następna: W domu mieszczanina, utrzymującego austeryę w Nowym Sączu, stanął kwaterą oficer szwedzki, Oskar, i rozkochał wnuczkę gospodarza, Basię, do której napróżno wzdychał poczciwy cieśla, Bartek. Gdy Szwedzi postanowili w noc oznaczoną wyrżnąć mieszkańców miasta, Oskar pragnie ocalić Basię i jej rodzinę; ostrzega zatem swą ukochaną, wymagając od niej tajemnicy. Basia pomieszaniem swojem i namowami, by rodzina opuściła Sącz, budzi podejrzenie w dziadku, Januszu, i ten zaprowadziwszy ją do kościoła, wymusza wydanie tajemnicy. Mieszczanie, ostrzeżeni, postanawiają uprzedzić Szwedów, używają górali tatrzańskich ku pomocy; zawiązuje się bitwa, w której Oskar i Basia giną. Szwedzi zwyciężeni. Bartek, biorący również czynny udział w walce, po skończonych zapasach robi trumnę dla Basi, a potem, zebrawszy młodzież mieszczańską, udaje się z nią razem pod rozkazy Stefana Czarnieckiego.

a) Odkrycie.

Już północ — ogień w kominku się żarzy;
Basia usiadła, pogląda i marzy.
Kiedy stawiała dzban na lawatorze,
Dziadkowie dawno już spali w komorze,
Lecz znać do Maryi Panny się modlili,
Bo jeszcze dla niej klęcznik zostawili,
I zostawili koroneczkę dla niéj,
By ją zmówiła do aniołów Pani,
I lampę. Więc też Basia cicho wstała,
Wzięła koronkę i modlić się chciała;
Lecz się zwróciła do okna powoli,
Pogląda, szuka gwiazdki swojej doli,
Dumając; — i tak długo modre oczy
Bezwiedna w silnej topiła przezroczy.
Odeszła; — dziwno! ta sama świetlica,
I lampa sprzęty te same oświéca,
I wszystko stoi tak, jak dawniej stało,
A jej się wszystko piękniejszem wydało:
I rzeźby gładsze i powały bielsze,
I twarze świętych w obrazach weselsze;
I nawet Chrystus klęczący w ogrojcu,
Mniej się na kielich skarży Bogu Ojcu,
I święta Panna uśmiecha się do niéj,

I Kindze nie strach, choć Tatar ją goni;
Czar jakiś dziwny rozlał tu się wkoło,
Toż jej tak błogo, tak jej tu wesoło!
Z jej ócz pół nieba wyziera odrazu,
Tyle w nich światła i szczęścia wyrazu.

Wtem znać po czole przebiegła myśl pusta,
Bo się prześlicznie uśmiechnęły usta,
I wnet radosna z dziwnem czuciem w łonie
Mirt i rozmaryn rwała w białe dłonie
Z doniczek; potem lekko u zwierciadła
We włosy to mirt, to rozmaryn kładła.
A gdy się lubo uśmiecha, gdy stroi,
Cudny sen dusza z cicha sobie roi
O nim, — o lubym, — ach! a co pomarzy,
Jak twarz w zwierciedle odbite w jej twarzy.
Upięła kwiatki, teraz składa dłonie,
Kłania się myśląc: „Tak dziadkom się skłonię,
Tak drużkom!...“ Słucha, słyszy jakieś tony,
Niby muzyka, — niby mszalne dzwony.
On z nią; — już idą, a przodem kapela,
Skrzypki, bas, kobza i cymbał i zela.
Wkoło znajomi we świątecznych szatach...
Znowu stanęła i przebiera w kwiatach;
Po chwili rzuca wszystko, — bo już nudzi...
Takie to dziwne szczęście, gdy się zbudzi.
Usiadła, głowę oparła na dłoni,
W oczach myśl, myślą gdzieś daleko goni...
I posmutniała: W obcym kędyś kraju,
Gdzie nie zna ludzi, mowy i zwyczaju,
Kędy dzień chmurny, w noc księżyc nad skały
Wschodzi, jak lampa z alabastru, biały,
A nad borami gęsta wisi para...
Jezioro — brzegi... tam domek Oskara!
I widzi wszystko, jak on opowiadał,
Zna dom, jezioro, jodłę, kędy siadał,
Dolinę kwieciem ubarwioną świeżem,
I bór, którędy błąkał się za zwierzem,
I jar, gdzie czysta jako łza — krynica —
A w niej obojgu ich odbite lica.
Lecz zadumana rzekła wnet: „Mój Boże!
Gdy mnie nie będzie, kto babce pomoże?
Kto dziadka głośnem zabawi czytaniem?
Biedna ja! — biedni! jak my się rozstaniem?!“
Żalem i płaczem wezbrało jej łono;
Już przed nią stoi rówienniczek grono,
Krewni, znajomi z miasta i po siołach;
Wszystko, gdzie była, ołtarże w kościołach,

Obrazy świętych, gdzie składała modły,
Miasto i drogi, co na pola wiodły,
I brzeg Dunajca i błękit gór siny,
I te od jodeł ciemne rozpadliny;
To wszystko teraz niby płaczek rzesza
Chwyta się serca i na pierś się wiesza,
Trzyma ją dziwnie i z nią razem szlocha:
Jak ona wszystko, jak ją wszystko kocha!
W dali — podobny do gradowej chmury —
Mignął się Bartek smutny i ponury.

W łzach, ale się już marzeniem promieni:
„Może mnie kiedyś Bóg w jaskółkę zmieni;
Nieraz mi stara cyganka mówiła,
Że się ptaszyną dusza urodziła,
I gdy zatęskni, skrzydełek dostaje,
I może lecieć, w jakie zechce, kraje,
I niema dla niej ni gór ani morza,
Jeno niebiosa! O! ja ptaszka boża!
Rzucę go... siędę sobie w ogródeczku,
Zaśpiewam dziadkom, gdy będą w ganeczku,
I wszystkim naszym od serca zanucę
Ptaszyna! — i znów do Oskara wrócę...
Śni:... lecz jej serce w sen miesza pytanie:
„Kogo ze swoich ptaszyna zastanie?...“

I smutna, głowę do stołu pochyla:
Gdyby spoczynku — gdyby drzemki chwila!
Przymknęła oczy i już snem oddycha.
Śpiąc, jakieś słowa wymawiała z cicha:
„Rżną!...“ niewyraźnie z ust się jej wyrwało,
„Rżną!... Oskar“... rękę zacisnęła białą.
Budzi się; budząc, w przerywanej mowie
Głośniej już słowo rzucała po słowie...
Przetarła czoło...
„Mówił... że ma panów
Srogich... tak!... mówił — gorszych od szatanów...
Smutnym był; mówił, że się bardzo smuci;
Mówił, że wojsko i króla porzuci
Dla mnie“... I myśli znów: „On takim panem;
Kocha i dla mnie chce zostać mieszczanem.
Mówił mi“... Strasznie błyszczały jej oczy;
Wstrzęsła się, wstążka spadła z jej warkoczy
Na pierś; lecz dalej przypomina, snuje:
„Ha! on mnie mówił, że mnie wyratuje
Z krwi!“ I sapnęła dzika, odmieniona,
I patrząc, szepce: „Ulica czerwona,
Krew... uciekają ludzie... w dzwony walą...
Ach!... nasze miasto Szwedzi rżną i palą!“

I tchu jej brakło i osłabła całkiem;
Chciała iść, oczy mgły strasznym białkiem.
Chwiejąc się, rękę do Maryi obrazu
Podniosła; ręka opadła jak z głazu:
„Ratunku, Matko!“ Nagle trupio sina
Krzyknęła: „O! o! Marya mię przeklina!“
I padła; lecz wnet z rękami u czoła
Zrywa się i w głos: „Mord! — rzeź w mieście!“ woła.
„Mord!“ głos jej dziki rozległ się po domu.
Porwał się ze snu Janusz jak od gromu,
Zarzucił odzież, w pół Basię porywa,
Za nim drżąc wbiegła staruszka sędziwa;
Lecz Basia z rąk się wydziera szalona,
I „Mord: rzeź w mieście!“ krzyczy z głębi łona,
Lata po izbie, Janusz znów ją chwyta,
Tuli i wstrząsa, i pieści i pyta.
Ona nic, jeno jęczy nieustannie:
„Mord! — rzeź!“ i patrzy ku Najświętszej Pannie
I pokazuje obraz ręką siną,
I drży, a z ócz jej gorące łzy płyną.

Zmarszczył brwi Janusz, stał, nie myślał długo;
Nóż porwał w jedną, strzelbę w rękę drugą,
Otarł pył i proch obejrzał w panewce,
I rzekł do babki: „Zostań ty przy dziewce,
Ja wyjdę“. Wyszedł, staruszka została
I tuląc Basię, razem z nią jęczała.

Lecz wrócił Janusz: „Czy weszło w nią licho?
W mieście śpią wszyscy i jak w grobie cicho;
Ni psa na rynku, jeno tam w gospodzie
Coś kilku naszych zasiadło przy miodzie,
A ta „mord“ wrzeszczy. Weź z wodą kropidło,
Poświęć jej czoło, bo to snu mamidło“.

Lecz Basia nagle zasłoniła oczy
I jękła: „Dziadku! wam krew szyję broczy,
Wy trup! Mnie Matka Boża duszę wzięła
Z piersi, tę moją duszyczkę przeklęła;
Lampą mi ogień zapaliła w głowie
Na rzeź. Idźcie wy, to wam Oskar powie
Jak mnie. No chodźmyż — ach! jacy wy trudni!
Chodźmy, on na nas czeka tam przy studni!“
Chce iść; — ci zgrozą struchleli oboje,
A stary Janusz załamał rąk dwoje,
Spłakał i jęknął głucho: „Moje dziecię!
Tyle mojego było na tym świecie!
Strasznoś mi, Panie, dotknął głowę starą!“
Lecz wnet za rękę wziął ją: „Chodź, ofiaro!
Chodź, nawiedzona czartem, chodź, ty sowo!

Chodź! ludziom w karczmie krzycz: ogień nad głową!"
Daremnie babka, by został, błagała,
Daremnie Basia z rąk się wydzierała;
Janusz ją silnem opasał ramieniem
I do gospody przeniósł ją podsieniem,
Stanął w drzwiach: „Bracia, hej! tu widzę rada?
Milczcie no! teraz niech ta odpowiada!"

Wnet go mieszczaństwo obstąpiło kołem.
On między nimi stał najwyższy czołem
I bolem.

b) Trumna.

Ciesielską izbę ozłociło rano,
A Bartek ciosał trumnę modrzewianą;
Ciosał sam w cichej, głębokiej boleści.
Czeladź swą w miasto rozesłał po wieści,
Kiedy w tej pracy wyręczyć go chciała, --
Bo to dla Basi ta trumienka biała.

I znać, że piękną Basi trumna będzie:
Wkoło warsztatu przeróżne narzędzie,
Piły i heble, siekiery i dłuta,
A część już spodnia gotowa i skuta,
Biała z modrzewia, jakby zlana mlekiem;
Bartłomiej jeszcze pracował nad wiekiem.
Lecz jakiś straszny spokój w jego twarzy,
Wzrok mu się dziko, beznamiętnie żarzy;
Kamieniem twardym stanął na swej doli,
Serce mogiłą — ale jeszcze boli,
Okropne piekło jeszcze w sobie chowa,
A nad niem pamięć jak lampa grobowa.
Warsztat na środku, po ścianach obrazy;
Ściel odpowiada echem ciężkie razy
Klinów lub dłuta, — barda szczęka smutnie,
Kiedy nią w deskę modrzewianą utnie:
Ona hełm tłukła, a teraz się żali,
Jakby tam serce drgało w twardej stali.
Toż Bartek, jakby zląkł się tego jęku,
Bardę w pół ciosu zatrzymuje w ręku,
Patrzy i bolem omamiony słucha,
Czy jęk ten z bardy czy z serca mu dmucha?
Wnet silniej w dłoni toporzysko ścisnął,
Ciął i oczyma ponuremi błysnął
W zgrozie... Ach! wszystko! co serce kochało,
Co pierś żywiło, w duszy urok miało,
Wszystko w tej białej trumnie się zebrało!

I stanął; — znowu deski okiem mierzy,
Myśli i w własne nieszczęście nie wierzy;

Porywa bardę, puszcza ciosów mnogo,
Jakby już o tem zapomniał: dla kogo.
Ale po chwili musiał w pracy przestać,
Bo oczom światła, ręce siły nie stać
Dłużej, tak boleść piersi mu szarpała,
I tak pod ręką rosła trumna biała.
A gdy urosła, przeklął dzień rzemiosła,
Pierś mu się ciężkiem westchnieniem podniosła:
„O! chciałem, rzecze, inny dom postawić,
Ha! lecz Bóg nie chciał ręce błogosławić,
I stał się, Basiu, ze mnie cieśla lichy,
I wyciosałem ot ten domek cichy“...
Spłakał, serce mu czarną krwią nabrzękło,
Tłukło się dziko o pierś, lecz nie pękło.
Po chwili kredą znak na desce zrobił,
Wziął dłuto i wierzch krzyżem przyozdobił.

Skończył i wieko do trumny przyłożył,
Oglądał; wieko od trumny otworzył,
I zatrzymywał wzrok nad każdą fugą,
Potem w głąb trumny wpatrywał się długo.
Wzdrygnął się nagle, oczy zakrył dłonią,
Jakby nad straszną obaczył się tonią;
W duszy pogrzebne zagrały mu dzwony,
I własną swoją pracą przerażony
Jęknął: „O Boże — Boże! już gotowe
Wszystko!“ — i dłońmi mocno ścisnął głowę.

W izbie się potem obejrzał dokoła,
Rękę przycisnął do wrzącego czoła:
„Gdyby krwi śladów na bardzie nie było,
Myślałbym, że to wszystko mi się śniło:
Ten bój, — to Basi nieszczęsne skonanie...
Wielkie tu dzieło poczęło się, Panie!
I pójdzie dalej, co gromem się stało. —
Ha, w mojej piersi tak strasznie gorzało!...
Teraz? — o! ciche moje serce w sobie.
Cicho tak będzie tam, we świeżym grobie,
Kiedy w nim złożą moją Basię biedną;
Ten grób a serce moje — oj! to jedno“.

Wtem Janusz z Jackiem weszli, i u proga
Powitał Jacek cieślę w imię Boga;
Nadszedł Gadowicz i patron Szydłowski,
Potem Jameński wszedł i Pijanowski.
Ci dwaj na siebie poglądają wrogo,
Bo sobie uraz zapomnieć nie mogą.
Wszedł Oleksowicz z rynku; — za nim wchodzi
Tłum podhalanów i mieszczańskiej młodzi.

Milcząc Bartłomiej powitał Janusza.
Spojrzeli: obom z ócz mówiła dusza.
Tak chwilkę patrząc, wobec siebie stali,
A potem sobie obaj dłoń podali.
I całe krwawe dni ubiegłych dzieje,
Radość zwycięstwa, stargane nadzieje
I ból znać było w tym jednym uścisku,
I w wyrazistym szczerych spojrzeń błysku.
„Cóż babka?“ — spytał Bartłomiej po chwili.
Janusz mu odrzekł: „Niech ją Bóg posili!
Jak dziecko stała się nieutulona. —
Ze sąsiadkami w domu moja żona“.

Potem przybyłych wszystkich Bartek witał,
Sadzał i prosił i o wieści pytał.
A gdy zasiedli, on sparł się na na trumnie
I raz się wkoło obejrzał tak dumnie,
Jakby świat cały miał pod swoją ręką —
A ten świat białą kończył się trumienką!...
Wtem rzekł Gadowicz: „Idziemy od bramy,
Już dzięki Bogu i starostę mamy,
Witaliśmy go setnymi okrzyki.
Ma on ze sobą Nawojowców szyki —
Dzielne, nie takie jak te szwedzkie zgraje.
Marcowicz właśnie zamek mu oddaje“.
„Ale Suszycki, przerwał jeden z młodzi,
Po mieście teraz jak otruty chodzi.
Chciał do starosty w bramie począć mowę,
Lecz tak od wczoraj stracił jeszcze głowę,
Że tylko gębę jak gawron otworzył,
A wtem Staroście burmistrz klucze złożył“.

„Florka złapano! — Oleksowicz rzecze, —
Ho! już nam teraz ptaszek nie uciecze: —
Przed sąd i pod miecz!“

„Ja także mam sprawę, —
Rzekł Pijanowski, — i to o niesławę.
Jameński! ja wam także męstwa nie odmawiam,
Ale przed sądy wójtowskie was stawiam.
Padł Szwed, — ja chciałem broń porwać w tej chwili,
A wy mnie na bok jak psa odtrącili“.
„Zgódźcie się, bracia!“ Bartłomiej zawoła.
„Zgódźcie się — zgódźcie!“ zagrzmiało dokoła.
I potąd wszyscy na nich nalegali,
Aż się obadwaj sporni uściskali.

Szydłowski widząc, że Bartek ponury,
Chciał mu rozpędzić z czoła owe chmury,
I począł: „Wiecie, co się z Stachem stało?
Całkiem Krawczyka osmaliło działo.

Leży Stach czarny jakby smok wawelski,
Klnie Szwedów i ów w dziale proch dyabelski,
Który pękł, kiedy Stach działo podpalił,
Rzucił Krawczykiem o ziem i osmalił.
Długo tak leżał samotny na murach,
Czarny, w okropnie czarnych dymu chmurach,
I długo bardzo boleśną miał mękę,
Niepewny, coby stracił — wzrok czy rękę,
Aż jakoś, gdy się skończył bój przy bramie,
Ujrzał Stach, że miał skaleczone ramię.

„Biedny Stach!“ odparł Bartek Szydłowskiemu.
Lecz wtem rzekł Jacek: „Cześć Bogu naszemu!
Początek dobry; — no! a jakże daléj?“
A Bartek na to: „Co tak Bóg zapali,
Na samym Sączu zagasnąć nie może.
My, młódź, w szeregi pójdziem w imię boże!“
„O! gdybym młodszy! westchnął Janusz stary,
A tak co ze mnie? ot chyba na mary!“
Góral zaś krzyknął: „Bartku! do tej pory
Jeszcze nie syte krwią nasze topory!
Kędy wam droga, i my pójdziem z wami;
A wiecie, nie źle w boju z góralami“.

Lecz nagle Bartek drgnął na całem ciele:
We drzwiach obaczył wchodzącego Trelę
Z żebrakiem. Trela rzekł smutnemi słowy:
„Bartku! dla panny Basi grób gotowy“.

Powstali wszyscy smutni i ponurzy.

3. Popiel i Piast. (1862).

Pomimo tematu z odległych czasów, tętni ta tragedya żywem, gorącem uczuciem, gdyż dotyka odwiecznej i nieskończonej walki Słowiańszczyzny z Niemcami. Popiel z początku przedstawia się nam jako dzielny książę narodu polskiego, pojmujący straszne niebezpieczeństwo ze strony Niemców, odczuwający żywo cierpienia współplemieńców zaodrzańskich. Żeby uwolnić Słowian od wroga, pragnie władzy nieograniczonej; stąd przeciwnikiem jest „wieców“ (zgromadzeń) ludowych i pragnie je zgnieść, a to jest głównym powodem niechęci poddanych do Popiela, gdyż ci przywiązani są do starego obyczaju i obstają za swem prawem. Ale w charakterze Popiela jest jeden pierwiastek, który go, wbrew jego zamiarom, powiedzie na bezdroża, a tym pierwiastkiem jest szalona duma. Nie może on znieść najmniejszego sprzeciwienia się swej woli a podżegany przez żonę Adelę, Niemkę z pochodzenia, i jej spowiednika, ojca Fuchsa, zwraca się powoli przeciwko własnemu narodowi, a najprzód przeciwko stryjom. Po bitwie z Niemcami w obronie Zaodrzan, każe zamordować jednego ze stryjów, podejrzewając go o zamach na swe życie; następnie na owej tradycyjnej uczcie Adela, z jego zezwoleniem, truje kilku innych. Równocześnie z wytraceniem najbliższego swego otoczenia, rozpoczyna walkę z ludem, usuwając wiece, pomimo że odradza mu to rolnik Piast, człowiek wielce rozważny, nie działający pod chwilowem wrażeniem, rozumiejący potrzebę silnej władzy, ale przytem przywiązany do swobód narodowych, zapewnionych przez wiece. Gdy to prawo zostało zagrożone, nie może już Piast iść ręka w rękę z Popielem, staje wraz

z dzielnym synem swoim, Ziemowitem, na czele ludu i odnosi zwycięstwo. Przymuszony ustąpić Popiel nie ginie jak tchórz nikczemny, ale sam sobie życie odbiera, dowiedziawszy się, że przeniewiercza Adela rzuciła się w tonie Gopła. Charakter Popiela najlepiej w całej tragedyi został przeprowadzony; jest on psychologicznie dobrze rozwinięty od początku do końca. Piast już tej dobitności nie posiada. Romanowski bardziej dbał o szczegółowe odmalowanie przeciwieństwa między starymi obyczajami polskimi, a nowymi porządkami, wprowadzanymi przez Niemców, aniżeli o należyte skupienie dramatyczne akcyi, traktowanej raczej po epicku.

Aktu I, Scena II.

Żóraw. Wchodzą: Popiel, Zbigniew, Przemysław, Wyżymir, Szczerb, Mirosz, Brona, Jarosz, Kraska, Piast, kilku rycerzy i kmieci.

Popiel (do Zbigniewa). Na wrzawy wieców czasu tylko szkoda.
Gdzie jeden rządzi, tam najlepsza zgoda.
Patrzyłem na to, gdym brał żonę moją;
Tem, stryju, Niemcy tak przeważnie stoją.
Zbigniew. Bogowie z tobą, mądre rzekłeś słowo.
Popiel (do zgromadzenia). Więc wiecom koniec, a król odtąd głową.
(Postrzegając Żórawia) Skąd wy?
Żóraw (przystępując). Z Zaodrza, z ziemi nieszczęść, panie!
Popiel. Ze ziemi nieszczęść?... Bracie Zaodrzanie,
Przystąp i powiedz, co się dzieje z wami?
Słyszałem, żeście wiedli bój z Niemcami.
Cóż spadło na was?
Żóraw. Mordy i pożogi.
Lud nasz wycięty od zaborczej broni;
We więzach starce, zbezczeszczone progi,
U mogił jęki, w polach wrzask pogoni.
Spłonęły sioła, grody i świątynie,
Niemcy do krzyża spętany lud chłoszczą,
Gdzie jeno spojrzysz, tam krew lub łza płynie;
Kędy się zwrócisz, śmierć i rozpacz goszczą.
Syn rzuca matkę, ojciec dziatki lube,
Wieszczek gaj święty i obietne zgliszcza,
I lecą na bój — królu! na zagubę,
Bo nie ratuje nas bój, lecz wyniszcza.
Popiel. Przekleństwo wrogom!... A cóż wasi wodze?
Na wiecu tylko gardłują odważni,
A w bitwach dają lud wycinać srodze?
Żóraw. Zginęli nasi wodzowie poważni:
Jedni polegli na pobojowisku,
Drudzy schwytani i żywcem spaleni,
A my zostali bez wodzów, w ucisku,
Bez wodzów, królu! śród krwi i płomieni.
Brona. Możni bogowie!
Popiel. A kniazie udzielni?
Żóraw. Ci się w hołd, królu, oddali Niemcowi
I krzyż przyjęli.

Popiel. Kniazie w hołd? bezczelni!
Żóraw. I chodzą, królu, i syczą ludowi,
Że stare bogi niczem, że krzyż Bogiem.
A z nimi czarni zachodzą w zagrody
Z olejem, z krzyżem i ze dzbankiem wody,
I lud czarują na zbratanie z wrogiem.
Popiel. Znać grom samopas błąka się z wiatrami,
A na niebiosach skamieniały bogi
I niemą pomsty na podłość i zbrodnie.
Żóraw. Grom będzie z nami, gdy ty będziesz z nami:
W twojej go ręce czują teraz wrogi;
Ty masz zbawienia i zemsty pochodnię!
Zesłańcze bogów! uklękam przed tobą,
Przemożny królu! ty jesteś wybrany
Zmienić łzy w radość — w szczęście nasze rany;
Ty, podnieść naród przywalon żałobą
Z pod pogorzelisk, krzyża i rozboju!
Jeszcze znajdziemy ducha w naszem ciele,
Jeszcze możemy wypłynąć z krwi zdroju —
Zwyciężyć jeszcze, lecz ty stań na czele!
(Chwila milczenia)
Mam-że ci mówić, jak cię naród czeka?
Mam-że cię błagać moich krwią i łzami;
W ogniach mi dawno z łez oschła powieka,
Krwi nie wysłowię spiekłemi ustami.
Patrz, królu! w każdem tchnieniu mego łona
Czuć, że tam naród mordowany kona.
(Popiel zakrywa twarz)
Ty płaczesz? Królu! tam u nas kamienie
Płaczą... O królu! ty mnie łez nie dawaj!
Ja-m tu do ciebie przyszedł po zbawienie,
Po miecz twój, wrogom straszny... Orle! wstawaj!
Popiel. Wstanę ja, ptaku mój, ja wam mścicielem!
Przez wszystkie bogi klnę się, że niedługo
Ślady za sobą trupami uścielem
Aż poza Łabę! tam za rzekę drugą!
Do Niemieczczyzny zaniesiem pożogi
I mord, a takie zatyczymy drogi
Kościotrupami Niemcom, że po wieki
Lękać się będą brzegów waszej rzeki.
Żóraw. Niech-że cię, królu, błogosławią nieba!
Popiel. Ale mi ludzi do tego potrzeba
Posłusznych jako żelazo młotowi.
Postaw mi takich, co będą gotowi
Umrzeć, gdy skinę, a wstać, gdy rozkażę;
Niech mi przysięgną na bogów ołtarze,
Że będą ślepym piorunem mej woli.
Mirosz (de Szczerba). Nie znajdzie takich. Chyba ród sokoli

Zapomniał w biedzie górą skrzydła nosić!
Żóraw. Królu, ja-m tułacz, łaski przyszedł prosić,
Więc mi ją przyjąć taką, jaką dajesz.
A ludzi, jeśli z tem na mnie się zdajesz,
Ja ci dostawię takich.
Popiel. Takich ludzi?
Żóraw. A znasz ty tę moc, którą rozpacz budzi?
A wiesz ty, co pierś, której wszystko jedno:
Żyć lub w mogiłę położyć się biedną?
Popiel. Zaiste! straszni ludzie!
Żóraw. Bez ojczyzny,
Królu! a w sercach mają takie blizny
Po tej ojczyźnie, że ich nie zaboli
Nic, cobyś, panie, uczynił ich doli,
Byleś im tylko ojczyznę ocalił.
Popiel. Daj mi tych ludzi! a ja będę palił
I ścinał z niemi Niemców bez litości.
Żóraw. Pojutrze, królu, ujrzysz swoich gości. *(Odchodzi).*
Popiel (do zgromadzenia). Ogłosić wojnę, otrąbić wyprawę!
Niech każdy broń ma gotową i strawę.
(Spostrzegając zadumanego Piasta).
A ty co dumasz tak, gołębiu siwy?
Piast. Dumam, że u nas, królu miłościwy,
Będzie tak samo.
Popiel. Kmieciu, włos twój biały
Litość zna we mnie. Dość tych słów, zuchwały!
Raz rzekłem: wiecom koniec! Mnie do lotu
Rad nie potrzeba z pod kmiecego płotu.
Piast. Ha! niechże tem rządzą możne bogi:
Wam wasza wola, a nam wiec nasz drogi.
Popiel. Dość! a do wojny stawajcie gotowi.
Kraska. Staniemy, królu!
Jarosz. Sława Popielowi!

(Przy okrzyku „Sława!“ Popiel, Zbigniew, Przemysław, Wyżymir, Jarosz, Kraska i rycerze odchodzą główną bramą do zamku. Na skinienie Piasta rozchodzą się kmiecie w różne strony).

Aktu V, Scena IV.

(Popiel, Żóraw i Świergoń wchodzą niepostrzeżeni od Adeli i Fuchsa).

Popiel (do Żórawia i Świergonia). Cicho!
Fuchs. Jeszcze buntownicy
Zadrżą przed nami jak w Zaodrzu drżeli.
Adela. Nam tu napowrót miecz drogę uścieli.
Śpieszmy! natychmiast upowiję syna —
A król?
Fuchs. Niech piekło porwie poganina!
To wróg!

Adela (idąc ku małym drzwiom). Dla dziecka matka się poświęci —
O! królu, nie klnij za to mej pamięci!
Popiel (dobywając miecza). To już ostatnia zdrada; pęknij serce!
(Do Adeli) Stój! albo mieczem łono ci przewiercę,
Gadzino podła! o! bogi, to pali
Mocniej od ciosów waszych! Więc na fali
Czółna ty czekasz, gdy śmierć na mnie bieży?
Niechże ci wszystka krew na twarz uderzy
Wszystka wylana krew przez ciebie, żmijo!...
(Do Fuchsa) Mędrku, gdzie duchy ojców moich zyją?
Fuchs (tonem pewnym). Goreją w piekle, jeśli nie ochrzczeni.
Popiel. Ty wyratujesz ich krzyżem z płomieni,
Bo mnie nie gorzeć tam, gdzie ojce gorą...
(Wtrącając Fuchsa w okno).
Precz! za stryjami mojemi w jezioro!
(Do Adeli) No, czas i tobie pomyśleć o zgonie.
Pokąd cię mogły strzedz te krwawe dłonie,
Strzegły tak wiernie, że im żal tej straży
Po twojej zdradzie; nie zagospodarzy
Po mnie nikt twojem sercem; zginiesz ze mną!
Adela (klękając). A syn? miej litość nad nim i nademną!
Popiel (ponuro). Nie mam dlań państwa. Śpiesz się! chwile drogie,
Adela (idzie ku oknu i cofa się nagle).
Na Gople fala grzmi; ja tam nie mogę...
Królu, litości... a jeśli jej w łonie
Nie masz, to naucz ty mnie, jak się tonie
W grób... Ach! pod grobem piekło się odsłania!
Popiel (spokojnie). Dziwna! ty lękasz się skonania?
Jużbyś w grób trafić mogła bez pochodni,
Stań więc i policz sobie, ile zbrodni
Chytrze wraz ze mną ręka twa zdziałała.
Zlicz pasmo twoich zdrad... Niegdyś tak biała!
A dziś opitaś krwią jako wilczyca...
I jam nie lepszy: nie odwracaj lica;
Karmu dla piekla może więcej we mnie.
Pomyśl, że wszystko stało się daremnie,
Żeśmy przeklęci i, walka skończona —
A ty, książęca córka, moja żona,
Podłych mych stryjów będziesz służebnicą!...
Choć piekło na dnie, lepszy grób, orlico...
Idź!...
(Adela po tych słowach waha się chwilę, potem rzuca się ku małym drzwiom. Chwila milczenia).
Popiel (do Świergonia). Spojrzyj, kędy pobiegła królowa.
(Świergoń odchodzi).
(Do Żórawia) Żórawiu, kto nas w mogiłach pochowa?
Gdyśmy na Niemców czynili wyprawy,
Innej obadwa czekaliśmy sławy!

(Po chwili) Hej! jeszcze mocy... na rok, na pół roku
I tam za Odrę! ty przy moim boku
Zawzięty mściciel niewoli, a z nami
Waleczni; i tam wpaść, niszczyć mordami
Plemię podlejsze od gadu... o! bogi,
Wielkieście wy mi wskazywali drogi!

Żóraw. Wielkie! *(Wchodzi Świergoń)*

Popiel (do Świergonia). Gdzie pani?

Świergoń. Skoczyła w jezioro
Z synem twym, królu.

Popiel (po chwili milczenia). Jak to leci skoro!
Ha! stamtąd już ich nie dostaną wrogi...
Gdym ją raz pierwszy wprowadzał w te progi,
Nie przeczuwaliśmy takiego końca.
Straszne to życie! kilka godzin słońca,
Kilka dni gwiazdom podobnych... a potem
Noc, przerywana zbrodniami lub grzmotem —
I grób... zdziczałem, patrz! nawet łzy jednej
Nie mam dla syna już i dla tej biednej.
Czas paść, i bogi stare runą ze mną.
(Do Świergonia) Powiedz Bożennie,[1]) niech płacze nademną;
Nie wymodliła zbawienia synowi...
Stój! — nalej pierwej miodu Żórawiowi —
Jeszcze chwil kilka; spełńmy bratnio rogi!
W różne, dalekie rozchodzim się drogi —
W jakie — nikt nie wie; moją świat przeklina...
(Świergoń nalewa czary Popiela i Żórawia).

Popiel (podnosząc czarę). Ta dla Bożenny — pożegnanie syna.
Wychyl, Żórawiu, matka ci sprzyjała.
(Do Świergonia) Idź już.

Świergoń. Jednako dola nam kłamała,
Śmierć kończy wszystko; dość się nasłużyłem. *(Odchodzi).*

Popiel (ze zdziwieniem). I ten?

Żóraw. Miał zdrową iskrę w sercu zgniłem.

Popiel (nalewając rogi). Żórawiu, jeszcze jeden róg w tę drogę.
Łzy tu zostawiam i mogiły mnogie,
A sny przerywać będzie imię moje...
Przeklęty stokroć ja i rąk tych dwoje!
Ach! jeśli który stryj krajem zawładnie,
Naród się znowu w plemiona rozpadnie,
A mnie tam straszny sny będą się śniły.

Żóraw. O nie! Zbratanie wyjdzie z twej mogiły.
Narodem wichrzył tylko ród Lechowy.

Popiel. Pod klątwą wszystkie rodu tego głowy
I wszystkie giną.

Żóraw. Lecz kędyż mnie droga?

---

[1]) matka Popiela.

Tułacz, w twe słowa wierzyłem jak w Boga,
Za ciebie wszystkie przewalczyłem boje;
Gdzie me Zaodrze, gdzie nadzieje moje?
Czy ty to czujesz?

Popiel. To najsroższa wina.
Przebaczasz?

Żóraw. Śmierci to twojej godzina.
Przebaczam! niech ci tak przebaczą bogi.

(Żóraw i Popiel podają sobie ręce; za sceną słychać wrzawę).

Popiel (dobywając miecza). Już czas...

Żóraw. To dla nas ozwały się rogi;
Stryjowie twoi idą.

Popiel (przebijając się). Witaj, cieniu! *(pada).*

Żóraw (patrząc nań z żalem). Niech świat zapomni o twojem imieniu!
A ja, ptak błędny z starganemi siły,
Wracam, w ojczyźnie poszukać mogiły. *(Odchodzi).*



VI. Zygmunt Kaczkowski.

1. Murdelio. (1854).

Na tle obyczajowem wieku XVIII, przedstawił autor postać wielce oryginalną. Murdelio jest to człowiek ambitny, gwałtowny, umysł szeroki i świetny. Namiętności, podniecone wychowaniem źle pokierowanem przez francuskich metrów, wybujały w nim nad miarę, a nie trzymane w karbach, prowadziły nie tylko do wybryków, nie tylko do szaleństw, ale i do zbrodni. Sumienie, głuszone systematycznie, odzywało się w nim tylko chwilami, ale na postępowanie wcale nie wpływało. Posiadając zdolności, które go mogły zrobić wielkim, zużytkował je na czyny dosyć powszednie podówczas: na hulanki, zrywanie sejmów, trzęsienie trybunałami, na zajazdy, porywanie kobiet, na wypędzanie i wieszanie dzierżawców, nie chcących ustąpić z jego majątków, obdłużonych przez guwernerów. Pokochawszy pannę z dobrego gniazda, przycichł na chwilę, ale gdy stary Wit wystawiał go na zbyt długie próby, zhardział nanowo, kochankę porwał i zawiózł na swój zamek. Gdy mu ją odebrano, zachorował ze zmartwienia i złości, a potem szalał jak dawniej. Panna wyszła za mąż za Strzegockiego, lecz wkrótce owdowiała: chciał ją poślubić, lecz ona, choć go kochała zapamiętale, każe mu czekać lat dziesięć. Murdelio przywdziewa habit franciszkana, ale przy sposobności hula, płatając ludziom niespodziane figle; porywa wreszcie znowu ukochaną; oblężony, nie mogąc podołać sile przemagającej, znika tajemniczo, poczem znowu zostaje mnichem i wreszcie umiera. O jego przygodach opowiada Imć pan Marcin Nieczuja, niezbyt dobrze rozumiejący niezwykłego człowieka, w którym jak inni upatrywał przymieszkę siły szatańskiej. Wit, którego poznajemy w scenie tu przywiedzionej, jestto starzec z przytępionymi już zmysłami, ale wyrastający jeszcze na bohatera, gdy mu przyjdzie bronić honoru domu. Doświadczony w szkole życia, zna słabości ludzkie i umie z nich korzystać z łagodnym uśmiechem ironii. Surowy i energiczny, przebiegły i zręczny, umie trafić do umysłu panów braci i zaprządz ich, podbiwszy bębenka, do swego wózka, choć nie liczy nigdy na krótkotrwałą życzliwość ludzi i zapał chwilowy.

— Kto się dziś patrzy na mnie przygarbionego dwoma mędlami lat, jak tu mówią Mazury — ciągnął dalej dziadek, wyciągając się

i prostując, — i na moją łysą głowę, i na ten włos rzadki, z którymby i wróble dziś igrać mogły bezpiecznie, jak z martwą strzęchą... ktoby mnie wziął za rękę, w której już nic prócz żył i kości, i dotknął się twarzy mojej babkowatej jak grzybek... czy wierzyłby ten, że ta ręka niegdy wór pszenicy brała, jak jabłko za szypułkę, że ta głowa całej chorągwi rozkazywała na wojnach, że posłowała z oszmiańskiego powiatu na sejmach, że króla Leszczyńskiego odprowadzała het, het! za morza, kiedy Sasowie przemogli... — i pociągnął znów szklankę miodu

— Niktby nie wierzył, mosanie — mówił dziadek dalej, a głos jego za każdą szklanką miodu stawał się coraz silniejszym i wymowniejszym — niktby mnie nie wierzył, i ja się temu nie dziwię, bo i ja nie wszystkiemu dowierzałem, co mnie powiadano za młodu... a tymczasem, jak mnie tu widzisz przed sobą, tak ja na własne oczy króla Jana widziałem. Byłem dzieckiem natenczas, ale tak to pamiętam, jakby się wczoraj działo dopiero — i ja, mosanie, wraz z bracią szlachtą wojowałem przeciwko Augustowi II, któregośmy niechętnie królem obrali.

— Mości dobrodzieju! — rzekłem ja na to — lubo mój ojciec nieboszczyk także do tej samej należał partyi, i lubo także tak, jak jegomość, wyrażał się o nieboszczyku królu Auguście II, jednakże ja przyznaję otwarcie, iż gdybym był żył natenczas, to nigdy, nigdy nie byłbym stanął po stronie tego, którego drapieżna Karola XII ręka gwałtownie nam narzuciła. Może to być prawdą, że król Leszczyński nieboszczyk, gdyby był osiadł na tronie, byłby daleko więcej dobrego zrobił dla narodu, i niejedną piękną po sobie zostawił pamiątkę w tym kraju; jednakże, gdyby jeszcze dziesięć razy więcej wad był miał w sobie nieboszczyk August, to już to samo, że był wolnemi głosami obranym, prawowitym się stał, i przeto naszym rękom był powierzony, już to samo byłoby dla mnie dostatecznym powodem, abym był ostatnią krwi kroplę wylał w jego obronie. Dla Leszczyńskiego zaś, jeżeli kto już dlatego samego nie utracił wszelkiego afektu, iż tenże za życia jeszcze prawowitego pana z swoją pretendencyą do tronu był się zgłosił, to go powinien był wtedy całkowicie utracić, kiedy tenże pretendent pod awanturnika Szweda i nieprzyjaciela całego rodu słowiańskiego się oddał protekcyą, i drapieżne jego głodnych rycerzów bandy naprowadził na owe ziemie, gdzie i noga taka stać nie powinna. Zresztą i tego nie waham się wypowiedzieć, że nienawiść ową, którą niektórzy mieli i mają przeciwko Sasom, zawsze uważam sobie za jeden z takich przesądów, które z prostej drogi póty nas sprowadzały na krzywe, aż póki nas na zupełne nie zawiodły bezdroże. Być może, że to pochodzi stąd, iż małem jeszcze będąc chłopięciem, do noszenia pomarańczowej czapki się nazwyczaiłem; może stąd, iż pod panowaniem Sasów światło dzienne ujrzawszy, do nich zato i serce moje nagiąłem; ale jednak i to jest pewna, że mój ojciec nieboszczyk, lubo jako konfederat dzikowski pierwszy raz się wielkiemu pokazał światu i przez to na czas długi serce swoje od Sasów odwrócił, jednak przy schyłku

zawsze mnie nie rozumiesz. Za tem, że kto wie, iż jego uczynki ledwo po połowie się zdadzą na co, wcale nie idzie, aby już nic zgoła nie robić. Mój Boże! przecież krom lat przeżytych w służbach Leszczyńskiego, służyłem jeszcze lat kilka królowi chrześciańskiemu, posłowałem na sejmach, sprawowałem urząd w powiecie; a małoż to się kompromisów nasądziło, mało stron poważnionych nagodziło, mało par naswatało, mało za innemi sąsiedzkiemi sprawami najeździło po świecie! ale przez to nie przywięzuję się do nich tej wagi, która się im nie należy, ale przez to nie poniewiera się młodości swej wyrzutami, i owej służby, w której najgorętszą się krew wypalało, nie nazywa się czasem zmarnowanym i utraconym napróżno! Niepoczciwąbym zresztą gębę miał, gdybym wiele o moich powiatowych służbach rozprawiał; zapłacono mnie za nie zgóry i to tak suto, jak tylko płacić umie szlachta oszmiańska. Najpoczciwsza-bo też to szlachta pod słońcem! — zawołał dziadek, i wysunąwszy się znowu na przód krzesła, kazał sobie podać lampeczkę miodu, a kiedy mu ją podałem, wypił ją jednym oddechem i dziwnie mi się już zmienionym być zdawał. Twarz jego się zarumieniła, wzrok rozgorzał i zgoła krew się w nim tak ruszać poczęła, jak gdyby z trunkiem mocnym nowa dusza się w niego wlała. I tak było wistocie; dziewięćdziesięcioletnie to ciało tak już zdrewniało, krew stara tak przystygnięta była w tych wyschłych żyłach, a dusza ta tak się w głąb gdzieś zanurzyła i zbezwładniała, że tylko płomień mocnego trunku wlany w ciało i wspomnienia młodości poruszone w duszy, wywoływały życie w tym starcu i rozdmuchiwały w nim ową iskrę, która niegdyś może gorzała jak słońce, ale dzisiaj już zgasła i pobielała.

— Najpoczciwsza jest szlachta oszmiańska! — powtórzył tedy dziadek — i głosem czystym a mocnym, jakby dopiero miał lat pięćdziesiąt, zapytał:

— Byłeś kiedy w Oszmianie?

— Nie, nigdy nie byłem.

— Hm! to nigdzie nie byłeś. Powiadają, mosanie — ciągnął tedy dziadek z ferworem — że każdy szlachcic od Oszmiany jedną nogę ma w bucie, a drugą w łapciu chodzi, a ja powiadam, że niemasz szlachty jak tamta. Bo to, mosanie, złoto próbuje się w ogniu, oś na grudzie, koń po nocy, a człek w biedzie. Co mi za sztuka, mosanie, być komuś przyjacielem i dbać o niego, kiedy z niego złoto kapie, wino się leje na jego stole, a sto pługów orze mu na polu? Ale niechno ci łokcie powyłażą z żupana, buty ziewać zaczną, a z domu twego tylko parę węgłów zostanie, wtedy probuj serc ludzkich, a czego doświadczysz, to już i w księgi pisz, a nie bój się, że świat okłamiesz... Otóż, kiedym miał lat może dziesięć, ojciec mój nieboszczyk, powróciwszy z wojny ruskiej, zaraz mnie odumarł; macocha zaś moja nie miała nic pilniejszego, jak, zasiadłszy wieś ojcowską, mnie odesłać do Krakowa na akademią. Słyszysz? od Oszmiany do Krakowa. Powiadali ludzie, że to się stało dlatego, abym nie patrzył na marnotrawstwo ojcowskiej szkatuły i na owe lusztyki, które się wyprawiać będą w domu moim i za mój grosz.

Ja zaś na akademii nauczyłem się: *primo*, że kiedy się nic nie jadło, to człowiek głodny; *secundo*, że kiedy biją, to boli; a *tertio*, że i szlacheckie dziecko pauprem może być i kolędować po domach z mieszczańskimi synkami, i niewięcej znaczyć od lada szewczyka, a może i mniej, kiedy rękę ma słabszą; że może także o tem wyżyć na świecie, co mu gdzie z łaski rzucą do garnka, i wyspać się w sieni księżego pomieszkania na gołej podłodze, a rano wstawszy, tak dobrze księdzu buty oczyścić, jak każdy inny. Tego wszystkiego się tam nauczyłem i dobry mogłem był nawet z tej nauki egzamen zdać, bom ją praktykował przez siedem lat.

— Co też dziadunio gada? — odezwała się na to panna Zuzanna — gdzież może być, żeby dziadunio usługiwał księżom!

— He! — krzyknął pan cześnik — i pociągnął teraz z mojej szklanki nektaru, nie tak dla odmiany, ile przez roztargnienie; pani stolnikowa zaś, która przez cały ten czas, z wielką troskliwością i upodobaniem patrzała na swego ojca, odezwała się do córki:

— Nie przerywaj dziadkowi.

A dziadek mówił:

— Otóż, mosanie, przyszedłszy do rozumu, wymędrowałem sobie powoli, że głupstwo jest buty chędożyć księżom, mając wieś dobrą i dwór porządny, i uciekłszy ze szkół, prosto puściłem się ku Oszmianie. Ja-m wtedy prawdziwym był szlachcicem oszmiańskim, ba! nawet jeszcze lepszym, jak powiada przypowieść, bo niejedna, ale obydwie nogi były u mnie bez butów, wżdy mi nie poodpadały dlatego. I owszem, zaledwie trzy mile uszedłem od Krakowa i wstąpiwszy do jakiegoś dworku, opowiedziałem się, ktom jest i za czem idę, zaraz mnie obuto i przytrzymano dni kilka. W drugim dworku darowano mi hajdawery i trzymano przez tydzień, bom już był frant miejski, wyszlifowany, pokorny a umiejący śpiewać kantyczki i nabożne pieśni, a kiedy kto chciał tego, to i światowe, bo i to umieją kalafaktory i księży służkowie. W trzecim obleczono na mnie bieliznę i znowu trzymano, bo organista był umarł, a pani była nabożna i codziennie mszy świętej pragnąca, a ja-m umiał grać na organach; dalej darowano mi żupan i kazano dzieciom łątki strugać, bo i to potrafiłem; gdzieindziej przyodziano mnie w kontusz i nie puszczono już dalej, bo zima nadeszła. Dosyć, że tak dwa lata blisko szedłem z Krakowa do Oszmiany; przecie nakoniec przyszedłem. Otóż jednego dnia, nad wieczorem, pokazała mi się wieś ojcowska pod lasem. Poznałem ją, bo tam był domek drewniany jak śnieg bieluteńki, przed nim równie biały ganeczek o czterech słupach, na którego czele była przybita Matka Boska Ostrobramska, która miała łzy w oczach a uśmiech na licu, i z tym uśmiechem patrzała na zielony przed gankiem wyciągnięty dziedziniec, na którym w środku trzy lipy stały z darniowemi ławkami i kamiennym stolikiem pomiędzy sobą. Na dziedzińcu igrały dworskie dzieci ziarnem, którego dosyć tam było, a gołębie, siedzące trzema wieńcami na lipach, zlatywały do dzieci i, pokarmiwszy się z rąk ich pszenicą, nazad poodlatywały, siadając każdy na swoje miejsce, aby się wieniec który nie rozerwał.

Bzy kwitły natenczas i głogi się rozwijały, przechylając się kwieciem swojem przez płoty, którymi był ogrodzony dziedziniec; trzódki wracały z pola i dzwoniły zdaleka, fletnia się odzywała z za lasu, powietrze pełne woni cudownej rozścielało się dokoła, a słońce, chowając się za góry, ostatnie promienie swoje posyłało na lipy, na dwór i dziedziniec. O! poznałem tę wioskę, bo tak właśnie było, kiedy mnie wysyłano na akademią dla wyuczenia się żebraniny i chędożenia butów z wysoką cholewą... Śpisz, Nieczujo?

— Boże uchowaj! mości dobrodzieju — odpowiedziałem — i owszem, słucham z wielką atencyą.

— No! nalej-że mi miodu, bo inaczej nie skończę i nie będziesz wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska; a nie śpij, bo przecie od tego herb wasz idzie, że jeden przodek twój pierwszy posłyszał zbliżanie się nieprzyjaciół w nocy i pobudziwszy wszystkich, wziął nad nimi komendę; wtedy sprawiwszy chorągwie, tak mężnie czynił, że nieprzyjaciela pogromił na łeb, a co przy życiu zostało, to wziął w niewolę. Działo się to za króla Bolesława Krzywoustego, który im za to ziemi dał moc, na której oni założyli wieś Nieczułki i pisali się: comites, i wielkie urzędy dzierżyli i wojskom hetmanili ze sławą, ale teraz na psy zeszli, jak wszyscy Czuje i Nieczuje. O! wiem, wszystko wiem... a kiedy jeszcze jedną flaszkę wypiję, to ci będę takie rzeczy gadał, o jakich ani ty, ani twój ojciec, ani żaden twój dziad nie słyszał; a czy mnie będziesz słuchał, czy nie, to mi jedno, bo i o tem wiedz, że ja nie dla ciebie gadam, jeno dla siebie. Czemuż mi nie nalewasz? hę!

— Trudnoż lać, mości dobrodzieju — odpowiedziałem — kiedy...

Ale wtem sługa przyniósł parę nowych butelek, a podczas kiedy ja nalewając, starałem się obawę moją o dziadka dać do poznania, pani stolnikowa rzekła do mnie półgłosem:

— Niech się pan skarbnikowicz nie obawia o mojego ojca; stary już bardzo i tylko mocny trunek go rozgrzewa i rozwesela.

Potem znowu cisza się zrobiła; pani stolnikowa po staremu z wielkiem upodobaniem i z miłym uśmiechem na twarzy wpatrzyła się w dziadka, Zuzia kręciła się na krześle i przygryzając wargi, ciągle coś poprawiała około stroju; Zosia, z kwiatkiem przy ustach, oczy swoje błękitne puściła gdzieś za myślą swoją, w jakiś kraj nieznajomy i pewnie tak piękny jak ona, ja zaś przysunąłem się do dziadka, który rzecz swoją tak dalej prowadził:

— Otóż przyszedłszy do bramy, najpierw psy mnie macoszyne opadły: jeden szarpnął za hajdawery i wydarł z nich szmat sukna, drugi połę rozpłatał u kontusza, trzeci za pas mnie chwycił u przodu, ale przecie ten psich zębów nie przyjął, bo był gęsty i srebro miał w sobie; jednak na tem nie przestała ta nadworna pani chorążyny milicya; rzucali się na mnie coraz z większym impetem i byliby pewnie powalili o ziemię, bo nikt nie wyszedł z poddasza, gdyby nie brytan stary ojcowski, który wylazłszy z budy i powolnym krokiem wlokąc się ku bramie, przyszedł nareszcie do mnie i zaczął się łasić około nóg moich. Milicya ucichła, a podczas gdy ludzie może się

z okien patrzyli na owe hece, pies się zlitował nade mną i obronił. W ganku zdybałem jakiegoś jegomości, który mnie spytał, ktom za jeden i czego chcę?

— Piotrowicz jestem — krzyknę — tej wsi sukcesor.

Zbladł jegomość i poszedł do izby, mnie prosząc o cierpliwość, bo pani chora. Za niedługą chwilę jednak wyszedł i rzekł wielkim głosem...

— Cha, cha, cha! Piotrowicz! a wżdy umarł Piotrowicz, pani chorążynej pasierb, na akademii w Krakowie.

— Nie umarł — rzekłem — ano żyw jest i stoi przed waszmością; proszę mnie wpuścić do pani.

— Nie może być — odpowie on, który był gach oczywisty, intruz i dyabeł sam — a pani chora jest i miałaby z tego zgryzotę.

— A któżeś ty jest? — zawołałem na niego — a jakaż jest twoja sprawa w tym domu?

— A tobież co do tego? — krzyknie on do mnie — włóczykiju samozwańcze, gałganie!

Wtedy ja, mosanie, plunąwszy w garść, w łeb go raz i drugi, i trzeci. a kiedy padł, nuż go kolanami macać tędy i owędy i pięścią biję, gdzie trafię. Ale śród tej roboty coś mnie chwyciło za kark, coś drugiego sypnęło mi parę razy w łeb, a nareszcie powaliwszy mnie i dosadzając po drodze, wynieśli i wyrzucili za bramę... Zebrawszy się z ziemi, spojrzałem na dwór; cisza znów była, jak gdyby nigdy nic, gołębie poleciały do swego gołębnika, dzieci poszły do piekarni, psy się pochowały do budy... tylko ja, pan tej wsi, ja nie miałem tam żadnego kąta na spoczynek i sen. Stałem tak jeszcze chwilę, patrzyłem, zali co się nie ruszy, zali kto nie wyjdzie, zali choć jedno serce się nie zlituje nade mną... nie! Tylko pies ów stary znów wyszedł do mnie; zaczął się łasić, chodzić koło nóg moich, parę razy głowę chciał podnieść i popatrzyć mi w oczy, ale już nie mógł, bo mu zżeleźniał kark... więc tylko się otarł pyskiem o nogi moje, położył się na ziemi, westchnął kilka razy, jeszcze raz się wyciągnął i zdechł!... Śpisz, Nieczujo?

— Uchowaj Boże! mości dobrodzieju — odpowiedziałem — i owszem słucham z wielką atencyą.

— No, nalej że mi miodu, bo inaczej nie skończę i nie będziesz wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska.

Nalawszy obydwie lampki i wypróżniwszy każdy swoją, dziadek tak dalej prowadził rzecz:

— Na czem-że ja stanąłem?

— Na psie, mości dobrodzieju.

— Aha, na psie. Otóż kiedy ten pies przy moich nogach zdechł i z nim zniknęła ostatnia dla mnie pozostałość po ojcu. ostatnie stworzenie, które dla mnie miało jeszcze kęs serca, rzekłem sobie: „Nie masz tu już co robić, panie Wicie; chodźmy precz. I śród zapadającego zmroku szedłem wprost drożyną na zachód. Niebo się czerwieniło jeszcze i coraz ciemniało na jego kresie; zrazu snadnie rozróżniałem wierzchołki drzew, potem coraz mniej i mniej, coraz ciemniej

na niebie, coraz straszniej na ziemi, aż zrobiło się tak ciemno jak w garnku. Firmament się obciągnął gęstemi chmurami, ostrość jakaś rozlała się po powietrzu; nareszcie błysnęło raz, drugi i dziesiąty, poczem straszne grzmoty zaczęły huczeć, jak gdyby jakie olbrzymie bryki biegały pędem po kamienistem sklepieniu. Straszno było... ale mnie nie; ja odmawiałem sobie wieczorne pacierze i przy świetle błyskawic postępowałem drogą do góry, rączo, żeby tylko jak najdalej nocować od domu tego, w którym nie było ani jednej łzy dla sieroty. Nakoniec przyszedłem pod las; zmęczony byłem, guzy mnie poczęły dokuczać, wiatr jął przewiewać przez dziury kontusza, więc wypatrzywszy przy błyskawicy trochę gęstwiny, wlazłem pod nią i ległem. Skończywszy modlitwy i ucałowawszy szkaplerz święty, pozostały mnie po ojcu moim i przeze mnie ciągle na piersiach noszony, chciałem usnąć, ale błyskawice i myśli moje nie dały zawrzeć mnie powieki. Więc myślałem. Myślałem, co począć teraz? Mógłbym cię procesować, moja pani macocho, i wygrałbym pewnie. Nie mam ja grosza przy duszy, nie mam przyjaciół, ani znajomych... ostatni, który mnie znał, był pies staruszek, a i ten zdechł przed godziną... ale ja mam metrykę w zanadrzu! ja mam twarz moją, a tam we dworze gdzieś wisi na ścianie konterfekt mojego ojca! ja mam czysty głos w sercu i Bóg się objawi w tym głosie, kiedy stanę przed sądem. I wygrałbym pewnie. Ale niech mnie Bóg broni od tego, abym miał nazwisko moje poniewierać po sądach... niechaj Bóg broni, aby dwoje ludzi, którzy to nazwisko odziedziczyli po moim ojcu, miało przeciwko sobie stawać do sprawy! I oto, Panie! ażebym kiedy nędzą lub głodem nie był pokuszony do tego czynu, oto klękam przed Tobą i przysięgam Ci, — niechaj się dzieje co chce, niechaj najlichsze służby odprawiam dla zarobienia codziennej strawy, niechaj żebraczemi łachmany zaświecę przed światem, niechaj Łazarz w Twem Piśmie, niemocą zdjęty i pod cudzym płotem się walający, lichej bogaczów załaknę jałmużny — przysięgam Ci, że kopca tej wsi nie przestąpię, póki się pierwszy włos siwy nie pokaże na mojej głowie!... To wymówiwszy, klęcząc i z podniesioną prawą ręką do góry, nagle mnie coś oświeciło tak jasno, żem olśnął. Zrywam się, patrzę... pożar. Piorun uderzył w dom mojej wioski... i widziałem jakby na dłoni owe trzy lipy rosochate, czarno umalowane na dnie z samego płomienia i dymu... widziałem ludzi, którzy się gromadzili pod temi lipami i wyglądali jakby sami czarci, chodzący wśród gorejącego piekła... widziałem kłęby czarnego dymu, które z czerwonemi iskrami falując nad domem, wzbijały się aż pod sam namiot boży... Panie! cóż mnie się działo natenczas!...

Tu dziadek przestał na chwilę i zamyśliwszy się, milczał. Zbudził się jednak niebawem, pytając:

— Śpisz, Nieczujo?

— Uchowaj Boże! mości dobrodzieju — odpowiedziałem — i owszem, słucham z wielką atencyą.

— He!? — spytał dziadek jeszcze w zamyśleniu.

— Słucham, mości dobrodzieju.

— Kata ty tam słuchasz; dobrze gdzieś zerkasz oczyma za pannami, albo może zgoła i na migi z niemi już gadasz, bo to u młodych jak prędko, to i zaraz.

— Wolne żarty jegomości, ale nie może to być.

— Ej! co ty mi gadasz, co być może, a co nie może! Wiem ja o tem sam dobrze.

Na to panny się trochę porumieniły, a pani stolnikowa, widocznie nierada była temu dowcipowi staruszka, jednak z wyrozumiałością a zawsze z wielkiem upodobaniem patrzyła na niego, i od razu to poznać było, że dziwnie piękna miłość i cześć jest u tej matrony dla ojca. Ja też poderwałem natychmiast:

— Ale to już mniejsza o to, byle jegomość był łaskaw dokończyć swojej historyi, bo inaczej nie będę wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska.

— A to mnie bardzo na tem zależy, żebyś ty wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska! — odpowiedział dziadek i począł coraz głębiej zapadać w krześle i drzemać.

Słaba już głowa była u tego starca, wszakże nie zasnął jeszcze z kretesem, i owszem, podczas kiedy każde z nas ani słowa się nie ważyło wymówić, on napół śpiąco a napół pijano, następnie ciągnął opowiadanie:

— Jaka jest szlachta oszmiańska! hm! drugiej takiej pewno niemasz na świecie. Bo czy kto słyszał o tem, prócz w bajkach, czy praktykował kto tego, aby się cały powiat hurmem zajął losem sieroty? żeby przez lat siedmnaście administrował fortunę kogoś takiego, o którym cały świat mówił, że już kości jego dogniły w grobie? żeby sierota odtrącony od swojej wioski, z dworu swego wyrzucony za bramę i psami wyszczuty, w lat dwadzieścia wróciwszy, zastał wieś całą i nieruszoną, dwór w niej tak odbudowany, że ani jedną belką się nie różnił od spalonego? Matkę Boską nawet tę samą, która w ogniu ocalała, nad gankiem, i dwa worki gotowizny we skrzyni? Słyszał to kto kiedy w tych czasach?... Moja macocha żyła jeszcze trzy lata, a po trzech latach nie umarła, ale w dzień zaduszny ze swoim gachem, który był dyabeł sam z Łysej góry, pojechała gdzieś precz... het! gdzieś do Niemiec. Tak powiadali ludzie; kolega mój nawet, który służył ze mną królowi chrześciańskiemu, a który jeździł był z Francyi do swoich, powiadał mnie, że powracając, sam na żywe oczy gdzieś ją widział na Niemcach. Karetą i czterema końmi karemi, z harbajtlowym obok siebie amantem, jechała na bal do miasteczka. Wszystka służba koło niej była czarno ubrana, w harbajtlach i kusych sukienkach — wszystko dyabły zamorskie; polskich miała już dosyć. Na tę wiadomość, ja jeszcze nie powracałem — nie mogłem — nie miałem jeszcze włosów siwych na głowie, alem już ich zapragnął. Czy widziałeś, Nieczujo, takiego kawalera, któryby włosów siwych na własnej głowie wyczekiwał, jakby zbawienia? he?... Ja dwadzieścia lat o nie Pana Boga w codziennych modlitwach prosiłem. I wysłuchał mnie. Wróciłem i stałem się odrazu bogatym. Wieś po ojcowsku zagospodarowana i dwa worki

dukatów, to wielka fortuna! Błogosławił mnie też Pan Bóg za moją nędzę w młodości... za przekleństwa macochy... za siedmioletnie pauprostwo... za guzy odebrane od gacha... za dwudziestoletnią poniewierkę po świecie. Wszystko mi się wróciło. Ożeniłem się Byłem bardzo szczęśliwy. Miałem żonę kochającą, córkę pieszczotliwą, dobrą wolę wokoło, ani jednego nieurodzaju, ani jednego pomoru, żebraka nawet trudno było dojrzeć pod one czasy. Byłem bardzo szczęśliwy i byłbym nim do dziś dnia, ale znowu gach niepoczciwy!... znowu jeden dzień gromów i guzów — i wszystko przepadło!

2. Olbrachtowi rycerze. (1889).

Ze wszystkich historycznych powieści polskich, ta daje najpełniejszy obraz cywilizacyi danego czasu, mianowicie końca wieku XV. Mamy tu najprzód osobistości ze świata szlacheckiego w najprzeróżniejszych odcieniach: od króla Olbrachta, ukazanego nam zarówno w powadze majestatu, gdy rozprawia o ważnych sprawach kraju, jak i w chwili rozochocenia biesiadniczego, aż do dowcipnych, ciętych błędnych rycerzy w rodzaju Jana Feliksa Kergolaja, oraz do giermków, z pomiędzy których marzycielski, poetyczny Lubek Pretficz jest, mimo swej skromnej roli w powieści, jedną z najsympatyczniejszych i najsubtelniej narysowanych postaci. Następnie duchowieństwo, znowuż w przeróżnych odmianach od ojca Chryzostoma, kardynała Fryderyka, aż do łgarza, tumaniącego ludzi opowiadaniami o swych stosunkach ze świętymi, księdza Wary. A dalej mieszczaństwo lwowskie, wybornie odtworzone w osobach starego ormiańskiego kupca Kijasa, który doświadczeniem i bystrym rozumem góruje nad niejednym rycerzem i umie wzbudzić dla siebie poważanie nawet u króla; Kundrata, który pomimo swojego doktorskiego tytułu, jest najniezaradniejszym i najśmieszniejszym we wszystkich swych postępkach; Pachny, przyjmującej zaloty liczne, ale umiejącej sobie radzić w najtrudniejszych położeniach. A dalej jeszcze Rusini doskonale nakreśleni: Biłowus, Daszkiewicz, Olizar, Ofka. A ci ludzie wprawieni są wszyscy w ruch: bawią się, kłócą, płatają sobie figle, rozmawiają, oddają się bogomyślności, robią na siebie zasadzki, staczają z sobą bitwy. Wszystko drga tu życiem. Autor bardzo rzadko ubiega się o efekt umyślny, dowolną kombinacyą wypadków sprowadzony, ale wszędzie prawie efekt ten osiąga przez prawdę i wybitność szczegółów. Nie chce też pozyskać łatwego uwielbienia przez takie ugrupowanie scen, żeby przez nie wywołać w ostatku przyjemne, łechcące wrażenie: obok grozy stawia trywialność, obok wzruszającej, scenę śmieszną, obok uniesień, chłodne wyrachowanie — jak jest w życiu rzeczywistem. A przecież nie wynika stąd niesmaczna mieszanina, bo miara prawdziwie artystyczna niemal wszędzie jest zachowana. W szczupłych rozmiarach na tem miejscu podaję tylko scen kilka, ugrupowanych około postaci Kijasa.

W tem mieście[1]) tak ciasnem, lecz zarazem tak tłumnem i pełnem tak różnorodnego rozgwaru, w rogu wschodniej połaci rynku, obok cokolwiek później zbudowanego arcybiskupiego pałacu, stała kamienica o sześciu oknach wychodzących na rynek, ale ciągnąca się wzdłuż ulicy, wiodącej ku cerkwi wołoskiej aż ku ulicy Ruskiej. Był to podówczas największy i najpokaźniejszy dom w mieście, o dwóch piętrach, murowany, u dołu z ciosowego kamienia, wyżej z czerwonej cegły, opatrzony kamiennemi krużgankami, a nakryty wysokim dachem z dachówki, który był obwiedziony zębatym mu-

[1]) we Lwowie.

rem, prawie jak forteca, a nad którym sterczały olbrzymie kominy, prawie jak baszty obronne. Wszystkie ówczesne domy mogły mieć tylko trzy okna od frontu, bo tak chciało prawo, ale właściciele tej kamienicy, dzięki swojemu bogactwu i wpływom, potrafili sobie wyrobić sześć okien, za co się wszakże obowiązali zmurować je obronnie i w danych wypadkach przechowywać w niej skarby, jakieby im do schowania oddano. Toż był ten dom istną fortecą. Prowadziła doń od rynku brama wjezdna żelazna, wszystkie okna w przyziemiach były zakratowane i zamykały się na okiennice żelazne. Tutaj od frontu znajdował się kram otwarty, zamykany także na drzwi żelazne, w którym sprzedawano bakalie i rozmaite inne towary do codziennego użytku. Obok kramu był kantor, w którym wymieniano pieniądze i załatwiano wszelkie inne sprawy pieniężne. Dalej szły składy drogich tkanin tureckich, perskich, indyjskich, a z tyłu znajdowały się magazyny, napełnione wełną, skórami, suknami, płótnem i inną tkaniną pospolitego gatunku. Wewnątrz był wąski a długi dziedziniec, tak, że weń mogły zajeżdżać wozy, a wyjeżdżały tylną bramą, już nie tak bardzo forteczną.

W tych przyziemiach trwał ruch bezustanny od rana do późnego wieczora, tak, że do otwartych drzwi kramu trudno się było przecisnąć, zaś bramą otwartą wchodzili tylko ci ludzie, którzy na górne szli piętra. Z tego wjazdu prowadziły szerokie, paradne schody, opatrzone rzeźbionem, z dębowego drzewa poręczem, na pierwsze piętro, gdzie się znajdowały bardzo obszerne i bardzo bogato przyozdobione komnaty, z których największa część była przeznaczona na przyjmowanie gości, inne na mieszkanie rodziny. Pierwsze z tych komnat były napełnione pysznymi sprzętami z rzeźbionego drzewa i ozdobione makatami, porozwieszanemi po ścianach, nad kominami błyszczały w misternych ramach wspaniałe weneckie zwierciadła, u stropu pająki bronzowe, rzeźbione przez znakomitych sztukmistrzów włoskich, przy ścianach stały tu i owdzie szafy oszklone gdańskie, nasiekiwane na czarnem drzewie perłową macicą, i inne niemieckie, składane z drzewa najrozmaitszych kolorów, a wszystkie napełnione cennemi naczyniami ze srebra, porcelany i bronzu. Zgoła komnaty te zadziwiały swojem bogactwem; ale bywali już tutaj królowie, biskupi, posłowie papiescy i rozmaitych innych mocarzy i także nie mogli im się nadziwić. Na drugiem piętrze znajdowało się jeszcze więcej komnat, bo były mniejsze, ale wszystkie dostatnio w wszelaki sprzęt opatrzone, tak te, w których mieszkała rodzina, jak i owe, co w nich czasem mieszczono gości.

Właścicielem tej kamienicy był wówczas najbogatszy kupiec ormiański; nazywał się Epaminondas Arzebek Chiaao, ale że nie każdy mógł łatwo jego nazwisko wymówić, więc go powszechnie nazywano Kijasem. O jego pochodzeniu różne chodziły wieści, o które on się jednak wcale nie troszczył. Jedni mówili, jakoby szedł z wyspy Chios i stąd wziął nazwisko, a ci powiadali go Grekiem z przodków ormiańskich; inni mienili go być potomkiem książąt ormiańskich, dlaczego też kładł miano Arzebek przed swojem nazwiskiem. Wsze-

lako od starych Ormian, zresztą może cokolwiek zazdrośnych, chociaż zazwyczaj tej wady nie mają, szła także powieść, jakoby jego pradziad przyszedł tutaj piechotą z Jazłowca, z początku handlował koziną, potem bakalią, a wreszcie towarem cenniejszym, czem się dorobił majątku dla siebie i swoich potomków, którzy go wszakże wciąż pomnażali, aż wreszcie przyszli do takiego bogactwa, że im równego nie było ani tu, ani w Kamieńcu, ani w Suczawie, a na ich słowo dawano krocie w Kaffie i w Carogrodzie, w Wenecyi i w Gdańsku. Kijas jednak o tem wszystkiem nawet nie wspominał, bo był to człowiek rozumny i wiedział, że kmieć, mieszczanin, czy szlachcic, tylko tem stać powinien pomiędzy ludźmi, co sam zaważy, a nie tem, co tam kiedyś ważyli jego przodkowie.

Kijas miał wówczas lat sześćdziesiąt z okładem, duży był wzrostem, kościsty i silny, twarz także miał dużą, całkiem ogoloną, nos mocno garbaty, ormiański, oczy duże, siwe, krzaczystemi brwiami zakryte, i siwą czuprynę dosyć bogatą, ale zazwyczaj trochę w nieładzie. Na jego twarzy malowała się bardzo wydatnie przytomność i świadomość siebie samego, dość było spojrzeć na niego, ażeby wiedzieć, że temu człowiekowi nie można pleść lada czego, bo niełatwo uwierzy; ale na tej trzeźwej twarzy odbijał się także spokój, właściwy wszystkim ludziom wytrawnym, dobroć serca i łagodność umysłu. Toż ten uprzejmy wyraz jego twarzy zniewalał wszystkich do tego stopnia, że kto go poznał, zaraz miał zaufanie do niego, a chociaż po raz pierwszy z nim mówił, był z nim, jak gdyby go znał od lat niepamiętnych.

Kijas był człowiekiem niezwyczajnego rozumu, który zresztą pod owe czasy, jeśli nie wyłącznie, to przynajmniej przeważnie znajdował się w stanie mieszczańskim, bo ten właśnie stan pielęgnował starannie wszelkie nauki i zawiadywał sprawami ekonomicznemi całego świata. Był on jednakże nietylko ukształconym, ale także uczonym. Mówił pięciu językami poprawnie i płynnie, znał jeografią całej Europy na palcach, znał wszystkie targi europejskie pod względem ich znaczenia, ich towarów, kredytu i obyczajów, znał się sam na wszelkiego gatunku towarach, od żaglowego płótna do najpyszniejszych tkanin indyjskich i drogich kamieni, był namiętnym zbieraczem wszelkiego rodzaju osobliwości, a oprócz tego kochał się w pergaminach i książkach, których miał całą szafę, na bardzo misterny zamek zamkniętą.

W tej szafie znajdowały się rękopisma bardzo cennej wartości, pomiędzy którymi *Flores legum*, kosztujące szesnaście grzywien; przepyszne kopie Wirgiliusza i Horacego, a obok nich kilka pieśni Komedyi Boskiej Dantego, pisane na pergaminie i inkaustami rozmaitego koloru, z inicyałami, przedstawiającymi te figury, których opis znajduje się w tekście, i z marginesami, pokrytymi złoconym rysunkiem. Za cenę tych pergaminów można było dobrą wieś kupić; ale na tem nie dosyć. Albowiem obok tych rękopismów, leżały ustawione ze znawstwem wszystkie najnowsze druki polskie, które dopiero niedawno zaczęły się zjawiać, jak *Diurnale secundum usum Ecclesiae*

Cracoviensis,[1]) wydane dopiero przed dwoma laty, jak Mszał wrocławski, Mszał krakowski, drukowany w Moguncyi, w roku 1487 i dwa Mszały norymberskie Hallera. Kijas był o te książki, a zwłaszcza o pergaminy tak zazdrosnym, że wprawdzie każdemu je pokazywał, czytał sam i tłómaczył, ale nikomu do ręki nie dawał z obawy, aby mu ich nie zabrukał. Równą słabość miał także do drogich kamieni, które namiętnie skupował, ale je z zyskiem sprzedawał.

Wszelako jego wielki rozum objawiał się głównie w administracyi jego niezmiernie rozgałęzionego handlu, a obejmująeego niemal wszystkie znane towary i rozpostartego na przestrzeni połowy Europy. Tu trzeba było głowy nadzwyczaj zdrowej, aby tem wszystkiem zarządzać. Kijas miał bowiem zmonopolizowane dla siebie fabryki, jak w Tustani i wielu innych miasteczkach, miał własne statki na Dniestrze, na Sanie i Wiśle, miał własne kramy i składy w Przemyślu, Łańcucie, Kamieńcu i Suczawie, miał własne kantory w Gdańsku, Wenecyi, w Kaffie i Carogrodzie, a do tego mnóstwo rozmaitych przedsiębiorstw w samym Lwowie i po przedmieściach, a przecie ta cała administracya była jak zegarek, nie zdarzały mu się nigdy znaczniejsze szkody, ani nieprzewidziane wypadki, a majątek się ciągle pomnażał. Kijas miał także w swem zawiadowstwie bardzo znaczny majątek ziemski koło Trembowli, należący do jego synowej; sam większych posiadłości szlacheckich nie łaknął, kupił tylko przed kilku laty wieś Skniłów pod Lwowem i dał za nią sześćdziesiąt grzywien, rycerskiego konia, sobolową czapkę i parę butów ormiańskich; ale kupił ją tylko dlatego, że jego syn, mający ambicye szlacheckie i zamiłowanie w koniach, naparł się jej koniecznie.

Natomiast wszakże, idąc śladem swych ojców, dbał o to, aby miał w mieście znaczenie i miał je, bo był już prokonsulem wiele razy, od kilku lat był już w odstawce i nosił tytuł *Consul antiquus,*[2]) ale mimo to tak był respektowany, jak gdyby był arcykonsulem czynnym, i żadna ważniejsza sprawa nie odbyła się w mieście bez jego rady. Pomiędzy miejską starszyzną miał zazdrosnych jak każdy, co głową przenosi innych, ale natomiast wszystkie niższe warstwy były mu całem sercem oddane, bo był uczynnym i miłosiernym, nikomu nigdy nie odmówił pomocy, często nawet sam się z pożyczką lub datkiem narzucił, a zawsze to robił po chrześciańsku, że lewa ręka nigdy nie wiedziała o tem, co prawa wydaje. Lubił także robić basztangi osobom zamożnym (tak Ormianie nazywali podarunki), więc temu dywan dyfdykowy, drugiemu bursztynowy różaniec, trzeciemu chustkę indyjską dla jego małżonki; ale wtedy już jego głowa wiedziała, dlaczego to robi.

Epaminondas Arzebek Chiaao nosił zwykle na głowie biret niemiecki, na sobie suknię długą z czarnego sukna lub aksamitu, na nogach zaś buty żółte albo czerwone i tak go można było widywać, siedzącego w drzwiach otwartych swojego kramu, na worku

[1]) nabożeństwo codzienne według zwyczajów kościoła krakowskiego.
[2]) były konsul.

pieprzu, witającego uprzejmie przechodniów i rozpytującego ich o codzienne nowiny lub plotki, obiegające po mieście. Pilnował przytem swojego kramu, który mu wprawdzie nie przynosił ani dziesiątej części jego dochodów, ale o którym sam mawiał, że to jego chleb powszedni.

. . . .

Do stołów siadano wówczas, tak jak i dzisiaj, według godności i wieku. Przy głównym stole wojewoda siedział we środku, a naprzeciw niego arcybiskup lwowski, koło nich zaś po jednej stronie i drugiej dygnitarze, duchowni i świeccy, alternując z poważniejszemi matronami. Za każdym dygnitarzem stał jego paź albo wyrostek, podając mu talerze i nalewając kielichy, za matronami panny służebne, a czasem własne ich córki. Kijas, Tygranes, Formoza i Kundrat, wcale nie zasiedli do stołu, tylko służyli wszystkim, pilnując zarazem, ażeby służba szła gładko i sporo... Młodzi kawalerowie także się kręcili koło stołów, rozbierając indyki i kapłony, usługując starszym i prawiąc grzeczności pannom swojego serca, a wyręczając je w służbie około ich matek.

Jedzono nie żartem, a pito, co szyja strzymała; zaś po każdem daniu rybałci uderzali w instrumenta muzyczne i grali jakąś pieśń wesołą ku rozradowaniu serc biesiadników. Po każdej pieśni puszczano w kolej kielichy i pito przezdrowia starszyzny, wojewody i arcybiskupa, kasztelana i obydwóch władyków. Tak to się powtarzało przez pierwszą połowę wieczerzy, ale w drugiej połowie sam wojewoda zaintonował starą pieśń rycerską i kazał do niej brząkać rybałtom. Chór ten nie bardzo był harmonijny, ale bardzo wesoły. Po pieśni znowu jedzono i pito. Potem śpiewano znów pieśni inne, polskie i ruskie, coraz weselsze, aż wreszcie ten i ów zaśpiewał jakąś piosenkę rubaszną i tłustą, której dziśby nie można powtórzyć, ale której podówczas zawsze wtórował śmiech homeryczny. Śmieli się senatorowie. śmiały się stare matrony, śmiały się panny, że aż okna brzęczały. Tylko arcybiskup się raz i drugi pokręcił na stołku, aż wreszcie wstał i dał znak, że godzi się koniec położyć wieczerzy.

Wszyscy więc wstali i przeszli do drugich komnat, lecz przeto się jeszcze nie skończyła zabawa. Senatorowie, duchowni i świeccy poszli do ostatniej komnaty, zabrawszy ze sobą co poważniejsze matrony, a tam zastali stoły zastawione spleśniałemi flaszami, w których się znajdowały najwyborniejsze małmazye i stare wina cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Towarzyszył im sam stary Kijas, a nalewając kielichy, tłómaczył im nazwę i pochodzenie każdego likworu; skąd się pokazało, że niektóre z nich miały po lat kilkadziesiąt, a innych nie można było dostać za żadną cenę. Mieli je chyba tylko Fuggierowie w Sztutgardzie, albo inne równie po książęcemu zamożne i zaopatrzone domy kupieckie w Gdańsku, w Genui albo w Wenecyi. Po zamkach rycerskich bardzo rzadko tak stare i takie drogie znajdowały się wina, bo rycerze ówczesni mieli takie pragnienie, że żadnemu trunkowi nie dali się zestarzeć; tylko roztropni a zarazem umiarkowani w swoich pragnieniach kupcy takie skarby miewali.

Kijas, nalawszy taką odwieczną małmazyą kilka kielichów, podał jeden z nich wojewodzie i rzekł:

— Racz wasza miłość skosztować. Nie lubię się chwalić, ale w tym razie mogę ichmościów zapewnić, że takiej drugiej małmazyi w całej Polsce nie znajdzie.

Zaś drugi kielich podał arcybiskupowi. Odydwa skosztowali i spojrzeli prawie ze zdziwieniem na starego Kijasa. Wojewoda pierwszy zawołał:

— Panie bracie! ledwiem skosztował, a już mi się zdaje, żem wszystkich aniołów na niebie obaczył.

A Kijas zatarł ręce i odpowiedział:

— Po drugim kielichu wasza miłość samego Pana Boga obaczysz.

Arcybiskup zaś, który miał się już żegnać i wychodzić, ażeby nie patrzeć na to, co się dalej dziać będzie, skosztowawszy jeszcze raz, siadł poważnie u stołu, trzymając swój kielich w ręku i patrząc ciekawemi oczyma na starego Kijasa. Jego twarz przybrała wtedy wyraz bardzo wymowny, zdało się, jakoby mówił do siebie: — Znam tego kołtuna od lat niepamiętnych, alem nie wiedział, że ma takie nektary w swojej piwnicy. Od nich przeszedł Kijas do matron, które w innym zebrały się kącie, i ponapełniał ich kielichy słodkiem winem cypryjskiem. Bardzo niebezpieczne to wino, bo się pić daje, ale rozpala krew, a potem się wspina do głowy. Nie wiedzieć dlaczego Kijas takim zdradliwym trunkiem poczęstował takie poważne kobiety. Ej, czy tylko figlarny czasami starzec nie chciał jakiej sztuczki wypłatać ich mężom! Ale być może, że pragnął tylko, ażeby mu jego wino chwalono. Jakoż istotnie przyjęty jest przez wszystkie damy z oklaskiem, które też zaraz około stołu zasiadły, popijając po kropelce, lecz często i zachęcając jedna drugą dopóty, aż póki się wszystkie nie rozochociły. .

Po chwili około senatorskiego stołu zaczęło się robić coraz gwarniej i głośniej. Wojewoda rozprawiał o królu, wychwalając jego rycerskie zalety i przepowiadając, że za maluczko cały świat swymi czynami zadziwi i wszystkie kraje swoją sławą napełni. Chorowity kasztelan skarżył się na upadek powagi szlacheckiej na Rusi, na zuchwalstwo kmieci i mieszczan, i przyszłość w czarnych malował kolorach. Łopatka przyznawał wprawdzie, że nie wszystko idzie takim porządkiem, jak trzeba, że w uzbrojeniu obydwóch zamków są szczerby, króreby trzeba jaknajprędzej połatać, że drobna szlachta upada, ale jak w Krakowie zątrąbią, to jeszcze Ruś światu pokaże, co warta jest w polu. Arcybiskup zaś widział wszystko złe w obojętności dla wiary, w ubóstwie księży, w niedostatku kościołów i pragnął, ażeby młody król, nim wszystkie kraje swoje sławą napełni, poszedł raczej w ślad swoich przodków, w ślad Kazimierza Wielkiego, który Polskę zmurował, w ślad Władysława Jagiełły, który dbał tak gorliwie o wiarę i tak szczodrobliwie wyposażał kościoły. Bardzo to tedy poważna była gawęda, ale w miarę wychylanych kielichów, coraz głośniejsza i coraz gwarliwsza, że wreszcie kilku mówiło razem i jeden drugiego nie mógł dosłyszeć.

Małmazya rozwiązała języki mężom, ale wino cypryjskie rozweseliło serca jejmościom. Tam było gwarniej, tu trochę ciszej, ale daleko serdeczniej. Poważnym matronom zrobiło się bardzo gorąco, zaczęły więc najprzód zrzucać ze siebie sobole i kuny, a potem ta i owa wzięła swoją sąsiadkę pod pachy i zaczęła z nią tańczyk wywodzić. Spostrzegli to mężczyźni, nuż do nich i dalej w pląsy. Wojewoda pierwszy kazał zawołać rybałtów i puścił się owago powolnego oberka, który Niemcy tutaj przynieśli a Rusini przyjęli.

Arcybiskup wstał i zaczął się rozpatrywać z właściwą swojemu wysokiemu urzędowi powagą, kędy cieśla drzwi zrobił. Uważny na wszystko Kijas przybiegł mu w pomoc, a podawszy mu ramię, wyprowadził go wśród rozstępujących się tłumów przez sień i schody, aż do jego karety. Dziękując mu za tę atencyą i namyśliwszy się dobrze nad tem, co mu ma powiedzieć, rzekł arcybiskup do niego:

— Dobre masz wino, panie Epaminondas, ale okropnie zdradliwe. Uważajże, aby zgorszenia nie było, bo jutro mi spowiedników nie starczy.

— Illustrissime, — odpowiedział mu Kijas — gospodarz dba o to, ażeby się goście zabawili u niego, a miarę musi zostawić ich własnemu sumieniu. Ale u mnie mój syn ma oko na mężczyzn, a pani Formoza swoją własną przyzwoitością daje przykład kobietom.

Tymczasem, jak tylko arcybiskup odjechał, w drugiej najpiękniejszej komnacie całkiem inaczej się rozhulano. Tańczono podówczas jakiegoś menueta, taniec poważny i bogaty w rozmaite figury, do którego rycerze w pełnej zbroi stawali, a damy w ciężkich robronach, w których ledwie mogły się ruszać. Tym tańcem dowodził Kergolaj, idąc w pierwszą parę z Formozą i komenderując innymi. Grali mu rybałci na cymbałach, harfach i trąbkach, i wszystko odbywało się przyzwoicie. Ale kiedy lepiej podpito, taniec ten nie wystarczał ochocie, zaczęto więc skakać, każdy według swego konceptu, a nawet według temperamentu, bo wyprawiano już zbytki z kobietami. Do tego jeszcze ten hukał, a drugi śpiewał, kobiety broniły się z uśmiechem i krzykiem natarczywym mężczyznom, a młodzi tworzyli osobne kółka po kątach, biorąc się pod ramiona i otaczając panienki, a zmuszając je do pląsów, według swojej woli. Komnata cała napełniała się wtedy krzykiem i piskiem i tak chaotycznym hałasem, że już i muzyki nie można było dosłyszeć. Tygranes, który miewał napady swawolnego panicza, co gotów szyby tłuc, ażeby tylko zabawić siebie i drugich, zamiast po myśli swojego ojca mieć oko na mężczyzn, wpadał, jak raca pomiędzy skaczących, śpiewał jakąś piosnkę ormiańską, której pierwszą zwrotkę ciągle powtarzał, jednego po drugim obydwiema rękami uderzał w piersi, innego za pas pociągnął, aby go przewrócić, a nawet i kobietom różne psoty wyprawiał. Napróżno mrugała na niego, a czasem i ręką kiwała Formoza, młodzieniec tak się rozszalał jak żrebiec, co się wyrwał ze stajni w wirydarz i bryka, depcąc swojemi kopytami piwonie i tulipany, fiołki i róże.

Ale był tam ktoś jeszcze szaleńszy od niego, a to był Olizar.

Szczery ten Rusin brał wszystko na seryo, co robił, czy w kości grał, czy dziewczęta uwodził, czy pił, czy tańcował. Jutro już o tem zapomniał, ale czem właśnie się zajął, to wykonywał gruntownie i z najwyższą energią. Jemu jeszcze to wszystko było zamało, taniec zanadto powolny, a muzyka, jak gdyby kto grał na drumli. Skoczył więc do drzwi i trębaczy zawołał. Trębacze z żołnierzami i dworakami pili w dziedzińcu, zaraz więc przyszli i według komendy Olizara uderzyli w trąby, tarabany i kotły. Dopieroż wtedy zaczął się modą ówczesną taniec prawdziwie szalony: już nie chodziło o to, kto kogo przesadzi w skokach, ale kto kogo przewróci. Wśród piekielnego hałasu i strzelających wybuchów śmiechu, wśród wrzasku trąb i grzmotu bębnów, kotłów, przewracano mężczyzn i przewracano kobiety. A wszystko to wirowało pędem szalonym wokoło komnaty, jak gdyby już świat miał się skończyć, jak gdyby już ziemia zapaść się miała.

. . . .

W niedzielę tedy, zaraz po nieszporach, kiedy słońce czerwcowe jeszcze dosyć wysoko świeciło na niebie, otworzyły się wszystkie Kijąsowe komnaty na przyjęcie gości. Kijas miał pięć komnat obszernych na pierwszem piętrze, z których w dzień wielkich festów dwie w izby jadalne zamieniał, a trzy do zabawy i tańców przeznaczał. Wszędzie przygotowano mnóstwo świec jarzących, bo jak dziś, tak i wówczas, mnogość światła była głównym warunkiem świetności przyjęcia. W izbach jadalnych pozastawiano ogromne stoły, na których na wielkich srebrnych, glinianych i drewnianych półmiskach i misach piętrzyły się combry jelenie i sarnie, uda wołowe i baranie, pieczone indyki, gęsi i kapłony, pomiędzy niemi zaś na płytkich talerzach misterne i suto ocukrowane pieczywa (cukier był jeszcze wtedy rzadkością i tylko w bardzo zamożnych domach go miewano), pierniki toruńskie, już wtedy znane, a nadewszystko pulchne podługowate kukiełki, cienkimi listkami złota oblepione, najwykwintniejszy przysmak piekarski owego czasu. Wszystkie te misy i półmiski opierały się o niezliczoną ilość dzbanów, srebrnych konewek i butli, napełnionych miodem, małmazyą i rozmaitemi innemi winami. Po kątach na pięknie rzeźbionych kobylicach, stały beczki z piwem, a przy nich chłopcy sklepowi, w świąteczne szaty ubrani, z kubkami w ręku. Trzy inne komnaty były przybrane w wieńce z liści dębowych i kwiatów, w których się wtedy bardzo kochano, a na podłodze porozścielano dywany tureckie i perskie, w tak pyszne kwiaty dziergane, iż prawie żal było stąpać po nich butami. Ale Kijas dziś nie żałował niczego, bo najprzód chciał Kergolajowi pokazać, że kupiec lwowski nie gorszy od innych, a potem właśnie dnia wczorajszego nowy wojewoda ruski zjechaj na Niski Zamek i przyrzekł mu jego festyn swoją zaszczycić obecnością — a Tygranes, dbający bardzo o łaskę możnych, uprosił sobie u ojca, ażeby kredkę na dzisiaj w kąt rzucono i nie rachowano, co ta feta będzie kosztować. Zaczem, czego nigdy dotąd nie czyniono, dziś nawet wschody i wjazd do bramy zaścielono suknem czerwonem, w dziedzińcu zaś zastawiono także obfite stoły dla sług i żołnierzy, którzyby przybyli z panami.

A wtedy już zaczęli goście się walić, jedni na koniach, drudzy w lektykach, przez wyzłoconych Bośniaków niesionych, a trzeci pieszo, pojedynkiem i gromadami. Wojewoda, kasztelan i podstarosta, przyjechali konno, na wielkich ogierach rycerskich, wiodąc za sobą knechtów konnych i pieszych. Wojewodą ruskim, niedawno co mianowanym, był wtedy Mikołaj Tęczyński Toporczyk, kasztelanem Stanisław z Chodcza, herbu Poraj, a podstarostą Rusin Łopatka, herku Poraj, dziedzic na Ostałowicach. Wojewoda był to mąż potężny budową i wzrostem, z wielkim nosem i dużemi siwemi oczyma, ale gałowąs a ubrany z francuska, w kaftan z dwubarwnego atłasu z bufiastymi rękawami i takież krótkie hajdawery, w pończochy jedwabne i długie śpiczaste trzewiki z pozłocistemi sprzączkami. Na głowie miał kapelusz z podniesioną z jednej strony szeroką kryzą i bogatemi strusiemi piórami. Tak trochę z błazeńska wyglądał, wszelako płaszcz, choć nie długi, ale sobolami podbity i wyłożony, dodawał mu senatorskiej powagi. Wąsy zawiesiste, złotolite żupany i pasy i długie delije, jak w ogólności owe poważne i piękne stroje narodowe, któremi Polska tak świetnie błyszczała pomiędzy innymi narody, zaczęto nosić dopiero w wieku następnym.

Kasztelan, ubrany w strój tejsamej mody, był nie bardzo pokaźny, miernego wzrostu i chudy, o bladej twarzy i rzadkiej siwej brodzie i widać było po nim, że już na nim usycha ten ród, niegdyś znakomity i możny, panujący na Chodczu, do którego należała część znaczna Pokucia, na Lubieniu, na Chłopach i wielu innych majątkach, a idący przez długie czasy z przemożnymi Odrowążami o lepsze, których przewagi, gwałty i wojny domowe, jeszcze natenczas, to w malowniczych, to w strasznych powieściach, obiegały wszystkie chaty na całej Rusi.

Zato Łopatka był czerstwy i zdrów, rumiany na twarzy i jędrny, nieodrodny syn owego niepożytego ruskiego szczepu, który już tyle wytrzymał niedoli, a ani na duszy, ani na ciele nie upadł, — miał białą czuprynę i krótko strzyżoną brodę, kaftan aksamitny z guzami, buty rycerskie i szablę krzywą u boku. Ani półmiskiem ani kubkiem nie gardził, od gładkiej podwiki także oka nie odwrócił, ale był bardzo szanowany od wszystkich jako mąż sprawiedliwy a zresztą jako potomek bardzo starożytnego rodu, który od wieków był jednym z pierwszych na Rusi a nawet jeszcze i potem kwitnął dość długo i niejednego władykę wydał ze siebie.

Prawie jednocześnie z senatorami przybyli biskupi: Jędrzej Boreszowski, herbowny brat kasztelana, arcybiskup lwowski, w pozłocistej karocy o jednych drzwiczkach, a biskup ormiański Kilian i ruski władyka piechotą. Istniały już wówczas karety o dwóch drzwiczkach i oknach, ale arcybiskupi lwowscy jeszcze nie mogli sobie takich zbytków pozwalać. Hojnym był wprawdzie dla nich Władysław Jagiełło, ale jego synowie cokolwiek mniej; musieli więc sami, idąc za przykładem Grzegorza z Sanoka, oszczędzać grosz i dobra skupować, wszakże i to szło im oporem, bo ich chorągwie, które

tak dla powagi, jak dla obrony utrzymywać musieli, prawie wszystkie oszczędności im pochłaniały.

Arcybiskup był to mąż bardzo poważny; około pięćdziesięciu lat wieku, wysoki, z długą brodą, w długim jedwabnym tabarze z czerwoną uszatą piuską na głowie. Kilian był mały i chudy, ale bardzo wesoły, Władyka zaś prawie jeszcze młody, z czarną brodą do pasa, rubaszny, ciekawy, za pan brat ze wszystkimi, wielki przyjaciel ślubów, chrzcin i styp pogrzebowych; obydwa zresztą lubili sute wieczerze, co też nie dziwno, bo oba nie opływali w dostatkach.

Za biskupami przyciągnęły kobiety: kasztelanowa, podstarościna i rozmaite bogate mieszczki, wszystkie w lektykach, koło nich ich córki pieszo. Wszystkie matrony były ubrane bardzo bogato, w roby z atłasów i aksamitów, ze złotogłowiów i adamaszków przetykanych srebrem, w perłowych albo złocistych czepcach, a na tem wszystkiem miały na sobie szuby, chociaż to było już w lecie, podszyte i obłożone sobolami, kunami, lub innem futrem bogatem. Były przytem obładowane złotemi kolcami, pasami, naramiennikami, klamrami i pierścieniami, że niektóra z nich wyglądała jak sklep bogatego złotnika. (Kieszonkowych zegarków jeszcze wtedy nie było). Panny ubierały się skromniej, ale także bardzo wystawnie. Dawano im suknie jedwabne, dziergane w kwiaty jak najżywszych kolorów, obwieszano je tkaninami perskiemi i indyjskiemi delikatności pajęczej, pozwalano im nosić trzęsidła i naramienniki, a nóżki zaciskać w śpiczaste trzewiki z tak wysokiemi korkami, żeby mysz mogła przebiedz pomiędzy podeszwą a korkiem, inaczej trzewik nie byłby modnym. Lektykom i pannom towarzyszyli kawalerowie, szlacheccy i mieszczańscy, bo stany jeszcze się tak bardzo nie rodzielały od siebie, niemieccy, rusińscy, ormiańscy, polscy i tatarscy, wszyscy w krótkich aksamitnych lub atłasowych kaftanach, w spodniach krótkich, buchastych, a dalej całkiem obcisłych, w kolorowych trzewikach i tokach albo biretach z piórami, z wyjątkiem Tatarów, którzy nosili kubraki sukienne, srebrne pasy czerkieskie, czapki śpiczaste najczęściej białym obszyte barankiem i krótkie szable u boku.

Za tym zgiełkiem matron, panów i kawalerów, przypływali powoli starsi mieszczanie, ławnicy i rajcy, właściciele sklepów, fabryk i posiadłości wiejskich, wszyscy panowie kamieniczni (bo kto nie miał kamienicy w mieście, nie był uważany za mieszczanina), wszyscy z ogolonemi twarzami na modę niemiecką, ubrani zazwyczaj czarno, w krótkie spodnie pod spodem i sukienny lub aksamitny krótki płaszcz, z rękawami, w birety niemieckie, albo florenckie i w czarne trzewiki ze srebrnemi sprzączkami.

Jeszcze się ten tłum gromadził dopiero przed kamienicą Kijasa, kiedy w przeciwległym rogu rynku, napełnionego ciekawą gawiedzią, pokazał się rycerz na białym koniu, ubrany w kaftan atłasowy na poły żółty i fioletowy, takież ubranie niższe a dalej spodnie obcisłe i safianowe trzewiki na wysokich czerwonych korkach, ozdobionych złotemi ostrogami. Na głowie miał kapelusz z piórami z brylantową agrafą, na sobie płaszczyk rycerski z czarnego aksamitu...

a za nim jechało sześciu żołnierzy, ubranych w hełmy i stalowe koszulki. Był to Kergolaj i gawiedź go sobie pokazywała palcami, bo wszyscy go już znali z imienia, a nie każdy go widział.

Kijas równie czarno ubrany jak wszyscy mieszczanie, stał z odkrytą głową przy bramie i gości przyjmował. Za nim stali Tygranes, w pstry strój kawalerski i Kundrat w bakałarski tabar przybrany. Kijas miał piękną do senatorów przemowę, dziękując za zaszczyt, jaki mu wyrządzali; wojewoda sam mu odpowiedział, wynosząc cnoty i zasługi lwowskiego mieszczaństwa. Takie same przemowy się powtarzały przy przyjęciu biskupów i matron; za biskupów odpowiadał proboszcz katedralny, sławny kaznodzieja, za matrony dworzanin rękodajny kasztelanowej. tymczasem już wszyscy goście się zgromadzili przed kamienicą, a między nimi widać było kilku mnichów, przełożonych rozmaitych klasztorów, niektórych księży świeckich, w bardzo pstre suknie poubieranych, z pomadowanymi kędziorami i fryzowanemi brodami, a wreszcie rybałtów z rozmaitymi muzycznymi instrumentami.

Po tych przywitaniach Kijas prowadził gości a najprzód matrony do komnat pierwszego piętra. Tam przy drzwiach otwartych oczekiwała je Formoza. Była ona wbrew modom w ciemną aksamitną suknię bez żadnych ozdób ubrana, miała tylko na głowie złotolitą duchenkę i była ściśniętą powyżej bioder przepysznym pasem, z perłowych klamer złożonym: prostota serca wyraża się zwykle w zewnętrznem ubraniu. Matrony i panny witały Formozę jako dawną znajomą, u których miała wielkie zaufanie; tylko wojewoda stanął przed nią jak gdyby olśniony i rzekł:

— Nie żałowałem nigdy, żem się ożenił, ale ujrzawszy waszmość panią... obawiam się, iż będę miał noc niespokojną.

Był to komplement trochę zanadto otwarty, jakoż zarumienił Formozę: ale wojewoda się zaraz poprawił, pytając:

— A gdzież szczęśliwy małżonek waszmości?

Natenczas Kijas pchnął prędko Tygranesa przed siebie i polecił go łasce wojewody. A pan Tęczyński jeszcze więcej się zdziwił i rzekł:

— Panie bracie, twoja jejmość mogłaby cię wziąć pod pachę i igrać tobą jak łątką. Ale nie trzeba sądzić z pozoru. Widziałem ja ludzi jeszcze daleko podlejszej kompleksyi od ciebie, a mieli duszę wspaniałą i dobrą głowę na karku. Owóż podobno tak jest u ciebie, co mi też powiadano.

Ojciec i syn byli tedy bardzo zadowoleni i prowadzili gości do dalszych komnat, co też było koniecznem, bo pierwsza komnata była już przepełnioną, a jeszcze się wielkie tłumy cisnęły od wschodów. Z nimi wszedł także Kergolaj, wesół jak nigdy, i głowę niosąc wysoko, sypnął parę komplementów Formozie, jak gdyby nic nigdy nie było, i poszedł zaraz między biskupy i senatory, którzy jako z rotmistrzem królewskim chętnie się z nim bratali. Po chwili jednak wrócił do pierwszej komnaty i stanąwszy u okien, przypatrywał się nowym gościom przypływającym. Już się ścisk zaczął trochę

przejmować, już przychodzili tylko pomniejsi, już nawet weszli rybałci, a wtedy zjawiła się jeszcze jedna dama w otoczeniu dwóch kawalerów, jedna z tych elegantek, co zawsze na ostatku przychodzą.

Była to kobieta jeszcze bardzo młoda, może dwadzieścia cztery lata wieku, dość słuszna, ale zarazem okrągła i pulchna, twarz miała białą i świeżą jak gdyby krew z mlekiem, usta cokolwiek pełne, świadczące o rozbudzonych uczuciach zmysłowych, a włosy ciemno blond, bardzo bogate, dziwnie do siebie nęcące miękkością puchu i blaskiem jedwabiu. Kobieta ta na ludzi, którzy cenią w płci pięknej okrągłe formy, świeżość cery, wesołość serca i krew życiem grającą, sprawiała sympatyczne wrażenie; toż w czasach tych, gdzie okazałość zewnętrzna silnie uderzała na zmysły, a zmysły panowały nad duchem, rzadko kto mógł obojętnie patrzeć na jej błyszczącą urodę. Była ona w towarzystwie, jak wir w wodzie bieżącej: kto się zbliży do jego kręgu, ten musi z nim płynąć, a niezwykłej siły potrzeba na to, aby się odbić od niego. Jednak jej strój nie był w zgodzie z postacią zewnętrzną, miała bowiem wierzch sukni z czarnych jedwabiów, a spodnice z białych tkanin muszlinowych, do tego zaś żadnych na sobie świecideł. Tylko czerwone trzewiczki rozjaśniały cokolwiek tę posępność ubioru.

Kawalerowie, którzy przyszli w jej świcie, byli to Olizar i Frąc Ajchinger, jej szwagier. Olizar w czarnym aksamitnym kubraku ze złotymi guzami, Frącek zaś w czerwonym kaftanie, białych pludrach niemieckich i safianowych butach rycerskich.

Dama uściskała zaraz serdecznie Formozę i rozpoczęła z nią żywą rozmowę, której nie można było dosłyszeć. Zdaje się tylko, iż się przed nią usprawiedliwiała, że właściwie nie powinna była przyjść — a Formoza rozgrzeszała ją mówiąc:

— Przecie już dawno minęło pół roku... — Zaczem obydwie wzięły się pod ramiona i poszły pomiędzy senatory i starsze matrony.

. . . .

Już od dnia królewskiego przyjazdu czynni konsulowie miasta pukali do antykamery, pytając, kiedyby się mogli królowi pokłonić. Ale Gniewosz im grzecznie powiedział, że król najprzód panów przyjmuje, a jak czas będzie, to i na nich zatrąbią. Owo więc Kijas poszedł pomiędzy konsulów i przedewszystkiem ich przekonał, że takiemu miastu, jak Lwów, nie godzi się iść do króla z gołemi rękami, bo też to nigdy jeszcze nie bywało. Była opozycya przeciwko temu z tej racyi, że król nie wjeżdżał solennie do miasta, ano milczkiem przyjechał, więc i prezentów nie trzeba. Ale Kijas zbił opozycyę swoją namową i postanowiono prezenty: dla króla łańcuch złoty i srebrną misę z nalewką, dla Gniewosza piękną skórę lamparcią i perski kobierzec, dla Kamienieckiego skórę tygrysią i dywan turecki, a że był żonaty, więc jeszcze kamień pieprzu do tego; innym dary pomniejsze, przyczem wszakże Wilczkowi i Kergolajowi także się coś oberwało. A wtedy Kijas deputacyę wyznaczył i stanąwszy sam na jej czele, zaraz nazajutrz otrzymał audyencyę u króla.

Do deputacyi zaś Tygranesa i Kundrata przyczepił, czemu obydwa byli bardzo uradowani.

Król przyjął deputacyę na czele swojego małego dworu bardzo uprzejmie i zaraz na samym wstępie rzekł do nich z dobrego serca:

— Nie miejcież mi za złe, żem was dotąd nie przyjął, ale na teraz jeszcze się nie mogę od panów szlachty opędzić. Jednak przeto nie byłbym o was zapomniał, zwłaszcza, że wasze miasto jest perłą w mojej koronie, perłą o tyle droższą, że bisurmaństwo prawie wciąż do niej szturmuje, a ona przecież się broni.

Więc tedy mieszczanom pod temi łaskawemi słowami zaraz serce urosło — a wtedy Kijas, w przepyszne atłasy i aksamity ubrany, ze złotym łańcuchem na szyi, a trzymając swój aksamitny biret w prawicy, miał do niego łacińską przemowę. Mówił jak Cycero; król go słuchał z wielką uwagą i widać było po jego twarzy, że się nie spodziewał znaleść takiego mówcy pomiędzy mieszczany. Zaczem po przemowie Kijasa zabrał sam głos w tym samym języku i mówił jak Demostenes. czem wprawdzie w kąt zapędził Kijasa, ale wszystkich niezmiernie ucieszył, bo niezwyczajna to łaska monarchy, zamiast im odpowiedzieć ni to ni owo przez swego marszałka, własnemi usty uraczyć ich taką świetną przemową. A król także był wesół, że zaimponował mieszczanom, bardzo na nich był łaskaw, rozmawiał z Kijasem po łacinie i rzucił słów kilka po grecku, na co mu Kijas także odpowiedział po grecku, poczem przemawiał do wszystkich przedniejszych mieszczan z osobna, mówiąc do nich wedle ich nacyi, po polsku, po rusku, po włosku i po niemiecku. Spostrzegł nawet Kundrata, który się sam naprzód wysuwał, ale obejrzawszy go, uśmiechnął się i zapytał:

— A który to jest, co mu się baki tak świecą?

Powiedziano mu, że to jest imci pan Kundrat, notaryusz lonheryi. A król na to bardzo łaskawie:

— Lonherya dobrze cię karmi, jak widzę. Pilnujże, aby było co w kasie, jak moi żołnierze przyjdą bronić was od Tatarów, bo ty podobno niewiele Tatarstwa nasieczesz.

Tygranes biedaczek nie miał tego czoła co Kundrat, stał w tłumie i nie pchał się naprzód; król go wcale nie spostrzegł, co go niezmiernie zmartwiło, nawet już łzy mu się cisnęły do oczu. Ale jak usłyszał słowa królewskie, powiedziane do Kundrata, zaraz się rozweselił i ledwie że nie puknął od śmiechu. Toż i we dworze królewskim, kędyś pomiędzy Wilczkiem a Kergolajem, szmer wesoły się rozległ. zaczem król w łasce swojej mieszczan pożegnał, powiedziawszy jeszcze do Kijasa te słowa:

— Spodziewam się, że nim wyjadę, jeszcze się z wami zobaczę, a jeśli macie jakie dolegliwości, to ty, panie Kijas, czy jak tam ciebie wołają, możesz mi je przedłożyć.

Mieszczanie tedy wyszli uszczęśliwieni i jeszcze w antykamerze przed królewskimi dworzany dobroć tego pana chwalili, mówiąc:

— Wszyscy królowie polscy byli na nas bardzo łaskawi, jak

świadczą przywileje, które nam po kolei nadali, ale ten nam najlepiej przypadł do serca i radzibyśmy mu to jako wywdzięczyć.

Ale Kijas ich jak najprędzej wyprawił, zostawszy zaś sam z dworem królewskim, rozpoczął z Gniewoszem i Kamienieckim bardzo zacną rozmowę. Na kogo król łaskaw, temu i jego słudzy nie krzywi, więc Gniewosz bardzo był grzeczny dla niego, a Kamieniecki jeszcze daleko więcej; bo niech tam kto mówi co chce, podarunki zawsze otwierają serce człowieka. Skóra tygrysia i dywan turecki, to także nie do pogardzenia, ale kamień pieprzu, to dla całego zamku w Kamieńcu nieopłacona pociecha. Wszelako mądry Kijas wiedział dobrze, dlaczego to robił, bo pogadawszy i tak i owak, przymówił im się nareszcie, azaliby nie byli łaskawi przyjść choćby dziś jeszcze na wieczerzę do niego i wypić z nim po kubku małmazyi. Dlaczego nie? Obiecali i przyszli.

. . . .

Król, któremu światek bardzo smakował, a który hałaśliwymi festynami był już przesycony, natomiast zaś bardzo lubił nocne a tajne wycieczki, jak tylko mu Gniewosz powiedział, jaka tam kuchnia i piwnica jest u Kijasa, a jaka synowica do tego, że już świat kończy się na niej, zaraz przyjął zaproszenie, mówiąc:

— To idźmy dzisiaj na wieczerzę do niego. Ale powiedz mu, aby nie było nikogo, tylko ty, Kamieniecki, Wilczek, Kergolaj i Łopatka. Łopatkę trzeba wziąć z sobą, abyśmy mieli tutejszą jurysdykcyą przy sobie, jak będziemy w nocy powracać. Jeśliby zaś zaprosił jakie grzeczne kobiety, to nie zawadzi, będzie też trochę weselej.

Gniewosz więc chciał zaraz wysyłać gońca do Kijasa, ale Kergolaj sam się nastręczył i pobiegł sam, ażeby dać zarazem Kijasowi instrukcyą, jak ma króla do stołu posadzić, jakie przed nim zastawiać potrawy i jakich win mu nalewać. Wypełniwszy to poselstwo ze znawstwem dworaka, natchnął go zarazem tą myślą, że mieszczanek zapraszać nie trzeba, bo to nudne są babska, które też króla nie rozweselą, ale Pachnę trzeba zaprosić, bo to kobietka wesoła i pewnie króla zabawi. Kijas, który nie miał wielkiego respektu dla Pachny, spojrzał na to zamyślonemi oczyma na Kergolaja i pomyślał sobie w duchu: — Dlaczego on mi każe Pachnę zapraszać? Jeżeli jest jeszcze zawsze w niej rozmiłowany, to oczywiście radby jej nieba przychylić, a jeżeli się nią już przesycił, to może chce ją puścić w kurs między królewskie dworzany... Ale co mi tam na tem! — On byłby i samego dyabła zaprosił, ażeby tylko królowi dogodzić. Więc wszystko wykonał podług instrukcyi Francuza i już wcześnie przed wieczorem był gotów.

Jeszcze słońce nie zaszło, kazał już wszystkie sklepy pozamykać, kupczyków swoich porozpędzał na cztery wiatry, aby się nie gapili, sześciu rybałtów, śpiewaków i lutnistów schował w dziedzińcu, aby ich miał na zawołanie, jeśli król sobie grać każe, Tygranes dał swoich giermków do usługi, aby dom przecie wyglądał z rycerska,

a jak tylko się zmierzchać zaczęło, ojciec i syn, a Kundrat za nimi, stanęli w bramie, oczekując z bijącem sercem przybycia króla.

Czekali długo. Aż kiedy całkiem się zmierzchło, z przeciwległego na wskroś rogu rynku, z poza ratusza, błysnęło światło. Zamkowi halabardnicy z Frącem Ajchingerem na czele, nieśli zapalone pochodnie, a za nimi postępowała grupa czarno ubranych panów. Król idzie. Obaczywszy zapalone pochodnie, Kijas jeszcze więcej się uradował w swem sercu, bo tak przecież całe miasto się dowie, że król był u niego.

Kiedy król się zbliżył do bramy, Kijas zaczął znowu go witać łacińską przemową, ale król jemu przerwał, mówiąc:

— Daj tam pokój łacinie. Przychodzimy do ciebie, abyśmy się zabawili po polsku, jeśliś więc łaskaw, to prowadź nas do twojej siedziby.

Więc Kijas skłonił się panu, a wziąwszy od sługi woniejący kaganiec do ręki, sam szedł naprzód po schodach, przyświecając swym gościom.

Przy drzwiach pierwszej komnaty, zapełnionej subtelną wonią najwykwintniejszych kadzideł tureckich, stały Formoza i Pachna w przepysznych strojach z bogatych tkanin indyjskich i perskich, i pochyliwszy głowy, witały króla milczącym ukłonem, nie mając odwagi popatrzeć w oczy majestatowi monarchy. Śmielsza cokolwiek Pachna zerknęła zpod oka, aby zobaczyć, jak też ten król wygląda, ale ogromny Gniewosz pierwej uderzył ją w oczy; Formoza byłaby rada spotkać się z szafirowemi oczyma Gniewosza, ale jej serce biło tak mocno, że ziemi nie czuła pod sobą. Król bardzo był łaskaw, a patrząc na Formozę, rzekł do Kijasa, zapomniawszy zapewne, że to jego synowica:

— Winszuję waści córki tak pięknej, nie wątpię też wcale, że znajdziesz dla niej męża równie wspaniałej postaci.

Poczem spoczął wzrokiem na Pachnie i spytał, kto jest ta dama. Powiedziano mu, że to jest Pachna, Rusinka, wdowa po rycerzu niemieckim, jeszcze dotąd w żałobie.

Więc król się wdzięcznie do niej uśmiechnął i rzekł:

— Jeżeli wszystkie Lwowianki są takiej urody, to podobno mi trzeba będzie omijać to miasto, jak kiedy pociągnę na Turka, boby mi tu wszyscy żołnierze ugrzęźli.

Pachna na to dziwnie uroczystym spłonęła rumieńcem, na który król patrzał z zadowoleniem, ale zaraz zapytał:

— A mąż jejmości pani zapewne bohaterską śmiercią zginął na wojnie?

Tu Pachna już wcale ognistym spłonęła pąsem; Formoza, zmieszana okrutnie, odwróciła się trochę na stronę; Tygranes, Kergolaj, Wilczek, chwycili się za brzuchy, aby nie puknąć od śmiechu, król spostrzegł, że w jakąś łaskotliwą stronę uderzył. Pachna błagalnym wzrokiem rzuciła na starego Kijasa, ale na szczęście Kijas ją zrozumiał i odpowiedział przytomnie:

— Nie bardzo bohaterską... ale zasłużoną rzetelnie... dał ducha Bogu po chrześciańsku.

Król się zaraz domyślił, że coś to tam musi być niezupełnie w porządku, ale zaraz wszystko naprawił, mówiąc:

— Niechże sobie spoczywa w Bogu, my go wskrzeszać nie będziem.

W tej chwili Gniewosz trącił Kijasa w łokieć i szepnął mu do ucha:

— Król głodny.

Więc Kijas zaraz się ukłonił królowi i idąc naprzód, prowadził gości do komnaty jadalnej. król skłonił się lekko kobietom, chcąc je puścić przed sobą. Rezolutna Pachna mimo wszystkiego, gotowa już była iść naprzód, a nawet podać ramię królowi, ale lepiej obeznana z obyczajami dworskimi Formoza, ścisnęła ją za rękę, ukłoniła się nisko monarsze i puściła go naprzód, co też król przyjął wdzięcznie i poszedł do komnaty jadalnej. Tam wedle instrukcyi Kergolaja, wstawiono jednę połać stołu dla króla samego, ale król prosił, ażeby damy siadły koło niego, co się też stało, tak, że Pachna siadła po jego prawej, a Formoza po lewej. Królewscy rycerze siedli po obydwóch stronach bocznych, Kamieniecki z Wilczkiem po jednej, Gniewosz z Kergolajem po drugiej, tak, że Gniewosz siedział przez róg obok Formozy. Łopatka siadł naprzeciwko króla; Kijas, Tygranes i Kundrat służyli gościom.

Co najlepszego miał Kijas w swej kuchni i w swojej piwnicy, to swemu panu zastawił. Król jadł rzetelnie, a pił sumiennie i bardzo chwalił mięsiwa, a zwłaszcza małmazyą. Kamieniecki, który już wczoraj zabrał z nią dobrą znajomość, podniósł szklany kielich nią napełniony do światła i rzekł do króla:

— U nas w Polsce w niektórych dworach o dobre wino nie trudno, ale takiej małmazyi, Bogiem a prawdą, to i u Kmitów nie znajdzie.

A król na to:

— Już też ty, Kamieniecki, cały świat widzisz tylko przez Kmitów! Gdyby ci do nich dodać jeszcze Tarnowskich, to jużby ci może niczego nie brakło. Jużci Tarnowskim a Kmitom niewielka mieć stare wina, jak skoro od dwóchset lat albo i lepiej wszystkie starostwa nam zabierają, ba, już im i starostw nie dosyć, bo i po całej Rusi już tak się rozsiedli, że im i boków nie dojrzeć. A łatwo to temu zrozumieć, kto wie, że jak królowi przyjdzie im nadać kawałek ziemi w tych krajach, to mu nie dadzą go mierzyć na łany, ani tej miary nie znają, jeno co człek na dobrym koniu od świtu do nocy objedzie, to ich najmniejsza miara. A konie mają rącze jak charty i wstają przed wschodem słońca, a wracają o zmroku. Z tych tedy starostw a nadań można sobie niemało antałków wina nakupić. To też u Kmitów dawnymi czasy dobre wina bywały. Ale teraz, nie wiem, czy długo ich stanie, a zwłaszcza na Sobniu. Bo pan Stanisław, odkąd zabił dwóch chłopów, pił ze zgryzoty i niepomału tych tam win starych nadpoczął, a odkąd pieczony kapłon

zapiał mu absolucyą z tych grzechów, pije je w dwójnasób na cześć swego rozgrzeszyciela. Jeszczeż od niejakiego czasu i turnieje wyprawia, aby szlachtę hołubić do siebie...

Kiedy to mówił król, Formoza się widocznie niecierpliwiła na swojem krześle, teraz zaś mu przerwała, mówiąc z godnością:

— Kmitowie, to moi krewni.

Kamieniecki i Gniewosz, a nawet i Wilczek, mogliby byli jej rzucić się do nóg za tę odwagę, tak wspaniale wymówiła te słowa i sama tak była wspaniałą; jakoż i król spojrzał na nią z uwagą, troszkę się zachmurzył, ale spytał ją grzecznie:

— Krewni? jakaż to jest parentela?

Formoza mu to opowiedziała. Król przyjął wdzięcznie to wyjaśnienie i chciał coś na pochwałę Muryssonów powiedzieć, ale właśnie w tej chwili Kergolaj, chcąc rozmowę od sztorcowatych przedmiotów odwrócić, a na gładszą drogę wprowadzić, rzekł głośno:

— Taka małmazya może się jeszcze gdzie znajdzie, ale imć Epaminondas ma inną, którą tylko sam Wulkan pijał, kiedy do Afrodyty szedł w konkury, a nie wiem, dlaczego jej skąpi żołnierzom.

Król spojrzał z uśmiechem na Kergolaja i pogroził mu palcem, Pachna rzuciła nań zlekka tryumfujące spojrzenie, Gniewosz, który wciąż bardzo żywo rozmawiał z Formozą, popatrzył na nią, jak gdyby chciał spytać: Czy nie do nas to piją? — ale tymczasem Kijas stanął z flaszą przy królu, a nalewając mu kielich, protestował się, mówiąc:

— Wierny poddany nawet i krwi nie skąpi swojemu panu, jeno to jest małmazya, która się pije przy wetach.

— A więc skosztujmy — rzekł król, i pijąc małemi haustami, cały kielich wypróżnił, zaczem skinął ręką ku gospodarzowi i dodał, jak gdyby na złość Formozie:

— Winszuję ci takiej piwnicy. Jeno Kmitów do niej nie wpuszczaj, bo niebawem twoje beczkiby tak zadzwoniły, że i u św. Jura tak pięknie nie dzwonią.

Gniewosz ścisnął Fortunę za rękę, jak gdyby ją chciał za króla przeprosić, ona go zrozumiała i spojrzała wdzięcznemi oczyma na niego — a wtedy już pić zaczęto, co szyja strzymała. Tygranes wziął flaszę małmazyi do ręki i pilnie dolewał królowi, zarazem mały gwar się zaczął robić przy stole, król się coraz więcej od Formozy odsuwał, a przysuwał do Pachny, już ją kilka razy tak silnie ścisnął za rękę, że musiała zęby zacisnąć, aby nie krzyknąć, ale nie krzyknęła, królowi oczy zaczęły się świecić jak węgle, rozparł się szeroko, przysunął się do Pachny tak blisko, że się ich krzesła stykały i tak patrząc przed siebie, chwilami nie wiedział już, co ma powiedzieć. Zdawało się, że byłby wolał najlepiej, gdyby to tałałajstwo precz sobie poszło od stołu. Nareszcie, widząc, że Tygranes wciąż jego kielicha pilnuje, zapytał Wilczka dość głośno:

— Któryż to jest ten jakiś wyporek, co mi tak ciągle dolewa?

Na te słowa Pachna cofnęła się w krzesło i chustkę do ust

przycisnęła, Wilczek przechylił się przez róg stołu i odpowiadał królowi, ale i inni te nierozmyślne słowa słyszeli i Formoza je także słyszała. Usłyszał je także i Gniewosz i zaraz wstał, dając przez to znak biesiadnikom, ażeby także wstawali. Zaczem podał sam rękę Formozie i przeprowadził ją do drugich komnat, a inni także za nim ruszyli.

Widać, że Gniewosz miał wielkie znaczenie u króla i wiedział, co robi, bo król wprawdzie nie wstał, ale się za to nie rozgniewał, że inni wstali, owszem, trzymając Pachnę za rękę, jeszcze kilka chwil z Wilczkiem rozmawiał. A rozmówiwszy się, skinął na Tygranesa, aby przystąpił do niego. Spojrzawszy zaś na niego, choć niewiadomo, czy przez małmazyą dobrze go widział, rzekł do niego łaskawie:

— Powiada mi Wilczek, że chociaż jesteś synem kupieckim, chciałbyś służyć wojskowo, a nawet masz swoich żołnierzy.

A na to Tygranes odpowiedział mu bardzo wymownie i pięknie:

– Najjaśniejszy panie! Ja jestem synem kupieckim, ale moi ojcowie bawili się dawniej także rzemiosłem rycerskim i z bronią w ręku przyszli do Polski, a tylko dlatego, że w kraju, wtenczas obcym dla siebie, nie mogli być między rycerzy przyjęci, musieli się zająć rolnictwem, przemysłem i handlem. Wszyscy pragną jaknajgoręcej, ażeby mogli do swego dawnego stanu powrócić i służyć nowemu królestwu krwią swoją i zdrowiem. Zaszczytu tego nie każdemu dostąpić, bo i do herbu dziś przystęp niełatwy i zawód rycerski wielkich wymaga nakładów. Ja tego rzemiosła uczyłem się przez lat kilka po cudzych krajach i dworach, a z łaski mojego ojca majątku mi także nie braknie: czego mi brak, to łaski mego najjaśniejszego króla i pana, ażeby mi pozwolił własną wysztyftować chorągiew i stanąć u niego na służbę, choćby i w rzędzie ostatnim.

Więc król go wdzięcznie wysłuchał i rzekł najprzód do Wilczka:

— Mizerny chłopak na pozór, ale mu wymowy nie braknie i poczciwe ma sentymenty.

A potem powiedział Tygranesowi:

— Dziękujęć za dobre chęci, a to tem bardziej, ile żem nie czuł w tobie żołnierza. Aleć to i Łokietek nie był większym od ciebie, a przecie daj nam Boże każdemu oddać temu królestwu takie przysługi. Więc przygotuj sobie co trzeba, a jak zaczną gadać o wojnie, co pono niebawem nastąpi, to zgłoś się do nas, pomieścimy cię wedle naszej możności.

Tygranes padł do nóg królowi jak długi i zalał się łzami wdzięczności, toż i Kijas uścisnął pańskie kolana, król im się obronił; zaczem Kijas objął swojego syna w ramiona i spłakał się nad nim. Ale zaraz go zaprowadził do najbliższej komnaty, gdzie Kamieniecki, Wilczek i Kergolaj wzięli go między siebie, winszując mu łaski królewskiej i nauczając go, jak ma teraz sobie poczynać.

3. Zaklika. (1893).

Jest to powieść współczesna, przedstawiająca zamęt wyobrażeń religijnych, filozoficznych, politycznych i społecznych, jaki zapanował u nas po strasznej katastrofie z r. 1863. Są tu przedstawiciele skrajnych przekonań zarówno w kierunku postępowym, jak zachowawczym; przedstawiciele materyalizmu praktycznego i przewrotów społecznych (Balcer i Balcerek) oraz kosmopolityczni magnaci, dbający jedynie o majątek i zachowanie swojej pozycyi w towarzystwie (Firlej) lub pod pokrywką religii przeprowadzający oligarchiczne zachcianki (syn Firleja, Frydrusz); są reprezentantki emancypacyi, dyszące zmysłowością i gardzące wszelkiemi szlachetniejszemi uczuciami (Flora Balcerówna); są osobistości chwiejne, bez hartu woli, gotowe popełnić nikczemność dla zadowolenia chwilowej zachcianki (Ignacy Zaklika), lub bardzo wykształcone, taktowne, ale bez serca (Eugenia Zakliczanka). Dodatnie postaci są trzy głównie: najprzód jenerał napoleoński Zaklika, umierający na początku powieści, potem bratanek jego rozumny i zacny, oraz ksiądz Prandota, umiejący łączyć obowiązki kapłana z obowiązkami patryoty. Ale Zaklice (bohaterowi tytułowemu) nie udały się dzieci. Było w tem zapewne trochę jego winy, bo dzieci wychowywał na pensyonatach, sam zająwszy się głównie poprawą interesów materyalnych. Główną jednak przyczyną tego niepowodzenia wychowawczego było usposobienie dzieci i ta duszna atmosfera moralna, w jakiej ciała ich i umysły dojrzewały. Los też samego Zakliki należy do najtragiczniejszych, jakie w powieściopisarstwie naszem wystawiono.

Balcer nie był wcale niesympatycznym dla Geni. Był to najprzód chłopak bardzo przystojny: jego spalona cera, jego zarost czarny jak węgiel, jego oczy pełne wyrazu a wciąż zamyślone, na pierwszy rzut oka sprawiały już zajmujące wrażenie — a wszystko, co sprawia wrażenie, nie jest złą rekomendacyą u kobiet. Prócz tego, kiedy Genia była po raz pierwszy na Balcerówce, był dla niej nadzwyczaj grzecznym i udarował ją zaraz całym koszykiem perfum: były to nic nie znaczące drobnostki, ale takie, które kobieta zawsze wdzięcznie pamięta. A wreszcie był to człowiek myślący, a jego konwersacya mogła czasem być niedorzeczną, ale nigdy nie była banalną, co dla kobiety, nie będącej laleczką a żyjącej wyłącznie w salonach, ma tem więcej pociągu, ile że tam zazwyczaj tak trudno o konwersacyą niezupełnie banalną. Nad to zaś wszystko Genia nie znała dotychczas tego gatunku ludzi, był to więc dla niej egzemplarz oryginalny i jeszcze o tyle więcej zajmujący, ile że był straszliwie demokratyczny i straszliwie niereligijny; przymioty te ją przerażały, ale rzeczy przerażające są zawsze ciekawe a nawet pociągające — a że Balcerek, według jej rozumowania, należał do ludzi niemogących konkurować o rękę panny dobrego urodzenia a przeto zupełnie nie niebezpiecznych, więc rozmawiała z nim całkiem swobodnie, jak się mówi z bezinteresownym przyjacielem albo ze sługą, którego się przypuszcza do pewnej poufałości. Mówiąc z nim tak otwarcie i zachęcając go także do otwartości, Genia miała jeszcze tę myśl ukrytą, zapewne więcej instyktowną, aniżeli wyrozumowaną, że jak się dowie, jakie on ma do niereligijności powody, to go może nawróci: jakby to było ładnie, gdyby jej się udało, znalazłszy taką zbłąkaną owieczkę, oświecić ją i zaprowadzić pomiędzy wierne!...

Toż ożywiona rozmowa z tak wykwintnie wychowaną panienką

otrzeźwiła Balcerka. On nie miał do niej żadnego pociągu. Dla niego, miłość ubogiego młodzieńca dla panny arystokratycznego rodu trąciła tą całą średnich wieków paskudą, dla której tyle miał wstrętu. Będąc pod wpływem swych zasad, znających tylko siłę brutalną, przypuszczał, że czyniąc zadość namiętności, można porwać taką panienkę i ożenić się z nią wbrew woli rodziców, ale zakradać się w zaufanie, ażeby potem w najlepszym razie stać się pogardzanym intruzem w obcej rodzinie, to nie odpowiadało jego uczuciom. Jednak przypomniał sobie słowa swojego ojca, który mu bardzo zalecał utrzymanie dobrych stosunków z Zaklikami i mówił: że obok zasad, żyć trzeba. Przypomniał sobie także niektóre uwagi swojej siostry, na które wówczas nie zważał, ale które teraz mu żywo stanęły w pamięci, z nich zaś mniej więcej ta wynikała nauka: że jeżeli mężczyzna tylko ma silną wolę, to dostanie każdą kobietę, i gdyby mężczyźni o tem wiedzieli, to ten świat zupełnie inną przybrałby postać. Zauważył nareszcie, że Genia jest wcale przystojną panienką i ma bardzo wiele uroku. Zważywszy to wszystko, był w swojej rozmowie z nią bardzo ostrożny i nie powiedział nic takiego, coby mogło ją zrazić.

Genia, widząc po jego rozmowie, że jest przed nią zapięty i nie daje się jej tak, jakby chciała, co wreszcie zniecierpliwi każdą kobietę, postanowiła uderzyć w inną strunę, zazwyczaj bardzo czułą u młodych autorów, i powiedziała mu półgłosem, że chociaż ojciec jej tego zabronił, przecież przeczytała jego książeczki. To jej zwierzenie się bardzo żywo zajęło Balcerka, jakoż zaraz ją spytał: jakie ta lektura na nią sprawiła wrażenie.

— Tendencyi, jeżeli tam jest tendencya, — odpowiedziała mu Genia z bardzo łaskawym uśmiechem, — nie mogłabym panu pochwalić, ale zawarte w tych książeczkach uczucia, tak rozpacz tej nieszczęśliwej dziewczyny, jak idealne uwielbienie tego chłopaka dla córki swego dziedzica, doskonale rozumiem i mogę sobie łatwo wyobrazić, że takie do najwyższego stopnia rozpalone uczucia mogą człowieka odurzyć i nareszcie oślepić. Opowiadania te zresztą są nadzwyczajnie prawdziwe, a przeto i zajmujące.

Słysząc to Balcer, był, jakby go w głębokiej ciemnicy nagle promień słońca oświecił. Ach przecie! Kiedy go nikt zrozumieć nie chce albo nie może, kiedy nawet Frydrusz mu jego książeczki może tylko z interesu pochwalił, znalazła się przecież jedna poczciwa dusza, która go zrozumiała i przynajmniej artystyczną ich wartość uczuła. Podziękował jej zatem bardzo serdecznie za to współczucie — a uniesiony wrodzoną każdemu pisarzowi wdzięcznością, rozczulił się nawet tak dalece, iż powiedział sobie, że gotów będzie odsłużyć się za to tej grzecznej panience, chociażby miał coś dla niej poświęcić.

Genia uważała to dobrze i instynktowo odgadła, jak wielką mu sprawiła przyjemność, zaczem i w niej odezwało się tego rodzaju przyjazne dla niego uczucie, jakie miewamy dla tych osób, które radzibyśmy protegować, zarazem zaś, skutkiem naturalnego rozwoju poruszeń ludz-

kiego serca, uczuła do niego pewnie zaufanie, którem, dzięki otrzymanemu wychowaniu, zazwyczaj nie była rozrzutną.

Tymczasem znowu zabrała głos i będąc pewną, że teraz będzie słuchaną, zaczęła mu wykładać obowiązki człowieka względem swego społeczeństwa. Wykład jej był prawie kontynuacyą tych opinii jej ojca, któremi usiłował Balcerka przekonać, że między teoryą a praktyką zachodzi wielka różnica i że można pewne zasady wykładać w dziennikach, w książkach a nawet w dyskusyach prywatnych albo i publicznych, ale nie idzie za tem, ażeby było wolno wprowadzać je w praktykę, bo społeczeństwo ma swoje prawa i obyczaje i nie pozwala na to, ażeby je każdy według swojego widzimisię naruszał. Wyszedłszy z tego punktu widzenia, powiedziała mu wreszcie całkiem otwarcie, że oni wielki błąd popełnili, upierając się przy cywilnym pogrzebie swojego ojca, i że tak postępując, tylko sobie samym zaszkodzą, bo nie przekonają nikogo, a wszystkich przeciwko sobie oburzą.

Balcerek, który nie znał różnicy pomiędzy teoryą a praktyką, burzył się zwykle w swem wnętrzu, jeżeli mu ktokolwiek inny krytykował jego zasady, ale od Geni przyjął wszystko jaknajuprzejmiej, bo był przekonany, że mu to mówiła z dobrego serca i z szczerej dla niego przyjaźni; przyznał jej nawet pod koniec obiadu, że ze stanowiska interesów prywatnych ma słuszność i dał jej do zrozumienia, że jest jej wdzięcznym za dane mu ostrzeżenia, bo widzi w nich dowód jej niezwykłego rozsądku i wielkiej łaskawości dla niego.

A kiedy wstano od stołu, oboje byli ze siebie kontenci: ona, bo jej się zdało, że go z czasem nawróci i kiedyś to z tryumfem ogłosi Firlejom i księdzu Prandocie — a on, bo znalazł u niej prawdziwą sympatyę, tak dla swoich książeczek, jak i dla siebie, czego się nie spodziewał, a nawet dotąd nigdy o tem nie myślał.

Tego dnia popołudniu Frydrusz przyjechał, z zaproszeniem na bal kostiumowy.

Zaklika, który częstokroć bardzo bystre robił spostrzeżenia, wysłuchawszy tego zaproszenia, zawołał z uśmiechem:

— Pewnieście wygrali wasz proces o las.

Frydrusz zbladł na tę uwagę i odpowiedział mu z zaciętemi cokolwiek ustami:

— Jest tylko niejakie podobieństwo, że go wygramy, ale choćbyśmy go przegrali, to zawsze panu dług jego oddamy na św. Jan.

Na to Zaklika zerwał się z krzesła jak oparzony, ścisnął Frydrusza bardzo silnie za rękę i rzekł ze szczerego serca:

— Ależ nie o to chodzi! Daję ci słowo, że ani mi to przez myśl nie przeszło. Te parę groszy, które u was ulokowałem, możecie sobie trzymać, jak długo chcecie. Gdybym ich potrzebował, to przeciebym was był już dawno o tem uprzedził. Ja tylko chciałem zrobić tę zresztą może także niewczesną uwagę, że szkoda pieniędzy na bal..

Więc Frydrusz bardzo był kontent z tego wyjaśnienia i odpowiedział mu całkiem otwarcie:

— Jużci i ja byłem tego zdania, że szkoda pieniędzy, ale pan wie, jak to trudno synowi oponować rodzicom, kiedy chcą sobie zrobić jakąś przyjemność. Dlatego nie oponowałem — a miałem przytem i to także na względzie, że w gruncie rzeczy nie tak to wielki wydatek, bo przecie prawie wszystko jest w domu.

— Masz racyę, — rzekł na to Zaklika, — i jabym na twojem miejscu nie oponował, bo starym nie należy odmawiać rozrywki. Kto wie, czyje jutro: niechby które z nich, chowaj Boże, wkrótce potem umarło, tobyś sobie przez całe życie wyrzucał, żeś mu tak małej rzeczy odmówił.

Poczem Zaklika kazał zawołać Genię, Ignasia i Fujarę i opowiedział im tę wielką nowinę, do czego Frydrusz dodał to objaśnienie, że będzie to właściwie zabawa dla ludu, bardzo demokratyczna, bo obok szlachty i ludu będą także ekonomowie, pisarze i rzemieślnicy, zgoła wszystkie stany, jakie są na prowincyi.

Genia była tą nowiną bardzo uradowana, jak każda młoda dziewczyna, którą zaproszą na bal — a Fujara nie posiadał się wcale z radości, że przecie się doczekał jakiejś porządnej rozrywki; jakoż zaraz się sam ofiarował Firlejom na dekoratora, na kapelmistrza, na śpiewaka pieśni narodowych, na aranżera tańców, na kuchmistrza, na cukiernika i pasztetnika, bo jako szlachcic dobrze wychowany znał się na wszystkiem i umiał wszystkiego potrosze.

Na obiedzie było znów kilku szlachty z sąsiedztwa a z nimi ksiądz Prandota. Prandota został właśnie mianowany kanonikiem honorowym, więc mu winszowano i było bardzo gwarno przy stole. Ignaś siedział pomiędzy Genią i guwernantką i bardzo był z tego kontent, że siedząc daleko od gości, nie potrzebował brać udziału w tym gwarze, który go raził. Frydrusz siedział przy Geni po drugiej stronie.

Frydrusz był dziś w złotym humorze. Zdawało mu się, że dzisiaj właśnie stanął z Zakliką na stopie poufnej, Zaklika powiedział mu ty, co przecież jest niezbitym dowodem, że się sercem przybliżył do niego. Opowiedział to Geni i posunął się tak daleko, iż jej dał do zrozumienia, że mógłby się jutro jej ojcu formalnie oświadczyć.

— Może lepiej dopiero po balu...

Frydrusz starał się ją przekonać, że szkoda czasu i powiedział jej, że jego ojciec wyjeżdża pojutrze do Warszawy i tam z tydzień zabawi a potem będzie zajęty przygotowaniami do balu, jutro zaś mógłby tu bez przeszkody przyjechać.

— Jakby to było pięknie, — dodał do tego, — gdyby nasze zaręczyny się odbyły na balu, gdzie będzie tysiące ludzi, którzyby się razem z nami cieszyli.

Ale Genia odpowiedziała mu na to bardzo rozumnie:

— Mężczyźni, kiedy się uniosą zapałem, zapominają o wszystkiem. Przecież zaręczyny nie mogą się odbyć u pańskich rodziców, tylko w Zaklikowie. Zresztą powiadam panu jeszcze raz: po balu.

Proszę słuchać mojej rady, a tymczasem proszę się bardzo dobrze sprawować.

— Ale dlaczegóż tak zwlekać? — zapytał Frydrusz.

— Pan chce zrywać jabłko z jabłoni, — odpowiedziała mu Genia, — kiedy jeszcze nie dojrzało. Strącić je łatwo, ale jeżeli okaże się kwaśnem, to potem nie będzie można przylepić go do jabłoni, aby dojrzało.

— Więc jeszcze kwaśne? — zapytał Frydrusz ze smutkiem.

— Kwaśne, — odpowiedziała mu Genia stanowczo, — wiem o tem na pewno przez księdza Prandotę. Jeszcze się tam roją rozmaite myśli o Tarle..

Więc na to Frydrusz się mocno zasmucił i spytał:

— Ale czy pani jesteś tak całkiem pewną księdza Prandoty? On mnie podobno nie bardzo lubi.

— Może być... — rzekła Genia, — ale daje panu pierwszeństwo z religijnych powodów. Pana Tarłę bardzo lubi i zawsze go chwali, ale go ma za obojętnego w rzeczach wiary. Jak pan widzi, wszystkie te względy są tak subtelne jak pajęczyna, trzeba się zatem z nimi bardzo delikatnie obchodzić, ale trzeba się z nimi liczyć, bo ksiądz Prandota ma wielki wpływ na mego ojca, nie stanowczy, bo i to trzeba wiedzieć, ale zawsze bardzo wielki.

— Ale dlaczego ksiądz Prandota mnie nie lubi?

— A pan zawsze w ostatecznościach! To bardzo niedobre. Ja panu nie powiedziałam, że pana nie lubi, tylko odpowiedziałam na pańską uwagę, że może być... To bardzo wielka różnica.

— Ale dlaczego? — naciskał Frydrusz. Chyba dlatego, że jest demokratą — a nie powinienby nim być, bo ród Prandotów jest tak stary jak ród Firlejów.

— Może nawet starszy — rzekła Genia — ale on o swojem pochodzeniu nigdy nie wspomina.

— Tak jak pan Zaklika, — dodał Frydrusz z przekąsem.

— Tak — rzekła Genia przytomnie — bo to się samo przez się rozumie!

— Ale dlaczego mnie nie lubi? — zapytał znów Frydrusz bardzo niecierpliwie — to są uprzedzenia, których ja sobie wytłómaczyć nie umiem.

— On nie ma żadnych uprzedzeń — odpowiedziała mu Genia — ani przeciw stronnictwom, ani przeciw osobom. On, jako kapłan, stoi ponad stronnictwami, tylko i właśnie dlatego jest zdania, że sprawy kościoła i wiary wyłącznie do duchowieństwa należą, a ludzie świeccy nie powinni w tych sprawach głosu zabierać; powiada przytem, że nie rozdzielanie, ale łączenie i zlewanie warstw społecznych ze sobą powinno być obowiązkiem każdego dobrego obywatela: więc może z tego punktu widzenia ma panu coś do zarzucenia...

W tej chwili wniesiono zdrowie Prandoty i Zaklika miał serdeczną przemowę do swego przyjaciela, a potem zrobił się gwar jeszcze większy i wszelkie rozmowy uboczne stały się niemożebne.

* * *

Firlejowie wystąpili na przyjęcie swych gości bardzo bogato i świetnie, ale zarazem z tą miarą i z tym dobrym smakiem, które spotykamy tylko w domach takich, gdzie się jeszcze chowają tradycye dawnych festynów.

Nigdy nikomu w tym kraju, zwłaszcza w tym czasie, nie byłoby pozwolono dać taki bal kostiumowy, połączony z kiermaszem dla ludu, ale Firlej, jako obywatel spokojny i poważany, otrzymał pozwolenie z łatwością — a dano mu je tem chętniej, ile że zaprosił jenerała z Warszawy i kilkunastu wyższych oficerów z pobliskich miasteczek, podobno nawet i sędzia śledczy był między gośćmi: zaczem i władza była uspokojoną i on był pewnym, że nikt się nie dopuści żadnej ekstrawagancyi albo jakiegokolwiek ekscesu.

Niektórzy goście, zwłaszcza z dalszych okolic, przyjechali już wczoraj, inni dziś rano, i rozłożyli się po oficynach, po dworkach oficyalistów i chatach włościańskich, które umyślnie dla nich wybielono i wyczyszczono — a teraz, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi i zbliżała się godzina obiadu, stali już wszyscy na ogromnej werandzie pałacu, oczekując gości zaproszonych na obiad i przypatrując się tłumom wiejskiego ludu, które to gromadkami, to jakby porozrywanymi sznurkami paciorek, ze wszystkich stron ściekały do parku. Przy wielkiej bramie dworscy kozacy na koniach i pieszo pilnowali, aby lud prosty nie wciskał się na dziedziniec; mimo to wszakże otoczył on gęstym wieńcem żelazne sztachety dokoła i patrzał przez nie ciekawie na panie i panów na werandzie stojących — a z werandy widać było jego tysiące oczu, które w tym wieńcu jak różnobarwne karbunkuły świeciły.

Na werandzie było już wiele bardzo pięknych kostiumów. Kilka pań średniego wieku w kwiecistych obszernych sukniach z czasów Ludwików i w pudrowanych fryzurach, jakaś młoda dama ogromna wzrostem. w starożytnym litewskim stroju Grażyny, inna młoda i smukła blondynka w stroju królowej Jadwigi z perłową koroną na głowie. dwie starsze matrony w robronach z koronkowemi kryzami około szyi, kilka młodych panienek w ubiorach wiejskich dziewcząt i cyganek, pani Firlejowa jako królowa Bona w sztywnej sukni z ogonem i złocistym czepcu na głowie — a Genia jako pasterka z bajek Lafontaine'a w słomianym kapelusiku i z białą laseczką, ozdobioną niebieskiemi i różowemi wstążkami. Genia wyglądała prześlicznie w tym stroju, jak pączek róży jeszcze wilgotny od rosy porannej; Frydrusz, w ubiorze Henryka Walezyusza, patrzał na nią promiennemi oczyma i bawił ją bardzo ożywioną rozmową. Starsze damy mówiły już głośno pomiędzy sobą, że to są narzeczeni, i winszowały matce, że jej się to dzieło tak pięknie udało.

Grażyna, która często pochmurnym wzrokiem rzucała na Frydrusza i Genię, winszowała jej także, ale zimnemi usty i pytała: kiedyż ślub?

— Mógłby się odbyć i dzisiaj, — odpowiedziała jej pani Firlejowa cokolwiek górnie, — ale zapewne odbędzie się dopiero w sierpniu, na imieniny mojego męża.

Grażyna odwróciła się od niej prawie niegrzecznie — i znalazła się wobec jakiejś Sybilli czy Pytonissy, owiniętej w szerokie białe szaty krojem greckim, z wielkim białym welonem na głowie i brylantową gwiazdą na czole, ale tak mocno zamaskowanej, że nawet jej wieku nie można było odgadnąć.

Sybilla tę rozmowę słyszała, więc Grażyna ją zapytała:

— A ty, Sybillo, co na to? będzie ślub?

Wtedy Sybilla wpatrzyła się silnie w Frydrusza i Genię, a po chwili odpowiedziała:

— Na ziemi się tylko to staje, co w niebie jest zapisano.

— A cóż w niebie zapisano? — zapytała ciekawie Grażyna.

Sybilla zaś odpowiedziała jej na to:

— Oni są siebie niezmiernie blisko, ich myśli zlały się z sobą w myśl jedną, jest mała przeszkoda z jej strony, którąby można usunąć: ale jakaś straszliwa burza do nich się zbliża, burza czarna jak noc wśród wichrów i śniegu, która ich daleko odrzuci od siebie, bardzo, bardzo daleko...

Grażyna uśmiechnęła się z zadowoleniem i chciała ją dalej wypytywać, ale tymczasem Sybilla, wpatrzywszy się w jakiegoś mężczyznę, który właśnie przed niemi przechodzi, porwała ją za rękę, ścisnęła konwulsyjnie i rzekła szeptem:

— To ten!

Ten mężczyzna był to sędzia śledczy w mundurze, przeszedł koło nich, przystąpił do Frydrusza i Geni, oni przed nim się rozsunęli i zaczęli z nim grzecznie rozmawiać.

Grażyna patrzała na nich przez chwilę, potem chciała do Sybilli przemówić, ale Sybilla znikła.

Natomiast zaś zbliżył się do niej jakiś młody i bardzo okazały mężczyzna, w stroju francusko-szwedzkim Władysława IV, bez maski. Grażyna go zapytała:

— Czy pan znasz tę Sybillę?

— To ma być jakaś dama z Warszawy, — odpowiedział jej Władysław IV z ironicznym, ale zarazem trochę ciołkowatym uśmiechem na twarzy, — jakaś poetka czy literatka, lunatyczka, magnetyzerka, hypnotyczka i histeryczka, a mówiąc po polsku, waryatka. Ona czasem i wierszami swoje wróżby wygłasza, wiersze bardzo ładne, ale wróżby nicpotem...

Grażyna patrzała na niego takiemi oczyma, jakiemi się patrzy na człowieka, którego się ma za nic.

Tymczasem on rzekł do niej poufnie:

— *Mais voyons!* [1]) czy można zdrowym rozsądkiem przypuścić, ażeby człowiek, choćby magnetyzer albo hypnotyk, mógł przyszłość przewidywać, a choćby tylko przeczuwać?...

— Cóż pan wiesz o tem! — zawołała na to Grażyna i odwróciła się z pogardliwym śmiechem od niego, z czego widać było, że ją tylko Henryk Walezyusz zajmował, a Władysław IV ją nudził.

---

[1]) ależ zastanówmy się.

Pomiędzy mężczyznami było także niemało kostiumów pięknych i bogatych.

Jakiś szlachcic wysoki, barczysty, zażywny, z szeroką, otwartą twarzą i pełen naturalnego humoru, przedstawiał Bolesława Chrobrego, a wszyscy podziwiali bogactwo jego soboli, aksamitów i drogich kamieni. Inny, młodszy od niego, smukły i blady, ze smętnemi oczyma i ciemną brodą, był jak dwie krople wody do tego króla podobny, co nosił „ostatni kołpak Witołdowy,“ oglądano go także bardzo ciekawie, bo pas, mieczyk, łańcuch i klamry, które jego zdobiły, miały istotnie pochodzić ze skarbca, pozostałego po Zygmuncie Auguście. Za pan brat z królami przechadzał się jakiś rzeczywisty książę litewski, pochodzący od Gedymina i w ówczesny kostium wielkich kniaziów litewskich ubrany: był to człowiek jeszcze młody, ale już cokolwiek otyły, podobno setny hulaka, ale niezmiernie żądny popularności. Był jeden rycerz w pełnej żelaznej zbroi, dwóch w półpancerzach, trzech w aksamitnych frakach i trzech białych perukach z czasów saskich, a kilku innych w ubiorach mieszczańskich z czasów dyrektoryatu, Napoleona I i Ludwika XVIII. Ale było także kilku uczonych i literatów z Warszawy i Krakowa, w ubiorach zwykłych, których pani Firlejowa zaprosiła, ażeby po dziennikach pisali o balu. Stary Firlej był we fraku i w białej krawacie, lecz mimo tego zwykłego stroju wyglądał poważniej od wszystkich — i widać w nim było pana z panów, który nawet wobec książąt i królów jest *omnibus par, nemini inferior* [2]) i gości swoich przyjmuje z godnością dziedzica wielkiego historycznego imienia.

Niebawem zaczęli się walić przed werandę goście z bliższych okolic, którzy przyjeżdżali na obiad, jedni w rozmaitych kostiumach, drudzy w ubiorach zwykłych. Lecz zaraz pierwszy, który zajechał, zwrócił na siebie wyłączną uwagę wszystkich. Był to wóz rzymski z półokrągłem wyzłoconem siedzeniem, obróconem tyłem do konia, wóz był na dwóch kołach także złoconych, a ciągnął go tylko jeden koń biały, ale przepyszny, z bardzo wyniosłym karkiem, z grzywą sterczącą, przystrzyżoną przy karku i z pióropuszem na głowie. Tym wozem powoził stojąc pomiędzy osadą dyszla a siedzeniem niewolnik rzymski, z gołą głową i w białą, trochę wygorsowaną tunikę ubrany — a z tego wozu wysiadł Rzymianin z czasów Nerona, jak gdyby go kto wykroił z obrazu: ubrany był w togę czerwoną, bramowaną galonem dokoła, jaką wówczas nosili dygnitarze dworscy, w tunikę białą i żółte sandały, czuprynę miał białą i brodę białą, obydwie krótko strzyżone, a pod pachą prawej ręki obnażonej niósł podłużną papirusową księgę, na której widać było wielkiemi literami wypisane słowo: *Satyricon*. Tak szedł po schodach na platformę werandy, z głową podniesioną do góry i patrząc z uśmiechem na gości.

Goście jak fala, silnym wichrem pędzona, popłynęli tłumem ku

[2]) wszystkim równy, od nikogo nie niższy.

schodom, wszystkie lornetki się wycelowały ku niemu, każdy chciał wiedzieć czemprędzej, kto jest ten gość niespodziewany, co z pogańskiego Rzymu przyjeżdża: ale Firlej, który pierwszy wybiegł ku niemu i ściskał mu rękę serdecznie powyżej kostki, zaraz w nim poznał ojca Geni, bo Zaklika, chociaż woskowy nos sobie przylepił, a włosy i brodę wypudrował na biało, nie miał nawet zamiaru taić się ze swojem nazwiskiem. Wszyscy tedy zaraz się dowiedzieli, że to jest Zaklika i że się przebrał za Rzymianina z czasów cesarstwa, ale nikt nie mógł zgadnąć, kogo właściwie przedstawia, i co ta księga papirusowa ma znaczyć.

Nadbiegł właśnie Fujara, przebrany, jako Rigoletto, w śpiczastym kapeluszu z piórem i z gitarą zawieszoną przez piersi, więc wszyscy jego pytali; ale Fujara jeszcze się na nich obruszył:

— Albo ja wiem! ja się pogańską literaturą nie zajmuję, przecież jestem katolik.

Natomiast zaś przegiął się przez balustradę werandy i przypatrywał się owemu rzymskiemu wehikułowi, któremu kazano parę razy naokoło dziedzińca przejechać i mruczał sobie pod nosem:

— To dlatego on zamykał obydwóch Nurków przez dwa tygodnie w stodole, to oni jemu ten ekwipaż sfabrykowali, ale im się udał, niema co mówić.

Wszelako znalazł się jakiś stary profesor z Warszawy, który był niegdyś nauczycielem Frydrusza, ten im to wytłómaczył, mówiąc z zadowoleniem:

— Jeżeli pan Zaklika przedstawia autora dzieła, które znamy pod tytułem *Satyricon*, to to jest Petroniusz, jeden z najznakomitszych pisarzy rzymskich, z czasów pochrystusowych. Miał żyć za panowania Nerona, o co jednak jeszcze spór wiodą uczeni, bo z niektórych ustępów jego dzieła można wnosić, że był cokolwiek później: ale jeżeli żył za Nerona, to był on niejako wielkim mistrzem dworu tego cesarza i jego najulubieńszym doradcą i nosił tytuł *arbiter elegantiae*[3]). Przez długi czas wielkich używał wpływów, ale później skutkiem intryg dworskich popadł w niełaskę, co za Nerona zwykle płaciło się głową: aby uniknąć haniebnej śmierci, usunął się na swoją kampanię, kazał sobie żyły otworzyć i umarł śmiercią dobrowolną. Ale nim umarł, napisał książkę, której dał tytuł *Satyricon*. Dzieło to, pisane w części wierszem, a w części prozą, dostało się do nas tylko w fragmentach, ale i te fragmenta stanowią utwór jenialny a nawet, tak pod względem myśli, jak stylu, przenoszący miejscami Tacyta[4]) i Swetoniusza[4]). Głębszej i więcej gryzącej satyry na swoje społeczeństwo nikt nie napisał w żadnej literaturze, od najdawniejszych czasów aż do dzisiejszych. Bezwzględność w karceniu przywar i grzechów swojego wieku i fotograficzna dokładność w obrazowaniu tego, co oczy widzą, jest

---

[3]) sędzia wytworności. [4]) są to historycy rzymscy z końca I a początku II wieku nowej ery.

posuniętą u niego do ostatecznych granic możności. Kiedy czytam powieści dzisiejszych naturalistów i widzę, jako usiłują w nas wmówić, że wynaleźli coś nowego, a nawet że nową stworzyli szkołę, to patrzę na nich z politowaniem, bo oni wszyscy, nie wyjmując Flauberta i Zoli, Petroniuszowi nie dorośli nawet do pasa. A jest w nim nietylko jeszcze o wiele plastyczniejsze obrazowanie, nietylko dowcipniejsze naśladowanie gwary wszelakich warstw pospolitego ludu a przytem bez porównania więcej porywająca śmiałość i werwa wykładu, ale jest także myśl wyższa i gruntownie moralna, której u dzisiejszych naturalistów szukamy napróżno. Petroniusz, jeżeli przedstawia ludzkie obrzydliwości i brudy w ich naturalnej nagości, to w tym celu, ażeby je skarcić, zgromić, wyszydzić i wstręt do nich obudzić, a teraźniejsi naturaliści malują pomyjami swoje obrazy i lepią z błota swoje figury bez żadnej myśli moralnej a jeszcze do tego w tem rozumieniu, że się równają Fidyaszom i Praksytelesom. Oni wszyscy od Petroniusza mogliby się bardzo wiele nauczyć, ale ażeby go zrozumieć — zakończył profesor, uśmiechając się i zacierając ręce z zadowolenia, — trzeba umieć dobrze po łacinie, a to podobno nie jest najmocniejszą stroną naturalistów...

Wszyscy go bardzo pilnie słuchali a ksiądz Prandota, ubrany w kanoniczny mantolet i krzyż złoty na piersiach, ścisnął go za rękę i rzekł:

— Wszystko, co pan nam powiedziałeś, jest prawdziwe i trafne, ale ja jestem zdania, że nawet w celu karcenia złych obyczajów nie należy używać takich bezwstydnych obrazów, zwłaszcza z taką plastyką malowanych, bo takie obrazy wprawdzie u niektórych wstręt budzą, ale u wielu innych pozostawiają zgorszenie.

Tymczasem Zaklika już gził literatów warszawskich, docinając im bardzo dowcipnie za ich naturalizm, a oni mu się równie dowcipnie bronili, powstał z tego gwar wielki i nie można było wszystkiego dosłyszeć. Tylko na końcu słychać było Zaklikę, jak mówił podniesionym głosem:

— A ja wam powiadam, że jeżeli piękna literatura nie będzie stać na straży moralności we wszystkich zawodach ludzkiego życia, to lepiej, aby jej całkiem nie było; ludzkości natenczas ścisłe nauki wystarczą...

— I wiara! — zawołał Frydrusz z niecierpliwością.

Zaklika przerwał i spojrzał gniewnie na niego, ale Prandota wziął tymczasem Frydrusza za rękę i odprowadzając go od tego tłumu, powiedział mu nauczająco:

— Pan hrabia masz racyę, ale dlaczego pan lekcyą kontradykujesz Zaklice? Pan tą swoją niecierpliwością jeszcze kiedyś wszystko zepsujesz...

A wtem dzwon się odezwał na wieży pałacu, był to znak do obiadu.

Wszystkie konwersacye w ten moment ustały, Bolesław Chrobry podał rękę królowej Bonie, stary Firlej królowej Jadwidze, inni innym a Grażyna podała ramię Zaklice.

— Pan przedstawiasz postać najwięcej zajmującą ze wszystkich — rzekła do niego, idąc z nim do sali jadalnej — ale powiedz mi pan z łaski swojej, czy ten *Satyricon* nie jest przetłómaczony na język europejski?

Na to Zaklika w głos się roześmiał i rzekł:

— Przyznam się pani, że nie wiem, ja go po łacinie czytałem, ale niech się pani spyta ks. Prandoty, on to wie pewnie...

Grażyna się na to skrzywiła i z tem weszli do sali jadalnej.

W wielkiej sali jadalnej o bardzo wysokim pułapie, której wszystkie ściany były okryte rzeźbionem drzewem i ozdobione czterema przepysznymi obrazami, przedstawiającymi sceny myśliwskie, stał stół nakryty z wystawnością królewską. Z trzech kolosalnych pająków z ciemnego bronzu, zawieszonych u stropu i czterech ogromnych świeczników stojących po rogach, spływało światło tysiąca świec woskowych, które jeszcze z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca walczyło i tworzyło atmosferę pełną nadzwyczajnego uroku. Może taka atmosfera istnieje kędyś w eterach, pomiędzy zapalającem się słońcem, a dogasającemi gwiazdami. Na stole błyszczały biało wielkie srebrne naczynia, otoczone nieprzebranem bogactwem kwiatów, lecz wszystko w miarę i w tym wykwintnym smaku, który uwidocznia bogactwo, ale się niem nie przechwala. Czterech marszałków z wielkiemi trzcinami o srebrnych gałkach pilnowało służby, a służba złożona z dwudziestu czterech lokai w herbowej liberyi, pomiędzy którą widać było kilku smukłych kozaków, wiedeńskiego strzelca zakutego w hafty srebrne i jednego murzyna, stała zbita w tłum w wielkiej framudze, która sama mogła służyć za salę jadalną, ale tylko za kredens służyła. W tem otoczeniu, stół obsadzony gośćmi w tak bogatych i tak rozmaitych kostiumach, wyglądał majestatycznie, i gdyby nie to, że tu i ówdzie było widać frak czarny i nowożytny mundur wojskowy, można było mieć to złudzenie, że się jest na obiedzie u którego króla z rodu Jagiełłów na zamku krakowskim.

Fujara, znający się na tych rzeczach, kiedy objął okiem wszystkie szczegóły, a potem całość, powiedział sobie: Niechaj kto sobie mówi co chce, przecież tak wystąpić może tylko dziedzic takiego majątku, który się znajdował przez wieki w rękach Tarłów albo Firlejów. Za żadne demokratyczne miliony nikt takich rzeczy nie kupi...

Ale najwięcej uszczęśliwioną była Genia. Na jej rumianej twarzyczce widać było niewysłowione zadowolenie a może i dumy cokolwiek i zdawało się, jak gdyby mówiła do siebie: To wszystko moje!

Wszelako goście nie umieli utrzymać powagi odpowiedniej wystawności królewskiej, albowiem już zaraz po zupie zrobił się gwar prawie jarmarczny przy stole: wszyscy zdawali się mieć to przekonanie, że kostiumy i maski upoważniają do nieograniczonej wolności słowa. Przy niższej połowie stołu Zaklika wzniecał ogromną wrzawę, bo krytykując wszystko i przycinając wszystkim, wywoływał albo

śmiech homeryczny, albo też odpowiedzi równie cięte, a czasem i niecierpliwe, którym towarzyszyły nowe wybuchy śmiechu, — zaś przy wyższym Bolesław Chrobry opowiadał stentorowym głosem starożytne powiastki i anegdoty, którym także chóralnym śmiechem wtórzono. Potem zaczęto pić — a przy kielichach już każdy usiłował iść w zawody z Petroniuszem i Bolesławem.

Prócz tego i zzewnątrz zaczęły się wciskać maski do sali jadalnej. Sybilla przyczepiała się do gości, a wróżąc im z ręki albo z wyrazu twarzy, wywoływała u jednych zdziwienie, u drugich głębokie zamyślenie.

Jakiś pielgrzym mocno zamaskowany obchodził cały stół i przypatrywał się uważnie wszystkim damom, które miały maseczki na twarzach; tą ciekawością zwrócił wszystkich uwagę na siebie, ale nikt nie umiał powiedzieć, ktoby to był.

Pielgrzym zniknął — a potem weszła jakaś dama, w czarne domino ubrana i mocno zakwefiona: obeszła także wszystkich, przemawiając do tych i owych rozmaitymi językami, poczem się zatrzymała przed pułkownikiem Baltzerem von Baltzheim i mówiła z nim po niemiecku, ale głosem oczywiście zmienionym. Pułkownik rozmawiał z nią zrazu spokojnie, a nawet śmiał się, ale nagle zerwał się z krzesła, ona mu jeszcze jakieś słówko rzuciła, poczem śpiesznie odeszła — a kiedy szła, widać było pod rozwiewającemi się połami domina kostium inny, na czarnem dnie srebrem przesiany. Pułkownik byłby rad pobiegł za nią, ale nie mógł, bo jeszcze nie wstawano od obiadu; jednak tymczasem wbiegło od razu kilkanaście masek do sali — i taka zrobiła się wrzawa, że już niepodobna było usiedzieć u stołu: zaczem wszyscy wstali, zbijając się w małe gromadki, gwarząc ze sobą, śmiejąc się głośno i pijąc. Inni porozchodzili się po innych pokojach, bo w sali jadalnej już było gorąco jak w łaźni — a lokaje roznosili za nimi wino szampańskie, kawę i likiery.

Fujara, bardzo z tego niekontent, że nikt nie zwracał uwagi na niego, przewiesił swoją gitarę przez piersi i wyszedł do parku, a idąc, mówił do siebie: Ludzie, choćby najlepiej wychowani, kiedy się zbiorą w tłum, a zwłaszcza kiedy pić zaczną, niczem się nie różnią od chłopów: ani urodzenie, ani ukształcenie, ani sztuka, ani poezya, nic u nich wtedy nie znaczą, ale niechno ja sprzedam mojego Dürera, to ja im pokażę, że i ja coś znaczę...

Wszelako Żaklika coś znaczył. Szył on jak raca pomiędzy gośćmi po wszystkich pokojach i tak ciął Petroniuszowym językiem na wszystkie strony jak brzytwą. Opierając się na tem, że przedstawia jednego z najwięcej ciętych satyryków całego świata, wypowiadał wszystkim prawdę bezwzględnie, choć czasem była gorzką jak trucizna: i arystokracyę i demokracyę nielitościwie wyszydzał, szlachcie powiedział, że wszyscy idą za śladem Fujary i wszyscy z kolei wyginą na jedną i tę samą chorobę fałszywych ambicyi, — demokratów wyśmiewał, że przyszłość budują na ciemnocie wiejskiego ludu a nie na rozumie klas ukształconych, — literatom zarzu-

cił, że tylko naśladują Francuzów i Niemców, a z siebie samych nic nie umieją wydobyć, — mężatkom, że się stroją i bawią, zamiast dzieci i kołowrotka pilnować, pannom, że tylko bogatych mężów szukają, zaczem tak samo się za pieniądze sprzedają, jak pewne inne kobiety, młodzieńcom, że tylko na posagi polują, aby je potem tracić na karty, na psy i konie i jeszcze mniej moralne rozrywki. — zgoła nikomu nic nie darował, ani warstwom społecznym, ani politycznym stronnictwom, ani nawet osobom i każdemu dopiekł jak gdyby ogniem do kości. Z całości tego wszystkiego, co mówił, widać było, że we wszystkiem miał słuszność i chciał jak najlepiej, tak dla całego społeczeństwa, jak i dla ludzi, ale widać także było, że od każdego wymagał najwyższej doskonałości, podniesionej do ideału — a takie wymaganie jest czystem złudzeniem, bo doskonałości nigdy nie było i nie będzie na świecie, wszelakie czynności ludzkie będą zawsze przedstawiać mieszaninę dobrego i złego i co najwięcej od nich można wymagać, to żeby dobre nad złem przeważało. Kto dla dobrych uczynków nie umie przebaczyć niedostatków i błędów, tego nauka nie odniesie dobrego skutku: toż i Zaklika jednych rozgniewał, drugich oburzył, aż w końcu wszystkich zmęczył i znudził. Ale nareszcie i sam się zmęczył — i wyszedł, szukając wyjścia na świeże powietrze...

Przeszedłszy kilka komnat większych i mniejszych, w których jeszcze tu i owdzie pito cokolwiek, znalazł się w małym pokoju o wielkich drzwiach szklanych, wychodzących na jakąś małą werandę, w którym zastał tylko jednego człowieka. Był to ów książę litewski, który się tak skwapliwie dorabiał popularności a podobno jeszcze dotychczas się jej nie dorobił. Książę się tak strąbił winem szampańskiem, że teraz leżał na szezlongu, ze szklistemi oczyma, oddychając z wielką trudnością i ocierając sobie usta batystową chusteczką. Zaklika, który go znał od dawna, wpatrzył się w jego twarz szyderczemi oczyma, patrzał długo, aż póki go książę nie poznał, a potem rzekł:

— Tak postępuj, mości książę, a zyskasz sobie miłość i szacunek u szlachty.

Uderzony taką kulą armatnią w piersi, książę się ocknął, wyprostował się, o ile mógł, i zaczął bełkotać:

— Ale cóż tam... drwisz sobie ze mnie. A tymczasem, ja przy mojej popularności, wiesz jakto... każdy chce, abym z nim wypił... trudno odmówić... a tu ten Firlej ma jakieś wino...

— Ale masz racyę, — przerwał mu Zaklika — tak lepiej. Któż tego nie wie, ile położyłeś zasług obywatelskich! Jesteś konserwatorem starożytności pogańskich, skopałeś już jakie sto morgów za glinianymi garnkami twoich praojców, zrestaurowałeś własnym kosztem posąg Dejwasa, jeszcze mu jednego ucha brakuje, ale i to z czasem wygrzebiesz, założyłeś wyścigi końskie w Perkuniszkach, z twego ogiera Wieszpatisa spadł dżokiej angielski i kark sobie skręcił, o czem pisały gazety, — z wystawy bydła w Wilnie twój buhaj Kriwe-kriwejte wyrwał się na ulicę i roztratował dwóch żydów,

i o tem także pisały gazety, — jesteś protektorem klubu łyżwiarzy, prezesem do wytępiania myszy i szczurów, niebawem masz zostać jegermajstrem dworu, — kto tego nie wie? Kto tych zasług nie ceni? Ale ja tobie powiadam, u nas nie tędy droga. Weź kielich do ręki, pij z każdym i nie odmawiaj nikomu: wszystkie twoje zasługi ci skrytykują, za wszystko, co zrobisz, ktoś cię poszarpie, ale ta popularność, na którą sobie kielichem zarobisz, murem przy tobie stać będzie *usque ad finem*[5]).

Był to ostatni strzał Petroniusza: poczem szybko zbiegł na tylną werandę i zniknął w parku.

Park firlejowski był tak ogromny, że niepodobna było oświecić go w całości: zrobiono wszakże, co w przeciągu kilku tygodni zrobić było można, i oświecono wszystkie główne aleje wielkiemi latarniami na słupach, wszystkie rondle obwieszono tysiącami małych lampek dokoła, a oprócz tego na wszystkich wzgórzach paliły się beczki ze smołą których czerwone światło przeciskało się przez najgęstsze masy drzew liściastych i krzewów. Na dwóch folwarcznych dziedzińcach pozastawiano niepoliczone stoły, na których kucharze i gospodynie służyli ludowi najrozmaitszem mięsiwem, kołaczami i chlebem: we wszystkich rondlach stały beczki z gorzałką, piwem i miodem, z których każdy pił, ile szyja strzymała, i grały muzyki na skrzypcach, cymbałach i trąbach — a parobcy i dziewki tańcowali dokoła, wśród nieustających żartów, przycinków i gwaru.

Lud się rozlał jak powódź po wszystkich alejach, ścieżkach i klombach, a cały park szumiał i brzęczał jak gdyby jakaś ogromna pasieka, w której się wyroiło sto ulów pszczół tak wielkich jak ludzie. Tylko klasztorek był szczelnie zamknięty, a zakonnice zgromadzili się na całą noc w swoim kościółku, modląc się za te grzechy, które zapewne zostaną popełnione tej nocy.

W balowej sali pałacu tańcowano cokolwiek i było tam także pustoty i śmiechów bez końca, zwłaszcza przy kadrylach, gdzie kostiumy, najczęściej z sobą wcale nie licujące, sprawiały wrażenie niesłychanie komiczne: przed samą północą muzyka grać przestała, a wszyscy goście wyszli do parku, gdzie z uderzeniem godziny dwunastej, na najwyższem wzgórzu, podobnem do głowy cukru, na którem stała mała świątynia zbudowana w stylu greckim, miano spalić fajerwerk, z wielkim zachodem i kosztem sprowadzony z Warszawy.

Stary Firlej szedł z jenerałem po prawej a Bolesławem Chrobrym po lewej ręce a za nimi szło dwóch oficerów i kilku obywateli w perukach, którzy się zawsze i wszędzie trzymają wielkiego ołtarza. Szli jednak z dwóch głównych alei i zmierzali ku środkowemu rondlowi, gdzie najliczniejsze zebrały się tłumy i skąd najgłośniejsza grzmiała kapela. Im więcej się do rondla zbliżali, tem więcej ludu się kręciło koło nich, który im się przypatrywał ciekawie: ludzie ci byli jaknajrozmaiciej ubrani, ale wszyscy mieli wesołe twarze i wi-

---

[5]) aż do końca.

dać było, że mają umysł swobodny a serca jakby na dłoni. Firlej mówił do jenerała:

— Ten lud jest poczciwy i ma wiele dobrych przymiotów, robimy co można, aby go podnieść, ale ja jestem zdania, że zniesienie pańszczyzny nie wyszło mu na korzyść: łatwiejsze ma życie a przez to się coraz więcej odzwyczaja od pracy.

Ale jenerał, który stał na całkiem innym punkcie widzenia a miał także dobra w tych stronach, innego był zdania i mówił: że ten wspaniałomyślny akt łaski cesarskiej niezawodnie swojego czasu jaknajlepsze skutki przyniesie, ale na to potrzeba czasu; potrzeba także dobrej i silnej administracyi; zapewne, że leniwi i niezaradni wyginą, ale rozumni i pracowici utworzą potężną warstwę społeczną, w której państwo i rząd będą miały swoją najsilniejszą podstawę.

A wtem wyskoczył z tłumu jakiś dorodny parobek, w ciemnym sieraku, w dostatnich butach i baraniej czapeczce na głowie; stanął przed nimi zuchwale, czapki nie zdjął, jeszcze ją sobie na bakier poprawił, uderzył obcasami hołubca i głośno zaśpiewał:

Oj szapka mi marmazynka, oj czorna mi hunia,
Oj czobit mij załupczasty — a żinka Marunia.

Adjutant, który szedł o pół kroku za jenerałem, rzucił się ku niemu, chcąc mu dać po łbie, ale jenerał go ręką zatrzymał — parobek zniknął — a jenerał rzekł śmiejąc się do Firleja:

— Ot, widzisz pan, jaka w tym ludzie jest fantazya a jaka energia. Z takiego materyału można coś zrobić, tylko trzeba, ażeby rząd i właściciele więksi, zgoła my wszycy, ażebyśmy sobie ręce podali i trzymali go w klubach, a prowadzili drogą porządku.

A wtem za jego plecyma odezwał się głos:

— Ej! więcej nas tu. jak was!

Wszyscy się obejrzeli: był to Balcerek, przebrany za kowala, ze skórzanym fartuchem przed sobą i twarzą poczernioną sadzami, stary Firlej go poznał na pierwszy rzut oka i tym wykrzyknikiem niepomału się zgorszył. Adjutant skoczył za nim, chcąc mu dać po łbie, ale Balcerek buchnął w krzaki i zniknął.

Firlej. obawiając się, ażeby takich scen nie było więcej, kiedy się zbliżą do gęstych tłumów, zatrzymał swoją konwersacyą o kilkadziesiąt kroków od rondla a potem rzekł:

— Może lepiej zrobimy, jeżeli się tu zatrzymamy, bo ci ludzie już sobie trochę podochocili... a rzeczywiście jest ich więcej, jak nas.

Zaczem wziął jenerała pod ramię i wykładając mu bardzo rozumnie, że ludzie dobrego urodzenia i wychowania nie powinni nigdy się mieszać z tłumami, wyprowadził go na wielki gazon środkowy, gdzie już prawie wszyscy goście byli zgromadzeni, czekając spalenia fajerwerków. Przed nimi widać było jakby na dłoni ów wzgórek śpiczasty, na którym stała grecka świątynia, ale świątyni widać nie było, bo była całkiem zakryta kraciastem rusztowaniem, obejmującem przyrządy do ogni sztucznych. Firlej, stanąwszy z je-

nerałem we środku, posłał kozaka na wzgórze, a niebawem dało się słyszeć kilka strzałów z moździerzy, po których natychmiast na wzgórzu zapaliło się słońce, kręcące się coraz szybciej około swej osi i miotające iskrami dokoła. Potem ze spalonego słońca zaczęły wylatywać kule płonące różnobarwnymi ogniami, oświecając park, pałac, klasztorek, co wywoływało powszechne zdziwienie i grzmiące oklaski, a dalej zapalały się inne słońca i gwiazdy z cyframi Firlejów, jenerała i innych znaczniejszych gości. Ognie te trwały prawie całą godzinę, aż w końcu wszystkie rusztowania opadły, a naokoło szczytu wzgórza zapaliły się w krzakach ukryte ognie bengalskie...

VII. Jan Zacharyasiewicz.

1. Na kresach. (1860).

W powieści tej Zacharyasiewicz pierwszy podniósł na wielką skalę groźną dla nas kwestyę germanizacyi i to specyalnie na ziemi wielkopolskiej, pierwszy wykazał dosadnie środki, jakimi posługiwała się ona, jak niemniej niezaradność obywateli, co własnowolnie oddawali ziemię przodków w ręce przebiegłych i rządnością odznaczających się przybyszów. Dzieje rodu Dąbczyńskich ogniskują w sobie wypadki poszczególne. Bohater opowiadania, Jerzy, pragnie działać pożytecznie dla swego społeczeństwa; porzuca wawrzyny poetyckie, uczy się medycyny, i zamierza apostołować wśród ludu, prowadząc go na drogę oświaty, wyrywając chwasty przesądów i zabobonów. Ale apostolstwo mu się nie udaje, miłość go zawodzi, bo ją skierował w stronę wietrznicy, Janiny Dąbczyńskiej, która wychodzi za Ottona Warnera, by majątek choć częściowo uratować. Jerzy jedzie do Rzymu i zostaje księdzem. Wiele tu pięknie wypowiedzianych myśli o obowiązkach społecznych, o przeciwdziałaniu zgubnym wpływom; wiele też siły w odmalowaniu grozy położenia. Podaję tu ustęp, poświęcony opisowi domu bankierskiego „Goliat et Compagnie“, który odegrał ważną rolę w dziejach rodzin polskich, zagrożonych wywłaszczeniem.

Kantor pryncypała Warnera był w samym rynku, w dużej, starej kamienicy, na rogu ulicy Królewskiej. Szczególna była architektura tej kamienicy. Jakieś dachy i daszki piętrzyły się jeden na drugim, a okna były nieregularne i dziwaczne. Karyatydy, stojące po obu stronach bramy, miały twarze dziwnie pokrzywione, jakby się śmiały i szydziły z wchodzących. Głowy dźwigające duży, kamienny balkon, wystawiały języki na patrzących i urągały się. Pod samym dachem, w zakończeniach gzymsów, umieszczone twarze śmiały się szydersko i z poza uszów okazywały przechodniom tak zwane figi. W zagłębieniach nad oknami były płaskorzeźby, przedstawiające same sceny obelżywe. Nawet klamki i ozdoby przy drzwiach nosiły to samo piętno, cechujące ten dom szczególny.

Zdawałoby się, że architekt w napadzie jakiegoś szaleństwa stworzył plan tego domu i ozdób jego, ale dawna miejska legenda wyświecała tę rzecz w kilku słowach. Jakiś starozakonny miał niegdyś kupić ten plac, aby na nim wystawić dom okazały. Burmistrz

miasta, niewiedzieć z jakiego powodu, zabronił starozakonnemu postawienia domu. Wytoczył się długi proces, który się aż o króla oparł. Naturalnie, żyd wygrał, postawił kamienicę i aby dokuczyć mieszkającemu naprzeciw burmistrzowi, poumieszczał te figury i ozdoby, które szydząc z jego upadłych wyroków, wystawiały do niego języki, śmiały się, pokazywały mu figi i inne jeszcze sromotniejsze wyrządzały mu obelgi.

I tak chwilowa zemsta jakiegoś żyda, tycząca się burmistrza, przeszła w kamień, gips i żelazo, a dzisiaj tysiącom niewinnych ludzi urąga się z tą samą zapalczywością, jaka niegdyś prześladowała biednego burmistrza. Karyatydy tak samo szydzą z wchodzących do tej tajemniczej kamienicy, Atlasy, dźwigający balkon, tak samo wystawiają długie języki każdemu, kto pod nie wejdzie, a z pod dachu patrzą wykrzywione satyry i okazują złośliwe figi z poza rogów.

W tej to szczególnej kamienicy był kantor pryncypała naszego ajenta. Zdawało się, że ją naumyślnie wybrał na to, jako odpowiadającą doskonale z wszystkiemi swemi ozdobami jego charakterowi i zamiarom.

Po lewej stronie był rząd dużych okien, sztabami żelaza prawie szczelnie zakutych. Nad temi oknami był skromny napis białemi literami na dużej czarnej tablicy: „Moses Goliat et Compagnie“.

Była to jednak tylko filia tego znakomitego domu, którego głowa, pan Moses Goliat, gdzieś indziej mieszkał. W mieście nazywano powszechnie ten kantor kantorem Warnera, który właściwie był tutaj tylko negocyantem i kompanionem Mojżesza Goliata.

Mimo to, straszną była ta firma dwóch olbrzymów dla małych wekslarzy miasta, a żaden Dawid nie odważył się dotąd rzucić na nią, choćby najmniejszym kamykiem! Od świtu snuły się tutaj roje drobnych negocyantów, czekając hasła do rozpoczęcia dziennej walki! Byli to rozsypani tyralierzy, którzy na własną rękę rozpoczynali pierwsze operacye, debuszując silnemi oddziałami z pod śmiejących się karyatyd. Główna załoga tego nieśmiertelnego korpusu nie opuszczała nigdy fortecy swojej, obwarowanej żelaznemi sztabami, żelazną, do drzwi przybitą kratą. Tam był wieczny i głuchy spokój. Tylko czasem zabrzęczało złoto na stole marmurowym, zaszeleściały papiery w skrzyniach żelaznych, albo z ust bladego dyspozytora wyleciało kilka słów jednozgłoskowych.

Zanim dalej w naszej powieści postąpimy, musimy się dobrze zaznajomić z domem „Goliata et Compagnie“, który przeważnie ma wpłynąć na losy wszystkich naszych znajomych.

Dom „Moses Goliat et Compagne“ był to ogromny olbrzym Bryareusz, który sto ramion swoich położył na wszystkich częściach świata. Był to jeden z owych licznych potentatów czasów naszych, którzy pod każdym względem przypominają owych rozbójniczych grafów z czasów feudalnych. Naczelnik tego domu, „Sir Moses Goliat“, miał wprawdzie mieszkać we Frankfurcie, ale ponieważ imię „Moses“ było rodzinne imię wszystkich Goliatów, i kilku ich po naj-

większych stolicach świata mieszkało, więc trudno było wiedzieć z pewnością, gdzie właściwie znajduje się głowa tej olbrzymiej machiny. Zdawało się, że cała ta machina, złożona jak soliter z tysiąca pierścieni, w każdym pierścieniu miała życie całkowite, z każdego odciętego pierścienia mógł się nanowo odrodzić ten robak olbrzymi. Wtajemniczonym jednak kapłanom tej instytucyi wiadomo było, że prawdziwy „Sir Moses Goliat“ mieszkał w Berlinie w dwudziestu szczelnie zamkniętych pokojach swojej kamienicy „pod Lipami“, gdzie z całym urokiem padyszacha ukazywał się swoim wspólnikom i negocyantom tylko raz w rok dla wyliczenia im dywidendy. Rozdzieliwszy swą zdobycz, cofał się znowu jak olbrzymi pająk do swojej kryjówki, patrząc stamtąd na rozstawione sieci i pracującą czeladkę.

Zrazu dom „Moses Goliat et Compagnie“ robił tylko pieniądze, ale w najnowszych czasach okazała się ta operacya nieco za nudna i mało zyskowna. Więc za przykładem innych, mianowicie angielskich i amerykańskich domów, wzięto się do lepszych i obszerniejszych spekulacyi. Jak tamci w Indyach i stepach amerykańskich poczęli zakupywać ziemię, budować miasta i z wszystkich kątów świata sprowadzać osady, tak samo i wewnątrz Europy znalazły się różne pola do podobnych spekulacyi. We Francyi w tym celu zawiązało się bogate towarzystwo, znane pod imieniem „czarnej bandy“. Skupuje ono na subhastacyach sądowych obszerne dobra i rozdrabia je potem między drobnych właścicieli. Wiadomo, jak wielki zysk wypada ze sprzedaży parcelami wielkich obszarów. Może to pod względem ekonomii politycznej jest dobrze i zyskownie, ale pod względem moralnym są to duchy zacierające to wszystko, cokolwiek w tylu wiekach uczyniła ludzkość, aby ślad o sobie zostawić. Dla piędzi ziemi, zdolnej pod uprawę marchwi lub buraków, walą się pamiątki narodowe, padają stare zamki i parki, znikają mogiły i grobowce, okazują potomności miejsce bohaterskich czasów jej praojców! Dewiza tych ludzi jest: „Wszystko dla zysku, nic dla serca“.

Podobną drogę wybrał sobie dom „Moses Goliat et Compagnie“. W Hamburgu miał parowe okręty, na których jego ajenci wywozili połudzonych różnemi obietnicami emigrantów do lasów Ameryki, lub pustyń Nowej Holandyi, aby nimi pobudowane tamże miasta i plantacye zaludnić. W Wiedniu miał ajencyę do kolonizacyi dolnych Węgier; w Paryżu grał *à la hausse* z całą namiętnością zapaleńca, a w londyńskich dokach miał nieprzebrane składy towarów kolonialnych.

Odnogą tych przeróżnych spekulacyi był kantor „Moses Goliat et Compagnie“ w znanej nam kamienicy o śmiejących się wiecznie karyatydach. Był to wysuniony naprzód posterunek tej armii złowieszczej, która kroki swoje na wschód skierowała. A nie było Leonidasa, któryby stanął naprzeciw tym zastępom nowego Kserksesa.

Leonidasa nie było, ale były Termopile.

Wielkie Księstwo Poznańskie, znękane i zrujnowane różnemi przygodami, wybrane zostało na miejsce nowożytnych podbojów. Zdawało się, że duchy pobitego pod Grunwaldem zakonu wstały

mściwe z kilkowiecznego snu, weszły w ciała spokojnych negocyantów, ajentów i kolonistów, a biorąc za miecz godło dzisiejszej cywilizacyi: „zysk i pracę,“ stanęły na dawnej swojej linii bojowej, aby na tem samem miejscu stoczyć bój z nieprzyjacielem, na którem, przed kilkoma wiekami okryci wiekopomną niesławą, pokładli się stosami do mogił, oddawszy hołd wielkiemu zwycięzcy!... Na tem samem miejscu miały one odnieść tryumf, a na gruzach polskich zamków i dworów miały zatknąć swoje sztandary i rozwijać je do boju dalej, na wschód, na wschód!...

A zwycięzcy pod Grunwaldem mogli dzisiaj zaledwie w trzystu stanąć, mogli na kresach ojczyzny stworzyć tylko nowe Termopile.

„Goliat“ stanął tuż na samej granicy wielkopolskiej i wyciągnął nad nią olbrzymie swoje ramię. Uzbrojonemu od stóp do głowy olbrzymowi, jakże mogła się oprzeć gromadka patryarchalnych Dawidów z drobnym kamykiem w procy, z kijem pasterskim w ręku?...

Rzućcie nieudolne radła wasze, wy poczciwi mieszkańcy białych dworków polskich, wynijdźcie z zapadłych zamków waszych, wy potomkowie wojewodów i kasztelanów; porzućcie grobowce ojców, kij tułaczy weźcie do rąk i opuśćcie tę ziemię obiecaną, której nie umieliście kochać i bronić!... W worku pokuty, posypani popiołem, rozejdźcie się po całym świecie jako synowie Izraela, a narody wypalą znamię na skroniach waszych: „Oto są ci, którzy zbiegli z przedniej straży narodu, nie umiejąc walczyć, jak walczyli ojcowie! Hańba im!...“ Ale naród wasz inaczej was osądzi, rycerze kresowi! Na waszą skroń tułaczą włoży koronę męczeństwa, wasze mogiły i gruzy domów waszych naznaczy w księgach pamięci: tu legła w nierównej walce przednia straż nasza: cześć poległym bohaterom! Przechodniu, uczcij Termopile!...

„Goliat“ rozpoczął straszną walkę i niejedno zwycięstwo uwieńczyło już jego skronie. Najprzód wszystkim mieszkańcom ziemi poznańskiej otworzył kredyt nieprzerwany. Był to fundament wszelkich innych operacyi. Liczni ajenci przebiegali kraj wszerz i wzdłuż, mianując i namaszczając stałych negocyantów po miastach i po miasteczkach. Obowiązkiem było każdego prowadzić rejestra dochodów i rozchodów wszystkich większych właścicieli ziemi, mieć dokładne wiadomości wszystkich ich słabostek, schlebiać im, o ile można, popychać ostrożnie stylizowanemi radami do różnych wkładów i przedsiębiorstw; wchodzić w spółkę, pożyczać pieniędzy, póki w wyrachowanym naprzód okresie czasu nie staną nad niechybną przepaścią. Wszystko to jest wyrachowane naprzód, wszystkie katastrofy obliczone co do sekundy, według najprostszej formułki algebraicznej, a w kalendarzu negocyanta są naprzód wpisane i oznaczone zaćmienia parcyalne i totalne bankructwa, subhastacye. Są nawet wymienione osoby, na których imię dobra kupione być mają i kto będzie ich administratorem.

Wszystko to dzieje się z nadzwyszajnym porządkiem, z pozorami szlachetności i ofiary bezinteresownej.

Za egidą tego wszechwładnego sztandaru sypią się koloniści

jak mrowisko i osiadają na olbrzymich szkieletach polskich posiadłości. Ogryzują do szczętu każdą żyłkę polską, zacierają dawne nazwiska, cudzoziemczą lud, walą zamki i grobowce, i z każdym rokiem posuwają granicę narodów coraz dalej na wschód, a z ziemi utraconej rozchodzi się coraz więcej tułaczów i sierot bez progów rodzinnych!

Mimo to, rzadko kto poznał postępującego naprzód nieprzyjaciela. Kredyt, który szedł przed nim, bardzo przypadł mieszkańcom do smaku. „*Après nous le déluge*“,[6]) mówili jedni i brali pełną garścią z bezdennych skrzyń tego kredytu; inni mniemali swój majątek oczyścić i rozprzestrzenić go; drudzy wpisywali się do przedsiębiorstw, które miały im przynieść zyski dwukrotne. „Goliat“ wszystkim dawał i uśmiechał się, bo miał już naprzód wyrachowaną subhastacyę, wiedział dzień i sekundę, w której kredyt jego musi zabić nieomylnie wierzyciela.

Kredyt w przedsiębiorstwach przemysłowych musi być wielkiej wagi, ale rolnika kredyt zabija. Mianowicie rolnictwo polskie, nie podniesione jeszcze do przemysłu, najgroźniejszego ma nieprzyjaciela w kredycie. Prosty rachunek może to okazać. Rolnik pożycza w instytucie kredytowym pewną sumę. Jeżli policzy wszelkie boczne wydatki i stratę na papierach, to procent pożyczki dojdzie do dwunastu, jak się to dzieje z pożyczką, którą zaciągają Galicyanie w banku wiedeńskim. Kapitał ten, włożony w ziemię przy polskiem gospodarstwie, możeż przynieść dwunasty procent?... Nie jest że to dobrowolne przyłożenie sobie noża do gardła? Nie możnaż tu jak najpunktualniej obliczyć czas koniecznego bankructwa?...

„Goliat“ znalazł na polskiej ziemi bardzo dobry grunt do swoich spekulacyi. Pomagała mu do tego pochopność nasza do gotowych pieniędzy, a wstręt do pracy i oszczędności, nie oglądanie się na przyszłość, i to życie z dnia na dzień, życie wyczekiwania jakiegoś zwrotu w dziejach ludzkości. Pomagały mu do tego nasze cnoty, gościnność i szlachetność polska, która brzydzi się najmniejszym brudem kalającym dzisiejsze zyski, która dziś jeszcze ma wstręt do łokcia i lady kupieckiej. Pomagała mu do tego piękna wiara nasza, która chce, aby naród był świątynią, a nie jaskinią handlarzy i wekslarzy. Wszystko to sprzyjało potężnemu „Goliatowi“, a z każdym dniem ubywało ziemi ojczystej na kresach wielkopolskich.

Takim był dom „Moses Goliat et Compagnie“, owa niezłamana forteca, skąd cicho i bez huku odbywały się nowoczesne podboje. Napróżno urągały z wchodzących do kantoru szlachciców polskich kamienne karyatydy, napróżno wykrzywiały do nich szydercze twarze, śmiały się z pod gzymsów złośliwe satyry; przyciśniony różnem niepowodzeniem szlachcic wychodził rad z pieniędzmi w kieszeni i zdawało mu się, że owe złośliwe karyatydy serdecznie uśmiechają się do niego, że Atlasy mrugają mu najszczersze pozdrowienie, a niecne satyry pod dachem trzymają przy rogach zamiast fig i rogów koźlich,

[6]) po nas niech będzie potop.

rogi obfitości, z których wysypie się szczęście i pokój na zagrożony jego domek biały...

O! śpiesz, śpiesz co prędzej do tego białego domku, szczęśliwy człowieku! Żona i dziatki czekają cię niecierpliwie — sąsiedzi układają kulig staropolski! Żonie potrzeba nowych jedwabnych sukien — dzieciom zabawek i stroików — dla sąsiadów wina i pasztecików. Lekarz zaordynował ci kąpiele zagraniczne, twój sąsiad sprowadził z Berlina nowy ekwipaż, na który przecież stać i ciebie!... Żyjemy tylko raz, cóż stąd, że za kilka, kilkanaście lat obcy kolonista zdmuchnie ślady twoje z tych progów, twoje dzieci pójdą w świat tułaczami — a kraj rodzinny straci kilka piędzi ziemi!... Śpiesz się.. karyatydy mrugają ci pozdrowienie, poczciwe satyry sypią na twą głowę kwiaty z rogów obfitości, i kwiatów tych wystarczy ci na resztę życia, wystarczy aż do grobu... a za grobem nie usłyszysz skarg i wyrzutów, choć tam kiedyś obcy pług twoje kości wyrzuci...

2. Słomiany człowiek. (1894).

Przy zajmowaniu Galicyi przez rząd austryacki w r. 1772 pewien szlachcic chodaczkowy, podpiły w dzień Trzech króli i podrażniony przez sąsiadów, przeprowadza nocą zbłąkany oddziałek żołnierzy austryackich przez przejście bardzo niebezpieczne i dostaje w nagrodę srebrny pieniądz z obietnicą, że o nim rząd i później pamiętać będzie. Sąsiedzi odsunęli się od niego; syn zakochany, któremu dom narzeczonej wymówiono, opuścił zagrodę rodzinną. Biedny Izajasz zaciął się i żył samotnie; w końcu miał za jedynego towarzysza przybłędę cygana; zgodzono się w końcu, zrobić ze słomy figurę człowieka, powiesić ją, by sąsiedzi zobaczywszy przez okno wisielca nabyli przekonania, że Izajasz sam siebie ukarał — a potem opuścić chatę i pójść w świat. Izajasz dał się namówić, ale w skutek nerwowego rozdrażnienia tak się przejął myślą, że figura słomiana to on sam, iż nie pomogły mu już trzeźwe uwagi cygana.

Nowy wypadek poruszył jeszcze więcej umysły. Do zaścianku przybył nowy pachołek urzędu z miasta z pismem, że IMP. Izajasz Lubicz ma się stawić w urzędzie dla odebrania pięciu dukatów w złocie holenderskiem za to, że był przewodnikiem zbłąkanych w lesie żołnierzy.

Pan Izajasz wprawdzie podarł pismo, a nawet pachołka nieco poturbował, ale faktem było dla całego zaścianka, że to, co uczynił, robił za pieniądze. O srebrnym pieniądzu, starannie w skrzyni ukrytym, nikt nie wiedział.

Zamknięty w swoim domu pan Izajasz słyszał wkoło siebie szum jakiś, jakby szum oddalonych bałwanów morskich, słyszał, że te bałwany zbliżają się coraz więcej i że uderzają o węgły domu jego, i z hukiem leją się przez strop do izby! Czuł, że straszne grobowe zimno obejmuje mu nogi, sięga coraz wyżej, zamraża serce i lodowatą dłonią ściska go za gardło. Wtedy krzyczał i jęczał, jak człowiek, który się dusi, a biedny cygan nie umiał go ratować. Nie rozumiał słów jego, jakiemi się klął na duszę, że nic nie wziął, że gotów jest nawet ów srebrny pieniądz rzucić do skarbonki ubogich.

Paroksyzmy takie powtarzały się coraz częściej. Twarz jego siniała, na usta wychodziła piana.

Pewnego dnia, już o zmroku, zapukał w okno mnich z obmarzłą na głowie kapuzą. Cygana nie było, poszedł do miasta po trunek, jakiego często teraz używał pan Izajasz. Na kominie palił się ogień.

Mnich zrzucił kapuzę z głowy. Na jego czole widać było szeroką bliznę.

— Pokój ludziom dobrej woli — ozwał się przy progu — a śmierć złym i występnym.

Pan Izajasz patrzył na mnicha zdziwiony.

— Przychodzisz wysłuchać ostatniej spowiedzi mojej? — zapytał cały drżący.

— Grzechy twoje znane są wszystkim, a ja przychodzę zadać ci pokutę, a gdy ją wypełnisz, obiecuję ci rozgrzeszenie Pana Boga.

— Cóż mam uczynić?

— Powiesić się!

Panu Izajaszowi wylazły oczy na wierzch.

— Powiesić się! — zawołał, drżąc z przestrachu — toż to samobójstwo, grzech śmiertelny!

Mnich uśmiechnął się i poprawił habit. Pod habitem słychać było wyraźnie szczęk szabli. W zanadrzu sterczało coś jak pistolety. Usiadł przy ogniu.

— Samobójstwo — rzekł spokojnie do pana Izajasza — jest wprawdzie grzechem śmiertelnym, ale są grzechy, na które jest ono jedynem *remedium*. Klin klinem się wypycha, a grzech grzechem się zaciera. Przewina twoja nie da się zmazać żadną kościelną pokutą... Winowajca powinien sam siebie ukarać. Judasz Iskaryot tak samo zrobił, kara więc skończyła się na nim... inaczej mógłby go Bóg karać i w dziesiątem pokoleniu!

— Tak samo mówił pan Mateusz — mruknął do siebie pan Izajasz — i dlatego pewnie nie chciał wydać Magdusi za mego Marcina! Biedny chłopiec, za cóż on ma pokutować za mnie!

Bardzo ponuro wyglądał teraz pan Izajasz. Miał zmarszczone czoło, żyły posiniały mu jak obnażone batogi, oczy wysunęły się na wierzch.

— Dobrze — zawołał chrypliwym głosem — zrobię tak, jak mówisz... bo żyć na świecie jest mi trudno!

Mnich powstał i zakreślił ręką krzyż w powietrzu.

— *Vade in pace!* (idź w pokoju) — rzekł głosem uroczystym i wziął za klamkę.

— Gdzie odchodzisz? — ponuro zapytał skazany.

— Idę za Wisłę — odpowiedział mnich — a gdy tam spotkam Marcina, powiem mu, że ojciec skończył rachunek z Panem Bogiem i że teraz może bez obawy zaślubić Magdusię!

— Powiedz mu, powiedz mu to!

Mnich zakreślił jeszcze raz krzyż w powietrzu i wyszedł z izby.

Od tego dnia upłynęło kilka tygodni. W zaścianku wiedziano, jak się zdaje, coś o postanowieniu pana Izajasza, bo często pytano się nawzajem: — Czy już?... Byli nawet tacy, którzy kilka razy na dzień przychodzili pod okno pana Izajasza, zaglądając do wnętrza

izby. Opowiadano sobie różne rzeczy. Jedni widzieli postronek wiszący u tragarza, inni utrzymywali, że pan Izajasz już na tym postronku wisiał, a byli tacy, którzy wyraźnie widzieli, jak pan Izajasz postronek wkoło szyi okręcał i na haku w sieni się wieszał. Nie spełniło się to dotąd jeszcze; wiadomości, jak widać, były zawczesne, ale każdy wierzył, że to jutro lub pojutrze nastąpić musi.

Pan Izajasz sam podzielał niecierpliwość swoich sąsiadów. Chciał szczerze wypełnić radę mniemanego mnicha, która wydała mu się jedynem wyjściem z jego tak niemiłego położenia... ale brakło mu do tego odwagi. Codziennie, gdy nie było cygana w domu, zarzucał postronek na tragarz, ale gdy trzeba było głowę w ten postronek włożyć, ogarniała go trwoga piekielna. Rozwiązywał postronek i całą operacyę odkładał do jutra, pocieszając się nadzieją lepszej odwagi.

Tymczasem nietylko nie nadchodziła odwaga, ale przeciwnie, coraz większa trwoga nie pozwalała mu nawet dotknąć się zbawiennego postronka.

Pewnego dnia, gdy według zwyczaju, postronkiem, przymocowanym do tragarza głowę sobie okręcał, wszedł do izby cygan. Z dobrotliwym uśmiechem zapytał pana Izajasza, czy przypadkiem nie ma ochoty powiesić się. Pan Izajasz przyznał to ruchem głowy.

Usłużny towarzysz pośpieszył z pomocą. Tłómaczył mu, jak to się robi, a nawet przyrzekł mu pomoc przyjacielską. Nie tracąc czasu, postawił mu stołek pod nogi, a sam wziął za koniec sznura.

Pan Izajasz uznał za stosowne podziękować tym razem przyjacielowi za jego dobre serce. Odwiązał postroonk i siadł przy stole, na którym właśnie cygan postawił był flaszkę trunku.

Zakrapiając się od czasu do czasu, wyznał pan Izajasz swemu towarzyszowi, że ma nieprzyjaciół, którzy jego śmierci pragną. Mówił mu, że już od kilku tygodni chce własnoręcznie zejść z tego świata, ale do tego brak mu odwagi.

Cygan słuchał z niemałem współczuciem pana Izajasza. Mówił mu, że jaknajchętniej samby mu to pokazał na sobie, jak się wieszać trzeba, byle tylko miał przekonanie, że on zaraz po nim się powiesi. Inaczej żalby mu było zostawić przyjaciela bez żadnego towarzysza na świecie.

Pan Izajasz podziękował za dobre serce cyganowi, który po kilku szklankach nabrał wyraźnej ochoty do swego poświęcenia się.

— Dobry trunek na frasunek — rzekł do przyjaciela pan Izajasz i obaj wychylili szklanki.

Jakoż przybyła na frasunek dobra myśl panu Izajaszowi.

— Wiesz co? — rzekł do cygana — przyszło mi coś do głowy. Opinia całego zaścianku chce, abym się powiesił. Widzę, że pod wodę płynąć nie można. Dawne siły opuściły mnie, jakbym się stał innym człowiekiem. Wyrok cięży na mnie ołowiem, a ludzie chcą, abym go spełnił... Lecz o cóż ludziom chodzi? O to, aby widzieli wisielca i powiedzieli: spełniło się!

— Czy chcecie — zapytał cygan — abym ja za was się powiesił?

— To nie... ale coś zrobić można. Będzie i wilk syty i owca cała.

— Cóż zrobić?

— Wypchawszy słomą moją kapotę, włożę na nią czapkę baranią... i wszystko to zawiesimy wieczorem u pułapu! Ludziska obaczą przez okno wisielca i rozniosą po całym zaścianku. W nocy oderżniemy go i zakopiemy do ziemi. Zaśpiewam nawet sam sobie: *Requiescat in pace* (niech odpoczywa w pokoju).

Pan Izajasz zaśmiał się ze swego konceptu i wychylił nową szklanicę.

— Cóż potem? — zapytał oględny cygan.

— Zabierzemy z domu, co się da wziąć... i pójdziemy w góry, hen daleko, w Karpaty! Tam nikt nie będzie nas znać, a tu będzie cały zaścianek uważać mnie za nieboszczyka!

Cygan uznał tę myśl za dobrą.

I zaraz nazajutrz wzięli się do wykonania tej myśli. Cygan wyładował brykę tem, co w domu było, wyjechał do miasta i tam sprzedał ją wraz z końmi.

Popołudniu zaraz, przy nowych kuflach wzięli się do roboty. Pan Izajasz zdjął z żerdzi popielatą kapotę, tę samą, którą miał owej nocy, gdy obcy hufiec przez las wyprowadzał. Wyjął także z pod łóżka wysokie buty, a czapkę baranią ze skrzyni.

I obaj zaczęli to wszystko mierzwiastą słomą wypychać. Cygan okazał się nawet niezłym artystą i wypchaną białą szmatę posmarował cegłą tłuczoną i węglem wymalował na niej rozstrzępione wąsy i oczy cebulaste.

W miarę jak kapota, znana w całym zaścianku, słomą się wypełniała, rosło złudne podobieństwo do figury pana Izajasza. Z dodatkiem czapki i butów, był już pan Izajasz gotowy. Ktoby go był teraz przez okno ujrzał, przysiągłby, że to on a nie kto inny.

Robota ta sprawiała panu Izajaszowi wielkie zadowolenie. Wychylał szklankę za szklanką, a twarz jego gorzała rumieńcem. Oczy świeciły się jak u wilka. Wpatrywał się w swój sobowtór i śmiał się od czasu do czasu głośnym śmiechem, który aż cygana przerażał.

Podobieństwo słomianego człowieka do pana Izajasza było tak wielkie, że pan Izajasz sam nie wiedział, który z nich jest żywy, a który słomiany. Obmacywał siebie i swego sobowtóra, i pytał cygana, aby mu powiedział, który z nich jest oryginałem, a który konterfektem!

Cygan cieszył się także tą robotą. Pił z radości, że dzieło jego tak dobrze mu się udaje. Cieszył się także konceptem pana Izajasza, który tym sposobem nietylko ludzi, ale nawet może samego Pana Boga oszuka.

Nad wieczorem była już robota gotowa. Na podłodze leżał człowiek słomiany, zupełnie do pana Izajasza podobny. Miał nawet dwie blizny na policzku i oczy na wierzch wysadzone, jak to bywa u wisielców.

Pan Izajasz patrzał na niego teraz z dziwnym wyrazem na twarzy. Malował się tam przestrach i wstręt, a przytem przebłyski-

wała radość, że mu się udał koncept tak dobry. Czasami przeszedł po tej twarzy kurcz bolesny, a spalone usta i wypieczony rumieniec okazywały palący się wewnąrrz ogień złowrogi.

Gdy cygan zauważył, że już czas do powieszenia, błysnęły oczy pana Izajasza jak u wilka.

— Czy chcesz mnie wieszać? — krzyknął gniewnie.

Cygan uspokoił go, że tylko słomianego człowieka powiesi.

— To wieszaj — odpowiedział niespokojnie pan Izajasz — tylko uważaj, abyś się nie pomylił. Ja sam nie wiem, który z nas jest prawdziwy, a nawet zdaje mi się, że to ja leżę na ziemi.

— Gdybym się pomylił — uspokajał go cygan — to krzyczcie.

Pan Izajasz przystał na tę mowę, a cygan wziął się do roboty. Okręcił postronek koło szyi słomianego człowieka i zaczął go ciągnąć do góry.

— Powoli, bo mnie już dusi — krzyknął pan Izajasz, schwyciwszy się za gardło.

— Nie bójcie się... nie pomyliłem się!

— Pomyliłeś się... Gwałtu! zaprzestań!

Cygan pociągnął słomianego człowieka do pułapu i postronek zawiązał.

Powieszony zakręcił się wkoło i ruszył ramionami, jakby się dusił. Stojący na ziemi pan Izajasz uczynił to samo. Ręce jego zaczęły się poruszać konwulsyjnie, szyja wyciągnęła się, a twarz posiniała.

— Duszę się, przeklęty cyganie! — krzyczał ochrypłym głosem — mówiłem ci, żeś się pomylił!

Cygan wziął to za żart i wśród śmiechu wyszczerzył do niego białe zęby.

Tymczasem pan Izajasz siniał coraz więcej na twarzy, chwytał ustami powietrze, jak człowiek duszący się, i przewracał oczyma, jakby już konał. Westchnął chrypliwie i padł na ziemię.

Cygan spostrzegł teraz, że to nie żart, i wylał na niego kubeł wody. Pan Izajasz oprzytomniał.

— Gdzież jestem? — zapytał — czy mię kto oderżnął?

Cygan uspokajał go, że żyje i że nie był powieszony. Nie wierzył temu pan Izajasz. Przypominał sobie, że przechodził wszystkie katusze wisielca i że żyć przestał.

— Kiedy tak — mruknął cygan — to szkoda mojej roboty. Cała rzecz skończyłaby się prędzej.

Pan Izajasz przychodził coraz więcej do przytomności i zaczął wierzyć, że to nie on był powieszony. Mimo to miewał znowu przywidzenia, że to on wisi przy pułapie, a człowiek słomiany siedzi na ławie i gada do niego! Długo rozprawiał cygan, że to tylko majaki, które zły duch przed nim wyprawia, i gwizdał w palce, aby czarta z izby wypędzić.

Wreszcie uwierzył pan Izajasz, że to tylko słomiany człowiek wisi na tragarzu. Wstał z ławy, i obaj z cyganem wyszli do alkierza, aby stamtąd obserwować, co się dalej dziać będzie.

Już się dobrze zmierzchać zaczęło, gdy pod oknami dał się słyszeć skrzyp śniegu. Przez dziurę we drzwiach obaczył cygan w oknie jakąś twarz człowieka, widział, jak na tej twarzy zwolna malował się przestrach, jak usta szeroko się otworzyły i zawołały: — Wszelki duch chwali Pana Boga! — Za chwilę słychać było kroki uciekającego człowieka po skrzypiącym śniegu.

— Wszystko dobrze idzie — szepnął do pana Izajasza — ale pan Izajasz siedział jak martwy i patrzał przed siebie.

Po niejakim czasie ozwały się znowu stąpania po śniegu i kilka twarzy okazało się w oknie. Znikały, a po nich okazywały się nowe. Słychać było krzyki niewyraźne, ale nikt nie poważył się wejść do zamkniętej chaty.

Cały zaścianek wiedział już o spełnionym wyroku winowajcy.

Późną nocą, gdy już wzburzony zaścianek się uciszył, wyszedł cygan z alkierza.

— A teraz sprawimy mu pogrzeb — rzekł do pana Izajasza, który już okazywał większą przytomność. Robota udała się dobrze!

Obaj zajęli się teraz pogrzebem. Odcięli słomianego człowieka i zawlekli do pobliskiego parowu obok drogi. Odgarnęli śnieg, wykopali jamę, a włożywszy w nią wisielca, przykryli go świeżą ziemią.

Kilka razy zdawało się panu Izajaszowi, że to właściwie jego pochowano, że przez pomyłkę powiesił go cygan, a on, który to robi, jest słomianym człowiekiem.

Cygan pocierał mu głowę śniegiem i zapewniał go, że tak nie jest, że się wcale nie pomylił.

Wrócili do chaty, zabrali ze sobą, co mogli, i przededniem jeszcze wyszli w góry.

Szli drogą przed siebie, szli przez lasy i parowy, a droga pięła się coraz więcej do góry.

Panu Izajaszowi zdawało się czasem, że już umarł, a ten, co idzie, jest słomianym człowiekiem.

Nazajutrz cały zaścianek otoczył chatę pana Izajasza, ale już w chacie nie zastał wisielca. Obaczył grób jego w parowie, i uwierzył, że go dyabeł bez święconej wody pochował. Starym obyczajem zaczęto znosić na ten grób gałęzie z suchego chróstu i ciernia i wkrótce powstała okazała, lecz smutna mogiła.

Pan Mateusz zmówił pacierz za nieboszczyka w sekrecie, a wróciwszy do domu, rzekł do Magdusi, która blada czekała go na progu:

— Stało się! winowajca sam ukarał siebie, nie czekając wyroku Boga. Być może, że mu Bóg winy jego odpuści, bo tego, co zrobił, nie robił w złej intencyi. Znałem go dobrze. Zły duch pociągnął go do tego.

A gdy Magdusia rzewnie płakać zaczęła, pocieszał ją:

— Nie płacz, dziecko! co się stało, to się nie może odstać. Za to, możesz teraz poślubić Marcina, gdy wróci... Już kary boskiej w drugiem pokoleniu nie należy się obawiać. Ja z mojej strony ofiaruję *votum* do wielkiego ołtarza ze srebra.

Niewyraźny uśmiech przebił się przez łzy Magdusi, ale był jeszcze za słaby, aby na jej twarzy zajaśnieć.

* * *

W kilka dni potem, drogą ku zaściankowi jechała okazała kareta IMPana Olbrowskiego. W karecie obok niego siedział komisarz. Jechał właśnie do niego na polowanie. Rozmawiali o tem polowaniu wesoło.

— Cóż to za sterta suchego drzewa? — zapytał komisarz, wyjrzawszy przez okno.

— Jeden z zaścianku — odpowiedział IMPan Olbrowski — niejaki Izajasz Lubicz powiesił się. Jest zwyczaj, że na grób samobójcy znoszą ludzie suche gałęzie.

— Izajasz Lubicz? — powtórzył komisarz — wszak to ten sam, któremu niedawno oznajmiono, że za przysługę, wyświadczoną naszym żołnierzom, kazałem mu wypłacić pięć dukatów!

Pan Olbrowski uśmiechnął się.

— Zapewne zmartwił się biedak, że mało dostał! — dodał po chwili komisarz.

Pan Olbrowski zwrócił rozmowę w inną stronę. Gdy przejeżdżali koło dworu IMPana Janusza, ozwał się komisarz:

— Słyszałem, że córka IMPana Janusza wychodzi za mąż.

Pan Olbrowski zacisnął usta.

— Coś mówią o tem — odparł przez zęby.

— Słyszałem, że w dziwny sposób przyszło do tego. Miał do dworu przyjechać jakiś ranny, którego panna Jadwiga pielęgnowała... Czy nie wiesz pan, co to za człowiek i gdzie został raniony?

Jakiś uśmiech przeszedł po twarzy pana Olbrowskiego, chciał właśnie coś odpowiedzieć, ale się powstrzymał.

— Zapewne... na polowaniu — rzekł po chwili.

I kazał woźnicy prędzej jechać.

W zaścianku skończyła się historya o panu Izajaszu na mogile z suchych gałęzi. Za to w odległych górach, już na halach karpackich, pojawił się w lasach jakiś dziki człowiek. Odzież z niego spadła, włos pokręcił się na głowie w długie kołtuny, oczy zdradzały waryata. Nic złego nie wyrządzał nikomu, owszem, wszystkich unikał. Gdy mu góral z litości kawałek chleba owsianego podawał, brał go, ale do chaty nie wstąpił, aby się zagrzać. Utrzymywał, że tego zrobić nie może, bo jest — słomianym człowiekiem! Przy ogniu mógłby się zająć i spalić. Okręcał się nawet słomą i tak biegał po lesie. Nikt nie wiedział, skąd ten człowiek przyszedł i jak się nazywa. Nazywano go słomianym człowiekiem.

Razu jednego, gdy górale przy robocie w lesie ogień palili, wybiegł nagle z poza drzew, skoczył w ogień, zasyczał jak słoma, i spalił się.



VIII. Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

1. Szandor Kowacz. (1860).

Na tle wojny węgierskiej 1848 w szeregu przepysznych obrazów nakreślił autor dzieje budzenia się poczucia narodowego w duszy człowieka prostego, wychowanego wśród warunków, które zabić nawet uczucie to mogły. Sierota Węgier, wychowany w domu serbskim, serdecznymi z nim węzłami połączony, poczuwa odrębność swoją na mocy tych drobnych, nieuchwytnych, mimowolnych wpływów, jakie spajają jednostkę z narodem, i staje, wraz z rodakami do walki w chwili, gdy zagrzmiała pobudka wojenna, zdająca się ojczyźnie jego szczęście zapowiadać. Zrywa wtedy pęta przyjaźni z rodziną serbską; nie może tylko pokonać namiętnej miłości dla Maryjki i ta go przywodzi do zguby.

Piękniejszym jeszcze, jak u Memlauera, wydał się Janko nazajutrz, kiedy sprosiwszy do mieszkania ojcowskiego kilku Serbów, tych niemal wszystkich, których dnia poprzedniego odwiedził, zaprowadził ich do ogrodu i tam rozwijał przed nimi obrazy tej wojny eksterminacyjnej, jaka podówczas toczyła się na południu. Był tam i Sawa i Łuka i Szandor. Ten ostatni usunął się poza koło siedzących na murawie Serbów i słuchał milcząc, i zwiesił smutnie głowę i jakaś boleść wewnętrzna malowała się na jego twarzy, a tem większa, że wierzył on temu, co Janko mówił. Wieści tego rodzaju dochodziły i bez Janka do Szegiedyna, ale w Szegiedynie przerabiały się one na korzystniejsze dla Madiarów aniżeli dla Serbów — jak to się zwykle dzieje z wieściami: każdy tłómaczy je sobie ze swego punktu zapatrywania się na nie. A że w Szegiedynie górą byli Madiary, przeto, według ich mniemania, ich sprawa była lepszą.

Janko opowiadał z powagą naocznego świadka.

— Byłem tam — mówił — i mojemi własnemi widziałem oczami.

Opowiadał o mordach. Łzy mu w oczach stanęły i usta mu drżały, kiedy wspominał o starcach, kobietach i dzieciach konających pod mściwym Madiara bagnetem.

— Niema względu na nic!... — wołał — ani na siwe włosy, ani na niemowlęctwo... Jednych Madiar niszczy dlatego, żeby zatrzeć do szczętu wszelką przeszłość naszą, żeby nie było komu o niej wspominać; drugich dlatego, żeby odebrać nam nadzieję przyszłości. Piszą w książkach, że Turcy oszczędzali dzieci chrześciańskie i robili z nich janczarów. Turcy litościwsi byli od Madiara... Madiar nie chce Serbów ani na nasienie zostawić!...

Sawa chrząknął i chciał coś powiedzieć; lecz Janko mówił dalej, a Sawa pokręcił tylko wąsa.

Opowiadał o pożogach.

— Na banackich stepach rzadko gdzie pozostały wsie i miasta... Madiar je rozwala i pali... Idąc z Szegiedyna do Pańczowy, przechodzić potrzeba po zgliszczach, a powietrze napełnia smród pogorzeli... Banat zamienił Madiar na gruzy i rumowiska...

— Niech będzie Madiar przeklętym!... — mruknął jeden ze słuchaczy.

Klątwę powtórzyli wszyscy obecni, wyjąwszy Szandora. Janko zamilkł i poprowadził wzrokiem po słuchaczach. Na twarzach ich malował się dziki, ponury zapał.

Sawa korzystając z milczenia, zaklął po węgiersku i powiedział po serbsku:

— E! co wojna, to wojna... Gdzie wojują, tam zabijają i palą... Bez tego być nie może. Pamiętam, z Francuzem kiedyśmy wojowali... o!... to...

— Ależ, ojcze! — przerwał Janko — czyście zabijali dzieci, starców i kobiety?

— Nie!... och! nie... — odparł Sawa.

— Madiar morduje dzieci, starców i kobiety!... Cóżbyś na to powiedział, ojcze, gdyby ci kto pomordował żonę, córkę i synów, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi!...

— Poćwiertowałbym go własnemi rękami!... — krzyknął Sawa — jeżeli Madiary mordują Serbom dzieci i żony, to czemuż Serby nie mordują Madiarom?

— Nie oszczędzają Serby Madiarów — odparł Janko — płoną i madiarskie wsie i miasta, i madiarskie trupy walają się bez pogrzebu... Ale ich większa siła... Oni nas przemagają, a to dlatego, że nie każdy Serb robi, co powinien teraz robić, że wielu siedzi z założonemi rękami; przypatruje się spokojnie, jak Madiar znęca się nad rodzonymi braćmi...

Opowiadanie Janka miało ten skutek, iż oburzyło słuchaczy i rozbudziło w ich sercach uczucie zemsty — uczucie bardzo do rozbudzenia łatwe. Zemsta jest niby palny materyał, złożony w piersi człowieka. Rzuć nań iskrę, natychmiast buchnie płomieniem. Opowiadanie Janka było właśnie tą iskrą. Wywarło ono jeszcze i inny skutek — zrodziło pewien rodzaj wyrzutów sumienia. Jeden tedy ze słuchaczy odezwał się:

— O! kiedy tak, to niema po co siedzieć w Szegiedynie... Trzeba ruszać do Pańczowy...

— Nie! — odrzekł Janko — trzeba pozostać w Szegiedynie... Gdyby tu naszych było więcej, to należałoby wysłać część tam, gdzie się biją; ale że jest mało, to trzeba wszystkim pozostać na miejscu i tu służyć naszej sprawie.

— A jakże tu służyć?... cóż tu robić? — zapytał się któryś.

— Co robić!... — odpowiedział Janko — a oto, gdyby np. prochownię i magazyny wysadzić w powietrze...

Na te słowa Szandor wstał i wyszedł z ogrodu.

Nie będę opisywał dalszego ciągu tego posiedzenia. Dodam tylko, że rozpoczęło się ono jako prosta gawęda, a zakończyło jako spiskowa narada, której obecność starego Sawy nadała poważne znaczenie. Udział jednakże Sawy był bardzo bierny, nawet nieco oporny; ale skrupuły jego usunął Janko, przedstawiwszy i wytłómaczywszy, że wojna nie na tem jedynie zależy, aby w otwartem polu stawić czoło nieprzyjacielowi, ale i na tem także, aby walczyć z nim podstępami, aby mu szkodzić wszędzie, gdzie można.

— Nie gadałbyś ty, Janku — rzekł Sawa — gdybyś był w huzarach; ale może to i prawda...

I nie można z pewnością twierdzić, że stary został przekonanym. Jankowi wszakże nie chodziło nawet o to. On dopiął swego, pozyskawszy dla zamysłów swoich kilku zdeterminowanych na wszystko ludzi, którzy uroczystą przysięgą zobowiązali się prowadzić w Szegiedynie tajemną z Madiarami walkę i stać jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego. On dopiął swego pomyślniej, jak spodziewał się, bo znalazł entuzyazm, poręczający za wykonanie. Dla większej połowy obecnych tam Serbów odkrył się świat taki sam, jaki w wędrówce odkrył się dla Szandora. Jak ten ostatni Madiarem, tak oni poczuli się Serbami. Odezwała się w nich struna narodowa, tylko u jednego słabiej, u drugiego mocniej naciągnięta, a dająca się w nadzwyczajnej chwili lub potrzebie jednakowo naciągnąć u wszystkich. Odezwała się ona bardzo silnie u Łuki i tem silniej, że na niego spadł zaszczyt przewodniczenia. Poczciwy Łuka ani domyślał się przedtem, że okrom obowiązków, które on tak dobrze i szczerze spełniał, są jeszcze inne, które należy jeszcze lepiej i szczerzej pełnić. Znalazłszy się jednakże wobec obowiązków tych, znalazł w sercu swojem potrzebną do nich gotowość i odwagę.

Janko i Łuka, chociaż rodzonymi byli braćmi, różnili się jednak pod wielu pomiędzy sobą względami, a najprzód pod względem powierzchowności. Pierwszy był brunet, suchy, kościsty, ostrych rysów twarzy, znamionujących energię i przedsiębiorczość i wielki zapas gorących namiętności; drugi był blondyn, pogodnego oblicza, wyglądający na flegmatyka, niepochopnego do silnych wrażeń. Lecz flegmatyczni ludzie mają to do siebie, iż raz przyswoiwszy sobie wrażenia chociażby najsilniejsze, biorą je na seryo, i pod ich wpływem wytrwają do końca, chociażby ten koniec był z góry przewidzianem niepowodzeniem. Takim właśnie był Łuka. Janko zapewne znał brata z tej strony i ucieszył się jego gotowością.

— To tak, bracia — ciągnął przemowę, której początku nie powtarzam — ja nie mogę z wami pozostać, bo mam wiele, wiele rzeczy gdzieindziej do robienia, ale będę od czasu do czasu zaglądał do Szegiedyna. Postępujcie cicho a zgodnie, wytrwale a ostrożnie... Uważajcie, co Madiary robią, ile wojska i jakiego przychodzi do Szegiedyna i po co przychodzi i gdzie odchodzi, i gdy co ważniejszego spostrzeżecie, dawajcie o tem znać natychmiast do najbliższej serbskiej komendy... I miejcie na oku prochownię... Ale... iluż was jest?

I począł Janko liczyć:

— Jeden, dwóch, trzech... — naliczył: dwunastu.

— Dobrze, że nie trzynastu — rzekł półżartem — jeden zostałby Judaszem.

— Byłoby trzynastu — zauważył Sawa — gdyby Szandor dosiedział był do końca... On uciekł, jakeś zaczął chwalić Madiarów.

— Prawda! — zawołał Janko — to Madiar... Gotów zdradzić!...

— A!... — przerwał Sawa.

— I nie słyszał nawet wszystkiego — rzekł Łuka.

— Kiedyż on odszedł? — zapytał Janko — na początku czy przy końcu?...

— Jakoś pośrodku — rzekł któryś z obecnych — ale on nie słyszał...

— Nie słyszał, to pewna — podchwycił Sawa. — Ale choćby i słyszał, to nie wydałby nas — powiedział stary, kładąc przycisk dobitny na wyrazie „nas“.

Szandor jednakże, jak wiemy, usłyszał najważniejsze. Powiedzenie Janka: „prochownię i magazyny wysadzić w powietrze“, niby mina wysadziło go z miejsca, na którem siedział. Zerwał się i wybiegł z ogrodu i wypadł na ulicę. Kiedy przechodził mimo tego okna, przed którem rósł krzak różany, w jednę z jego szyb szybkiem pukaniem zabębnił paluszek Maryjki. Szandor nie obejrzał się, nie zatrzymywał, nie słyszał pukania. Jemu w uszach bębniło to, co powiedział Janko: jemu serce pukało, jakby rozbić się chciało o deskę piersiową; a pierś jego wzdęła się, jakby rozsadzić się miała zapaloną w niej miną. Zatrzymał się na ulicy przed wrotami Simicza, ale tylko na chwilę; zwrócił się w prawo i wybiegł w pole i szedł szybko, biegł prawie, jakby przed czemś uciekał, i — jak w podobnych razach zwykle się dzieje — szedł bez celu, sunął krajem kukurydzanych pól, przeszedł w poprzek trakt kieczkiemecki i — szedł. Gdyby kto zapytał go, czy on co widział, lub czy czuł ziemię pod sobą, z pewnością nie umiałby ani na jedno, ani na drugie odpowiedzieć zapytanie. Z nim na jawie działo się tak, jak we śnie, kiedy przyśni się człowiekowi, że leci — leci i zatrzymać się nie może, aż się nagle obudzi. Szandor obudził się, zatrzymany jakimś słupem czy murem, który jakby z ziemi wyrósł i zastąpił mu drogę. Zatrzymał się Szandor, spojrzał i... zadrżał. Mrowie trwogi przebiegło mu po ciele. Przed nim stała szubienica.

Z pewną wymyślnością architektoniczną zbudowaną jest szubienica szegiedyńska. Wznosi się ona na dwóch murowanych słupach, ozdobionych gzymsami u góry i podpierających sobą także murowaną i ozdobioną sztukateryą poprzecznicę. Mur jest zczerniały. Widać, że stoi on od dawna i nikt nie otrzepuje go z kurzu, którym go wieki przykryły, a który zanosi nań wiatr z kieczkiemeckiego traktu. Trzy grube żelazne haki, przybite z dołu do poprzecznicy, pokryła rdza brudno-czerwonym kolorem, niby barwą krwi zapiekłej.

Widok szubienicy orzeźwił Szandora, ale w dziwnie smutny orzeźwił sposób, w taki, jakby ktoś w znużeniu, zamiast źródlanej wody, napił się trucizny. Mimowolnie wzrok jego zawiesił się na haku i robiło się mu straszno, coraz straszniej. Jakieś ponure a nieznane przeczucie napełniło mu serce. Budziła w nim szubienica wstręt, a nie mógł od niej wzroku oderwać. Widywał on ją nieraz, ale zawsze zdaleka; nigdy jeszcze w życiu nie stał tak blisko niej, i byłby może stał dłużej, gdyby chrząknienie ludzkie nie zwróciło na siebie uwagi jego. Obejrzał się i ujrzał człowieka, który stał w furtce domu kata i przypatrywał się mu w milczeniu. Bohater

nasz, jeżeli nie poznał, to odrazu domyślił się, co to był za człowiek, i jakiemś uczuciem wstydu, jakby ujętym został na gorącym a złym uczynku, zadrżało jego serce, — natychmiast zwrócił się i szybko puścił się ku miastu.

2. Uskoki. (1869).

Jest to jakby część wielkiej całości, któraby miała za przedmiot nieustanną walkę Słowian południowych z gniotącymi ich nieprzyjaciołmi. Bohater „Uskoków“ Dżordżi mieści w swej duszy i bohaterstwo poświęcenia i słabostki natury ludzkiej, miękkiej, dającej się łatwo uwikłać czarowi niewieściemu. O osobistych swych sprawach nie chcąc myśleć nawet, nie spodziewając się niczego, nie pragnie też nic dla siebie, a myśli jedynie o losie swego narodu. Naraz niespodziewanie szczęście się uśmiecha do niego w postaci cudnej Wenecyanki. Dżordżi znika tedy na czas długi z wielkiej widowni, na której sprawa ojczyzny, ujęta w ręce przez szalbierza politycznego, waży się, i w zacisznem ustroniu zażywa pierwszych chwil osobistego szczęścia. Potem idzie na plac boju, zapomnienia swego żałując, i w jednej bitwie zwycięskiej rehabilituje imię i znaczenie swoje wśród spółziomków. Sceną, na której wybrane przez powieściopisarza osobistości działają, jest Bośnia, a zwłaszcza Dalmacya, dokąd uciekali, „uskakiwali“ słowiańscy poddani Turcyi. Czas akcyi to schyłek wieku XVI. Wszystko tu żyje, rusza się w sposób naturalny, zgodnie z charakterem właściwym i okolicznościami zewnętrznemi. Mnóstwo tu żywych, plastycznych obrazów. Wybieram z nich jeden, przedstawiający męki, jakim Turcy poddawali opornych swej woli Słowian, i naukę, jaką z tej męki dziecku swemu, przyszłemu bohaterowi, w serce wpoiła matka.

Siwy włos ojca.

Smutek, jaki podczas egzekucyi mieszkańców Wisznicy ogarnął, ani opisać, ani opowiedzieć się nie da. Mężczyźni wygnani zostali na plac. Kobiety z dziećmi po chatach pozostały.

W każdej chacie bośniackiej słychać było cichy, tłumiony płacz, przeplatany głośnem Boga na ratunek wzywaniem. Z płaczu tego i z tych wezwań poznać można było, że się spełnia ofiara bolesna, nie pierwsza i nie ostatnia. Modlitwa za konającego trwała ciągle, póki Miłosz nie skonał. W izbie, która dla chrześcian zastępowała kościół, rozesłany był na środku kawał czarnego sukna, reprezentujący katafalk, przy którym gorzały dwie woskowe świece. Przy tym katafalku przez dwa dni i noc jedną w każdej chwili widzieć można było po kilkoro ludzi klęczących, lub krzyżem leżących.

Przez dwa dni i noc jedną Wiszniczanie modlili się za konającego, błagając Najwyższego o lekką, a jak najrychlejszą śmierć dla sterczącego na palu męczennika

Przez dwa dni i noc jedną pomiędzy Wiszniczanami nie było rozmowy innej, tylko zapytania:

— Czy już?

Tylko odpowiedź:

— Jeszcze nie.

Najwyższy wykonał wielkie dzieło: stworzył świat i wszystko, co na nim jest; stworzył naturę i dał jej prawa niezmienne. Daremnemi więc były błagania Wiszniczan. Nie oszczędziły one męczen-

nikowi ani jednej boleści, nie przyśpieszyły mu śmierci, ani na jedną chwilkę. Przyszła ona w swoim czasie, gdy podarte wnętrzności zapaliły się gangreną, która uderzyła na serce i zatamowała krążenie krwi.

Gdy Miłosz skonał, po wsi podawany z ust do ust, przebiegł jeden wyraz:

— Już...

Dziwna rzecz! Wyraz ten napełnił serca Bośniaków radością. Każdy z głębi piersi odetchnął, jakby mu ciężar spadł. Zeszli się do kościołka, gdzie katafalk wciąż na środku stał i dziękczynne modlitwy popłynęły przed tron Najwyższego, a katafalk przybrał pozór woza tryumfalnego, na którym dusza Miłosza odbyła wjazd tryumfalny do miejsca wiecznej szczęśliwości, przy chórach serafinów i cherubinów.

— Już... — szeptali ludzie i płakali z rozrzewnienia.

I dziękowali Bogu za cud.

Za cud.

Tak — za cud. Wiszniczanie tego byli przekonania, że Stwórca modłów ich wysłuchał. Prosili Go o lekką dla Miłosza śmierć i była ona w ich mniemaniu lekką. Nieboszczyk nie krzyknął, ani jęknął — podczas kiedy zazwyczaj umierający na palu napełniają powietrze jęczeniem przeraźliwem. Nieboszczyk konał tylko dwa dni i jedną noc — podczas kiedy nad głowami innych po kilka razy słońce wschodzi i zachodzi.

Ludzie w czasach owych znali się na męczarniach. Śmierć na palu, na haku, lub na stosie, była rzeczą zwyczajną — była widowiskiem gratis, które nie sami Turcy dawali. Wiedziano więc, jak i jak długo człowiek kona. Poczytano zatem za cud śmierć Miłosza, którego dusza odeszła do lepszego świata cicho i prędko.

Wiszniczanie dziękowali Bogu za to, że ich prośby wysłuchał i zgromadzili się wszyscy do świątyni, gdzie kapłan odprawił modły za duszę nieboszczyka.

Zgromadzili się wszyscy, z wyjątkiem jednej kobiety i jednego dziecka.

Domyśla się czytelnik, co to za kobieta i co za dziecko?

Wisznicę otaczały góry w amfiteatr, piętrząc się zielonemi wierzchołkami, opierającemi się na zrębach skalistych. Siwe skały wyglądały zdaleka niby gzymsy, ustrojone w girlandy bluszczów i dzikich winogradów. Tu i owdzie widzieć się dawały rozpadliny głębsze; tu i owdzie rozpadlina przybierała kształt ambrazury lub niszy, lub też wyglądała jak otwór pieczary, wgłębionej w łono góry.

Jeden z otworów takich widnym był z krużganka bejowego konaku. Budując go natura, zdawało się, radziła się człowieka. Na dwóch dużych kamieniach, formujących ściany, leżał trzeci w poprzek i formował powałę. Te trzy kamienie miały pozór otworu, podobnego do wejścia do kopalni. Podanie niosło, że tam przemysłowcy weneccy złoto niegdyś wydobywali. Była nawet legenda, do miejsca tego przywiązana, mówiąca o zaklętych skarbach, ukrywa-

jących się w łonie góry i bronionych przez siły nadprzyrodzone. Z kamienia poprzecznego zwisały festony dzikich ziół, a na spadzistości przed otworem wyrastał rozłożysty buk, który go grubym swoim pniem i konarami maskował w części.

Pod tym bukiem, od rana dnia tego, w którym Miłosza na pal wsadzono, do wieczora i przez całą noc i przez cały następny dzień siedziała kobieta z dzieckiem. Od punktu tego, do placu tracenia odległość była wielką, zwłaszcza na pieszy chód. Trzeba było spuszczać się w głęboką dolinę i wspinać na stromą spadzistość i wymijać urwiska; lecz linia prosta, w powietrzu rzucona, nie przedstawiała się tak długą, aby normalny wzrok nie mógł widzieć placu i rozróżniać na takowym przedmiotów. Przedmioty przedstawiały się wprawdzie w zmniejszeniu, lecz dość wyraźnie, zwłaszcza jeżeli patrzący zpod buka, zgóry wiedział, co one znaczą.

Kobieta siedziała skulona. Na kolanach oparła łokcie, a na dłoniach głowę i patrzała przed siebie w punkt jeden, oczami, których białka osnuły się całkowicie włóknami czerwonemi. Powieki były zaognione i nabrzmiałe; ciało pokrywające orbity napuchło. Od jednego oka rzutu poznać było można, że kobieta płakała i wszystkie łzy wypłakała, i za powiekami pozostała jej już tylko krew.

Toć już nie płakała, zaogniony wzrok trzymała wlepiony w plac tracenia i siedziała nieruchoma, niby skamieniała. Że jednakże skamieniałą nie była, dowodziło tego ciągłe drganie policzków, od których dłonie odskakiwały; dowodziły tego zdarzające się w pewnych czasu odstępach konwulsyjne ruchy całego ciała, oznaczające boleść skupioną w piersi i działającą tak, jak ściśniona para w kotle maszyny; dowodziły tego wydobywające się od czasu do czasu z ust jęki, które się zaczynały od przeciągłego „och!“ i rozpływały w żałośne, tłumione wycie; dowodziły tego nakoniec wyrazy, któremi w długich odstępach milczenia, kobieta do dziecka przemawiała:

— Widzisz, synku? czy widzisz? — pytała.

— Widzę, matko, tłum ludzi.

— A śród tłumu?

— Śród tłumu nic nie widzę, ludzie i ludzie, jedni orężni, snać *askirlar*, a drudzy nasi. A nad tłumem...

— Co nad tłumem?

— Człowiek jeden, niby wielkolud.

— Synku, patrz dobrze, patrz i to sobie zapamiętaj: ten wielkolud, to ojciec twój.

— Ojciec? — rzekł chłopiec z akcentem zdziwienia. — Zostawiliśmy go w chacie.

— To ojciec twój — odparła kobieta sucho.

I suchem łkaniem odezwała się jej pierś, a konwulsyjnem drganiem poczęły się rzucać jej członki.

Chłopczyna pochwycił ją oburącz za szyję, przytulił się do niej i nabrzmiałym przestrachem i łzami głosem, zawołał:

— Matko!

Kobieta się nagle uspokoiła i zamilkła. Po długiem milczeniu znów zapytała:

— Widzisz, synku?

— Widzę, matko.

— Tłum ludzi?

— Tłum ludzi.

— A nad tłumem?

— Ojciec, taki wielki!

— Och! wielki.

I znów suchem łkaniem odezwały się jej piersi i znów konwulsyjnem drganiem poczęły się rzucać jej członki, i znów chłopczyna przytulił się do niej i nabrzmiałym przestrachem i łzami głosem zawołał:

— Matko!

Bolesne jęknięcie wypłynęło z ust kobiety i rozpłynęło się w powietrzu, rozbite na echa, które się odezwały po rozdołach.

— Czy widzisz, synku? — znów zapytała.

— Widzę, matko, widzę — odrzekł chłopczyna.

— Co?

— Ojca.

— Widzisz go dobrze?

— O! widzę, widzę jego twarz, jego włosy siwe.

— Włosy siwe — podchwyciła kobieta echowym sposobem, przeciągle i powoli. — Zapamiętaj-że dobrze, synku, te włosy. Niech one będą ci przytomne na zawsze, w każdej chwili życia twego. Pamiętaj! pamiętaj o tem, co widzisz w tym momencie.

Znów załkała, znów się uspokoiła i znów z chłopcem kilka wyrazów zamieniła; wyrazów, z których każdy, niby rylcem w pamięć dziecinną się wrażał, niby rozpalonem żelazem na sercu się wypiętnowywał. Kobieta powtarzała nieustannie:

— Pamiętaj... Patrz i pamiętaj...

Chłopczyna się wpatrywał — i tem, co w takiej odległości najbardziej wzrok jego uderzało, były siwe włosy starca, podniesionego nad tłumem. Biały kolor jest, jak wiadomo, najwidniejszym. Ten więc włos siwy zajął w jego pamięci, wśród przedmiotów, jakie w niej krążyły i krążyć miały, takie samo stanowisko, jakie słońce zajmuje w systemie planetarnym. Stał się on środkowym punktem jego moralnego jestestwa, punktem, do którego odnieść się miało całe życie jego.

Na tem samem miejscu widzieć można było Lubę na drugi i na trzeci dzień — jak długo trup Miłosza sterczał na palu. Gdy został zdjęty, pojawiła się w chałupie samotna wdowa. A jak tylko się pojawiła, natychmiast spadli na nią Arnauci.

— Gdzie chłopiec?

Luba jakby nie rozumiała zapytania. Odpowiedziała na nie spojrzeniem, które się wydawało obłąkanem.

Jeden z Arnautów pochwycił ją za ramię i silnie wstrząsnął.

— Gdzie chłopiec?

Kobieta jęknęła z bolu, padła na ziemię i zwinęła się, jakby ją wewnętrzne łamały kurcze.

Bulukbasza splunął gniewnie i ręką machnął. Arnauci odeszli, rzucając ją leżącą i skurczoną.

W Turcyi tarczą dla kobiety przed prześladowaniem jest podrzędność stanowiska, jakie jej koran w społeczeństwie wyznaczył. Istota bez duszy, póki młoda, służy, jak wszystko, co człowiek do posługi swojej używa; gdy postarzeje, dalej służy... za przedmiot pogardy dla tych, co czują w sobie duszę nieśmiertelną, powołaną do podzielenia raju z prorokiem. W splunięciu więc bulukbaszy i w machnięciu ręką była pogarda, która się następującemi da wytłómaczyć wyrazami:

— Nie warto się wdawać z tą istotą nikczemną.

Ta nikczemna istota posiadała tajemnicę, której odkrycie było zadaniem służby beja. Zdawaćby się powinno, iż najłatwiejszym sposobem wywiązania się z zadania było wydarcie tajemnicy Lubej. Użyciu atoli sposobu tego sprzeciwiała się muzułmańska duma, stawiająca niewiastę na równi z pierwszem lepszem zwierzęciem. Czyżby się człowiek poniżył do tego stopnia, aby indagować miał psa, kota? A gdyby się poniżył, cóżby na tem wskórał? Pogarda przeto zasłoniła Lubę, lecz nie jej dziecko. Ona pozostawioną została w spokoju, ale za to w lasy i góry poszły obławy, mające na celu ułowienie chłopca. Dodać potrzeba, że obławy te nie były nakazane przez beja. Na niego stracenie Miłosza wywarło, zdaje się, silne wrażenie, wrażenie, które się nie da opowiedzieć, bo nie smutku, ani radości, ani zadowolonej zemsty, ale chyba wewnętrznego upokorzenia, pochodzącego od tej potęgi moralnej, jaką Miłosz rozwinął, potęgi, która nakazała Osman-bejowi szanować to, co po Miłoszu pozostało. Duma jednakże nie pozwoliła mu uszanowania tego widocznie okazać. Nie odważył się odwołać rozkazu, za niespełnienie którego kiehai głowę z karku strącił. Powiedzieć służbie nie śmiał:

— Dajcie pokój dziecku.

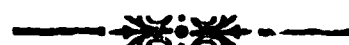
Zamknął się w milczeniu, a to jego milczenie pobudziło gorliwość czauszów, bulukbaszych i wszystkich Arnautów, pragnących się zasłużyć w oczach pana. Lasy więc i góry, otaczające Wisznicę, stały się celem zbiorowych i pojedyńczych wycieczek muzułmanów, napełniających konak i zamieszkujących wieś. Przebiegali je wzdłuż i w poprzek, przetrząsali wąwozy i pieczary, przeglądali gęstwiny, zasiadali, podkradali się, śledzili matkę i nie mogli wynaleźć zbiega, który jednakże nie mógł ukrywać się gdzieindziej, tylko w lasach i górach, otaczających Wisznicę.

Poszukiwania, za pomocą śledzenia matki, wydawały się najpraktyczniejszemi. Kto chce lwiąt gniazdo odszukać, patrzy, skąd lwica przychodzi i dokąd wraca. Czuwano więc nad Miłosza wdową dniami i nocami. We dnie zawsze dwóch, jak warta, za każdem przewróceniem klepsydry, zmieniających się Arnautów, miało ją na oku. Gdzie się obróciła, oni za nią szli zdaleka, zważając, aby ich nie spostrzegła. Nocami chałupa jej otoczoną była rozstawionemi

gęsto czatami, które w ukryciu czuwały nad każdym, co wchodził i wychodził. Mysz-by się nie wykradła, nie dopieroż chłopiec dziewięcioletni. Całe to jednakże śledzenie, wszystkie poszukiwania, obławy i zasadzki, nie przydały się na nic. Trwały one tydzień; w drugim tygodniu się wzmogły; w trzecim zaniechane zostały; w czwartym wznowiono je ze spotęgowaną gorliwością; potem znów na dłuższy czas zaniechano; w ostatku, po półrocznym blisko przestanku, bulukbasze i czauszowie nagle wszystkie poruszyli sprężyny, lasy zdeptali, góry przebiegli, wieś przetrzęśli i w rezultacie osiągnęli to, że przyszli do tego przeświadczenia, iż chłopiec musi być chyba daleko gdzieś odesłany. Rezultat ten zakończył poszukiwania. Znękana i skompromitowana służba beja dała za wygranę. Arnauci pocieszali się klątwami, których nie szczędzili ani nieboszczykowi, ani biednemu sierocie, który się gdzieś może samotnie po świecie tułał. Klęli, ze strachem oczekując na pytanie beja:

— Gdzie chłopiec?

Lecz mijały tygodnie, miesiące i lata: bej milczał i córkę hołubił, która podrastała, niby kwiatek na starannie uprawnej grządce.



IX. Antoni Pietkiewicz. (Adam Pług).

Dzieciobójca. (1850).

Jest to bolesna karta z dziejów życia wieśniaczego na Podolu w czasach panowania poddaństwa. Po starym, zacnym ojcu, dziedzicem wioski został syn jego, nie tylko lampart, jak wielu jemu wówczas podobnych, ale nikczemnik, który nie mogąc zadowolić swej chuci, katuje i więzi parobka wiejskiego, który odgrażał się nań; skatowany Janek umiera; a wówczas panicz wziąwszy pieniądze od biednego ojca jako okup, daje starcowi klucze od więzienia i pozwala syna zabrać. Starzec zastał już tylko trupa. Dziedzic dla pozbycia się odrazu wszelkich kłopotów oskarża biedaka o dzieciobójstwo; wysłany został jako zbrodniarz, a po drodze autorowi opowiedział swoje przygody. Część ich tutaj podaję; jest to prawie sam ich początek.

Patrzcie, dobry panie, hen tam, między południem a wschodem, te dwie gwiazdeczki, jak sobie miarkuję, to jak raz nad moją chatą świecą. Było ich trzy niegdyś, i świeciły jasno i wesoło, jak oczy bożych aniołów; nigdy tak chmury nieba nie zawlekły, by dla niej chocia malutkiej, chocia na minutkę szczelinki nie było; to też wesoła i jasna była dola nasza! Przed rokiem zagasła jedna, gwiazdka mego Janka; Matka Przenajświętsza wzięła ją z jego duszeczką do raju; moja tylko świeci i mej biednej Zoni, jakby krwią oblane, bo też i krwawa nasza smutna dola!

A w tamtej stronie, mój miły panocze, to kraj podolski. Ach! żebyście widzieli nasze drogie sioło! nasze chatki czyste, bielusieńkie, co po górach siedzą śród kwitnących sadów, jakby orły białe, jarami się ciągną, jak łabędzi stado, i życiem i weselem grają, jak

młody rój pod słońcem. O! to też doprawdy za starego pana (daj mu, Boże, niebieskie królowanie) wioska nasza była, jak w najlepsze lato pasieka odborna; a w każdej chacie szczęścia i radości, jak plastrów miodu w ulach na podkopach, a biegliśmy do pracy, jak pszczoły po ciepłym deszczu na hreczkę lub gaj lipowy w kwiecie. A pan choć brał miodek, nie mieliśmy krzywdy; a w złą godzinę, to i nas hodował. Panował nad nami, jak ojciec nad dziećmi, nie jak pan nad chłopem; to też nie zwaliśmy go panem, lecz bat'kiem (ojcem), a panią, matką nie panią. Lecz panicz nie był nam bratem, i jak stał panować, to jak sto niedźwiedzi! i wszystko nam wydarł, by sobie miodu chmielnego nasycić; a kąpiąc się w miodzie, nigdy nie był syty, a myśmy z głodu ginęli.

U starego pana słudzy dobrze płatni i miłowani jak dziatki, miłowali go, służyli wiernie i dobra jego strzegli usilniej niż swego; a nikt i nie słyszał ani o złodzieju. A panicz za służbę chciał płacić jednym — złem słowem, drugim — batogiem; a znęcając się nad ludźmi i niszcząc głodem, kraść i złorzeczyć wyuczył. Bywało, staremu panu potrzeba dziada do pasieki, parobka czy dziewki do dworu, to tylko się odezwie: dzieci! kto chce u mnie służyć? — a każdy bieży ochoczo, bo wie, że krzywdy nigdy mieć nie będzie i łaskę pańską zarobi. A paniczowi jak trzeba służby do dworu, to ekonomy idą z nahajkami i jak bydlęta do jatek spędzają na pałacowy dziedziniec zawodzące dziewki lub starce; a kogo panicz wybierze, to aż serce się kraje, patrząc, jak biedny wyrzeka z rozpaczy, jak cała siemja (rodzina) żałośnie zawodzi, jakby na mogile.

Nie wiem, jak tam biedni dalej wytrzymają! Ledwie dwa lata panuje, a już ani jednej sterty w całej wiosce nie ma (u niego tylko dwa toki stoją zawalone zbożem, jeden pogorzał na mą biedną dolę!), a trzecia część ludzi rozeszła się po bożym świecie. Bo to, panocze, wy nie dacie wiary, co to za bezbożnik! Boże nie pamiętaj! Dał mu Bóg dostatek gruntu... Za starego pana niewiele chat było, ale siemje duże lekko i ochoczo i sobie i jemu pracowały. A panicz wziął się na mądre sposoby: pobudował chaty, pokupował pługi, powydzierał rodzicom dorodną dziatwę-podporę, siłą pożenił, siłą poosadzał w chatach, siłą ponarzucał parowe grunta, za chaty i woły pokarbował długi, i pędzi biednych do roboty, trzy dni z powinności, trzy dni na odrobkę i męża i żonę, a w chatach dzieci mrą z głodu, lub się kaleczą bez matki i niańki, a parowe pole i ogród tylko świnie orzą, a wiatr burzanem zasiewa!... Ej! serdeczny panie, twarde chłopskie serce, zahartowane w niedoli; ale i żelazo pęka i rdzą się przetrawia. Nie jeden wyrzekł się nie tylko chaty i gruntu i pługa, ale i żonę i dziatwę porzucił i w świat powędrował. Nie jeden złapany, do krwi batożony, znów poszedł po świecie, i znów powrócił w dybach, i skatowany znów uciekł! Byli i tacy, których nareszcie panicz, ot jak i mnie biednego w Sybir popędził, i poszli z ochotą, bo coś jakby boży głos w sercu słyszeli, że tam lepiej będzie... I jeszcze wydziwia i hańbi nas biednych złem słowem śród ludzi! A bo to leniwcy! a bo to łajdaki! nawet i dla siebie nic ro-

bić nie chcą, pola odłogiem leżą!... Jemu bo się zdaje, że chłop, nie to że odpocząć, ale ani jeść, ani spać, ani chorować nie powinien; że, jak on z żoną wyruszy w pole, to mu anieli bozi zamiotą chatkę, chróstu nazbierają, w piecu zapalą, jeść nagotują, chleba upieką, krówki podoją, chudoby dojrzą, bieliznę wypiorą, kądziałkę uprzędą i krośna wytką! A zapomina biedny, że u nieszczęsnego chłopa nie ma ani marszałka dworu, ani zgrai lokajów, coby mu służyli; nie pomyśli o tem, że po cudzym karku jeździć to lżejsza praca, niż nawet woły poganiać! Bo to on, serdeczny panie, i to nazywa pracą, jak zapisuje, ile mu kasyer odda, a ile on przeje, albo przepije, albo w karty przegra tego, cośmy uzbierali swoim krwawym trudem, lub co mu ojciec poczciwy zostawił.

Oj, nie tak było za starego pana! Już to i on pracował tylko po pańsku, lecz umiał i naszą ocenić pracę i nie wydziwiał. Bat'ko nasz w sercu nas nosił, i każdy ból nasz on pierwej uczuł, niżli nasz płacz posłyszał. Pamiętam, panie, dziesięć lat temu, wybrany przez niego Hryhor na ekonoma naszej wioski, myślał, że się przypodoba jemu znęcając się nad nami, i siadł nam na karku! Oj! ciężko nam było nieprzywykłym jeszcze! Źle jakoś było skarżyć się na swego; starsi upominali go i grozili, ale nic nie pomagało, bo jeszcze gorzej nam było! To i radziła gromada, coby tu począć? A nim uradziła, już bat'ko nasz o wszystkiem wiedział, i jak dziś pamiętam, w sobotę przed Świętą Trójcą, wezwał gromadę do siebie, a z nią i Hryhora. Mój miły Boże! cóż to się działo! Pierwszy i jedyny raz w życiu widziałem naszego bat'ka tak zagniewanego! Co tam z Hryhorem dziać się musiało, kiedy ja, niewinny, prosto obumarłem ze strachu! Zrazu to jakby iskry leciały z oczu, a głos był taki, jakby głos w chmurach; lecz nagle łzy mu puściły się potokiem i przygasiły ogień oczu i oblicza, i głos rozmiękczyły:

— Ach! niepoczciwy! — mówił — czyż ja na to ciebie postawił nad bracią, nad mojemi dziećmi, żebyś ich katował! Alboż ty nie wiesz, że ciało ich, to moje ciało, że serce ich, to moje serce, że co ich boli, to mnie boli! Także to ty chciałeś mi służyć? pozbawiając mnie miłości moich dobrych dziatek, krzywdząc ich w imieniu mojem! A ja myślałem, że brata postawiwszy nad braćmi, świętą sprawiedliwość mieć będę; że chłopek chłopkiem tak, jak Bóg przykazał, kierować będzie; że i ja i wy lepiej z nim wyjdziecie niżli z szlachcicem, obcym wam sercem.

A potem zwróciwszy się do nas:

Panowie gromada! sami naznaczcie mu karę za to, że nie miłował was jak braci.

A myśmy padli mu do nóg i rzekli:

— Wybaczcie, bat'ku! i niech mu Bóg tak wybaczy, tylko nam dajcie innego!

— To kogoż chcecie? — zapytał pan, a oblicze jego świeciło, jak majowe słonko.

A wtedy cała gromada...

Tu starzec powstał, z dumą wzniósł czoło i dłonią podparł się w boki.

A wtedy cała gromada krzyknęła: — Koźmę! Koźmę dajcie nam, bat'ku.

I drżące słowa w łkaniu utonęły; padł wysilony na przyzbę, i twarz ukrywszy w dłoniach, szlochał jak dziecko.

Po chwili tak dalej mówił:

— Tak, serdeczny panie, cała gromada, jak jeden głos, mnie wykrzyknęła!

Odtąd nie było dnia, żebym u pana wieczorem, w jego własnym pokoju, z godzinę nie gawędził sam na sam. Och! co to było za serce! Ośm lat mu służyłem, jak chyba Bogu już służyć będę; miłowali mnie ludzie, a ich uczyłem dobrego pana miłować. I kiedy, siedm lat temu, pan zawołał nas znowu do siebie, aby nam powiedzieć, że chce nam dać wolność; tośmy z głośnym płaczem upadli mu do nóg, błagając, by nam ojciec nasz dalej panował i nie wypuszczał nas z swojej opieki. Oj! nie przeczuwaliśmy, co z syna będzie.

Wybaczcie, panocze, staremu gadule! Już was znudziłem pewno; a jeszcze i nie zacząłem prawić o swej własnej biedzie. Ale już posłuchajcie do końca cierpliwie, a Bóg wam zapłaci; bo to lżej sercu, jak się człek człeku litościwemu poskarży.

Bóg mnie błogosławił. Miałem grunt parowy, dwa silne pługi i cztery chabety, orałem za skibę uboższym sąsiadom; a z pańską pszeniczką chodząc do Odessy, nieraz i swojej trochę się sprzedało. Miałem prócz tego z półkopy owieczek i kilkoro krówek, a cztery karmne wieprzaki co rok na jarmarku. Nie koniec na tem: do mnie po węgierki ludzie o kilka mil jeździli, a żydzi się darli za mój piękny miodek, bo sto pni co rok kładłem do temnika, a drugie tyle w półbeczki. To i nie dziw, że grosz się w skrzyni gromadził przy bożej łasce.

Ożeniłem się jak raz ósmego lata po wojnie z Francuzem. Bóg zdarzył mi żonę bogobojną, poczciwą, cichą a pracowitą, dobrą gospodynię, dobrą matkę dzieciom. Przed ową straszną zarazą, co to ją ludzie cholerą zwali, miałem już trzech chłopców i dwie dzieweczki. Wszystkie się w matkę udały: najstarszy miał już dziesięć, najstarsza dziewięć, i serce mi rosło z radości, kiedy bywało, wróciwszy z pola, obaczę, jak moja dziatwa żwawo się uwija, zabawkę z pracy zrobiwszy: jedno krówki poi, drugie podwórko zamiata, trzecie rosadę w ogrodzie polewa, najmłodsze nawet kureczki z kurczętami od jastrzębia strzeże, bo najstarszy chłopiec to już i drew narąbać umiał, i woły do pługa zaprządz, a nieraz nawet ze mną w pole chadzał, i konie na nocleg wodził, choć i potrzeby tego nie było, bo dwóch najmitów i dwie najmiczki miałem.

Przyszła godzina bożego gniewu! Ach! dobry panie, trudno wypowiedzieć, trudno wyobrazić, co się wówczas działo!... Widzieliście tę straszną plagę zaprzeszłego lata; ale to Pan Bóg tylko napominał, nie karał. A wtedy... Boże mój, Boże! siedm dni tylko straszna gościa pogościła u nas, siedm dni dzwony oddzwoniły, pie-

śni żałobne brzmiały i płacz nie ustawał rzewny, a trzy morgi pola krzyżami się zasiało, trzy części wioski pustkami stanęły! i nie było chaty, gdzieby nie postała ona, gdzieby nie zabrała kogoś, mnie tylko, mnie Bóg ochronił!

I znowu starzec dłonią zakrył oczy i zamilkł, a z gwałtownego poruszenia piersi znać było, że żal łez falą w serce mu uderzał. Po chwili westchnął i tak mówił dalej:

Czy to źli ludzie urzekli mi moją dolę, dziwiąc się i wykrzykując: szczęśliwy! szczęśliwy! (ach! bo to szczęście bardzo płochliwy ptaszek! ostrożnie przy niem chodzić potrzeba; a nie, to zaraz pyrchnie!), czy to ja grzeszny nie umiałem godnie podziękować Bogu za zmiłowanie Jego nadzwyczajne; sam już ja nie wiem! Ale minął już tydzień od ustania zarazy, kiedy straszna gościa, jakby przypomniawszy sobie, że u mnie jeszcze nie była, wróciła, by zajrzeć i do mojej chaty.

Jak dziś pamiętam, w niedzielę z południa... wróciłem z cerkwi, a chocia modliłem się gorąco, chocia kochany nasz dobrodziej pocieszał nas bożem słowem, ucząc, byśmy dziękowali Bogu za to, że nas przy życiu zachował, byśmy w modlitwie wspominali zmarłych, ale nie zapominali się w żalu, a po dawnemu ochoczo biegli do pracy, i poprawę życia zrobili, by drugi raz gniewu bożego nie ściagnąć (prawił serdeczny, a łzy mu gradem sypały się z oczu, bo i sam dziatki pochował, — i wszyscyśmy płakali, na twarz upadłszy w pokorze); chocia wróciwszy zasiadłem z całą siemją zdrową i wesołą boży dar spożywać; jednak coś mi na sercu tak było ciężko, że i łyżki strawy przełknąć nie mogłem, a łzy kto wie czego, ciągle się po oczach snuły, i mimowoli w uszach odzywało się ciągle nocne, żałośne wycie naszego Żuczka i hukanie sowy na dachu. Żona wesoło krzątała się przy stole, dziatki szczebiotały jak ptaszęta w maju, żwawo się zwijając koło pirogów z czereśniami ze śmietaną; tylko ja jeden siedziałem smutny, jakby kto na mnie uroki nasłał.

Oj, przeczuwała moja biedna dusza!... Ostapek mój nagle zajęczał, posiniał, pozieleniał cały i upadł na ziemię, targając się z bolu. Jak szalony wybiegłem z chaty, i ręce łamiąc, i włosy rwąc na głowie; wołałem biegąc przez wioskę: ratujcie! ratujcie nas, dobrzy ludzie! I nic nie odpowiadając na pytanie: co się przydarzyło? biegłem do dworu i państwu do nóg upadłszy: ratujcie! wołałem.

Oni oboje z doktorem i dobrodziejem naszym przez cały czas zarazy, i nie dosypiali, i nie dojadali, ale od chaty do chaty chodząc, nosili ratunek dla duszy i ciała. I teraz, rzuciwszy gości, z doktorem i z lekarstwami, nie czekając koni, biegli w ślad za mną litościwi państwo. Oj, śpiesznie biegli, aż się zadychali, ale nie wyprzedzili śmierci!...

Wbiegliśmy do chaty. Tam już było kilku sąsiadów da sąsiadek; obcierali octem i spirytusem, da ogrzewali rozpalonemi cegłami Maryjkę i Hryhorka, a dobrodziej klęczał przy trupie Ostapka i modlitwy mówił. Matka rzuciła się państwu pod nogi, i obejmując je rękami, i całując i oblewając łzami, dzikim krzyczała głosem: ratuj-

cie! ratujcie! Nie wstała już biedna! zczerniała jak ziemia, oczy stanęły słupem, i łza nie kanęła!... Przybiegła moja Olanka, by ją od stóp pańskich oderwać, i sama przy niej upadła, jęcząc i zębami zgrzytając z boleści!... Janek tylko, najmłodszy, siedział w kącie pod piecem i płakał, nie wiedząc czego; a ja, nieprzytomny, szalony, tylko włosy rwałem i piersi tłukłem pięściami!

I doktór, i państwo, i nasz dobrodziej, i dobrzy sąsiedzi, sami się zalewając łzami, robili wszystko, co tylko mogli, by biednych chorych ratować; — wszystko napróżno! Straszna śmierć brała jedno po drugiem!... już tylko matka została, i wszyscy z ratunkiem rzucili się do niej.

Pobiegłem do komory. Tam w skrzyni leżało u mnie ze dwa garnce karbowańców, zabrałem je w poły, przyniosłem doktorowi, i ukląkłszy przed nim, jak przed obrazem świętym: panie, prosiłem, oto całe moje bogactwo, wszystka moja praca krwawa, weźcie to wszystko, tylko mi żonę ratujcie! weźcie i woły, weźcie i konie, i całą chudobę, zabierzcie sobie pasiekę, dwieście pni pasieki! i trzy sterty zboża, wszystko sobie weźcie, ot i tę siermięgę, ot i tę koszulę nawet; tylko ją ratujcie! miły, serdeczny panie! ratujcie! ratujcie! I wysypawszy mu karbowańce pod nogi, całowałem jego kolana ze łzami.

Poczciwa dusza! rzewnemi zalał się łzami, i zda się duszęby oddał, żeby ją ratować!... we trojgu z państwem własnemi rękami obcierali ją i podawali jej lekarstwa; a dobrodziej się modlił. Przypełzłem do niego na klęczkach i stopy jego całując, wołałem: Ojcze! dobrodzieju! zlitujcie się nademną!... może wy jaką modlitwę znacie! może uprosicie Boga! zlitujcie się, ojcze miłosierny! I on się modlił, płacząc i czołem bijąc przed obrazem!... Lecz Bóg zagniewany modlitwy nie wysłuchał i lekom moc odjął!... Skonała biedna Hanna moja! my tylko z Jankiem zostali sieroty!

Nazajutrz dobrzy sąsiedzi zrobili cztery trumny, zaprzęgli po parze czarnych wołów do dwóch wozów, zabrali moje pociechy i ruszyli w drogę za popem z pieśnią żałobną. Zawieźli na cmentarz, i wszystko czworo w jednym wielkim grobie pod zielonym dębem złożyli.

Ja sam już nie wiem, co się ze mną stało... Czy to łzy wszystkie już wypłakałem, czy serce w kamień się obróciło, czy dusza obumarła z wielkiego żalu... jakbym nic nie czuł, jakbym nic nie widział, szedłem za grobem jak śpiący; ani łzy jednej, ani pacierza, ani jednego słówka, jakby ze skały.

Ludzie się rozeszli, oddawszy chrześciańską posługę; ja tylko jeden zostałem pod dębem, a przy mnie poczciwy Żuczek. Widząc to ludzie, wrócili, zaczęli coś mówić, perswadować; ja nie ruszałem się z miejsca. Przyszedł i dobrodziej, i także coś mi przekładał; ja nic nie rozumiałem, jakbym nic nie słyszał, i nic nie widział. Chcieli mię gwałtem do domu prowadzić; ja się ująłem dęba tak silnie, że żadnym sposobem oderwać nie mogli; Żuczek ich tylko pokaleczył jeszcze.

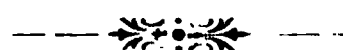
Poszli, ja zostałem; Żuczek położył się na mogile i wył przez noc całą; ja stałem pod dębem jak otrętwiały.

Rankiem, bez myśli, powlokłem się do chaty, i nie zajrzawszy do środka, usiadłem na progu; Żuczek położył się przy moich nogach i, smutnie patrząc mi w oczy, zawył czasami żałośnie.

Przyszła Horpyna, poczciwa moja sąsiadka, przyjaciółka nieboszczki Hanny, prowadząc Janka za rękę. Nieboże, spostrzegłszy mnie, z radością rzuciło się do mnie na szyję, zaczęło obejmować i całować, pytając, gdzie matka, bracia i siostry?

Nagle, jakbym odżył, przejrzałem, posłyszałem i pojąłem; a serce tak zabolało, tak zabolało, jakby je kto na wskroś ostrym nożem przebił! Zacząłem płakać głośno i zawodzić; i ani pieszczoty Janka, ani pocieszające słowa sąsiadów w żalu mię ukoić nie mogły. Płakałem dzień cały, płakałem noc całą, nie wstając z progu.

Nazajutrz rano przyszedł pan z panią, i po swojemu zaczęli mi perswadować i w żalu koić, i jakoś do prawdy niby lżej mi się zrobiło. Zacząłem niby to się krzątać koło gospodarstwa; ale gdzież tam mogłem co zrobić, kiedy mi światu nie było widać za łzami! Bo gdziem tylko zajrzał, wszędy przedemną stały drogie postacie mej żony i dziatek. Czy kwoczka zagdacze, czy krówka zaryczy, czy jagnię zabeczy; zaraz mi moje pociechy drogie na myśl przychodzą, i łzy zalewają oczy. A tu jeszcze Żuczek nieboraczysko, słaniając się z głodu, chodzi z kąta w kątek i ciągle wyje! Tylko jak bywało z smutku powlekę się płakać na cmentarz; to on poweseleje, zaszczeka radośnie i wskok za mną bieży, a potem położywszy się na mogile, smutnie zawywa. To tak biedaczysko za Ostapkiem płakało, bo się razem zhodowali; to też zdechło wkrótce na cmentarzu...



X. Karol Szajnocha.

1. Bolesław Chrobry i Odrodzenie się Polski za Władysława Łokietka. (1849—1859).

a) Potęga Bolesława.

W początkowej historyi każdego prawie narodu powstają wielcy, bohaterscy królowie, którzy drobne po przodkach objąwszy państwo, nagle ku zdumieniu ludów sąsiednich gwałtownemi je rozpowszechniają zabory, zakreślając mu takie zwycięskim orężem krańce, w jakich też państwo za czasów swojej najmożniejszej kiedyś potęgi ma się rozpostrzeć. Jest-to niejako pierwszy plan, zarysowany przyszłej budowie narodowej. Częstokroć ścieśniają się po śmierci takich królów-budowniczych wytknięte przez nich granice, a podrastający naród poprzestaje długo na bardzo skromnej siedzibie. Częstokroć zdarza się, że jak u najwspanialszych tumów gotyckich niejedna główna

część pierwiastkowego zarysu architektonicznego w późniejszej długich wieków budowie zupełnie niewykończoną zostanie; atoli w ogólności wypełniają się przecież z czasem te pierwotne zarysy, a sąsiednie ludy dziwią się jeszcze bardziej ukończonej budowie, niż je początkowy zdumiewał zarys.

Takim wróżebnym królem założycielem był Bolesław. Dziedzic małego, uszczuplonego przez sąsiadów królestwa, rozmógł on je w niespodziewaną wielkość i żelaznemi metami granice jego wytknął. Przez długie po Bolesławach lata pracowała Polska nad rzeczywistem rozpostarciem się ku wschodowi; zachodnia część pierwotnego zarysu, to aż po Salę wyciągnięte skrzydło narodowego gmachu, pozostało niewybudowane na zawsze, lecz mniej więcej stanęła Polska później po długoletniem ścieśnieniu w Bolesławowskich przecież granicach. Wielką też bywa sława podobnych królów, i równie wielką jest chwała Bolesława: wszelako jak słońce nagle z poza chmur wystąpiwszy, ziemię swoim blaskiem oblewa, płodnem ją ciepłem przenika, ale rażąc wzrok ludzki, dokładnie sobie w oblicze zajrzeć nie dozwala; tak też i historya podobnych królów, jakkolwiek głośna i promienna w oczach narodu, pozbawioną jest zwykle wyraźnych, szczegółowych rysów, przyćmionych, zda się, zbytnim blaskiem swojej całości. Stąd też i historya Bolesława Chrobrego, jakkolwiek wszystkich krajowych opowiadaczy wprawia w natchnienie, skąpą jest przecież w bliższe szczegóły; a najdawniejszy nasz kronikarz (Gallus), żyjący w kilkadziesiąt lat po Bolesławie, opowiada jego dzieje w promienistych wprawdzie, lecz tylko ogólnych wspomnieniach, jak walecznym i potężnym był król Bolesław; jak był pobożnym i sprawiedliwym; jak Bolesław kościoły, jak zamki i grody po całym kraju budował, jak bez uciemiężania ubogich przejeżdżał po królestwie, jak był bogatym i szczodrym, i jak sute stoły królewskie utrzymywał.

Świetny więc, lecz niewyraźny obraz pozostałby nam po Bolesławie Chrobrym, gdyby nie okoliczność, która podobno nigdy już więcej nie powtórzyła się w dziejach. Bolesław Chrobry, wielbiony w niemym podziwie przez własny naród, znalazł najgłośniejsze i najwymowniejsze świadectwo swoich czynów w jęku gromionych przez siebie nieprzyjaciół, jęku zaklętym ku wiecznemu żaleniu się w starej dziejowej księdze, jak duch potępiony w starem jęczącem drzewie. Tą księgą boleści nieprzyjaciół, a tryumfu Bolesława Chrobrego, jest kronika merseburskiego biskupa Thietmara, który jako niemiecki śród Słowian osadzony dostojnik kościelny, jako syn ojca zwyciężonego przez Mieczysława, jako stryj synowców, którzy na dwór Bolesława Chrobrego zbiegali, jako towarzysz cesarskich wypraw przeciw Bolesławowi, znał naocznie Bolesława i jego sprawy, i szeroce je też opisał, wśród ciągłego wtóru najzłośliwszych skarg i złorzeczeń. I ten to wspak skreślony panegiryk nieprzyjaciela, stanowiący główną osnowę całej kroniki Thietmarowej, urwanej z przerwaniem się wojen Bolesława z Niemcami, służy za główne źródło

dziejów Bolesławowskich. Trudno zaś wystawić sobie, w jak olbrzymich kształtach jawi się w tem źródle postać Bolesława Chrobrego. U Thietmara i w całych ówczesnych Niemczech słynie on tylko jako pustoszyciel największej części cesarstwa — Słowianin okrutny — wściekły bezczelnik, lis chytry, gad jadowity — lew ryczący — albo, co więcej jeszcze znaczy, wróg i prześladowca nasz. Stąd też mylna pogłoska o śmierci Bolesława przejmuje całe Niemcy radością, a rok, w którym ów wróg Niemiec nic im nie szkodził, bywał dla nich rzadką chwilą spoczynku i wesela, godną wyraźnego w dziejach wspomnienia. Trzeba czytać gorzkie żale Thietmara, aby pojąć zgubne dla Niemiec skutki podwójnego żelazem i złotem wojowania Chrobrego. „Gdyby Pan Bóg Wszechmogący był łaskaw na nas, nie bylibyśmy nigdy znali, ani słyszeli imienia Bolesława“, wzdycha Thietmar. „Gdyż to, że jego ojciec i on w powinowactwo i wielką zażyłość z nami weszli, przyniosło nam więcej szkody niż zysku, i zapewne na przyszłość jeszcze więcej przyniesie. Chociaż bowiem udaną zgodą miłuje nas do czasu, przecież różnemi skrytemi pokusami odwodzi nas od wzajemnej, bratniej miłości, od wrodzonej swobody; i skoro miejsce i czas po temu, nie przestaje czyhać na jawną zgubę“. Zważmyż przytem, że ten na Niemcy wywierany wpływ pogromczy był tylko jedną stroną wszechstronnej działalności Chrobrego, a słusznie poweźmiem jeszcze większe o jego potędze zdanie, niż je w samej kronice Thietmara znajdujemy. Jakiegoż więc pióra potrzeba, aby skreślić godnie te dzieje, tak pełne wielkiej treści, a tak nieujęte w szczegółach — tak obce naszemu pojęciu, i różne od naszego dziś o nich wyobrażenia!

Jakoż samą widownię tych dziejów, ówczesną ziemię polską, należy wyobrażać sobie daleko świetniejszą i bogatszą, niż ją widzimy później przez długie czasy. „Kraj to wprawdzie lesisty (opiewa tamtowiekowy opis), ale obfitujący w złoto i srebro, chleb i mięso, w miód i ryby; a osobliwie dlatego godzien pierwszeństwa przed innymi, że lubo od mnogich chrześciańskich i pogańskich ludów otoczony, i częstokroć od wszystkich razem i pojedynczych z osobna napadany, nigdy przecież od żadnego zupełnie podbitym nie był. Dziedzina to, w której powietrze zdrowe, rola urodzajna, bory miodopłynne, wody rybne, rycerstwo bojowne, włościaństwo pracowite, konie wytrwałe, woły robocze, krowy dojne, owce wełniste“. Owóż ta rola urodzajna, te bory miodopłynne, te owce wełniste, dostarczały przy długoletnim pokoju wewnątrz mnogich przedmiotów handlu, bogacących kraj tem większą obfitością złota i srebra, im bardziej zawichrzone i zdziczałe były pod ów czas kraje sąsiednie, dokąd Polska zbywała towary swoje. Prócz tego była ona pośredniczką całego handlu między północnym zachodem Europy, a wschodem, to jest Grecyą i Azyą, skąd i dokąd szło przez Polskę kilka szlaków handlowych — prawdopodobnie jeden na Wrocław, Kraków, Wiślicę i Sandomierz; drugi na Krosno, Poznań, Płock i Sandomierz; trzeci na Gdańsk, Wisłą, Rusią czerwoną do Kijowa, Grecyi i Azyi.

Jeszcze w przeszłym wieku IX zwiedzali kupcy arabscy kraje słowiańskie. Jeden z nich (Massudi) prawi o handlu Polan naddnieprskich, rozciągającym się aż do dalekiej Andaluzyi; a w niniejszym właśnie wieku Bolesławowskim zasłynęły wielkie nadmorskie miasta słowiańskie — jednem z tych był Gdańsk, zwiedzany już za czasów Chrobrego łodziami z głębi Polski — drugiem, nadzwyczaj wielkie pod ów czas miasto Szczucin — trzeciem, jeszcze większe Julia — o których sławie (mówi spółczesna kronika) jakieś niesłychane opowiadano dziwy. Twierdzono: „że niemasz żadnej pięknej lub rzadkiej na świecie rzeczy, którejby nie można dostać w tych miastach, ubogaconych skarbami wszystkich północnych ludów, wpływającymi tam za wszelkie, jakie sobie tylko wyobrazić można, towary“. Za te różne towary i tak różnemi drogami gromadziły się w kraju wielkie bogactwa, jakich ślady pojawiają się w wykopywanych po dziś dzień skarbach niemieckiej, angielskiej, duńskiej monety, w niezmiernej na one czasy ilości rozsianej po naszej ziemi.

Na tak bogatej ziemi zawiązał się młody naród w rycerskim celu bronienia swojej niepodległości. Rozwijając się na zasadzie tego wojennego pierwiastku, wykształcił on się teraz w swej wyższej, t. j. właściwie historycznej klasie w przeważnie rycerską społeczność, kierowaną głównie wojennym trybem, który całej ówczesnej władzy królewskiej nadawał wyłączny charakter wojennego przewództwa, a całemu krajowi widok zbrojnego obozowiska. Było to koniecznym skutkiem przyczyn, które wywołały wzniesienie się narodu, i z samego początku tym rycerskim upłodniły go charakterem. Rycerskość została mu i nadal; lecz później był każdy rycerz, każdy szlachcic oraz ziemianinem, obywatelem, w oczach zaś Bolesławowskich całe obywatelstwo polegało na jednem żołnierstwie pod wodzą króla. Stąd starodawne wojskowe urządzenie kraju przez Ziemowita, owo jemu przypisywane ustanowienie pułkowych dziesiętników, pięćdziesiętników, setników, rotmistrzów, hetmanów i t. d. można tem słuszniej odnieść do Bolesława, poczytywanego głównie z tej przyczyny prawdziwym ojcem ojczyzny, iż był wojennym jej obrońcą. Widoczny też ślad takiego wojskowego urządzenia kraju pozostał nam we wzmiance kronikarskiej o mnogości rycerstwa, jakiego niektóre ziemie dostawiały królowi. I tak, z Poznania wyruszało 1300 rycerzy w łuskowej zbroi, a 4000 tarczowników; z Gniezna 1500 łuszczastych, a 5000 tarczowników i t. d. Wszystkie też grody tak wewnątrz kraju, jak mianowicie na granicach, które Bolesław licznemi obwarowywał twierdzami, należy uważać za tyleż po całej Polsce rozłożonych obozowisk, skąd na zawołanie króla ciągnęła pewna ilość rycerstwa, podczas gdy reszta zostawała w grodzie na straży. Dla utrzymania tej straży, w ogólności tych obozowisk, pozakładane były wszędzie po grodach wojenne zapasy, które okoliczni rolnicy zaopatrywali daniną **stróża** zwaną, to jest miarką pszenicy i owsa od każdego pługa. Tak cały naród pracował tylko na wojnę — jedna połowa orężem, druga pługiem. Ta powszechna wojenność piętnowała też wszystkie publiczne zwyczaje swoją cechą właściwą. Liczny w każdym razie towarzy-

szący królowi orszak przyboczny, była to właściwie drużyna podrzędnych wodzów, towarzyszy, komesów. Dwór królewski był właściwie głównym obozem, gdzie codziennie tysiące rycerstwa zasiadało do uczty, przy czterdziestu większych a niezliczonych mniejszych stołach. Główną cnotą królewską była szczodrobliwość dla rycerstwa, które Bolesław nieustannie już-to sam podejmował, już-to swoim namiestnikom sutemi po grodach i miastach raczyć kazał ucztami, i odzieżą jako też innemi dary królewskimi obdarzać. Dostarczały środków ku temu wspomniane osypy grodowe — a sam Bolesław utrzymywał przy swoim dworze roje z różnych narodów nazgromadzanych ptaszników i łowczych, którzy dziwnym przemysłem łowili wszelki rodzaj skrzydlatego i czworonożnego zwierza, jaki codziennie z osobna na królewskich stawiano stołach. Gdy bowiem razem z władzą królewską ta powszechna rycerskość się wykształciła, było niejako obowiązkiem władzy królewskiej karmić rycerstwo, które tej hojności nie poczytywało wcale za łaskę, lecz za godziwe rzeczy publicznej rozdawnictwo. Ponieważ zaś to rozdawnictwo uciążliwem było obowiązkiem, przeto rodził taki stan rzeczy niezbędną potrzebę ciągłych wojen, które nietylko żywiły lecz owszem zbogacały rycerstwo. Głównem bogactwem wojennem, prócz łupów bitej monety, jaką niekiedy w wielkich uwożono ilościach, byli osobliwie jeńcy wojenni, częstokroć cała ludność zawojowanej okolicy, którą zazwyczaj pędzono gromadnie do kraju, aby nią puste ziemie zaludniać, podczas gdy za właściwe w plen uprowadzone rycerstwo nieprzyjacielskie bogaty okup spływał do kraju, a mnogie podbite ludy obfitą zwycięzcom niosły daninę.

Tak pokój i wojna składały się zarówno na zbogacenie kraju, który za Bolesława czasów, według wyrażenia kroniki, cały ozłocił się. Te zaś dostatki służyły głównie do podsycenia godności narodowej, która ożywiając złotą masę bogactw krajowych, większy i weselszy niż kiedykolwiek ruch w narodowem sprawia życiu. Najzwyklejszą też czynnością codzienną, o jakiej kroniki ówczesne wspominają, są prócz bitew biesiady. Biesiadowało rycerstwo po wszystkich grodach i miastach. Biesiadowano osobliwie u dworu królewskiego — a jako dwór królewski był właściwie obozem hetmańskim, tak przenosiły się te uczty obozowe z Gniezna do Pragi, z Pragi nad Bug i t. d. gdzie wszędzie najważniejsze zdarzenia czytamy z szumnemi połączone godami. Owszem, te ustawiczne gody, owoce zwycięstw i szczęścia, zjednały królowi Bolesławowi powszechny u nieprzyjaciół przydomek *tragbir* czyli *trankbir*, piwosz, co u naszych zmienione w *traba* bywa nawet wiązane z polskim Bolesława przydomkiem Chrobry. Jedyną zaś skargą, jaką Bolesław wynurzał zawsze, było, że miał za mało gości przy tych biesiadach, to jest za mało rycerzy; gdyż każdy rycerz, czy to krajowiec, czy cudzoziemiec, chcący podzielać prace i uczty polskie, nietylko pożądanym był gościem, lecz z samą nazwą gościa królewskiego zaszczytne u dworu znaczenie otrzymywał. A kto się walecznym gościem okazał w rycerstwie Bolesława (mówi kronika), już nie rycerzem, ale

synem królewskim się nazywał. Toż gdy któremu, jak to bywa, nieszczęściło się w koniach lub innych rzeczach, Bolesław bez miary darami go obsypywał, odzywając się do obecnych: Gbybym tego walecznego rycerza bogactwami podobnie od śmierci mógł wyzwolić, jak szkodę i niedostatek jego mogę pokonać dostatkami mojemi, samą śmierć chciwą skarbamibym zasypał. Jakoż cisnęło się zewsząd rycerstwo do Bolesława. Z Niemiec, Węgier, z zajętych przez Pieczyngów krain ruskich, przybywały mu zbrojne drużyny. Niemieckie rycerstwo opuszczało cesarza i własnych książąt i mimo wszelkich zakazów Bolesławowi służyć śpieszyło. Biskup Thietmar musiał kilkakrotnie wstawiać się u cesarza za swoim synowcem, który z bratem samegoż margrabi Hermana, Ekkihardem, gościł bez pozwolenia w Polsce. Takąż gościnę znajdowali w niej czescy książęta Bolesław i Jaromir, ruski książę Swiatopołk, węgierski książę Prokui, wspierani, zaopatrzani przez Bolesława.

Oprócz tej świeckiej, rycerskiej gościnności, rozsławionej nad zwyczajną zamożnością kraju, wywierała Polska jeszcze inną, szlachetniejszą gościnność, bo gościnność duchową. Zarazem z mnogiem z okolicznych krajów rycerstwem, przyjmował Bolesław, ten, jak go później nazwano s z e r m i e r z C h r y s t u s a, coraz liczniej napływające do kraju duchowieństwo, które przyniosło z sobą zarody całej dzisiejszej oświaty europejskiej. Zarazem zaś z drogami handlowemi, któremi przez Polskę szły bogate towary od wschodu ku zachodowi, ciągnął się przez nią odwrotny szlak duchowny, którym od zachodu ku wschodowi wkraczali natchnieni apostołowie wiary, którym płynęły ku wschodowi myśli, wyobrażenia zachodu. Jedna część wędrownych opowiadaczów słowa bożego osiadała w Polsce u Bolesława, który sam duchownych sprowadzał z zagranicy, przybytki im budował, i tak wielce ich szanował, że gdy oni stali, nigdy nie ośmielił się usiąść i nigdy też inaczej tylko k s i ę d z a m i ich nazywał (k s i ą d z bowiem znaczyło w ów czas to samo, co dziś k s i ą ż ę). Druga część duchowieństwa gościła tylko przechodem w Polsce, i szła dalej do Prus, na Ruś, między Pieczyngów, znajdując zazwyczaj wsparcie u Bolesława, pomoc w swej apostolskiej wędrówce do dalszych krajów, a w tych dalszych krajach — męczeństwo.

Obraz, jaki nam najdawniejsza przeszłość pozostawiła o Bolesławie, jest równie potężnymi nakreślony rysami, jak całe dzieje Bolesławowskie. Był Bolesław wielki i ciężki, że aż koń się pod nim uginał. Waregowie szydzili z jego otyłości. Niemcy zwali go *traba.* Mimo to jednak, przyznają mu sami nieprzyjaciele, że był oraz c h r o b r y m i z m y ś l n y m, po dzisiejszemu genialnym, jak nikt w świecie. A główny wróg jego Thietmar nie może się wypowiedzieć, co za l i s c h y t r y był z Bolesława, jak wszystkich zwodził zręcznie, ile tysiącznych wybiegów miał zawsze na zawołanie. Taż jeszcze po ojcu odziedziczona chytrość była po rycerskiej waleczności głównym rysem Bolesławowskiego charakteru — wespół zaś z tą walecznością była ona drugim orężem w jego ręku. Po-

dwójną też bronią zwalczał on zwykle swych nieprzyjaciół, a jego pieniądze, jego słodka namowa, które całe miasta nieprzyjacielskie, całą radę cesarską przekupowały, tyleż Niemcom co jego oręż szkodziły. Owszem głównie tą bronią podstępu i przekupstwa zadawał Bolesław najboleśniejsze klęski Niemcom i rozchwiał tak dalece wszelki porządek publiczny w Niemczech, że sam cesarz Henryk kryć się musiał u siebie ze swymi planami przeciw Bolesławowi, zwodzić swych własnych książąt, aby oni sami o zamierzonych krokach cesarza nie donosili do Polski. Tak prócz własnego rycerstwa utrzymywał Bolesław cudzoziemskie wojsko szpiegów na dworze nieprzyjaciół, wojował niem cesarza w domu i ścigał go niem nawet do Włoch, podniszczając tam umyślnymi posłami przeciwne cesarzowi stronnictwo. Za pomocą przebiegłych pośredników pozawierał Bolesław wielorakie z dworami obcymi związki, których różnostronność i rozległość dają najświetniejsze świadectwo o jego rządach. Pominąwszy stosunki z pobliższymi krajami, jak z Czechami, Węgrami, widzimy poselstwa Bolesława we Włoszech, w stolicy apostolskiej i po domach książęcych. W drugą stronę idą one na wschód aż do Konstantynopola — toż zapewne i na północ, do Danii i Anglii, skąd tyle pieniędzy pod ów czas napływało do Polski. Tak nagle wzrosło państwo Piastowskie od pół wieku!

Wszakże jeżeli Bolesław swym politycznym rozumem, jak mu to sami nieprzyjaciele przyznają, nad wiek swój wyższym się okazuje, był on zresztą wiernym synem swojego czasu, i jako czas ten namiętnym i gwałtownym. Olbrzym, zgniatający konie pod sobą, rubaszny biesiadnik, szydzący przy ucztach z nadchodzącego wroga, nie znał on miary ani w surowem karaniu, ani w miłości. Nie raz, po skazaniu kilku osób na śmierć bezprawną, przyszło mu przy godowym stole, wpośród dwunastu współbiesiadników i radców, zadumać się boleśnie i pożałować wyroku. Najbardziej jednak cierpiały od tej porywczości żony Bolesławowskie. Poślubiał on je bez pozwolenia kanonicznego, i dowolnie je zmieniał. Ożenił się najprzód z córką margrabi Rygdaga, ale wnet ją odprawił; a potem sprowadził sobie żonę z Węgier, Judytę, córkę książęcia Gejzy, swojego szwagra, którą podobnież odprawił. Trzecią była Konilda, córka zacnego pana imieniem Dobremira, która, wierna służka Chrystusa, niestały umysł małżonka nakłaniała do wszystkiego dobrego. Tę Bolesław najbardziej kochał i najdłużej zatrzymał. Z niej miał pięcioro dzieci: synów Mieczysława i Dobremira, i trzy córki (jedną później ksienią, drugą poślubioną mysznieńskiemu hrabiemu Hermanowi, trzecią ruskiego Swiatopołka żonę). Po Konildzie pojął Bolesław Odę, córkę margrabi Ekkiharda, która nie wielkiej czci używała. Bo w onym czasie wolno było według upodobania miewać dwie i trzy żony, ani też za bezprawie poczytywano, gdy który mąż cudzą żonę, albo żona cudzego pojęła męża.

Według ówczesnych więc wyobrażeń należy oceniać Chrobrego.

Umierający Mieszko podzielił był swoje królestwo między wielu. Atoli w duchu wzmagającej się w narodzie władzy królewskiej, dą-

żącej właśnie do spojenia a nie rozdrobniania państwa, obalił najstarszy syn Mieszków, Bolesław, prywatną wolę ojcowską, i wygnawszy po niejakim czasie macochę Odę i braci, i kazawszy wyłupić oczy ich dwom krewniakom czy wojewodom, lisią chytrością podzielone państwo w nową całość połączył. Dopiero też od tego wypadku, który zapewne nastąpił nie zaraz po śmierci Mieszka, bo może aż we trzy lata później, należy Bolesława uważać władcą całego państwa.

b) Powrót z tułactwa Władysława Łokietka.

Był to wiek cudów, olbrzymich charakterów i przygód. Jak w Polsce, tak też i na całym zachodzie przewaga władzy duchownej wstrząsała wszystkie podwaliny świeckiej zwierzchności, świeckiego społeczeństwa; zdjęła młodym narodom żelazne pieluchy poprzedniej zbrojno-królewskiej samowładzy — puściła je na pierwszą, w żadne jeszcze karby nie ujętą swobodę. Toż powstał zgiełk powszechny, wszczęła się powszechna zamieszka, w której dla nieustalonych jeszcze wahadeł społecznego składu, każdy sam sobie musiał być sterem i prawem, każdy każdemu przeciwnikiem. Herbowne godło onego niemieckiego rycerza: Bogu korny, każdemu sporny, było godłem całego świata. Jednak w tej walce wszystkich z wszystkimi wykształciły się niezłomne charaktery. Dusza przyodziewała się stalą jak ciało. Dla takich charakterów przechody z tronu na tułactwo, z tułactwa na tron, były zwyczajną drogą. Niepodobieństwo stało się podobieństwem, a całe życie szeregiem bajecznych przygód. Nawet życie niewieście wymknęło się z karbów domowych, i wirowało po swojemu we rwistym prądzie czasu. Przykładem może nam być wielkopolska Piaszczanka, córka zabitego Przemysława. Kwiat sierocy, wyrwany w dziecięctwie z ojczystej ziemi, wychowany na wrogim dworze Brandeburczyków, przeniesiony na tron czeski, zmienił on w zmianach swego młodocianego życia nawet imię matczyne Reiczka, w imię Elżbiety. Umiawszy jednak pozyskać przywiązanie niedołężnego Wacława, umiała Elżbieta swoją niewieścią bronią, niewieścim przemysłem, zniewolić sobie serca wszystkich spółczesnych. Z sześciu owdowiałych królowych i dziewiczych królewien czeskich, które stany czeskie po śmierci obu Wacławów przedstawiły do wyboru w małżeństwo królowi Rudolfowi, bratu cesarza Alberta, a pomiędzy któremi była piękna Wisla, młody Rudolf wybrał owdowiałą Polkę Elżbietę, i najszczerszą czcił ją miłością. Po jego niebawem zaszłej śmierci utorowała sobie Przemysławówna drogę aż do jednego z tronów w Hiszpanii, i stała się tam przez swoją córkę Sancyę, poślubioną Alfonsowi IV. aragońskiemu, matką licznego rodu królewskiego, mocującego się na drugim krańcu Europy z Saracenami, jak ojczysty jej naród z różnorodnem barbarzyństwem północy.

Podczas gdy wielkopolską Piaszczankę szczęśliwa fala przygód unosiła tak daleko po świecie, z tronu północnego na tron południa, inną wielkopolską księżniczkę, jej ciotkę, córkę Bolesława Pobo-

żnego, a małżonkę wygnanego Władysława Łokietka, Jadwigę, przeciwna fala losów, przemoc Czechów, pozbawiła zarazem księstwa, domu i męża, i skazała na wdowią za życia męża żałobę.

A tenże mąż Łokietek, co za igrzysko losów i przygód! Jeden z młodszych synów książęcia kujawskiego, dziedzic małego księstwa brzeskiego, dostąpił on tylko przypadkowo śmiercią dwóch braci księstw Sieradza i Łęczycy. Ale duch przygody rwał go do szukania świetniejszej fortuny, do stolicy krakowskiej. Już raz po śmierci Leszka Czarnego zawładał on w niej przeciwko Probusowi, gdy wtem zdrada mieszczan wydarła mu stolicę, a tylko habit mniszy od zguby go wybawił. Mimo to w rok później ponawia on swoje usiłowania o Kraków: wszakże tym razem fortuna, jeszcze sroższa niż wprzódy, nietylko Krakowa przemocą czeską mu wzbrania, lecz nawet w domu, w Sieradzu, zsyła nań przymus hołdownego poddania się Czechom. Wreszcie niechęć swoich, wzywających Wacława na tron, zadaje mu cios ostateczny. Płoszony przez ukoronowango w Gnieznie Wacława z grodu do grodu, szczwany obławą czeską z całego kraju, nie miał on (według słów kroniki) ani w dzień ani w nocy chwili spoczynku; nie mógł okrom kilku powiernych towarzyszy zaufać żywej duszy; musiał jak węża chronić się Czechów, nie zważać na mróz i deszcze, na mgłę i skwary; posłanie mieć na ziemi, znosić głód, trudy, ubóstwo; błąkać się po lasach i bezdrożach, kryć się w szuwarach moczar, nie znając prawie strzechy. Aż zmierziwszy sobie beznadziejną niedolę, porzuca wcale ziemię ojczystą i żonę, niechętny, i niesie swoją hańbę, swoją śmiertelną nienawiść ku Czechom przed stopy św. Piotra do Rzymu. Tam jubileuszowy tryumf kościoła nad władzą wszelkich królów dodaje mu nowej otuchy. Jubileuszowy odpust rozgrzesza go z wyrzutów sumienia. Papież Bonifacy słucha łaskawie skarg na Wacława, w oczach papieskich uzurpatora Polski — przyrzeka pomoc. W tłumie oblegających tron papieski pielgrzymów, cudzoziemców, zaznajamia się Łokietek z wielą podobnych sobie wygnańców, błagalników. Oto właśnie wygnańcy narodu szkockiego domagają się i zyskują u Bonifacego takąż samą protekcyą przeciwko uciemiężycielowi Szkocyi, angielskiemu królowi Edwardowi, jakiej Łokietek potrzebował przeciw Czechom. Z ust ich dowiedzieć się mógł Łokietek o śmiałym obrońcy Szkocyi Wallasie, który po błędnem tułaniu się w południowych górach ojczyzny, dobił się nareszcie przewagi nad Anglikami w stronach północnych i obwołał niepodległość narodu. Papież uświęcił swoją protekcyą usiłowania szkockie — papież ujął się sprawy polskiej — dlaczegóżby Łokietek, jak Wallas i jego następca, nie miał podjąć z własnego ramienia również pomyślnej wojny z Czechami? I owóż drugiego roku wygnania ujrzano go już w Polsce, dyszącego zemstą za swoją hańbę, i obwołującego w górach Karpackich powstanie przeciw Czechom.

Ale naród nie chciał powstania. Bo naród, podupadłszy w przeszłej porze na duchu, jeszcze się z tego moralnego upadku nie podźwignął. Załogi czeskie zdały się zbyt mocne, rządy czeskie dość łagodne. Była spokojność w kraju. Zdzierstwo i ciemięstwo rządców

czeskich tylko tym dawało się we znaki, co mało mieli do stracenia. Możniejsi mniej na tem cierpiąc, lękali się znaczniejszych strat wśród wojny, wzbraniali kosztownej pomocy Łokietkowi, pragnęli tylko pokoju. Łokietek zagrażał pokojowi, więc był im wrogiem, nieprzyjacielem ojczyzny. Tak sądził o nim ogół narodu. Najwierniejsi stronnicy zaledwie tajnego u siebie przytułku mu użyczali. Tymczasem przestrzeżeni o niebezpieczeństwie Czesi rozpostarli nań sieci. Osobliwie ówczesny rządca w Krakowskiem, niejaki Oldrzych Bozkowic, zaprzysiągł zgubę Łokietkowi. Śledził go setkami szpiegów po kraju, zatrwożył do reszty przyjaciół nieszczęśliwego tułacza. Widząc sromotne niedołęstwo i jawną ku sobie niechęć rodaków, a pozostawiane wszędy sidła ciemięzców, uszedł Łokietek z zakrwawionem nienawiścią i wzgardą sercem po raz wtóry z ojczyzny, i schronił się do przyjaznego sobie wojewody węgierskiego Amadeja, gdzie niezdolny pozbyć myśli wyjarzmienia narodu, postanowił pomyślniejszej ku temu czekać pory.

Ze wszystkich klęsk Łokietka była ta najboleśniejsza. Do przemocy cudzoziemskiego wroga przybyła niczem nieubłagana niechęć, nieprzełamana gnusność własnego narodu. Chybaż szczęśliwy zbieg zagranicznych okoliczności mógł zmienić ten nieszczęśliwy stań wewnątrz kraju. Obca tylko pomoc, obca z Wacławem wojna mogła jakąkolwiek wróżyć nadzieję. I owóż wojny, wojny wyglądał Łokietek z tęsknotą na wygnaniu, obyczajem wygnańców wszystkich czasów i ludów. Już dawniej pracował on w Rzymie nad wywołaniem tej wojny — zanosiło się też na nią z przyczyny sporu o koronę węgierską; lecz jednoczesny spór papieża z królem francuskim nie dozwalał mu poświęcić całej uwagi sprawom węgierskim i polskim. Aż wreszcie zapadł ów wyrok anański,[1]) odsądzający Czechów od korony Węgier i Polski — wybuchła wojna. Wraz z Karolem Robertem w Węgrzech, Rudolfem austryackim w Morawie, królem Albertem w Czechach, przyszło Łokietkowi wystąpić po raz drugi z orężem w ręku w Polsce. Z orszakiem wiernych towarzyszów wygnania, z garstką ochotników węgierskich, wpadł Władysław przez Tatry w Krakowskie, i zaczął nową, już to piątą od lat piętnastu wojnę z Czechami.

Wszakże i tym razem nie padło mu nagłe zwycięstwo. Przez lat trzy, od sioła do sioła, od grodu do grodu przedzierając się, musiał zdobywać ziemię krakowską, wywalczać sobie przychylność i pomoc narodu. Niechętnie od panów możnych widziany, uciekł się do wsparcia ludu wiejskiego, który najwięcej okazał mu przywiązania, najliczniej pod jego sztandar się zbiegał. Przez długi czas był to tylko sztandar podjazdowego plądrowania skarbowych włości czeskich, osad niemieckich, miast i grodów stronników króla Wacława. Takiemiż siłami opanował Łokietek naprzód zamek zwolennika czeskiego, biskupa krakowskiego Muskaty, Pełczyska. Stamtąd

---

[1]) Anagni, miasto włoskie, w którem papież wydał swój dekret.

wzięła drużyna Łokietkowa szczęśliwie pobliską, wielce warowną Wiślicę, a wreszcie wpadły jej w ręce gród i miasteczko Lelów. Te trzy warownie stały Łokietkowi z początku za całe państwo. Trzymał on się w nich gwałtem, przymuszając sąsiednią ludność zbrojnym rozkazem do przystawiania sobie żywności, pieniędzy i ludzi. Dopiero po roku ciągłych utarczek z Czechami i swoimi, ucieszyła stronnictwo Łokietkowe wiadomość o śmierci starszego Wacława. Coraz jaśniejsza więc gwiazda Łokietka przywiodła panów krakowskich do patryotycznego, acz nieco późnego oświadczenia, że śmierć króla Wacława rozwiązuje ich z winnego Czechom posłuszeństwa, a skłania na stronę narodowego książęcia. Jakoż większa część szlachty przystała doń natychmiast, i tak pomnożonemi siłami uderzono na Sandomierskie, gdzie wszystkie czeskiemi załogami osadzone grody i miasta przeszły w moc Łokietkową. Po opanowaniu całej ziemi krakowskiej i sandomierskiej, zdało się możnym panom bezpieczną i pożyteczną już rzeczą, przystąpić jawnie i czynnie do Łokietka. Spiesząc jeden po drugim, złożyli hołd zwycięskiemu wygnańcowi: Wierzbięta kasztelan, Albert ze Żmigrodu wojewoda, krakowscy: Żegota wojewoda, Prandota kasztelan, Smil sędzia, sandomierscy i inni. Tylko biskup krakowski Muskata drożył się jeszcze z przystąpieniem do sprawy narodowej. Przekupił wreszcie Łokietek chciwego prałata zwrotem Pełczysk, wypłatą trzechset grzywien za poniesione przez dyecezyą szkody, i przyrzeczeniem zwrócenia mu miasta Biecza, zajętego przez posiłkujących Łokietka Węgrów. Poczem sama stolica krakowska, gdzie biskupowie ciągle jeszcze przeważną mieli władzę, poddała się Łokietkowi. Wkroczył tam tryumfujący tułacz z potężnem już wojskiem, któremu załogi czeskie nie zdołały stawić oporu — usunęły się więc wszystkie w popłochu ku granicy, śląc wieści za wieśćmi do Czech o pomoc. Już nawet szlachta pomorska wyrzuciła Czechów z Pomorza.

Zachmurzyło się jeszcze raz niebo nad Łokietkiem, grożąc pospolitem ruszeniem całego narodu czeskiego pod młodym Wacławem III. Lacz zabicie Wacława w Ołomuńcu, wygaśnięcie z nim Przemysławów, długoletnie stąd wojny domowe w Czechach, rozwiały nagle to ostatnie niebezpieczeństwo zewnętrzne. Polska uczuła się swobodną, z całego już kraju, bo z ziem krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, dobrzyńskiej i pomorskiej, zjechali wysłańcy w dzień Ś. Idziego, w jesieni 1306 roku, do Krakowa, z uznaniem Władysława Łokietka panem królestwa i wybawcą ojczyzny. Nie było tam przecież wysłańców z Wielkopolski. Czy to z dawnej niechęci poznańskiego biskupa Andrzeja przeciwko Łokietkowi, czy też z krnąbrnej dumy, nie dozwalającej uznać kornie panem książęcia nie swojemi siłami podniesionego, a tem samem zrzec się niejako swojego starodawnego przewodnictwa w narodzie, nie przyjęli Wielkopolanie Łokietka. Owszem, mając pod ręką dawnego do Wielkopolski pretendenta, głogowskiego księcia Henryka, jemu na wzgardę Władysława całą Wielkopolskę poddali, jemu jako przez starożytne Gniezno tytularnemu dziedzicowi całej Polski, na lat kilka

samowolnie ulegli. Wszakże ten opór Wielkopolski pod zniemczałym Głogowczykiem prowadzi nas już do dalszej panowania Łokietkowego historyi, składających się z ciągłych zwycięskich zapasów z zewnętrznymi i wewnętrznymi nieprzyjaciółmi. Pomiędzy tymi, w licznym rzędzie wrogów wewnętrznych, jakimi np. widzimy dalej buntowniczych możnowładców Święców z Pomorza, tudzież buntowniczych mieszczan i prałatów krakowskich, Muskatę z wójtem Albertem, trzymają czoło wynarodowieni, nieżyczliwi ojczyźnie Piastowie, jak Henryk Głogowczyk i wielu innych.

2. Zdobycze pługa polskiego. (1861).

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historyi i w codziennem życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych?

Najbliższą tego wynikłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki — lecz w tej mierze historya wcale smutnej uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader opłakanym stanie upadku. Jeżeliby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas zniechęcać do zatrudnień innego rzędu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi polskiej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a niezasilone rolnictwem ubóstwo materyalne po zejściu dynastyi Wazów przyczyniło się w wysokim stopniu do katastrofy późniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszemu względach czemże ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to, wypada przedewszystkiem przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych opokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincye. Rzecz to równie powabna jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony: Krakowskie, Sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmią gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i konfirmacye kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie tęż samą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tynieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu i ówdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkiemi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzane błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskiemi gdzieniegdzie zgliszczami na Podolu i trawne oczerety, a stepy ukraińskie. Stąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemnogie wsi i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Strożysk otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dokoła. Nieco nad Dniestrem, wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadł około 1390 r. darem Władysława Jagiełły całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromilá aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w r. 1441 zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Jana z Sienna starodawnem Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. ˬw Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo podolskie z dalekiemi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopachołek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich, szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwołana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedliły się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi,

przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepełnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiełłą i panującym na Bełdzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenta ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czem innem się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsi i miasteczka. Drobna szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopa. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego pogórza Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozradzała się później w dzisiejsze wsi szlacheckie Zapewne nieporównanie większa liczba osad województw ruskiego i bełskiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historyi takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie niż doczekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenta fundacyi i jakątaką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za wskazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastało, nie było też wsi dokoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającymi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przynosiło wprawdzie zakładanie miasteczek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z tej przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy je-

dnak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu większych miast dzisiejszej austryackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełskiego i podolskiego, tylko trzy stare grody: Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

Zenitem tej skrzętności kolonizacyjnej był wiek XVI, wzmagała się ona w wieku XV, upadła w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ileż to osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenta fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania, ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich, i zapewne w nierównie większej połowie rękami swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonemi swojem staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Co więcej, gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliższe Wiśle województwa ruskie i bełskie czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciaśniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi, podolskiej i ukraińskiej. Jakoż w tym samym czasie, kiedy kolonizacya stron naddunajskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Urainy było w głównej części podobnież szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczenia nierównie większe trudności niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama bliskość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie znała wcale zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu na kresach ukrainnych toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającem ich z pobliża Tatarstwem pogranicznem. Były to napady każdodzienne, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyluż chrześcian. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej

broni. Nadawało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługa jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmiernego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawianem.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem andruszowskim roku 1667 a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych, lubo niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowinie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmieleckiego i hetmana koronnego, Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pieczołowitem staraniem króla Zygmunta III, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV. zaczęły pustkowia ukraińskie z trudną do pojęcia szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów, gospodarcza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. „Ja sam“ — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuski Beauplan[1]) — założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1,000 osad urosło.

Na każdem pustkowiu zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsi i miasteczka, nie zważając na czyim właściwie gruncie, nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć i odzywały się w pismach i na sejmie głosy doradzające, „aby prawem zakazane były wszelakie osady w dzikich polach tj. wszelkim ludziom prywatnym, bez danego przywileju na to“. Nastał wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich hetman w. koronny Koniecpolski zapozwał księcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek, zbudowanych przez księcia na pustej przestrzeni ziemi, która później okazała się przyległością hetmańskiego starostwa, Perejasławia.

Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wyniknął pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Subotowa, lecz ze sporu o takąż nowo przezeń założoną osadę, czyli słobódkę, której, jako na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozbawił go chciwy podstarości Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — „wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała“ — mówi współczesny Jerlicz. „Niegdyś za królów Kazimierza i Aleksandra Jagiellończyków“ — czytamy w jednym z dzisiejszych

[1]) Wilhelm le Vasseur de Beauplan, rodem z Normandyi, przebywał na Ukrainie około lat 17, zrobił dokładną jej mapę i zostawił jej opis: „Description d'Ukraïne“ (Paryż, 1650).

pisarzów małorossyjskich, Kuliszu — „kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniały dokumenta nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, nie więcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalsze zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną".

Tenże sam pisarz rosyjski daje nam bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgliszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu andruszowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosyą pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru, wzdłuż dzisiejszych powiatów: czehryńskiego, czerkaskiego i kaniowskiego, skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie bierzemy z samejże książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego, który niepodejrzanem świadectwem swojem najlepiej poprze nasze twierdzenie.

„Wszystek tedy kraj ukraiński" — opowiada dalej p. Kulisz — obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który ciągnąc w roku 1705 z kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyń, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczodrze uposażona od Boga miała zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowu zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi dnieprowe ani powstrzymywała przemoc człowiecza, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych — z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzątnienia się około nowej ich uprawy i kolonizacyi. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądź to w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzinnych Poleszuków, i ich to wioseczki pojawiły się najpierwej na pobrzeżu dnieprowem. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy, około Kijowa i Berdyczowa, gdzie od dawna trzymała ziemie szlachta średniej fortuny, jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowscy i inni. W południowych zaś

i wschodnich częściach przeddnieprskiej Ukrainy rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humańszczyzna poszła od Strusiów do Potockich, Śmilańszczyzna od Koniecpolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach, gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficyaliści i pełnomocnicy, podobnież jak właściciele górnych powiatów, sama szlachta herbowa. Do starostw, królewszczyzn i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przeddnieprskiej napływała ludność zwolna tymże samym sposobem, bądźto z różnych kryjówek dotychczasowych, bądź z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tem z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z przyczyny chłopów, od pana zbiegłych".

„Kulminacyjnym punktem tej kolonizacyi ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośrednim zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlenia ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądźto z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądź też z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stale na kresach Ukrainy konsystujących, a stąd partyą ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawyknąwszy do stron tutejszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu i korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa, niezdala od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przedewszystkiem myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej jak na prawach słobody, to jest uwolnienia od wszelkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową słobodę na różnych miejscach tłumnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych praźnikach, gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się, iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na słobodę. Lecz w każdem siole bywały sieroty pokrzywdzone od starszego rodzeństwa, byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili, byli kochankowie obawiający się rozłączenia lub doznający prześladowania, było nakoniec wielu ludzi pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadsłuchiwało z radością obietnicom nowo zakładających się słobód, jako hasłom do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmilańszczyzny, jakoby książę Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom słobód ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie

do niego z cudzymi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa.

„Kiedy takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacieniu spokojnych, licznemi strumieniami zroszonych dolin, stanęły nowo założone baraki, lepianki i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lżejszych warunków poddaństwa u nowych właścicieli zachodniej Ukrainy. A ci nawzajem słali ku nim przywabiające odezwy i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarządu i pogranicznej kontroli na lewym brzegu przechodzenie na polską stronę rzeki było wcale łatwem, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego kaniowskie, czerkaskie i czehryńskie pustynie napełniały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami z przeciwległych siół i grodów rosyjskiej hetmańszczyzny. U rybaków dnieprowych przechowała się po dziś dzień pamięć figur i krzyżów z zawieszonym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wystawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach pobrzeża, a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu słobodę i przywoływa osadników na pewnych warunkach i wolnościach. W moc takowych warunków uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat, co właśnie nazywało się słobodą czyli swobodą. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu jawno być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siołu, wbijano na wygonie słup na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego wytrącano jeden kołek, a gdy wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności.

„Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne, pańszczyzny naznaczono najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku, sadła, pędzenia wódki na małą skalę i t. p. Podstarościowie i inni oficyaliści pańscy wzbogacali się podarkami, które starodawnym zwyczajem składali im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoływała kogo do dworu. Wzbogacano się także różnego rodzaju handlem, mniej lub więcej godziwym, osobliwie dostawianiem furażu wojskom rosyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż granic Dniepru albo u samych kresów Turcyi. Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Zaporoże przeróżnemi potrzebami do życia, które za bezcen nabywały się w kraju prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo w zamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła i ani w obyczajach ani w czemkolwiek innem nie znajdowała pobudki do obciążania poddanych robocizną. Stąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe sioła do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego kolonizacya kraju wzrastała jakby

cudem. Wszystkie okoliczności współdziałały ku błogosławieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode społeczeństwo, tak i Ukraińcy nie znali troski o jutro, nie zbierali zapasów chleba i, ufając żyzności gleby, nie orali wcale na zimę. Zaczem zdarzało się nierzadko, iż nieurodzaj jednego roku nabawiał mieszkańców strasznego głodu. W historyi uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie przedstawiają się nam dwie ostateczności — albo niezwyczajnie niskie ceny, albo całkowity brak chleba, głód, a nawet pomorek z głodu. Wszakże te nieszczęścia chwilowe pochodziły jedynie z ówczesnego stanu ziem ukraińskich i żadną miarą nie mogą być policzone na karb szlachty polskiej, która już po raz drugi uprawiła i zabudowała te strony".

Toż samo powtarza pan Kulisz dwukrotnie w dalszym ciągu swego opowiadania, mówiąc o spustoszeniu kraju kozackiemi wojnami[2]) za Chmielnickiego i burzą hajdamacką w drugiej połowie wieku XVIII.

„Kilkunastoletni okres niepokojów kozackich, nazwany u dziejopisarzów polskich *hosticum,*[3]) u naszego zaś ludu ruiną, obrócił zachodnią Ukrainę w istną pustynię, a w ciągu lat pięćdziesięciu polska i już całkowicie katolicka natenczas szlachta zamieniła ją znowu w ludną krainę... Aż oto po niedługim czasie nowe najazdy zaporoskie, znane pod nazwą hajdamaczyzny, zawichrzyły napowrót ziemię ,ledwie co tylko staraniem szlachty polskiej zagospodarowaną".

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie na nowo osiedlone zostały przez szlachtę polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czyto na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu, spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historyi.

Zastanawiając się nad tem historycznem powinowactwem polskiego miecza i pługa, lubimy przypominać sobie charakterystyczne słowa owego syna mieszczańskich rodziców z Biecza,[4]) który w szacie biskupiej posłował tyle razy od królów polskich do monarchów zachodnich.

„W stronach południowej Rusi — pisze nasz Marcin Kromer

---

[2]) zam. przez wojny kozackie. [3]) czas wrogich bojów. [4]) Marcina Kromera.

w drugiej połowie XVI stulecia — już prawie więcej w używaniu jest dyalekt polski niż ruski, gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami chętnie tam osiadają Polacy".

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość, broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawiał ją i osiedlił. Oba żelezca okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych.



XI. Lucyan Siemieński.

Kajetan Koźmian. (1856).

Kto, jak Koźmian, umiał do ośmdziesiąt piątego roku życia zachować umysł w takiej czerstwości, że się prawie z latami odświeżał, jak tego dowód mamy w niektórych utworach lirycznych na krótko przed zgonem pisanych, ten widocznie innego był hartu niż późniejsze pokolenie; ten musiał mieć wielki fundusz ducha, którym rozrządzał rozumnie, nie marnując go na czcze rojenia, ani rozpraszając w drobiazgi. Jest to bowiem jednym z ujemnych przymiotów naszego wieku wkładać całe bogactwo umysłowości w najdrobniejszą cząstkę jakiej rzeczy i dochodzić jej składu, podobnie jak fizyologowie, co przez szkło mikroskopu rozbierają atomy i najdelikatniejsze włókna i tkanki. Tego rodzaju praca analityczna nietylko nie pozwala ogarnąć ogromu całości, ale nawet wyobrażenie tej całości w duszach zaciera. W literaturze nowszej można tę dążność często spotykać w tych zaściankowych prowincyonalizmach, w tem rozczłonkowaniu dziejów i społeczeństwa, zgoła w tej rozkładowej robocie, z której ciągle nam wróżą rezultaty wielkie: jakby kto chciał robactwo, roznoszące ciało schorowanej osoby, nazwać przyszłymi konserwatorami jej zdrowia.

Charakter Kajetana Koźmiana, przedewszystkiem zachowawczy, nosił w sobie zapewne wyobrażenia i uczucia tych czasów, które za młodu widział, do których w męskich latach należał; nie dziw, że mu się przeciwnem zdawało wszystko, co malało, rozdrabiało się, zapominało tradycyi, co wreszcie psuło ten ideał całości, będący, że się tak wyrażę, najpierwszą jego muzą, źródłem wysokiego tonu, na który nastrajał swoją lutnię. Wykształcony na starych wzorach łacińskich, wżyły w tę wielkość instytucyi Rzeczypospolitej, co choć gasnące, olśniły go całym blaskiem, nawykły patrzeć na ludzi budzących poszanowanie dla swych cnót prawie rzymskich, dla swej biegłości w sprawach publicznych, wychowany nareszcie w karności i prostocie obyczajów staroświeckich, nie mógł się tak łatwo oswoić z wyobrażeniami nowego czasu, z odmienną fizyognomią społeczeń-

stwa, z tem wszystkiem, co się około niego działo. Człowiek więcej niż dwóch pokoleń, świadek tylu zmian i przeobrażeń, zachowanyż był przez Opatrzność, jak ten dąb, co go zostawiają w wyrąbanym lesie, aby do jego wysokości pięły się młode latorośle zapustu?

Pospolicie, lecz w innych zupełnie stosunkach, takiego człowieka nazywają zabytkiem przedpotopowym, człowiekiem, który się przeżył, — my, w naszem położeniu, powinniśmy go nazywać żyjącą tradycyą. Podług mnie, nie znam wspanialszej postaci w społeczeństwie nad starca, który młodszemu pokoleniu przedstawia w sobie żywą przeszłość. Kajetan Koźmian przedstawiał ją w swoim żywocie ziemiańskim: dobry gospodarz, nie pan, lecz opiekun i przyjaciel wieśniaków, światły doradca, gościnny sąsiadom, poważny ojciec rodziny, a nadto jeszcze pamiątka chodząca, serce podnioślejsze, około którego się można było ogrzać, — wszystko to składało męża niezwykłych zalet w życiu domowem, a tacy ludzie nigdy się przeżyć nie mogą, przynajmniej nie wiem, ktoby przeżycia się ich pragnął. Jak ulubiony jego poeta Jan Kochanowski, najszczęśliwszym się uczuł, kiedy z większej sceny świata zeszedł w wiejskie zacisze; chociaż obowiązki i powinności obywatela powołały go do wysokich urzędów, które piastował, jednakowoż dusza jego zawsze tęskniła do cichej niepodległości i mierności, jak to wyśpiewywał w jednym z najdawniejszych swoich wierszy do Fortuny:[1])

Szafuj innym twoje względy,
Sławę, bogactwa, urzędy,
Ja się przed twoim ołtarzem nie przestaję modlić,
By mię nad ludzi twoja nie wzniosła opieka,
Zostaw mi czucie człowieka,
Ja się sam nie dam upodlić.

Taki duch godności osobistej i obywatelskiej przebija w każdym wierszu Koźmiana. Gdybym tylko pytał pięknych sentencyj, moralnych, publicznych, domowych, których pełno w jego rymach, odgadnąłbym już charakter i sposób myślenia podniosły i szlachetny; lecz daleko snadniej mi to przychodzi, gdy zwracam uwagę choćby na tych dwadzieścia kilka lat ostatnich. które wieszcz-starzec przepędził w zaciszu wiejskiem, otoczony jak patryarcha obowiązkami rodziny i obywatelstwa, a przytem wydobywający z lutni swej ton tak rozgłośny, że wszędy dochodził, i tak przenikliwy, że każdą szlachetną duszę poruszał. Kto żył w takiem poszanowaniu i powadze u ludzi, tego wewnętrzna istota musiała się szczerze odzwierciedlać w utworach natchnienia; nie mogły to więc być piękne słowa skombinowane sztuką, a w dysharmonii z człowiekiem, który je pisał, a o którym nie ośmielonoby się wyrzec tego, co on sam o Horacym powiedział:

I wieszcz, filozof, dworak, choć wieśniak pozorem,
Coś zalecał w twych pieśniach, zaprzeczałeś wzorem.

---

[1]) Prośba wieśniaka do Fortuny.

Zresztą język prawdy i przekonania ma swoją właściwą cechę, niedającą się sztuką zastąpić. To jednak pewna, że nasi pisarze z tak zwanej szkoły klasyczno-konwencyonalnej bardzo mało indywidualności swojej wkładając we własne utwory, słabo się tylko w nich odrysowywują. Zbyt może zajęci wzorem jakiego klasyka, będącego w ich pojęciu taką *akme* doskonałości, wszystko i co widzieli zewnątrz i co wewnątrz czuli, odnosili do niego, jego przemawiali językiem, jego tworzyli natchnieniem. Głos ich duszy z trudnością się przez te formy przedzierał. Przeciwnie, romantycy obierając inną drogę kreacyi, usiłowali więcej snuć z siebie, we własną głąb zazierać, a choć i tu nie brakło na konwencyonalizmie i naśladowaniu, z tem wszystkiem indywidualności silniej się rysowały w tem, co z ich piór płynęło.

Stąd poszło, że nowa szkoła zainteresowała nietylko pewną odrębnością swoich płodów, ale nawet pisarze należący do niej intrygowali publiczność, odgadującą w nich wyjątkowe jakieś istoty arcyduchowe i płomienne, cierpiące, tajemnicze, kiedy porównane z klasykami, zazwyczaj ludźmi pewnej pozycyi, w towarzystwie form zimnych, prozaicznych, a zasad konserwatywnych, musiały tych ostatnich zdyskredytować. Łatwo teraz pojąć, gdy się te czasy odsunęły już od nas i sąd nastał spokojniejszy, jaką krzywdę wyrządzano wyznawcom klasycyzmu, odmawiając im wszelkich możebnych zalet, nawet gniazdowych, dlatego tylko, że nie poszli za duchem romantycznym. Wyrok, ciążący na całym tym rodzaju, dotykał i Koźmiana; a jak zazwyczaj stronna gorliwość za daleko się unosi, więc w klasyku potępiono i człowieka, i zastosowano do niego ten wiersz:

„Napisał tysiąc wierszy o sadzeniu grochu",[2]) —

wtenczas, kiedy dokoła odbywała się ciemna gra gotującego się wybuchu, mogąca czem innem natchnąć, a nie dydaktycznym *„wieńcem Wirgilego chwały"*. Salon literacki warszawski, w trzeciej części *Dziadów* naszkicowany, wiele miał rysów zdjętych z natury, tego trudno zaprzeczyć; lecz za tem nie szło, aby koryfeusz szkoły klasycznej był obojętny na to, co obchodziło żywo każde obywatelskie serce. Co większa, on tak twardo stojący na wyłomie swojego obozu, odpowiadający na zaczepki i szały przeciwników dowcipnym sarkazmem lub biczem satyry, sam wkrótce ogrzał się tem ciepłem młodej literatury, i w późnej starości zaczął żywiej i duchowniej uczucia swoje tłómaczyć. To pokazuje, że w piszącym zawsze odbić się musi duch epoki, choćby nojmocniej się jemu opierał i protestował.

My dziś wolniejsi od uprzedzeń naszych poprzedników, winniśmy to, co z właściwego wyrugowano miejsca, co potępiono bezwzględnie, odnieść do należnego porządku i usprawiedliwić.

Kajetan Koźmian, jak tylu innych, których zastała późniejsza reforma romantyków, należał do epoki pisarzów Księstwa Warszaw-

---

[2]) Jest to wiersz Mickiewicza w III-ej części „Dziadów".

skiego. Komu wiadomo, o jak zwątlonych siłach powstało księstwo, i jakie wpływy działały przeważnie na umysły pod każdym względem, ten sobie łatwo wytłómaczy, że wpływy wyobrażeń francuskich w epoce Stanisławowskiej zatrzymane upadkiem politycznego bytu, a więc i upadkiem literatury, musiały silniejsze jeszcze parcie wywierać, kiedy zwycięstwa Napoleona dały tej części kraju byt i organizacyę. Jeżeli tedy literatura wielkiego cesarstwa była jakby echem buletynów, deklamacyjna i zimna, jednostronna i formułkowa, nic dziwnego, że się to i u nas odbiło. Skąd przyszedł kodeks cywilny, stamtąd szło i poetyczne natchnienie i forma. O samodzielności trudno było myśleć, bo ta wymagała geniuszu lub głębokich studyów na innej drodze; a tymczasem geniusze i talenta absorbowała wojna, a na studya czasu nie było. Ludzie bowiem naukowi i piśmienni wszyscy poszli w służbę publiczną, i tam ich zasług szukać należy, a nie na polu sztuki. Jeżeli więc ukazywały się twory wyobraźni, to jedynie jako owoc chwili, wykradzionej obowiązkom publicznym.

Odnosząc do tych czasów ody i pieśni Koźmiana, widzimy w nich niepospolitą siłę, pęd liryczny, ton podniosły, a niekiedy miejsca tak szczęśliwe, że je za wzór poetycznej szczytności podaćby można. Oprócz tych zalet jest jeszcze forma i język wysoko udoskonalony, co już niepoślednią miało zaletę w ówczesnym stanie naszego języka, którego nie uczono. Niesłusznie tedy zwolennicy przeciwnej szkoły wyrzucali klasykom poprawność i ubieganie się o wdzięczne formy, bo porównywając ich sposób pisania z dawniejszym z epoki panegiryków, zawsze pokaże się ogromny postęp. Każde przeto zaniedbanie i lekceważenie tego, co już raz było osiągnięte i zrobione, prowadzi do upadku, jak to się sprawdziło na wielu pisarzach romantycznych, bo naśladując genialność gardzącą formą, nanieśli dziwacznych i dzikich wyrażeń, a nadewszystko rozbratali się z logiczną a rozumną jasnością, będącą jedną z cech słowiańskiego ducha.

Wirgiliusz i Horacy, jakkolwiek umknięto im znaczenia przeto, że ślepo trzymali się wzorów greckich, niemniej jednak mają swój odrębny charakter, będący odbiciem się ówczesnej Romy, pani świata — jest w nich tyle humanizmu, taki wyraz wytwornej cywilizacyi, taka znajomość życia, że nowożytne ludy, przechodząc z pod opieki kościoła na pole świeckości, wzięły sobie tych swoich przewodników za kodeks, podług którego usiłowały kształcić się na obywateli. *Civis Romanus* był to ideał zmodyfikowany pojęciami chrześciaństwa: cóż dziwnego, że i dwaj poeci rzymscy, co ten ideał przekazali, stali się owym wzorem doskonalszym, po za którym nic już nie widziano? Przypomnijmy sobie wreszcie, że umysły, uchylając się z pod jednej powagi kościoła, rozciągającej wpływ na wszelkie stosunki społeczeńskie, poddały się innej — powadze starożytnych. Długo byłoby rozprawiać o znaczeniu i ważności powagi, której dziś wypowiedziano posłuszeństwo, zwyczajnie jak w chwili przechodniej; chociaż to pewna, że kiedy analiza się sprzykrzy i zużyje, musi nastąpić panowanie syntezy, a z nią powagi, z tą różnicą, że ją przeniosą na takiego Dantego, Szekspira i t. p. Koźmian należał do tych jeszcze,

Lecz cię trwoga nie zwycięża,
Jeszcze się rwiesz do oręża;
A tu z twych groźnych zastępów
Marzących boje i łupy,
Wmarzłe w ziemię stoją trupy,
Pastwa dla kruków i sępów.
U dwóch sprzecznych ziemi kresów,
Gdzie tchną mrozy, gdzie wrą żary...
Świat się pyta z trwogi zbladły,
Jak te góry z niebios spadły,
I zgniotły tłumy szeregów?
Pan, by pychę w proch obrócił,
Ze wszechmocnej dłoni rzucił
Tam garść piasków, tam garść śniegów.

Jeśli to nie poezya, cóż nią będzie? Natchnienie godne psalmisty sypie pełną ręką piękności wyższego rzędu, nieprzemijające, jakiekolwiek nastaną szkoły.



XII. Julian Klaczko.

Sztuka polska. (1858).

Dążeniem autora jest okazanie, że sztuki piękne plastyczne w Polsce nie mają dla siebie odpowiedniego gruntu i że rozwoju ich nie ma potrzeby życzyć sobie.

Liczne i różne od wieków były usiłowania wielkich myślicieli do wytłómaczenia i orzeczenia tej naszej twórczej siły i potrzeby, która w marmurze lub na płótnie, w tonach lub słowach, kształci sobie świat inszy i piękniejszy. Ale w miejscu nużących definicyi zakłopotanych systematyków, wolimy sobie przypomnieć czarowny obraz natchnionego wieszcza. „Gdy stwórca od swego oblicza odegnał człowieka i późnego powrotu do światła na ciężkiej drodze zmysłów szukać mu rozkazał, gdy wszyscy niebianie odstąpili syna ziemskiego; ona, sztuka jedna, ludzka, podała rękę opuszczonemu wygnańcowi i, nieśmiertelna, wielkodusznie się z nim w jego śmiertelność zamknęła“. Tak mówi poeta, i trudno piękniej i prawdziwiej dla oka duszy ukształcić ten popęd ludzkości do idealnego tworzenia, który w istocie jest jakby przypomnieniem utraconego raju, odzyskaniem, choć złudnem, oderwanej wyższej krainy, powrotem, choć sennym, na ciężkiej zmysłów drodze do zabranego światła ducha! A w tem znaczeniu, któżby chciał utrzymywać, że naród polski nie ma w sztuce powołania, któżby go tu raczej nie policzył do wybrańszych? Jakiż wyżej sięgał myślą,

głębiej nurtował uczuciem, i nad ciemną przepaścią bytu skrzył się cały w ognie wieszcze? Jakiż nakoniec, przez wielki ciąg swoich dziejów, może wskazać tak ciągłą dążność do ideału, nieustannie ściganego, chociaż nigdy nieosiągnionego, i który może też nie jest do osiągnięcia? Na swoją chwałę, czy na swoją zgubę, Polska zawsze sobie stawiała zadania, w których więcej przeważało niebo niż ważyła ziemia, których wyobraźnia dopełnić, ale rzeczywistośc spełnić nie mogła. Zamiast sprzęgać ciała, myślała tylko o serc kojarzeniu; zapał chciała mieć sprężyną działań, które tylko zimna rozwaga do celu doprowadzić może, i ziemskie skazitelne rządy kusiła się oprzeć na tem, co tylko niebiańskim jest darem kilku dusz nieskazitelnych — na dobrej woli. Jeśli za tą pokusą czekały ją tylko pokuta i upokorzenie; jeśli chcąc stać ciągłym cudem, wkońcu tylko samym stała się nierządem; i jeśli wreszcie na tej błędnej drodze dotąd jeszcze zbyt wiele durzących pochwał, zbyt mało upominających przestróg znalazła: trudno jej jednak zaprzeczyć tego idealnego piętna, które zawsze wybranych, choć nie zawsze szczęśliwych, znamionuje, tego wyższego polotu, który w zaświecie szuka rodzinnego sobie gniazda, tej potęgi natchnień, która nieraz ziemię utraci, ale „rajską dziedzinę ułudy“ jako swoją zadzierży — i naród, o którym wielki jego wieszcz powiedział, żeby go jak pieśń żywą stworzył, jak dzieło sztuki ukształcił, taki naród może śmiało zapukać u wrót Piękna świątyni. Głos mu stamtąd odpowie: wnijdź, i tu są bogi twoje...

Tylko, niechaj wchodzący nie zapomni o tem, że nie w każdej zarówno formie dla każdego zarówno narodu przystępnem jest bóstwo tej świątyni, i że jak we wszystkich innych, tak i w tej dziedzinie, niejednostajnie usposobione są ludów umysły! Świat ideału, jak świat rzeczywisty, ma swoje strefy i klimata, których ani dobrowolnie obierać, ani bezkarnie odmieniać nie można. Sztuka jest metempsychozą: wielką wędrówką ducha z materyi do Boga przez przemiany coraz mniej zmysłowe, i przez wcielenia coraz mniej cielesne. Gdy architektura, rzeźba i malarstwo, w materyalnej się jeszcze rozlegają przestrzeni. muzyka już tylko w czasie swych rozmiarów szuka, a poezya nakoniec, równie nad Przestrzeń jak i nad Czas wywyższona, Myślą li samą żąda być objętą, i jako duch przemawia do ducha. Ale nie każdemu to narodowi jest danem, przechodzić całą tę wielką skalę przemian i w każdą z tych wielkich form wcielać zarówno swe ideały. Podział pracy tu owszem jest tak logicznie wskazanym, jak historycznie dowodnym. Z zapalną imaginacyą pod palącem niebem, z wyostrzonymi zmysłami śród ostrych ponęt, w otoczeniu natury, która pieszczotami naprzemian usypia i budzi, w otoczeniu ciał tak pięknych i piękności tak cielesnych: ludy południowe, na polu szczególniej rzeźby i malarstwa stworzą arcydzieła, i równie skoro jak szczęśliwie uchwycą i wydoskonalą te głównie sztuki. w których duch na wpół się z materyi wyzwala, a na wpół jej ulega, nawet się w niej rozkoszuje, i gdzie myśl przedewszystkiem jest kształtem. a uczucie ledwiebyśmy nie rzekli dotknięciem. Na tem samem polu

ludy północne tylko swoje wysilenia, nigdy swojej siły prawdziwie nie objawią. Brak im do tego nieomal wszystkiego, brak im przedewszystkiem tej intuicyi form, tej tajemniczej morfopedyi,[1]) która od kolebki prawie, bez jego wiedzy i woli, kieruje każdym krokiem i ruchem południowego mieszkańca. W surowym klimacie stępione zmysły, ani tak czujne są na zewnętrzne wrażenia, ani tak wprawne do ich zewnętrznego ukształtowania; wszystko, co w Grecyi i Włoszech było naturą, we Francyi już i w Niemczech będzie tylko kulturą: mozolnym nabytkiem, co tam przyrodzoną własnością. Im dalej na północ postąpimy, tem rzadsze pod tym względem spotkamy rzeczywiste uzdolnienia, tem większy trud i mozół ujrzymy w indywiduach, tem mniej współczucia i współudziału znajdziemy w masach. Organizacye prawdziwie artystyczne, pod obłąkaną gwiazdą losu w tych stronach zrodzone, nie znajdą tu ni spokoju ni zadowolnienia, zrobią sobie i drugim nieustanne wrażenie obcych, gwałtem z innej, cieplejszej ziemi przesiedlonych wygnańców, i będą zawsze miały instynktowy pociąg do tych krajów, „gdzie buja laur i cyprys cicho stoi“; w tych krajach i dla nich Thorwaldsen[2]) zapomni wkońcu swego rodzinnego języka, a Winckelmann[3]) wyrzecze się macierzyńskiej wiary. Ale jeśli narodom północnym odjęty jest nieodzownie ten dar plastycznego kształtowania, który szczęśliwym i prawie wyłącznym jest udziałem Hellady i Italii, tem większe i potężniejsze będzie ich mistrzowstwo w tych, nie powiemy że piękniejszych, ale spirytualniejszych sferach sztuki, w których dźwięk jedyną jest formą uczucia a słowo jedynem ciałem myśli, w których ideał z marmurowej wyzwala się powłoki, pył farb nawet zbyt ciężkim dla swych skrzydeł znajduje, i już tylko w przejrzystej, nienamacalnej obsłonie drżących tonów i słów wiewnych do corez czystszych się wznosi błękitów. Jak wszędzie tak i tu, za stępieniem zmysłów idzie wyostrzenie myśli, za ubóstwem natury bogactwo ducha; i ten sam Bóg Homera, co Femiuszowi[4]) odebrał wzrok, któryby się cieszył posągami, użycza mu tego natchnionego głosu, który z serca pochodzi i do serc przenika.

Ci, którzy u nas (a jest ich niemało) wiele sobie obiecują po rozwoju sztuk plastycznych w Polsce, którzy mniej lub więcej szczęśliwe próby krajowego malarstwa biorą za odpowiedź dojrzewającej szkoły narodowej, którzy nawet (bo aż do tego stopnia posuwa się czasami u niejednych amatorstwo!) spodziewają się w tym kierunku jakiegoś odrodzenia i odmłodnienia gnębionego ducha Polski: ci — niechaj nam wybaczą — nie zdali sobie może dokładnie sprawy ani z natury naszego kraju, ani z usposobienia naszego ludu, ani z wiekowej nauki, którą nam historyczne doświadczenie podaje. Surowość naszych obyczajów, zarówno u nas czynią niepodobną tę nagość „bezczelną, niezawstydzoną niczem, a nieśmiertelną,“ o której

---

[1]) morfopedya = nauka o kształtach. [2]) znakomity rzeźbiarz duński ur. 1770 zm. 1844. [3]) entuzyastyczny wielbiciel i znawca sztuki starożytnej ur. 1717, zabity 1768. [4]) pieśniarz, o którym opowiada Odyseja.

mówi poeta, i na której jednej tak artysta swój kunszt, jak naród swój zmysł w rzeczach rzeźby i malarstwa wykształcać jest w stanie, a uwaga ta, która większej części czytelników będzie się zdawała epigramem, może da, czyli raczej niezawodnie już dała wiele do myślenia niejednemu u nas szczeremu uczniowi Apollina. Nie trzeba w Polsce być świętym Wincentym, aby chcieć rzucić swój płaszcz, a jeszcze lepiej swe futro na śnieżne barki marznącego w marmurze półbożka, ani też sama tam tylko kwaśna panna Prakseda gotowa znaleźć postawę medycejskiej Afrodyty, więcej niż emancypowaną. Te marmurowe kształty, które na niwach Auzonii w ciepłym się kąpią lazurze i w rozkosznym cieniu miękkich, usłużnych spoczywają laurów i cyprysów — te, na polskich polach, północnym policzkowane wiatrem, pół roku odbijać się muszą od białych śniegu całunów, a drugie pół stać nieśmiałe, wśród otoczenia niezbyt przyjaznego poważnych dębów, dziewiczych brzóz i ostrych, surowych jodeł. Wzrok, nienawykły do światła i słońca, nie jest zdolny u nas ani uchwycić, ani oddać tej nieskończonej skali farb i półcieni, która wciąż drży w powietrzu; uczucie kolorów ścina się pod szarą powłoką naszego horyzontu, a formy, opięte chłodem i wstydem, nigdy tu nie odsłonią swojej wielkiej tajemnicy i nigdy nie pokażą tej piersi, o którą woła Weronez naszej poezyi[5]): „piersi nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!“

Możemy tylko zlekka nadmienić i oznaczyć ten, w gruncie kardynalny punkt rozbieranej kwestyi, ale którego obszerniejsze roztoczenie zaprowadziłoby nas do technicznych szczegółów i historycznych wywodów, równie zbytecznych dla znawcy, jak mało dostępnych dla niewtajemniczonego. Pozwolimy tu sobie wszakże jeszcze powiedzieć, że przeciwko naszemu twierdzeniu pozornie tylko świadczyć może przykład tego kraju, który w podobnem do naszego geograficznem położeniu, w równie niekorzystnej strefie i nieprzyjaznym klimacie, potrafił jednak sobie utworzyć osobne malarstwo i znaczące w tej dziedzinie zająć stanowisko. Bo i jakże też niską zaprawdę jest ta sfera kunsztu, którą sobie obrała szkoła Flamandów, i jakżeż przedewszystkiem odmiennym od naszego jest duch właśnie tego narodu! Gdy z olimpijskiej wyżyny, na której stoją Bóg i człowiek, sztuka zechce schodzić do owych nizin twórczości, tak trafnie martwą naturą i cichem życiem (*Stilleben*) nazwanych, wtedy bezwątpienia, może ona jeszcze i wśród zaspów piasku i pod ołowianem niebem wywołać arcydzieła; a rozmiłowany w familijnym spokoju i domowem ochędóstwie Flamandczyk znajdzie tu szczęśliwy wyraz dla swojej szczęśliwej mierności... Ale jeśli mocarz, jak Ludwik XIV, podobne utwory wzgardliwie magotami nazwie, wówczas może nietyle nieświadomość despoty wyśmiewać, ile wrodzony instynkt królewskiej, wspaniałej jego natury podziwiać nam przyjdzie; a wtedy rozważny myśliciel nie tak łatwo przypuści, ani nawet tak gorąco zapragnie, aby naród rycerski i katolicki miał w tem właśnie do-

[5]) Weronezem (słynny malarz włoski, odznaczający się świetnością kolorytu) nazywa Klaczko Juliusza Słowackiego.

równać Flamandom, co najrodzinniejszym jest płodem ich mieszczańskiego usposobienia i protestanckiego wychowania. Duch naszej Polski, idealny a rycerski, wielkomyślny a katolicki, tak w życiu jak w sztuce rodzaju *genre* prawdziwie i stale nie ukocha, do godności narodowego dzieła i działania nigdy go nie podniesie. Nad owe ciche życie przenosić on będzie zawsze wszelką walkę idei, i broń bohatera i miecz archanioła wyżej on cenić będzie nad te domowe sprzęty, które niewiasta flamandzka do połyskującej szoruje czystości, a Teniers i Dow do łudzącego doprowadzają wykończenia. Duch taki sięgać zawsze będzie wyżej do tego, co umny[6]) Grek megalografią nazywał, do tej sfery natchnienia, „kędy zapał tworzy cudy,“ — a gdy tu, do plastycznego kształtowania, zabraknie mu tej intuicyi wielkich form, wtedy w dźwięku i słowie będzie szukał godnego wyrażenia, i im też jednym swe ideały powierzy. Dźwięk i słowo! te są jedyne wcielenia dla polskiego i słowiańskiego ducha naturalne, niewymuszone i prawdziwe, jedyne, które lud u nas zrozumieć a masy uznać i uczcić są w stanie. Gdy włoski żebrak, nawet w półsennem *far niente* umie sobie nadać kształt posągu, i dziurawe swe łachmany instynktowo udrapować jak chlamidę; gdy najuboższy nieraz mieszkaniec Apeninów potrafi obraz jakiegoś mistrza ukochać i cieszyć się z niego z całą może nieświadomością, ale i z całą szczerością dziecięcia: na naszym chłopie twory dłuta i pędzla żadnego nie zrobią wrażenia i w obojętnem go milczeniu zostawią dzieła Fidyasza i Rafaela. Tego samego znowu chłopa śpiewem i skrzypkami do łez nieraz rozrzewnisz, do szału rozweselisz, a bajką dopiero i klechdą zaprowadzisz go, jak się wyraża, na drugi koniec świata. Uwagę tę, którą każden z nas w codziennem prawie życiu sprawdzić może, przekładamy tym wszystkim, co choć raz się szczerze nad tajemniczym zastanowili związkiem, który między żywotną sztuką narodu a życiem jego ludu zachodzi. Uwaga ta, zdaniem naszem, rozstrzyga wszystko — nie przeciwko indywidualnym u nas uzdolnieniom i zamiłowaniom o których pomówimy następnie, ale przeciwko narodowemu rzeźbiarstwu i malarstwu, którego przyjście nam pewne poważne głosy z taką pewnością zapowiadają.

Gdybyśmy dla prawdy, przez się samą jasnej i niezbitej, chcieli jeszcze szukać poparcia w doświadczeniu historycznem, znaleźlibyśmy i tu dowody równie liczne jak zwycięskie, i moglibyśmy łatwo całą naszą przeszłość wywołać jako stanowczą wróżbę dla przyszłości. Dwa tylko właściwie liczy Słowiańszczyzna dotąd narody, które wielką szkołę chrześciańskiej przebyły cywilizacyi i znaczące w europejskiej kulturze miały stanowisko. Czesi jedni i Polacy, ze wszystkich plemion słowiańskich, dotrzymywali kroku ogólnemu pochodowi oświaty; a pierwsi w XIV, drudzy w XVI wieku, stali nawet przez chwilę na wyżynach umysłowego życia, i w niejednnj mierze dorównali zupełnie najwykształceńszym ówczesnym społeczeństwom zachodu. A przecież, ani jedni ani drudzy, tak przez cały ogólny ciąg swoich

[6]) umny = pełen fantazyi.

dziejów, jak w owych szczególnych epokach największego rozwielmożnienia, nie objawili najmniejszego powołania do plastycznej twórczości, i w tej dziedzinie ani jednego nie wydali dzieła, któreby zostało w wiekowej pamięci dziejów a powszechnej czci pokoleń. Po wszystkie niemal ducha rynsztunki i narzędzia geniuszu śmiałą a nieraz i bardzo szczęśliwą ręką sięgając, dłuto jednak i pędzel zostawili na boku; a gdy dla swych natchnień i uczuć szukali wcielenia, znajdowali je tylko w tej muzyce i w tej poezyi, które i dotąd jedynemi ich rodzimemi są sztukami i jedyną niezaprzeczoną ich chlubą. Wspomnieliśmy o wieku XVI i warto zaiste choć chwilę przydłużej nad tą się zastanowić epoką, bo trudno wymowniejszą i nieomylniejszą, niż właśnie tutaj, dla nas znaleźć naukę. Epoka to była, którą historya tak słusznie mianem odrodzenia uświęciła. Obudzona z długiego letargu ludzkość zrzuciła wówczas z siebie całuny średniowiecznego ascetyzmu. i pełnemi, wolnemi odetchnęła piersiami. Jakieś nowe, odmładzające i ożywcze tchnienie wionęło naraz we wszystkich pracach i tworach, zamiarach i zamysłach. W religii i w polityce, w nauce i sztuce objawił się jakiś popęd do przeczuwanej, lub jakiś zwrót do utraconej prawdy i natury, które tak jedne jak drugie, nowy utworzyły porządek rzeczy i postać ziemi do niepoznania zmieniły; a Reuchlin i Erazm, Rafael i Michał Anioł, Bacon i Kopernik, Shakespeare i Aryost i tylu innych, których tak trudno wyliczać jak zapomnieć, podawali sobie w nieskończonym a wspaniałym geniuszów szeregu magiczną lampę życia. Wśród tych narodów, dążących naprzód na drodze Odrodzenia, stanęła i Polska, i nie była ostatnią. Jeśli Portugalczycy i Hiszpanie świat zupełnie nieznany Ameryki odkryli, a Włosi i Niemcy świat dawno zapomniany klasycznej starożytności nanowo odsłonili: nasz Kopernik, również obce przedtem uniwersum objawił dla ludzkości i nieskończone państwa nieba podbił nauce. Najpotężniejszy wynalazek owych czasów, wynalazek druku, zyskał u nas wtedy zastosowanie tak prędkie, jak nieograniczone i powszechne. Obudzony zapał do literatury starożytnej wydał u nas nietylko Dantyszków i Sarbiewskich, ale wywołał nawet (tak zresztą mało szczęśliwe, jak może i mało dotąd wyświecone) naśladownictwo klasycznych urządzeń i reminiscencyi w instytucyach i reformach naszej rzeczy pospolitej. W nowościach wiary, które tę epokę zakłóciły i zapaliły, użyliśmy i nadużyliśmy wszystkiego, i prędzej i pełniej od jakiegobądź może narodu, przebiegliśmy całe koło ówczesnych religijnych przemian, od ostatecznych krańców aryańskiego radykalizmu, aż do granicznych słupów jezuickiej reakcyi. O tym samym czasie w poezyi Kochanowski, z niedosyć dotąd podziwianym instynktem, trafił do trzech najczystszych źródeł, z jakich tylko czerpać może nowożytna sztuka chrześciańska w tajemniczej trójcy tych trzech wielkich żywiołów, które się w niej zlewają i organiczną jej pełnią stanowią: w żywiole religijnym doszedł do Psalmów, w żywiole klasycznym do Homera i Eschyla, w żywiole narodowym do tradycyi i pieśni ludowej! Przepełniona i kipiąca życiem czara, wszystkie wtenczas

u nas zalewała brzegi; krew gorąca i chciwa czynów biła wciąż tętnem mocnem a przyśpieszonem; rozbudzone i spotęgowane siły narodowe szukały sobie wszędzie pola do działania i wynurzania się: wszędzie widać jakiś demoniczny i nieprzeparty popęd do sprobowania wszystkiego, do zawierzenia się wszystkiemu, do mierzenia się ze wszystkiem! Jeśli więc kiedykolwiek, to wtenczas zaprawdę była dla nas pora i sposobność doświadczenia sił naszych także w rzeźbie i malarstwie. Zachęty były tak wielkie i powszechne, przykłady tak bliskie i liczne! Dürer[7]) się prawie o Polskę ocierał; z Flamandyą tyleśmy w tym wieku mieli stosunków i związków; a Włochy, te Włochy, gdzie wówczas tworzył Rafael i Michał Anioł, Tycyan i Weronez, były prawdziwą Mekką, do którejśmy w celu nauki i ogłady tłumnie i nieustannie odbywali pielgrzymki. A jednak nawet i wówczas nie okazaliśmy do owych sztuk plastycznych ani powołania — ani nawet pociągu! Z trafnem ocenieniem swoich środków i potrzeb, naród polski, i w tej epoce odrodzenia, na polu twórczości, rozważnie się tylko do muzyki i poezyi ograniczył; do wyrobów pędzla i dłuta z żadnem nie wystąpił roszczeniem! Żaden z ówczesnych przywódców naszej oświaty, żaden mąż wpływu i znaczenia, nie starał się w tym niewłaściwym nam kierunku nadawać popędu, ani nawet przykładu! Ów Jan z Czarnolesia, którego bystry zmysł w odkrywaniu najczystszych wzorów poezyi dopierośmy oznaczyli, który we Florencyi, w Rzymie, i Fontainebleau musiał przecież spotykać się nieraz z arcydziełami Urbinaty,[8]) Anioła i Primaticia,[9]) Jan z Czarnolesia do tych arcydzieł jednak ani swoich rodaków nie usiłował zapalić, ani nawet własnych wrażeń w tym względzie nie zostawił nam śladu. Zamoyski, umysł rzadkiej wszechstronności, wielki hetman, który swoją nauką wprawiał w podziwienie Vanozego,[10]) który z równą powagą nosił płaszcz konsularny i togę doktora, który potrafił być wojownikiem i humanistą zarazem, i z obozów pod Wielkiemi Łukami i Pskowem wysyłał listy do największych filologów w Europie, mąż ten nie szczędził wprawdzie ani trudów, ani zachodów około akademii zamojskiej — ale o założeniu akademii sztuk pięknych ani pomyślał! Zygmunt August, syn Włoszki i wychowaniec włoskich metrów, król, który pod każdym innym względem tak dobrze wchodzi w poczet owych książąt z pierwszych czasów odrodzenia, — sentymentalnych i wrażliwych, romantycznych i romansowych, ujmujących sercem i błyszczących słowem, pełnych tolerancyi a nieraz i indyferentyzmu, ochoczych do zabaw a nieskorych do pracy, lekkomyślnych, chociaż dość wytrwałych a nawet zaciętych w raz obranym kierunku i zamyśle — Zygmunt August jednak ani z Leonem, ani z Franciszkiem lub Alfonsem nie ubiegał

---

[7]) Albrecht Dürer, wielki malarz i rysownik niemiecki, ur. 1471, zm. 1528.
[8]) Urbinatą nazywa autor Rafaela, który był rodem z Urbino. [9]) Franciszek Primaticio, malarz włoski XVI w. wsławiony głównie ściennemi malowidłami zamku Fontainebleau. [10]) Bonifacy Vannosi, dyplomata włoski, traktował w r. 1596 z Janem Zamojskim w sprawie uzyskania pomocy dla cesarza Rudolfa przeciwko Turkom.

się o tę wówczas tak cenioną chwałę protektora artystów. Że się zbyt muzyce oddawał i lutnistami otaczał, zarzucali mu surowi Sarmaci na publicznym sejmie; aby szukał towarzystwa malarzów i rzeźby z Włoch sprowadzał — tego o nim, ku pochwale lub naganie, nie powie historya. Można całą naszą ówczesną literaturę przerzucić, i ani się nawet tego domyślać, że w tej samej epoce żyli twórcy Wieczerzy Pańskiej i Świętej Dysputy, Sądu ostatecznego i Wniebowzięcia, Bożego Baranka i Czterech Temperamentów; można wszystkich naszych Zygmuntowskich pisarzy (z których prawie każden jednak zwiedził Włochy!) raz i drugi lustrować i, z wyjątkiem jakiejś pobieżnej wzmianki o Dürerze w jakimś pobieżnym wierszu Klonowicza, nie spotkać pod ich piórem ani jednego nazwiska, któreby przypomniało arcydzieła, przechowywane w Watykanie, w Trybunie lub w Luwrze. Wielcy magnaci nasi zapraszali wprawdzie czasami, dość zresztą podrzędnych, artystów z zagranicy, lub zamawiali u nich prace — ale tylko w celu dewocyi, albo dla przepychu, nigdy z prawdziwego zamiłowania do sztuki. Pilni i skrzętni archeologowie wyszukują wprawdzie teraz w szpargałach akt miejskich jakieś wzmianki o rzekomych malarzach w Polsce, cały nawet trzytomowy słownik takich imion otrzymaliśmy ostatniemi czasy; ale pierwszy rzut oka na ten rejestr wystarcza do przekonania, że w nierównie większej liczbie zapisane tu same obce nazwiska, nazwiska cudzoziemców, którzy przez dłuższy czy krótszy czas w naszym kraju bawili. Poczet prawdziwie polskich malarzy bez porównania tu jest mniejszy; a i o tych, w nieskończenie większej liczbie, nie wiemy, ni jak, ni co malowali; nie wiemy nawet — czy malowali! Zrobiło to na nas, wyznajemy, dość pocieszne wrażenie, gdy właśnie niedawno, w jednem z naszych pism czasowych, zacny archeolog radził, aby nie zbyt pośpiesznie przyznawać godność artysty tym nazwiskom, przy których w aktach miejskich mniemamy widzieć przydomek *pictor*:[11]) bliższe bowiem rozpatrzenie się paleograficzne każe nieraz czytać *pistor*[11]) — i mniemanego ucznia Apollina policzyć tym sposobem do rzędu najskromniejszych adeptów Cerery[12])! Ta zabawna wątpliwość, czy odgrzebany mistrz podawał narodowi ów chleb duchowy, *pan degli angeli*, jak mówi Dante, albo też może tylko dla współbraci i współmieszczan piekł poprostu chleb powszedni, bardzo zapewne pożywny, ale estetycznie niestrawny — jest jednym z tych rysów, któregoby Walter Scott niezawodnie nie opuścił w swoim Antykwaryuszu, gdyby pośmiertne tego dzieła mógł robić wydanie, jest jednym z najwdzięczniejszych tematów, jakich sobie tylko życzyć może najuszczypliwsza w świecie satyra...

Kto nie w pleśniejących aktach miejskich, ale w otwartej czyta księdze dziejów, kto w archeologicznych nie rozkoszuje się ciekawościach, ale prawdziwą wielką kocha sztukę, ten o malarstwie i rzeźbiarstwie polskiem w epoce odrodzenia skromne sobie tylko nakaże milczenie, a w milczeniu tem zarazem wymowną i na to py-

---

[11]) pictor = malarz, pistor = piekarz. [12]) Cerera, bogini rolnictwa i zbóż.

tanie znajdzie odpowiedź, czy wspomnione kunszta mogą i teraz mieć jakieś powodzenie i jakąś przyszłość u nas. Bo zaprawdę, byłoby tak dziwnem jak niezwykłem, gdybyśmy w obecnem naszem zniemożeniu i wśród najniekorzystniejszych okoliczności, to ze swego łona wydobyć potrafili, na cośmy się nie zdobyli i pod najszęśliwszemi konstellacyami i w największej pełni naszego życia. Bo zaprawdę, byłoby dziwnem, gdyby naród nasz w teraźniejszej swej niemocy i w wieku, który wogóle tak mało wszelkiemu artystycznemu sprzyja tworzeniu, naraz tych malarzy i rzeźbiarzy wydał, którzy się u nas i wtedy nie objawili, gdy tryskający życiem i zdrowiem, sił naszych we wszystkich doświadczaliśmy kierunkach, i gdy czasy odrodzenia do owej właśnie czynności przedewszystkiem zachęcały, ośmielały, nagliły!

XIII. Józef Supiński.

Myśl ogólna fizyologii powszechnej. (1860).

Życie — to ruch, ruch — to przemiany. Przeobrażenia są życia cechą; życie bez przeobrażeń jest Bogiem lub niczem. Ruchowi powszechnemu przodkować musi prawo powszechne. Prawo powszechne musi być prostem, zwięzłem, jednolitem.

Wielki kodeks przerody[1]) rozprowadzony po wszystkich wszechistnienia gałęziach, zakątach i tajnikach, jest sam tylko prawdą wiekuistą. W wykryciu, pojęciu i rzetelnem zastosowaniu go do praw ludzkich, tkwić musi ich prawdziwość, a tem samem szczęście rodu ludzkiego. To prawo ogólne nie może leżeć blisko nas, bo nie dla nas samych stworzone: badania natury społeczności ludzkiej rozciągnąć przeto należy poza granice indywidualności rodu ludzkiego; aby poznać to zasadnicze prawo, rzucić należy okiem na cały ogrom wszechjestestwa i dotrzeć aż tam, gdzie Bóg wiedzy naszej granice zakreślił; a im dalej sięgniemy, tem staniemy bliżej prawdy powszechnej, niezmiennej i odwiecznej.

Wszystko, co jest, pod dwojakim pojawia się względem: każda pojedyńcza istota, każde ciało, każdy nawet pomysł człowieka, jest raz całością samą w sobie, raz częścią dalszej, rozleglejszej całości.

Dwojakie stanowisko tej samej rzeczy pociąga konieczność dwojakiej w świecie powszechnym dążności. Musi być pewny popęd i pewna zasada istnienia dla części, boby te nie istniały odrębnie; musi być druga dla całości, boby ta rozsypać się musiała. Prawem

[1]) Tak pisał Supiński, ponieważ natura jest całością przeradzających się kształtów.

odwiecznem, przeto powszechnem i niezmiennem, jest organizm jeden i wspólny przerodzie całej, opierający się na dwoistym ruchu: części i całości; to jest, na siłach pojedyńczych i na sile powszechnej, organizm utrzymujący całość częściami, karmiący części całością: a to bez względu, czy te części i ta całość są ciałami świata pierwotnego czy wyrobem ludzkiej myśli. Mówię bez względu, bo świat, zwany umysłowym, nie ma oddzielnego istnienia, a zatem i praw oddzielnych. Prawa świata fizycznego powtórzyć się muszą w umysłowym świecie, istniejącym tylko w pojęciu człowieka.

Praprawo: Sił jest tylko dwie w przerodzie: siła rzutu i siła przyciągania; tak jak dwojakie jest tylko stanowisko każdego istnienia.

Tak tedy dwie siły: pędu indywidualnego i zawisłości, nigdy się spożyć nie mogą, a ich nieustające oddziaływanie jest ciągłego ruchu i życia, zatem istnienia warunkiem.

Wynikłość dwóch sił niebieskich, nienapotykających nigdzie zapory, spaja ostatni punkt łuku z pierwszym, zakreśla koło, linię bez końca i początku, wiekuistość, nieśmiertelność. Tak krąży życie powszechne w przerodzie, tak krążą soki organiczne, tak żyje ludzkość cała.

Siła rzutu tkwi w jednostkach; nią stwórca przeniknął ziemię w całości i w jej częściach, będących całościami dla siebie: nią natchnął zatem wszystko, co istnieje na ziemi jako jednostka, wszystko, co z niej powstaje, w nią powraca, nią żyje, jest nią samą. U każdej z tych pojedyńczych istot siła rzutu jest podróżą, którą ona własnem przebywa wytężeniem; z której przecież wyłamać się nie może, bo jej pierwsze pchnięcie powstało bez jej woli i wiedzy. Zaczem siła rzutu — to życie jednostek, to ich indywidualność, to jednostki same.

Siła przyciągania bądź ziemi, bądź ciał i istot poniżej niej stojących, pojawiać się także musi dwojako, z powodu tegoż dwojakiego stanu istnienia. Jest ona rzeczywiście przyciąganiem. pokąd utrzymuje całość pojedyńczego ciała, spajając w jedno wszystkie składające je cząstki; staje się siłą rozkładu, gdy przyciąga i łączy jednorodne lub pociągliwe nawzajem pierwiastki, to jest cząstki rozrzucone po ciałach oddzielnie istniejących, zatem bez względu na też ciała. Wewnętrzna siła przyciągania u pojedyńczych ciał i istot, utrzymująca ich indywidualną związłość i całość... jest warunkiem samoistnienia jednostek, jest zatem częścią ich siły rzutu... Siła przyciągania powszechna, ziemska, zatem siła rozkładu jednostek, służyć nam będzie za punkt podpory w badaniach organizmu powszechnego.

Skutki tych dwóch ciężeń są zupełnie różne, a nawet przeciwne sobie, mimo tożsamość wyrazu: przyciąganie się wszystkich cząstek tego samego ciała, a przyciąganie ciał jednych przez drugie. dwojako, różnie, w dwóch odwrotnych zupełnie fenomenach przedstawiać się muszą. W ciele pojedyńczo uważanem, będzie ono spójnią tego pojedyńczego ciała; w stosunku wzajemnym ciał

oddzielnych jest ono naodwrót attrakcyą jednorodnych materyi, składających też ciała, lub rozlanych w przerodzie całej, bez względu na miejsce, gdzie się one znajdują i z poświęceniem jednostek, których częścią stały się chwilowo: jest zatem siłą rozkładu jednostek. Jest ono siłą przyciągania, gdy utrzymuje całość przechowanego w suchem miejscu żelaza; staje się siłą rozkładu, gdy cząstki jego łączy z roztworzonym w wilgoci kwasorodem[2]) i żelazo rdzą pożera...

W pierwszym razie, służąc jednostkom, zlewa się ona z ich siłami rzutu, staje się ich częścią i w nich tonie; w drugim jest potęgą rozległą, samodzielną, istniejącą na zewnątrz i na szkodę pojedyńczych jestestw; tamta też znika ze zniknieniem ciała, w którem tkwiła; ta trwa ciągle, niezachwianie, jednostajnie, bo rozlana w świata przestrzeni.

Siła rozkładu w powszechności. Skorupa ziemi składa się z samych niemal pierwiastków żywotnych podzielnych do nieskończoności, których zasób nigdy się nie zmniejsza, siła nigdy nie usypia, własności nigdy nie słabną; które zmieniając postać, przechodząc z ciał w ciała, zasilają życiem, gdy się z niemi łączą, unoszą je, gdy uchodzą; z pierwiastków, które nigdy nie były młodszymi i nigdy starszymi nie będą!

Siła indywidualna, która w każdem jestestwie całą swoją działa potęgą, której przeznaczeniem byt jego utrzymać bez względu na wszystko, co nie jest niem samem; przyciąga i przyjmuje pierwiastki żywotne z ziemi, powietrza i ciał, z któremi się zetknie lub które się w organizm jego wplączą.

Bóg, wlewając... we mnie indywidualną siłę rzutu, chciał, bym był samym sobą; krępując moją siłę rzutu ogólną siłą rozkładu, chciał, by istnienie moje zlewało się w ogólne istnienie. Bóg wypożycza człowiekowi życie, ale go nie daje na własność. Przeznaczeniem mojem być zatem musi: istnieć dla siebie w zawisłości od wszystkiego; istnieć chwilę tylko a trwać jeszcze poza tą chwilą; dbać o siebie na korzyść całości; służąc całości, służyć sobie.

Siła rzutu w powszechności. Do istnienia każdej istoty organicznej, to jest zasilającej się przez własne i w niej samej uwięzione środki, przywiązane być muszą: naprzód możność, powtóre pragnienie przechowania istnienia tego; a to wtenczas nawet, gdy istota organiczna pragnienia tej natury nie dostrzega i wtenczas jeszcze, gdy zdaje się nie wiedzieć o istnieniu własnem. W przeciwnym razie... przerwa między powstaniem, a zniknieniem mogłaby stać się równą zeru, t. j. nie byłoby istnienia.

Bezwzględność jest własnością sił rzutu. Trzeci stopień w rodzinie istot organicznych zajmuje człowiek sam; człowiek żyjący siłą rośliny, przyjmujący wrażenia zwierzęcymi zmysłami, sądzący ducha potęgą.

W rzędzie człowieka mężczyzna i kobieta — to siła i nie-

---

[2]) kwasoród = tlen.

moc: siła ulegająca niemocy, niemoc biorąca górę nad siłą. Gdy młodzian szybko staje się mężem, kobieta przechowuje życie całe dziecinnego wieku własności; jej skóra przed starzeniem się nie traci pierwotnej gładkości; jej głos jest głosem podrostka; ona cierpienia swoje objawia płaczem; jej cierpienia same są często dziecięcia cierpieniami. Ta to tajemniczość powabów odłącza rodzaj od rodzaju, i odrębne. trwanie pojedyńczych rzędów wiekuistem czyni.

Nie różniące się prawie do piątego roku płcie obie objawiać zaczynają stopniowo odmienne pociągi: spólność dziecinna słabnie i rozpada się coraz. Wkrótce dziewczyna i chłopiec na rozstajne natrafiają drogi: Chłopiec nabiera żywości; dziewczyna słodyczy; u niego muszkuły tężeją, w niej zaokrągla się ciało; w miarę jak tamten coraz burzliwszy wypełnia wszystkie rodzicielskiego domu ustronia, tej coraz szczuplejszy wystarcza kątek; on wylewa się ciągle nazewnątrz,ona skupia w sobie samej; ten coraz zuchwalszym, ta coraz trwożliwszą się staje. Dojrzewają ciągle: w nim siła organiczna gromadzi wszystko, co potęgę ramienia i hart duszy zapowiada; w niej coraz nowe budzi niepokoje; u niego oko zaiskrza się ogniem pragnienia i odwagi, w niej chowa za mgłę niewinności i obawy; on pyszni się ciała swojego mężnieniem; ona się wstydzi narastających wdzięków kibici; on radby przeskoczył lata młodzieńcze; ją przeraża zbyt szybko zbliżająca się przyszłość. Rzekłbyś, że się rozchodzą, by się nigdy nie spotkać: nie, ich rozstajne drogi zejdą się raz jeszcze; a to właśnie, co się rozsuwało dotąd, spotkanie ich czarodziejskiem uczyni.

Już krzepki i silny młodzian stanął twarz w twarz naprzeciw trwożliwej dziewicy; jego postać zapowiada niemylne zwycięstwo; wyniosły ponad nią o głowę, silniejszy w palcu niż ona w barkach, jednem poruszeniem przełamie jej niewczesny opór. Ale ona jest silna słabością: te drobne kości skryte pod drażliwem ciałem; ta ręka nie do walki stworzona, ta twarz, na której miejsce jego włosa zajął wdzięk pokory i uległości; to rozlane oko, niemogące jego wejrzenia wytrzymać; ten głos niemocy, to unikanie zetknięcia, by je tem droższem uczynić, ten strój nawet, te zasłony czyniące wydatniejszemi jeszcze wszystkie ciała wypukłości i załamy, rozbroją jego niewczesne zuchwalstwo. Porwał się zapamiętały, ona przyklękła; strzelił na nią iskrą żądzy, ona ją łzą zgasiła; wzniósł rękę, ona złożyła dłonie i klęczy niewzruszona i spokojna, bo oblana pancerzem świętości: tą świętością jest jej niemoc. Zachwiał się i stanął wryty, ona powstała zwycięsko i odtąd on w jej obronie tylko walczyć będzie; odtąd ona do niego, jego życie do niej należy. Miłość jest tchem, którym nieśmiertelność plemienia naszego oddycha. Instynkt zachowawczy siły rzutu, mocą której człowiek chce ujść zupełnej zagłady i chociaż twór swój wykraść zniszczeniu, odzywa się w nim pragnieniem potomstwa, którego sam nie dostrzega. Złączeni uspokoją się na zawsze: żona stanie się męża swego połowicą; a oboje duszę swoją przeleją w to nowe jestestwo, które ostatecznie z dwojga uczyni

Rzuca wiatr liście i chwyta i w strony rozmiata,
Niby myśliwiec odbite gdzieś stado łabędzi —
Myśli pierzchają ode mnie jak rzesza skrzydlata
Myśli, o moje jesienne! i któż was dopędzi?...

d) Meandry. (1876).

Byle za słońca wiekuistą chwałą,
Która ci może skrzydła nawet spali,
Podążyć co najdaléj,
Nie żal, jak Ikar, w niebo wzbić się śmiało,
Choćby się potem i utonąć miało
Wśród zapomnienia fali.

*

Głupoty wzrostem zdradzi się wyniosła
Myśl, choć za siebie ją skryjem.
I próżno grać szlachetność, gdy się w czyjem
Sercu pokrzywa rozrosła...
— Kto jest twym ojcem? — pytano raz osła
— Koń — rzecze — moim jest stryjem. —

*

Przez byt nasz ziemski, w szarej mgły obłędzie,
Suniemy nikłe cienie...
Gdzież obecności mgnienie?
Przeszłość jedynie albo przyszłość wszędzie,
Wieczność dopiero obecnością będzie,
Trwającą nieskończenie.

Tak kiedy każdy waszej błysk źrenicy
Wieczność w dwie równe części wpół przecina,
Błogosławiona godzina,
W której wam rzec, śmiertelnicy:
— Aniele nasz bladolicy —
W tobie otucha jedyna! —

2. Althea. (1875).

Jest to tragedya, napisana na wzór starożytnych greckich. Można ją nazwać tragedyą egoizmu miłości macierzyńskiej. Althea, gdy jej syn, Meleager, liczył siódmy dzień życia, siedziała „wpatrzona w trzaskającą wśród ogniska żagiew;“ wtem weszły boginie życia i śmierci, Parki, a jedna z nich rzekła, że w skrzącej owej głowni płonie życie jedynaka Althei; gdy ona spłonie i życie jego ustanie. Althea zgniotła w dłoni żar zabójczy i zapewniła nieśmiertelność synowi póty, dopóki sama zechce; głownię ową przechowuje w złotej skrzynce. Meleager wyprawił się właśnie wraz z wujami i branką, dzielną królową amazonek, Atalantą, przeciwko strasznemu odyńcowi, pustoszącemu Kalidon. Uosobiona zmora, Empuza, budzi w duszy Althei straszną dla niej myśl, że syn mógłby się wyrzec miłości matki dla niewolnicy, Atalanty. Przybycie amazonki ze skórą i łbem zabitego odyńca wywołuje wściekłość w Althei;

nic ona wszakże nie może zrobić jej, gdyż Meleager obdarzył brankę wolnością. Althea pragnie ją upokorzyć przynajmniej, twierdząc, że syn wzgardził jej narzucającą się miłością, ale sama zostaje boleśnie upokorzoną dumnemi a chłodnemi słowy Atalanty, że to ona synem jej wzgardziła. Matka udaje spokój, choć uczucie zgrozy szarpie jej łono; gdy przybywa łowiec z gór i opowiada, że Meleager, pokonawszy dzika, rozesłał trofea pod stopy Atalanty, o co wszczął się spór między królewiczem a wujami; wujowie polegli, a Meleager ma podążyć za amazonką. W strasznem wzburzeniu Althea wrzuca ową starannie przechowywaną głownię w ogień płonący na ołtarzu; w tejże chwili chce ją stamtąd wyrwać, ale już zapóźno; z początku pragnie się zabić, lecz po namyśle postanawia się ukarać życiem, które dla niej, po zgonie jedynaka, własną jej ręką wywołanym, stokroć będzie cięższem od śmierci.

(Przed królewskim dworem, u ołtarza nanieconego ogniem ofiarnym).

Chór.

Hymn na cześć Artemidy (Dyany).

Strofa. Szumiącej puszczy królowo!
Która w spienione wodospadów szmaty
Nurzasz, o krawędź ostrząc granitową,
Twój grot skrzydlaty!
Okrucieństw groza twarda
I niebezpieczeństw wzgarda
W twym wzroku tkwi.
W twe zimne serce nigdy jeszcze
Litości nie zbłądziły dreszcze.
Blada, w źrenicach mając ostrz tysiące,
Pierś w puklerz wzdęty, nozdrza wiecznie drżące
W łuk zgięte ciemne brwi;
W słońce czy w północ, jawnie czy skrycie,
Byleś w proch wolne wdeptała życie,
Ty się w kurzącej kochasz chętnie krwi!

Antystrofa. Ciebie się jednej obawia:
Niedźwiedź sapiący poprzez łomów zgrzyty,
Wilk na zbójeckie wylany bezprawia,
Ryś w gąszczach skryty.
Tobie w poranek mglisty
Wiatr jesiennymi świsty
Pobudkę dmie.
Za tobą wślad, przez czarne knieje,
Zapadła puszcza grozą zieje.
Ciebie, otchłani gardziel nienasyta,
Potoki żłopiąc, grzmiącą pieśnią wita,
W czaharów chmurnej ćmie —
A ty, z światłością nocną u czoła,
Wiatr wyprzedzając, skracasz wesoła,
Sobie zabawy — drugim, życia dnie.

Epoda. Z twej woli, mściwa bogini!
Odyńca wściekłym kłem jesteśmy tknięci,
Który mdłym cieniom z nas ofiary czyni,
Bez naszej chęci!

Grot się nam stał już tępy,
Szyjąc twych puszcz ostępy
I wzdłuż i w szerz!
Myśmy twych zabaw słudzy prawi —
Czemuż nas ślepa przemoc dławi?
Twem opuszczeniem, dziwnie zewsząd srogiem,
Czemu, zawzięcie będąc z naszym wrogiem,
Zgubić nas nędznie chcesz?
Niechże choć, miarą słuszności prawa,
Rozum nad zwierzem górę nam dawa —
Gdy nas stworzono słabszych niźli zwierz...

Althea (wychodząc z królewskiego dworca).
Precz stąd, nędzni! Czyż widziano kiedy,
By, pokorą, sam wdeptywał w ziemię
Cześć swą, twardy Kalidonu lud?

Chór. Zgnębieni, cóż poczniemy? Daj nam rady słowo.

Althea. Pięść grożąca, ząb, co wściekle zgrzyta,
W oczach przekleństw błysk, milczenie wzgardy —
Oto godny człeka bój śmiertelny,
Z bogów złych przemocą nieśmiertelną!

Chór. My za jednego wszyscy cierpimy, królowo.

Althea. Bo on jeden za was wszystkich stanie —
Syn mej chwały! Któż nad Meleagra?
Czyż mu wczas, lub miękka litość znana?
Czyż mu znany głód, czy chłód, czy znój?
Od Keraunii, aż pod grzbiet Tajgetu
Czarne puszcze zbiegł on wzdłuż i wszerz,
Pelazgickie z grubych brył warownie
Stopą deptał — przed nim w puch pierzchała
W głębię jaskiń swych Molossów dzicz.
Lokry płoszył, żołędziami karmne,
Dory twarde, których pastwą bywa
Ptak drapieżny z pierzem, z krwią i z kośćmi.
Gdy od Pindu pędził z mroźnym wichrem,
Śnieżne sople mając w czarnych włosach,
Z przerażenia wstrząsł się dąb w Dodonie,
Wieszczbę szumiąc, której on nie słuchał...
Łowom jego równo człek, czy zwierz...
Niedźwiedź mrucząc, przed nim w gąszcz się cofa,
Żubr chrapliwie ślady jego wietrzy,
Wilk pod księżyc wyje tęskną skargę,
Jeleń mniema, że mu się na skroniach
Las rozrasta i drętwieje z trwogi.
Alcyonowy odmęt, w kruchej łodzi
Spruł zuchwały, by w Arkadyi pięknej,
Z Amazonki zwiódłszy bój zajadły,
Atalantę porwać im królowę...

I to taki, w chwały swej pochodzie
Trudność miałby znajść? — i to takiego
Miałby wstrzymać jeden nędzny dzik? —
Chór. Bogini tym odyńcem wyzywa zuchwalce!
Althea. Ten, kto człeka zwyczajnego przerósł,
W bój nadludzki właśnie wstąpić godzien:
Bo mu trzeba, by się stał półbogiem!
Chór. Wyzywać bogi łatwiej, niż im dotrwać w walce!
Althea. O mym synu mówić-że to śmiecie?
Chór. Tak jest. — Czemuż nie wraca?
Althea. Wróci.
Chór. A jak zginął?
Althea. Zginął? Karły bezrozumne!
Wam-że mierzyć własnych sił małością
Posągowe bohaterów plemię?
Gdyby nawet Zeusa grom niezłomny
W Meleagra godzić śmiał — w powietrzu
Słowem jednem wstrzymam go i zdrętwię.
Gdyby Parka, w nożyc swych konieczność
Już-już brała jego życia nić —
Dość mi jednem wstrzymać ją skinieniem.
Bowiem wiedzcie: że nad mgły Hadesu,
Nad niezwrotne Wiecznych Zrządzeń drogi,
Wola moja prawem jest jedynem.
Tak — dopóki zechcę — chcieć zaś umiem —
Meleager nieśmiertelnym będzie!
Nawet gdyby sam chciał umrzeć — ani
Myśleć o tem wolno mu beze mnie!
Bom ja matka, jak nie było drugiej —
Której miłość nieśmiertelność dawa.
Bom kobieta, jakiej świat nie widział —
Której dość jest chcieć, by zadać śmierć!
Miłość moja ni słabości nie ma,
Ni obawy, — niepewnością nie drży,
Możebnością żadną się nie łudzi.
Siła moja w mej nadludzkiej dumie —
Pewność jest jej dźwignią i potęgą!
Jam nad bogi wyższa, nad karzące,
Od nich trwalsza, od nich bezkarniejsza —
Bowiem kara moja — tylko we mnie!
Wyższam nad nich śmiertelności wstrętem,
Silną dobrych środków mych przewagą,
W chwili każdej chętnem ich użyciem...
Bom ni bóstw tych samowola płocha,
Ni przeznaczeń ślepe w przestrzeń rządy,
Tylko ludzka wola... która kocha,
Zna swą wagę i wie, czego chce!

Chór. Biada!
W twych słowach nieopatrznych śmierć nam grozi blada!
Skąd, królowo, bluźnierczej w tobie pychy tyle?

Althea. Posłuchajcie. Siódmy dzień już trwało
Meleagra życie, gdy wpatrzona
W trzaskającą wśród ogniska żagiew,
O przyszłości jego dumam senna.
Wtem w komnatę chmurne Parki weszły;
I gdy w trwodze, ku dziecięciu memu
Poskoczywszy, cała drżąca stoję —
Kloto rzekła: — Patrz! w tej skrzącej głowni
Życie twego jedynaka płonie —
W miarę, jak ją trawi ognia żądza,
Z sił żywotnych wytli się on zwolna,
Aż bez cierpień w twych objęciach skona...
Jeszcze brzmią jej słowa, gdym już w dłoni
Żar zabójczy zgniotła — dziecku memu
Po raz drugi dając życie. Wtedy
Wyszła zwolna Kloto zamyślona,
Z nią Lachezys uśmiechnięta gorzko,
I Atropos, wściekle zgrzytająca. —
Tak więc — oto czemu — zdeptać mogę
Niezwrotnego Przeznaczenia władzę —
Ponad Bogi, ponad Parki nawet
Stawiam dumna mojej woli siłę!

Chór. Bogowie! myśmy drżący — myśmy czołem w pyłe.
Litości! Gdzież się skryje nędzny lud, jeżeli
Winni być mamy tego, cośmy usłyszeli?

Empuza (występując z chóru).
Bohaterów plemię! Kalidonu Pani!
Możnaś ty królowa, silna matka — przecież
W tobie się kobiety prędzej, później strzeż!

Althea. Dziewczę wieszcze — co ty mówisz? — co?

Empuza. Któryż z bogów chętnie z władzy swej się wyzuł,
Lub z rąk wytrąconą wziąć bezkarnie dał?
W ich jest ręku grom — są zazdrosne, mściwe —
Wolno ich nie kochać — lecz się bać ich trzeba!

Althea. Ten ich kocha — komu są potrzebne —
Ten się boi, komu groźni są.
Jam jest w sobie własną mą potrzebą.
Jam jak oni, także z sobą sama!

Empuza. Więc się samej siebie bój! Prometej grzmiący
Gdyby się odwagi własnej swej był uląkł,
Czyżby wnętrze jego dziś mu szarpał sęp?

Althea. Macierzyńskie wnętrze sercem jest!

Empuza. O słabości człecza! Serce mówisz? serce?
Czy odrasta ono? czy odrasta ono,
Jeśli ją zazdrości sępa zszarpią szpony?

Althea. Szydzisz sobie! Skąd ci to zuchwalstwo?
Empuza. Serce kochające wyłącznością żyje —
Nic ze swego oddać nie chce lub nie umie.
Althea. Dobrowolnie któżby śmierci pragnął?
Empuza. Serce samolubne — jak te bogi, które
Ty w pogardzie masz — jest zawzięte, mściwe!
Althea. Czyż ty wiedzieć możesz, jak jest wielki
W matki wnętrzu przebaczenia skarb?
Choć — pewniejsza rzecz zmuszonym nie być
Nigdy czerpać w skarbie tym... — Złowrogie
Dziewczę! z słowy twemi precz ode mnie!
Wątpliwości wzburzasz we mnie jady,
Krewkość moją kusisz... Precz ode mnie!
Ludzkich we mnie precz podejrzeń słabość —
Póki pewność moc mi boską daje.
W Meleagrze jam troskliwym trudem
Własnej myśli wytworzyła świat —
Braci moich, którzy z nim w tej chwili,
Jak i zawsze będą, są i byli,
Braci krwi mej ku pomocy mając
W Kalidonie wychowany wilczym,
Łowiec dziki serce ma z krzemienia —
Tylko zimne woli mej żelazo
Iskry uczuć krzesać w niem podała.
Gdy zapragnę, by mi godne siebie
Wnuki spłodził — tutaj, nie gdzieindziej,
Tę wybierze, którą ja mu dam!
Empuza. A jak już skądinąd sam on przywiódł taką,
Która w bój o niego z tobą wstąpić zechce?
Althea. Atalanta!... Milczysz?... Więc to o niej
Mówić chciałaś? Rzecz to śmiechu godna!
Amazonka — która dłonią własną
Nożem sobie pierś wypruła krągłą,
By jej snadniej było prężyć łuk!
Która, gdyby mogła — z tejże piersi
Wrazby serce sobie wyłupała,
By jej snadniej było nic nie kochać!
Atalanta — dumna wprzód królowa —
Dziś kamienną pięścią w ziemię wbita,
Wstydu twarde w ustach swych wędzidło
Zgrzytającym zębem żuć zmuszona!...
Empuza. Pamiętając wszystko — nienawidząc — gardząc —
Sama jednak może pokochaną być.
Althea. Bluźnisz własnych twych przekonań wierze!
Co? co? Między matką i kochanką,
Która, biorąc wszystko, nic od siebie
W zamian nie da — między taką mówisz —
Między taką — i pomiędzy matką

Nie jak drugie, ale jak ja jedna,
Która własnych mych wnętrzności życie
Raz mu dawszy, z każdem oka mgnieniem
Wciąż nanowo życie mu to dawam —
Onby miał się wahać choćby chwilę? —
Precz! Szaleństwo w twych się ustach pieni!

Empuza. A jak on to życie niezupełnie swoje,
Które niegdyś boleść, dziś cię zaś kosztuje
Bogów poniewierkę, marnie siebie ceniąc,
Zechce jej pod stopy rzucić niewolnicze?

Althea. On! Tak dumny! Kłamiesz! Tym sposobem
Dwa on życia dałby! Gdyż przysięgam:
Wprzód zabiję go i sama umrę!

Empuza. Nieśmiertelność w śmierci syna twego gwałcąc,
Czyś jest pewna własnej śmiertelności praw?

Althea. Milcz, szalona! Dość mi na to: znagła
Mej boskości zrzekłszy się, człowieczem
Niedołęstwem obezwładnić dłoń,
W której, równem doczesności prawem,
Dzierżę wolna bytu mego kruchość,
Jak i syna trwałość wiekuistą...

Empuza. Trwałość Meleagra? Ty — w twej dłoni? Jakżeś
Jest zarozumiała! Pierwszy lepszy złodziej,
Któryby, skuszony owej skrzynki złotem,
Kędy niedotloną głownię kryjesz drżąca,
Wykradł ją ze skarbca twego wraz z twą władzą,
Równym tobie byłby syna twego panem!

Althea. Nóż mi w serce wbijasz, dziewczę głupie...
Strzedz jej! — Złodziej, mówisz? — O przeklęta!
Świętokradztwo!... W oczach mi się mroczy...
Tej nędznicy strzedz jak oka w głowie,
Aż nie wrócę. Gdyby zbiedz zdołała,
Wraz z nią tysiąc zasłużycie śmierci...
Złodziej! Życia mego skarb! Ratujcie! *(Wbiega do dworca).*

Chór. O szalona dziewico! Czyż ci się nie zdawa,
Że słowy twemi gwałcisz gościnności prawa?

Empuza. Słowy prawdy gorzkiej! Tak — przeklęty dzień,
W którym bogów złość, obcą woli mej
Mowę w usta mi włożyła, bezlitośnie
W mózg mój chory myśl nie moją mi wtłaczając!

Chór. Nie znamy, skąd się wzięłaś i nie wiemy sami,
Co nam sądzić o tobie; odkąd jesteś z nami,
Tajemnicza, smutna, trwożna — któż wypowie,
W jak srogiej grozie gniewni dzierżą nas bogowie!
Z wiatry złemi, na wzdętym grzmiących klęsk zalewie
Przybyłaś do nas — po co? kiedy? jak? — nikt nie wie.
Zwątpienie z tobą gości, śmierć od ciebie wieje,
Drętwisz spokój, pogodę, uśmiech i nadzieję.

Bezprzytomna, nieznane gdy cię dręczą dreszcze,
Sinemi usty w przestrzeń słowa szepczesz wieszcze...
Zdają się władać tobą podziemni bogowie —
Zdajesz się być z Otchłanią Cieniów bladych w zmowie —
Jeśliś pastwą czy sługą ich ciemnego dzieła,
Idź od nas — i twe pomsty obyś z sobą wzięła!

Empusa. Tak — odejdę precz. Lecz się spełni wprzód
Bezlitośne prawo zdrad i krzywd i skarg —
Aż w rozdartą pierś, bluźnierczemi usty,
Próżno będzie rozpacz wzywać gromu z chmur!...
Skąd przychodzę — wiedzieć chcesz? skąd mój ród?
Pindu wał ochronny mglisto nas odgradza
Od tych stron, gdziem pierwszy dnia ujrzała brzask.
Tam, w przystępie pychy, czerń Gigantów niegdyś,
Chcąc niebieskich stropów świętokradczo sięgnąć,
Pelion wiecznym śniegiem siwy, na szumiący
Ossy leśnej trzykroć wydźwignęła grzbiet.
Jednem Zeus potężnej pięty swej kopnięciem
Z gór tych tym zuchwalcom ciężki zdziałał grób —
Owszem — po ich członkach sunąc je drgających,
Przepaść między dwiema lądy temi wgłębił,
Na którą gdy Peneja wpłynął święty zdrój,
Tempe się urocza uśmiechnęła światu,
Niby z groźnej burzy słodkie dnia zwycięstwo...
O dolino boska! o ty ziemskie niebo!
Któż pogodę, ciszę twą, i któż wypowie
Spokój twój słoneczny? Ach! nie mnie to nędznej
Gościć wśród twych wdzięcznych smugów, łąk i gajów...

Chór. Mów dalej. Zbrodniaż jaka, myśl, czy chęć zuchwała
W szerokie świata szlaki stamtąd cię wygnała?

Empusa. Zbrodnia? nie — jam czysta! Myśl? — o któż mi kiedy
Przy mnie ją przytrzyma - lub, choć opamięta?
Chęć? — O! gdybym własną wolę choć na chwilę
Mogła mieć! — lecz próżno! Równie dniem jak nocą
Wypoczynku nie mam. Od bladego rana
Nigdy niestrudzoną siłą wskróś targana,
Miotam się bezwiednie jak pajęcza przędza,
Którą tchem szalonym wiatr niemiłosierny
Poniewiera niosąc, i przez głóg i ciernie
Zdarte w szmaty drżące, dalej gdzieś przepędza...

Chór. Biedna! Zataczasz wkoło błędnemi oczyma —
Duch cię jakiś złośliwy w twardej władzy trzyma —
Tchu pragniesz — broczy piana brzeg twej wargi sinej —
Skąd ci niepokój taki — jeśliś jest bez winy?

Empuza. Trzebaż winy na to? ślepych losów ślepe
Niewolniki! Wamże badać konieczności
Jarzmo, wgniatające w ziemię krnąbrny kark?
Wamże to na dłoniach i u nóg łańcuchy

Moje opatrywać krwią opływające?...
Jednak wyjdź z mych zbladłych ust, męczarni słowo —
Jednak bądź koniecznie, co nie może nie być... —
Bo gdy mię badacie, czyż wy wiecie sami:
Ile wstręt wasz zbawczem dręczy was przeczuciem —
Ile mi rozkazem jest wasz trwożny sąd?...
Bo gdy mię badacie, choć zataić prawdę
Jak ją wyznać, równą dla mnie jest katuszą -
Milczeć pragnie wola, usta mówić muszą... —
Ktom jest? wiedzieć chcecie? ktom jest? — zaraz — gdyby
Zwłoki jeszcze choćby chwilkę -- ktom jest?... Oto —
Równie drugim wstrętna, jak i samej sobie,
Jam dziewictwem tęsknem w wieczny czas przeklęta
Istność wśród bezdroży głuchych!... O rozpaczy!
Nigdy żoną nie módz, matką być, kochanką —
O nic nie dbać — wszystko wiedzieć — wszystko znać —
Czytać równie w blaskach słońca przeraźliwych,
Jak w drętwiących dreszczem czarnych snu otchłaniach
Opadnięty z szat widzieć wszędzie świat —
W nic ufania nie mieć... Ale nadewszystko —
Nic nie kochać! Nic nie kochać! Nic nie kochać!

Chór. Gdy miłości wyroki wzbroniły ci gniewne,
Tedy choć nienawidzieć wolno ci zapewne?

Empuza. Nie — nie — nic mi nie jest wolno! O! i gdyby
Nienawidzieć chociaż! Ale nie — napróżno!
Utworzona jak być może najwyrodniéj,
Tej szlachetnej nawet jam niezdolna zbrodni!
Głaz obojętności nosząc w głębi łona,
Nawet z pomsty pociech jam wydziedziczona!...

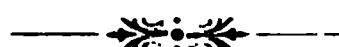
Chór. Precz od nas! Dreszczem śmierci ziębisz nas do kości!
Grób ty jesteś zapadły — próżen dnia światłości —
Twardy — na łkania głuchy — oby też i niemy!...
Bowiem, co cię nas dręczyć skłania? czyż zgadniemy?

Empuza. A więc posłuchajcie — wzgardą i przekleństwy
Płacąc mi, gdy chcecie — albo zbawczym wstrętem,
Póki wam jest wolno — lub litości wsparciem,
Póki stać was na to — wszystko mi to jedno.
Jak złowieszczy kruk, w dali coraz bledszej,
Bystrym patrzy wzrokiem w trupa szklane oczy,
Jako wilk złowrogi, który węchem wietrzy,
Kędy skrzepła krew ciche smugi broczy,
Jak przeczucia pewność, której nic nie mami,
Tak jam jest przed wami, z wami i za wami!

Chór. Co to jest? Nieszczęśliwa! coś ty powiedziała?
Oczy twe w słup — w źrenicach błysk ci groźny pała —
Z twarzy twej krew uciekła — brak tchu pierś twą gnębi —
Coś ty strasznego czytasz w niezbadanej głębi.
Włosy ci wstają dębem jak Erynnij żmije...

Meleager nasz! Bogi srogie... on nie żyje!
Empuza. Nie — nie — jeszcze — jeszcze... Głos mi w krtani więźnie...
Meleager...
Czyliż nie widzicie, że królowa
Braci własnych na śmierć wyprawiła pewną,
Byle on ocalał?...
Chór. Mniejsza o nich. Nie mają w żyłach krwi Ojneja!
Empuza. Krwi — krwi — precz, oprawcy!...
Chór. W Meleagrze nam jednym troska i nadzieja!
Empuza. Kalidońce twarde!
Drżyjcież śmierci troską o nadziei byt!...
Chór. Co ty mówisz?
Empuza. Dwie go razem kochać ani chcą, ni mogą —
I dla dwu współcześnie on nie może żyć.
Dwie te wyłączności
To jak stal i krzemień, z których tarcia tryśnie
Iskra, która wprędce spełni żertwę srogą...
Chór. O Bogi! czyż wy to słyszycie?
Empuza. Jedna mu wraz z sercem życie z piersi bierze,
Chociaż o tem nie wie... Druga w płochej wierze
Siebie w nim zabije — chociaż o tem nie wie...
Atalanta!
Nie — nie — to Althea!
Chór. Podtrzymajcie ją. Przebóg! Patrzcie — zda się życie
Uciekać z niej. Doprawdy — ten jej krzyk złowrogi
Z rdzeni duszy wyjść musiał. O! dniu pełen trwogi —
Już zapadasz niezwrotnie w mgliste gdzieś obszary
Szczęśliwych może krain — a ten zmrok twój szary
Tak nas groźnie ogarnia, że wśród sennych cieni
Milczeniem porażeni, dreszczem wskróś dręczeni,
Podczas gdy resztką słońca płoną gór krawędzie,
A z nami noc — pytamy, patrząc w dal: — cóż będzie? —
(Wraca Althea ze skrzynką).
Althea. Precz, przeklęta i twój razem z tobą
Niepokoju zaraźliwy trąd!
Dalej! precz z nią! —
Chór. Nie trwóż jej. Czyż nie widzisz — obca sobie samej,
Sama sobą nie władnie. Zostaw ją — błagamy.
Tylko co groźnych przeczuć wygłosiła słowo,
W których przeznaczeń głucho warczy grom! — Królowo,
Patrz — na niebie bogini leśnej brzask już świta —
Cześć jej daj. Ponad nami wisi pomsta skryta...
Tyś od nas bogów bliższa, bohaterów córo,
Spraw twą wolą: niech groźny cios przeleci górą...
Często bywa, że gdy się wielki upokorzy,
Wielość małych oszczędzi twardy wyrok boży...
Myśmy z tobą — lecz nawet, gdy zostaniem sami,

Nie bądź przeciwko sobie, gdy być nie chcesz z nami! —
Althea. Gdy chcesz, módl się sobie,
Tłumie ciemny! Ja — z mym skarbem — o nic
Mogę nie dbać, dumna i gardząca.
Czym błagała, by mi moc mą dano?
Nie — konieczność mieć tak chciała — która
Groźnym bogom twardem jest wędzidłem...
Wy się sobie módlcie, kiedy chcecie...
Co? mówicie: cios? mówicie: groźba?
Jak i kiedy? skąd i prawem jakiem?...
O przeklęte dziewczę opętane!
Niespodzianie? powiadacie. Tamta
Serce jego nędznie wziąć mi śmiała?
Nie — to ona mówi tak — ta wiedźma!
Ducha mego twardych cnót żelazo
Nadjadając zwątpiałości rdzą... —
O przepadnij! i niech dziwną trwogę,
Której pojąć ani chcę, ni mogę,
Z gorzką śliną w zbladłą twarz twą splunę!
Precz! przekleństwo!... Nie — nie — jam spokojna,
Pewna siebie... Wy się sobie módlcie...
Chór. Odeszła i na ręce wsparłszy chmurne lica,
Duma, niby zaklęta w kamień nawałnica.
Bogowie! jeśli w dąb ten otchłań grom wyzionie,
On wam do nóg złamany runie — lecz w koronie!



II. Adam Asnyk (El...y).

1. Dziwny sen. (1869).

Dziwny sen miałem z wieczora,
Trwał jakby przez wieczność całą:
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą a nie człowiekiem,
Marzyłem, żem jest kochany...
A wiek przemijał za wiekiem. —

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może...
Mówiły ze sobą duchy,
Jam niebo widział w jeziorze.

Tyś zawsze padała drżąca
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono,
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiedziesz zdradne —
Żegnając gwiazdy i słońca
W objęcia twoje upadnę.

2. Baśń tęczowa.

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa,
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mnie niosła...

Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów;

I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki czy boginie,
Więc na całą życia kolej
Szedłem błądzić w tej krainie.

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać...

Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita skryty w cieniu
Tajemniczy kwiat paproci;

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznej źródło
Czyste wody swe rozlewa;

I witały mnie po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń światów.

I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
Nad przepaści brzeg ponury.

Ja słuchałem śpiewnej wróżby
I z ożywczej piłem fali,
I wgłąb dzikszej coraz puszczy
Niestrwożony szedłem daléj.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą,
Biegłem naprzód zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą.

I przebyłem czarne puszcze,
I spienionych wód odmęty,
I stanąłem u stóp góry,
Prostopadle na dół ściętéj.

Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma;
Co zaklęciem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczyskiem stoją smoki,
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną;

Swe spiżowe jeżąc łuski,
Bronią skarbu zaklętego,
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak mimo czujnej straży
Jam ją ujrzał na skał szczycie
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie;

Miała gwiazdę na swem czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit niebios w swoich oczach,
I aniołów cudne lica;

I odrazu swem spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królewny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem schwycić ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty,
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: „Za nią! za nią
Idźcie gonić, o rycerze!“

„Idźcie piąć się w górę, w górę!
Po nad ciemnych skał krawędzie;
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Kto ją weźmie i posiędzie.

„Choć nie dojdzie, chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiej walce i pogoni!

„Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału!

„Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi
Za tą piękną na błękicie!“

3. Daremne żale.

Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia!
Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu —
Nie zdoła ogień, ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu,

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!
Wy nie cofniecie życia fali!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy, próżny żal —
Świat pójdzie swoją drogą!

4. Dzieje piosenki.

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety,
Jako tęcza na marzeń obłoku,
Śpiewnych dźwięków odziana sukien-
Drgnieniem serca dobyta z nicości [ką,
Przyszła na świat naiwną piosenką
Miłości!

Upajała melodyjnym tchnieniem
Pierś młodą,
I nad starców rozwianym marzeniem
Słodkich wspomnień jaśniała pogodą;
Wzgórza brzmiały jej rozkosznem
[echem,
Przedrzeźniali ją Faunowie leśni,
Płoche Nimfy wtórzyły z uśmiechem
Tej pieśni!

Przeszły wieki świeżości młodzieńczéj
I krasy —
Nikt się teraz różami nie wieńczy,
Wchodząc z troską codzienną w zapa-
Nie słuchają już Nimfy na łące [sy;
I nie wtórzą piosnkom w wieczór letni:
Zagłuszyły dziś burze huczące
Głos fletni!

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dzie-
[cka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca,
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,
Pełna dziwnej, niespożytej siły,
I roztacza wkoło woń miłosną
Z mogiły!

5. Sonet.

Zejdź, jasna jutrznio! rozlej światła strumień,
Po ziemi, życia nowego spragnionéj,
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony;

Rozedrzyj mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wątpiących zarumień,
I oczom, chciwym zachwytów i zdumień,
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony!

Zejdź, jasna jutrznio! Świat przeczuciem tknięty,
Z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie,
Z gmachów, gdzie orgia popija swe męty,

Wygląda ciebie — w troskach czy przesycie,
I woła — dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze, szlachetniejsze życie.

6. Sonet.

Czego ci trzeba dziś, posępny tłumie,
By piersi twoje napełnić otuchą?
Czego ci trzeba w koniecznej zadumie,
By łzy przywołać na źrenicę suchą?

Anielskie chóry, których twoje ucho
Dosłuchiwało niegdyś w pieśni szumie,
Te dziś przebrzmiały martwo, sennie, głucho...
I serce twoje chwytać ich nie .umie!

Tyś łzy zatracił, myśląc, że cię lepiéj
Osłaniać będzie chłód twój i rozwaga,
Gdy świat ten z złudzeń rozbierzesz do naga,

I myśl się w prochu, jak robak zasklepi,
A oto zawsze niedola cię smaga,
Tylko cię żadna łza już nie pokrzepi!

7. Sam na sam.

Dzień był tak ciężki!... Wieczór taki głuchy,
Wiejący grobów chłodem i żałobą...
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą; —
Więc przy ognisku wygasłem, zczerniałem,
Sam na sam tylko z nieszczęściem zostałem.

Gość to surowy — czuwa on przytomnie,
Bym chwilę w słodszem nie spoczął marzeniu,
By żaden uśmiech nie doleciał do mnie,
Na jakim słońca jaśniejszym promieniu,

I od wszelakiej pokusy mnie broni,
Zawsze w żelaznej przytrzymując dłoni.

Gość to surowy, serca nie rozpieści,
Ani mu nie da we łzy się rozpłynąć;
Lecz wszystkie naraz gromadząc boleści,
Każe mu stwardnieć pod ciosem — lub zginąć...
I dalej w przyszłość prowadzi mnie ciemną,
Upominając, że wciąż będzie ze mną.

Ja mu zaś mówię: pozostań na straży
Mojego życia, jak wierny towarzysz,
Do twojej groźnej przywykłem już twarzy,
I do tych ciosów, którymi mnie darzysz.
I skorzystałem wiele z twej wymowy,
Nauczycielu wielki! choć surowy.

Dość mi, że wobec ciebie niezłamany.
Na gruzach całej swej przeszłości stoję...
Na tych dni kilka nie pragnę odmiany,
Bo nie dbam więcej już o losy swoje;
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą. —

Niech więc twa ręka wszystko we mnie kruszy,
Co z osobistem pragnieniem się wiąże;
Najlepszej cząstki nie wydrzesz mi z duszy,
Ni tej światłości, w stronę której dążę...
Depc śmiało ziemską istotę ułomną,
O której duch mój i ludzie zapomną.

To, co dobrego w moich piersiach tkwiło,
Co się wiązało z wspólnem życiem świata,
To pozostanie pięknością lub siłą,
Chociaż znikoma już odpadnie szata,
I w innych sercach żyć na nowo będzie,
Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą — niech wszystko niepamięć pochłonie,
Co nosi doli osobistej piętna —
Niech się rozgrywa dalej w mojem łonie
Ta walka z losem smutna i namiętna...
Bo oto w świetle grobu tajemniczem
I ból... i rozkosz... zarówno są niczem!

8. Julian Apostata. (1864).

Na czele bitnych rzymskich legionów
Spaliwszy na Tygrze floty,
Gdzie przed wiekami wódz Macedonów
Rozbijał swoje namioty,

Stanął zazdrosny jego podboju,
Świeżą okryty purpurą
Cezar, co wedle sługi pokoju,
Na Słońcu prawdy był chmurą.

Pieszcząc w swem sercu przeszłości
Chrystusa sieciom niechętny, [marę,
Zamierza wskrzesić imperyum stare,
I Olimp bogów ponętny.

Jedzie i marzy o swoim wrogu,
Co berło świata wydziera,
O tym nieznanym i cichym Bogu,
Co gdzieś na krzyżu umiera.

„Duszę mam“ mówi „blasków słone-
„Pełną i nimi obrzucę [cznych
„Ludzkość spragnioną jutrzenek mle-
„I dawną pogodę wrócę. [cznych

„Przezemnie błyśnie dawna potęga
„Obrządku, co światem władnie,
„A nowa wiara, co Rzym rozprzęga,
„Pod moją stopę upadnie.

„Nie w ciemnem, napół dzikiem ma-
„Leży zbawienie dla świata, [rzeniu
„Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu
„Dojrzewa przyszłość bogata.

„Mądrość, na którą wieki się całe
„Składały w ciężkiej kolei:
„Mamyż wymienić za to niestałe
„Zaziemskich widmo nadziei?

„I barbarzyńską targnąć się ręką
„Na święte przodków spuścizny?
„Za galilejską biegąc jutrzenką,
„Odstąpić wrogom ojczyzny?

„O nie! mój mistrzu, co wzrok odry-
„Od ziemi, gdzie życia cele, [wasz,
„I myślą w sennem niebie spoczywasz,
„Ziemią się z tobą nie dzielę;

„Lecz ją sam ujmę w żelazne dłonie,
Promienną przeszłość otworzę,
„A na zwycięskim wzejdzie zagonie
„Słońce, co zgasnąć nie może“.

Tak dumał Julian, patrząc się w gwia-
I szukał swojej w niebiosach, [zdy,
Aż wtem z pod ziemi perskie podjazdy
Przyszły rozstrzygać o losach.

Wzięły zwycięstwo bitne legiony,
Pierzchają hordy przed niemi,
Ale wódz strzałą perską raniony
Chyli się z konia ku ziemi.

I laur ostatni rwąc na tej niwie,
Obficie krwią swą go zmywa;
Spojrzał się w górę dumnie, wzgardli-
I sny stracone przyzywa. [wie

Potem zgarniając w dłonie już drżące
Strumień krwawego koralu,
Cisnął nim w niebo jasne, milczące,
Z wymówką skargi i żalu.

I zionąc duszę w namiętnym krzyku,
Słabnący rzekł Apostata:
„Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!
„Lecz jutro!... gdzie jutro świata?

„Cóż, że my padniem przy tych bożysz-
„Tchnących wdziękami młodości, [czach
„Cóż, że na naszej potęgi zgliszczach
„Ponury krzyż się rozgości?

„Że ten świat grecki w mgły się roz-
„Z harmonią tęczowych mitów, [wieje
„Że w miejscu niego niebo zadnieje
„Męczeńskich pełne zachwytów?

„Czy krzyż otworzy swoje ramiona
„Tułaczej narodów rzeszy?
„Czy w cieniu jego spocznie strudzona
„Ludzkość, co nie wie, gdzie śpieszy?

„Czy tak, jak teraz kona świat stary
„Pod znakiem boskiego zbawcy,
„Nie będą padać ludów ofiary
„Wleczone pod miecz oprawcy?

„Czy w imię tego czarnego krzyża
„Świat się nie splami krwi strugą,
„I wiara, co dziś niebo przybliża,
„Ciemności nie będzie sługą?

„O, przyjdzie chwila, w której o tobie
„Gromady zwątpią cierpiące,
„Gdy ujrzą na swych nadziei grobie,
„Jak ja dziś, niebo milczące.

„I wołać będą w dzikim okrzyku,
„Padając pod topór kata,
„Dziś zwyciężyłeś, Galijczyku!
„Lecz jutro!... gdzie jutro świata?“

9. Orfeusz i Bachantki.

Chór Bachantek.

Dyonizos boski, boski,
Przyszedł na świat uśmiechnięty,
By przemienić łzy i troski
W młodocianych żądz ponęty.
W złotej czarze
Przyniósł w darze
Upojenia słodki szał
Dla spragnionych dusz i ciał!

Z jego przyjściem proroctw ciemnych
Ustąpiła cześć i trwoga,
Ustał mściwy rząd Podziemnych,
Słonecznego mając boga,
Ziemia cała
Zapomniała
O żałobie przeszłych dni
I o szczęściu tylko śni.

Orfeuszu! lirę swoją
Do słodkiego nastrój brzmienia,
Niech jej dźwięki rozkosz zdwoją,
Co nam piersi rozpłomienia,
Niech się w serca nasze leje,
Niech zapala ogniem krew,
Niechaj z nami wraz szaleje
Słodki śpiew!

Świeżej wiosny śpiewaj wdzięki,
Niezmąconą życia radość,
I ciał naszych powab miękki,
I namiętnych pragnień bladość.
Nowych światów pieśń weselną,
Pieśń zmysłowych ponęt stwórz,
Daj ją nagą i bezczelną
W wieńcu róż!

Orfeusz.

Powróciłem z podziemnej otchłani,
Z posępnego umarłych królestwa —
I wciąż widzę, jak cierpią skazani,
Widzę wieczność męki i nicestwa...
I straciłem u piekielnych progów
Pamięć szczęścia i słonecznych bogów.

Zostawiłem za straszliwą bramą
Mej miłości i walk moich ślady,
A wyniosłem ból i rozpacz samą,
Gdy w objęciach cień jej zniknął blady,
A jam nie mógł powrócić przebojem
Po jej życie, które było mojem.

Wtedy pękły struny w mojej lirze,
Struny serca, co tak dźwięczne były,
I w piekielnym utonęła wirze
Przeszłość pełna słodyczy i siły,
A jam odszedł okryty żałobą
Zostawiając wszystko poza sobą.

Nie żądajcie więc pieśni odemnie,
Bo ja z wami w szeregu nie stanę,
By na gruzach przeszłości nikczemnie
Wielbić świata jaskrawą przemianę,
I przed waszym schylając się bogiem,
Wydrzeć z serca, co było mi drogiem.

Wszystkie wasze pragnienia i cele,
Wszystko, co was upaja i pieści,
I serc waszych bezwstydne wesele,
Wszystko mojej urąga boleści,
I pogardzam kłamliwą rozkoszą
I bóstwami, co ją wam przynoszą!

Chór Bachantek.

Czy słyszycie? czy słyszycie?
Naszych bogów czcią pomiata,
I znieważa nasze życie,
Odrodzeniem gardząc świata;

A więc pocóż z myślą chorą
Wśród kwiecistych życia łąk,
W drodze stawać ma zaporą?
Niechaj ginie z naszych rąk!

Dyonizos.

Coście zrobiły!... Potrzaskana lira,
I śpiewak martwy u stóp waszych leży —
W ręku Bachantek, pod ciosem Satyra,
Ucichł na zawsze zdrój melodyi świeży!

I krwawym laurem uwieńczone skronie
Tego, co wyraz ludzkiej dał rozpaczy,
Wyraz tak śpiewny, że długo po zgonie
Przemawiać będzie do smutnych słuchaczy.

Taką jest zwykle sprawiedliwość świata,
Który dawniejsze kożyszcza obala,
Taką dla natchnień minionych zapłata,
Kiedy kierunek zmieni rwąca fala.

Trudno! Nie można powstrzymać strumienia,
Ani młodzieńczych uniknąć nadużyć —
Kroczące naprzód młode pokolenia
Kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć.

Świat żywych musi niewdzięcznym pozostać
Dla tych, co sercem z przeszłością związani,
Zniknioną wiecznie opłakują postać,
Myślą do ciemnej wracając otchłani.

Musi zapomnieć ziemia o swych stratach,
Aby na nowo stanęła w rozkwicie;
W namiętnym szale i weselnych szatach
Musi biedz dalej odmłodzone życie...

Pobojowiska, gruzy i cmentarze
Muszą się pokryć kwiecistą zasłoną,
I słodki napój musi szumieć w czarze,
I poić nowych biesiadników grono.

I słusznie rzesza żywych się domaga,
By dla niej z pieśni nowa jasność biła,
Świeża chęć życia i świeża odwaga,
Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

10. Na zgon poezyi.

Nie! nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasna krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;
Żaden jej grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa:
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie?
Że się odnawia w jasności słonecznéj,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie,
I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknościami świata?

Czyliż nie widzą, że ona jest wszędzie
Rozlana w całej błękitów przestrzeni,
Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie,
I świeżym liściem w gruzach się zieleni?
A choć zużyte porzuci narzędzie,
Choć dawne swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie,
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie.

Na cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
Czyliż zabraknie też ożywczej rosy,
Snów bohaterskich, miłosnych zachwytów?
Czyliż ucichną tajemnicze głosy
Stłumionych pragnień i rozpaczy zgrzytów?
I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nic nie zginie z uczuć przędzy złotéj,
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie;
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ziemne otchłanie,
Zawsze te same słowicze tęsknoty,
I żądza szczęścia ta sama zostanie,
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę,
Dźwięki tak znane, a tak wiecznie nowe.

Niewczesne wasze żale, o wróżkowie,
Co nieśmiertelnej śmierć wróżycie pewną;
Ona się w martwem nie zamyka słowie,
Nie jest zamkniętą w marmur ani w drewno,
Lecz ma sklepienie niebios za wezgłowie,
A na usługi sfer harmonię śpiewną,
I rządzi z góry sercem niewolnika —
Jak chce, zstępuje — i kiedy chce, znika.

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
W lutniach śpiewaków i sercach słuchaczy;
Ona w grobowem przechowa się próchnie,
Przetrwa mrok zwątpień i burzę rozpaczy,
I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie;
I znowu świat ją schodzącą zobaczy
Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie,
I znów z miłością do nóg jej upadnie.

Ta trumna, którą do grobu składacie,
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty,
Uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity.
Wolno wam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodzieńcze budziła zachwyty,
Ale nie wolno orzekać — że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią — o wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,
Lecz dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
Którym znów serce stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią — bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

11. Z egipskiego rytuału zmarłych.

Ozyrys szalę prawdy ujął w dłonie,
I jedno oko zatopił jastrzębie
W cichej wieczności tajemnicze głębie,
A drugie zwrócił ku doczesnej stronie,
Skąd przelatują do niego po zgonie
Stadami ludzkie dusze, jak gołębie.

Z pomiędzy dobrych, co ciemne podwoje
Przybyli — jedni w zasług świętej szacie
Idą odziani w purpurę lub zbroję;
Chwałą jaśnieją dumne ich postacie,
A o spełnionych czynów majestacie
Świadczą obszerne papirusów zwoje.

W nich, hieroglifów głoski tajemnicze
O każdym wielkim wspominają czynie,
I wyliczają wzniesione świątynie,
Prace pokoju, dzieła wojownicze,
Nadane prawa, duchowe zdobycze,
Wielkie przewroty, których pamięć słynie.

Skromnie dusz drugich zbliża się gromada,
Nie niosąc z sobą bogatego żniwa —
Każda do innych przytulić się rada,
Każda pokornie w cieniu się ukrywa,
I przed sędziego podchodząc trwożliwa,
W tych krótkich słowach z życia się spowiada:

„Proch prochów tylko wśród świata ogromu!
Nie uzbierałem zasług w mym żywocie;

Przychodzę teraz w trwodze i tęsknocie
Po zmiłowanie do wieczności domu,
Bom nie wycisnął żadnej łzy nikomu,
Ale ją nieraz otarłem sierocie".

Ozyrys sędzia treść żywotów waży
Na szali prawdy, podejmując z ziemi
Wszystkie uczynki głośne wraz z cichemi,
Łaskawy uśmiech osiadł mu na twarzy,
Jednych i drugich wedle zasług darzy
I taki wyrok wydaje nad niemi:

„Wy! którzy dzieła spełniacie olbrzymie
Na nowe tory pchając ludów życie!
Wy, co zwycięsko po ziemi kroczycie
We krwi i trudzie, w jasności i dymie,
Czynami swoje zapisując imię
Na korze ziemi, na niebios błękicie —

„Waszą jest głośna nieśmiertelność chwały!
Waszym blask wieczny, który was wydzieli
Z powszechnej istot ginących topieli,
I da wam żywot odrębny i trwały
Pośród pokoleń, co was będą znały
Jako swych wodzów i nauczycieli.

„Ale nie dla was słodki cień mogiły,
Nie dla was zmarłych wypoczynek święty —
Wciąż nowe rzesze będą was sądziły
I naruszały grobowiec zamknięty,
Będą przetrząsać wszystkie życia męty,
Aż przeklną jutro — to, co wczoraj czciły.

„I wyjdą na świat wszystkie tajne nędze,
Które wy ukryć pragniecie głęboko...
Zdejmą z was wierzchnią złotogłowu przędzę,
I na jaw wszystkie słabości wywloką,
A pożądliwe potomności oko
Będzie się waszej urągać potędze.

„Wy zaś, o cienie! ciche, bezimienne,
Które jak kwiaty ukryte w ustroni
Ledwie ślad swojej zostawiacie woni,
Wy duchy czystem uczuciem promienne,
Które swych bliźnich niedole codzienne
Dotknięciem miękkiej łagodzicie dłoni,

„Wy domowego kapłani ogniska,
Coście przez ziemię lekką przeszli nogą,
I nie zranili w pochodzie nikogo,
Wolni od sławy, która przez zwaliska
Idąc przebojem, nieraz łzy wyciska
I burzy szczęścia lepiankę ubogą, —

„Wy się nie skarżcie na pośmiertne wiano!
Bo waszą będzie nieśmiertelność cicha —
Wam będzie słodycz wypoczynku daną...
I pić będziecie z wieczności kielicha
Niepamięć, której pozazdrości pycha,
Widząc, jak dumny proch sponiewierano.

„Wy utoniecie w wielkim oceanie
Skąd wschodzi, dokąd znów powracać śpieszy
Wszelkie dusz ludzkich anielskie świtanie,
I roztopieni w bezimiennej rzeszy
Będziecie światłem, które ludzkość cieszy
Bez względu na to — gdzie i jak powstanie“.

12. Noc pod Wysoką.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom
Wciśnięta między dwa ramiona góry,
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które zdaleka sterczały, jak mury
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit...
Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda i głazy i mchy w rozpadlinie.

Tu, na jeziora zeszliśmy wybrzeże,
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże,
I mech jedwabny podesłać pod głowę,
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.

Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiły w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fijoletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,

Co z brzegu w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem: jako w pracy nieustannéj
Fala srebrzystą powłokę podmywa.
Aż tafla lodu dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa
Patrzałem: jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach nieraz, wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole...

Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory siniały pod mgieł mleczną szatą,
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przybrał popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...
Mrok zwiększył wartość pustkowia kamienną,
I obszar zastygł posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn surowy i groźny,
Powstał z przepaści mierząc mię oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nade mną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata;
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie,
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem bezlitośnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu,
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przezroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste,
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte,
Zostało jedno, wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad któremi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza — a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy,
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem,
O najeżone ściany się roztrąca;
Stuk długo echa powtarzają potem...
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści.

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej szepczą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I stracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży,
I o boleści, co go we śnie trwoży.
On się zanurzył w źródle wiecznie żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem

Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z nieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd promienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

13. Nad głębiami. (Sonety).

V.

Gdy nas ciemności otaczają wszędzie,
W swej zacieśnionej zatrzymując sieci,
Wzrok nasz nie sięga za drogi krawędzie
I nie pytamy: co za nią? jak dzieci.

Lecz niech kto światło na drodze roznieci —
To choć wzrok szerszy widnokrąg posiędzie,
Dokoła miejsca, które blask oświeci,
Otchłań ciemności jeszcze większą będzie.

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy, jest niczem,
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

XIII.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko,
W dawnej postaci — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko,
I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera,
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiéj.

Ich miłość, sława, istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

XIV.

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki —
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa,
Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,
Jako strumienie, mieszają swe ścieki
I jedna drugą za sobą porywa.
Wszyscy są wspólną związani macierzą —
Umarli, żywi, wielcy, czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy, i bliscy —
Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy.

XVIII.

Tak złe jak dobre wspólną jest zdobyczą:
I ci, co czynem ewangelią głoszą,
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dzielą się plonem i spadek dziedziczą;
I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.
Ten wzajemności twardy obowiązek,
Zależność losów i wspólnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałązek,
Utrwala wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchłej rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia — jedyny!

III. Marya Konopnicka.

I. Do kobiety. (1879).

Czy wiesz, ty piękna i ty uśmiechniona,
Której usteczka rozchyla pustota,
Co znaczy: „kocham“ to najświętsze słowo,
Co pada z piersi, jako strzała złota —
I, jak królewskiej purpury zasłona...
Oddziela ciebie, wzruszeniem różową

I drżącą snami szczęścia dziewiczemi,
Od wszystkich ludzi na całej tej ziemi,
Byś otworzyła jednemu ramiona?

Czy wiesz ty o tem, motylu i kwiecie,
Poranków wiosny ty śpiewna ptaszyno;
Że ta godzina, w której usta twoje
Szepcą to słowo, jest cudów godziną?
Że wtedy jasno robi się na świecie,
Że srebrem biją wszystkie żywe zdroje!
Że róże w pękach płonią się wiosenne,
Że dziwne mary rozwiewne i senne
Ciałem się stają pod drżącą twą dłonią?
Że w twej źrenicy, jako w pryzmie słońce —
Życie odbija blasków swych tysiące,
I załamuje promień brylantowy?..
Że noc koronę srebrną swojej głowy
U stóp twych w chłodnych rozsypuje rosach?
Że twem wzruszeniem drżą gwiazdy w niebiosach?

Czy wiesz ty o tem, że słowo to ciebie
Czyni kapłanką przeczystych ołtarzy?
Że to uczucie, co łuny dziewicze
Rzuca na białość liliową twej twarzy,
I dyamentową skrą w oku wybłyska,
Nietylko szczęściem jest, lecz złotą wagą,
Co byt wszechświata utrzymuje w ruchu,
Pierwszem zarzewiem wielkiego ogniska,
Co świat ogarnia blaskami swojemi,
Pierwszem ogniwem w stworzenia łańcuchu?
Czy wiesz, że kiedy zmierzchy tajemnicze
Wydały kształty młodzieńcze tej ziemi,
Co stała jeszcze wśród chaosu nagą;
Najpierwszem słowem, jakie Bóg na niebie
Rzekł do niej, było słowo: „kocham ciebie!“

Posłuchaj! „kocham“ to nie znaczy wcale:
„Chcę być pieszczoną w twym domu królową;
Chcę iść przez życie drogą kwieciem słaną —
Chcę w pocałunków twoich tonąć szale,
Chcę, by mi słonko świeciło co rano;
Chcę, by co wieczór lampę dyamentową
Srebrzysty księżyc palił nad mą głową;
Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu
Słuchał i zawsze witał mię z uśmiechem,
Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z słowikiem;
Chcę żyć z twej pracy i z twojego potu;
Chcę, byś był moim cieniem, mojem echem,
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem.

Nie! „kocham ciebie!“ to znaczy: chcę z tobą
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,
Być domu twego światłem i ozdobą,
I nieść ci pokój, i ciszę, i zdrowie.
„Kocham“ to znaczy: twoje ideały
I twoje cele są także mojemi;
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi!
Chcę, by mą drogą była twoja droga,
Mojem pragnieniem były twe pragnienia;
Chcę, byś był głosem mojego sumienia,
I wiódł mnie z sobą do Boga.
Chcę, byśmy lecąc w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym
Gwiaździste szlaki przyszłości.
Chcę przez twą wiedzę mój umysł rozszerzyć,
I słowo twoje chować jak przysięgę,
Chcę z tobą marzyć, i tęsknić, i wierzyć
W ducha niezłomną potęgę.

„Kocham“ to znaczy: chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu, i łez, i boleści:
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić
I tarczą twojej być cześci.
Chcę na twych piersiach być jak róża biała,
W której płomyczek tajemniczy pała,
I chcę być jako pieczęć rubinowa
Na ustach twoich bez słowa.
„Kocham“ to znaczy; chcę w cichym zakątku
Żyć zapomniana byleś ty był ze mną...
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną.

„Kocham cię“ znaczy: o wolny ty duchu!
Ja nie chcę skrzydeł twych krępować jasnych,
Przykuwać ciebie do trosk nędznych, ciasnych,
Ciebie, coś przywykł na myśli podmuchu
Wzlatać, jak orzeł po najwyższych szczytach
I gniazdo zwijać w błękitach.
Ja nie chcę ciężyć tobie, jak kajdany:
Wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem;
Chcę tylko, byś mnie uznał, ukochany,
Bratnim, pokrewnym ci duchem.
„Kocham“ to znaczy: ja chcę być dla ciebie
Prawdy, i piękna i dobra, zaklęciem,
Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie.
Chcę domu twego być białym powojem,

Brały swą plenność jutrzejszych dni kłosy,
Dni, w których nędzarz — dziś nagi i bosy —
Ukocha cele i nadzieje nasze.
Ja sieję ciszę, ja sieję pogodę
W sercach tych, co są maluczcy u śwtata,
Bo znam w nędzarzu człwieka i brata,
Bo miłość — tylko miłości zapłata.
A w nienawiści — wzgarda ma nagrodę.
Lecz jeśli dreszcze uczuwa kto strachu
Na widok ramion tulących uściskiem,
Co odepchniętem jest — i to, co niskiem;
Ten winowajcą jest snać i z rozbłyskiem
Świtu drży, sądząc, że pożar na dachu.
Ja ciepło sieję, by z niego, jak z ziarna,
Światło na myśli błysnęło nam niwie;
Drobne iskierki ja krzeszę cierpliwie,
Własnem je tchnieniem zasilam i żywię
Zanim noc pierzchnie, noc głucha i czarna.
Bo w słońcu tylko dojrzewa plon błogi;
A kto dnia gwiazdę zadmuchnąć chce złotą,
Ten — albo sam jest rażony ślepotą,
Albo dłoń chciwą wyciąga już oto
Po zdobycz łatwą wśród zmierzchu i trwogi.
Ja ducha mego, ja krew moją sieję;
Ja pragnę wstrząsnąć tę ziemię zoraną,
Jak grzmot wiosenny, — aż jutro z niej wstaną
Ludzie, godniejsi piastować to miano:
W tę ja pracuję, w tę żyję nadzieję!
Pójdźcie, obaczcie, kto jestem i jaki
Siew rzucam w rolę przyszłości! Zaiste,
Ziarno me zdrowe i płodne i czyste,
Tak mi dopomóż w tym siewie, o Chryste!
I niech w dzień żniwa snop plonu mam taki!
A ja wam mówię: mój kamień mogilny
Mieć będzie napis: „Braterstwo i zgoda".
I wzejdzie nad tą mogiłą pogoda,
I brat tam bratu z miłością dłoń poda.
I pójdą razem — i słaby — i silny.
Lecz teraz — jeszcze rozterki jest pora;
Więc smutna jestem i pełna goryczy,
I słowa moje, jak świst giętkich biczy,
Rażą tym uszy, co w spokój zwodniczy
Chcą ukołysać sumienie — upiora.
Tak; biczem jestem na serca, w tłustości
Własnej osiadłe i skrzepłe bezruchem!
I jednych chłoszczę i wstrząsam łańcuchem
Drugich, — a wszystkich chcę porwać mym duchem
Ku dnia rozświtom, ku wielkiej przyszłości.

Kto tam iść nie chce, niech kopie mogiłę,
Niech się zawczasu w grób ciemny położy,
Bo przyjdzie w słońca promieniach duch boży,
I przyszłość ludom na rozcież otworzy...
Ja wam to mówię — ja mówić mam siłę!
A w dniu tym, razem z mrokami nocnemi,
Z krzywdą, niedolą, i z hańbą, i z nędzą,
Duchy światłości obłudnych rozpędzą,
A pająk własną udusi się przędzą
I spokój będzie i miłość na ziemi!

4. Z dziejów pieśni.

I.

Urodzona z uśmiechów i łez młodej matki
Drżąca, z serca jej wschodzisz nad kołyską oto,
Jak z serca ziemi wschodzą nieposiane kwiatki,
Piosnko, pieszczoto!
Lecisz na białych skrzydłach, jak anioły stróże...
Imię twoje „najmilsza“, a dźwięk twój opada
Tarczą, pomiędzy dziecię a życiową burzę,
Co dysze blada.

Młodość z piersi się twojej ciska, jako strzały,
Tobie na imię „sława,“ „miłość,“ „ideały“.
Rozpalasz gromy w duchach i w głębię zadumy
Unosisz tłumy.
Tyś orzeł, co się gnieździ na myśli wyżynie...
Tyś słowo, co się ciałem staje w wielkim czynie...
Wstrząsasz purpurą królów i nędzy siermięgą,
Pieśni, potęgo!

Ty wreszcie cicha stoisz nad świeżą mogiłą,
Pochwycona, jak ptaszę, praw wieczystych siłą,
Łez pełna, do Hiobowych żalów stroicz lirę,
Szepcąc „dies irae!“...[1])
I w odmian wszechistnienia uniesiona wichrze,
Tając, jak śnieg, w tony cichsze coraz, cichsze,
Aż ujdziesz, jako strumień, w oceanu wody,
W pieśnię przyrody.

II.

Widziałam pieśni, jak wiosenne kwiaty,
Wonne i lekkie, jak motyl skrzydlaty,

[1]) dies irae = dzień gniewu: początek groźnej pieśni kościelnej.

Jasne, jak błękit majowego nieba...
Śpiewały miłość, jak trubadur blady,
I dziwne, straszne, prawiły ballady,
Że aż się żegnać z przerażenia trzeba...
A gdy czas przyszedł i z ranną je rosą,
Jak nikły potraw, na łąkach, ściął kosą,
Rozwiały zapach, lecz nie dały chleba.

Widziałam pieśni, co, jak płaczki białe,
Stały na grobach, zamknąwszy ich chwałę
W pierś przezroczystą, łamiąc z żalu ręce...
A gdzie wiek zgasły rozwiał swoje szczątki,
Jak Rut schylone, zgarniały pamiątki
Kłosów, mijanych przez śpieszące żeńce...
A gdy czas przyszedł i otwierał groby,
Rzekł: „jakże wiele próżnej tu żałoby!
I jakże zeschłe są te wasze wieńce!“

Widziałam pieśni, co, jak niewolnice,
Szły za rydwanem wieku, strojąc lice
W uśmiech, ponętny dla oka Cezara...
Lecące chwile tchem swym je żywiły,
Z bieżących zdrojów czerpały swe siły,
I nieraz pustą bywała ich czara...
A gdy czas przyszedł i rozdzielał sławę,
Rzekł: „wy, zaklęte w przydrożną kurzawę,
Po pierwszej burzy zniknijcie, jak mara“.

Widziałam pieśni, co, jak cherub z mieczem,
Stanęły w ogniach przed sercem człowieczem,
Paląc mu piersi zawiści pożarem...
Jak szatę dzianą, tak one swiat boży
Dzieliły, ostrzem przekleństwa i noży,
Czarną nienawiść mając swym sztandarem...
A gdy czas przyszedł i uczynił sądy,
Z pomiędzy ludzi pieśni te, jak trądy,
Precz wyrzucono, wraz z bezprawiem starem.

Widziałam pieśni, co z licem spłonionem
Stanęły ciche nad własnym zagonem,
Wiosce swej nucąc, jak szare ptaszyny...
Zwiniętych skrzydeł nie ważąc do lotu,
Zagrody swojej trzymając się płotu,
Czarnego chleba jedząc okruszyny...
A gdy czas przyszedł, by wymierzyć płacę,
Wzięły — fujarkę wioskową z wierzbiny.

Widziałam pieśni, co, jak obłok biały,
W dzień przed ludzkością idącą leciały,
A w nocy słupem gorzały płomieni;
Co, wziąwszy w piersi wszechwieków tęsknotę,

Struny z niej sobie uczyniły złote
I szły, miłością walcząc, w państwo cieni...
A gdy czas przyszedł, rzekł: „błogosławiona
Pieśń, co zasiewa przyszłości nasiona!
Wy, co słuchacie jej, błogosławieni!“...

3. Sclavus saltans [2]).

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy
Na zgniłej słomie półnadzy i bladzi
Wypoczywają zamknięci w piwnicy.
Maro — to znawca! on swoje obole[3])
Wie na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak Amor każde u niego pacholę,
A mąż — gladyator! choć dzisiaj w arenę.
Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały!
Tors, jakby z bronzu, a włos, jak lwie grzywy.
Rzut oka, zda się, przekuć można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!
Przepyszny towar! gdy Maro go nogą
Kopnął, wołając: „wstań, bydlę!“ twarz dzika
Spłonęła jakąś ognistą pożogą,
I ryknął wściekle: „nie budź niewolnika!“
Co za głos! wstrzęsła się podziemna cisza...
Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...
Wielcy bogowie!... Na brodę Jowisza,
Zda się, jak gdyby wołał: „nie budź burzy!“
Słychać, jak kędyś powstaje bezwładnie
Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie,
Warczącą przepaść zgrozy słychać zdala...
Drżyjcie! to Romę niewolnik obala!
Oto powstają wraz z klątwy tej echem
Gromy strasznego stuleciom wybuchu...
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: „Przez Herkula! wszak on na łańcuchu!“
Lecz biesiadnicy cofnęli się żywo...
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie, jak łuk zgięty w pyszną linię krzywą,
Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz w dłonie,
I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!
Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada...
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczającym niewolnikom — biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba,

[2]) Słowianin (niewolnik) tańczący. [3]) drobny pieniądz.

Ni na igrzyska nie chwyci w lot dzidy,
Rzuconej ręką gibkiego efeba...[4])
Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!
Łzy — to zbyt wiele i łzy — to zbyt mało.
Goście milczeli; z zapałem artysty
Wskazywał Maro, jak piękne to ciało
Określa kontur pogodny i czysty.
Wtem z boku nuta wesoła dolata...
To „sclavus saltans", Słowianin wpół dziki,
Wszędy mu dobrze — i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki!
Z młodzieńczej wierzby wyciąwszy gałęzi,
Uczynił sobie grające narzędzie,
Skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi...
— Och! niewolnikiem ten był, jest i — będzie!

6. Na Fujarce.

A czemuż wy, chłodne rosy
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co to nocka sypie łzami
Srebrnemi.

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole,
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strachby było z tego siewu
Żąć żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

Przyjdzie słonko na niebiosy
Wschodzące,
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

7. „Contra spem spero"[5]).

Przeciw nadziei, co stoi na chmurze
Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwicę,
I obrócony wzrok trzyma na borze
I nawałnice...
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród nadziei,
Przeciw nadziei.

---

[4]) młodzieńca. [5]) mam nadzieję wbrew nadziei.

Tak pieśniarz ślepy, gdy go noc otoczy,
Choć wie, że rankiem nie zejdzie mu słońce,
Podnosi w niebo obłąkane oczy
I dłonie drżące,
I mroki pije źrenicą zagasłą
Wierząc w dnia hasło.

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorzę
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze —
I syn się karmi kłosami gorzkiemi
Z ojców swych ziemi.

Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły;
Idziem — jak idą bezdomne przechodnie,
Z zwisłemi czoły —
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady...

Wiem! niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli.
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza,
I z krwawej roli.
I ja też lecę jak ptak obłąkany,
I wichrem gnany.

Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekieł naszych ogarniona sferą —
Oczyma szukam dnia blasków i słońca,
Contra spem spero...
I w głębi mogił czuję życia dreszcze,
I ufam jeszcze...

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów,
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitu...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei —
Przeciw nadziei!

8. Nokturn. (1894).

. . . .

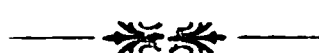
Do nocy tęsknię, do srebrnego cienia,
Coby mi nakrył źrenice płonące
I dał wpółsenną chwilkę upojenia.

Do nocy tęsknię i przeklinam słońce,
Które swe wszystkie blaski rzuca we mnie,
By mi pokazać więzy nas dzielące...

Wiem, że napróżno i wiem, że daremnie,
Ten sen mię cichy kołysać przylata,
Co twoje imię szepce mi tajemnie.

Wiem, że się nigdy nie zejdą wśród świata
Takie dwie drogi i takie dwa duchy,
Które raz życie — jak nasze — rozbrata.

Wiem, że to sen jest, sen wiotki i kruchy,
W który się oczy moje zapatrzyły,
I że do śmierci mam dźwigać łańcuchy...
A zaś mieć zimne dalekie mogiły...



IV. Eliza Orzeszkowa.

1. Marta. (1873).

Jest to wstrząsająca historya kobiety, pozbawionej nagle dobrobytu, pragnącej z całej duszy znaleźć zarobek, ale nie przygotowanej należycie do żadnej pracy zawodowej. Po kilku daremnych próbach, które uświadomiły jej samej przyczynę niepowodzenia, Marta rzuca się pod koła tramwaju i ginie.

Do salonu weszła Marta. Weszła, postąpiła parę kroków i stanęła, z ręką opartą o poręcz fotelu. Była w tej chwili bardzo piękną. Ciężka jakaś walka, ostatnia może chwila długo w piersi jej toczącej się walki, okryła blade policzki jej żywym rumieńcem; przed minutą, lub dwiema, w przystępie wielkiej jakiejś boleści, zapuścić musiała ręce w czarną gęstwinę swych włosów, bo dwa ich pasma krucze i kędzierzawe, opadały teraz na czoło jej, głęboką bladością posępnie niemal odbijające od rumieńców, opływających policzki. Gdy stanęła z pochyloną nieco głową i na pół spuszczonemi oczyma, postawa jej nie wyrażała ani wahania się, ani znękania, tylko głęboki, ostateczny namysł.

Dość było jednego na nią spojrzenia, aby odgadnąć, że ważyła się ona w tej chwili na coś, co posiadało dla niej wagę ogromną, na krok jakiś, którego uczynić nie mogła bez wielkiego wysiłku, bez skupienia wszystkich władz swej woli. Podniosła nakoniec głowę i postąpiła ku gospodyni domu.

— Lekcya już skończona? — ozwała się Marya, która przy wejściu młodej wdowy powstała i siliła się na uśmiech swobodny.

— Tak, pani — zniżonym nieco, ale pewnym głosem odpowiedziała Marta — skończyłam dzisiejszą lekcyę z panną Jadwigą i przyszłam, aby oznajmić pani, że była ona ostatnią. Nie mogę dłużej uczyć córki pani...

Na twarzy Maryi Rodzińskiej malowały się: zdziwienie. smutek i zmieszanie. Ostatnie było najsilniejszem. Serce dobrej kobiety nie pozwoliło jej, wobec dobrowolnego tego zrzeczenia się, wymówić słowa, o którego wymówieniu jednak myślała sama od dawna.

— Pani nie będziesz już uczyła córki mojej? — zapytała Marya, jąkając się — dlaczego, pani?

— Dlaczego? — zwolna i cicho odrzekła Marta — dlatego, że nie umiem uczyć.

Mówiąc to, spuściła oczy; rumieniec, okrywający jej policzki, podniósł się na czoło i okrył twarz całą wyrazem pognębiającego wstydu.

— Omyliłam się na samej sobie — mówiła dalej — stawszy się ubogą, pojęłam, że pracować powinnam... Widziałam, słyszałam, że ubogie lub zubożałe kobiety po większej części zostają nauczycielkami... Myślałam więc, że i ja także w tym zawodzie znajdę dla siebie pracę i chleb... Powiedziano mi, że jednego tylko francuskiego języka nauczać jestem zdolną; sądziłam w istocie, że język ten posiadam, bo mówię nim dość poprawnie i z łatwością. Teraz przekonałam się, że dobre mówienie nie stanowi jeszcze całej znajomości języka, że nigdy nie uczyłam się go gruntownie, a tę trochę wiadomości, której nabyłam w dzieciństwie, zapomniałam... Były to oderwane, pobieżne. niedokładnie zrozumiane wiadomości, nic więc dziwnego, że wyszły mi z pamięci. Cudzoziemka, która dotąd udzielała lekcyi córce pani, była doskonałą nauczycielką... Panna Jadwiga daleko więcej umie ode mnie...

Umilkła na chwilę, jakby potrzebowała na nowo zebrać swe siły.

— Zarobek jest dla mnie zapewne rzeczą bardzo ważną — rzekła — niemniej jednak, gdy przekonałam się, że nie mogę nauczyć się prędko wszystkiego, co umieć mi trzeba, pomyślałam, iż nie powinnam postępować wbrew memu sumieniu... Wszak zawierając ze mną umowę, powiedziałaś mi pani, iż przedewszystkiem i wyłącznie prawie żądasz od nauczycielki swej córki, aby nauczanie jej było szerokie i gruntowne, obejmowało wszystkie gałęzie przedmiotu... ja o nauczaniu takiem marzyć nawet nie mogę... Przytem pani byłaś dla mnie tak dobrą, że, oprócz nieuczciwości, byłabym jeszcze niewdzięczną, gdybym...

Tu Marya nie pozwoliła już nieszczęśliwej kobiecie mówić dłużej. Pochwyciła obie jej ręce i ściskając je mocno w swych dłoniach, rzekła:

— Kochana, droga pani! nie mogę zapewne zeprzeczyć temu, co mówisz o sobie samej, ale wierzaj, że bardzo, bardzo mi smutno rozstawać się z panią... Może przynajmniej mogę być ci w czem użyteczną... Mam znajomości, stosunki...

— Pani — rzekła Marta, podnosząc oczy — jedynem pragnieniem mojem jest otrzymać możność pracowania...

— Ale jakże, nad czem pracować-byś pani chciała i mogła? — z pośpiechem zapytała pani domu.

Marta długo milczała.

— Nie wiem — odrzekła w końcu cichym głosem — nie wiem, co umiem, czy umiem dobrze cokolwiek?

Przy ostatnich wyrazach powieki jej w dół opadły, w głosie zadrżało głębokie upokorzenie.

— Możebyś pani życzyła sobie udzielać lekcyi muzyki? Jedna z moich krewnych poszukuje właśnie teraz kogoś, ktoby lekcye muzyki dawał jej córce.

Marta przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, pani — rzekła — w muzyce dziesięć razy jeszcze słabszą jestem, niż we francuskim języku.

Marya zamyśliła się. Nie wypuszczała jednak ręki Marty ze swych dłoni, jakby obawiała się, aby kobieta ta nie odeszła od niej bez otrzymania rady i pomocy.

— Może — ozwała się po chwili — może pani pracowałaś choć trochę nad naukami przyrodniczemi? Mąż mój wychowuje młodego chłopaka, któremu trudno idzie w szkołach, dla przygotowywania go więc, dla korepetycyi...

— Pani — przerwała Marta — wiadomości moje z dziedziny nauk przyrodniczych tak są pobieżne, że zupełnie prawie żadne.

Zawahała się nieco i po chwili dodała:

— Umiem trochę rysować. Jeśli pani zna kogo, ktoby potrzebował lekcyi rysunku...

Marya po chwili namysłu przecząco wstrząsnęła głową.

— Z tem — rzekła — najtrudniej... mało osób uczy się rysunku, a do tego nauczają go przeważnie mężczyźni... Taki już zwyczaj.

— A więc — zaczęła Marta, ściskając rękę gospodyni domu — pozostaje mi tylko pożegnać panią i podziękować jej za okazywaną mi dobroć i uprzejmość.

Marya sięgnęła ręką po zgrabną kopertkę, w której widać było parę asygnat, ale w tej chwili ktoś z boku dotknął jej rękawa. Był to wesoły Oleś, który przez cały czas rozmowy stał zdala, w postawie bardzo skromnej i z wyrazem w twarzy wcale nie wesołym. Oczy jego na pół z zachwyceniem, na pół ze szczerem politowaniem, tkwiły w twarzy młodej wdowy, która na obecność jego nie zwracała najmniejszej uwagi. Być może, iż, wchodząc do salonu, widziała go, ale cóż obchodzić ją mógł jeden człowiek więcej, mający być świadkiem upokarzającego jej wyznania, skoro najstraszniejszym, a nierozłącznym z nią świadkiem jego była ona sama? Cóż obchodzić ją mogło przypuszczenie, iż oczy czyjeś patrzą na nią w chwili, w której wzrok jej własny zapadł z przestrachem w głębię własnej jej nieudolności, w głębszą jeszcze otchłań czekającej ją doli? Marta tedy nie zwracała uwagi na obecność młodego człowieka, Marya zapomniała o niej i czując, że ją ktoś z lekka pociąga za rękaw, odwróciła twarz z trochą zdziwienia. Zdziwiła się bardziej jeszcze na widok fizyognomii Olesia. Ruchliwe oczy jego były teraz pełne smutku, usta, okrążone zwykle pustym uśmiechem, ułożyły się w zarys łagodny, a nawet trochę jakby poważny.

— Maryniu! — rzekł z cicha młody człowiek — mąż twój pracuje przy jednem z pism illustrowanych, możeby tam potrzebowano kogoś, kto umie rysować...

Marya klasnęła w ręce.

— Masz słuszność — zawołała — zapytam się o to męża!...

— Ale trzeba to zrobić zaraz! — zawołał Oleś ze zwykłą już sobie żywością — dziś właśnie sesya w redakcyi...

— I mąż mój jest na sesyi...

— Na sesyi najłatwiejby o tem dowiedzieć się można...

— Napiszę zaraz do mego męża...

— Ale, co tam to pisanie! to za długo; pójdę, wywołam Adama z sesyi...

— Idź, idź, Olesiu...

— Idę, lecę, pędzę! — zawołał młody człowiek, pochwycił kapelusz i z nadzwyczajnym pośpiechem nakładając go na głowę przed progiem jeszcze, zapominając o pożegnaniu się z dwiema kobietami, wypadł do przedpokoju. Tam zarzucił palto na plecy i wołając raz jeszcze: — biegnę, pędzę, lecę! — Biegł w istocie, pędził i leciał ze wschodów, tak samo, jak czynił to przed miesiącem, kiedy szło mu o dogonienie ujrzanej przez okno młodej piękności. Marya nie myliła się, przypisując ciotecznemu bratu swemu dobroć serca, to też z rodzajem zadowolenia przeprowadziła go oczyma do progu, poczem zwróciła się wnet znowu ku Marcie.

Młoda wdowa stała nieruchoma, z gorętszym jeszcze, niż wprzódy rumieńcem na twarzy. Nie mogła nie widzieć, że obudzała litość nietylko w tej kobiecie, która przed chwilą ściskała jej dłonie, ale i w owym młodym człowieku, nieznanym jej prawie, zaledwie bowiem parę razy mimochodem przez nią widzianym. Po raz bo pierwszy w życiu swem była przedmiotem litości ludzkiej, wywołała ją niemal sama, uchylić się od niej, odrzucić jej, naglona gwałtowną potrzebą, nie mogła; a jednak uczucie to, okazywane jej, dobre samo przez się, przytłaczającym ciężarem spadło na głowę jej i w dół ją chyliło... Nie była zadowoloną z siebie, ze swej rozmowy z Maryą, która u ludzi, całkiem jej obcych, wywołała oznaki litości nad nią... Przebiegała jej przez głowę myśl, iż powinna była być silniejszą, skrytszą, powściągliwszą; doświadczała takiego poczucia, jakby w tej chwili ubyła cząstka godności jej osobistej człowieczej, jakby po raz pierwszy wyciągała dłoń po jałmużnę. Kiedy siostra i brat zamienili ze sobą żywe wyrazy, ją mające na celu, kiedy młody człowiek wybiegł z pokoju, aby gdzieś do nieznanych, nigdy przez nią niewidzianych ludzi, nieść prośbę w jej imieniu, powstało w niej niezmierne pragnienie odejść, odejść natychmiast, za chwilę litości zapłacić słowem podzięki, ale jałmużny nie przyjąć i powiedzieć:

— Mam nadzieję, że sama poradzę sobie.

Pragnienie to było silne, zatamowało głos w piersi młodej kobiety, fala krwi rzuciła jej się do głowy; a jednak nie uległa mu, nie odeszła, stała nieruchoma, z głową pochyloną i splecionemi rękoma. W najdalszej głębi jej istoty rozlegał się szept posępny: — Nie mam nadziei, abym sobie poradzić mogła. Nie mogę ufać sobie! — Było to rodzące się poczucie nieudolności własnej. Pod

wpływem uczucia tego, rósł w niej wstyd nieokreślony, lecz dolegliwy.

— Gdybym była sama na świecie!... — myślała. — Gdybym nie miała dziecka!

— Chciej mi pani powiedzieć — przemówiła Marya — jakim sposobem oznajmić jej będę mogła o wyniku starań, jakie ja i mąż mój czynić będziemy w celu pozyskania dla niej zajęcia?... Zostawisz mi pani może swój adres?

Marta myślała chwilę.

— Jeżeli pani pozwoli — odrzekła — przyjdę tu sama zasięgnąć wiadomości.

Chciała zrazu dać swój adres, ale przemknęła jej przez głowę myśl, że młoda szczęśliwa kobieta zapomnieć o niej może. Zawstydzała ją litość, jakiej była przedmiotem, ale bardziej jeszcze przestraszało przypuszczenie, że nadzieja zarobku, która błysnęła przed jej oczyma, zniknie znowu i zostawi ją w okropnej niepewności, nieokreśloności położenia.

Zarobek!... jakiż to prozaiczny, trywialny, czysto ziemski wyraz! — zawołacie może czytelnicy.

Gdyby na miejscu jego była tu jaka pałająca miłość, sercowa tęsknota, wzniosłe marzenie, uczucia i myśli młodej kobiety obracałyby się we właściwszym dla nich kręgu moralnych zjawisk, obudzałaby sympatyi więcej, współczucie silniejsze! Być to może, nie wiem. Co pewna, to, że Marta myślała, albo przeczuwała, że jedyną rękojmią życia i zdrowia jedynego na ziemi przedmiotu jej miłości, dziecięcia jej, ukojenia tęsknoty, której pełnemi były samotne kąty ubogiej jej izby, rękojmią nie już wzniosłości, ale czystości i uczciwości jej marzeń i myśli, była praca, przynosząca zarobek. Marta myliła się może; przyszłość jej dopiero udowodnić miała prawdziwość, lub błędność tego jej mniemania.

Po kilku jeszcze zamienionych wyrazach, Marta Świcka żegnała gospodynią domu. Marya sięgnęła znowu po kopertę z liliowemi brzeżkami.

— Pani — rzekła z trochą nieśmiałości — oto jest dług, który względem niej zaciągnęłam, za całomiesięczne nauczanie mej córki.

Marta nie wyciągnęła ręki. — Nic mi się nie należy — rzekła — bo ja niczego wcale nie nauczyłam.

Marya Rudzińska chciała nalegać, ale Marta pochwyciła jej rękę, uścisnęła ją silnie w swych dłoniach, i śpiesznie opuściła pokój. Dlaczego uchodziła tak śpiesznie? Pragnęła może uniknąć po raz pierwszy w życiu doświadczanej, złej pokusy? Czuła, że pieniądze, które jej ofiarowywano, nie należały do niej, że nie zarobiła na nie niczem, chyba bezowocnemi dobremi chęciami, że gdyby je przyjęła, popełniłaby postępek nieuczciwy, to też nie wzięła ich, ale gdy o szarej godzinie, dla oszczędności nie rozniecając w izbie lampy, przy niepewnem świetle dnia dogorywającego otworzyła swój pugilaresik i przeliczyła znajdujące się w niem sztuki drobnej monety, gdy pomyślała, że oprócz pieniędzy tych, starczyć mogących

zaledwie na dni parę, żadnych już innych nie ma, a te są resztkami sumy otrzymanej ze sprzedaży jednej z dwóch posiadanych przez nią sukien, kiedy mała Jańcia, tuląc się do jej kolan, poskarżyła się na zimno, panujące w izbie i poprosiła o zapalenie ognia na kominie, a ona odmówić jej tego musiała, bo zasób drewek był bardzo szczupłym, a o zwiększeniu go i marzyć teraz nie mogła; kiedy nakoniec ogarnęły ją ciemności nocne, powiększające smutek, niepokój zamieniające w trwogę: przed oczyma jej tajemną jakąś siłą wyobraźni wywołana, przesunęła się zgrabna kopertka, ozdobiona liliowemi brzeżkami z trzema pięciorublowemi asygnatami wewnątrz. Marta zerwała się z siedzenia i zapaliła lampę. Widmo niezapracowanych pieniędzy zniknęło wraz z ciemnością, ale w umyśle Marty pozostało po niem głuche przerażenie.

— Mogłożby to być — zawołała — abym żałowała tego, iż nie popełniłam nieuczciwości?

Głęboko zawstydzająca myśl ta wzbudziła w niej reakcyą ducha, nowe wyprężenie upadłej na chwilę energii.

— Zdaje mi się — rzekła sobie — że daremnie niepokoję się tak bardzo. Wszak obiecano mi nowe zajęcie... Rysowałam przecież kiedyś nieźle, znajdowano we mnie dość wielką nawet zdolność do rysunku... Zadanie to, jeśli mi je tylko do spełnienia dadzą, spełnię już chyba dobrze! Mój Boże! jakże gorliwie starać się będę, aby tym razem już praca nie wymknęła się z rąk moich, a że dostarczą mi jej ludzie obcy przez litość, przez współczucie? cóż stąd? Nie powinno mię to upokarzać! Jestem jeszcze za dumną! Słyszałam wprawdzie nieraz, że ubóstwo z dumą chodzić w parze mogą, ale muszą to być tylko teorye, przekonywam się, że jest inaczej!

Ostatnia myśl ta ponowiła się w głowie Marty, gdy nazajutrz zrana schodziła na dół i nieśmiało pukała do mieszkania rządcy.

Rządca domu przyjął ją w pokoju dobrze ogrzanym i wygodnie urządzonym.

— Panie! — rzekła Marta — za dwa dni nadejdzie termin, w którym obowiązaną jestem uiścić opłatę za najem mieszkania i sprzętów.

— Tak, pani, — tonem twierdzenia i zarazem pytania odpowiedział rządca.

— Przyszłam, aby oznajmić panu, że nie będę w stanie opłaty tej uiścić...

Wyraz twarzy rządcy objawił na te słowa pewne, dość widoczne, niezadowolenie. Nie był to jednak człowiek zbyt surowy, fizyognomią miał uczciwą, łagodną i noszącą ślady długich lat przebytych i wielu trosk doświadczonych. Spojrzał uważnie na twarz młodej kobiety i po chwili namysłu, odpowiedział:

— Bardzo to przykro jest.. ale cóż robić? Lokal, który pani wynajmujesz, jest niewielkim, i sądzę, że właściciel domu nie zechce odmawiać go pani, przy pierwszej nieakuratności w opłacie. Jeżeliby jednak powtórzyła się ona. .

— Panie! — z żywością przerwała Marta — mam przyobiecaną robotę, która, jak sądzę, dostarczy mi środków do życia.

Rządca skłonił się w milczeniu, Marta spłoniona i ze spuszczonemi oczyma wyszła na ulicę. Niebawem wróciła do izby swej, przynosząc w chustce rozmaite, zakupione na mieście przedmioty. Nie mogła już brać obiadów z garkuchni, wyrzucała sobie nawet, że brała je dotąd, ponieważ wydała na nie więcej, niż wydać mogła. O sobie mało myślała; wobec trosk, które ją obległy, i celu, ku któremu dążyła, ilość i rodzaj żywności, mającej podtrzymać jej życie, nie mogły w myślach jej wielkiego zajmować miejsca. Sądziła, że szklanka mleka z dwiema bułkami dziennie zdoła przez czas jakiś dostatecznie podtrzymać jej siły. Ale mała Jańcia, drżąca nieraz od chłodu w izbie źle ogrzanej, potrzebowała koniecznie, raz na dzień przynajmniej ciepłego pokarmu.

To też młoda wdowa, za pozostałe jej kilka złotych, zaopatrzyła się w trochę masła, kaszy i mały garnuszek.

— Zamiast zrana palić w piecu, teraz będę w południe — myślała — i zarazem zgotuję codzień dla Jańci trochę gorącej strawy!

Nie mogła też oswoić się z myślą, że dziecko jej zaprzestanie jeść mięso. I tak już było ono blade, wątłe, zmęczone licznemi niewygodami, których dawniej nie znało. Ale mięso świeże kosztuje dużo, dla sporządzenia z niego potrawy trzeba też sporo drzewa spalić. Marta kupiła więc funt wędzonej szynki.

Gdy załatwiała wszystkie te sprawunki, przychodziły jej na myśl tanie kuchnie. Słyszała o nich kiedyś, wtedy gdy była jeszcze żoną urzędnika, pobierającego znaczną płacę i sama hojną ręką przyczyniała się do składek, na rzecz dobroczynnych instytucyi urządzanych. Oprócz tego jednak, że kuchnia tania w obecnem jej położeniu mogłaby dla niej być jeszcze za drogą. Marta czuła instynktowny, nieprzezwyciężony wstręt do uciekania się pod skrzydła jakiejkolwiek filantropijnej instytucyi.

— Istnieje to dla starców — myślała — dla chorych, kalek, dla dzieci zresztą pozbawionych opieki lub ludzi ostatecznie niedołężnych, czy zniedołężniałych moralnie i umysłowo. Jestem młodą i zdrową, wielu jeszcze rzeczy robić nie próbowałam, które może robić potrafię; a że nie udało mi się znaleść zarobku w jednym zawodzie, mamże dlatego uciekać się do dobroczynności publicznej? Nigdy! — zawołała w duchu i otworzywszy znowu swój pugilaresik, przeliczyła pozostałą w nim po załatwieniu sprawunków drobną monetę. Znajdowało się tam jeszcze około trzech złotych. Wystarczy to jeszcze przez tydzień na mleko i bułki dla mnie i dla Jańci — myślała — tymczasem dobrzy ci ludzie znajdą dla mnie pewno robotę...

2. Babunia. (1897).

Obrazek ten przedstawia, wśród zobojętnienia stosunków rodzinnych, postać babki, całą duszą oddanej pojętnemu i miłemu wnuczkowi, który od niej tylko doznaje dowodów prawdziwego, szczerego uczucia, tylko od niej słyszy o rzeczach pięknych, szlachetnych i wzruszających. Ojciec zapracowany niema czasu na rozmowy z synkiem; matka oschła i próżna, nie może wpływać do-

datnio na rozwój dziecka, a w dodatku jeszcze zazdroszcząc przywiązania jego do babuni, stara się ją od niego oddalać. W ustępie, tu przytoczonym, tak oddalona babunia popada w marzenia, rozpamiętywując o przeszłości na widok starożytnego zegara; ale gdy dziecko zachorowało, ona jedna nie traci przytomności umysłu i okazuje się potrzebną nawet w dobie obecnej.

Pilno jej było powitać przyjaciela starego, świadka czasów przeminionych, który posiadał nietylko oblicze, ale i głos. Miała takie uczucie, jakby się dowiedziała o powrocie jednego z tych, którzy odeszli. Ktoś kochany zmartwychwstał. Biegła powiedzieć zmartwychwstałemu: jak się masz? czy pamiętasz?

Miał już chyba lat ze sto i niegdyś czasy wielkiej świetności. Był lubiony, oglądany, podziwiany, w porach właściwych starannie pobudzany do życia i śpiewu, aż przyszedł czas, że wsunięto go w kąt ciemny; zniknął ze świata i umilkł, jak się zdawało, na wieki. Teraz, nagle, wydobyto go z więzienia, w którem upłynęły mu długie lata.

Była to najprzód szafka hebanowa, dość wysoka, wąska, z bronzowemi ozdobami na powierzchni czarnej i z okrągłym otworem u góry. Przez ten otwór, w obwódce bronzowej, wyglądało oblicze zegara okrągłe, żółtawe, z dwunastu znakami rzymskimi dokoła i dwiema długiemi liniami wskaźników. W świetle lampy ukazywały się wyraźnie ślady zaniedbania, któremu uległ: szczerby na drzewie, rdza na bronzie; ale pył otarto już zeń starannie i klucz do nakręcania złożono na szczycie szafki.

Babunia stała o dwa kroki przed starym zegarem, z głową, w białym czepku, nieco podniesioną, z wyrazem zadziwienia we wzniesionych oczach. Zwiędłe jej powieki mrugały prędko; na czole wysokiem sieć drobnych zmarszczek pogłębiła się i kołysała, jak fala wodna. Potem cienkie wargi poruszać się też zaczęły; coś zaszeptała i głową wstrząsnęła tak, jakby mówiła: „Jak się masz? Pamiętam! pamiętam! czy pamiętasz?“ Ale nie przybliżała się jeszcze i ciągle z podniesioną głową patrzała.

Zegar wzajemnie patrzał na nią z góry przez okrągły otwór z bronzową ramką. Linie wskaźników, czarne na tle żółtawem, szeroko rozwarte, nadawały mu obraz powitania i, jak ramiona rozpostarte do uścisku, mówiły: „Jak się masz? Zbliż się! I ja pamiętam! a jakże! pamiętam!“

Kilka minut upłynęło. Dwa stare oblicza, kobiety i zegara, jedno z dołu, drugie z góry, patrzały na siebie bez szmeru i ruchu, w świetle małej lampy u łóżka okrytego pościelą szczupłą, z krucyfiksem na ścianie.

Po kilku dopiero minutach babunia, znowu z pośpiechem dwudziestoletnim, przystawiła stołek do szafki i, stanąwszy na nim, zaczęła oglądać zegar zbliska i ze stron wszystkich. Cały, caluteńki, z wierzchu. Ciekawość, jak tam jest wewnątrz. Można się o tem przekonać po nakręceniu. Niegdyś nakręcać go umiała; potrafi i teraz. Zna go, odkąd żyje. Stał w pokoju jej ojca, potem męża. W dzieciństwie jej wybijał godziny zabaw i nauk, w wieku dojrza-

łym — szczęścia i smutku; wybił też tę godzinę straszliwą, w której odszedł ją na zawsze jej Jaś najdroższy. Grywał pieśni, nie pamiętała już jakie, lecz które co godzina rozlegały się po domu, zaprawiając melodyą cisze nocne, rozmowy gwarne, szepty poufne. Zapragnęła teraz tych pieśni, jak mowy przeszłości zmartwychwstającej. Aby je od zegara otrzymać, trzeba go było w pewien szczególny sposób nakręcić. W zwykły sposób już to uczyniła i — o dziwo! — bez zwłoki najmniejszej, oblicze nieme przez lat wiele zagadało szmerem, trochę ochrypłym, lecz doskonale miarowym: tak, tak! tak, tak!

Już stary zegar nietylko patrzał, ale i mówił. Gdybyż zaśpiewał jeszcze!

Z kluczem w ręku zaczęła oglądać powierzchnię zegara, — przypominać sobie, próbować. Przykładała do punktów różnych klucz i palce, naciskała, otwierała, przesuwała, majstrowała, z takiem natężeniem uwagi i chęci, że zmarszczki czoła zbiegły się pomiędzy brwiami w jednę grubą fałdę, wargi wydęły się, oczy piwne nabrały ogników złotych. A oko w oko z tą twarzą kobiecą, pomarszczoną i skupioną, oblicze zegara, okrągłe i żółtawe, przybierało wyraz wesołości żartobliwej, bo światło lampy igrało po niem błyskami migotliwemi, od których też stare bronzy na szafce zapalały się gdzieniegdzie iskrą swawolną.

Nakoniec! pod palcami babuni coś zgrzytnęło, wysunęło się, zasunęło... Zegar i wewnątrz cały, niezepsuty: będzie grał kuranty! Będzie, lecz nie natychmiast. Grywał zazwyczaj przy wybijaniu godzin; kwadrans jeszcze zaczekać wypadnie. Zaczeka w ciemności, bo nie potrzeba nadaremnie używać nafty — i oczy lepiej odpoczną bez światła.

Wygodnie usiadła w starym fotelu, zgasiła lampę i — zadziwiła się przyjemnie. Mniemała, że pokój napełni ciemność gruba, tymczasem stanął on cały w świetle prześlicznem. Kędyś, pod niebem nocnem, płynęła zwolna twarz księżyca i uderzała w małe okno smugą światła, podobną do wstęgi blado złotej. Plecami oparta o staroświecką poręcz fotelu, babunia siedziała u skraju smugi księżycowej, która posrebrzała jej stopy i suknię, głowę pozostawiając w pół zmroku. O parę kroków za nią, także w pół zmroku, stał przy ścianie zegar stary, dobywając z czarnej szafki, jak mumią z futerału, oblicze okrągłe i białe. Babunia, ze splecionemi u piersi rękoma, patrzała na wstęgę blado-złotą, ukośnie spływającą od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek, gdy o słuch jej uderzył dźwięk nieco chrapliwy, jeden tylko, donośny. To zegar wybił godzinę północną. Wnet potem, w bladem świetle księżycowem i w ciszy głębokiej rozległa się muzyka — poważna, szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak tryumf rycerza, — muzyka poloneza.

Babunia oderwała plecy od wysokiej poręczy fotelu, palec przyłożyła do warg, które zadrżały. Cyt! To ten sam polonez, którego grała na jej weselu orkiestra huczna, którego ona tańczyła z Jasiem

w sukni ślubnej, z wieńcem mirtowym na włosach, w sali, napełnionej światłem rzęsistem i tłumem twarzy znanych, kochanych!...

Zegar gra; słychać w nim trąbki, fleciki, harfy, czasem waltornia uderzy w bas głęboki, a czasem, niespodzianie, melodyę porywa chór dzwonków cichych i, wydzwoniwszy frazes muzyczny, zwraca ją trąbkom, flecikom i harfom. To kurant starego zegara — ten sam polonez, którego ona tańczyła z Jasiem na swojem weselu...

W sali, napełnionej światłem ognistem, młody i rażny, z szerokiem czołem pod złotemi włosy, z rozkochaniem w błękitnych oczach i z czapeczką kwadratową w ręku, idzie on ku niej, całej w bieli, spłonionej, szczęśliwej. Stanął przed nią, ręką trzymającą czapeczkę uczynił szeroki giest zapraszający, drugą ujął jej rękę, i poważnym polonezowym krokiem poszli razem w światło rzęsiste, w tłum twarzy kochanych, w radość bez skazy, w szczęście bez granic.

Zegar grał, na oczy babuni opadała zasłona wilgotna, lecz, gdy po chwili skupiła się w kroplę dużą i na blade ręce opadła, oczy rozszerzyły się od zdumienia, trwogi, a usta zaszeptały nieprzytomnie: „Co to? kto to? o, Boże!“ Z ciałem bezwładnem od zdumienia i trwogi, z głową odgiętą na poręcz fotelu, z ramionami, które podniosły się i drżące w powietrzu zawisły, babunia patrzała i szeptała: „Co to? kto to? o, Boże!“

Od nieba promiennego ku biednej podłodze z grubych desek, po ukośnej wstędze blado-złotej, zstępował poważnym polonezowym krokiem człowiek młody i rażny, z szerokiem czołem pod złotemi włosy, z rozkochaniem w błękitnem oku, z czapeczką kwadratową w ręku. Poznała go, patrzała, z ramionami zawieszonemi w powietrzu! a tymczasem zegar grał i on szedł, od nieba ku jej stopom, aż stanął przed nią i ręką trzymając czapeczkę kwadratową uczynił szeroki giest zapraszający. Nie mogła jeszcze uczynić poruszenia najlżejszego; więc on zatopił w jej oczy spojrzenie, które znała tak dobrze, pamiętała tak głęboko, i zcicha rzekł: „Pójdź ze mną!“

Wtedy powstała i zupełnie tak samo, jak na wieczorze weselnym, z pochyloną głową położyła rękę na jego otwartej dłoni. Zegar grał, a oni, poważnym polonezowym krokiem, z twarzami ku sobie obróconemi, szli po wstędze blado-złotej, od biednej podłogi z grubych desek ku niebu promienistemu, coraz wyżej...

Szła lekko, stopami zaledwie dotykając drogi oświetlonej, i długo z pośród uczuć rozmaitych głos jej wynurzyć się nie mógł, aż przemówiła:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł po mnie, Jasiu! Tak długo i ciągle tęskniłam za tobą.

On odpowiedział:

— Bóg kocha serca wierne i powraca im miłość szczęśliwą.

Uczuła, że tak było, bo fala napowietrzna, kojąca, ciepła, pełna rozkoszy przeczystej, okryła ich oboje płaszczem rozwieszonym. Tak połączeni, szli dalej, coraz wyżej, a za nimi ziemia coraz dalsza na nizinie coraz głębszej, malała, znikała.

Z twarzą, ku jego twarzy obróconą, mówiła:

— Jakiś ty młody, Jasiu! Gdy odchodziłeś, włosy ci bielały i plecy garbiły się trochę: a teraz jesteś zupełnie takim, jakim byłeś, gdy, siedząc przy moich krosienkach, po raz pierwszy rzekłeś, że mię kochasz.

Z uśmiechem wskazał wstęgę blado-złotą, po której szli, i rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała — jak dziewczyna w strumieniu przejrzała się we wstędze, usłanej z promieni, — i zobaczyła siebie młodą, wysmukłą, hożą, całą w bieli, z mgłą ślubnego woalu na włosach kruczych. I nietylko zobaczyła, ale także uczuła się młodą, hożą, gibką, ze stopami, zrywającemi się do biegu, z powiekami, wstydliwie opadającemi na oczy olśnione i zdumione. Płonąc radością i zawstydzeniem, szepnęła:

— Gdzież się podziały lata, które, jak ciężkie pługi, orały mi ciało i duszę?

On, razem z nią pochylony nad zwierciadłem blado-złotem, odbijającem postacie młode i napowietrznym płaszczem miłości okryte, odpowiedział:

— Bóg kocha ciężko strudzonych i wraca im młodość.

Znajdowali się już bardzo wysoko, wśród gwiazd, których kule ogromne, złote, rubinowe, szmaragdowe, zakreśliły w przestworzach nieskończonych harmonijne elipsy i koła. Nieskazitelna czystość eteru rozlegała się po tych przestworzach; w ciszy, pełnej świateł, linii, ruchów zgodnych a swobodnych, mleczne drogi rozwijały kobierce, gubiące się w nieskończoności; komety świetne przelatywały, szumiąc warkoczami splecionemi z płomieni, jak bory, gdy po ich wierzchołkach szumią skrzydła orkanów niebieskich. Oboje teraz młodzi i piękni, okryci płaszczem miłości szczęśliwej, nie szli już, ale płynęli nad wstęgą blado-złotą, coraz wyżej. Ona ręce zaplotła mu u szyi, on kibić jej objął ramieniem i z ustami przy jej czole mówił:

— Otwórz serce i pokaż mi go aż do dna. Opowiedz wszystko, skarż się, oskarżaj. Nim dopłyniemy do celu, złóż w dłonie moje wszystkie brzemiona, które niosłaś, abym je mógł pokazać tam, jako okup wejścia dla ciebie...

Jeszcze nie skończył, a ona zaczęła już spełniać jego żądanie. Stało się to bez żadnego udziału jej woli. Poprostu, ufność bezgraniczna przyszła i serce jej na oścież przed nim otworzyła. Rok po roku, dzień po dniu, od momentu, w którym się rozstali, aż do tego, w którym przyszedł po nią, z ust jej popłynął różaniec paciorek ciemnych, po których gdzieniegdzie tylko ślizgały się blade światełka. Z głową, złożoną na jego piersi, mówiła wszystko, żaliła się, opowiadała i jednego tylko z żądań jego spełnić nie mogła: nie oskarżyła nikogo. Bywała opuszczaną i zapominaną, dusza jej była długo w osamotnieniu i chłodzie; ale nikt temu nie winien, nikt! Wszyscy biedni na ziemi, wszyscy ciężkie brzemiona dźwigają: więc i ona dźwigała swoje, bo widać, tak było potrzeba; a zawsze czuła to i myślała, że małej, w cierpieniu i winach wszystkim równej, przystoi jej tylko — przebaczać i milczeć.

Więc nawet przed duszą własną nie oskarżała nikogo, a odkąd się z nim rozstała, nie opowiadała duszy swej przed nikim. Ale teraz gdy to czyni, czuje, że wraz ze słowami wychodzą z niej wszystkie gorycze i żale, a natomiast wstępuje taka lekkość, jakby straciła wszelki pyłek brzemion ziemskich, a w zamian dostała — skrzydeł.

Znowu zatrzymał ją i, wskazując na szlak promienny, nad którym płynęli, rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała i w zwierciedle blado złotem zobaczyła, że u jej sukni ślubnej wyrosły skrzydła. Krzyknęła z podziwu, ale nie był to krzyk taki, jakie rozlegają się na ziemi, bo z ust jej wyszedł akordem muzycznym, wydłużonym w pieśń radosną, która, lecąc od gwiazdy do gwiazdy, echami zaczepiała każdą i razem z gwiazdami płynęła w przestworza nieskończone. On zaś rzekł:

— Bóg kocha cierpiących bez skargi i daje im radość bez granic!

Płynęli dalej w napowietrznym płaszczu miłości szczęśliwej, z lecącą przestworzami pieśnią radości bezgranicznej, coraz wyżej.

Patrząc na niezmąconą pogodę jego oczu, przypomniała sobie chmury ciężkie, które się niegdyś w nich odbijały, i zapytała:

— Czy jesteś zbawiony?

On zapytaniem wzajemnem odpowiedział:

— Czy pamiętasz, co najwięcej kochałem na ziemi?

— Pamiętam — odrzekła. — Nade mnie, nad siebie i nad wszystko swoje kochałeś to, co nie było dla ust twych żywnością, ani dla ciała twojego schronieniem, ani dla głowy twej wieńcem chwały, ani dla piersi twej tarczą obrony. Przeciwnie, miłość ta była nieszczęściem twojem, chmurami przeglądała się w twych oczach, i może przez nią — zawsze to sobie myślałam — przedwcześnie opuściłeś ziemię. Teraz przyobleka cię pogoda niezmącona.

Gdy przestała mówić, odpowiedział:

— Bóg kocha tych, którzy cierpią nie za siebie — i daje im niebo.

Byli już u wrót nieba; głos jego utonął w wybuchającym tu chórze głosów potężnych.

Po przestworzu rozpościerała się zasłona, nieścigniona okiem, w której przezroczach kryształowych płonęły wszystkie dyamenty i rozwijały się wszystkie kwiaty, jakie były kiedykolwiek w łonach i wykwitały z łon światów wszystkich. Wznosiły tam arkady wszystkie tęcze i rozwijały się w kobierce wszystkie mgławice, zorze, jutrzenki, jakiekolwiek zdobiły kiedy wszystkie niebiosa; i cokolwiek na globach niezliczonych, wirujących po przestrzeniach bezgranicznych, było zaczątkiem piękności, wszelka barwa, linia, forma, nosząca w sobie jej pierwiastek, tu dosięgało pełni swej doskonałej. W tej zasłonie, rozpostartej u wrót niebieskich, odbijało się wszystko, co tylko było pięknem na światach niezliczonych, ale w spotęgowaniu, tak niepojętem dla istoty ziemskiej, jak są dla niej niepojętemi: Wszechmoc i Bezmiar.

U bezmiaru zaś piękności, z którego była utkaną zasłona niebieska, grał bezmiar tonów. Gwiazdy, w wiekuistych podróżach swych tu przybywające, obracały się na swych osiach z graniem zgodnem i łagodnem, komety przelatujące ziały pieśnią materyi topiącej się w ogniu, eter dzwonił po kryształach, a morza, puszcze, otchłanie bezdenne, skrzydła niezliczone, wszystkie płomienie gorejące na wszystkich światach szumiały chórem gam, przebiegających wszechświat od krańca do krańca.

Lecz w tym hymnie gromów pełno też było — o, dziwo! — głosów bardzo drobnych. Wyglądało to tak, jak szczebioty ptactwa malutkiego, szmery robaczków, pełzających w trawach, szelesty, z jakimi kiełki roślinne dobywają się z ziarn pękających, kwilenia w kolebkach, łkania w cichych nocach... muzyka gwiazd, komet, eteru, mórz, puszcz, skrzydeł i płomieni — nie zagłuszała wcale tych głosów maluczkich: owszem, usiewały ją one, jak ziarnka maku rolę bezbrzeżną, wyraźne, równe jej i — równie słuchane.

Kobieta w sukni ślubnej, ze skrzydłami u ramion, z rękoma, zarzuconemi na szyję najdroższą, stała u zasłony, okrywającej wrota niebieskie i — słuchała. W zachwyceniu i podziwie słuchała muzyki potęg, lecz najsilniej słuch jej wabiły głosy malutkie. Pośród nich żyła, zpośród nich tu przyszła.

— Czy słyszysz, Jasiu? To w pierwszym dnia brzasku szary wróbel odzywa się pod dachem, a ten szmer cichy wydaje boża krówka, gdy z jednego źdźbła trawy przesuwa się na inne. Z takim szelestem kłos zboża, przez wiatr dotknięty, kłania się kłosom innym... a to westchnienie... o, jakże mi znane! to Zygmuś, po pracy znojnej, z głową bezsenną, przewraca się na pościeli i wzdycha. Czy słyszysz, Jasiu?

Wtem, wśród ziarn maku, rozsianych po roli bezbrzeżnej, jedno jeszcze zawołało ku niebu. Była to muzyczka drobna, złożona z trąbek, flecików i dzwonków. Kędyś na nizinie, stary zegar z kurantami grał...

— Czy słyszysz, Jasiu?

Słuchał. Z ziemi, zpod dachu rzuconego pomiędzy tysiące dachów, dobywała się muzyczka drobna, lecz poważna i szeroka, niekiedy tkliwa jak miłość kochanków, niekiedy dumna jak tryumf rycerza — muzyka poloneza. Słuchał — i niebieską pogodę jego oczu powlekać zaczęła łza.

Strwożona zapytała:

— Czy zbawieni płaczą?

On odpowiedział:

— Są na ziemi takie opary, które wzbijają się łzami do oczu nawet — zbawionych.

Wtem z roju głosów malutkich, usiewających potężny chór ogromów, dobył się jeden jeszcze; był to wyraźny, żałosny płacz dziecka.

— Tadzio płacze!

Przestała słyszeć gwiazdy i morza; słuchała płaczu dziecka.

— Czy słyszysz, Jasiu? Tadzio płacze... Biedactwo bardzo chore i jest tam przy nim kobieta z zimnemi oczyma, która szelestem sukni jedwabnej budzi go ze snu. Coraz mocniej płacze... Ja jedna uciszać, pocieszać go umiem. Ach, jak płacze! Czy słyszysz, Jasiu?

Nie słyszał. Z głową pochyloną ku nizinie odległej, wsłuchiwał się w kurant zegaru, śpiewający o tem, co najwięcej kochał na ziemi, co nie było dla ust jego żywnością, ani dla ciała schronieniem, ani dla głowy wieńcem chwały, ani dla piersi puklerzem obrony — lecz tylko dla serca miłością i bólem bez granic.

W pobliżu zaś zegara, grającego kuranta, rozlegał się wciąż płacz dziecka, coraz głośniejszy, zmieszany z wołaniem coraz żałośniejszem:

— Babuniu! babuniu!

Kobieta od wrót nieba krzyknęła ku ziemi:

— Idę, kocię najdroższe! idę, lecę!

Zleciała ze wstęgi blado złotej i z pośród gwiazd grających, zpod zasłony utkanej z bezmiaru piękna spadła w próżnię ciemną, głuchą, bezdenną.

Od dość już dawna, kędyś na niebie tarcza księżyca zsunęła się z widnokręgu i pociągnęła za sobą wszystkie swoje światła; poszła też z niemi za światy wstęga blado złota, która przez okno pokoiku babuni spływała od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek. Teraz okno to kwadratową płachtą szarą przerzynało ciemność czarną. Babunia obudziła się w czarnej ciemności i w ciszy głuchej. Tylko stary zegar nad jej głową tętnił miarowo: tak-tak! a z dołu z pod podłogi dochodził płacz dziecka głośny, żałosny.

Oczy babuni pełne jeszcze były świateł niebieskich i rysów oblicza najdroższego; w uszach jej brzmiała muzyka gwiazd coraz dalsza, konająca, twarz oblał strumień łez. Ale z twarzą we łzach stanęła wyprostowana, szepcąc:

— Tadzio płacze!

Drżącemi rękoma zapaliła lampę, w której świetle oblicze zegara spojrzało na nią z góry i wskaźnikami, szeroko rozstawionymi, objawiło zdziwienie niezmierne.

— Wróciłaś? Jak to! Od wrót nieba wróciłaś?

Zatrzęsła głową.

Ale na rozmowę z przyjacielem starym czasu nie miała; już zstępowała ze wschodów prędko, śpiesznie, aż znalazła się w pokoju chorych dzieci.

Wandeczka cicho leżała w pościeli, lecz Tadzio bardzo płakał. Babunia, z głową podniesioną, przebiła się do niego przez gromadkę niewiast naradzających się i strwożonych. Teraz między nim a nią nikt stawać nie może. Ona dla niego wróciła od wrót nieba.

— Kocię najdroższe!

— Babuniu!

Chociaż miał lat kilka, był wątłym, lekkim, i babunia, dźwignąwszy go w ramionach, nosić zaczęła w słabem świetle lampy

twarz jego stała się tak przezroczysta i żółta, jakby była ulepiona z wosku. Ludzi unikał także i dlatego, by czasem nie zażądał kto od niego jakiejkolwiek przysługi.

Wogóle był to człowiek z charakterem zwichniętym, zgorzkniały i nadzwyczaj nieszczęśliwy. A jednak nie była to natura z gruntu pospolita, gdyż nawet wady jego miały właściwe sobie, artystyczne cechy. Ci, którzy sądzili, że przy swem skąpstwie musiał zebrać znaczny majątek, mylili się.

Kamionka był naprawdę człowiekiem ubogim, albowiem wszystko, co posiadał, wydawał na akwaforty, których miał całą tekę na dwie szafy, a które od czasu do czasu przeglądał i liczył z ostrożnościami i chciwością lichwiarza, liczącego pieniądze. Z zamiłowaniem tem ukrywał się jak najstaranniej, może właśnie dlatego, że wyrosło na gruncie wielkiego nieszczęścia i wielkiego uczucia.

Raz, mniej więcej w rok po śmierci żony, zobaczył u antykwaryusza stary sztych, wyobrażający Armidę — i w twarzy Armidy dopatrzył się podobieństwa do twarzy swej zmarłej. Sztych ten nabył zaraz i od tej pory począł szukać miedziorytów, z początku przedstawiających tylko Armidy, następnie, w miarę jak zamiłowanie w nim wzrastało, — i wszelkich innych.

Ludzie, którzy stracili istoty bardzo kochane, muszą zaczepić życie o byle co, inaczej nie mogliby istnieć. Co do Kamionki, niktby się nie domyślił, że ten podstarzały dziwak i egoista kochał niegdyś nad życie swoją żonę.

Prawdopodobnie też, gdyby nie była umarła, życie jego popłynęłoby pogodniej, szerzej i bardziej po ludzku.

Bądź co bądź, miłość ta przeżyła w Kamionce i jego szczęśliwe czasy i jego młodość i nawet jego talent.

Pobożność, która z biegiem lat zmieniła się na zwyczaj, polegający na zachowywaniu form zewnętrznych, wypłynęła również z tego samego źródła.

Kamionka, nie należąc do ludzi głęboko wierzących, począł jednak po śmierci żony modlić się za nią, bo mu się zdawało, że to jest jedyna rzecz, którą może dla niej uczynić, i że w ten sposób jeszcze go jakaś nić z nią łączy.

Natury pozornie zimne umieją często kochać nader mocno i wytrwale. Po śmierci żony, całkowite życie Kamionki i wszystkie jego myśli owinęły się koło wspomnienia o niej i czerpały z niego pokarm, zupełnie jak pasorzytna roślina czerpie pokarm z pnia, na którym żyje. Ale z tego rodzaju wspomnień roślina ludzka może czerpać tylko zatrute soki, złożone z żalu i z ogromnego zmartwienia, więc też i Kamionka zatruwał się, krzywił i marniał. Gdyby nie był artystą, prawdopodobnie nie przeżyłby swej straty, ale powołanie ocaliło go w ten sposób, że po śmierci żony, zaczął rzeźbić dla niej pomnik. Próżno żywym mówić, że dla umarłych wszystko jedno, w jakich grobach leżą. Kamionka chciał, by jego Zosi było tam pięknie — i pracował nad jej pomnikiem, tyle samo sercem, ile rękoma. To sprawiło, że przez pierwsze pół roku nie dostał pomie-

szania zmysłów i że zżył się z rozpaczą.

Człowiek pozostał zwichnięty i nieszczęśliwy, ale sztuka ocaliła artystę. Od tej pory Kamionka istniał przez nią. Ludzie, którzy po galeryach przypatrują się posągom i obrazom, nie domyślają się, że artysta może służyć sztuce uczciwie lub nieuczciwie. Pod tym względem Kamionka był bez zarzutu. Nie miał on skrzydeł u ramion, posiadał tylko talent, nieco wyższy nad średnią miarę, i może dlatego sztuka nie zdołała mu ani wypełnić życia, ani wszystkich strat nagrodzić — ale ją głęboko szanował i zawsze był względem niej szczery. Przez długie lata swego zawodu nie oszukał i nie ukrzywdził jej nigdy, ani dla sławy ani dla pokupu, ani dla pochwał ani dla przygan. Tworzył zawsze tak, jak czuł.

Ze swych szczęśliwych czasów, gdy żył, jak każdy inny człowiek, umiał rozpowiadać o sztuce rzeczy zupełnie niepowszednie, a i potem, gdy już poczęto od niego stronić, rozmyślał nieraz o niej w swojej samotnej pracowni, w sposób uczciwy i wysoki.

Czuł się ogromnie opuszczony, ale nie było w tem nic dziwnego. Stosunki ludzkie muszą mieć jakąś średnią modłę, na mocy której, ludzie nieszczęśliwi bywają z życia wyłączeni. I z tej samej przyczyny, porastają tak dziwactwem i wadami, jak kamień wyrzucony z potoku porasta mchem, gdy przestanie ocierać się o inne. Teraz gdy Kamionka zachorował, żadna żywa dusza nie zajrzała do jego pracowni, z wyjątkiem posługaczki, która dwa razy dziennie przychodziła nastawić i podać mu herbatę. Za każdem przyjściem radziła mu, aby wezwał lekarza, ale on, bojąc się wydatku, nie chciał się na to zgodzić.

Nakoniec zesłabł bardzo może dlatego, że nic nie brał do ust prócz herbaty. Ale on do niczego nie miał już ochoty, ani do jedzenia, ani do pracy, ani do życia. Myśli jego były tak zwiędłe, jak owe liście, na które spoglądał przez okno, i odpowiadały zupełnie tej jesieni, tej słocie i tym ołowianym ciemnościom. Niema gorszych chwil na świecie, nad takie, w których człowiek czuje, że czego miał dopełnić, to już dopełnił, co miał przeżyć, to przeżył, i że mu się już w życiu nic nie należy. Kamionka od lat blisko piętnastu żył w ciągłym wewnętrznym niepokoju, że jego talent wyczerpuje się. Obecnie był tego pewien i z goryczą myślał, że nawet i sztuka go opuszcza.

Czuł przytem wyczerpanie w każdej kości. Nie spodziewał się rychłej śmierci, ale nie wierzył w swój powrót do zdrowia. Wogóle nie było w nim ani jednej iskry nadziei.

Jeśli sobie jeszcze czegoś teraz życzył, to chyba tego, by się wypogodziło i by słońce zaświeciło w pracowni.

Sądził nawet, że w takim razie nabrałby może jakiejkolwiek otuchy. Zawsze był on szczególnie wrażliwy na słotę, ciemności, zawsze takie dni powiększały jego smutek i pognębienie, a cóż dopiero teraz, gdy ów czas, jak go Kamionka nazywał: beznadziejny, przyszedł, w towarzystwie choroby!

weszła? Następnie pomyślał, że może z osłabienia coś mu się wydaje, i przymknął oczy.

Lecz po chwili otworzył je znowu.

Siostra siedziała zawsze na tem samem miejscu, nieruchoma, jakby pogrążona w modlitwie. .

Dziwne uczucie, złożone z przestrachu i z wielkiej radości, poczęło podnosić włosy na głowie chorego. Coś ciągnęło jego wzrok z niepojętą siłą ku tej postaci. Zdawało mu się, że ją już niegdyś widział, ale gdzie i kiedy? — nie pamiętał. Chwyciła go niepohamowana chęć zobaczenia jej twarzy, ale biały kornet zasłaniał ją; Kamionka zaś, sam nie wiedząc dlaczego, nie śmiał ani odezwać się, ani poruszyć, ani prawie odetchnąć. Czuł tylko, że uczucie strachu, a zarazem radości obejmuje go coraz silniej i ze zdumieniem pytał sam siebie: co to jest?

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. I co za cudny poranek musiał tam być na dworze! Nagle, bez żadnych przejść, weszło do pracowni światło tak mocne, jasne i radosne, jakby to była wiosna i maj. Fale złotego blasku, wzbierając jak powódź, poczęły wypełniać izbę, zalewać ją tak potężnie, że marmury utonęły i rozpuściły się w tej jasności, ściany zlały się z nią, potem znikły zupełnie — i Kamionka znalazł się jakby w jakiejś świetlanej przestrzeni bez granic.

Wtem spostrzegł, że i kornet na głowie zakonnicy poczyna tracić swą białą sztywność, drga po brzegach, topnieje, rozpływa się jak jasna mgła i zmienia się także w światło.

Zakonnica zwróciła zwolna twarz ku choremu — i nagle ów opuszczony nędzarz ujrzał w świetlnej aureoli znajome, stokroć ukochane rysy swej zmarłej.

Wówczas zerwał się z łóżka, a z piersi jego wydarł się krzyk, w którym były całe lata łez, żalu, zmartwienia i rozpaczy:

— Zosia! Zosia!

I chwyciwszy ją, tulił do siebie, a ona również zarzuciła mu ręce na szyję.

Światło napływało coraz więcej.

— Nie zapomniałeś o mnie, — rzekła wreszcie, — więc przyszłam i uprosiłam ci śmierć lekką.

Kamionka wciąż trzymał ją w ramionach, jakby w obawie, żeby błogosławione widzenie nie znikło mu razem ze światłem.

— Jam gotów umrzeć — odpowiedział — byleś została przy mnie.

Ona uśmiechnęła się do niego anielskim uśmiechem i odejmując jedną rękę z jego szyi, wskazała nią na dół i rzekła:

— Tyś już umarł: patrz tam!

Kamionka spojrzał w kierunku jej ręki i hen, pod stopami, ujrzał przez okno w pułapie wnętrze swej pracowni mrocznej, samotnej; w niej na łóżku leżał jego własny trup z szeroko otwartemi ustami, które w wyżółkłej twarzy tworzyły jakby czarną jamę.

I patrzał na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą po

chwili poczęło mu wszystko ginąć z oczu, bo owa otaczająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność...

2. Ogniem i mieczem. (1884).

Na tle wojny, prowadzonej przez Rzeczpospolitą ze zbuntowanymi pod Bohdanem Chmielnickim od r. 1648 Kozakami, kreśli Sienkiewicz postać ich najzawziętszego nieprzyjaciela Jeremiego Wiśniowieckiego, oraz kilka figur historycznie podrzędnych, lecz powieściowo bardzo ważnych: wzniosłego w prostocie swojej Longinusa Podbipięty, jowialnego Zagłoby, rycerskiego eleganta Wołodyjowskiego,. wreszcie mniej wyrazistego Skrzetuskiego, którego miłość do Heleny stanowi więź artystyczną całości. Z obozu przeciwnego wydatnie namalowane zostały osobistości Chmielnickiego, Krzywonosa, a najbardziej Bohuna, który pragnąc owładnąć Helenką, sprowadza zawikłania powieściowe. W przytoczonym tu ustępie odmalowaną została bitwa pod Machnówką w r. 1648.

Szedł tedy Krzywonos z Białocerkwi, na Skwirę i Pohrebyszcze, ku Machnówce, a gdzie przeszedł, ginęły nawet ślady ludzkiego życia. Kto do niego nie przystał, pod nożem ginął. Palono nawet zboże na pniu, lasy i sady, a książę tymczasem prowadził na swoją rękę zniszczenie. Po wycięciu Pohrebyszcz i krwawym chrzcie, jaki pan Baranowski Niemirowowi sprawił, wygniotły jeszcze wojska kilkanaście znacznych watah i stanęły obozem pod Rajgrodem, gdyż miesiąc to już upływał, jak nie zsiadały z konia, i trud je nadwątlił, i śmierć je znacznie umniejszyła. Trzeba było odpocząć, gdyż ręce tych kosiarzy od krwawej kośby pomdlały. Wahał się nawet książę i rozmyślał, czyby nie pójść na czas jakiś do spokojniejszego kraju, dla odpoczynku i pomnożenia wojsk, a zwłaszcza koni, które podobniejsze były do szkieletów zwierzęcych, niż do żywych stworzeń, gdyż od miesiąca ziarna nie zaznały, stratowaną trawą tylko żyjąc.

Wtem po tygodniowym postoju dano znać, że posiłki idą. Książę zaraz wyjechał na spotkanie — i istotnie spotkał pana Janusza Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego, który nadchodził w półtora tysiąca ludzi dobrych, a z nim pan Krzysztof Tyszkiewicz, podsędek bracławski, młody pan Aksak, prawie pacholę jeszcze, z dobrze okrytą własną chorągiewką usarską, i wiele szlachty, jako panowie: Sieniutowie, Połubińscy, Żytyńscy, Jełowiccy, Kierdeje, Bohusławscy, jedni z pocztami, drudzy bez, razem całej siły blisko dwa tysiące koni, prócz czeladzi.

Ucieszył się więc książę bardzo i wdzięcznie pana wojewodę do swej kwatery zaprosił, który nie mógł się oddziwić jej ubóstwu i prostocie. Bo książę, o ile w Łubnach żył po królewsku, o tyle na wyprawach, chcąc przykład dać żołnierstwu, żadnych wygód sobie nie pozwalał. Stał więc w jednej izbie, do której pan wojewoda kijowski zaledwie mógł się, z powodu swej ogromnej tuszy, przez wąskie drzwi przecisnąć, aż się kazał rękodajnemu z tyłu pchać. W izbie, prócz stołu. nie było nic więcej, jeno jeszcze siennik przy drzwiach, na którym sypiał pacholik, zawsze do posług gotowy. Ta prostota zdziwiła bardzo wojewodę, który wygodę lubił i z ko-

biercami się woził. Wszedł tedy i ze zdumieniem na księcia poglądał, dziwiąc się, jak mógł tak wielki duch mieścić się w takiej prostoce i takiem ubóstwie. Widywał on czasem księcia na sejmach w Warszawie, był mu nawet zdala pokrewnym, ale go bliżej nie znał. Dopiero gdy z nim mówić począł, poznał zaraz, że ma z nadzwyczajnym człowiekiem do czynienia. I on, stary senator i stary żołnierz rubacha, który kolegów senatorów po ramieniu klepał, księciu Dominikowi Zasławskiemu mówił: „mój łaskawco!" i z samym królem był poufale, nie mógł się na takową poufałość z Wiśniowieckim zdobyć, chociaż książę przyjął go uprzejmie, bo był mu wdzięczen za posiłki.

— Mości wojewodo — rzekł — Bogu chwała, iżeście przybyli ze świeżym ludem, bom też już ostatnim tchem gonił.

— Widziałem ja po żołnierzach waszej książęcej mości, iż się napracowali niebożęta, co i mnie trapi niemało, gdyżem tu z prośbą przybył, byś W. K. M. na ratunek mnie pośpieszył.

— A czy pilno?

— *Periculum in mora*, *periculum in mora!* (niebezpieczeństwo w zwlekaniu!) Nadciągnęło hultajstwa kilkadziesiąt tysięcy, a nad nimi Krzywonos, który, jakom słyszał na W. K. M. był komenderowany, ale dostawszy języka, żeś W. K. M. ku Konstantynowu ruszył, tam pociągnął, a teraz po drodze mnie Machnówkę obległ i takie spustoszenia poczynił, iż żaden język wypowiedzieć tego nie jest w możności.

— Słyszałem ja o Krzywonosie i tum go czekał, ale skoro mnie minął, widzę, że sam go szukać muszę. Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki. Siła w Machnówce jest załogi?

— Jest w zamku dwieście Niemców, bardzo dobrych, którzy wytrzymają jeszcze czas jakiś. Ale co najgorzej, to że do miasta zjechało się sporo szlachty z rodzinami, miasto zaś, jeno wałem i częstokołem obronne, długo oporu stawiać nie może.

— Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki — powtórzył książę.

A potem zwróciwszy się ku pacholikowi:

— Zeleński! — rzekł — biegaj po pułkowników.

Wojewoda kijowski siadł tymczasem na ławie i sapał — trochę się przytem za wieczerzą oglądał, gdyż był głodny, a lubił jeść dobrze.

Wtem rozległy się zbrojne stąpania i weszli oficerowie książęcy — czarni, wychudli, brodaci, z pozapadanemi oczyma, ze śladami niewypowiedzianych trudów na twarzy. Skłonili się w milczeniu księciu, gościom, i czekali, co powie.

— Mości panowie — rzekł książę — czy konie u toków?

— Tak jest.

— Gotowe?

— Jako zawsze.

— To dobrze. Za godzinę ruszamy na Krzywonosa.

— Hę? — rzekł wojewoda kijowski i spojrzał ze zdziwieniem na pana Krzysztofa, podsędka bracławskiego.

A książę mówił dalej:

— Imć Poniatowski i Imć Wierszuł ruszą pierwsi. Za nimi pójdzie Baranowski z dragonią, a w godzinę żeby mi i armaty Wurcla wyszły.

Pułkownicy, skłoniwszy się, opuścili izbę — i po chwili rozległy się trąbki, grające wsiadanego. Wojewoda kijowski takiego pośpiechu się nie spodziewał, a nawet sobie nie życzył, gdyż był zmęczony i zdrożony. Liczył on na to, że z dzionek u księcia wypocznie i jeszcze zdąży — a tu przychodziło zaraz, nie śpiąc, nie jedząc, na koń siadać.

— Mości książę — rzekł — a czy zajdą żołnierze wasi do Machnówki, bo widziałem: strasznie fatigati, a to droga daleka.

— Niech waszejmości o to głowa nie boli. Jak na śpiewanie idą oni na bitwę.

— Widzę ja to, widzę. Siarczysty żołnierz. Ale bo to i mój lud podróżny.

— Mówiłeś wasza mość: *periculum in mora*.

— Tak jest, ale możeby przez noc odpocząć. My z pod Chmielnika idziemy.

— Mości wojewodo, my z Łubnów, z Zadnieprza.

— Cały dzień byliśmy w drodze.

— My cały miesiąc.

To rzekłszy, książę wyszedł, by osobiście szyk bojowy sprawić, a wojewoda oczy na podsędka, pana Krzysztofa, wytrzeszczył, dłońmi po kolanach uderzył i mówił:

— Ot mam, czegom chciał. Dalibóg, oni mnie tu głodem zamorzą. Oto w gorącej wodzie kąpani! przychodzę o pomoc, myślę, że po wielkich molestacyach za dwa, trzy dni ruszą, a tu i odetchnąć nie dadzą. Niechże ich kaduk porwie! Puślisko mi nogę przetarło, co mi je zdrajca pachołek źle przypiął, w brzuchu mi kruczy... niechże ich kaduk porwie! Machnówka Machnówką, a brzuch brzuchem! Jam też stary żołnierz, więcej jam może wojny od nich zażywał — ale nie tak łap, cap! To dyabły, nie ludzie! nie śpią, nie jedzą, tylko się biją. Jak mi Bóg miły, tak oni nigdy nie jedzą. Widziałeś, panie Krzysztofie, tych pułkowników, czy nie wyglądają jak *spectra* (widma)? co?

— Ale fantazya u nich ognista — odpowiedział pan Krzysztof, który żołnierz był zamiłowany. Miły Boże! ile to zamieszania i nieładu po innych obozach, gdy ruszać przyjdzie, ile bieganiny, szykowania wozów, posyłania po konie — a tu, słyszycie waszmość? oto już lekkie chorągwie wychodzą.

— A juści, że tak jest! desperacya! — mówił wojewoda.

A młody pan Aksak dłonie swoje chłopięce złożył:

— Ach, wielki to wódz! ach, wielki to wojownik! — mówił z uniesieniem.

— U waści mleko pod nosem! — huknął na niego wojewoda. — Cunctator także był wielki wódz! — rozumiesz wasze?

Wtem wszedł książę.

— Mości panowie, na koń! ruszamy!

Wojewoda nie wytrzymał.

— Każ-że W. K. M. dać co zjeść, bom głodny! — wykrzyknął z wybuchem złego humoru.

— A mój mości wojewodo! — rzekł książę, śmiejąc się i biorąc go w ramiona — wybaczcie, wybaczcie; całem sercem, ale na wojnie człek o tych rzeczach zapomina.

— A co, panie Krzysztofie, nie mówiłem, że oni nie jedzą? — rzecze wojewoda, zwracając się do podsędka bracławskiego.

Ale wieczerza nie długo trwała i w parę godzin później nawet i piechoty wyszły już z Rajgrodu. Ciągnęły wojska na Winnicę i Lityn. ku Chmielnikowi. Po drodze natknął się Wierszułł na zagonek tatarski w Sawerówce, który wraz z panem Wołodyjowskim wygnietli do szczętu, oswobodziwszy kilkaset dusz jasyru, samych prawie dziewcząt. Tamże rozpoczynał się już kraj spustoszały, pełen śladów Krzywonosowej ręki. Strzyżawka była spalona. a ludność jej wymordowana w straszny sposób. Widocznie nieszczęśnicy stawili opór Krzywonosowi, za który dziki wódz oddał ich mieczom i płomieniom. U wejścia do wsi wisiał na dębie sam pan Strzyżowski, którego ludzie Tyszkiewicza zaraz poznali. Wisiał nagi zupełnie, a na piersiach miał ogromny naszyjnik. złożony z głów ponawłóczonych na powróz. Były to głowy jego sześciorga dziatek i żony. W samej wsi, spalonej zresztą do szczętu, ujrzały chorągwie po obu stronach drogi długi szereg „świec kozackich“, to jest ludzi ze wzniesionemi nad głową rękoma, poprzywiązywanych do żerdzi wbitych w ziemię, obwiniętych słomą. oblanych smołą i zapalonych od dłoni. Większa ich część miała poupalane tylko ręce, gdyż deszcz przeszkodził widocznie dalszemu gorzeniu. Ale straszne były te trupy z powykrzywianemi twarzami. wyciągające ku niebu czarne kikuty. Zapach zgnilizny rozchodził się dokoła. Nad słupami kotłowały się chorowody wron i kawek, które za zbliżeniem się wojska zrywały się z wrzaskiem z bliższych słupów, by siąść na dalszych. Kilka wilków pomknęło przed chorągwiami ku zaroślom. Wojska posuwały się w milczeniu straszliwą aleją i liczyły „świece“. Było ich trzysta kilkadziesiąt. Minęli wreszcie ową nieszczęsną wioskę i odetchnęli świeżem powietrzem polnem. Ale ślady zniszczenia szły dalej. Była to pierwsza połowa lipca. Zboża już prawie dochodziły, spodziewano się bowiem wczesnych żniw. Ale całe łany były częścią spalone, częścią stratowane. zwikłane, wdeptane w ziemię. Zdawaćby się mogło. że huragan przeszedł przez niwy. Jakoż i przeszedł po nich huragan najgroźniejszy ze wszystkich — wojny domowej. Żołnierze książęcy widzieli nieraz żyzne okolice. spustoszałe po napadzie Tatarów. ale podobnej zgrozy, podobnej wściekłości zniszczenia nie widzieli nigdy w życiu. Lasy popalono tak samo jak zboże. Gdzie ogień drzew nie pożarł. tam odarł z nich ognistym językiem liść i korę, opalił oddechem. odymił, poczernił — i drzewa więc sterczały, juk szkielety. Pan wojewoda kijowski patrzył i oczom nie wierzył. Miedziaków. Zbar. Futory, Słoboda — jedne zgliszcze! Gdzieniegdzie chłopi uciekli do Krzywonosa, kobiety zaś i dzieci poszły w jasyr owego zagonu ordy,

który Wierszułł z Wołodyjowskim wygnietli. Na ziemi pustosz, na niebie stada wron, kruków, kawek, sępów, które pozlatywały się, Bóg wie skąd, na kozacze żniwo... Ślady przejścia wojsk stawały się coraz świeższe. Napotykano raz wraz złamane wozy, trupy bydlęce i ludzkie jeszcze nie zepsute, potłuczone garnki, miedziane kotły, wory z zamokłą mąką, zgliszcza jeszcze dymiące, stogi świeżo napoczęte i rozrzucone. Książę parł chorągwie ku Chmielnikowi, nie dając im odetchnąć, stary zaś wojewoda za głowę się chwytał, powtarzając żałośnie:

— Moja Machnówka! moja Machnówka! widzę już, iż nie zdążymy.

Tymczasem w Chmielniku przyszła wiadomość, że nie sam stary Krzywonos, ale syn jego Machnówkę w kilkanaście tysięcy ludzi oblega, i że on to naczynił tak nieludzkich spustoszeń po drodze. Miasto, wedle tego, co ogłosiły wieści, było już zdobyte. Kozacy, dostawszy go, wyrznęli w pień szlachtę i żydów, szlachcianki zaś pobrali do swego taboru, gdzie oczekiwał je los gorszy od śmierci. Ale zameczek pod wodzą pana Lwa bronił się jeszcze. Kozacy szturmowali go z klasztoru bernardynów, w którym wysiekli zakonników. Pan Lew, goniąc ostatkiem sił i prochów, nie obiecywał się dłużej trzymać nad jedną noc.

Zostawił więc książę piechoty, działa i główne siły wojska, którym kazał iść do Bystrzyka, sam zaś z wojewodą, panem Krzysztofem, panem Aksakiem, w dwa tysiące komunika na pomoc skoczył. Stary wojewoda już hamował, bo głowę stracił: „Machnówka przepadła, przyjdziemy zapóźno! lepiej poniechać, a innych miejsc bronić i w prezydya (obronę) je zaopatrzyć“ — powtarzał. Ale książę nie chciał słuchać. Pan podsędek bracławski naglił, a wojska rwały się do boju.

„Skorośmy tu przyszli, nie odejdziemy bez krwi“ — mówili pułkownicy. I ruszono naprzód.

Aż w pół mili od Machnówki kilkunastu jeźdźców, pędząc co koń wyskoczy, zabiegło wojsku drogę. Był to pan Lew z towarzyszami. Ujrzawszy go, wojewoda kijowski odgadł natychmiast, co się stało.

— Zamek zdobyty! — krzyknął.

— Tak jest! — odpowiedział pan Lew, i w tejże chwili omdlał, bo był posieczony i postrzelany, więc krew go uszła. Ale inni poczęli opowiadać, co się stało. Niemców na murach wybito do nogi, gdyż woleli umierać niż się poddawać — pan Lew przebił się przez gęstwę czerni i wyłamane bramy, wszelako w izbach na wieży broniło się kilkudziesięciu szlachty — tym należało dać śpieszny ratunek.

Ruszono więc z kopyta. Po chwili ukazało się na górze miasto i zamek, a nad niemi ciężka chmura dymów od wszczętego pożaru. Dzień już zapadał. Na niebie paliły się ogromne zorze purpurowe i złote, które wojska zrazu za łunę poczytały. Przy tych blaskach widać było pułki zaporożców i zbite masy czerni, płynące przez bramy na spotkanie wojsk tem śmielej, że sam tylko wojewoda

kijowski nadciąga z odsieczą. Znać wódka oślepiła ich zupełnie, albo świeże zdobycie zamku natchnęło pychą niezmierną, gdyż śmiało zstąpili z góry i dopiero na równinie poczęli się szykować do bitwy z ochotą wielką, grzmiąc w kotły i litaury. Na ten widok, okrzyk radości wyrwał się ze wszystkich polskich piersi, a pan wojewoda kijowski miał sposobność po raz wtóry podziwiać sprawność chorągwi książęcych. Zatrzymawszy się na widok kozactwa, stanęły od razu w szyku bojowym, ciężka jazda w środku, lekkie na skrzydłach, tak, iż nic nie należało poprawiać i można było z miejsca zaczynać.

— Panie Krzysztofie, co to za lud! — rzekł wojewoda. — Od razu stanęli w ordynku. Mogliby oni i bez wodza bitwy staczać!

Książę wszelako, jako wódz przezorny, przelatywał z buławą w ręku między chorągwiami, od skrzydła do skrzydła, opatrywał, ostatnie dawał rozkazy. Zorze odbijały się w jego srebrnym pancerzu i podobny był do jasnego płomienia, latającego między szeregami, ile że śród ciemnych zbroic sam jeden świecił mocno.

Stanęły tedy: w środku, w pierwszej linii, trzy chorągwie — pierwsza, którą sam wojewoda kijowski sprawował, druga młodego pana Aksaka, trzecia pana Krzysztofa Tyszkiewicza, za nimi w drugiej linii dragonia pod panem Baranowskim, a wreszcie olbrzymia husarya książęca — przy niej, jako sprawca, pan Skrzetuski.

Skrzydła zajęli Wierszułł, Kuszel i Poniatowski. Armat nie było, gdyż Wurcel został w Bystrzyku.

Książę poskoczył do wojewody i buławą skinął.

— Za swoje krzywdy poczynaj wasza mość najpierwszy!

Wojewoda z kolei machnął buzdyganem — pochylili się żołnierze w kulbakach i ruszyli. A zaraz po sposobie prowadzenia chorągwi można było poznać, iż wojewoda choć ciężki i kunktator, bo wiekiem przygnieciony, przecież żołnierz jest doświadczony i mężny. Nie zerwał on z miejsca chorągwi do największego impetu, by sił oszczędzić, ale prowadził zwolna, powiększając pęd w miarę, jak ku nieprzyjacielowi się zbliżał. Sam też biegł w pierwszym szeregu, z buzdyganem w ręku, pacholik mu tylko pod ręką trzymał koncerz długi i ciężki, nie zaciężki jednak na jego rękę. Czerń też sypnęła się ku chorągwi piechotą, z kosami i cepami, by pierwszy impet powstrzymać i Zaporożcom atak ułatwić. Gdy więc nie dzieliło ich więcej nad kilkadziesiąt kroków, poznali wojewodę Machnowiczanie po olbrzymim wzroście i tuszy, a poznawszy, wołać zaczęli:

— Hej, jaśnie wielmożny wojewodo, żniwa bliskie, czemuto poddanym wychodzić nie każesz? Czołem, jasny panie! już my ci ten brzuch przewiercimy.

I grad kul posypał się na chorągiew, ale szkody nie uczynił, bo szła już jak wicher. Uderzyli się tedy mocno. Rozległ się stukot cepów i brzęk kos o pancerze, krzyk i jęki. Kopie otwarły bramę w zbitej masie czerni, przez którą rozhukane konie wpadły jak orkan tratując, przewalając, miażdżąc. I jako na łące, gdy stanie szereg kosiarzy, bujna trawa znika przed nimi, a oni idą naprzód, machając drągami od kos, tak właśnie pod cięciami mieczów szeroka

ławica czerni zwężała się, topniała, nikła — a parta piersiami końskiemi, nie mogąc ustać na miejscu, poczęła się kolebać. Wreszcie zagrzmiał krzyk: „ludy spasajteś!“ i cała masa, rzucając kosy, cepy, widły, samopały, rzuciła się w dzikim popłochu na stojące w tyle pułki zaporożców. Ale zaporożcy, bojąc się, by uciekający tłum nie zawichrzył ich szeregów, nadstawili mu spisy, więc czerń, widząc tę zaporę, rzuciła się z wyciem rozpaczliwem w obie strony, wnet jednak zegnali ją nanowo Kuszel i Poniatowski, którzy od skrzydeł książęcych właśnie ruszyli.

A zaś wojewoda, idąc po trupach czerni, stanął w obliczu zaporożców i gnał ku nim, oni zaś ku niemu, chcąc na impet impetem odpowiedzieć. I tak właśnie uderzyli się o siebie, jako dwie fale z przeciwnych stron idące, które przy uderzeniu grzebień pienisty utworzą. Tak konie wspięły się przed końmi, jeźdźcy jak wał — a szable nad wałem jak piana. I poznał wojewoda, że to nie z czernią robota, ale z ciętym i wyćwiczonym żołnierzem zaporoskim. Dwie linie parły się wzajem, gięły, jedna drugiej przegiąć nie mogąc. Trup padał gęsty, bo tam mąż uderzał na męża, miecz na miecz. Sam wojewoda, zasadziwszy za pas buzdygan, a porwawszy koncerz od pacholika, pracował w pocie czoła, sapiąc jak miech kowalski. Przy nim dwóch panów Sieniutów, panowie Kierdeje, Bohusławscy, Jełowiccy i Połubińscy, uwijali się, jak w ukropie. Ale po stronie kozackiej srożył się najbardziej Iwan Burdabut, z kalnickiego pułku podpułkowik, kozak olbrzymiej siły i statury, tem straszniejszy, że i konia miał takiego, który na równi z panem walczył. Niejeden tedy towarzysz zdarł rumaka i cofnął się, by się, z owym centaurem nie spotkać, szerzącym śmierć i spustoszenie. Skoczyli ku niemu bracia Sieniutowie, ale koń Burdabutowy schwycił młodszego, Andrzeja, zębami za twarz i zmiażdżył ją w mgieniu oka, co widząc starszy Rafał ciął bestyą nad oczami. Zranił ją, ale nie zabił, bo szabla na guz mosiężny na naczółku trafiła. Jemu zaś Burdabut w tej chwili wepchnął sztych pod brodę i życia go zbawił. Tak polegli obaj bracia, panowie Sieniutowie, i leżeli w pozłocistych pancerzach w kurzawie, pod kopytami rumaków, Burdabut zaś rzucił się jak płomień w dalsze szeregi i porwał zaraz kniazia Połubińskiego, szesnastoletnie pacholę, któremu odciął prawe ramię wraz z ręką. Widząc to pan Urbański chciał pomścić śmierć krewniaka i w samą twarz Burdabutowi z pistoletu wypalił, ale chybił, ucho mu tylko odstrzelił i krwią go oblał. Straszny był wtedy Burdabut i koń jego, obaj czarni jak noc, obaj krwią zlani, obaj z dzikiemi oczyma i rozdętemi nozdrzami, szalejący jak burza. Nie wybiegał się od śmierci z jego ręki i pan Urbański, któremu głowę, jak kat, jednym zamachem uciął, i stary ośmdziesięcioletni pan Żytyński, i dwóch panów Nikczemnych, a inni cofać się poczęli z przerażeniem, zwłaszcza że za Burdabutem błyskało sto innych szabel zaporoskich i sto spis w krwi już zmoczonych.

Dojrzał nakoniec dziki watażka wojewody, i wydawszy okropny krzyk radości, rzucił się ku niemu, obalając po drodze konie i jeźdźców — a wojewoda się nie cofał. Dufając w siłę niepospolitą, sapnął.

jak ranny odyniec, wzniósł koncerz nad głową i wspiąwszy konia, ku Burdabutowi skoczył. I byłby pewnie nadszedł ostatni kres jego, pewno już Parka w nożyce nić jego żywota schwyciła, którą potem w Okrzei przecięła, gdyby nie Silnicki, pacholik szlachecki, który jak błyskawica na watażkę się rzucił i w pół go chwycił, nim szablą został przeszyty. Bo gdy się Burdabut z nim zabawiał, krzyknęli panowie Kierdeje o ratunek dla wojewody; wnet skoczyło kilkadziesiąt ludzi, którzy go od watażki przedzielili, zaczem bitwa zawiązała się zacięta. Ale zmorzony pułk wojewodzin począł się już uginać pod przemocą zaporoską, cofać i mieszać, gdy pan Krzysztof, podsędek bracławski, i pan Aksak ze świeżemi chorągwiami nadbiegli. Wprawdzie i nowe pułki zaporoskie ruszyły w tej chwili do boju, ale przecie poniżej stał jeszcze książę z dragonami Baranowskiego i husaryą pana Skrzetuskiego, którzy dotychczas nie brali w potrzebie udziału.

Zawrzała więc nanowo krwawa rzeźba, a tymczasem zmrok już zapadł. Lecz pożar ogarnął skrajne domy miasta. Łuna oświecała pobojowisko i widać było doskonale obie linie, polską i kozacką, łamiące się pod górą, widać było barwy proporców i nawet twarze. Już też pan Wierszułł, pan Poniatowski i pan Kuszel byli także w ogniu i pracy, bo starłszy czerń, bili się na skrzydłach kozackich, które pod ich naciskiem poczęły cofać się ku górze. Długa linia walczących wygięła się dwoma końcami ku miastu i poczęła wyginać się coraz bardziej, bo gdy skrzydła polskie awansowały, środek, party przez przeważne siły kozackie, ustępował ku księciu. Poszły trzy nowe pułki kozackie, by go rozerwać, ale w tej chwili książę pchnął dragonów pana Baranowskiego i ci pokrzepili siły walczących.

Przy księciu została sama husarya — z daleka rzekłbyś: bór ciemny, co prosto z pola wyrasta, groźna ławica żelaznych mężów, koni i kopii. Powiew wieczorny szeleścił nad nimi proporcami, a oni stali cicho, nie rwąc się bez rozkazu do boju, cierpliwi, bo wytrawni i w tylu bitwach doświadczeni, i wiedzący, że ich udział krwawy nie minie. Między nimi książę w srebrnej zbroi, ze złotą buławą w ręku, wytężał oczy na bitwę — a z lewej strony pan Skrzetuski, trochę bokiem na końcu stojący. Rękaw, jako porucznik, na ramieniu zawinął i trzymając w potężnej, gołej do łokcia ręce koncerz zamiast buzdygana, czekał spokojnie komendy.

A książę lewą dłonią oczy przeciw pożarowi nakrył i patrzył na bitwę. Środek polskiego półksiężyca obsuwał się zwolna ku niemu, zmagany przez przemoc, bo nie na długo wsparł go pan Baranowski, ten sam, który Niemirów wyciął. Widział więc książę, jak na dłoni, pracę ciężką żołnierzy. Wydłużona błyskawica szabel, to wznosiła się nad czarną linią głów, to nikła w zamachach. Konie bez jeźdźców wypadały z tej ławy walczących i rżąc, biegły po równinie z rozwianemi grzywami, na tle pożaru do bestyi piekielnych podobne. Czasem chorągiew krasna, powiewająca nad ciżbą, zapadała nagle w tłum, by nie podnieść się więcej. Ale wzrok księcia biegł przez linię walczących, aż na górę ku miastu, gdzie na czele dwóch pułków

wybranych stał sam młody Krzywonos, czekając na chwilę, by się rzucić w środek walczących i złamać nadwątlone szyki polskie zupełnie.

Skoczył nareszcie, biegnąc ze strasznym krzykiem wprost na dragonów Baranowskiego, ale na tę chwilę czekał także i książę.

— Prowadź! — krzyknął do Skrzetuskiego.

Skrzetuski koncerz w górę podniósł i żelazna nawała ruszyła naprzód.

Nie biegli długo, bo linia bojowa zbliżyła się do nich znacznie. Dragoni Baranowskiego rozstąpili się z błyskawiczną szybkością w prawo i lewo, by przystęp husaryi do kozaków otworzyć, oni zaś runęli przez te wrota całym ciężarem, na zwycięskie już sotnie Krzywonosowe.

— Jeremi! Jeremi! — zawołali husarze.

— Jeremi! — powtórzyło całe wojsko.

Straszne imię dreszczem trwogi ścisnęło serca Zaporożców. W tej chwili dopiero poznali, iż to nie wojewoda kijowski, lecz sam książę dowodzi. Zresztą nie mogli oni stawić oporu husaryi, która samym swoim ciężarem druzgotała ich tak, jak walący się mur druzgoce stojących pod nim ludzi. Jedynym ratunkiem dla nich było rozstąpić się na obie strony, puścić husaryę przez siebie i z boków na nią uderzyć; ale te boki były już pilnowane przez dragonię i przez lekkie chorągwie Wierszułła, Kuszla i Poniatowskiego, którzy, spędziwszy skrzydła kozackie, zepchnęli je we środek. Teraz postać walki zmieniła się, bo owe lekkie chorągwie utworzyły jakby ulicę, środkiem której lecieli w szalonym zapędzie husarze, gnąc, łamiąc, pchając, waląc ludzi i konie, a przed nimi uciekało z rykiem i wyciem kozactwo ku górze i miastu. Gdyby skrzydło Wierszuła zdołało się zejść ze skrzydłem Poniatowskiego, byliby otoczeni i wycięci do szczętu. Wszelako ni Wierszułł. ni Poniatowski nie mogli tego dokonać, dla zbytniej nawały uciekających, bili więc tylko z boku, aż ręce od cięć im mdlały.

Młody Krzywonos, choć mężny i dziki, gdy zrozumiał, że własne niedoświadczenie przychodzi mu takiemu wodzowi jak książę przeciwstawić, stracił całkiem głowę i uciekał na czele innych ku miastu. Uciekającego spostrzegł pan Kuszel, z boku stojący, który na krótką metę tylko widział. przyskoczył więc koniem i w pysk młodego watażkę szablą trzasnął. Nie zabił, bo ostrze wstrzymała podpinka, ale zalał go krwią i tem bardziej serca pozbawił.

Wszelako o mało sam czynu tego życiem nie przypłacił, bo w tej chwili rzucił się na niego Burdabut na czele resztek kalnickiego pułku.

Dwakroć próbował on stawić czoło husarzom, ale dwakroć, jakby siłą nadprzyrodzoną odparty i rozgromiony, musiał ustępować wraz z innymi. W końcu sprawiwszy ostatki, postanowił z boku na Kuszla uderzyć i przez jego dragonów na wolne się pole wydostać. Nim jednak zdołał ich rozerwać, zapchała się owa droga wiodąca ku miastu i górze tak dalece, że szybka ucieczka stała się niemo-

żliwą. Husarze wobec tego natłoku ludzi wstrzymali impet i skruszywszy kopie, mieczami tłumy ciąć poczęli. Zapanowała walka zmieszana, bezładna, dzika, bezpardonowa, wrząca w tłoku, zgiełku, gorącu, wśród wyziewów ludzkich i końskich. Trup padał na trupa, kopyta końskie grzęzły w drgających ciałach. Gdzieniegdzie masy tak skłębiły się, że nie było miejsca na zamach dla szabli; tam bito się głowniami, nożami i pięściami, konie poczęły kwiczeć. Tu i owdzie ozwały się głosy: „pomyłujte, lachy!" Głosy te wzmagały się, mnożyły, zagłuszały brzęk mieczów, zgrzyt żelaza o kości, chrapanie i straszną czkawkę konających — „pomyłujte, pany!" rozlegało się coraz żałośniej — ale miłosierdzie nie świeciło nad tą ławicą walczących; jak słońce nad burzą, świecił im pożar.

Jeden Burdabut na czele swoich kalnickich ludzi o miłosierdzie nie prosił. Brakło mu miejsca do walki, więc czynił sobie rum nożem. Starł się naprzód z brzuchatym panem Dzikiem i pchnąwszy go w brzuch, z konia zwalił, a ten krzyknąwszy: „o Jezu!" już się więcej z pod kopyt, które mu tratowały wnętrzności, nie podniósł. Wtedy zaraz przybyło miejsca, więc Burdabut już szablą rozrąbał głowę wraz z hełmem towarzyszowi Sokolskiemu, potem obalił razem z końmi panów Pryjama i Certowicza; miejsce otworzyło się szersze. Młody Zenobiusz Skalski ciął go w głowę, ale szabla zwinęła mu się w ręku i uderzyła płazem, watażka zaś, jego pięścią na odlew w twarz uderzywszy, zabił na miejscu. Ludzie kalniccy szli za nim, siekąc i kindżałami kłując: „Charakternik! charakternik!!" poczęli wołać husarze. „Żelazo się jego nie ima! Mąż szalony!" On zaś istotnie miał pianę na wąsach, a wściekłość w oczach. Dojrzał nareszcie Skrzetuskiego i poznawszy oficera po odwiniętym rękawie, runął na niego.

Wszyscy dech zatrzymali w piersiach i bitwę przerwali, patrząc na walkę dwóch najstraszliwszych rycerzy. Pan Jan się bowiem wołaniem: „charakternik" nie strwożył — ale gniew zawrzał mu w duszy na widok tylu spustoszeń; zgrzytnął więc zębem i z furyą natarł na watażkę. Zwarli się więc, aż konie na zadach przysiadły. Rozległ się świst żelaza i nagle szabla watażki rozleciała się w kawałki pod cięciem polskiego koncerza. Już zdawało się, że żadna moc nie wyratuje Burdabuta, gdy on skoczył, zczepił się z panem Skrzetuskim tak, iż obaj jedno zdawali się tworzyć ciało — i nożem nad gardłem husarza błysnął.

Teraz Skrzetuskiemu śmierć stanęła w oczach, bo ciąć już mieczem nie mógł. Ale szybki jak błyskawica, puścił miecz, który na rzemyku zawisł, a ręką za rękę watażki chwycił. Przez chwilę dwie te ręce drgały konwulsyjnie w powietrzu, ale żelazny to musiał być uścisk pana Skrzetuskiego, bo watażka zawył jak wilk, i w oczach wszystkich nóż wypadł mu ze zdrętwiałych palców, jak wyłuskwione ziarno z kłosa. Wtedy Skrzetuski rękę zgniecioną mu puścił i za kark ucapiwszy, przygiął straszny łeb aż do kuli kulbaki, lewą zaś dłonią buzdygan z za pasa wychwycił, gruchnął raz, drugi — watażka zacharczał i spadł z konia.

Jęknęli na ten widok ludzie kalniccy i biegli pomścić — w tej chwili jednak rzuciła się na nich husarya i wycięła co do nogi.

Na drugim zaś końcu ławy husarskiej bitwa nie ustawała ani na chwilę, bo tłok był mniejszy. Tam, przepasany Anusiną szarfą, szalał pan Longinus ze swoim zerwikapturem. Nazajutrz po bitwie rycerze ze zdziwieniem oglądali te miejsca, a pokazując sobie ręce poodwalane wraz z ramionami, rozcięte głowy od czoła do brody, ciała rozchlastane straszliwie na dwie połowy, całą drogę ludzkich i końskich trupów, szeptali wzajem do siebie: „patrzcie! tu walczył Podbipięta!“ Sam książę trupy oglądał i choć nazajutrz bardzo był różnemi wieściami stroskany, dziwić się raczył, bo takich cięć zgoła dotąd w życiu nie widział.

Ale tymczasem walka zdawała się zbliżać ku końcowi. Ciężka jazda ruszyła znowu naprzód, garnąc przed sobą pułki zaporoskie, które pod górę ku miastu się chroniły. Reszcie uciekających przecięły odwrót chorągwie Kuszla i Poniatowskiego. Otoczeni, bronili się z rozpaczą, póki nie wyginęli do nogi, lecz śmiercią swoją zbawili innych, bo gdy w dwie godziny potem pierwszy Wierszułł z nadwornymi Tatary wszedł do miasta, już tam ani jednego kozaka nie zastał. Nieprzyjaciel, korzystając z ciemności, bo deszcze zgasiły pożar, nabrał w lot czczych wozów w mieście i otaborzywszy się z szybkością, kozakom tylko właściwą, za miasto za rzekę uszedł, zniszczywszy za sobą mosty.

Uwolniono owych kilkudziesięciu szlachty, broniących się w zameczku. Prócz tego kazał książę Wierszułłowi pokarać mieszczan, którzy się byli z kozactwem połączyli, a sam ruszył w pogoń. Ale taboru bez armat i piechoty zdobyć nie mógł. Nieprzyjaciel, zyskawszy na czasie przez spalenie mostów, gdyż rzekę daleko groblą należało obchodzić, uchodził tak szybko, iż pomęczone konie książęcej jazdy zaledwie go doścignąć mogły. Atoli kozacy, lubo sławni z obrony w taborach, nie bronili się tak mężnie, jak zwykle. Straszna pewność, iż sam książę ich ściga, tak dalece odebrała im serca, że zupełnie o swem ocaleniu zwątpili. I byłby pewnie na nich przyszedł kres, bo po całodziennej strzelaninie urwał już pan Baranowski czterdzieści wozów i dwie armaty, gdyby nie wojewoda kijowski, który się dalszej pogoni sprzeciwił i swoich ludzi cofnął.



VI. Aleksander Głowacki (Bolesław Prus).

1. Pleśń świata.

Zdarzyło mi się być w Puławach z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem, porosłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje się w przyglądaniu się nieregularnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzył na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

— Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzedz, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną.

Co godniejsza uwagi: tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam, uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń, rozstają się, kolonizują niezajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki.

Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwowa laty nie większa od czterogroszniaka. To malutkie, siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia.

Te znowu dwie: żółta i ruda walczą ze sobą. Niegdyś żółta była bardzo rozległą, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzyj na zieloną, jak siwa sąsiadka zapuszcza w nią zagony, ile na zielonem tle widać szarych pasków, punktów i kęp?...

— To coś jak między ludźmi — wtrąciłem.

— No, nie — odparł botanik. — Społeczeństwom tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem, brakuje im dusz i serc, które my ludzie posiadamy. Wszystko się tu dzieje na oślep, mechanicznie, bez sympatyi i bez antypatyi.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i przy świetle księżyca przypatrywałem się zmianom, jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

Wtem ktoś mię trącił. Był to mój botanik.

Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przede mną w ten sposób, że zasłonił księżyc i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dokoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę na bok, ujrzałem niby szkolny globus, błyszczący słabem światłem, tak wielki, jak ów wielki kamień, obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus zwolna obracał się, ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azyatycki z małym półwyspem Europy; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkałych lądach takiesame plamy szare, siwe, zielone, żółte i rude jak na kamieniu.

Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, na pozór nieruchomych, w istocie ruszających się bardzo leniwie: pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny i to nie w linii prostej, lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, występowały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na

szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Glob tymczasem wciąż krążył i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historya ludzkości? — spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze — ale gdzie są sztuki, wiedza?...

Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadoność, miłość, nienawiść, pragnienia?...

— Cha! cha! cha!... — śmiał się cicho.

— Słowem — gdzie tu są ludzkie dusze i serca?...

— Cha! cha! cha!...

Zachowanie się jego oburzyło mnie.

— Kto ty jesteś?... — zapytałem.

W tej chwili znalazłem się napowrót w ogrodzie, obok kamienia, którego niekształtne plamy kąpały się w blaskach księżyca. Towarzysz mój znikł, alem go już poznał po szyderstwie i melancholii...

2. Emancypantki. (1894).

W powieści tej wystąpił autor przeciw ujemnym stronom ruchu kobiecego w zakresie życia towarzyskiego i naukowego. Prawdziwie kobiece natury, jak Madzia Brzeska, przesuwają się tylko poprzez fale emancypacyi, ale z jej haseł to jedynie do nich przylega, co z uczuciem litości, miłosierdzia i dobroczynności ma związek. Podaję tu opis śmierci pani Latter, przełożonej pensyi, nieszczęśliwej ze względu na dzieci, zadłużonej i nie mogącej już wybrnąć z fatalnego położenia.

Około dziesiątej wieczorem dworzec ożywił się: zajeżdżały powozy i doróżki, do sal zaczęli napływać pasażerowie. Zdawało się pani Latter, że niektórzy z pomiędzy przybyłych przypatrują się jej, a szczególniej jeden żandarm, który kręcił się po korytarzu, wyglądał, jak gdyby szukał kogoś.

— Mnie szukają! — pomyślała i ukryła się w sali trzeciej klasy, między najbiedniejszymi. Zdawało jej się, że lada chwila wywoła ją ktoś po nazwisku i prawie czuła ciężar tej ręki, którą ją schwyci za ramię.

Ale nikt nie wymieniał jej nazwiska.

Obok umieściła się jakaś uboga rodzina: matka z dwuletniem dzieckiem na ręku i dziesięcioletnia dziewczynka, pilnująca sześcioletniego chłopca, który był przepasany dużą chustką przez głowę i plecy na krzyż.

Pani Latter usunęła się im na ławce i spytała kobiety:

— Daleko pani wiezie ten drobiazg?

— Aż za Grodno jedziemy, łaskawa pani. Ja, mąż i te oto fąfle...

— Tam państwo mieszkacie?

— Gdzieby zaś, łaskawa pani. Mieszkamy w Płockiem, a jedziemy za Grodno, bo mój ma tam zostać gajowym.

— U kogo?

— Jeszcze nie wiemy, łaskawa pani, a jedziemy, bo w domu niema co robić.

— Więc cóż poczniecie w Grodnie?

— Staniemy w jakiej austeryi, dopóki mąż nie odszuka tego pana, co mu powiedział, że pod Grodnem łatwiej o miejsca, niż u nas.

Przez ten czas jej mąż, człeczyna zarośnięty jak dziad, w drelichowym surducie, znosił: skrzynki, węzełki i koszyki. Potem z garnuszkiem poszedł do bufetu po gorącą wodę, a gdy i to przyniósł, kobiecina zabrała się do gospodarstwa. Rzuciła w garnczek trochę soli i masła, nadrobiła chleba i zaczęła karmić dzieci. Najpierw matka nasyciła dwuletniego, potem starsza dziewczynka zajęła się sześciolatkiem i nareszcie zjadła sama resztę po młodszych. Kobieta i jej mąż nie jedli nic: ona bowiem ciągle wydawała jakieś rozporządzenia, a on biegał za kupnem biletów, bułek na drogę, poprawiał paczki lub rozwiązywał węzełki.

Widok biedaków w niewymowny sposób torturował panią Latter. Porównywała siebie z matką tej rodziny, jak ona pozbawionej dachu, lecz o wiele szczęśliwszej. I teraz dopiero w całej pełni odczuła straszną prawdę, że ubóstwo może być cierpieniem, ale samotność jest kalectwem ducha!...

— Ma dzieci i męża — myślała, patrząc na kobietę. Ma człowieka, który jej pomaga, ma drobiazg, przy którym może zapomnieć o sobie... Nawet ta dziewczynka już ją wyręcza. Cokolwiek ją spotka, choćby śmierć, ludzie ci w ostatniej chwili mogą się uścisnąć za ręce, pożegnać spojrzeniami... A mnie kto pożegnałby, gbyby naprzykład wykoleił się pociąg?...

Teraz przypomniała sobie dzień, w którym po raz pierwszy piła wino, ażeby się uspokoić — i ów sen, który po winie nastąpił. Sniło jej się, że jest sama, jak dziś, na ulicy, jak dziś, bez grosza, lecz — że jest zupełnie szczęśliwą, ponieważ uwolniła się od pensyi, jak dziś. I w tej nędzy ogarnęła ją radość na myśl, że jest wolna, wolna od gospodyni, uczennic, dam klasowych i profesorów, w tej chwili Kazio i Helenka zabiegli jej drogę i usiłowali namówić, ażeby wróciła na pensyą!..

Wówczas w tym śnie, pierwszy raz w życiu uczuła żal do swoich dzieci. Ale w tej chwili, na twardej ławce banhofu, kipiało w jej sercu coś gorszego. Spojrzała na matkę ubogą i bezdomną, lecz otoczoną dziećmi i przyszło jej na myśl, że ona także nędzna i bezdomna nie ma jednak przy sobie dzieci... i że może właśnie w tej godzinie Helenka pływa z eleganckiem towarzystwem po kanałach weneckich, a Kazio — może gdzieś podpisuje weksle jej nazwiskiem. Oni tam bawią się, a ona cierpi, cierpi jak całe piekło potępieńców...

— Podłe szczenięta... szepnęła. Ale dobrze mi tak!... takie sobie wychowałam...

I uczuła nienawiść.

Zadzwoniono; pasażerowie zaczęli tłoczyć się do wyjścia. Pani Latter zapuściła woalkę i, pochwyciwszy torbę, ostrożnie wymknęła się do wagonu trzeciej klasy.

Jeszcze pamiętała, że po wielu dzwonieniach i świstaniach pociąg nareszcie ruszył. Mignęło kilka latarń, zamajaczył szereg wagonów... potem już nic...

Lecz po chwili (przynajmniej tak się jej zdawało) zbudzono ją i zażądano biletu.

— Mam bilet do Małkini — odparła.

— To też właśnie odda go pani, bo już minęliśmy Zieleniec.

Wzruszyła ramionami i oddała bilet, nic nie rozumiejąc; gdy zaś zostawiono ją w spokoju, wpadła w letarg.

Lecz po chwili znowu ktoś ją zaczepił mówiąc:

— Pani miała bilet do Małkini.

— Tak.

— Więc dlaczego pani nie wysiadła?

— Przecież dopiero wyjechaliśmy z Warszawy... — odpowiedziała zdumiona.

W wagonie ten i ów zaczął się śmiać. Przyszedł jeden konduktor, drugi, naradzali się. . W końcu kazano pani Latter zapłacić trzydzieści kopiejek i powiedziano jej, że wysiądzie w Czyżewie.

Znowu zapadła w letarg i znowu ją zbudzono. Ktoś wziął ją za ramię i wyprowadził z wagonu, ktoś inny podał torbę, zdaje się nawet, że ten człowiek, który z rodziną jechał do Grodna. Potem pozatrzaskiwano drzwi, zadzwoniono, zaświstano i pociąg zwolna usunął się ze stacyi. Pani Latter została na peronie sama, wśród nocy... Przy świetle latarni zobaczyła pod ścianą ławkę i usiadła na niej, nie troszcząc się ani tem, gdzie jest, ani co się z nią dzieje.

Już było widno, kiedy zziębnięta pani Latter ocknęła się; przed nią stał jakiś żyd, mówiąc, że ma furmankę i zapytując: gdzie chce jechać? Pani Latter przywidziało się, że to przebrany Fiszman; więc zerwała się z ławki ze ściśniętemi pięściami i zaczęła krzyczeć:

— Czemu mnie ścigasz?... Nie chcę nic... ja podpisałam!...

Furman zaczął się irytować i podnosić głos. Na szczęście, wmieszał się do zatargu jakiś urzędnik a usłyszawszy, że pani Latter chce jechać do Mielnickiego, odparł:

— O, to nałożyła pani drogi... Z Małkini daleko bliżej... Ale jest tu właśnie chłop z tamtych stron, on panią odwiezie.

Rzeczywiście sprowadzono na peron chłopa, który zgodził się za dziesięć złotych odwieźć panią Latter do samego Buga do promu.

— A byle pani siadła na prom — mówił chłop, to już jakby weszła do dworu: bo dwór zaraz za wodą.

— A może znacie pana Mielnickiego? — spytała pani Latter.

— Juści, niby znam... Póki nie miało się swego gruntu, to chodziło się na robotę i do pana Mielnickiego. Niczego szlachcic, ino trochę impetyk. U niego dać w gębę człowiekowi, to jakby kieliszek wódki wypił. Fertyczny pan, ale sprawiedliwy.

— Więc jedźmy! — rzekła pani Latter, czując, że ogarnia ją

prawie rozpaczliwe pragnienie, ażeby Mielnickiego ujrzeć czemprędzej. „Gdyby teraz umarł — myślała — zabiłabym się, albo oszalałabym"...

Prędzej, prędzej,... po spokojność, po zdrowie, może po życie.

Chłop flegmatycznie zwinął torbę z obrokiem i zaprzągł konie do wasąga. Niewygodnie było siedzieć, wasąg trząsł, snopek usuwał się z pod pani Latter, ale ona nie uważała na to. Trzymając się poręczy wozu, śledziła wzrokiem mgłę, z której miał wynurzyć się dwór Mielnickiego, i ratunek.

Prędzej, prędzej!...

Mielnicki dla pani Latter skupiał w sobie wszystkie interesa jej życia. Albożnie on powiedział: „rzuć pensyą od wakacyi... córkę wydamy za mąż, a syn weźmie się do roboty"... Czy nie oświadczył, że gotów przeprowadzić rozwód, byle ona zdecydowała się wyjść za niego?... A czy nie on mówił: „pamiętaj pani, że masz swój własny dom. Zrobiłabyś krzywdę staremu, nie rachując na mnie, jak na Zawiszę"... Albo te ostatnie wyrazy: „to, com powiedział, warte jest przysięgi i nie zmienię słowa, tak mi Boże dopomóż!"....

Więc ona nie jest tułaczką, ani sierotą, ma na świecie człowieka, oto tam... niedaleko stąd... Za godzinę, może prędzej, ona wejdzie do tego własnego domu, stanie przed jedynym wiernym, jedynym uczciwym przyjacielem i powie mu:

„Straciłam wszystko i teraz pukam do twoich drzwi".

A on na to:

„Trać, byle prędzej... kiedykolwiek zajedziesz: w dzień, czy w nocy, znajdziesz gotowe mieszkanie...

— Moje mieszkanie, w moim domu!... zawołała pani Latter tak głośno, że aż wiozący ją chłop obejrzał się.

„A co ja mu wtedy powiem?... — myślała. Tak mu powiem: daj mi kąt, gdzie mogłabym przespać dobę... dwie doby... tydzień, bo czuję, że mnie obłęd ogarnia.

Nagle wasąg zatrzymał się w miejscu, gdzie gościniec przecinała droga boczna. Na owej drodze ukazał się powóz zaprzęgnięty w dwa dzielne kasztany, a w powozie jakiś bardzo gruby pan, zawinięty w burkę z kapturem na głowie. Gruby pan zapewne drzemał; jego twarzy nie można było poznać.

Woźnica w piaskowym płaszczu trzasnął z bata, konie przeleciały jak wicher i skręciły na tę drogę, którą już przejechała pani Latter od kolei

— Po co zatrzymujecie się? — zapytała niecierpliwie chłopa.

— Bo myślałem, że to pan Mielnicki przejechał — odparł chłop.

— Mielnicki?... stój!

— I... nie, to nie on — rzekł chłop po namyśle. Onby tamtą drogą nie jechał od siebie do kolei, ino tą, co my teraz jedziemy.

Zaciął swoje mierzyny i wasąg potoczył się. W kwadrans później wjechali na pagórek, z którego widać było Bug.

— O! gdzie siedzi Mielnicki! — odezwał się chłop, wskazując batem. W tym kierunku widać było szeroko rozlaną rzekę, a za

nią ciemną kępę drzew jeszcze nagich, z pomiędzy których przeświecał czerwony dach dworu.

— A o hańta izba — mówił chłop — to karczma u przewozu. Tam siądziecie na prom i za jedną zdrowaśkę będzie pani we dworze.

Pani Latter zdawało się, że tego kawałka drogi już nie przejedzie. Chwilami porywała ją taka rozpaczliwa niecierpliwość, taki niepokój, że chciała rzucić się z wozu na gościniec i rozbić głowę. Na szczęście przypomniała sobie, że ma jeszcze trochę wina w butelce; wypiła resztkę i uspokoiła się nieco.

„Naprzód do Mielnickiego, a potem spać“... mówiła w duchu. Ach, Mielnicki!... Gdyby on wiedział, ile na nim zależało pani Latter! W jego domu znajdzie chwilowe schronienie i sen, który ją oddawna opuścił. Mielnicki pojedzie do Warszawy, ułoży się z panną Malinowską o odstąpienie pensyi, wytarguje, co się da, i spłaci dług Zgierskiego.

O, Mielnicki zrobi dla niej jeszcze więcej: on skłoni ją do zgodzenia się na rozwód z Latterem. On przytuli ją do siebie jak ojciec i będzie błagał, by dla jego szczęścia, nietylko podpisała żądany akt, ale żeby przyśpieszyła kroki rozwodowe. Tym sposobem pani Latter nie będzie kobietą odepchniętą, ale taką, która odrzuciła niewdzięcznika, ażeby uszczęśliwić człowieka zacnego.

A gdy w ten sposób ułożą się materyalne interesa pani Latter, gdy odpocznie i uspokoi się, gdy z zatargu z mężem wyjdzie tryumfująca, wówczas Mielnicki zrobi rzecz najważniejszą: uprosi ją, ażeby przebaczyła dzieciom.

„Jakim dzieciom? — odpowie pani Latter — ja nie mam dzieci!... Panna dobrowolnie zwichnęła karyerę własną i brata, wypuściła z rąk świetną partyę, a teraz bawi się, pływa po kanałach weneckich, śpiewa, kiedy ja, za cały przytułek mam chłopską furę i pęczek słomy... A ten panicz, lekkoduch i utracyusz, który oddawna skończył dwadzieścia lat, a nie ma wytkniętej drogi w życiu! Ile on mnie kosztował, ile wydarł pieniędzy już w tym roku, ażeby lecieć za granicę i spłacić weksle, na których podpisywał moje nazwisko... Nie, ja nie mam dzieci“...

„No, co tam — powie Mielnicki, serdecznie patrząc na nią — niema się o co gniewiać... Helenka jest dziewczyna piękna, Solski szkaradny, więc nie podobał się jej. Cóżto, wolałabyś pani, ażeby twoja córka sprzedała się?... taka perła między pannami, za którą cała okolica będzie głowy tracić. Wynajdziemy jej męża jeszcze lepszego, aniżeli Solski!...

A o Kaziu powie Mielnicki tak:

„Głupstwo! niema o czem gadać... Każdy młody jest lekkoduch i trwoni pieniądze, bo jeszcze nie poznał ich wartości... Ale to chłopak genialny, więc bądź pani o niego spokojna. Dam mu przez cztery lata po dwa tysiące rubli i niech się kształci, a jak zrobi majątek, to mi zwróci.

Taką rolę odgrywał Mielnicki w marzeniach pani Latter i taką

musi odegrać w rzeczywistości: jest to bowiem człowiek uczciwy i do niej przywiązany.

Gdy zaś mężczyzna naprawdę kocha kobietę, nie ma dość ciężkiej ofiary, którejby nie spełnił, owszem o którąby się nie upomniał, jak o największą łaskę.

„A ja mu za to — myślała pani Latter z uśmiechem — będę szyła cieplutkie kaftaniki i będę mu gotować najsłodsze rumianki... Bo przecież ten kochany staruszek niczego więcej nie potrzebuje, tylko rumianku i spokoju. To będzie najlepszy z moich mężów“.

*
* *

W tej chwili wóz stuknął o kamień i zatrzymał się przed karczmą, gdzie już stało kilka fur i gromadka rozmawiających ludzi.

Pani Latter ocknęła się, spojrzała i usiłując skupić rozpierzchnięte myśli, zapytała:

— Co to jest?

— A przewóz jest — odparł furman. — Ino dziś woda wylała i prom zerwało.

Pani Latter przy pomocy chłopa i karczmarki wysiadła z wozu, rumieniąc się za swój ekwipaż i za otoczenie, w jakiem ją zły los postawił.

„Szalona jestem! — pomyślała... Rzucać pensyą... tułać się po karczmach“...

Była dziesiąta rano. Pani Latter zapłaciła chłopu należność i przelękniona, zawstydzona patrzyła na odrapaną karczmę, na wózki i ludzi stojących wśród błota, a nadewszystko na ten czerwony dach, który między nagiemi drzewami majaczył po drugiej stronie rzeki.

„Po co ja tu przyjechałam nieszczęśliwa?... myślała.

A jeżeli Mielnicki zdziwi się i powita jak obcą?... Przecież to obcy człowiek!...

Zwróciła się do karczmarki, już trzymającej torbę, i spytała:

— Pan Mielnicki tam mieszka?

— Zara za rzeką.

— A jest w domu?

— Musi że jest. Przecie święta nadchodzą, to kużden się domu pilnuje... A jeszcze jak woda wylała...

— Ja chcę tam pojechać, do pana Mielnickiego... rzekła pani Latter.

— Pojechać to można, ino nam prom odniosło. Ale zaraz go tu sprowadzą, tylo patrzeć...

— A mostu u was niema?

— Nigdy u nas nie było mostu. Tak się ludzie przewożą na promie. A że nam prom dzisiaj w nocy złapało i odniosło w dół, a nasi dopiero za nim pojechali wierzchem, więc zaraz go tu sprowadzą — objaśniała karczmarka.

— Jakże będzie ze mną?

— A nijak. Poczeka se pani na prom i promem śmignie na drugą stronę.

Pani Latter zaczęła niespokojnie chodzić, ze wstrętem unikając błota, w którem tonęły jej trzewiki.

— Czółna u was niema? spytała.

— Ni. We dworze to musi jest, ale nie u nas.

— A kiedyż prom będzie?... mówiła z rosnącą trwogą.

— Napóżni to na południe.

— A może dopiero wieczorem?...

— Może ta zamarudzą i do wieczora. Pojechali wierzchem, ale czyby go złapali, to nie wiadomo, objaśniała gadatliwa karczmarka.

Pani Latter znowu ziemia zaczęła się chwiać pod nogami. Bała się wejść do karczmy, bała się spojrzeć w niebo, gdyż zdawało jej się, że lada chwila niebieski lazur zacznie odłupywać się jak tynk i spadać kawałkami na ziemię. W głowie jej szumiało, w oczach przelatywały błyskawice.

Karczmarka, choć prosta kobieta, dostrzegła niezwykły wyraz w twarzy pani Latter, lecz przypisała to zmęczeniu.

— Niech pani wejdzie na ten czas do izby — rzekła — może pani prześpi się, może co zje, a oni nadjadą... I zaprowadziła panią Latter do owej sypialni, gdzie stały dwa wysoko zasłane łóżka i kanapka kryta perkalem. Sciany były zawieszone obrazami treści wojennej lub pobożnej.

Pani Latter usiadła na kanapce i wlepiła oczy w jeden z obrazów, wyszyty włóczką i przedstawiający jakiegoś świętego. Z ubocznej szynkowni dolatywał ją zaduch wódki, dym fajek i hałaśliwa rozmowa ludzi, czekających na prom. Patrzyła w obraz i myślała. „Malinowska już musi być na pensyi, a z nią jej wspólnik Zgierski... Ciekawam, czy nie pogryzą się przy podziale łupu? A jak musi tryumfować Howardówna! no, teraz zaczną się jej rządy i reformy. Nad wieczorem całe miasto mówić będzie, że uciekłam, a jutro... dowie się o tem nawet ten niedołęga Dębicki... Wyobrażam sobie jego baranią minę!... Pewnie pomyśli, że Bóg skarał mnie za niego. Helenka naturalnie odpoczywa po serenadach, a Kazio...

Ach, czy podobna, ażeby z tak niewinnych istot, jak dzieci, wyrastały takie straszne potwory, jak ludzie...

Weszła szynkarka.

— Jest prom? — zapytała pani Latter, zrywając się z kanapy.

— Jeszcze nie, ale zaraz przyjadą... Tylo co ich nie widać. Może pani zgotować jajecznicy? a może herbaty z arakiem?

— Dajcie araku — rzekła cicho pani Latter, przypomniawszy sobie, że niema już wina.

Karczmarka przyniosła małą flaszczynę araku i szklankę. Gdy znowu odeszła, pani Latter wylała wszystek arak do szklanki i wypiła duszkiem. Wstrząsnęła się; ogień uderzył jej do płuc i do głowy.

Spojrzała na zegarek: była już druga po południu.

„Gdzie się ten czas podział?... myślała zdumiona. Zdawało jej się bowiem, że najwyżej kwadrans przepędziła w izbie karczmarki.

Znowu ogarnął ją niepokój, więc wyszła przed karczmę, wyglądać promu. Ale na żółtawej, bystro płynącej wodzie, nie było nic widać.

Odwróciła głowę w drugą stronę i wzrok jej padł na dach, czerwieniący między drzewami. I jakby zahipnotyzowana tym widokiem, zaczęła iść po nad rzeką, ażeby stanąć naprzeciw dworu i zobaczyć go choć z tego brzegu. A może ze dworu wyjdzie w tej chwili Mielnicki i dostrzeże ją?... Tak przecie blisko...

W ten sposób odsunęła się może o pół wiorsty od karczmy, z oczyma wlepionemi w drugi brzeg. Nagle pomyślała, że się rzuci naprzód, wpław... Naprzeciw o paręset kroków był park, pełen drzew, a w tem miejscu, gdzie rzeka skręcała, pod ogromną lipą, widać było czarną ze starości ławeczkę. Nawet kora na lipie była pęknięta.

Marzenia pani Latter spełniły się. To jest park, który tyle razy widywała w swoich snach na jawie. To ów ubogi krajobraz, w którym mieszka niezgłębiona cisza, sięgająca od nieba do ziemi.

Pani Latter zaczęła biedz nad brzegiem.

— Boże! — mówiła — ześlij...

Czy oczy ją łudzą?... Na wzgórku między drzewami widać odwrócone, białe czółno, a o kilkanaście kroków dalej, przechodzi zwolna jakiś człowiek.

— Hej! człowieku... człowieku... zawołała rozgorączkowana.

Odwrócił się.

— Przypłyń tu z tem czółnem...

— Nie wolno, to dworskie czółno...

— Więc idź do dworu..

Człowiek machnął ręką i szedł dalej.

— Rubla ci dam!... Zegarek!... — wołała nieprzytomna.

Odwrócił się i znikł między drzewami.

— Człowieku... ach człowie... I rozkrzyżowawszy ręce, całem ciałem rzuciła się w rzekę.

Uderzenie i przejmujące zimno otrzeźwiło ją. Nie rozumiała gdzie jest, lecz czuła, że tonie. Rozpaczliwym ruchem wynurzyła się nad powierzchnię wody i krzyknęła nieludzkim głosem:

— Dzieci moje...

Wtem nurt porwał ją i rzucił na dno. Przez chwilę brakło jej tchu, serce poczęło bić, jak dzwon pęknięty i to była najprzykrzejsza chwila. Wnet jednak ogarnęła ją tak wielka apatya, że nie chciało jej się nawet ręką poruszyć. Zdawało jej się, że nieznane dotychczas siły wynoszą ją na ocean bez dna i granic, a jednocześnie, że budzi się ze snu przykrego. W mgnieniu oka przedstawiło się całe jej życie, które było tylko kroplą w bezmiarze jakiegoś nieskończenie pełniejszego i rozleglejszego życia.

Zaczęła sobie przypominać coś, czego nigdy nie widziała na ziemi, i opanowało ją radosne zdumienie.

„Więc to tak?“.. pomyślała. Uczuła pod ręką gałąź, ale już nie chciała jej schwycić. Natomiast szeroko otworzyła oczy, bo zdawało jej się, że przez warstwę żółtawej wody zaczyna patrzeć na inny świat, wolny od trosk, zawodów i nienawiści.

VII. Aleksander Świętochowski. (Władysław Okoński).

1. Niewinni. (1874).

Zofia, wychowana w surowych zasadach moralnych przez swego ojca przekonawszy się, iż mąż jej Bolesław już w czasie pożycia małżeńskiego nie szczędził hołdów dla jej niegdyś przyjaciółki, Julii Krzewnickiej, która pokochała go całą potęgą swego namiętnego serca, rozstaje się z nim, zabrawszy dziecko. Znaleźć jednak ukojenia nie może. Ojciec stara się wyrobić w niej zaniedbane w poprzedniem wychowaniu uczucie wyrozumiałości i przebaczenia. Dwa czynniki w tem mu dopomagają: oburzenie i współczucie. Oburzyła się Zofia na zuchwalstwo Alfreda, przyjaciela Bolesławowego, który śmiał z oświadczynami wobec niej wystąpić; współczucie zaś obudziło się w niej na widok Julii, korzącej się przed nią, a wyznającej swą miłość dla jej męża, pomimo że ją odtrącił. Bolesław ma wiele podobieństwa do swej żony. Poczuwając się do winy, jakkolwiek lekkiej, usiłował zrazu przebłagać Zofię, ale gdy ta odtrąciła go stanowczo, zaciął się w sobie i przestał myśleć o przejednaniu. Dopiero ukorzenie się Zofii i cieplejsze jej słowa stopiły lodową skorupę, pokrywającą wulkan uczuć, i sprowadziły zgodę, opartą na tem przekonaniu, głoszonem przez Julię i ojca Zofii (Maurycego), że jesteśmy bezwładnemi narzędziami siły fatalnej, która nami porusza, że zatem winy wzajemne powinniśmy sobie darować, bo kto poznał wszystko, ten wszystko przebaczył. Dramat ten ma cechę walki czysto wewnętrznej; wypadki są tu jedynie środkami obudzenia w osobistościach głównych, pewnego szeregu myśli, mającego doprowadzić do takiego lub innego postanowienia. Węzeł dramatyczny tkwi w duszach, a nie w plątaninie stosunków zewnętrznych; został on przez autora związany i rozwiązany misternie. „Niewinni“ wyróżnili się od wszystkich naszych dramatów pisanych prozą szczególniejszą wytwornością dyalogu. Przytaczam tu zakończenie aktu III-go.

Zofia. Przekonałam się, że przez zbytni pośpiech w rozstawaniu źle uregulowaliśmy nasze konieczne stosunki. Ponieważ zaś wina owego pośpiechu we mnie spoczywa, ode mnie więc też wyjść musi incyatywa jej poprawy.

Bolesław (z ironią) Jeszcze dotąd się nie domyślam, czy pani zapomniała mi coś dodać, czy odjąć.

Zofia. Zapomniałam tylko ostrzec pana, że żyjąc zdala od dziecka, stajesz się pan sam przyczyną jego nieświadomości o ojcu.

Maurycy (który stojąc zdala wpatrywał się w Zofię z coraz bardziej rozradowaną twarzą, zbliża się pocichu za jej krzesło i całuje ją w czoło). Ja odejść mogę — prawda?

Zofia. Jak chcesz, mój ojcze *(Maurycy odchodzi i zatrzymuje się we drzwiach).*

Bolesław. Wspomniałaś pani o własnowolnem pozbawianiu się uczuć mojego dziecka. Cóż robić, kiedy inaczej być nie może. Jak pani wiesz, jestem człowiekiem grzecznym — wystraszać panią z miejsc, w którychbym z nią wspólnie przebywał — nie chcę. Pani uciekając z Warszawy...

Zofia. (przerywając). Racz pan zrozumieć, że tu nie chodzi o pańską zresztą beznaganną konsekwencyę względem moich przedpółrocznych uczuć, ale o skorzystanie z obecnych... *(Maurycy, który zatrzymał się na progu, spojrzawszy wzruszony na Zofię, wychodzi).*

Bolesław. O skorzystaniu z uczuć pani? Tej umiejętności już zapomniałem i podobno nie opłaciłoby mi się jej po raz drugi uczyć.

Zofia. Dla użytku swej ironii przesadzasz pan znaczenie mojej propozycyi. Nie mam bowiem na myśli nic więcej nad to, że skoro dziś moje cierpienia uspokoiły się i pan-byś ich już nie drażnił, mógłbyś bliżej swego dziecka mieszkać.

Bolesław. Nie przeczę, iż projekt pani obiecuje mi wiele ojcowskich przyjemności, nieszczęściem jednak naraziłby mnie zarazem na wielkie straty. Korzystać więc zeń nie mogę.

Zofia. Wolno mi wiedzieć dlaczego?

Bolesław. Dla dobra i powodzenia mojej edukacyi. Bo muszę pani wyznać, że się na nowo kształcę. Zmieniłem drogę życia, więc potrzebuję zmienić i uzdolnienia. W tym celu zacząłem brać lekcye u rozumu, który mi nie pozwala romansować z uczuciami.

Zofia. O ile pana pojmuję, zdaje mi się, że pan masz niepotrzebne obawy.

Bolesław. Przeciwnie — bardzo uzasadnione, a to dlatego, że nie jestem jeszcze w swej metamorfozie dojrzały. Potrzebą mojego zdrowia jest strzec stę wszelkich rozczuleń i jak najmniej pamiętać. Gdy za kilka lat zobaczę czarną różę, pomyślę chłodno nad jej barwą, nad jej sztuką hodowania, nad składem liści i co najwyżej przypomnę sobie mimochodem, że ktoś z moich... znajomych kwiat ten lubił. Tymczasem dziś... Tak zrobię ze wszystkiem, co mnie dziś do liryzmu nastraja. Pojmujesz więc pani, że mieszkać tam, gdzie mój syn z paniąby mieszkał, znaczyłoby dla mnie zepsuć całą edukacyę.

Zofia. Kiedyż pan ją masz zamiar skończyć?

Bolesław. Nie wiem. Dotąd widzę tylko, że robię w niej nadzwyczaj szybkie postępy.

Zofia. Doprawdy, muszę podziwiać pana.

Bolesław. (*z ironicznym ukłonem*). Jestem skromny i sprawiedliwy. Całą zasługę tych postępów przypisuję pani, która mnie na drogę do nich wprowadziłaś...

Zofia. (*po chwili milczenia*). Powiedz mi pan, czy ta zasługa może mi dać prawo do spytania się, jak pan żyjesz?

Bolesław. Jak mi przeszłość kazała.

Zofia. Pan ją rozumiesz po swojemu — więc mnie taka odpowiedź nie objaśnia. Szanuję wszakże racye, dla których mi pan szczegółowszej dać nie chcesz.

Bolesław. (*ciągle z ironią*). Racyi żadnych do tego nie mam, tylko po prostu nie widzę w życiu swojem nic, czem-bym się z panią mógł podzielić. Zresztą powiedziałem, że się kształcę; w tem się wszystko zawiera. Sądzisz pani, że to za mało — niestety, na nic więcej się nie zdobyłem.

Zofia (*smutnie*). Pan jeszcze jesteś bardzo chory...

Bolesław (*z szyderstwem*). Nie lituj się pani nademną. Taki stan, po takiej słabości, jaką przeszedłem, nazywa się wielkiem zdrowiem. Być młodym, doznawać szczęścia, szacunku, przyjaźni, miłości, mieć rodzinę, kochać ją, marzyć, pracować z zapałem, upajać się nadziejami i naraz za jedną drobną winę wszystko to stracić, zestarzeć się, być znienawidzonym, odtrąconym, pokazywanym palcami, żyjąc w czaro-

dziejskim raju, zapaść się z całym gmachem swego szczęścia w jakiś ciemny loch, ażeby z niego może do śmierci napróżno szukać wyjścia i światła! Ale po co ja panią nudzę tym melodramatem! *(wstaje).*

Zofia (gorączkowo). O, mów pan proszę...

Bolesław (siada). Wierz mi pani, że jadąc tu, nie myślałem nawet o zaszczycie pozyskania audyencyi, a cóż dopiero o łasce dłuższej ze mną rozmowy.

Zofia. Gdybyś pan mógł być mniej szyderskim i rozumieć pewne wyznania, wytłomaczyłabym panu tę niespodziankę.

Bolesław. Muszę się zrzec przyjemności tego odkrycia, bo innym być nie umiem. Zmieniłem się — prawda? Może nie na dobre, ale też i nie na najgorsze. Ludzie mojego losu albo pod jego wpływem waryują albo nabierają hartu. Przyznasz pani, że zostać z rozpaczy jakimś zmartwiałym fakirem miłości, któremu we włosach bez jego wiedzy słowiki mogłyby gniazda zwijać, zmienić się w chodzący nagrobek własnego życia — nie wesoły finał; bardzo więc rad jestem, że mi się dostał drugi, że tylko — zziębłem.

Zofia. Jesteś więc pan szczęśliwy?

Bolesław (j. w.) Więcej — bo najszczęśliwszym z ludzi. Gdyby ci, którzy się mają za szczęśliwszych ode mnie, przeżyli i pamiętali to, co ja, poszaleliby z radości. Często ledwie mogę wierzyć temu, co mi wspomnienia opowiadają — a gdy uwierzę, to jestem rzeczywiście szczęśliwym. Bo szczęście to nic więcej jak przejście z jednego stanu w drugi — z gorszego w lepszy. I w mojem więc życiu gdyby pomiędzy pierwszym jego okresem a ostatnim nie było pośredniego, po którym obecny wydaje mi się rozkoszą, nie byłbym tak szczęśliwy, jak jestem. Nie chcę zapomnieć bolesnych chwil mojej samotności, lecz jasne i wesołe dni rodzinnego życia. O pierwszych wolałbym zupełnie nie wiedzieć, drugie sobie ciągle odświeżam w pamięci. A to nie trudno. Kto wytrzymał moje męczarnie, wie, jak trwale ich ślad się we mnie zachowuje. Dziś mogę mówić o swojem niebezpieczeństwie z takiem zadowoleniem, jak wyratowany topielec. Kiedym się ujrzał sam, kiedy w otaczającym mnie uroku nic nie widziałem tylko krwawiące się rany serca, kiedy nic nie słyszałem tylko echa jakiegoś mściwego przekleństwa, kiedy nic nie czułem tylko własne poniżenie, kiedy tak wszystko było we mnie splątane i porwane, że myśli z myślą, uczucia z uczuciem związać nie mogłem, kiedy nie wiedziałem, na czem oprzeć swoje istnienie, kiedy wreszcie spostrzegłem, że choćby dlatego żyć muszę, żeby uratować swą ludzką, nad winę sponiewieraną, godność — zdawało mi się, że w mojej głowie jakaś tajemna moc przesuwa widma piekielnej panoramy. Gdyby wyrzucona z działa i prochem naładowana kula miała tę świadomość, że ani sile rzutu się nie oprze, ani mającego ją rozsadzić naboju nie zdusi, doznawałaby tych samych wrażeń, jakich ja doznawałem, gdym nagle rzucony spadał gdzieś bez możności powstrzymania się i z tą wiedzą, że niosę w sobie samobójczy ogień, który mnie lada chwila rozerwie. *(śmiejąc się gorzko)* Co to za szczęście mieć takie wspomnienia!

Zofia (wzruszona). Panie Bolesławie — ja panu przebaczyłam.

Bolesław. Kiedy? dziś? Zapóźno. Prawo przebaczenia mi już dla pani ustało, mogłaś zeń pani przed półrokiem korzystać, ale dziś nie! — teraz ono może do mnie przeszło. Błąd swój zmazałem dawno, a gdzie skończyła się moja, tam się pani wina zaczęła. Trzeba było mię wesprzeć wtedy, kiedy byłem żebrakiem, a nie ofiarować mi jałmużny teraz, kiedy jej nie potrzebuję.

Zofia (słabym głosem). Daruj mi pan te wyrazy, nie znałam nieszczęsnej logiki naszego rozdziału. Dopiero dziś ją rozumiem... *(po chwili smutnego zamyślenia)* Skazani jesteśmy, jak widzę, na ciągłe wymijanie się w życiu... Czy podobna, ażebyśmy się w niem już nigdy nie spotkali, nigdy jak dawniej nie szli razem?... *(powstaje gwałtownie)* Dziwne panu zadaję pytania — nieprawdaż? Moja tęsknota pewnie by pana dziś najbardziej rozweselała. Czemuż ja się przez te pół roku śmiać nie mogłam, kiedy pan się smuciłeś? przynajmniej dziś moglibyśmy zamienić się na humory.

Bolesław. Więc istotnie pani się dotąd nie śmiałaś?

Zofia. Bądź pan pewien, że nie zaniedbałabym się do tego przyznać, choćby dla wynagrodzenia sobie obecnej przegranej zwycięstwem w przeszłości. Nie dziwię się wcale, że pan podejrzewasz moją szczerość. Stoimy na pozycyach koniecznej względem siebie niewiary. I dlatego pana teraz namawiam... ale porzućmy smutną i zawikłaną sprawę naszych egoizmów i pomówmy przed pożegnaniem o rzeczach obojętnych, któreby nam nie psuły harmonii i wzajemnego zaufania. Ot np. jak panu wydała się Szwajcarya?

Bolesław. Bez ludzi byłaby bardzo piękną.

Zofia. Więc panu ten zoologiczny gatunek nigdzie do smaku nie przypada?

Bolesław. Nie wiem, cobym powiedział, zobaczywszy inne jego odmiany; te, które znam — niepociągające, może dlatego, że wszystkie do siebie zbyt podobne. Ludzi pragnących rozmaitości wrażeń, taka monotonność nudzi, mnie — rozdrażnia. Nie módz przerwać ciągłego kojarzenia się wspomnień, czuć, jak każda nowa twarz sprowadza na pamięć wszystkie dawniej znane, w każdym kącie Lozanny lub Genewy spotkać Warszawę, przyzna pani — to okropne. Doprawdy wolałbym Szwajcaryę widzieć zaludnioną murzynami lub papuasami.

Zofia. Wybierz pan drogę sprawiedliwszą, usuń się od jej mieszkańców.

Bolesław. Już ją wybrałem. Mieszkam na uboczu, komunikuję się tylko z moim służącym. W ostatnich czasach zabrałem znajomość z bardzo ukształconym psem gospodarza. To są moje stosunki — innych zawiązywać nie myślę.

Zofia. Więc pan ciągle samotny?

Bolesław. O ile mi na to moi dwaj towarzysze pozwalają.

Zofia. Takie pustelnictwo to katusza...

Bolesław. Być może, tylko nie dla pustelników.

Zofia. Ale dla pana. Pan nawykłeś do towarzyskiego z ludźmi życia.

Zofia (coraz serdeczniej). Pamiętasz pan, jak dawniej mawiałeś, że nie mógłbyś się obejść bez tych paru godzin, któreśmy... które pan po pracy na rozmowie spędzałeś.

Bolesław. I teraz rozmawiam — z sobą.

Zofia. Niepodobna, aby to panu wystarczało. Przypominam sobie, że raz mieszkając przez kilka tygodni sam, bardzo się pan potem skarżyłeś. Zresztą niezawsze to bezpiecznie — można zachorować.

Bolesław. I w najgorszym razie nie umrzeć, jak właśnie mnie się zdarzyło. Zaziębiwszy się na wycieczce w górach, dostałem tak silnej gorączki, że nad ranem wstałem nieprzytomny i widocznie chciałem gdzieś uciec, bo na drugi dzień służący znalazł mnie w drugim pokoju. Cały ten wypadek zakończył się bardzo smutnie...

Zofia (przestraszona). Co takiego się stało?

Bolesław (zimno). Wyzdrowiałem.

Zofia (kryjąc wzruszenie). Pan byłeś w takiem niebezpieczeństwie... ledwie o tem pomyśleć mogę... Co to znowu? Mieliśmy mówić o rzeczach obojętnych, a ja tymczasem się rozdrażniłam. Śmiej się pan ze mnie — dobra sposobność... *(po chwili)* Czytasz pan zapewne wiele?

Bolesław. Jest to podobno jedyne moje zajęcie, którem mógłbym się zasłonić, spytany o cel życia.

Zofia. Ja również czytam. Wprawdzie poczciwy ojciec musi często trzeźwić moją uwagę, którą mi nowonabyta skłonność do marzeń nieco osłabia, nauczyłam się jednak dosyć. Domyślam się, że pana ta przechwałka razi, ma ona przecież swoje usprawiedliwienie. Ojciec bowiem dotąd, może przypadkowo, dobierał mi takie książki, które co krok zaczepiały o zagadnienia mojego życia. Ponieważ, choć po długiej walce, często im się poddawałam, więc mogę powiedzieć, że się nauczyłam dosyć. Ani pan pewnie nie przypuszczasz, że nieraz byłeś domyślnym przedmiotem naszej lektury i sprzeczki...

Bolesław (zdziwiony). Ja?

Zofia. (nieśmiało). Tak jest. Często bardzo pod symbolem jakiegoś teoretycznego tematu kłóciliśmy się z ojcem o — pana. Ojciec zawsze pana bronił, ja z początku oskarżałam z przekonania, potem z uporu, aż wreszcie...

Bolesław. To dla mnie najważniejsze.

Zofia. Zamilkłam. Muszę jutro zauważyć, jakie też z ojcem zajmiemy stanowiska.

Bolesław. Może pierwotne...

Zofia (gorączkowo). O, nie.

Bolesław. W takim razie chciałbym być świadkiem tej lektury.

Zofia. To bądź pan... Ach, cóż znowu mówię! Jeszcze raz śmiej się pan ze mnie, że się nie mogę do założenia naszej rozmowy dostroić. Gdzież są dla nas te rzeczy obojętne!... *(Po chwili).* Naturalnie, przestałeś pan lubić muzykę?

Bolesław. Lubiłem zawsze tylko pewne jej rodzaje i pewne wykonania.

Zofia. Czy i teraz?

Bolesław. Niestety!

Zofia. O, nie żałuj pan. *(Po chwili).* Ja trochę fortepian zaniedbałam — także z higienicznych względów, bo mnie zbyt rozstrajał.

Bolesław (zbliżając się do fortepianu). Widzę jednak świeże nuty na pulpicie. Ciekawym, co też pani teraz grywa?...

Zofia (uprzedziwszy go, kładzie rękę na nutach). Zobacz pan, ale na ten jeden raz, proszę, nie śmiej się.

Bolesław. Przecież pani chyba nie studyujesz operetek. *(Odwraca okładkę zdziwiony).* Beethovena Sonata B dur! *(Ze smutną ironią).* Grałaś ją pani w przeddzień naszego rozdziału — słyszałem tylko początek — brzmi dotąd mi w uszach jak śpiew... pożegnalny.

Zofia. Pamiętasz pan ją?... Było to nad wieczorem — prawda? Pan powróciłeś z sądu i zamknąłeś się w swym pokoju; ja tymczasem usiadłam w saloniku i zaczęłam grać tę sonatkę, której się potajemnie wyuczyłam, wiedząc, że się panu na jakimś wieczorku podobała. Przyszedłeś pan do mnie i... Tylko dotąd panu przegrałam, bo Kazio zapłakał. Ale pan sobie tego nie przypominasz. Od tamtego czasu, już jej dalej nie gram, bo mi przy tem miejscu, gdzie wtedy przerwałam, ręce zwykle mdleją. Zdaje mi się... że...

Bolesław (drżącym nieco głosem). Że co?

Zofia. Że słyszę płacz Kazia.

Bolesław (po chwili milczenia). Pani tę sonatkę pięknie grałaś...

Zofia. Jeśli pan życzysz sobie, mogę za tę pochwałę zaraz się wywdzięczyć.

Zofia (usiadłszy do fortepianu, ogląda się na Bolesława). Tak i wtedy pan przy mnie stałeś. *(Gra i nagle ustaje).* To był ostatni akord. Patrz pan, ręce bezwiednie mi się zatrzymały.

Bolesław. Możesz pani grać jeszcze dalej. *(Wpatruje się w Zofię wzruszony, wreszcie przerywa).* Dosyć, Dosyć... *(Z wymuszonym uśmiechem).* Pomóż mi pani teraz się pożegnać.

Zofia (podawszy mu rękę). Koniecznie chcesz pan już odejść? Zatem do widzenia. Kiedyż pana zobaczy... nasz... syn pański?

Bolesław. Życz pani nie jemu, ale mnie, żeby — nigdy.

Zofia. Wolę jemu. Daleko pan zapewne odjeżdżasz i nic mi nawet nie powiedziałeś, jak mam na... dziecko wychowywać.

Bolesław. Pozostawiam je pani natchnieniom.

Zofia. One mnie niewiele nauczą. Kazio już podrósł, potrzebuje innych niż moje, ojcowskich starań; ja mu ich nie zastąpię. Nie możesz, nie chcesz pan być przy nim, to go pan weź z sobą. On mnie już nie zapomni, a pana lepiej pozna, pokocha. Zresztą jabym, tak jak pan teraz, do was przyjeżdżała, tylko częściej... Tym sposobem wychowalibyśmy go prawie oboje. Pamiętasz pan, jakeśmy kiedyś marzyli o wspólnej nad nim pracy, o podziale jego uczuć, o wszystkich serdecznych węzłach, które nas przez niego miały zawsze łączyć? *(Boleśnie).* O, gdybym jeszcze choć raz tak pomarzyć mogła!

Bolesław (osłabionym od wzruszenia głosem). Zwyciężyłaś!

Zofia (wpatrując się lękliwie w twarz Bolesława). Czy... mnie smu... tek złudził... *(Rzuca się w objęcia męża).* O, tak, zwyciężyłam!

Bolesław. Żono moja! *(We drzwiach ukazuje się Maurycy ze Stefanem, któremu rozpromieniony pokazawszy Zofię i Bolesława, znika).*

Zofia. Więc ty znowu ze mną? Mężu mój... ja ciebie tak nienawidziłam... tak żałowałam... tak kocham... Ach, jakże mi trudno wierzyć, żeśmy pogodzeni.

Bolesław. Przebaczyłaś mi — wszystko?

Zofia. Nie chcę o tem myśleć... pamiętać, że kiedyś ci przebaczyć mogłam... powinnam, chcę żyć tylko obecną chwilą... jak gdyby ona już dla mnie była ostatnią. *(Wysuwa się z objęć Bolesława i siada bezwładnie).*

Bolesław. Zosiu, ty tak dawniej kochać nie umiałaś.

Zofia (powstawszy nagle). On mnie nauczył, ten poczciwy starzec, mój ojciec. Chodź, chodź do niego. *(Odwróciwszy się, spostrzega Stefana przy drzwiach).* Stefan! a wy skąd tu?

Stefan (witając się). Ja, proszę panienki, służę u pana Bolesława. Przyszedłem powiedzieć, że już czas na kolej — jak mi pan kazał — ale nie chciałem państwu pożegnania przerywać, a w ostatku żal mi się panienki zrobiło — więc stałem cicho.

Zofia. Dlaczegóż wy w służbie?

Stefan. Starszy pan kazał.

Zofia. Teraz wszystko rozumiem... Gdzie on jest ten anioł, ja go muszę zaraz widzieć! Stefanie! mów, gdzie jest mój ojciec!

Maurycy (ukazuje się, trzymając w ręku książki i papiery). Co to? Zosia mnie woła...

Zofia (biegnie doń i rzuca mu się na szyję). Dobroczyńco mój... jestem znowu szczęśliwą — przez ciebie.

Maurycy. Żeś szczęśliwa, to widzę i domyślam się, ale dlaczego przezemnie — tego nie pojmuję.

Zofia. Nie wypieraj się, ojcze mój — wszystko odgadłam. Na miłosierdzie! po co się kryjesz z tą swoją uczciwością — jak ze zbrodnią!

Maurycy. Czy to tylko miałaś mi powiedzieć? Teraz mnie puść, bo widzisz, że sobie manatki w drogę pakuję.

Zofia. W jaką drogę?

Maurycy. Po co tu mam się plątać pomiędzy wami? Uciekam do kraju, muszę przecież zobaczyć moich ludzi, a zresztą wam przygotować jakie gniazdo. *(Ukazując na Bolesława)*. Ale co to znaczy?

Bolesław (który dotąd stał na stronie posępnie zamyślony, zbliża się do Maurycego). Bardzo źle.

Zofia (przestraszona). Bolesławie... tyś smutny?

Bolesław (przestraszony bierze ją za rękę). Jakże będę żałował tej chwili złudzenia, którą przeżyliśmy pojednani... Czemu ja ci uległem!

Zofia. Co ty mówisz?

Bolesław. Upór mój wydał ci się może okrucieństwem, bo nie wiedziałaś, że go podtrzymywał straszny przymus. Inaczej byłabyś go pierwszem serdecznem słowem złamała. Biedni my... znowu cierpieć będziemy

Zofia. Bolesławie, ja ciebie nic nie rozumiem.

Bolesław. Wiem o tem. Ach jakże mi trudno przerwać pasmo tych złudzeń, w których, upojony szczęściem, na chwilę zapomniałem o nowej przepaści, jaka się między nami rozwarła. Ale dość już tego kwilenia. Dowiedz się wreszcie, moja żono, że z winy, za którą mnie odtrąciłaś, zrodziło się gorsze od niej nieszczęście, które na mnie nowy cień rzuca. Pomiędzy mną a tobą stanęła kiedyś kobieta — dziś stoi jej posępne widmo. Julia *(pada bezwładnie na krzesło)* umarła, otruła się...

Zofia. Ach! *(cofa się przerażona do Maurycego).*

Bolesław (z zimnym spokojem). Przed śmiercią napisała do mnie, nie oznaczając miejsca, taki list *(wyjmuje z kieszeni i czyta):* „Nie mogłam żyć dłużej obłąkana, z pamięcią, że wydarłam szczęście dwojgu kochającym się ludziom, z boleścią — że im go nigdy nie wrócę i z rozpaczą — że swego życia na żadną inną drogę nie wprowadzę. Bo cokolwiek chciałam rozumem, wszystko było nad moją wolę. Czy warto być dla siebie katem, a dla drugich przeklinanym upiorem? Kilkoma kroplami trucizny rozwiązuję tę zagadkę, a umierając, nie przekazuję tobie, panie, i twojej żonie innego wspomnienia oprócz zagrobowej prośby, ażeby was tak połączyła moja śmierć, jak rozdzieliło życie. Umieram jak chrześcianka — z miłością dla ciebie, mój panie, z nadzieją — że mnie swojem powróconem szczęściem rozgrzeszysz, z wiarą — że mi Bóg to odpuszczenie w swym sądzie policzy. Julia". *(Chwila posępnej ciszy, w której Bolesław pytająco patrzy na pogrążoną w zamyśleniu Zofię).*

Maurycy (zbliżywszy się do Bolesława). Zmieniłeś się, mój przyjacielu, bardzo się zmieniłeś! Przed pół rokiem musiałeś kryć przed żoną pierwszy list tej samej kobiety, nie wiedząc nawet, czem on ci grozi, dziś już nie umiesz zataić drugiego, choć przypuszczasz, że on cię gubi. Co to za różnica! Zyskałeś, bracie, dużo na zacności, nie chcesz nawet milczeniem kłamać. Rzadka to cnota. Zapamiętaj sobie ten dzień, w którym się ona tobie objawiła, i bądź z niego dumny. Takie dni trzeba święcić...

Zofia (idzie zwolna do Bolesława i milcząc całuje go w czoło). Jestem z tobą...

Bolesław (patrzy się w nią chwilę wzruszony). Dobra jesteś... choć także inna. Dziękuję ci za ten dowód twoich uczuć. Całujesz mnie spokojnie, nie tak jak kiedyś, nie tak jak przed chwilą. Ale ja cię rozumiem, bo i sambym już nie mógł się unieść młodzieńczym zapałem. Są godziny, w których dzieci w starców się zmieniają. Myśmy takich godzin przeżyli długi szereg, zamknięty teraz ostatnią, może najposępniejszą — nic więc dziwnego, że łącząc się, stajemy obok siebie bardziej smutni niż weseli. Tak, towarzyszko moja — dziś bierzemy ślub nowy, przy odgłosie pogrzebowego dzwonu. Jak sądzisz, czy ten odgłos kiedy nie przycichnie i czy będziemy musieli go słyszeć przez całą naszą przyszłość?

Zofia. Nie lękaj się, mój drogi, on cię nie skarży.

Bolesław. Ach, gdybym o przeszłości mógł zapomnieć!

Zofia. Nie pragnij tego, bo pamięć o niej zawsze strzedz cię będzie.

Bolesław. Pocieszasz mię — wierzę ci, że tak myślisz. Powiedz mi, dlaczego my się smucimy? Czego nam brak, że się w uniesieniu nie rzucamy sobie w objęcia?

Zofia. Złudzeń.

Bolesław. Czy przypuszczasz, że to nowe nasze życie będzie gorsze?

Zofia. Nie, kochany, przypuszczam tylko, że będzie inne.

Bolesław. Kochasz ty mnie?

Zofia. Zobaczysz.

Bolesław. Kiedy?

Zofia. Albo ja wiem — dopierośmy się poznali. Tymczasem chodź, mój przyjacielu, do naszego dziecka, ono nas dawno razem nie widziało. *(Bierze pod rękę Bolesława — idą ku drzwiom na prawo).*

Bolesław. Nauczymy go naszych doświadczeń, prawda? On nie popełni moich błędów.

Zofia. Popełni swoje.

Bolesław. Alboż każdy musi upadać i podnosić się?

Zofia. Nie, upadają wszyscy, a podnoszą się tylko niektórzy.

(Wychodzą).

Maurycy (który stał na boku wpatrzony w Bolesława i Zofię, odwraca się z gorzkim uśmiechem do Stefana). Cóż, stary, i ty się zadumałeś? Trochę cię to dziwi. Tak, mój drogi, wyglądają ludzie, którzy przez swe błędy umierają, a przez cnoty nanowo się rodzą. Oni jeszcze szczęśliwi, bo ożyli. Nie każdemu się to udaje. Słuchaj, stary — masz dzieci i uczysz ich; wiesz, co najlepiej im powtarzać? Najnieszczęśliwszym człowiek jest wtedy, gdy raz tylko żyje. Wtenczas dopiero żyć umiemy, gdyśmy czas na to przeżyli. Wieczna kolej wszystkich ludzi. Ucz tego, mówię ci, swoje dzieci, albo wreszcie daj im pokój, one się same nauczą...

Stefan. Oj, prawda panie, wszyscyśmy winni...

Maurycy (rzucając się z gorzkim uśmiechem na fotel). Naiwny poczciwcze, wynajdź mi na całym świecie jednego, coby był winien, nawet pomiędzy tymi, którzy się sami tak nazywają. *(Zasłona spada).*

2. Pauzaniasz. (1882).

(Obrazek dramatyczny).

Scena I.

Rzecz dzieje się w Sparcie w V wieku przed Chrystusem.

(Plac miejski. — Z lewej strony front świątyni Pozejdona, z prawej, świątyni Ateny, wprost dom Pauzaniasza).

Grifos i Leja.

Leja (zbliża się trwożliwie do Grifosa, siedzącego na schodach świątyni Pozejdona w ubraniu żebraka). On! *(przypada szybko do niego).* Mruku, tchó-

rzu, gawronie, czemuż nie przyszedłeś do mnie, lub nie doniosłeś, żeś posłuchał mej rady? Ja myślę, płaczę, że jego głowa już z karkiem się rozstała, a on tu wlazł w żebraczy łachman i siedzi sobie spokojnie. Czy ty wiesz?...

Grifos (przerażony). Cicho...

Leja. Oszalałeś? Ja jak pies oberwałam się z łańcucha i przyleciałam, ażeby cię zobaczyć, a ty mi gębę zamykasz?

Grifos (jak wyżej). Cicho...

Leja. Kurczęta wysiadujesz, żeś tak przyrósł do tego miejsca i nawet podnieść się nie chcesz? Głupia jestem, że dla takiego dudka jedno zadraśnięcie skóry poświęcam. Wczoraj, za to, żem nie umyła owiec, bo ciebie szukałam, pan kazał przepędzić mię nago przez krzaki berberysowe. Powiedzże mi, coś zrobił, czemu tu siedzisz?

Grifos. Cicho, odejdź.

Leja. To chodź ze mną, uciekaj do obozu Korosa, który zbiera niewolników. Tu cię Pauzaniasz zadepcze.

Grifos (szepcząc). Bądź spokojna. eforowie zaręczyli, że mi nawet paznogcia nie obetnie.

Leja. Mój pan został także eforem.

Grifos (podnosząc się). Gdyby cię zobaczył!... On tu jest, są wszyscy w świątyni... Skryjże się, krzykliwa sroko... Pauzaniasz idzie *(siada. — Leja odbiega. — Pauzaniasz wychodzi ze swego domu z Korosem, przebranym za pielgrzyma).*

Scena II.

Pauzaniasz i Koros.

Pauzaniasz. Jednak ostrożnie! Mimo tych szat pielgrzymich i przyprawionej brody może cię ktoś poznać, a wtedy będziesz posiekany na tak drobne kawałki, że sikora żadnym się nie udławi.

Koros. Pamiętam o tem i wyznam ci, Pauzaniaszu, że mniej lękam się wszystkich Spartan niż... ciebie.

Pauzaniasz. Mnie? Dlaczego mi to mówisz przy rozstaniu?

Koros. Bo odchodzę z niczem.

Pauzaniasz. Czegóż chcesz?

Koros. Chcę rękojmi, że Pauzaniasz, zasiadłszy na tronie spartańskim przy pomocy sprzysiężonych niewolników, nie zakuje ich w cięższe kajdany od tych, które teraz dźwigają.

Pauzaniasz (zamyślony). Wdzięcznym będę...

Koros (uśmiechając się gorzko). Pauzaniasz będzie wdzięcznym.. Przebacz mi prawdę. ale my wdzięczności Spartan nie kosztowaliśmy i nie znamy jej smaku. Dziś potrzebujesz jako spiskowiec niewolników zbuntowanych, ale jutro, jako władca, zapragniesz uległych. A za wiele wycierpieliśmy już z przymusu, ażebyśmy jeszcze mieli się poświęcać na ofiarę z własnej woli. Znosić ucisk jest możliwością ludzką, ale walczyć za ciemięzców...

Pauzaniasz. Czyż sądzisz, że doznawszy od was tak wielkiej usługi...

Koros (j. w.). To piękne słówka tylko, Pauzaniaszu, którémi nawet łatwowierna kobieta się nie pożywi. Zresztą przypuszczam, że zechcesz dług spłacić, że mnie, że nas dziesięciu, dwudziestu łaskami obsypiesz; ale za ciebie krew będą przelewały tysiące niewolników; kto ich wynagrodzi i ubezpieczy? Przyszły władca Sparty nie pójdzie do każdego domu, do każdego warsztatu lub gospodarstwa i nie sprawdzi, czy pan gnębi swych służących jak przedtem, albo nawet, czy, mszcząc się za bunt, nie gnębi ich bardziej? Zwyciężywszy, nie zostaniesz przecie sam w Sparcie, a twoi możni poddani nie będą mieli ani obowiązku, ani chęci złagodzenia naszego losu. Choć Jowisz modłów wysłucha, oliwka nie obrodzi, gdy jej liście robaki zjedzą.

Pauzaniasz. Ja te robaki z drzewa spartańskiego otrzęsę, zgarnę, zmiazdżę, ich gąsienice wytępię! Jednem kopnięciem rozbiję senat spróchniały, zetrę wszystkie pięć łbów hydrze eforatu, której gardła dotąd napełniałem złotem!...

Koros (uniesiony odprowadzając Pauzaniasza do świątyni). O, tak, Pauzaniaszu, tak, utnij i nie daj im podrosnąć; niech przed objęciem urzędu nie przysięgają, że nas mordować nie będą... Spojrz na moje czoło, widzisz na niem te brózdy, blizny, bąble? Przed pięciu laty kupił mnie jeden z obecnych eforów, jako śpiewaka. Za to tylko, że mu smutną piosenkę zanuciłem, kiedy on chciał być wesołym, kazał mi przez cały dzień tańczyć, dopóki bezprzytomny nie padłem. Gdy nazajutrz uciekłem w góry, zrobił na mnie obławę i złapał. Własną ręką przyłożył mi do czoła rozpalone żelazo, na którem wyryte było jego imię i którem niewolników znaczył, ażeby ich jako zbiegów wszędzie poznawano. Uciekłem jednak znowu, zdarłem sobie skórę z czoła i dotąd je smaruję gorczycznym sokiem, który mi resztki piętna wyżera. Nie miałem w tych pięciu latach ani jednego dnia spokojnego; jak dzikie zwierzę mieszkałem w jaskiniach, okradając biedne wiewiórki z orzechów a pszczoły z miodu. Czasem tylko przechodzący niewolnik kawałek chleba ułamał, lub leśne drzewo dojrzały owoc z litości głodnemu rzuciło. Karmiła mnie przecież ciągle nadzieja, że kiedyś odetchnę zemstą. Obiegając okolicę i porozumiewając się tajemnie z niewolnikami, zbuntowałem tylu, że ich cztery tysiące czeka wezwania do śmiertelnej walki, dwakroć sto tysięcy zaś na to hasło zerwać się może. A ty chyba wiesz, Pauzaniaszu, że my strasznie bić się będziemy! Gdy ręce w uderzeniach omdleją, ciała nasze zioną zarazą i nieprzyjaciela zniszczą!

Pauzaniasz (zachwycony). Wybornie! Pioruny mam, tylko mi właśnie takiej burzy potrzeba! Rozpacz jest matką męstwa, a najdzielniej biją się nieszczęśliwi; nie wątpię też, że wam odwagi starczy. Zresztą z lwów termopilskich wyrodziły się bojaźliwe koty; dzisiejsza armia spartańska nie ta, którą wiódł Leonidas — idzie do boju naprzód piętami. Tak, Korosie, zwyciężymy; zamiast tego dwupłciowego potwora, który niedołężne królestwo łączy z nierządną rzecząpospolitą, zamiast znikczemniałych eforów i strupieszałego senatu,

zamiast tych wszystkich oligarchicznych szczurów, które pod tronem mają swoje nory, ustanowię rząd silny, jedną wolą przeniknięty...

Koros. A dla nas — dla niewolników?

Pauzaniasz. Dla was — łaskawy.

Koros. To jest?

Pauzaniasz (zniecierpliwiony). Ach, mój Korosie, gdyby łuk, który mam naciągnąć przeciw wrogowi, targował się ze mną o wysoką nagrodę i za nią tylko obiecywał wypuścić strzałę, odrzuciłbym go i wolałbym bić się pięściami. Czego ostatecznie chcesz? Przecież zapewne nie tego, ażebym was wszystkich codziennie własną ręką nacierał wonnymi olejkami.

Koros. O, nie tak wiele żądam, tylko...

Pauzaniasz. Śmiało — raz powiedz otwarcie.

Koros. Ażeby każdy niewolnik, który weźmie udział w walce, otrzymał swobodę.

Pauzaniasz. Każdy?! A jeśli wszyscy powstaną?

Koros. To wszyscy będą wolni!

Pauzaniasz. Oszalałeś! A któż będzie pracował, gdy wyzwolę wszystkich?

Koros. Wolni.

Pauzaniasz (szyderczo). Jeśli im się podoba, a jeżeli się raz nie podoba, to nawet nie będzie w Sparcie ani jednego człowieka, któryby jej królowi sandały do nóg przywiązał. O nie, mój Korosie, wspaniałomyślnym być chcę, ale za taką cenę pomocy waszej nie kupię, tem więcej, że bez niej obejść się mogę.

Koros. Wątpię, chociażbyś był Herkulesem...

Pauzaniasz. He, he, wracaj do swej bosej komendy, bo zaczynasz bredzić. Ty myślisz, że ja mogę tylko rozstawić nogi, a konia między nie wy mnie wsuniecie? Głupi sen cię odurzył. Na mój znak przyjdzie tu tyle wojska, że pod nakryciem jego tarcz Grecya wyglądać będzie jak wielki żółw, pływający na brzegu morza.

Koros (żartobliwie). Piękna bajka.

Pauzaniasz (mówiąc powoli i z naciskiem). Kiedy bajki lubisz, to ci opowiem ładną. Był pewien wódz, który wojując w Azyi, tak zasmakował w jej przyprawach, że mu obrzydła czarna ojczysta polewka. Prosił więc potężnego króla perskiego, ażeby ten pomógł mu do przekształcenia starej spartańskiej kuchni i ażeby, dla zachowania tajemnicy układów, zabijał każdego niewolnika, przybywającego doń z listem. Dwaj zgładzeni posłańcy schowali sekret do grobu; co się stało z trzecim, który poniósł ostateczne wezwanie, nie wiem, ale może ci bajkę niedługo dokończę. Tymczasem pomyśl nad nią i roześmiej się... z siebie. Za chwilę wyjdę ze świątyni Pozejdona, który jest moim dobrym bogiem i któremu dziś jeszcze nie złożyłem ofiar. Spotkaj mnie i powiedz, czy wy jesteście tak koniecznie potrzebni do przerobienia spartańskiej kuchni.

Koros (udając wesołego). Potrzebni jesteśmy, bo wszyscy twoi niewolnicy są w Sparcie.

Pauzaniasz (zbliżając się do świątyni). Przyprowadź mi żywego Grifosa, a będę twoim śpiewakiem.

Koros. Grifosa? Tego, który tam siedzi na stopniach świątyni i żebrze?

Pauzaniasz (podbiega przerażony). Grifos! co tu robisz? Zbierasz jałmużnę na podróż? Dałem ci dość pieniędzy! Mów, nie poszedłeś jeszcze, czyś już wrócił? *(Potrząsając nim)* No, mówże, bo cię za język powieszę! Kochany Grifosie, nie bój się, tylko powiedz słowo. Ty zawsze byłeś dobrym chłopcem, ja cię lubiłem! *(Chwytając go za szyję)* Gdzie mój list, zbrodniarzu?! gdzie mój list?

Grifos. Ratunku! *(Ze świątyni wychodzi pięciu eforów).*

Koros (spostrzegłszy ich). Koniec bajki! *(oddala się szybko).*

Scena III.

Pauzaniasz, Grifos, Eforowie, później Leja.

Pierwszy efor. List twój mamy, Pauzaniaszu — nie lękaj się.

Pauzaniasz. Zasadzka!

Drugi efor. Chcieliśmy tylko przekonać się, czy twoje pismo rozumiemy i czy niewolnik prawdę powiedział.

Pauzaniasz (z ironią). Niedomyślni jesteście, a gdym wam niedawno, jako sędziom, złote krążki w woreczkach rozsyłał, odrazu wiedzieliście, co one znaczą, choć na nich tylko głowa króla perskiego była wytłoczona.

Trzeci efor. Milcz, zdrajco!

Pauzaniasz (j. w.). A dlaczegóż to świat ma słyszeć tylko o moich grzechach, a nie znać cnót waszych? Nie nadymajcie się uczciwością, podłe gady, bo ja z was ten wiatr wypuszczę. Dwa razy ręce wasze wznosiły się po moją głowę i dwa razy wpadły w moją kieszeń. List wam dopiero odkrył moje stosunki, a po cóż to ściągaliście mnie z pod Bizancyum i za co płaciłem szlachetnym eforom, jeśli nie za przyjaźń z satrapą Artabazosem i królem perskim? Oburza was zapewne nie moja zdrada, ale przypuszczenie, żem zbiedniał, że już nie będę mógł ulać wam złotego sumienia. Kazaliście mnie milczeć, teraz ja wam każę mówić; powiedzcie, że kłamię, że wasze dusze nie są otchłanią, wiecznie łaknącą zysku, żeście nie przedajni, nie podli!

Czwarty efor. Straż! *(Występuje pięciu uzbrojonych żołnierzy).*

Piąty efor (przystępując poważnie do Pauzaniasza). Ile i za co mi płaciłeś?

Pauzaniasz. Tobie nic, tyś między tymi krukami był gołębiem i przebaczyć mi nie chciałeś.

Piąty efor. A więc czystem sumieniem przeklinam cię, rozpustniku i zdrajco, który na ojczyznę swoją naprowadzić chciałeś barbarzyńskie hordy, ażeby z niemi ją opanować. Zgiń, ażeby twój dech powietrza nie zakażał, i w piersi dzieci spartańskich nie przenikał, ażeby potomność nie złorzeczyła narodowi, który nie tylko zdrajcę wydał, ale nawet bezkarnie żyć mu pozwolił.

Pierwszy efor (do straży). Bierzcie go!

Pauzaniasz (wskazując na stopnie świątyni Ateny). Bogini Atena nie pozwala tknąć nikogo, kto schronił się pod opiekę jej przybytku. Tu mieszkać będę, stąd urągać wam, którzy w mojej śmierci chcielibyście zabić własną ohydę. Może orzeł w przelocie upuści swój łup, może pies niedogryzioną kość mi przyniesie, tem się pożywię, zanim król perski na waszych karkach tu przyjedzie.

Drugi efor. Straż — dalej! *(Straż wpada na schody).*

Pauzaniasz (kryjąc się do świątyni). Precz, świętokradcy! *(Straż się cofa, przechodnie gromadzą się z ulic).*

Piąty efor. Co robić? *(Chwila milczenia i cichej między eforami narady).*

Piąty efor (do straży). Niech jeden z was uwiadomi matkę Pauzaniasza, że może widzieć syna po raz ostatni. Wy zaś zamknijcie świątynię, zedrzyjcie z niej dach, niech każdy przechodzień rzuci przez otwarte sklepienie kamień na zbrodniarza. *(Żołnierze przystępują do zerwania dachu).*

Leja (wyrywając się z ukrycia do Grifosa). Uciekajmy!

Grifos. Cicho...

Leja. Uciekaj, ślimaku, bo przyjaciele Pauzaniasza ciebie do tej świątyni cisną. *(Oddalają się).*

Piąty efor. Kto tam idzie?

Pierwszy efor. Matka Pauzaniasza. *(Tłum rozstępuje się, stara kobieta zbliża się powoli ku eforom, i staje przed nimi).*

Piąty efor. Wezwaliśmy cię, zacna niewiasto, ażebyś pożegnała się z synem, zdrajcą Sparty, który przed prawem schronił się do tej nietykalnej świątyni i który w niej zamurowanym zostanie, a każdemu wolno będzie przez odkryty dach przybytku Ateny rzucić na więźnia kamieniem. Otwórzcie drzwi. *(Straż odmyka świątynię).*

Matka (przez chwilę stoi zamyślona, wreszcie podejmuje kamień, ciska go na świątynię i pada).

Pauzaniasz (z głębi). Litości!

Piąty efor. Można zamurować! *(Zasłona spada).*

3. Nad grobem. (1897).

Przeszedł długą drogę życia od kolebki do grobu, a powszechnie mniemano, że mu na niej pod stopami gęsto wyrastały barwne i wonne kwiaty, które czasem miewały kolce, ale nie raniły go nimi boleśnie. On też nie skarżył się przyjaciołom i nie złorzeczył wrogom; śmiał się dość często, nie płakał nigdy. A chociaż przebywając ostatnią stacyę kolei życia, wyglądał smutnie, tłómaczono to sobie naturalnym żalem za młodością, który bezpowrotnie minął, i niechęcią do zgonu, do którego szybko się zbliżał. Los — mówiono — nie obarczył go żadnym ciężarem, tylko czas włożył mu na barki brzemię osiemdziesięciu lat wieku, pod którem starzec się ugiął. Szczęście przez cały czas ten prowadziło go stale za rękę i opuściło dopiero

wtedy, kiedy go musiało oddać jedynemu a nieuniknionemu nieszczęściu śmierci.

Stanął nad otwartym grobem spokojny i pogodzony z tą koniecznością. Wokoło niego zgromadzili się wszyscy, z którymi łączyły go jakiekolwiek węzły: żona, dzieci, przyjaciele. a po za nimi liczna gromada ludzi, którzy prawdopodobnie coś mu zawdzięczali. Żegnał się kolejno z każdym.

— Uciekałaś od śmierci z trwogą — rzekł do żony — a ścigałaś życie z rozkoszą, niechże ci ono da największą miarę istnienia, jaką tylko ludziom wydziela. W maleńkiem sercu twojem nie pozostanie po mnie żadna pustka, bo ja w niem nie mieściłem się i nie przebywałem nigdy. Zaglądałem tylko weń czasem przez szczeliny i widziałem ruchliwy rój drobnych pragnień i uciech. Niech one ci się mnożą do ostatniego twego oddechu. Wprawdzie byłaś jemiołą na konarze mojego życia, które obecnie usycha i pada, ale tych soków, jakie ze mnie wyssałaś, wystarczy ci dostatnio na koniec starości. Gdy spocznę w ziemi, nie mąć sobie pogody życia wspomnieniami i obowiązkiem odwiedzań mojej mogiły, nie marnuj łez i westchnień, gdyż rosnąca na niej trawa zadowoli się rosą i wiatrem. Nie trudź się również modłami za duszę moją, bo jeżeli ja ją mam, a Bóg jest, to wie, żeś ty jej nie znała i nie kochała, więc twoich próśb nie wysłucha. Przebacz mi, że nie mogłem połamać moich myśli, uczuć, marzeń, ideałów i wrzucić ich w ognisko, przy którem gotowałaś dla nas jadło, że nie mogłem włożyć ich między ostrza tych nożyc, któremi krajałaś naszą odzież, że nie mogłem ani oprawić się cały w ramy twoich upodobań, ani być w klatce małżeńskiej ptakiem, wygwizdującym ci ulubione melodye, że po zaspokojeniu twoich potrzeb pozostawała we mnie dnia reszta, którą ocalić i spożytkować pragnąłem dla siebie i świata. Dziękuję ci za trudy dozoru mego domu, za podawanie mi jedzenia w zdrowiu i lekarstw w chorobie, za wszystko wreszcie, o czem nie pamiętam.

— I wy, moje dzieci, nie próbujcie mnie żałować: najmniejsza łza was będzie kosztowała wiele wysiłku, a mnie już nie przyniesie ulgi. Gdybym nawet mógł i chciał przedłużyć moje życie, nie miałoby ono dla was żadnej wartości. Bo co tylko dało się z niego wydobyć, to wzięłyście. Przebaczcie mi, że nie miałem lub nie dałem wam więcej. Widziałyście nieraz, jak wyczerpany z sił upadałem w nieustającej pracy dla waszej wygody, podczas gdy nikt z was nie otarł mi potu z czoła, nikt mozołu pomocą nie zmniejszył, nikt go wdzięcznością nie wynagrodził. Przebaczcie mi, że chciałem żyć nieco dla siebie, był to bowiem niezbędny warunek, ażebym żył dla was. Wszakże i jabłoń, która oddaje wam swoje owoce, i róża, która oddaje wam swoje kwiaty, i zboża, które oddają wam swoje ziarna, dopóki istnieją, nie oddadzą wam wszystkich swoich tkanek i soków. Widziałem często, że gdy nie zdołałyście rozebrać mnie na swą korzyść do ostatniego szczętu, byłyście smutne, ale ja musiałem oszczędzać siebie, chociażby dlatego, ażebyście strwoniwszy mnie odrazu, nie uczuły potem braku. Więc mi darujcie to skąpstwo.

A nadto przyjmijcie od umierającego ojca podziękowanie za to, żeście na pociechę jego urodziły się i nie wyrzekły się tytułu jego dzieci.

— Bądźcie zdrowi, dobrzy przyjaciele. Umiem ocenić waszą bezinteresowność w tej chwili: zadaliście sobie trud odprowadzenia mnie do grobu, chociaż za to już wam się nie wywdzięczę. Pragnąłem za każdą waszą usługę wywzajemnić się, jeśli wszakże jakaś oprócz tej, pozostała niewynagrodzona, darujcie mi ten dług, bo już nie mam czasu go spłacić. Przed przyjściem tu obliczyłem moje życie ściśle i rzetelnie, obrachowałem, co ja jestem wam winien, a co wy mnie. Zdawało mi się, że dowody przyjaźni z obu stron są zrównoważone, ale ten rachunek robiłem pamięcią starą i słabą, być więc może, iż w nim coś opuściłem na waszą niekorzyść. Przebaczcie mi tę bezwiedną i mimowolną omyłkę. Wiem o tem, że darowizn i poświęceń niema, są tylko wymiany usług. Starałem się zawsze to przykazanie trzymać przed moją myślą, ale czy czasem w jakiemś rojeniu nie zapomniałem o niem, nie jestem pewien. Gdyby tak było, rozgrzeszcie mnie i nie rzućcie wraz z ziemią na mnie krzywdzącego wyrzutu. Dziękuję wam serdecznie za dobrą dla mnie wolę, za to, że nie życzyliście mi ani choroby, ani nędzy, ani hańby, że mogąc mnie zabić, oszukać, zniesławić, pozostawiliście mnie przy życiu, dostatku i uczciwości.

— Wy zaś wszyscy — dodał, zwracając się ku stojącym dalej — których ledwie znam z nazwiska, przebaczcie mi również każdy czyn, który nie był dobrem waszem i przyjmijcie podziękowanie za każdy, który uważaliście za dobro moje.

Blady, ale spokojny, bez wzruszenia, z oczyma suchemi, pożegnał po raz ostatni zgromadzonych schyleniem głowy, odwrócił się od nich i już miał zstąpić do grobu, gdy nagle zatrzymał się i utkwił zdumiony wzrok w przestrzeni. Na jej jasnem tle, w oddali, ujrzał taki sam orszak uniesiony nad ziemią, składający się z istot podobnych, ale duchów przejrzystych, pięknych i anielsko uśmiechniętych: „Co to jest? — pomyślał — Czy towarzysze mojego pogrzebu odbili się w powietrzu tak cudownem złudzeniem?“ Wpatrzywszy się uważnie w twarze lotnych postaci, rozpoznał je. Tak, to były ideały ludzi rzeczywistych, z którymi powiązał się stosunkami życia, i którzy teraz stali przy nim nad grobem; to były owe urocze mary, o których śnił w młodości, i które kolejno znikały z jego wyobraźni, a dziś zgromadziły się wszystkie, ażeby go przed śmiercią pożegnać. Tak, to były one, nie brakło ani jednej.

Przypominał je sobie kolejno, przypominał sobie każdy ich rys, każdą chwilę ich narodzin i śmierci. Przed ożywioną jego pamięcią błysnął i roztoczył się cały promienny szlak snów młodości, jej barwy i światła, jej zachwyty i marzenia, jej przepiękne widma, które spodziewał się znaleść w życiu, i których nigdy w niem nie spotkał. Jakże bolesnem było dziś dla niego to przypomnienie, i jak okropnem rozstanie! Po co te mary objawiły mu się nad grobem? Czy po to, ażeby ostatniem drgnieniem jego serca był nieutulony

żal za światem, z którego odchodzi? Z twarzą, kurczami rozpaczy wykrzywioną, oczami nabrzmiałemi od palących łez, spoglądał na zawieszony w przestrzeni orszak ułud, wreszcie pasując się z cierpieniem, w którem mu serce pękło, krzyknął i upadł.

Wzruszona jego boleścią ziemia zamknęła grób natychmiast, zanim grabarze zdążyli go zasypać. Powracający z pogrzebu chwalili piaszczysty grunt cmentarza, w którym ściany dołu same się usuwają.

VIII. Józef Bliziński.

Pan Damazy. (1877).

(Komedya w czterech aktach).

Postać tytułowa, Pan Damazy, tej najlepszej, najbardziej swojskiej komedyi Blizińskiego, szlachcic opiekły z porcelanową fajeczką w ustach, popędliwy i opryskliwy, na pozór surowy, a w głębi miękki jak wosk, w swoim szczupłym zakresie działania roztropny, a nawet szlachetny, dbający o grosz, bo wie, że się u niego „nie przelewa“, lecz daleko więcej o uczciwość, o niezrobienie krzywdy sierocie, a nawet o najlżejsze posądzenie, że pragnie niedoli dla kogobądź, choćby bardzo winnego. Nie cierpi on czułych frazesów i powie rubasznie rejentowi Bajdalskiemu, gdy ten szeroko o sercu zacznie mu rozprawiać: „zlituj się pan, bo się roztopię z rozczulenia, jak masło w tygielku, i nie będziesz pan miał z kim gadać“, ale prawdziwego uczucia dowody złoży w czynie, każąc swej córce ucałować serdecznie tę nieszczęśliwą, pogardzoną Mańkę, zapraszając też Mańkę do stołu, wbrew niechęci bratowej, upominając się o jej wyposażenie i kładąc to za nieodwołalny warunek zawieranych z bratową układów. Dowiedziawszy się o testamentowej woli brata, wybuchnie w pierwszej chwili gwałtownie, nazwie postępowanie wdowy po nim łajdactwem, zapowie ostro, że wdowie należy się tylko dożywocie w czwartej części, a jemu cały spadek, że taka była wola nieboszczyka i że głupotą byłoby zrzekać się tego, boć ma dziecko; ale niebawem ochłonąwszy, narzekając na serce, iż ono zawsze rozum wystrychnie na dudka, twierdząc, że nigdy sercem się nie rządzi, odda bratowej połowę majątku. W postanowieniu jego odgrywa rolę i miękkość wrodzona i szlachetność i wzgląd na opinię ludzką i trochę przesądności nawet; nie jest on moralistą, działającym w imię jakiejś wyłącznej zasady, lecz tym człowiekiem rzeczywistym, na postanowienia którego wpływają wielce różnorodne pobudki: „Skończy się na tem — powiada — że mnie okrzyczą za chciwca, człowieka bez serca, prześladowcę wdowy! Będą baby kląć! Jeszczeby na marne poszło!... Nie chcę! Nie chcę nic sam dla siebie... Słuchaj mnie, Antoni (jest to jeden z jego siostrzeńców)! Nie mogę tego zapomnieć, że twoja ciotka żyła kilkadziesiąt lat, panie mościdzieju, z moim bratem, że przywykła do wygód; pozbawiać jej wszystkiego nie chcę... oddaję jej połowę; idźże jej to powiedz“. I w ten sposób bardzo przykre zawikłania rozwiązują się pogodnie.

Aktu II, scena V.

Seweryn, Mańka, Tykalska, Rejent, potem Jan.

Tykalska (z pończochą, do Seweryna żartobliwie, zastępując mu drogę). No, no, no, czegóżeś się tak zaczypurzył... zaczekajno!...

Seweryn (opryskliwie). O! dajże mi ciotka pokój *(wychodzi).*

Tykalska. Co to, Mańka aż padła na ziemię, co się to tu porobiło?...

Rejent (n. s.). Zaczynają się skandaliczne sceny; to dobrze...

Tykalska (podnosząc ją). Manieczko, co ci? czyś ty zasłabła?

Mańka (śmiejąc się z wysileniem). Ha, ha, ha... nie!

Tykalska. A czegóż klęczysz?... czyście się tu przemówili?...

Mańka (j. w.). Nie! upuściłam różę i chcąc ją podnieść... przyklękłam...

Tykalska. A Seweryn co tu robił?

Mańka. Nie wiem... przechodził tędy...

Tykalska (kiwając głową). Hm, hm, hm... ejże, tu między wami coś było... *(przygląda się jej)* płakałaś... ale co tam, otrzyj oczki... nie kłopocz się... *(do ucha)* kto się lubi, ten się czubi... poprztykaliście się, to się i pogodzicie, ja wam powiadam... *(Całuje ją w głowę, Mańka ją w rękę).*

Rejent (do odchodzącej Mańki). Brawo, brawo!... trzymać się ferm, bronić swoich praw.

Mańka (zatrzymując się). Nie rozumiem pana.

Rejent. Najgorsza broń w ręku kobiety — powolność i zbytek poświęcenia, nic prędzej nie znudzi i nie odstręczy.

Mańka. Pan widocznie żartujesz ze mnie. *(Odchodzi).*

Jan (spotykając się z nią przy wyjściu). Proszę panienki...

Mańka (zirytowana). Czego chcesz?

Jan. Pani kazała nakryć do śniadania tu w altanie...

Mańka (j. w.). Więc cóż, to nakrywaj.

Jan. Ale pani kazała powiedzieć, żeby... *(Idąc z nią, mówi cicho).*

Mańka (n. s. przyciskając ręką czoło). Ach! Boże! Boże!.. *(Wychodzą).*

Scena VI.

Rejent, Tykalska, potem Mańka i Jan.

Rejent (n. s.). Żeby też jedna powiedziała to, co myśli... jeżeli ona nie zrozumiała, to ja nie jestem rejentem i to jeszcze Bajdalskim...

Tykalska (z westchnieniem). Biedaczka!

Rejent. Kto?

Tykalska. A któżby?... ta sierotka... *(robiąc pończochę, siada na ławce)* Jużto muszę powiedzieć, że póki żył nieboszczyk, było jakoś inaczej... kochał ją jak własne dziecko...

Rejent. A może też rzeczywiście... e... e... e...

Tykalska (zgorszona). A mój panic, fe... fe!...

Rejent (siada koło niej). Ale cóż tak dziwnego, ludzie są ludźmi, dobra pani.

Tykalska. Ale cóż znowu...

Rejent. Ładna panienka... *(Po chwili).* Pan Seweryn? e... e... e...

Tykalska (patrząc mu w oczy). Co, pan Seweryn? Mój panie, dlaczego pan przytykasz do niej Serwerynka? ciekawam bardzo.

Rejent. Tak mi jakoś przyszło na myśl...

Tykalska. Nie ładnie. *(Po chwili).* Chociaż, żebyś pan wiedział to, co ja wiem... ho!... ho!... tylko że nie mogę powiedzieć.

Rejent. Jakto? tajemnica?

Tykalska. A nie inaczej. Powiadają, że kobiety mają długie języki, ale to bajki, mój panie, nie jeden mężczyzna większy papla, niż dziesięć kobiet.

Rejent. I to się trafia, dobra pani.

Tykalska. Już nie trzeba, jak mój Tobunio nieboszczyk, co to była za poczciwa dusza, powiadam panu... ale taki baba, niech Bóg broni!... jak co wiedział, to zachorowałby, żeby w ten moment nie wypaplał... Jabym panu zresztą powiedziała, ale gdzież to!...

Rejent (ironicznie). Jeżeli sekret, nie narzucam się wcale... e... e... e... bądź co bądź, kobieta, umiejąca dochować tajemnicy, jest rzadkością, którą umiem uszanować...

Tykalska. Kiedy tak, to panu powiem, bo wiem, że nikomu nie powtórzysz. *(Po chwili tajemniczo)* Trzeba panu wiedzieć, że Sewerynek z Mańką mają romans...

Rejent (udając zdziwienie). Pfu, proszę!...

Tykalska. Jakem poczciwa!... oho, mnie nie oszukają... tylko cicho... na miłość boską... bo jakby to doszło do siostruni...

Rejent. Pani Żegocina ma zapewne inne plany?

Tykalska. Nie mówię nic na to, że zapewne wszystko mu zapisze, bo to gagatek, mój panie... niech sobie ma... i owszem! ale właśnie cóżby to szkodziło, żeby się niebożątka pobrali... powiedz pan sam...

Rejent. Już to panie lubicie swatać, to rzecz wiadoma.

Tykalska. Ładnie patrzeć, jak się takich dwoje dzieciuchów kochają... *(Po chwili)* Ja poszłam za Tobunia tylko z przywiązania i nie skarżyłam się nigdy, chociaż był goły, jak kapucym... bieda była taka, żeby siekierą nie urąbał...

Rejent. Dobra pani, wzajemna miłość — to skarb największy, miałem żonę, to wiem.

Tykalska. Jeżeliby siostrunia nie chciała o nich wiedzieć, to ja jednak znajdę na to sposób... znajdę, jakem poczciwa!...

Rejent. Miałabyś pani zasługę przed Bogiem, ale jakiż to sposób?

Tykalska. O, mój panie, co tam będę się legitymować... *(Więcej do siebie)* Kiedy powiadam, że znajdę, to znajdę... Co miało być dla samego Anteczka, to podzielę na dwoje.

Rejent. Czy pani masz jakie kapitały?

Tykalska. Może i mam. *(Zamyśla się i uśmiecha do siebie).*

Rejent (n. s. wstając). Domyślałem się, że baba gra komedyę... ów kapucyn... Tobunio musiał jej zostawić coś grosza... procenciki sobie ciuła a siostruni siedzi na karku. *(Głośno)* Nie wkradam się w zaufanie pani, ale zwrócę uwagę, iż może fundusze jej są źle ulokowane, niepewne... jako prawnik, a z zasady człowiek bez przechwałek bezinteresowny, mógłbym może dać jaką radę...

Tykalska. Nie, nie, mój panie, ślicznie dziękuję, to tam nie warto nawet mówić o tem, to się nie da.

Rejent (n. s.). Babska natura, jak wypaplać co na kogo, to język świerzbi, a jak chodzi o to, żeby się nie wygadać, co ma zaszyte gdzieś w spodnicy, to zaciśnie zęby... *(Po chwili, patrząc na ze-*

garek) Genia tylko patrzeć... pociąg już musi być na stacyi. *(Przed końcem tej sceny weszła Mańka z Janem, który pod jej nadzorem zastawia stół w altanie).*

Scena VII.

Poprzedzający, Żegocina pod rękę z Heleną, Pan Damazy, po chwili Antoni.

Żegocina (do Rejenta, do którego zbliżyła się, puściwszy Helenę). Cóż, rejencie... pójdzie to... jakże ci się zdaje? mówiłeś z nim od siebie?

Rejent. Zwolna, zwolna, dobra pani, przygotowuję grunt... o!... w interesach tego rodzaju, przedewszystkiem cierpliwości... pośpiech może zgubić wszystko...

Żegocina. Polegam na panu... mnie dotychczas dosyć się udaje... moje insynuacye przyjął bardzo dobrze. *(Do Damazego, który stanąwszy przy stole, spogląda na zastawione jedzenie)* Brat patrzysz, że taka skromna zastawa...

Damazy. Wolne żarty, panie mości dzieju... dziesięciu głodnychby się najadło.

Żegocina. Bo to tylko maleńka przekąska... z apetytami schowajcie się panowie na obiad... *(stojąc za stołem).* A tymczasem, proszę na to, co jest... *(Oglądając się)* Ale gdzież to jest Sewerynek? *(Do Heleny, która pozostawszy w głębi, rozmawia z Antonim)* Heleńciu, prosimy.

Damazy (idąc po nią). Moja kochana, nie chowajże się po kątach... siadaj tu razem...

Helena. Tatunieczku, kiedy ja wcale nie głodna, jak tatuńcię kocham...

Damazy. To nie racya, siedź tu. Cóż to znowu! *(Poruszenie Antoniego).*

Helena (z dąsem). Och! Boże! *(siada obok Żegociny).*

Damazy (spostrzegłszy Mańkę stojącą na boku). A Marynka?

Żegocina. Kto taki? *(nieukontentowana widząc, że pan Damazy idzie po nią)* A, ona ma zatrudnienie.

Damazy (przyprowadza ją). Siadaj także *(sadza ją obok Heleny. — Żegocina wzrusza ramionami. — Do Tykalskiej, która przechadzając się z pończochą, zbliżyła się do stołu, robiąc jej miejsce)* Proszę...

Tykalska. Dziękuję, mój panie *(wraca na ławkę).* Ja o tej porze nie jadam. *(Zasiedli w tym porządku: z lewej strony Rejent, w głębi za stołem Żegocina, Helena, Mańka, z prawej strony pan Damazy).*

Żegocina. Ale panowie zwykliście przed jedzeniem pić wódkę. *(Niecierpliwie oglądając się)* Gdzież się podział Seweryn?

Damazy. Tak, niby, gwoli zalania robaka, panie mości dzieju.

Żegocina. Janie! idź poproś pana Seweryna, nie wiesz, gdzie jest?

Jan. W swoim pokoju *(odchodzi).*

Antoni. Jeżeli ciotka pozwoli, ja go tymczasem zastąpię *(nalewa. — Do Damazego)* Czy można do pana?

Damazy. W niezawodne ręce, panie mości dzieju.

Żegocina (do Rejenta, który oparłszy łokcie na stole, złożywszy ręce, spogląda pożądliwie po talerzach). Cóż pan rejent tak się zamyślił?

Rejent. Mnie, dobra pani, widok tego, co jej podobało się nazwać maleńką przekąską, nasunął sporą wiązkę uwag filozoficznych...

Damazy (przed wypiciem, do Rejenta). W ręce acana dobrodzieja!

Rejent (dziękując schyleniem głowy). I gdybym miał talent nieboszczyka biskupa warmińskiego, napisałbym bajeczkę pod tytułem: Ludzie i Wilcy *(bierze kieliszek).* Kiedy zgłodniały wilk porwie barana, albo cielę, oburzenie niema granic... *(wypija, szukając oczyma przekąski)* robią obławy, ścigają go, trują, bez względu, że jest w swojem prawie, bo natura nie stworzyła go trawożernym...

Żegocina. Może kawałek pasztetu?

Rejent (nakładając na talerz). Całuję rączki. Ale gdy ten sam człowiek, mając chleb na zaspokojenie głodu, dla zbytku morduje cielęta, prosięta, ściga po barbarzyńsku zwierzynę, na to, żeby z tego zrobić w ostatku ot taki pasztet, to nikt mu tego nawet nie weźmie za złe.

Damazy. Przyznam się acanowi dobrodziejowi, że ja pierwszy.

Jan (wchodząc). Pan Seweryn słaby, powiada, że nie przyjdzie.

Żegocina. Słaby? cóż mu się stało? Mańka, proszę cię, idź, dowiedz się...

Tykalska (wstając). Ja pójdę *(n. s.)* ta siostrunia, to nie ma zastanowienia... jakżeż można!... *(wychodzi).*

Damazy (do Mańki). Ale czyś i ty nie słaba? Kolory wystąpiły ci na twarz.

Mańka (cichym głosem). Głowa mnie boli *(kładzie dłoń na czole).*

Rejent (bardzo zajęty jedzeniem). Naprzykład, czy państwo nie znacie pana Tadeusza Mickiewicza?

Damazy. Tadeusza? ja znałem, ale Marka, panie mości dzieju.

Helena. Ale tatuńciu! pan mówi o poemacie Mickiewicza, przecie czytałam tacie wyjątki. *(Ze spojrzeniem na Antoniego)* Pan Antoni mi przywiózł.

Damazy. A prawda — bodajże cię!... no — przepraszam. *(Do Rejenta)* Tam jest także rejent.

Rejent. Więc państwo znacie i jego Zosię.

Damazy. A tak, jest i Zosia.

Rejent. Czy uwierzycie mi, że widząc na wystawie w Warszawie obraz wyobrażający tęż Zosię, jak: *(deklamuje)*

Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
Ręką jak perły białą gęsty grad perłowy...

ja w tej sielance dostrzegłem najkrwawszy dramat!

Antoni (który stoi za nim, oparty o kulisę, wpatruje się w siedzącą naprzeciw Helenę). A to jakim sposobem?

Rejent (obejrzawszy się nań). Jakim sposobem? bardzo prostym. Na pozór jest to scena najidealniejsza... *(Z pełnemi ustami)* Te gąski, kury, kaczęta, wszystko to prześliczne, słyszymy, jak ta Zosia woła: tiu, tiu, tiu, taś, taś, taś... Ale wniknąwszy głębiej w sytuacyę umy-

słem filozofa... *(Wypija kieliszek wina)* W jakimże celu owa sielankowa Zosia sypie im ziarna?... żeby je utuczyć... e... e... e... a utuczywszy, tym samym białym paluszkiem skazać najpiękniejsze swoje faworytki pod nóż... i to tak sobie, z zimną krwią, jakby jej dał kto prawo do tego!

Damazy. Jakto, więc nie mam prawa, panie mościdzieju, zabić wołu, kiedy go utuczę? to ładnie! po dyabłażbym mu dawał osypkę...

Rejent (z uśmiechem wyższości). Panie łaskawy... na to nie mam mu co odpowiedzieć.

Damazy. Spodziewam się. *(Spogląda nań z politowaniem).*

Żegocina (do Antoniego, którego uważał niecierpliwie). Mój Antosiu, kiedy zastępujesz Seweryna, to bądźże uważniejszym... uplasowałeś się umyślnie tak, żeby oczkować z Mańką...

Damazy (spojrzawszy na Antoniego). Hm, hm!... *(Mańka spogląda na nią zdziwiona).*

Żegocina. A nie uważasz, że Rejent ma talerz próżny.

Rejent (któremu Antoni podał talerz). Rzodkiewka, o nie, ślicznie dziękuję, ja jestem mięsożerny... jeżeli łaska, kawałek majonezu... *(nabiera).*

Damazy (n. s.). Teraz znowu ta się zaczerwieniła... *(Głośno).* Heluś, co ci to?

Helena (n. s.). Ach, Jezus Marya z tacią! *(Podnosząc się, do Mańki).* Wstańmy.

Żegocina. Nic nie jadłaś.

Helena. Dziękuję stryjeneczce. *(Całuje ją w rękę i odchodząc od stołu n. s.).* Byłabym się pod ziemię schowała... przecież on na mnie patrzał, nie na Manię... *(przykładając rękę do twarzy)* aż mię twarz pali.

Żegocina. No, to nie przeszkadzajmyż tym panom. *(Odchodzi od stołu, dając znak Antoniemu, żeby nalał kieliszek Rejentowi).*

Antoni (do Rejenta z ironią nalewając). W samej rzeczy, poglądy pańskie są wielce oryginalne i tak głębokie...

Rejent. We mnie panie leży... bez przechwałek... e.. e... e.. ogromny materyał na reformatora społeczeństwa, dobroczyńcę ludzkości... *(Nabiera jeszcze raz).*

Antoni. Nie tylko ludzkości... a gęsi, kaczki, cielątka...

Rejent. Żart żartem, ale gdybym tak miał lżejsze pióro...

Antoni (odchodząc po nalaniu). A cięższą głowę. *(Idzie do Heleny).*

Rejent. Tak jest *(po chwili zastanowienia)* jakto?... *(n. s.)* cięższą głowę... to zakrawa na kpiny.

Żegocina (n. s.). Goni za nią wyraźnie, a Seweryna niema... *(Do Antoniego, biorąc pod rękę Helenę).* Pan Antoni zanadto sobie pozwala, zapomina, że jest w domu ciotki, i że ten pan jest jej gościem.

Antoni. Nie wiedziałem, że to obowiązuje do cierpliwego słuchania bredni...

Żegocina. Za młody jesteś, żebyś poprawiał ludzi... *(Do Heleny)* Pójdź, Heleńciu, przejdziemy się po ogrodzie.. *(Do Antoniego)* Proszęż tu spełniać zastępstwo gospodarza przyzwoicie. *(Odchodzą na prawo).*

Damazy (który oglądał się za nimi, wypija śpiesznie kieliszek). Idę i ja, panie mości dzieju. *(Wychodzi za nimi).*

Antoni (n. s.). To wyraźna jakaś manifestacya przeciwko mnie... nie dadzą mi się do niej zbliżyć.

Rejent (wypija wino, zapala cygaro, n. s.). Z takimi smarkaczami to nie warto się poufalić... a gdybym ja też był prędki? *(Wychodzi na prawo, rzucając na Antoniego pogardliwe spojrzenie).*

Scena VIII.

Mańka, Antoni, Jan sprząta.

Antoni. Nie jestem awanturnikiem, a szukałbym z każdym zaczepki... nie cierpię deklamacyi, a deklamowałbym całe tyrady o przewrotności ludzkiej. *(Chodzi).* Oni popsują w głowie temu dziecku!

Mańka (gorączkowo do Jana). Sprzątaj prędzej... *(Siada zamyślona).*

Antoni (siada machinalnie przy niej, po chwili). Panno Maryo, zdaje mi się, że możemy sobie wzajemnie winszować, na jednej drodze, a raczej bezdrożu jesteśmy.

Mańka (budząc się z zamyślenia). Co pan mówisz?

Antoni. Wspólne nam grozi niebezpieczeństwo, nasze serca...

Mańka (wstając). Daj mi pan pokój, ja nie wiem już sama, czy mam serce...

Antoni. Masz pani, masz... dowodem to, że odczuwasz...

Mańka. To, co odczuwam, jest w stanie podobno wyrwać ze szczętem wszystko, co tam tkwi... *(Po chwili, stając przed nim).* Powiedz mi pan, czy kochając prawdziwie, można stłumić w sobie uczucie?

Antoni. Trzeba na to bardzo wzniosłych celów; dla mężczyzny podobnym celem jest sprawa ogółu, dobro ojczyzny, *(z ironią)* dla kobiety, świetna partya.

Mańka. Fałsz!

Antoni (z gorzkim uśmiechem). Fałsz?

Mańka. Jesteś pan zbyt stronnym sędzią, abyśmy się mogli zrozumieć...

Antoni (chodząc także). Pani mówiłaś o miłości prawdziwej; chodzi o to, jakie są cechy, po których możnaby ją poznać.

Mańka. Jak naprzykład nazwać, gdy mężczyzna przysięga jednej, przemawia do niej namiętnie, a sięga po rękę innej?

Antoni. Egoizmem. To najlepszy dowód, że nie kocha żadnej. Pożycie z osobą obojętną wówczas, gdy w sercu panuje inna, byłoby męczarnią nie do zniesienia.

Mańka. Kochając, nie odważyłby się na to.

Antoni. Nie przypuszczam.

Mańka. Nie zdeptałby, nie sponiewierał uczucia, które natchnął...

Antoni. Miłość bez delikatności jest paradoksem.

Mańka. Zwłaszcza, gdy był bardzo kochanym.

Antoni. To mu wszystko jedno.

Mańka (po chwili). Na taki zawód, jakież lekarstwo?

Antoni. Zapomnieć.

Mańka. A czy pan znasz co okropniejszego, jak myśl, że to, co nam przepełnia serce, ma być złudzeniem, które się rozwieje?

Antoni. Prawda, ale ta myśl jest lekarstwem uzdrawiającem.

Mańka. Jeżeli nie zabije.

Antoni. I to się trafia, ale w powieściach.. ludzie są wytrzymali.

Mańka (do siebie). Więc nie kocha!

Antoni. W każdym razie, im wcześniej, tem lepiej... mniejsza doza wyleczy.

Mańka (do siebie). O! nienawidzę go! *(dobywa z za gorsu różę i po chwili walki rzuca ją).*

Antoni. W co się też obrócą moje marzenia?... wszystko podobno jest bańką mydlaną... tyle szczęścia, co się przemarzy!

Scena IX.

Genio, Mańka i Antoni.

Genio (wchodząc głębią z parasolem i okryciem zawieszonem na ręku). Tu przecie znajduję kogoś... *(przystępuje)* Jakaś parafianka i młody szlagon... że nie kochankowie, idę w zakład, bo nie patrzą na siebie; więc albo brat z siostrą, albo mąż z żoną... *(Po chwili)* Nie widzą mnie.

Mańka (po chwili, otrząsając się z zamyślenia). Panie Antoni!...

Genio. Hm, hm...

Mańka. Ach!

Genio. Szczególny zbieg okoliczności zmusza mnie do zaprezentowania się samemu... *(n. s.)* bardzo ładna... *(Głośno)* Jestem Eugeniusz Bajdalski, przybywam umyślnie...

Antoni. Genio!... Bajduś!... patrzę, patrzę, cóż u licha, żem cię odrazu nie poznał!

Genio. Pii... Antoś... a wiesz, że to dobre... jak się masz.

Antoni, Jak się masz? *(ściskają się).*

Genio (do Mańki). Koledzy szkolni z jednej ławki, łaskawa pani...

Antoni. Ale skądżeś się tu wziął w domu mojej ciotki?

Genio. A, to my tu jesteśmy u twojej cioci? nic nie wiedziałem... *(n. s.)* Mocno ładna. *(Głośno)* Wystaw sobie, przybywam prościusieńko koleją, jak śledź pocztowy...

Antoni. Skąd?

Genio. No, z Warszawy — naturalnie.

Mańka. Jeżeli tak, to pan zapewne głodny?

Genio. Ach, jak pani umiesz czytać w moim... w mojej... *(n. s.)* zbajałem się, ale mniejsza o to. *(Głośno)* Rzeczywiście, jeżeli mi wolno prawdę powiedzieć...

Mańka. W tej chwili każę przygotować *(odchodzi).*

Genio (n. s.). Ananasik, jak sobie dobrze życzę.

Scena X.

Genio i Antoni.

Antoni. Więc przybywasz z Warszawy?

Genio. A jakże, w nader ważnym interesie, wszak tu jest podobno mój stary?

Antoni. Jaki stary?

Genio. No, fater.

Antoni. Jakto? aha — to rejent Bajdalski jest twoim ojcem?

Genio. I na odwrót, ja jestem jego synem.

Antoni. Tak?

Genio. Czy cię to dziwi? cóż w tem nadzwyczajnego?...

Antoni. Któż powiada?...

Genio. Chociaż rzeczywiście, na oko niktby nie przypuścił... stary zapleśniał na prowincyi. A ty co porabiasz? *(Z politowaniem)* Pleśniejesz także...

Antoni. Mam gospodarstwo, pracuję.

Genio. Pracuję, pracuję... oni są dobrzy z tą swoją pracą na wsi, byle nam imponować... Bartek zorze, Bartek zasieje i samo tak sobie potem rośnie... i to się nazywa praca... daj buzi...

Antoni. Zawsze byłeś i jesteś bajduś.

Genio. Bajduś z Bajdusiów, chlubię się z tego... a zresztą, cóż ty sobie myślisz? Bajdalscy, to stara szlachta, tak stara, że niema ich już nawet w herbarzach.

Antoni. Sowizdrzale!

Scena XI.

Poprzedzający i Rejent.

Rejent (zadyszany). Kiedyżeś ty przyjechał, żem nic nie słyszał... jak się masz...

Genio (całując go w ramię). Jak się mam?... przedewszystkiem głodny jestem jak pies, ale znalazło się już bóstwo opiekuńcze, które ukazało mi promyk nadziei.

Rejent (do ucha). Odebrałeś telegram?

Genio (podobnież — drwiącym tonem). Nie.

Antoni. Panowie zapewne mają z sobą do pomówienia — nie przeszkadzam *(odchodzi)*.

Rejent. Jakto? nie odebrałeś?

Genio. Ojciec odzwyczaił się widzę od kategorycznego myślenia... a gdzież logika?... skądżebym się wziął, gdybym nie odebrał telegramu?

Rejent (niecierpliwiąc się). Tylko proszę cię, nie błaznuj... od tego widzę już się nie odzwyczaisz...

Genio. Ależ ojciec wyraża się nieparlamentarnie.

Rejent (j. w.). Słuchaj, schowaj raz do kieszeni wszystkie twoje koncepta... to dobre w waszych knajpach, ale nie tu i nie w chwili,

gdzie idzie o rzeczy pierwszorzędnego znaczenia. *(Po chwili, oglądając się)* Czy wiesz, po co cię tu sprowadziłem?

Genio. Wiem.

Rejent (zdziwiony). Wiesz, a to skąd?

Genio (śmiejąc się). Znowu ojca złapałem.

Rejent (niecierpliwie). Nie błaznuj... jak cię kocham... nie błaznuj!...

Genio. No, więc słucham — o cóż idzie?

Rejent (ogląda się). Jest tu panna posażna...

Genio. Wiem, wiem.

Rejent. Już i to wiesz?

Genio. To jest, wiem, że jest panna, ale że posażna, nie wiedziałem... tem lepiej...

Rejent (niecierpliwie). Ale skąd wiesz? skąd wiesz? skąd? gadaj?

Genio. Widziałem ją... cudo!...

Rejent. Co ty pleciesz? gdzie ją widziałeś? dopiero zostawiłem ją w ogrodzie.

Genio. No, to muszą być dwie, bo tu była przed chwilą jedna, i...

Rejent. Głupcze — ta się nie rachuje.

Genio. O! za pozwoleniem! a to dlaczego?

Rejent. Ta jest goła, i sierota jakaś, podrzutek...

Genio. Cóż to ma do tego? przesądy! fi! — nie poznaję ojca.

Rejent (płaczliwie). Co ten plecie! Co ten plecie!...

Genio. Jeżeli są dwie, to mój wybór już zrobiony... chyba, gdyby mi się tamta więcej podobała, co wątpię...

Rejent (pogardliwie). I ty jesteś pozytywistą! tfy!...

Genio. Czystej wody, tatku... przed niewodem ryb nie łapię, i gdym głodny, mam wstręt do dysertacyi... o, widzę tam jakieś towarzystwo *(wychodzi na prawo).*

Rejent (idąc za nim). Ale czekajno, waryacie!... e... e... e... on pozytywista!... *(Zasłona spada).*

Akt III. Scena I.

Inny pokój — troje drzwi — jedne w głębi — dwoje po bokach. — Na przodzie z prawej strony kanapa, w głębi z lewej oranżerya pokojowa.

Seweryn, Helena (siedzą obok siebie na kanapie), potem Żegocina, Rejent.

Seweryn (rozparty, bawiąc się sznurkiem od binokli; obejście lekceważące). Widocznie pani nie chcesz mnie rozumieć.

Helena (zajęta kwiatkiem, który trzyma w ręku). Przepraszam pana, już sama ciekawość, którą przypisują nam kobietom, mogłaby sprawić, iżbym chciała... ale są rzeczy, których nie można zrozumieć.

Seweryn. Czepiasz się pani słówek; być może, że się źle wyraziłem; powinienem był powiedzieć: pani udajesz, że mnie nie rozumiesz.

Helena (urażona). Udaję!

Seweryn. Porzućmy więc tę szermierkę dyalektyczną i pozwól mi pani wytłómaczyć się jaśniej.

Helena (zasiadając się lepiej w drugim końcu kanapy i patrząc mu śmiało w oczy). Słucham!

Seweryn. Wiadomo pani, że tak jej ojciec jak i moja ciotka powzięli myśl... połączenia nas...

Helena. Podobno. *(W tej chwili drzwiami z lewej wchodzą Żegocina i Rejent; spostrzegłszy rozmawiających, Żegocina robi gest ukontentowania i wstrzymuje Rejenta, który chce iść dalej; nareszcie pociąga go za sobą i wychodzą napowrót na palcach. Rejent, odchodząc niechętnie, rzuca na nich niespokojnem okiem. Ta akcya odbywa się niezależnie od prowadzonej rozmowy).*

Seweryn. Skoro pani wiesz, więc powinnaś zrozumieć, że wszystko to, co mówiłem, odnosiło się do tej głównej kwestyi.

Helena. Tego domyśliłam się bardzo łatwo; ale ja zupełnie czego innego nie mogę pojąć.

Seweryn. Naprzykład?

Helena. Naprzykład, w czem ten projekt naszych opiekunów może nas krępować i wpływać na nasze postanowienie.

Seweryn (zdziwiony). Jakto?

Helena (drwiąco). Sądzę, że przedewszystkiem powinniśmy się zapytać naszych serc, czy one mogą sympatyzować z sobą.

Seweryn. Czy pani zadawałaś sobie to pytanie?

Helena (j. w.). A pan?

Seweryn. Ja? *(n. s.)* Czy taka naiwna, czy cięta? *(Głośno)* A to dobre — zdaje mi się, że rozpoczynając rozmowę o tym przedmiocie, już tem samem odpowiedziałem za siebie.

Helena (z uśmiechem ironicznym, skubiąc kwiatek). To szczególna — znamy się dopiero od dwóch dni...

Seweryn. Czy pani nie wierzysz... już nie powiem w miłość, ale w pociąg od pierwszego spojrzenia?

Helena. Och! dlaczegóż nie.

Seweryn (z ukłonem). W takim razie powinnaś sobie pani łatwo wytłómaczyć mój krok, na który zdecydowałem się tem pochopniej, że to zgadzało się z wolą ciotki.

Helena (po chwili milczenia). Możebym wytłómaczyła sobie ten dziwny pociąg, gdyby...

Seweryn. Dziwny?

Helena. Przepraszam pana za wyrażenie, ale istotnie on dla mnie jest dziwnym.

Seweryn. Dlaczego?

Helena. Dlatego, że o ile mi się zdaje, ulegać mu może serce... tylko zupełnie wolne...

Seweryn (spoglądając na nią zpod oka). Skądże pani wnosisz, że moje zajęte?

Helena (po chwili, uderzając dłonią w poręcz kanapy). Więc daj mi pan słowo honoru, że tak nie jest.

Seweryn (po chwili ironicznie). Honoru? a wie pani, że pierwszy

raz zdarzyło mi się słyszeć, aby w sprawach serca żądać podobnej gwarancyi.

Helena (wstając). Więc możnaby stąd wnioskować, że to są jedyne sprawy, w których on nie obowiązuje.

Seweryn (n. s., wstając). U! źle, to już widzę sprawka Mańki.

Rejent (wchodząc śpiesznie środkowemi drzwiami, n. s.) Ledwom się baby odczepił... *(Idąc prosto do Seweryna)* O, o, o! przepraszam, mocno przepraszam, nie wiedziałem, że przerywam tak miłe e... e... e... sam na sam *(bierze go pod rękę).*

Helena (obrażona). Skądże sam na sam? — żartujesz pan chyba!

Rejent. Pani daruje, że zabieram pana Seweryna... ale dość ważny interes...

Helena. Ale zabieraj pan sobie... to doskonałe...

Rejent. Wiem, że pani sprawiam tem przykrość... ale...

Helena. Mój panie, ani mię to ziębi, ani parzy... cóż znowu!... *(wzruszając ramionami, idzie do kwiatów).*

Rejent (do Seweryna). Pomagam wam, jak mogę.

Seweryn (chmurno). Raczej umyślnie pan psujesz.

Rejent (dobrodusznie). No, albo co?...

Seweryn. Na to zakrawa... cóż tam za interes?

Rejent. Maleńka konferencyjka z ciocią, do czego potrzebujemy pana Seweryna. *(Do Heleny)* Przepraszam panią najmocniej *(wychodzą na lewo).*

Scena II.

Helena (sama — spogląda za nimi i wzrusza ramionami). Oryginał. *(Po chwili)* Ażem urosła na parę łokci w własnych oczach... zdaje mi się, żem się dobrze znalazła... dałam mu za Manię!... O mój paniczu, zdawało ci się, żeś trafił na wiejskie trusiątko, które łatwo obałamucisz!... emhe!... zapewne!... *(Po chwili)* Ale naprawdę, skąd mnie się to wzięło?... sama siebie nie poznaję... bo z początku przeczuwając, o czem zacznie mówić, przelękłam się naprawdę, jak mamę kocham... tak samo jak wtenczas, gdy Antoni mi się oświadczał... ale co za różnica... wtenczas oboje drżeliśmy jak listeczki... on — nie wiem, ale ja nic nie widziałam przed sobą... nawet jego... ale ten... chłód wiał od niego!... komedyant przebrzydły!... *(Po chwili)* Cha! cha! cha! on mówił o pociągu od pierwszego spojrzenia... myślał, że mię tem rozbroi... e! pokazuje się, że na zimno mężczyzna nie jest wcale niebezpieczny. *(Z rękami założonemi na piersiach przechadza się dumnym krokiem wzdłuż sceny).*

Scena III.

Helena i Damazy.

Damazy (z fajką, — wchodzi drzwiami środkowemi i spostrzegłszy Helenę, staje i prowadzi za nią oczyma, ona przechodzi parę razy, nic nie widząc; spostrzegłszy go, gdy się podsunął bliżej, staje przed nim, dygając i klaszcząc w ręce z oznakami ukontentowania; on ją bierze za rękę). Bardzo dobrze,

żem cię tu przydybał samą, mamy z sobą, panie mości dzieju, na pieńku.

Helena (n. s.) Oho!

Damazy. Siadajno *(idą do kanapy).*

Helena (rozsiadając się w tem samem miejscu, gdzie poprzednio — n. s.) Będzie druga scena.

Damazy. Muszę się raz rozmówić z tobą, raz jak pan Bóg przykazał.

Helena (z żartobliwą powagą). O cóż idzie?

Damazy (ostro, tupnąwszy nogą). Cóż to za miny jakieś! słuchać, co powiem! tak! o! *(bierze ją za rękę i sadza bliżej siebie).*

Helena (n. s.). O! z tatuńciem będzie gorzej *(całuje go potulnie w rękę).*

Damazy. Moja kochana, wolałbym mieć dziesięciu chłopców, jak jedną dziewczynę, panie mości dzieju.

Helena (z przymileniem). Jakto? mnie? mnie?... i tatuńcio to mówi?

Damazy. Tak, ja mówię i nie cofnę!

Helena (j. w.). Dlaczegoż to?

Damazy. A, bo tyle mam z tobą kłopotu, sam nie wiem, jak zrobić i czego się trzymać... to pan Antoni... to pan Seweryn, to znowu pan Antoni!...

Helena. Jakto? taka ze mnie bałamutka?

Damazy. O! dajno pokój, bo z tych karesów będę taki mądry, jak byłem... a ja muszę raz wiedzieć co po czemu... Najprzód zaczął bywać u nas pan Antoni... spostrzegłem zaraz, że to nie na darmo. i że ty niby jakoś miałaś się ku niemu. *(Helena spuszcza oczy).* Pomyślałem sobie: hm, chłopiec poczciwy, niewiele wprawdzie ma, ale pracowity, rządny... jakby przyszło co do czego, to niechże się dzieje wola boża! *(Helena całuje go w rękę).* Za pozwoleniem!... Chciałem cię tedy wybadać; pytam się prosto z mosta: jakże ten Antoś, panie mości dzieju? a ta: *(przedrzeźnia)* fiu! fiu! ach dla Boga! czy ja wiem! jeszcze czego i bądźże tu mądry.

Helena (z żalem). Tacio zawsze tak ze mną.

Damazy (niecierpliwie). Cicho! słuchać! więc wyperswadowałem sobie, że to z twojej strony tak sobie tylko... faramuszki, panie mości dzieju, i że łatwo sobie wybijesz z głowy, gdyby się coś lepszego trafiło. Dlatego, jak stryjenka dla świętej zgody zaproponowała mi część majątku i Seweryna za zięcia, przyjąłem.

Helena. Jakżeż można było!

Damazy. Jak? tak, że pytałem cię się i przystałaś.

Helena. Jakto? mnie się tato pytał?

Damazy. Patrzcie państwo! nie pytałem się wyraźnie: „jakże ci się podoba Seweryn?“ temi słowy.. i cóżeś mi odpowiedziała?

Helena. Cóż miałam odpowiedzieć?

Damazy. Widzisz, to tak z tobą — nie powiedziałaś, że przystojny? gadaj!

Helena. No, bo przystojny, nie garbaty, nie ślepy, nie kulawy...

Damazy. A no!

Helena. Ale cóż z tego, tacio powinien był się zapytać wyraźnie: czy go chcesz za męża?

Damazy (kręcąc palcem). Hm, hm, hm, tybyś się też nie domyśliła, po co się pytam?

Helena. Przepraszam, tacio się tylko pytał po prostu, czy przystojny, tak jakby o każdego innego, a jeżeli powiedziałam, że przystojny, to wielkie rzeczy! tylu jest przystojnych *(pieszczotliwie)* albo to i tatuńcio nie przystojny?

Damazy. No, no *(n. s.)* na jakie to ona sposoby się bierze. *(Głośno)* Koniec końcem, ja myślałem, że ci się podobał i dlatego nie byłem przeciwny, panie mości dzieju... tymczasem, wczoraj, przy kolacyi patrzę, a ta mu się krzywi, jakby się octu napiła... Ale to jeszcze nic; dziś znowu rano...

Helena (rzucając mu się na szyję zawstydzona). Tatuńciu!

Damazy. A widzisz, wstyd ci... zszedłem was w ogrodzie z Antonim i widziałem, jak cię całował po rękach...

Helena. Raz tylko, czy dwa...

Damazy (łagodniej). Jakże można było na to pozwolić...

Helena (po chwili, kryjąc głowę na jego piersiach). Kiedy ja jego kocham...

Damazy (po chwili). Aha, kochasz, to co innego... *(Wstając)* No widzisz, nie mogłaś mi tego odrazu powiedzieć.

Helena (wstając n. s.). A jej! odetchnęłam!... znowu nie wiem, skąd mi się wzięła taka odwaga.

Damazy (chodząc). Hm, hm... ciekaw jestem, jak teraz zrobić...

Helena (proszącym tonem). Jedźmy do domu.

Damazy. Doprawdy! było po co przyjeżdżać... *(Chodzi, po chwili)* A moje dziecko, bo to się warto zastanowić... hm, hm... widzisz, ten majątek, toby się przydał...

Helena. I cóż tam majątek!

Damazy. Ale! zapewne! tak się to niby mówi, a później, rób, co chcesz... usiąść i płakać... *(Po chwili)* A zresztą, jak tu stryjence tak wręcz odpowiedzieć, kiedy już na pół przyjąłem... zabiłaś mi tęgiego klina...

Helena. Ja poradzę tatuńciowi, przedewszystkiem dyplomatycznie.

Damazy. No, naprzykład?

Helena. Ze stryjenką grzecznie, ładnie, ale ani tak, ani siak...

Damazy (ironicznie). Aha!...

Helena. A tymczasem, jak się tylko da, nogi za pas! i niech sobie robi, co chce.

Damazy (j. w.). Piękna dyplomacya, wymyśliła jak Bismark, panie mości dzieju...

Helena. A dopiero z domu tatuńcio napisze ładny list...

Damazy. Oho! na to mnie nie złapiesz...

Helena. Będziemy wspólnie komponować, poprosimy pana An-

toniego *(patrząc mu w oczy)*. Zgoda? *(Damazy nic nie mówi, tylko zamyślony, kręci wąsa)*. No, więc wszystko dobrze... *(Klaszcze w ręce)* teraz tylko sakun paken.

Damazy. Czekajno, czekaj! zwolna, zobaczymy.

Helena. Jakto zobaczymy?

Damazy. No, zobaczymy *(chodzi)*.

Helena. Nie, nie, zaraz... tatuńcio gotów się jeszcze rozmyśleć... nic z tego... *(wybiega na prawo, spotkawszy Rejenta, który jej się kłania, robiąc gest ręką)*.

Scena IV.

Pan Damazy i Rejent z lewej strony.

Damazy (zamyślony). Biedactwo moje! co ja się nakłopoczę jej przyszłością... *(Po chwili)* I powiadają, że pieniądz głupstwo, a jednak, gdybym miał dla niej dobry posag, zdaje mi się, że byłbym spokojniejszy.

Rejent (który zatrzymał się chwilę w głębi, patrząc z afektacyą za Heleną, zbliżając się). Cóż to za pociecha mieć taką córeczkę!

Damazy. Hm! pociecha! ale więcej kłopotu, panie mości dzieju.

Rejent. Z zachwyceniem patrzę na pannę Helenę, coś tak harmonijnie, e... e... e... ładnego, dawno nie zdarzyło mi się widzieć...

Damazy (zadowolony, jowialnie). Pan się znasz na tem?

Rejent. Stary kompetent, panie łaskawy... bez przechwałek...

Damazy. Powiadają, że do mnie podobna.

Rejent. Rzeczywiście, o ile młoda panienka może być podobną do dojrzałego mężczyzny, to panna Helena przypomina e... e... e... papkę... mianowicie tak coś z nosa...

Damazy. A tak, i ja to zawsze powiadam, panie mości dzieju.

Rejent (po chwili). I to tak się chucha na to, patrzy jak w obrazek, a potem...

Damazy. No, cóż potem?

Rejent. Ktoś porwie jak swoje i Bóg wie, jak będzie.

Damazy. No, widzisz pan, a powiadasz, że to pociecha... gdzie tam, kłopot... zmartwienie!

Rejent. Hm! i to prawda, ani słowa!... o! bo i ja jestem ojcem, panie łaskawy... rozumiem to dobrze...

Damazy. Pan masz także córkę, winszuję.

Rejent. Tylko syna.

Damazy. Tego kawalera, co wczoraj przyjechał?

Rejent. Tak jest, jakże się panu podobał?

Damazy. Dosyć, nie mogę powiedzieć... żwawy chłopiec... a wie pan co, ślamazarnych ja nie lubię.

Rejent. Starałem się go wykształcić, bez przechwałek, od ust sobie odejmując; ma urzędowanie przy towarzystwie ubezpieczeń, a obok tego literat.

Damazy. Literat! fiu!... gazety pisze?

Rejent. A jakże! artykuły z dziedziny ekonomii politycznej i filozofii pozytywnej.

Damazy. Proszę, a to bardzo ładnie z jego strony taki talent. Co prawda, ja się tego domyślałem; wczoraj przy kolacyi jak zaczął, panie mości dzieju, o imiesłowach, przyimkach, zgłupiałem... a to tak mu szło, panie mości dzieju, jakby woda na młyn.

Rejent. Ma już ładny dochód, bo oprócz pensyi, płacą mu w redakcyach od wiersza...

Damazy. Od wiersza, proszę!... *(Po chwili zastanowienia)* Niby, jakto, od wiersza?...

Rejent. Za każdy wiersz, co napisze *(robi gest, jakby rachował pieniądze)*.

Damazy. Proszę, proszę, a to ładnie!... *(n. s.)* jabym nie wiele zarobił.

Rejent. W Warszawie ciągną go gwałtem do panny mającej pół miliona posagu... *(Po chwili)* Jakże pan rozmyślił się względem propozycyi pani bratowej?

Damazy. Nie wiem o żadnej propozycyi.

Rejent. Nie dziwię się pańskiej ostrożności.. ale ja, panie, wiem daleko więcej, niż pan sądzisz... wszak pan Seweryn ma być pańskim zięciem...

Damazy. Pierwsze słyszę...

Rejent (ogląda się, idzie do drzwi, potem tajemniczo). Daj mi pan słowo honoru...

Damazy (zdziwiony). A to na co?

Rejent. Daj mi pan słowo honoru, że nie powtórzysz nikomu tego, co powiem...

Damazy. A cóż to takiego?

Rejent. Ale daj pan słowo honoru; wolno panu będzie zrobić z tego użytek dla siebie... chodzi tylko o to, aby nie wiedziano, że ostrzeżenie wyszło ode mnie.

Damazy. Ostrzeżenie?

Rejent. Sumienie mi nakazuje tak postąpić. No, dajesz pan słowo?...

Damazy. Jeżeli to coś tak ważnego, to daję... ale...

Rejent. Więcej nie żądam. Bez przechwałek, ocenisz pan moje postępowanie z faktów... *(Po chwili tajemniczo do ucha, robiąc tubę z obu dłoni)* Czy pan wiesz o jego stosunku z tą Mańką, wychowanką pańskiej bratowej?

Damazy (żywo). Jakto? jakim stosunku?

Rejent (z znaczeniem). Domyślasz się pan...

Damazy (gwałtownie). Romans, czy co?

Rejent. Phh! i to gruby!

Damazy. Ale co się panu śni, to niepodobna!

Rejent. Nie mówiłbym, gdybym nie miał dowodów...

Damazy. Jakto? są i dowody?!

Rejent. Moralne tylko wprawdzie, ale są...

Damazy. Aleź, toby była ostatnia niegodziwość!

Rejent (ciszej). Podłość, panie!...

Damazy. Pod nosem dwóch bab, które nie mają nic do roboty! więc tak się nią opiekowano?!

Rejent (do ucha). Szanowny panie, przez szpary patrzono... rzecz widoczna.

Damazy. To o pomstę woła! przecież to nasza krewna!...

Rejent. Krewna, tego nie wiedziałem.

Damazy. Nieboszczyk, jako wuj, nie powinien był w żaden sposób zostawiać na łasce żony, musiał zrobić jakieś rozporządzenie... pokażcie mi testament.

Rejent. Testament? *(Jakby do siebie)* kto wie nawet, czy jest?

Damazy. Zrobili podobno zapis na przeżycie... ale nie podobna, żeby zapomniał zupełnie o tej dziewczynie.. Pokażcie mi testament.

Rejent. Masz pan święte prawo zbadać... e... e... e... stan rzeczy... przyczem zwrócę uwagę... że w razie jakich trudności, zawiłości, komplikacyi... *(z wyciągniętą ręką chodząc za nim)* jestem na usługi... że pan zyskasz na tem, mogę bez przechwałek zapewnić...

Damazy. Co mi tam! — mój interes na bok! idzie mi tylko o to, czy zrobił co dla niej! A jeżeli zapomniał i tak nią się tu mają opiekować, zabieram dziewczynę z sobą, tak mi panie Boże dopomóż *(odchodząc).* A to śliczne rzeczy! panie mości dzieju! *(odchodzi na prawo).*

Scena V.

Rejent (sam zaciera ręce, prztyka palcami i robi rozmaite gesta zadowolenia). Udało mi się, chociaż trochę dalej zajechał, niż było w moim planie... nie myślałem, żeby z powodu tej dziewczyny chodziło mu o testament... dowie się trochę za prędko... Ale nic nie szkodzi, potrafię stać mu się potrzebnym, przekonawszy, że bez moich rad nie dojdzie do niczego... *(Po chwili).* Udaje teraz bezinteresownego, ale niechno mu tylko coś zapachnie, w inną skórę się oblecze... znam ja ludzi... *(siada na kanapie).* No, panie rejencie, teraz tylko mądrze! bądź dobrym dyplomatą i strategikiem... byleby ten łobuz Genio mi nie skrewił... nie widziałem, żeby się do niej przysiadł choć raz... a dziś od samego rana lata gdzieś...

Scena VI.

Mańka z koneweczką pokojową i Genio, wchodzą środkowemi drzwiami; Rejent na kanapie.

Genio (prowadząc w dalszym ciągu rozmowę). Panno Maryo, w każdym razie dłużną mi pani jesteś odpowiedź... gdy ją usłyszę, przestanę być natrętnym..

Mańka (idąc do kwiatów). Ależ najfałszywiej pan sobie tłómaczysz moje słowa... czyż ja to nazywam natręctwem?

Genio. Nie? — no, to dziękuję pani... uważam to już za pół odpowiedzi na moje zapytanie...

Mańka. Reszty pan nie usłyszysz.

Genio. Dlaczego? pani sama nie zdajesz sobie sprawy z tego, co doznajesz, a z mojej strony byłoby zuchwalstwem pozwalać sobie badań w tym jej stanie. Ja stawiam tylko tezę ogólną, w formie zagadki psychologicznej, którą musisz mi pani rozwiązać, choćbyś miała nieco główkę potrudzić...

Mańka. Pan przemawiasz do mnie tak dziwnie...

Genio. Językiem, do którego pani nie przyzwyczajona? tem lepiej... lekarstwo, do którego organizm nie przywykł, działa skuteczniej.

Mańka. Czy pan mnie chcesz leczyć?

Genio. Nie inaczej.

Mańka. Trudne pan sobie postawiłeś zadanie.

Genio. Tem większą cenę będzie miał dla mnie pomyślny skutek.

Mańka. Więc pan sądzisz, że się panu uda?

Genio. Zdaje mi się, że mogę na to rachować.

Mańka. I na czemże pan opierasz tę nadzieję?

Genio. Na tym odwiecznym pewniku, że prawda prędzej, czy później odnosi tryumf! *(Odbierając jej konewczkę).* Pozwól pani, ja panią wyręczę... *(podlewa tam, gdzie ona nie może sięgnąć).* Na tem, że działając otwarcie, zostaję z odkrytą twarzą, na której pani wyczytasz każdą myśl moją, bo nie przywdziewam maski jak ci, co za broń używają fałszu... *(wchodzi na wyższy stopień).*

Rejent (który od kilku chwil, z otwartemi usty przypatrywał im się z kanapy). On jeszcze kark skręci.

Mańka. To wszystko nowe rzeczy dla mnie... pan mi nowy świat odkrywasz.

Genio (zeskakując). Czegóż mogę się spodziewać za to?

Mańka. (odbierając konewczkę). Wdzięczności... w każdym razie.

Genio. Na początek przestaję na tem... *(Mańka odchodzi środkowemi drzwiami, on jej się kłania z uszanowaniem).*

Scena VII.

Genio i Rejent.

Rejent (wstając, do Genio). Co to było?

Genio. Aha!

Rejent. Cóż to za łotrowstwo, lamparcie ty!...

Genio. Tylko parlamentarnie... bardzo ojca proszę!

Rejent. Znowu błaznujesz, ale uprzedzam, że wybrałeś się nie w porę...

Genio. Czyli, że usposobienia nasze prawdopodobnie są w tej chwili o sto mil od siebie... a ponieważ nie zrozumieliśmy się, więc odchodzę.

Rejent. Proszę zostać!

Genio. Cóż to będzie? *(bierze krzesło i siada przodem do poręczy).*

Rejent (stojąc nad nim). Powiedz mi najprzód, co ty jesteś e... e... e... bo ja cię nie mogę zrozumieć... pozytywista? ideolog? czy co?

Genio. W tej chwili jestem lekarzem.

Rejent. Lekarzem?

Genio (elegijnie). Lekarzem duszy zbolałej i srodze zranionej; jeżeli moja metoda mi się uda, będę szukał w tej duszy dźwięków pokrewnych mojej.

Rejent. Waryat... e... e.. e... czysty waryat! nie doprowadzaj mnie do niecierpliwości i słuchaj, co ci powiem: kazałem ci tu przyjechać w twoim własnym interesie!..

Genio. Pośpieszyłem na wezwanie, jak syn posłuszny.

Rejent. Więc słuchajże dalej: jest w tym domu panna posażna...

Genio. Po poezyi, najpospolitsza proza!

Rejent (powściągając gniew). Proszę cię, schowaj poezyę do kieszeni i nastrój się na prozę, bo ja inaczej mówić nie potrafię... *(Po chwili)* Jest panna posażna, do której ręki ułatwiłem ci drogę, a ty, nie wiem dlaczego nawet nie patrzysz na nią... *(Szyderczo)* Czy ci brak odwagi ze względu, że cyfrę posagu uważasz za zbyt wysoką w stosunku do twojej wartości?

Genio. Ha! ha! ha! wątpię, żebyś mi ojciec znalazł człowieka, któremuby miłość własna nie podszeptywała dobrego o sobie mniemania. Jakto? cyfra posagu miałaby stanowić o wartości panny i jej wyższości nade mną? fi! byłoby to stawiać pieniądz na ołtarzu, którego nie godzien.

Rejent. Godzien, czy nie godzien, ale jakiż wniosek z tego, co powiedziałeś?

Genio. Że wszelki podobny skrupuł uważałbym za przesąd niewczesny.

Rejent. Pierwsze mądre słowo, widzę, żeś pozytywista.

Genio (z uśmiechem). Ale na odwrót, ubieganie się wyłącznie za pieniądzem mam za nonsens, który zostawiam ludziom tak niepraktycznym, jak idealiści.

Rejent (desperacko). Czy ty nie wyrzekniesz się nigdy czapki błazeńskiej?

Genio (z humorem). Jako zwolennik metody pozytywnej, powinieneś ojciec wiedzieć, że ona przedewszystkiem szuka faktów... a musimy przyznać za fakt, że jest w człowieku serce, które stanowi skarbnicę uciech moralnych, i że przytłumiając jego bicie, skazujemy się z samowiedzą na szereg zboczeń, mogących nas poprowadzić na manowce.

Rejent. E... on zgłupiał!...

Genio (j. w.) Spekulowanie na rękę kobiety w widokach dobrobytu jest dowodem niedołęstwa, do którego dochodzi się, bujając po obłokach. Ja uważam serce i miłość za drogocenny kapitał, który w pożyciu z osobą wybraną przynosi procenta, wysokości, o jakiej żaden żyd nie śmiałby marzyć.

Rejent. Słuchajno, czy ty kpisz ze mnie?

Genio (wstając). Powiedziałem, że jeżeli się nie rozumiemy, mogę odejść!...

Rejent. Czekaj, nieszczęśliwy, mówmy jak ludzie, nie jak półgłówki... Czy córka tego szlachcica nie podobała ci się?

Genio. Owszem, ładna panienka i gdybyśmy oboje byli wolni, kto wie...

Rejent. Jakto, oboje wolni? co to znaczy, ona jest wolną, a i ty spodziewam się, że...

Genio. Przepraszam ojca, ma narzeczonego.

Rejent. Nie ma, to już zerwane.

Genio. Co? zerwane z Antonim, temu nie wierzę...

Rejent. Z jakim Antonim?

Genio. Z bratem tego, którego chciano jej narzucić dla jakichś widoków familijnych...

Rejent. To ten dowcipniś kroi na nią, nic z tego!

Genio. Zwierzył mi się jako kolega szkolny. Jakże, pozytywnie, kiedy ojciec lubi to wyrażenie, możnaby nazwać mój postępek, gdybym wiedząc o tem, wchodził mu w drogę?

Rejent. Ma bzika; daję słowo! Ależ, mówię ci, że to nigdy nie przyjdzie do skutku!

Genio. To już nie moja rzecz... a zresztą, mnie się podobała ta panienka, którą tu ojciec widział przed chwilą.

Rejent. Co? ten podrzutek, rozpustnica, która bałamuci Seweryna?

Genio (surowo). Proszę ojca, wszystko ma swoje granice, nawet żarty.

Rejent. A tom się doczekał pociechy! ależ nieszczęśliwy, zamydlono ci oczy!...

Genio. Wiem o wszystkiem od Antoniego... jego brat chciał nadużyć jej położenia w tym domu, a teraz w widokach nikczemnych porzucił ją, bez względu na stan jej serca.

Rejent. Tak jest, bo zadurzona w nim bez pamięci. *(Szydersko).* I ty pomimo to, chcesz mu ją zdmuchnąć, tak na prędce? to już nie wiem, czy głupota, czy zarozumiałość!...

Genio (dotknięty). Wspomniałem, że występuję tylko w roli lekarza.. Gdybym chciał przybrać inną w tej chwili, byłbym głupcem prawdziwym, a pozytywizm uczy, że to jest najgorszą kwalifikacyą do dopięcia jakiegokolwiek celu...

Rejent. Idźże do dyabła wraz z twoim pozytywizmem! *(chodzi, po chwili).* No, więc koniec końcem, jestem zrujnowany, zarżnięty przez własnego syna!

Genio. Rozmówimy się, jak ojciec będzie w stanie słuchać z zimną krwią.

Rejent. Przeklnę cię!

Genio. Po głębszem zastanowieniu, ojciec tego nie zrobi.

Rejent. Zrobię!

Genio. W każdym razie namysł nie zawadzi. *(Wychodzi środkiem)*

Scena VIII.

Rejent (sam). Otóż to są skutki, gdy się takiemu mędrkowi we łbie przewróci... ręczę, że we własnem przekonaniu ma się za kolos prawości i cnoty... a ojciec naturalnie zbłaźnił się... dlaczego?

dlatego, że chciał szczęścia dziecka... *(Po chwili)* Wielki kryminał, którego, na sto kojarzących się par, przynajmniej z jakie dziewięćdziesiąt dopuszcza się bez skrupułu!



IX. Waleryan Kalinka.

Sejm czteroletni. (1880—1886).

Charakterystyka Kołłątaja.

Mało jest ludzi, na którychby tyle, co na Kołłątaja wydano sprzecznych wyroków. Za życia, jak po śmierci, nie zbywało mu na zaciętych przeciwntkach ani na ludziach całem sercem oddanych. Ci chwalili go jako najpotężniejszą w Polsce głowę, jako najdzielniejszego obywatela; tamci widzieli w nim chciwego intryganta, którego ambicyi i łakomstwu nigdy kresu nie było. Już ta sama różność sądów, a oraz namiętność, z jaką były głoszone, świadczy, że musiała to być osobistość niepospolitej miary, a dodać trzeba, że do jednego jak drugiego ocenienia, w jego życiu i działalności znajdzie się dosyć materyału. I pism jego nie można oddzielać od obrazu człowieka, i człowieka poznać niepodobna, sądząc go z jednej tylko epoki: musimy całość objąć w jednym zarysie.

Bóg go obdarzył wielką energią i niezwykłemi zdolnościami; on je rozwinął mniej jeszcze zwykłą u nas pracowitością, która go od dzieciństwa aż do grobu nie opuszczała; atoli z dzielnością umysłową nie szła u niego w parze zacność i stałość postępowania. Wina w tem po części jego własna, po części epoki i stosunków, w których żył. Został księdzem bez powołania i wbrew woli matki, jedynie dlatego, by się prędzej dobić fortuny i znaczenia; a ten pierwszy wielki błąd musiał w całem życiu odzywać się tonem fałszywym; boć kto rzeczy świętej użyje za narzędzie, ten we wszystkiem później szukać narzędzia dla siebie gotów i siebie zawsze na pierwszym celu postawi. Ambitny i odważny, lecz giętki przytem i oględny, mistrzem był w jednaniu sobie ludzi, umiał stać się im potrzebnym, ich pomoc i ślepą życzliwość sobie zyskiwać; lecz skoro stanął na mocnym gruncie, szedł już dalej śmiało, przebojem, nie troszcząc się o swych przeciwników ani oglądając się na dawnych przyjaciół i protektorów. Wytrwały i nieugięty w tem, co jego samego dotyczyło, w swych przekonaniach i zasadach moralnych był chwiejny; ulegał wpływowi wypadków albo i osób, od których w danej chwili zależał. Mściwy i bezwzględny, nigdy nie przebaczył tym, co mu raz w drogę weszli; usług odebranych nie pamiętał, ale mścił się nieraz okrutnie za istotne albo nawet urojone krzywdy. Głowa niepospolita, charakter mniej niż wątpliwy, własną osobistością prze-

siąkły; wyższy zdolnościami od wielu współczesnych, mniej miał od nich próżności, nierównie więcej ambicyi; przemyślny w wynajdywaniu środków, w ich wyborze nie był wcale skrupulatny; jeśli jego karyerze lub jego osobie groziło niebezpieczeństwo, żadne go wtedy nie krępowały więzy.

Znaczącem było pierwsze jego wystąpienie; daje miarę tego, co później być miało. Licząc lat 24, dopieroco wyświęcony, gdy ze śmiercią Załuskiego, biskupa kijowskiego, zawakowała kanonia krakowska, Kołłątaj, bawiąc naówczas w Rzymie, korzysta z tego, że to był miesiąc nominacyi papieskich, wyrabia ją dla siebie, bez uwagi, co na to w kraju powiedzą. Ta nominacya oburzyła biskupa i kapitułę; nie chcą jej przyjąć; on zmusza ich powagą Stolicy św. i w roku następnym stallę krakowską zajmuje. Zaraz jedzie do Warszawy, gdzie utworzona świeżo Komisya edukacyjna rozpoczęła właśnie swe czynności; oddaje się na rozkazy jej prezesa, ks. Michała Poniatowskiego; swoją bystrością, czynnością i darem obejmowania różnorodnych a zawiłych spraw, zwraca na siebie uwagę wszystkich członków Komisyi i, chociaż jeszcze tak młody, zdobywa sobie ich ufność. Zjechali pod ten czas do Warszawy deputowani Akademii krakowskiej. W jej imieniu ofiarowali się objąć szkoły pojezuickie całego kraju, ale prosili zarazem, aby ją ratowano w ubóstwie, w jakie popadła. Przyjęto ich życzliwie i pomoc przyrzeczono, lecz powiedziano zarazem, że Akademia powinna wprzód własne zreformować szkoły, a dopiero potem, wedle ich wzoru, inne urządzone być miały. Tu się otworzyła Kołłątajowi pierwsza sposobność do oddania krajowi znacznej usługi. Wysłano go do Krakowa dla zwizytowania gimnazyum nowodworskiego i dla zaprowadzenia w niem nowego planu nauk. Wywiązał się dobrze z zadania. Trudności do zwalczenia były wielkie, ale po skończonym roku szkolnym egzamina poświadczyły korzystnie o dokonanej reformie i zachęciły Komisyę do ułożenia jednostajnego planu nauk dla wszystkich szkół w Koronie i Litwie, co także Kołłątajowi zlecono. Pozostawała inna, trudniejsza reforma samegoż uniwersytetu. Wizytatorem Akademii był biskup Sołtyk, mianowany jeszcze w r. 1768. Wróciwszy z wygnania z osłabionym już umysłem, zamknął się w samotności; a jak dyecezyą się nie zajmował, tak i o uniwersytecie nic nie wiedział, lecz urzędu wizytatora nie składał. Pomimo zaufania, które Kołłątaj obudzał w Komisyi, nie można było tak wielkiego dzieła, jak reforma Akademii, i wobec tak wielkiej powagi, jak biskup krakowski, powierzać młodemu, 28-letniemu kanonikowi. Wyznaczono więc osobną komisyę pod przewodnictwem biskupa Szembeka, do której należał archidyakon krakowski, ks. Olechowski, i prof. Bogucicki, lecz duszą jej i głównym działaczem miał być Kołłątaj. Wnet też, dzięki swej energii i żelaznej pracowitości, wszystkie interesa przyjął w swe ręce i bardzo prędko oswoił umysły ze swą godnością wizytatora Akademii. Roztropnie podzielił całe zadanie na trzy części: naprzód zajął się funduszami uniwersytetu, następnie rozpatrzył się w jego

prawach i przywilejach, w końcu miał przystąpić do planu nauk i do zmian w składzie profesorów.

Śniadecki, świadek naoczny jego prac w tej epoce, nie może znaleźć dosyć słów pochwały dla gorliwości, z jaką młody wizytator wyszukiwał i porządkował fundusze Akademii, a także dla odwagi, z jaką naraził się na walkę z ludźmi, którzy je odebrali na swoją korzyść; atoli bynajmniej nie chwali pośpiechu, z jakim dokonano reformy nauk. Było niewątpliwie w szkole głównej jak w całym narodzie wiele ospalstwa i zaniedbania: profesorowie zbyt rozmiłowani i zamknięci w odwiecznej rutynie, mało o tem wiedzieli, co się działo w świecie naukowym europejskim; ale pomimo to w owych starych urządzeniach niejedno znajdowało się dobre; należało nowym ożywić je duchem i świeżemi opatrzyć siłami, a stary pień mógł jeszcze wypuścić zdrowe gałęzie. Tymczasem Kołłątaj starą machinę rozebrał, ale jej złożyć nie umiał. W miejsce dawnych kollegiów, które młodych profesorów, w miarę ich przykładania się, przypuszczały do coraz to większych korzyści, zaprowadził nowoczesny podział na fakultety, w których wszyscy profesorowie byli sobie równi, tak, że czy byli mniej czy więcej czy wcale niezasłużonymi, jednostajne pobierali pensye. Akademia zbyt łatwo tym zmianom się poddała, być może, w obawie, by jej nie przeniesiono do Warszawy; Komisya edukacyjna zbyt prędko je potwierdziła; i stało się, że „w ciągu jednego dnia zatarto prawie, co wieki wyrobiły" (Śniadecki). Też same urządzenia, które w Polsce tak gwałtownie wywrócono, Śniadceki kilku laty później oglądał w Anglii w pełnym rozkwicie i z uwielbieniem o nich wspomina; dziś jeszcze istnieją one w Cambridge i przynoszą niepospolite korzyści naukom i krajowi.

Reforma Kołłątajowska Akademii, długi czas sławiona, nie doczekała się jeszcze bezstronnego historyka. Nie jesteśmy w stanie wydać o niej sądu; ale o ile bez głębszego rzeczy poznania godzi się wypowiedzieć swoje mniemanie, to powiemy, że szczęśliwą nazwać jej nie można. Wiadomo, że światła nauk na uniwersytecie nanowo nie rozpaliła, a zdaje nam się, że zatraciła w nim ducha korporacyi. Odtąd nie widziano tam już owej pięknej dla Akademii czci i miłości dawniejszych profesorów, którzy ją za swoją matkę, za swoją rodzinę uważali i zbiory swe naukowe jej przekazywali, pożytecznemi zbogacali ją fundacyami. Upadek kraju, rządy obce i napływ cudzoziemców do uniwersyteckich katedr przyczyniły się jeszcze bardziej do zagubienia w niej starych tradycyi.

W roku 1781, pierwej jeszcze, nim swej reformy dokończył, zerwała się na Kołłątaja burza. Lubił on życie wygodne i okazałe, a że pensyi wizytatorskiej nie pobierał, majątku własnego nie posiadał, a dochody z kanonii nie wystarczały, przymuszony był szukać dla siebie funduszów. Wziął w dzierżawę wieś Bieńczyce, należącą do probostwa akademickiego, św. Floryana, lecz rat podobno nie płacił, czem proboszcz znudzony, puścił ją komu innemu. Kołłątaj przebywał podówczas w Warszawie; słudzy, którzy o niczem nie wiedzieli, nie chcieli ze wsi ustąpić, przyszło do bójki i krwa-

wych zatargów. Zerwał się Sołtyk, a żywiąc ku niemu głęboką niechęć od czasów jego installacyi, zapozwał go przed sąd, skazał zaocznie zbyt porywczo na utratę kanonii i kilkumiesięczne więzienie. Sąd prymasowski obalił wprawdzie ten wyrok, niemniej jednak Kołłątaj wiele w tym czasie wycierpiał. Uznała jego krzywdę Akademia, a chcąc przytem uczcić zasługi, obrała go w roku 1783 rektorem. Wrócił więc do swego dzieła, lecz niedługo trwała dobra harmonia. W roku 1785 zawakowało probostwo akademickie w Koniuszy; starał się o nie profesor ks. Garycki, i Kołłątaj jawnie go popierał, lecz pokryjomu dla siebie je wyrobił. Oburzyło to profesorów; ich żal zaostrzył się potem jeszcze mocniej, gdy Kołłątaj bez wiedzy Akademii, za rezolucyą Komisyi edukacyjnej, nieprawnie wyrobioną, sprzedał wieś akademicką Tęgobórz. Wobec podejrzeń i niechęci, które z tych powodów urosły, uznała Komisya edukacyjna, że nie można dłużej zostawiać Kołłątaja w Krakowie, i on sam sprzykrzył sobie tę pracę i oglądał się za czemś innem, coby go do wyższych zawiodło godności. W połowie 1785 r. napisał list do króla, w którym przypomniawszy mu, że od lat dziesięciu pracuje w Komisyi edukacyjnej, a dopiero od trzech pensyę pobiera, prosił o zaopatrzenie chlebem duchownym i o jakiś urząd koronny, bliższy osoby królewskiej, „aby zgromadzenia naukowe widziały, jak łaskawy monarcha wynagradza zasługi".

Oprócz kanonii krakowskiej, posiadał Kołłątaj pod te czasy kilka beneficyów: w Mielcu, nad Wisłoką w Galicyi, w bliskiem sąsiedztwie jego wsi rodzinnej; w Pińczowie od Wielopolskich, od których także Chrobrza się domagał, lecz śmierci proboszcza doczekać się nie mógł; świeżo wspomnieliśmy, w jaki sposób otrzymał Koniuszę; nadto za staraniem ks. Poniatowskiego, naówczas administratora dyecezyi krakowskiej, przybyło mu bogate beneficyum Krzyżanowice, kollacyi norbertanów, które mu z czasem do dwóch tysięcy dukatów przynosiło. Chleba duchownego miał więc już dosyć, choć w żadnem z tych beneficyów *curam animarum* (duszpasterstwa) nie sprawował, co w owej epoce u wyższych dygnitarzy było zwyczajne. Lecz i zaszczyty nie dały na siebie czekać; otrzymał order św. Stanisława, a po skończonem trzechleciu rektorskiem w roku 1786, referendaryę litewską.

Do tej chwili był najściślej związany z prymasem, za j e g o c z ł o w i e k a uchodził; sam we wspomnianym liście do króla wspomina, że opiece księcia całą winien egzystencyę i z niewygasłą dlań wdzięcznością się oświadcza. Ale teraz rzeczy odmienny biorą obrót: ze zmianą systemu pospolitego w Rzeczypospolitej nowi ludzie wychodzą na wierzch. W roku 1788, wśród walki wyborczej, która poprzedziła otwarcie sejmu, odbył się zjazd w Puławach. Naradzano się tam nad nowym programem politycznym. Twórcami planu i kierownikami roboty byli, oprócz ks. generała ziem. p., Ignacy i Stanisław Potoccy, Seweryn i Kazimierz Rzewuscy; zapraszano do spólnego dzieła i Szczęsnego, ale się nie zjawił. Człowiekiem, na którego wówczas cały kraj zwracał oczy, kandydatem do laski marszałkowskiej,

od wszystkich pożądanym, był Stanisław Małachowski. Jego pozyskać, musiało być dla każdego obozu najważniejszem zadaniem, bo bez woli marszałka na sejmie konfederackim nic stać się nie mogło. Małachowski znany był powszechnie ze swego patryotyzmu i nieposzlakowanej prawości, ale do żadnego obozu jeszcze się nie był przechylił, i przypuszczano nie bez słuszności, że wyrobionych pojęć politycznych nie miał; wiedziano tylko, że od Rosyi trzyma się zdaleka, że aliansu z nią nie pragnie, a zresztą gotów przyjąć i popierać całem sercem wszystko, co dla kraju rokowało zbawienie. Gronu, o którem wspomnieliśmy, chodziło o to, aby go związać z sobą i z programem sejmiku lubelskiego, i ten program wmówić weń tak, żeby go uważał za własny. Tym końcem, na kilka miesięcy przed zawiązaniem konfederacyi, zaproszono Kołłątaja, którego biegłość pisarską Ignacy Potocki od dawna już był w Komisyi edukacyjnej wypróbował, aby zamiary partyi i zadania przyszłego sejmu wyłożył najprzystępniej, w formie listów do Stanisława Małachowskiego. Kołłątaj wziął się do tego bardzo zręcznie, umiał trafić do uczuć patryotycznych Małachowskiego, przypomniał mu, że nie mając potomstwa, nie potrzebuje dzielić swych uczuć między rodziną a ojczyzną, że tej ostatniej może się oddać cały i siebie i swój majątek oddać jej w ofierze. „Tyś światłem naszem, tyś najpewniejszą nadzieją; i los swój i swe ołtarze tobie powierza ojczyzna", mówi do niego na czele dzieła. Listy te nie były zrazu przeznaczone do druku, a choć autor pisał je dla Małachowskiego, w odpisie biegały one z rąk do rąk, z wielkiem zajęciem i upodobaniem czytane, ile że nietylko treścią i uczuciem, ale i piękną ujmowały formą. Dopiero, gdy się spora wiązka zebrała, postanowiono je ogłosić. Podobały się wielce Małachowskiemu, zjednały go całkowicie dla obozu. który je puścił w świat; zjednały go także dla Kołłątaja, który odtąd Małachowskiego stał się c z ł o w i e k i e m. Prymas był mu już niepotrzebny, i odtąd z nim zerwał.

Tak się poczęła i dokonała ta najgłówniejsza z czasów sejmu czteroletniego polityczna publikacya. Jej pierwszy tom wyszedł w sierpniu, drugi w listopadzie 1788 roku, zaraz po otwarciu sejmu. Ale Kołłątaj zanadto miał twórczości i poczucia własnej siły, aby mógł czas dłuższy utrzymać się w roli biernego komentatora i wykonawcy cudzych pomysłów. Skoro postrzegł, że listy jego znajdują uznanie, i że publiczność zaraz po wyjściu chciwie je rozchwytuje, przestał oglądać się na ludzi, którzy go do pisania skłonili, i już w drugim tomie poczyna rozwijać własne pomysły; w przedmowie zaś do trzeciego ostrzega, że tych listów Małachowski w rękopisie nie czytał. To też gdy zrazu oględny, to tylko ma na widoku, co siły kraju może dźwignąć bez obrażenia sąsiadów i bez głębokiego wewnątrz wstrząśnienia: później coraz dalsze przedmioty wprowadza pod rozbiór, a w końcu całkowitą Rzpltej reformę przedsiębierze. Jeśli w pierwszych listach roztropnie upomina, że wiek XVIII przystoi nam w skromności zakończyć, nie pokazując najmniejszego zuchwałości cienia, i jeśli dlatego nie chce większej armii nad 60.000; jeśli się nie odzywa prze-

ciw gwarancyi i owszem, w jej granicach pragnie wszystko, co potrzeba, uskutecznić, to w ostatnich tak radykalne przemiany zapowiada, jakby Rzplta żadnym traktatem z postronnymi nie była związaną. I on czuł się już śmielszy i w śmiałości sejmu widzi ratunek dla kraju: „*Aspirat primo fortuna labori. O socii, qua prima fortuna salutis monstrat iter, sequamur*“ [1]) woła na czele trzeciego tomu.

Kołłątaj nie był doktrynerem. Wprawdzie i on hołduje zasadom patryarchy naszych reformatorów, filozofa genewskiego[2]), ale o tyle tylko, o ile od dawna weszły one w nawyknienia republikańskie narodu. Umysł to zbyt polityczny, organizator zanadto praktyczny, aby miał tonąć w marzeniach; i owszem, zanim poda swą receptę, pierwej dobrze się przypatrzy organizmowi, w którym ma skutkować. Rady nieustającej i innych magistratur znosić nie chce, dopóki reforma Rzpltej nie stanie, bo nie można dopuścić, abyśmy pozostali bez rządu; „na zbyt wielkie narazilibyśmy się trudności, gdyby sejm teraźniejszy miał się zatrudniać drobnymi interesami, przyzwoitymi władzy wykonawczej“. Ta uwaga świadczy, że Kołłątaj o wiele lepiej rozumiał machinę rządową, aniżeli większość sejmowa, która właśnie rozbiwszy rząd, zarzuciła władzę prawodawczą mnóstwem bieżących spraw i z niemi uprzątnąć się później nie umiała...

Pewna opieka przyznana chłopu, usunięcie szlachty czynszowej od sejmików, przypuszczenie miast do władzy prawodawczej, sejm trwały i król dziedziczny, choć wyzuty z wszelkiej władzy, bo nawet z prawa mianowania wyższych urzędników — oto są kardynalne *desiderata*[3]) w dziele Kołłątaja, wspólne zresztą całemu obozowi, do którego należał.

W trzeciej części swoich Listów zapowiada gotowy projekt do formy rządu. i taki istotnie we dwa lata później ogłosił p. t. Prawo polityczne narodu polskiego czyli układ rządu Rzpltej (Warszawa, 1790). Są to też same zasady, zredagowane krótko w formie artykułów ustawy, które poprzednio obszernie wyłożył, z jedną atoli nader ważną różnicą na korzyść władzy królewskiej. W projekcie swoim przyznaje królowi *veto* od uchwał sejmowych, które ustaje, jeśli następny sejm to samo prawo uchwali. Być może, że Kołłątaj uległ i w tem wpływowi opinii, która w ciągu dwu lat znacznie się na stronę króla przechyliła; ale być także może, że działały w nim także inne pobudki. Bądź co bądź, wiele pomysłów, w tem jego Prawie politycznem wyrażonych, znalazło się w projektach deputacyi rządowej, które współcześnie do Izby wniesiono.

---

[1]) Szczęście pomaga pracy przedewszystkiem. O towarzysze, idźmy tam, dokąd pierwsze szczęście zbawienia drogę wskazuje [2]) Jana Jakóba Rousseau (1712†1778), słynnego autora francuskiego, który napisał także „Uwagi o rządzie polskim“ (1772). [3]) żądania, pragnienia.

X. Józef Szujski.

Historyczny profil Nerona. (1879).

Ktokolwiek widział biusty, posągi, bodaj monety imperatorów, tego musiały uderzyć te twarze tak próżne, a przecież tak wybitne, wyczerpujące niejako rysunkiem swoim całą charakterystykę najpotężniejszego indywidualizmu, w jaki świat ówczesny wyrabiał ludzi, postawionych ponad wszelki wzgląd ludzki — imperatorów Rzymu. Znajdzie tam wszelkie odcienie, od pozującej, teatralnej mądrości i spokoju pełnej głowy Augusta, do pogrążonej w cielesnej najniższego zwierzęcego użycia, głowy żarłoka Viteliusza;[1]) od imperatorskiego spojrzenia pełnej porządku i rozumu fizyognomii Trajana,[2]) do rozbójniczej na pół głowy Verusa[3]) i Karakalli;[4]) od pedantyzmu i systematyczności Marka Aureliusza[5]) do ponurej, mądrej, a strasznej głowy samotnika Kaprei, Tyberyusza[6]). Pewna olbrzymiość cechuje każdy z tych dominujących typów, wszystkie głowy razem układają się w jakiś dziwny, straszny zbiór osobliwości, jakby prób wielkich zadziwienia świata przesadą w złem lub afektacyą w dobrem, nikczemnością człowieka wyniesionego kaprysem fortuny lub nadzwyczajnemi jego wysileniami, aby sprostać tej fortunie, bodaj szaleństwem. Ale w szeregu tych biustów i profilów jeden nad inne uderzy każdego, uderzy odbieżeniem od tego, co ludzki typ przeciętnie zawiera, nie brzydotą — owszem, na tle pięknych rysów dozwolił sobie wybryku imperyalizm; nie głupstwem — owszem, twarzy tej nie brak znamienia rozumnej; uderzy jakiemś spotwornieniem motywów szlachetnych, pięknych, rasowych, przygnieceniem ich najgrubszą cielesnością i chucią. Zpod włosów gęstych i rozkładających się w krzaczystą lwią grzywę, dobywa się czoło szerokie, równe, lecz niskie — czoło Antynousa, niewyrobione pracą i myśleniem; pod wysokimi a pięknymi łukami kości czołowych oczy wgłębione, spokojnego i nieruchomego wyrazu, gnieżdżą się jak dwa śpiące tygrysy w jamach; nos regularny, posągowy, zbiega ku ustom małym, rozkosznie wyciętym, przeznaczonym dla słów pełnych pieszczoty. Ale oto cała ta twarz wdzięczna lekkiego, pustego, rozkosznego młodego człowieka, utopiona w potężnie, nadludzko, potwornie wyrobionych szczękach zwierzęcia, w policzkach i brodzie ogromnej, naprzód wysuniętej, mięsistej, świadczącej o zmysłowości pożerającej całą istotę ludzką. Głowa ta, osadzona na karku grubym, doprowadzającym pełnymi strumieniami gęstą i wrzącą krew do mózgu, aby zaświeciła oczyma, wzdęła żyły na czole, nabiegała w czerwone usta. Takim jest profil fizyczny Nerona, uderzający oryginalną potwornością wśród innych, budzący ciekawość, jaki się pod nim ukrywał człowiek, obie-

---

1) Cesarz rzymski w roku 69 naszej ery. 2) Trajan panował od 98 do 117 roku. 3) Inaczej Kommodus, zmarł 138 roku. 4) Karakalla panował od 211 do 217 roku. 5) Marek Aureliusz panował od 161 do 180 roku. 6) Tyberyusz panował od 14 do 37 r. Wyspy Capreae na południu Włoch.

cujący pewną kolosalność złego, której też synowi Agryppiny i Domicyusza Ahenobarba (rudobrodego) odmówić nie można...

Jeżeli kto, to Nero mógłby gniazdo, w którem się wylągł jako ptak drapieżny, powołać na swoje usprawiedliwienie. Matka jego Agryppina, córka Germanika i Agryppiny, dumnej siostrzenicy Augusta, była potworem dumy, zepsucia i zbrodni. Żądza panowania jest jedyną tej kobiety namiętnością, rozpusta tylko środkiem do tego celu. Okropnym jest i dom ojcowski Nerona. Ród plebejski Domicyuszów, wielekroć pokalany zdradą i okrucieństwem; a ojciec ten, Domicyusz Rudobrody, zwykł był mawiać, że z takiej matki i z takiego ojca straszydło tylko wyjść może na świat. Wdowa po Rudobrodym, matka Nerona, blizka rodziny panującej, czyha, aby najwyższą chwycić władzę; wyzwoleniec Pallas toruje jej drogę do komnat Klaudyusza; po upadku i śmierci Messaliny zostaje Agryppina żoną cezara i w niesłychany dotąd sposób bierze udział w rządach państwa. Klaudyusz ma własne dzieci, Brytanika i Oktawię: Brytanika ma pozbawić następstwa młody, ale starszy od niego Nero, ożeniony z Oktawią. Agryppina nie przebiera w środkach, morduje nieprzyjaciół, jedna przyjaciół hojnością. W chwili, gdy Klaudyusz spostrzega, co się dzieje, gdy do zapomnianego i na pokrzywdzenie skazanego syna zwraca się w miłości — Agryppina, nie wahająca się nigdy, sprząta go ze świata trucizną w grzybach zadaną. Trupa cezara okładają jeszcze okładami, aby młody Nero miał czas pozyskać gwardyę pretoryanów i z krzywdą Brytanika objąć imperatorską władzę... Obejmuje ją z teatralnością właściwą epoce imperyalizmu, maryonetka wszechwładnej matki, pokazywana senatowi i ludowi rzymskiemu. W wyuczonej mowie do senatu poczyna skromnie, odsuwa od siebie nazwę ojca ojczyzny; wyjednywa ojczymowi cześć boską, a matce kapłański nieboszczyka urząd. Hasło, które daje pretoryanom, brzmi: Najlepsza z matek!... W innej do senatu mowie zwiększa Nero zakres jego działania, powściąga nadużycia sądownictwa, kreśli program lepszej przyszłości. Na srebrnych tablicach każe senat ryć tę nową konstytucyę Rzymu:

Agryppina nietylko jest żądną władzy, ona jest i głęboko rozumną. Dwaj znakomici ludzie mają zastąpić dotychczasowe gospodarstwo wyzwoleńców i żołdaków. Afranius Burrus zostaje prefektem pretoryanów, człowiek wierny, rozumny i energiczny; Anneus Seneka, stoik, nauczyciel młodego Nerona, ma razem z Burrusem objąć reżyserstwo politycznej komedyi, w ścisłem z Agryppiną porozumieniu. Profil jej figuruje na monetach obok profilu Nerona; za kotarą ukryta, słucha ona obrad senatu, przy uroczystościach w jednej występuje lektyce z synem, dwaj liktorowie niosą przed nią pęki lasek z toporem, zagraniczni posłowie składają jej czołobitność.

Wśród tych dwóch wpływów, na najwyższem stanowisku świata, dojrzewa młoda, tygrysia natura Nerona. Stoicki filozof, Seneka, autor wielu szerokich traktatów moralnych, w których na skrzydłach teoryi miał się podnosić aż do wysokości myśli św. Pawła, w życiu własnem praktyczniejsze ma zasady: kształci drobne zdolności pupila w dzie-

dzinie wymowy, poezyi, sztuki; stara się pilnie o poprawność i popularność jego występów publicznych, ale mruży oczy mędrca na wybryki krwi młodej, na awantury i orgie, wyprawiane nocą po ulicach Rzymu; wszakżeż to oddala umysł cesarski od przedwczesnej rządzenia samodzielności, wszakże jedna względy za pobłażliwość. I Agryppina znosi do czasu te burze młodości; znosi, dopóki syn wszechwładzy jej nie narusza. Ale milcząca zgoda na złe nie trwa długo; była ona tylko środkiem dla stron obu: między Agryppiną z jednej, a Seneką i Burrusem z drugiej powstaje rywalizacya. Chłód i zimne obrachowanie pierwszych staje oko w oko rosnącej namiętności Agryppiny. Kilka słów szepniętych Neronowi w obronie jego samodzielności i powagi budzi w nim podejrzliwość i niechęć do matki — ale wyuczony w fałszu i komedyi, umie on panować nad sobą. Armeńscy posłowie sprawiają się z swojej misyi przed Neronem w senacie — Agryppina wchodzi, aby demonstrując równość atrybucyi, zasiąść trybunę. Syn schodzi z własnej i, obejmując matkę w ramiona, zagradza jej drogę — stojąc, kończy ceremonię. Scena milcząca, a pełna znaczenia na przyszłość. Syn dojrzał do wysokości wymagań fałszu — obudził się. Agryppina traci równowagę; naprzemian oburza się na rozpustę syna, lub wydrzeć pragnie jego nauczycielom monopol zbrodniczej tolerancyi — gniew straszny porusza jej duszą, nie znającą granic dumy; dar, który jej przysyła syn, przyjmuje z sarkastyczną uwagą: Dzieli się ze mną tem, co ma ode mnie! Syn odpowiada rozporządzeniem, sięgającem głęboko w najsłabszą jej stronę: oddala wyzwoleńca Pallasa od zarządu skarbu — Pallasa, który był Agryppiny faworytem.

Namiętna kobieta wybucha potokiem gróźb: Jest prawy syn cezara Klaudyusza, jest! dorósł właśnie Brytanik, ona mu przywróci prawa, ona go zrobi cezarem! Groźba a wykonanie, to u niej jedno — ona nie grozi daremnie. Wie to Seneka i Burrus, nie waha się Nero. Wśród biesiady pada młodziuchny Brytanik pod ciosem piorunującej trucizny, pada w obliczu siostry, Oktawii, i brata przyrodniego Nerona. — „To napad epileptyczny, który przeminie“ odzywa się chłodno zbrodniarz — a oto stos już przygotowany i gotowa na jutro przemowa do senatu, pełna morałów, jak teraz kochać i ochraniać trzeba ostatniego z domu Cezarów, Nerona...

Pokrzywdzony przez Agryppinę, a zamordowany przez jej syna Brytannik, staje teraz jako straszna groźba przed macochą. Wie ona, co ją czeka; zbiera skarby i stronników, a chociaż współcześni historycy nie podają tego za pewność, gotuje nowy wywrót na rzecz Rubeliusza Plauta, potomka Augusta po kądzieli. Donoszą o tem synowi wśród biesiady; żąda on śmierci matki. Burrus zaledwie powstrzymał potwora, uważając dowody za niedostateczne. Po tej burzy wygładza się stosunek między matką i synem: stosunek straszny, gdzie syn na matkę, matka na syna patrzyła, czytając w oczach, kiedy błyśnie cios morderczy. Kto się przeląkł — nie wiadomo — przypuścić raczej, że Agryppina. Nic o jej dalszych knowaniach nie

mówi Tacyt i Swetoniusz; wyniosła się na wieś, zapragnęła może ciszy i bezpieczeństwa.

Zgubę ostateczną przyniosła jej kobieta podobna do niej, Poppea Sabina, dama wielkiej rodziny i wielkiego świata, bogata, wykształcona, piękna, lecz zepsuta, jak zepsutym był wyrafinowany świat ówczesnych rozkoszników i zbytkowników Rzymu. Poppea nie chce być czemś mniej jak imperatorową! W drodze stoi jej Oktawia i Agryppina, broniąca tym razem Oktawii z instynktem zachowania samej siebie. Zgubić więc Agryppinę, oto dążenie Poppei, dążenie nietrudne: wszakżeż tak łatwo było przedstawić Neronowi, że matka dąży do jego zguby! Postanawia więc syn potworną spełnić zbrodnię, spełnia ją zdradziecko — zwabiając matkę na przejażdżkę morską i odsyłając ją okrętem o zapadającym się w głębie morza pokładzie. Ale Agryppina wychodzi cało; płynąc, dobija brzegu, chroni się do willi swojej — chwila jeszcze, a użyje wszystkiego, aby zdemaskować skrytobójcę. Od czegoż siepacze Nerona? stać ich na wszystko — Agryppina ginie od żelaza!

Ale nawet w tych czasach okropnych, gdzie zdeptano wszystkie prawa natury i prawa boże, nie wymyślono środka na głos sumienia, na furye mszczące najstraszniejszą ze zbrodni. Pod ich wpływem, pod wpływem strachu, co powie Rzym, Nero ucieka do Neapolu. Stamtąd śle do senatu pismo usprawiedliwiające mord matki jako konieczność polityczną — senat i lud witają powracającego w świątecznej szacie — tryumfowi równa się ten powrót — statuy jego stawiają obok posągu Minerwy — dzień urodzin Agryppiny dekretem kapłanów do dni feralnych policzony... Tylko furye mściwe wracały nocą, i nie powściągnął ich żaden dekret senatu... Wtedy Nero wedle świadectw dziejopisarzy rozpoczyna epokę szaleństw swoich, szaleństw bez miary i granic; szaleństw zmierzających do podwójnego celu: zagłuszenia głosów wewnętrznych i deptania społeczeństwa, które nie miało odwagi powiedzieć mu: matkobójca!

Ku pierwszemu celowi służy szukanie gwałtownych wrażeń, popisy teatralne, poetyczno-muzykalne, hippiczne. Z wychowania i wykształcenia niedostatecznego, jakie otrzymał, pozostało jedno: wspomnienie zapasów greckich w Olimpii, Nemei, na Istmie korynckim; z dni dziecięcych obrazy gonitw i wyścigów dla ludu rzymskiego, ukochanych nadewszystko przez ten lud. Co u poprzedników polityką, u Nerona stało się instynktem, namiętnością, rodzajem pijaństwa — najrozkoszniejszym środkiem zapomnienia. Więc grać i śpiewać i oklaski niezmiernego zbierać tłumu, więc zaprzągłszy do cesarskiego wozu dzikie rumaki, gonić z wściekłością wokoło olbrzymiego cyrku, napiętrzonego tysiącami głów; więc uciec od myśli i zająć cezara i stworzyć na chwilę sztuczny świat śpiewaka, aktora, woźnicy; więc mieć obawy podobania się i dreszcze karyery artystycznej, i używać, gdy masy frenetycznie klaszczą!... Ale i na tem użyciu spoczywa piętno zbrodniarza, piętno matkobójcy... Najmilszą

rolą dłań, rola Oresta, który zabił matkę — a którego Eumenidy[7]) gonią... Bezczelny, on wie, że to zaostrzy ciekawość; on wie, że w grę jego mimowoli wejdzie piętno prawdy, że się wmiesza w nią coś z tego strachu, który go trapi nocami; on wie, że klaskać mu będą senatorowie, którzy pochwalili śmierć jego matki — i oto aktor Orestes łączy się z cezarem, mszczącym podłość społeczeństwa.

Orgii artystycznej towarzyszy orgia morderstw, zaprawionych ironią i kaprysem szaleństwa. Myśli jego zabójcze nie mają konsekwencyi: ba! czasem zdaje się, że szlachetny jakiś motyw każe mu ochraniać długo jednych: pogarda bez granic, szyderstwo z nikczemności ludzkiej wybierać drugich na ofiary. Tak zemsta jego omija długo Trazeę, który sam jeden z senatu miał odwagę nie pochwalić zabójstwa Agryppiny; omija Sylana, męża podobnych przekonań co Trazea. Natomiast jedną z pierwszych ofiar jego pada Burrus, prawdopodobnie otruty, który wedle opinii powszechnej zgodził się w końcu na śmierć Agryppiny. Wylękniony Seneka pragnie zachowania życia, rzuca u stóp cezara darowizny jego i bogactwa, chce dymisyi. Nero zatrzymuje go, ściska i całuje filozofa, „który go, jak mówił, nauczył stawiać czoło nietylko przewidzianym, ale i nagłym niebezpieczeństwom“. Ale Seneka ucieka, kryje się w ciszy wiejskiej, ofiaruje później jeszcze po raz drugi bogactwa swoje Neronowi. Daremnie! Sprzysiężenie Pizona jest hasłem wydania nań wyroku śmierci. Seneka ginie, otwierając sobie żyły w kąpieli. Procesem o złamanie wiary usuwa Nero znienawidzoną żonę, Oktawię; ale i Poppea Sabina niedługo cieszy się owocem swych intryg i zbrodni; brutalnem kopnięciem nogi wyzbywa się tyran przewrotnej kobiety. Przedmiotem jego wściekłości jest przedewszystkiem senat; z grona jego nikogo on nie wita i nie żegna, z modlitw publicznych wypuszcza jego nazwisko, rycerzom i wyzwoleńcom obiecuje rządy Rzymu. Mordom senatorów i bogaczy towarzyszy sroga ironia; Burrusowi śle lekarstwo na gardło, które go dobija; ciotce bogatej lekarzy z rozkazem, aby gwałtownymi lekami przyśpieszyli jej koniec; inni giną w rękach chirurgów, puszczających im krew niezdrową.

Dopiero gdy wielkie sprzysiężenie Pizona odkryte zostało, nie zna Nero granic okrucieństwa — najpodlejsze pełzanie nie zdoła ratować wplątanych senatorów: Nero odrzuca świątynię, którą mu jako bóstwu chce stawiać, blady od trwogi senat; brat wydaje brata, rodzice synów, posągi siepaczy stają za uchwałami przelęknionych Rzymian — wszystko napróżno — cezar nie zna przebaczenia; a gdy ofiary giną od samobójczych ciosów lub od ciosów pretoryańskich — bogactwa ich skonfiskowane płyną do skarbu cezara, aby zasilić wydatki na jego szaleństwa.

To szaleństwo pogardy, kapryśnego i wymyślnego terania potężnych i bogaczów Romy — szaleństwo, złączone tym razem znowu z polowaniem na wrażenia, z zachciankami piękna, z pragnieniem zadziwienia świata przepychem i wytwornością, znajduje swój szczyt —

[7]) Eumenidy — Furye, jędze piekielne.

w spaleniu Rzymu. Rzym od wieku stawał się cudem świata, napełniał budynkami najwytworniejszego smaku, ale ulice jego były wąskie, a obok wspaniałych gmachów wznosiły się uświęcone tradycyą świątynie i domy dawnych czasów. Wywłaszczenie normalne celem przebudowania byłoby trafiło na opór i niechęć; zniszczenie ogniem łamało przeszkody, otwierało szerokie pole gospodarstwu budowniczemu cezara, spełniało jego tajemnicze słowo: Aż do moich czasów nie wiedziano, dokąd panujący posunąć się może. Pewną rzeczą jest, że Nero podczas wybuchu pożaru w Rzymie nie był, pewną, że wiadomość Euzebiusza, jakoby, przypatrując się mu, śpiewał pożar Troi — jest niezgodna ze świadectwem spółczesnych — ale pewną także, że powszechna opinia spółczesnych oskarża Nerona o autorstwo pożaru, że ten pożar wybuchał na kilku miejscach naraz, że żołnierze i strażnicy podniecali go, zamiast stłumiać, że na ruinach rozpoczął Nero zabudowania „złotego domu“, zajmującego ogromną przestrzeń od Palatynu do Eskwilinu, z sadzawkami, które wydały się małemi morzami, z gajami, w których igrały trzody i gnieździły się dzikie zwierzęta, a odumarł planów dalszego szerzenia swojej rezydencyi.

Tu wszakże po raz pierwszy spotkał się zbrodniarz z mściwą Nemezą. Ogromna klęska stolicy poruszyła do gruntu społeczeństwem rzymskiem, rozjuszyła lud, wzniecila dokoła tronu tyrana owo szemranie groźne, które mu zapowiadało wybuch długo tajonej zemsty... Brytanika i Agryppiny śmierć mógł pochwalić spodlony senat — pożar Rzymu dobrał się do szpiku kości społeczeństwa... Demonstracyjnie, groźnie przesuwały się przed pałacem cezara procesye religijne, poświęcone ekspiacyi występku... Wszakże wedle pojęć tradycyjnych potrzeba było innego *piaculum*, potrzeba było winowajcy, aby zażegnać złe, aby przebłagać zagniewanych bogów. Chwila jeszcze, a z głębi społeczeństwa mogła dźwignąć się dłoń, wiodąca rozwścieklone tłumy na pałac cezara, lub co gorsza, umiejąca zręcznie pozyskać gwardyę pretoryanów... Groźniej niż kiedykolwiek unosiły się furye nad Neronem — groźniej niż kiedykolwiek zaglądała mu w oczy śmierć okrutna...

Wtedy, jak trafnie przypuszcza jeden z autorów, piszących o tej epoce — przyszła mu myśl straszna, podła, podlejsza niż inne zbrodnie jego życia, bo ratująca go bezczelnem kłamstwem, myśl pociągnięcia chrześcijan do odpowiedzialności. Mógł mu ją podmuchnąć jeden z jego zauszników, mogli podmuchnąć żydzi, łatwy przystęp do ucha jego mający; Poppea, o której przechowała się wieść, że była żydowskiego pochodzenia; mogła ona urodzić się sama na wiadomość o nabożeństwie i obyczajach chrześcijan, których kryjówki katakumbowe zapełnił tłum ludu, uciekający przed pożarem i w podziemiach szukający schronienia... Z wysokości tronu cezarów padło słowo wskazujące winowajcę pożaru — chrześcijan. Było ich podówczas, wedle Tacyta słów, 31 lat po śmierci Zbawiciela, wielkie mnóstwo w Rzymie. Dowodów nie było trzeba; raz rzucone oskarżenie stało się dla pogańskiego świata dowodem. Każdy, od senatora do proletaryusza, przypomniał sobie, że raz, drugi raz w życiu spotkał

człowieka lub kobietę, w niczem do innych niepodobnego ludzi... człowieka, który unikał jego bogów i jego orgii, człowieka, który wśród pożaru sam jeden spokojnem okiem oglądał gniew boży schodzący na ziemię, nie rozpaczał i nie złorzeczył, ale w tajemniczym związku modlitwy stał z innymi podobnymi do siebie. Jego zbrodnia — to, że go nic z rodzajem ludzkim nie łączyło, a więc wedle logiki pogańskiej był mu nieprzyjacielem, był gotów zadać mu złe wszelkie... Nero miał racyę, Nero nie potrzebował dowodu — siepacze jego nie potrzebowali szpiegów — palcem wskazywało chrześcijan pogaństwo.

Na drugim brzegu Tybru, wśród ogrodów cezara, stał cyrk ozdobiony obeliskiem z Heliopolis — dzisiaj to plac św. Piotra, Kapitolium chrześcijaństwa — a na temże samem miejscu stoi jeszcze obelisk egipski. Tam postanowił Nero wyprawić pogańskiemu Rzymowi orgię nad orgiami, dać mu zadośćuczynienie za pożar... połączyć zaś widowisko znowu z użyciem artystycznem, po swojemu pojętem. Histryon, chociażby najznakomitszy, udający męki konania i śmierć samą, pozostanie zawsze histryonem, który elektrycznie zebrał rysy i ułożył je w rutynę cierpienia i umierania; najwyższy realizm będzie fikcyą łagodną, przyswojoną, obraną z tej nadzwyczajności, z tych epizodów niespodziewanych, jakie wyprawi publiczności ofiara, przybrana w szatę postaci dramatycznej i rzucona, aby być rzeczywiście pożartą przez lwa, rozszarpaną przez byka, spaloną na powolnym ogniu, zrzuconą z wysokości, przywaloną skałami! Taki los zgotował Nero chrześcijanom i chrześcijankom w cyrku, na sławnych igrzyskach porannych *(ludi matutini)*. A gdy rozwścieklił, odczłowieczył się na taki widok tłum patrzący, gdy cezar rozkoszował w niespodziewanych komplikacyach gry o życie, trzymając w nerwowo drżącej ręce zielony przezroczysty szmaragd, który mu służył za szkło powiększające i zbliżające — wieczór czekała lud i cezara nowa orgia, wyścigi konne, oświecone żywemi pochodniami męczenników, owiniętych w t. z. *tunica molesta*, w palny materyał, dozwalający dochwycić momentu, jak wyglądać będzie twarz oświecona ogniem, jak zamierać będzie dusza w krzyku niezmiernej, niesłychanej boleści...

Ale nie... lud pogański Rzymu był lepszym od swego cezara. Czyli wstrętem go przejął ohydny realizm tych przedstawień, czy wypadły one inaczej, niż się mógł spodziewać i niż spodziewał się cezar — rezultatem ich, wedle lapidarnych słów Tacyta, była litość dla mordowanych... Litość i owo potrącenie nieznanego przedtem uczucia, jakie budziło się na widok ludzi umierających inaczej niż ci, którym chodziło tylko o życie: na widok ludzi, którzy cierpieli spokojnie i widzieli otwierające się przed nimi niebo, na widok ludzi, którzy zpod szaty mitologicznej wyłaniali się, jak postacie Rafaelowskiego pędzla, na widok tego, co niesłychane, niebywałe, niepojęte dotąd!... Ale jak odwieczną własnością złego, że ono samo instynktownie, zakamieniałością i zazdrością szatańską najlepiej pojąć zdoła dobre, aby je znienawidzić; jak odwiecznym udziałem

wszystkich katów jest, że zaostrza się ich okrucieństwo, im ofiara ich szczytniejszą i szlachetniejszą: tak psychologicznie pewnem jest, że owe arcydzieła wyrafinowanego okrucieństwa Neronowego rosły w miarę, jak przez szkło zielone szmaragdu więcej dobrego i wzniosłego dopatrzył w swoich ofiarach, jak zadziwiły go i upokorzyły niezrównaną cierpliwością i godnością, jak w realizm śmierci, którego pożądał, wniosły więcej chrześcijańskiego heroizmu śmierci.

Okrucieństwa, wyprawiane z chrześcijanami, przeszły wszystko, co dotąd strasznego podał gawiedzi rzymskiej Nero; rok 64. pożaru Rzymu i męczeństwa chrześcijan jest zenitem jego twóczości szaleńca, zenitem, z którego spada, powtarzając się, tracąc grozę, a przechodząc w błazeństwo. Ale na resztę panowania pozostaje zawsze jedna ku chrześcijanom nienawiść, po prowincyach tysiące ofiar zabierająca — i od tego roku do jego śmierci trwa epoka, objęta w dziejach Kościoła pod nazwą pierwszego prześladowania, którego ofiarą padli dwaj książęta apostołów, św. Piotr i św. Paweł.

Istnieje pełna głębokości legenda chrześcijańska, przedstawiająca nam św. Piotra w owych strasznych dniach Neronowych, w walce z najpotworniejszym i najwyuzdańszym ze zbrodniarzy. Otóż legenda owa chrześcijańska każe św. Piotrowi drugi raz upadać pod ciężarem rzeczywistości — pod oczywistością zguby, pod piętrzącą się skałą przeszkód... Każe mu ona uciekać drogą Appijską z miasta, gdzie szaleje Neron, gdzie chrześcijanie giną w mękach, gdzie rozlega się krzyk: lwom na pożarcie! każe mu uciekać, uproszonemu przez garstkę wylękłych i strwożonych, zaklinających go, aby nie narażał skarbu tej świętej tradycyi, jaką nosi w łonie, on, który widział Zbawiciela i żył ze Zbawicielem. Legenda daje go nam oglądać, jak w ubogiej szacie żydowina przesuwa się śpiesznym krokiem popod Kapitol i pałace cezarów, obok rusztowań dźwigających się gmachów Złotego domu Nerona, potrącanego przez tłum różnowzory, bogaczów i nędzarzy, Rzymian i Azyatów, panów i niewolników, po ziemi, w której wnętrzu do grobów mordowanych codziennie tulą się chrześcijanie, jego owieczki... On prosty i rozsądny nadewszystko, ma wewnątrz jedną z tych chwil upadku, w której mówi rozsądek: na co się zrywasz, biedny rybaku znad jeziora Genezaret; jak chcesz, jak możesz marzyć, że zwalczysz potęgę złego, która cię otacza, że kiedyś ludzie ci, nienawidzący prawdy, ukochają prawdę, że ta potężna machina państwa ugnie się przed słowem ostatnich dzisiaj nędzarzy, że w tych pałacach wspaniałych, a dumnych jak piekło, prawda ta kiedykolwiek zamieszka. Oni bogaci, a wy nędzarze, oni uczeni mądrością szatana, a wy prostaczkowie, oni potężni, a wy najostatniejsi z ludzi, oni źli tak niezmiernie, tak zwycięsko, tak bez granic, że nikt nie zwali tej góry nieprawości, nikt nie ruszy kamienia tej babilońskiej budowy, szturmującej niebo i urągającej Bogu. Bóg to jeden uczynić może... ale nie ludzie, nie wybrańcy Pańscy nawet — nie! wybrańcom nawet przychodzi się cofać z tem przerażeniem czysto ludzkiem, które wywołać musi niemożność, daremność usiłowań... Więc gdzieś, gdzieś w odległości prowincyi

pracować nam i działać wedle sił ludzkich, a nie pokuszać się o to, co je przechodzi...

Takie, jeśli wolno tłómaczyć i popularyzować legendę, mogły plątać się myśli w duszy ubogiego rybaka ziemi izraelskiej: taki napadać go strach, gdy w ślad kroków jego gonił duch Romy cesarskiej, najdoskonalszej i najpotworniejszej z organizmów ludzkich, zbrojnej w wszystką moc rozumu, a szalonej wszelką potęgą nienawiści ku temu, co w piarsiach ubogiego rybaka godziło w jej światowładztwo, co rozwaliło pałace i cyrki cezarów, a przy samotnym obelisku w Heliopolis wzniosło kościół św. Piotra i Watykan... Wtedy wśród tej drogi bez tchu, drogi strasznej, stanęła przed Piotrem postać, krocząca od starej bramy Etruskiej do miasta siedmiu pagórków — postać niewidziana lat trzydzieści, postać tego, który uczynił Piotra podwaliną swego Kościoła — postać Chrystusa.

— *Domine, quo vadis?* [8]) zapytał Piotr, a w zapytaniu tem było to przerażenie Rzymem Nerona, Rzymem cyrku watykańskiego, Rzymem płonących pochodni chrześcijańskich.

— *Vado Romam, iterum crucifigi!* do Rzymu idę, aby dać się ukrzyżować raz wtóry! — spłynęły w duszę Piotra słowa Zbawiciela, ciche, słodkie, pełne tego wyrzutu, jakim świeciło jego oko w chwili, gdy ujrzał Piotra, po owem wyparciu się w dziedzińcu Piłata. Do Rzymu idę, aby się dać ukrzyżować... gdy ucieka przed śmiercią ten, któregom zostawił namiestnikiem. Gdzie potęga złego wypiętrzyła się najwyżej, tam nie wolno pierzchać przed nią i powiedzieć: „to nad siły moje, poczekam, aż minie jej najstraszniejsze wytężenie"... ona wyzywa do oporu, i nie powinno go braknąć przedewszystkiem ze strony tych, co stoją na czele zastępu dobrych, przeznaczonych do walki, owieczkom nie powinno braknąć pasterza, rycerzom wodza... męczennikom arcymęczennika. Zrozumiał to Piotr i zwrócił swe kroki ku Rzymowi — zrozumiał i niebawem, schwycony, znalazł się w więzieniu mamertyńskiem z apostołem pogan, św. Pawłem, a dnia 29 czerwca 66 roku po Chr. wyprowadzono obu na ostatnią drogę męczeńskiej śmierci. Tam na *Via ostensis*, w miejscu, gdzie dzisiaj stoi skromny kościół, zwany kościołem pożegnania, rozdzielono obu. Piotr, biedny żydowin, poszedł zginąć na krzyżu, głową na dół dla większego przybity szyderstwa, na lewy brzeg Tybru, gdzie dzisiaj kościół *S. Petri in Montorio;* Paweł, obywatel rzymski, dał głowę pod miecz w okolicy Rzymu, przy drodze do Ostyi, a pobożne Rzymianki pochowały go w katakumbach, na których wznosi się dzisiaj bazylika *San Paolo fuori di mura...* [9]) ale i tradycyę owego legendowego spotkania ze Zbawicielem, uświęciła chrześcijańska pobożność: — jest to maleńki kościołek przy *Via Appia*, zwany *Domine quo vadis!* a wierni mają go za miejsce dobrego natchnienia w chwilach trudnych żywota, w chwilach, gdy przychodzi ciężki spełnić obowiązek lub poddać się z cierpliwością nieuchronnemu złemu.

---

[8]) Panie, dokąd idziesz? [9]) Świętego Pawła poza murami.

Taka więc, wedle legendy, wedle tradycyi kościelnej, była potęga złego, w zbrodniarzu artyście, w cesarzu matkobójcy; takie niebezpieczeństwo groziło Kościołowi za dni jego, że Zbawiciel sam musiał nawracać z drogi ucieczki głowę swoich wiernych, a najwięksi z apostołów, Piotr i Paweł, poledz musieli na świadectwo prawdzie... Polegli — Kościół prześladowanie przetrwał i zwyciężył... A ów potworny cezar artysta?... Jaki jego koniec? jakie rozwiązanie tragedyi jego żywota, bądź co bądź, pociągającej kolosalnością złego, przymieszką szlachetniejszego motywu miłości sztuki, pogardy do spodlonego społeczeństwa?...

Cztery lata oddziela tylko pożar Rzymu od śmierci cezara Nerona. Lata te wypełniają: zdzierstwo bez miary, mające na celu przebudowanie Rzymu i wystawienie Złotego domu — Pizońskie sprzysiężenie, utłumione krwawą ręką — zabójstwo najcnotliwszych Trazei i Sorana — przyjęcie wspaniałe Tyrydatesa, króla Armenii — komedyancka podróż do Hellady i tryumfalny powrót do Rzymu, w maskaradzie Apollina, ze śpiewakiem Apollodorem u boku... Wyczerpanie, powtarzanie się, ogłupienie charakteryzuje te ostatnie lata Nerona — orgia tyloletnia doprowadziła powoli do idyotyzmu, do zniewieściałości Sardanapala, do poszarpania wszystkich sił duszy i ciała... Depcący świat zbrodniarz i swawolnik stał się sam zwolna przedmiotem ostatniej pogardy, obrzydzenia, sponiewierania... Ateny miały odwagę nie zaprosić go w swoje mury... krzyki, którymi go witał tłum rzymski za powrotem: niech żyje tryumfator śpiewem i głosem, niech żyje mistrz peryodów i strof! wyglądały na ironię. Godzina zemsty zbliżała się. Nie w Rzymie, ale w Gallii stanął na czele legionów Gajus Sylius Vindeks propretor... W rocznicę śmierci matki otrzymuje o tem wiadomość Nero... Nie czyni ona na nim wrażenia: obiecuje sobie złupić Gallię. Ale w proklamacyi swojej nazwał Vindeks Nerona lichym śpiewakiem, i to skłoniło Nerona do uroczystej protestacyi, którą przesłał senatowi rzymskiemu.

Mnożyły się wiadomości coraz gorsze. Vindeks zginął wprawdzie, ale Wirginius Rufus i Sulpicyusz Galba, namiestnik Hiszpanii, zbliżali się na czele zbuntowanych legionów. Bezradnie, fantastycznie, kapryśnie tłoczą się postanowienie za postanowieniem w duszy Nerona... Zrazu zrywa się jak lew ranny... pieni się od wściekłości... grozi wymordowaniem senatowi i Gallom obecnym w Rzymie... chce wzywać lud i stanąć na jego czele... Gdy ten lud się nie śpieszy, chodzą mu po głowie myśli nowego pożaru i puszczenia na ulicę lwów i tygrysów, chowanych po cyrkach... i znowu zwycięża w nim niewieściuch... uciekać chce na wschód, zatrzymać część państwa, lub żyć... żyć tylko... zadziwiając świat talentem swoim... Grając komedyę odwagi, mówi więcej o sztuce niż o buncie; narzeka, że mu bunt przeszkadza, że mu zabiera drogi czas... bo oto on zaśpiewa tylko legionom w czarnej żałobnej szacie pieśń swoją cudowną... a legiony z nim się połączą i odbędzie się najpiękniejszy tryumf... tryumf sztuki.

Ale czas leci, i nocy jednej, gdy Nero komponuje swoje pieśni

i mowy, mające wzruszyć buntowników... odbiegają go najwierniejsi, odbiega gwardya pretoryańska, senat ogłasza zbliżającego się Galbę imperatorem. Na lichym koniu, w towarzystwie kilku wiernych wyzwoleńców, nocą, boso ucieka cezar do podmiejskiej willi Faona. Po drodze słyszy okrzyki na cześć Galby. Wierni chcą go ukryć w jamie ziemnej — Nero broni się cytacyą poety... Wierni jego doradzają mu samobójstwo — Nero cytuje Sofoklowego Edypa: Moja żona, moja matka, mój ojciec, wydają na mnie wyrok śmierci... Przynoszą mu wiadomość, że senat wydał już wyrok, że będzie zasieczonym rózgami na śmierć i rzuconym do Tybru — Nero próbuje sztyletu, ale nie ma odwagi zabić się. „Niech mi kto z siebie da przykład, niech mnie na sobie nauczy". Ale zbliżają się jeźdźcy Galby — tentent koni każe mu cytować Iliadę...

„Słuch mój uderzon głuchym ciężkich rumaków tententem".

Epafrodyt, jeden z wyzwoleńców, ponurza mu wreszcie sztylet w gardło: O, jakiż we mnie umiera artysta!... miał zawołać konając. Trupa już tylko zastano... I, o dziwo! znaleźli się tacy, którzy z miłością przybyli go uczcić pogrzebem. Nieznane ręce składały wieńce na jego grobie, a wizerunkami jego obwieszały kolumnę rostrów starożytną *(Columna rostrata)*... Nie wierzono w jego śmierć i spodziewano się, że uratowany wróci z pomocą Partów i Armenów objąć rządy Rzymu... Viteliusz, chcąc się przypodobać gawiedzi, głosił szeroko, że wstąpi w jego ślady... Wschód kochał pamięć cezara, który mu pochlebiał, który go nad Rzym wynosił, który deptał tyranów prowincyonalnych i prześladował senat...

Ostatecznie krwawy dramat rządów Nerona był tylko ciekawym epizodem w życiu potwornego olbrzyma, jakim było rzymskie państwo. Samowola cezara dotknęła na miliony tysiąców, a na tysiące mordowanych, którzy mu złorzeczyli. Ale znalazły się tysiące takich, którzy żyli i wynosili się złem jego żywota, i mnodzy znowu, których nigdy w dobry lub zły sposób, dłoń cezara dosięgnąć nie mogła... Dla tych niedotkniętych przesunął się on jak legenda, każdemu inaczej... Chrześcijanie widzieli ducha jego, pokutującego w pałacach cezarów — gawiedź pogańska imperatora, który jej na pastwę rzucał możnych, mędrców i cnotliwych — awanturnicy i szarlatani całego świata tego, który wynosił i bogacił ludzi z ich grona... Doskonałość organizmu państwa rzymskiego, jego wielkość, jego umiejętność, z jaką uchylał kwestye niebezpieczne, sprawiła, że zaszkodzić mu nie mogła nawet najwyższa samowola cesarzy; dobry budował państwo, wzmacniał, utwierdzał — zły szalał przeciwko jednostkom, ale państwu zaszkodzić nie mógł. W wybrykach Nerona. Karakalli, Heliogabala nikt przyczyn upadku Rzymu szukać nie będzie. Ale dobry jak Marek Aureliusz i zły jak Nero, wskażą oba, gdzie była pęknięta tarcza tego cudownego organizmu, której ani najlepsza administracya, ani najbystrzejsze prawo, ani najobszerniejsza wiedza mędrców złożyć już nie mogły.

Była ona w nierozwiązaniu kwestyi podstawnej każdego społeczeństwa — kwestyi jednostki ludzkiej. Lat sto, lat dwieście wstecz,

jednostka najdoskonalsza pogańskiego świata, jednostka rzymska, stała, żyła i rozwijała się zasobem prawd religijnych i tradycyjnych, jakie wyniosła z kolebki swojej, tem tajemniczem coś, co ducha ludzkiego wypełnia, wiąże i podnosi — a co Rzymianie zwali *religio!* Za dni cezarów, gdy nastała *pax Romana,*[9]) próżno granic i podstawy tej jednostki szukał prawodawca i mąż stanu — próżno mędrzec i mag, próżno artysta i zbrodniarz, Nero, i filozof cnoty, Marek Aureliusz...

U szczytu państwa, tam gdzie cezar samowładny — toczył się najstraszliwszy bój o zagładę jednostki ludzkiej — a cezarowie pozostali monstrualną wystawą faz wewnętrznych, jakie ten bój przechodził.

Rozwiązało ją chrześcijaństwo, łącząc człowieka napowrót z prawami bożemi...



XI. Antoni Małecki.

Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła (z drugiego wydania 1881).

Rozbiór „Mazepy".

Rzućmy okiem na dzieło to przedewszystkiem jako na całość. Tu krytyka znajduje dla siebie najwięcej pola. Główna wada w kompozycyi tej tragedyi zdaje się polegać na tem, że jest pewna czy niejasność czy też niejedność w całem tejże przeprowadzeniu, że jest pewien niestosunek między aktem pierwszym a dalszymi. Niestosunek ten widać w całym sposobie wprowadzenia intrygi; widać go w długotrwającej wątpliwości, kto bohaterem sztuki? widać go nawet w niestosownem jej nazwaniu według imienia osoby, która tylko podrzędne w porównaniu z drugimi zajmuje miejsce.

Wszystko to ma zaś taki ścisły związek ze sposobem, jak dramat obecny powstał, że nie podobna mi nie powrócić tu raz jeszcze do tego punktu.

Przypominam tedy, o czem się już poprzednio mówiło, że Mazepa był płodem pracy Słowackiego jesiennej w roku 1834. Dnia 7 listopada rzeczonego roku donosił autor nasz matce, że sztukę właśnie ukończył. W kilka zaś miesięcy później, dnia 5 lutego 1835 roku, wspomniał w liście, że ją spalił.

Pomimo to po kilku latach przyszło jednak do tego, że się Mazepa przecie pojawił w druku.

Byłoby tu ważnem rozstrzygnąć pytanie, czy dzieło, które mamy przed sobą, było nowym utworem, a tamten Mazepa rzeczywiście został rzucony w ogień; czy też jest ono owym Mazepą z roku 1834, ocalonym w jakim brulionie, albo zgoła nie oddanym na.

---

[9]) pokój rzymski.

pastwę płomieniom, lecz tylko może chwilowo zagrożonym podobną katastrofą.

Za pierwszem przypuszczeniem tj. za rzeczywistem zniszczeniem pierwszego rzutu Mazepy przemawia następująca wzmianka o Juliuszu Słowackim, dana w jednym z ostatnich numerów poznańskiego „Tygodnika literackiego“ z roku 1839: „Pan J. Słowacki pracuje, jak nam donosi, nad nowym dramatem pod tytułem Mazepa. Jego życzeniu, ażebyśmy odwołali pogłoskę, iż i on należy do redakcyi Pszonki czynimy niniejszem zadość“.

Doniesienie powyższe, mające wszelkie cechy pochodzenia z autentycznego źródła, poprzedziło wyjście z druku Mazepy o miesiąc albo najwięcej o dwa miesiące. Zdaje się przeto pod każdym względem zasługiwać na wiarę i najzupełniej rozstrzyga wprowadzoną tu wątpliwość co do czasu powstania sztuki w jej obecnej postaci.

Przyjąć tedy można za rzecz zupełnie pewną, że dany do druku Mazepa był czemś innem jak ów pisany w Genewie dramat z roku 1834. Czy jednak nie weszły do tej nowej redakcyi jakie ustępy z dawniejszego Mazepy, odszukane w papierach i bynajmniej nie zniszczone: to w każdym razie inne pytanie. Co do mnie, kiedy się zapatruję na obecny skład niniejszego utworu, zdaje mi się, że w nim odkrywam części pochodzące niezawodnie z czasów genewskich. Żeby rzeczy zbytecznie nie przedłużać, zwrócę uwagę dla poparcia mojego zdania na jedno tylko tego właśnie rodzaju miejsce. Czy przypomina sobie czytelnik zakończenie drugiego aktu w Mazepie? Jest to owa scena, dość niejasna w obecnym układzie sztuki, gdzie do zamyślonego Zbigniewa zbliża się niewidziana przez niego Amelia i stając przed nim, uderza go lilią po twarzy.

Amelia. Cóż tak smutny?

Zbigniew. Nic — głowa mi cięży jak ołów.

(Amelia daje Zbigniewowi lilię — lecz ksiądz, który szedł za nią i stoi obecnie przy niej, wyrywa kwiat z ręki Amelii i mówi srogo:)

Ksiądz. Daj do kościoła — lilia jest kwiatem aniołów.

Otóż wcale o tem nie wątpię, że to całe miejsce wcielone zostało z pierwszej redakcyi.

W jednym z listów Słowackiego, pisanych w temże miejscu, gdzie powstał pierwszy „Mazepa“ i w czasie o mało co późniejszym (w liście z dnia 30 czerwca 1835 roku), znajduje się wyrażenie, które świadczy, że obraz, użyty za osnowę w powyższej scenie dramatu, był i wtedy jeszcze obecny w pamięci Słowackiego. Pisze on tam matce pół żartobliwie, pół smętnie o osobie, do której całą sympatyą swego serca w tym czasie był przywiązany, o pannie Maryi W. i powiada, że i ona także zapłynęła trochę w kraj ideału, i że o niczem nie marzy, jak o pustelniczym domku nad rzeczką — o czarnej sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja, nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc

30*

w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów".

To miejsce w liście posłużyć może poniekąd za komentarz do zbyt może symbolicznej sceny, co tylko przytoczonej z Mazepy. Równocześnie zaś może stanąć i za dowód, że w tym dramacie znajdują się niewątpliwie ustępy z redakcyi jego z roku 1834 całkowicie zatrzymane w składzie jego obecnym. Boć trudno uwierzyć temu, żeby naprzykład scena powyższa była mogła w roku jeszcze 1840 być wykonaną na tle tegoż samego obrazu, który przesunął się był przelotnie przez wyobraźnię poety pięć lat pierwej.

Owóż wnoszę z tego wszystkiego, że Słowacki w końcu roku 1839 i z początkiem 1840 Mazepę nie tworzył, ale tylko przerabiał. Nad robotami tego rodzaju cięży zwykle jakiś fatalizm. Dawny zamiar poety nie daje się zupełnie pogodzić z nowym. Dawne niedostatki kompozycyi ustępują zwykle miejsca... nowym znowu niedogodnościom. Rzecz się naprawia i psuje jednocześnie. Zdaje się, że i ówczesna praca naszego wieszcza nie stanowi wyjątku od tej tak powszechnej reguły. Szczegóły dramatu zyskiwały może na wykończeniu; jednolitość ucierpiała z powodu takowego przelewu.

Stało się z Mazepą jak z Don Karlosem Schillera, o którym sam autor jego się przyznał, iż widać to po nim aż nadto, że to nie płód jednej wiosny, ani odlew jednego rzutu. W pierwszej połowie dramatu niemieckiego poety toczy się wszystko około postaci infanta hiszpańskiego, w drugiej stanowczo mu wyrasta nad głowę jego przyjaciel (Markiz Poza), gromadzący w roli swojej odtąd całą wagę intrygi, jakby był bohaterem tragedyi.

Na tento karb wyjątkowych okoliczności, dotyczących samego już sposobu, w jaki powstała sztuka, którą mamy przed sobą, kłaść więc wypadnie niedostatki, które wytknąć zamierzam. Zdaje się, że w pierwotnym kształcie Mazepy najznaczniejszą rolę w całym przebiegu intrygi dzierżył w rękach paź królewski, którego też imieniem dramat został nazwany. Z tej redakcyi najwięcej pozostało w obrębie dwóch pierwszych aktów. Mianowicie godzi się wnosić, że akt pierwszy pozostał z niej prawie nietknięty w obecnym składzie. Stądto też na początek właśnie utworu, na ekspozycyą przypadło najwięcej takich ustępów, które słusznie zaczepiać może krytyka, jako psujące przejrzystość akcyi. Są to szczegóły nietylko nie należące do rzeczy, ale nawet rzucające na nią światło fałszywe i zwodnicze.

Tak naprzykład zapytać można, co znaczy w Mazepie to zaraz na samym wstępie dane wprowadzenie figury kasztelanowej Robronckiej, która się zupełnie gdzieś zapodziewa w dalszych aktach? Rola ta w dramacie jest co się zowie zbyteczna, a spotykamy ją tu nałożoną kolorami, jakby to był jeden z pierwszych całego zawikłania czynników. Jestto żuk, co nie widzi dla siebie żywiołu jak tylko w kale, i radby wszystko, co jeszcze kałem nie jest, w brud i zgniliznę zamienić. Pomijam, że taka kasztelanowa jest ze strony dziejowej

prawdy anachronizmem. Nie można sobie wprawdzie wieku Jana Kazimierza wystawiać jako czasów, co się zowie, arkadyjskiej czystości. Działy się i wtedy już rzeczy, o których się naszym tuzinkowym epoki tej wielbicielom ani nie śniło. Lecz był przynajmniej zawsze wtedy na tem, co się zdrożnego tu albo owdzie dziać mogło, jakiś pokost przyzwoitości i dekoracyi pozornej, która dopiero w drugiej połowie ośmnastego wieku ulotniwszy się w nicość, odkryła zepsucie w całej nagości. Takiejto bezczelnej otwartości typem skończonym jest właśnie pani Robroncka. Autor przeniósł tę paskudnicę wielkiego świata żywcem z epoki Poniatowskiego i niesłusznie ją umieścił na tle czasów o całe sto lat rychlejszych. Ale jak rzekłem, dajmy pokój historyi i nie zaczepiajmy tej figury z powodów, które nie mają bezpośredniej wspólności ze sztuką. Lecz właśnie te względy sztuki najbardziej protestują przeciwko wprowadzeniu roli tej w dramat. Jestto w nim, co się zowie, piąte koło u wozu. To też toczy się ono przy nim tylko przez ciąg pierwszego aktu, a potem odrzucone zostaje na bok, żeby darmo nie zawadzało biegowi dalszej osnowy.

Wątpić wcale nie można, że w pierwotnej postaci „Mazepy“ musiała kasztelanowa zajmować o wiele ważniejsze miejsce. Poeta zdaniem mojem zbłądził, że w przerobieniu nie przydzielił jej znaczniejszej roli, jeśli ją już koniecznie chciał zatrzymać w dramacie. Chodziło tu widocznie o owo tak jaskrawie rzucone zarekomendowanie pazia królewskiego przed Amalią (a zarazem i przed widzami), włożone w scenie trzeciej i czwartej pierwszego aktu w usta pani Robronckiej. Do tej funkcyi nie nadawał się snadnie żaden inny z ludzi tragedyi, któryby tu mógł godnie zastąpić kasztelanową. Nie można jednak tego uznać za dostateczną przyczynę zatrzymania tej figury w obecnym kształcie dramatu.

Równie uważam za niefortunny tylko wynik dwukrotnie podejmowanej pracy nad niniejszym utworem ową przydłuższą scenę opowiadaną (drugą w akcie pierwszym), w której dowiadujemy się od pana Chrząstki o śmiesznem zajściu zakulisowem pomiędzy jakimiś Marszałkami dwóch stronnictw sobie przeciwnych, wjeżdżającymi równocześnie w bramę zamku Wojewody. Chodziło widać autorowi o odsłonienie obłudy, o skostantowanie dumy zawistnej, przywdziewającej zawsze płaszczyk popularnej wobec innych uniżoności, jako cechy owego wieku wogóle, a rzeczonych dwóch naczelników szlachectwa w szczególności. Może dążność taka właśnie w pierwszej redakcyi Mazepy wynikała ze założenia. (Wszakże i sam wojewoda nie zdaje się być wolnym od podobnego przymiotu, klęka w akcie pierwszym przed królem i zabiera się do ściągania mu z nóg obuwia... A potem jaka duma odchyla się w tym człowieku nawet i przeciwko królowi)! Owóż opowiada pan Chrząstka, jak żaden z owych Marszałków wziąć kroku przed drugim nibyto nie śmiał. I jeden krzyczał: niegodny! i drugi — niegodny! A skoro tylko koniec końcem jeden poważył się wreszcie ruszyć z miejsca i wjeżdżać

do zamku jako pierwszy, to się drugi tak tem oburzył, że przyszło do bijatyki... W obecnym składzie Mazepy cała ta scena nie ma najmniejszego związku ani z główną osnową sztuki, ani nawet z żadnym ubocznym jej szczegółem. Tych dwóch Marszałków wcale nie spotykamy na scenie. Artystycznie wklejony jest ten epizod niezręcznie, bo za pośrednictwem przydłuższego tylko o nim opowiadania, które zawsze dramatyczność oziębia. Pomysł sam kulminujący w obrazie utknięcia w ciasnym korytarzu dwóch tych szlachciców „brzuch z brzuchem“, „nos z nosem“, także jest i niesmaczny i nawet bodaj prawdopodobny. Słowem jest to scena pod każdym względem tak niepotrzebna, że w interesie reputacyi „Mazepy“ życzyć wypada, ażeby przynajmniej kiedy się daje rzecz tę na scenie, czynili tu reżyserowie, co do ich obowiązku należy[1]).

Najbardziej jednak niefortunnem następstwem tej w różnych czasach podejmowanej pracy nad sztuką obecną będzie niezaprzeczenie szczególna niejasność włożonego w nią zamiaru. Czytelnik widzi się przez cały ciąg „Mazepy“ w niepewności, o co tu głównie chodzi? Ani sposób znaleść tu sobie ów punkt konieczny widzenia, z którego by cała budowa dzieła we wszystkich zakątkach swoich dała się okiem przejrzeć na wylot. Niemałą trudnością okazuje się co do „Mazepy“ nawet wyrozumienie, której z figur w nim działających przydzielono rolę bohatera lub bohaterki dramatu?

Pod tym właśnie względem chwiejność jest szczególnie uderzająca! W pierwszym akcie tak sobie postępuje Słowacki, jak gdyby mu chodziło raczej o zamaskowanie rzeczywistej intencyi. Opowiadanie starej kasztelanowej, co się zowie szczegółowe, o tym „złotym sowizdrzale“, który wszystkim głowy zawraca, jeszcze nim się Mazepa w zamku wojewody pojawił; zaraz potem awanturnicze przyjście tegoż na scenę oknem i ta nieznużona ruchliwość, z jaką on od pierwszej chwili wszystkie kąty domu wojewodzińskiego osobą swoją zapełnia, wszystko to dane jest w taki sposób i tak wydatnemi rysami, że kto nie zna dalszej osnowy, ani chwili o tem wątpić nie może, że w tejto figurze gromadzi się cały interes.

Równie prawie ważnym czynnikiem akcyi jest Mazepa w akcie drugim. Zuchwałe spotkanie się jego z młodą żoną wojewody rankiem w ogrodzie, skarga, z jaką ona właśnie z tego powodu zaraz potem występuje przed królem, bezpośrednie tejże skargi następstwa, wreszcie zajście między Zbigniewem a Mazepą w wybornej owej scenie, w której zrazu obaj walczą ze sobą, a potem się godzą i przyjaźń zawierają: są to właśnie najcelniejsze tego aktu ustępy.

Na mocy scen powyższych, widzowie tworzą sobie odrazu pewne wyobrażenie o wzajemnym stosunku osób do sztuki wprowadzonych. Rolę Mazepy poczytując za piewszorzędną, właśnie przeto rozumieją,

[1]) W rzeczy samej dawany był we Lwowie w r. 1864 Mazepa po raz pierwszy z wykluczeniem zupełnem całej tej sceny z niewątpliwą korzyścią dla ogólnego wrażenia. Żałować należy, że żadną miarą przez wzgląd na związek pozwolić sobie nie można podobnego wyrzucenia, lub choćby tylko skrócenia tych scen, gdzie występuje kasztelanowa.

że schwycili już tę nitkę Aryadny, która ich będzie wiodła przez wszystkie przygody dalszej zawikłanej intrygi. Rozpoczyna się akt trzeci. Mazepę zamurowują w alkowie wojewodzinej. Mniemany bohater... ze sceny na długo znika. Pod koniec czwartego aktu zjawa się wprawdzie na nowo. Lecz tylko już w roli sprawozdawcy i pomocnika w sprawie, która nie z niego idzie, nie jego najgłówniej dotyczy i nie od niego zależy!...

Natomiast wydostaje się na wierzch, od trzeciego aktu począwszy, inna postać. Postać ta w aktach początkowych zajmuje miejsce pośledne. Rosnie ona i tam już wprawdzie przed oczyma naszemi, lecz tak zwolna, tak gdzieś stojąc na drugim planie obrazu, tak pod osłoną cienia rzuconego przez inne około niej figury, że kiedy wreszcie w owej pełnej dramatycznych efektów scenie, w której przychodzi do zamurowania alkowy, spotykamy się z Wojewodą oczy w oczy, jako z demonem bezlitości i grozy, który cały ruch akcyi porywa w swoje ręce, ażeby tego władztwa nie oddać odtąd już nikomu drugiemu aż do samego końca dramatu: to doznajemy uczucia jakby... jakiegoś zawodu. Widząc się tu zmuszonemi do powiedzenia sobie, że więc Wojewoda jest tą najdramatyczniejszą ze wszystkich figur, której patos ma stanowić właściwy tragedyi przedmiot: doznajemy niemiłego uczucia, żeśmy się tego domyślili tak późno i że wrażenia nasze, otrzymane aż dotąd, trzeba, że tak powiem, przestawiać na inne miejsce...

Ale co ze wszystkiego najgorsze, to że i ten drugi, ten nowy punkt widzenia nie długo zaspokaja! Przebiegłszy tragedyą całą, myślący czytelnik żadną miarą zgodzić się na to nie może, żeby wszystkie włókna tej osnowy zbiegać się miały w ręku starego męża Amelii.

Są charaktery w tym dramacie, są motywa w całem jego rozprowadzeniu, w które wniknąć z tego punktu widzenia wcaleby było niepodobieństwem. Zatem nie pozostaje, jak chyba powiedzieć sobie, że jedno z dwojga: albo dramat ten zupełnie autorowi się nie udał, albo ktoś inny chyba musi być w nim charakterem centralnym... Jeśliby o to tylko chodziło, kto w Mazepie ma najczynniejszą rolę, kto najjaśniej wybucha namiętnościami, kto najwięcej ze wszystkich huczy i drugich tyranizuje, wreszcie czyja rola dla aktora jest najwdzięczniejszą do odegrania i t. d. to nie przeczę, że na te wszystkie zapytania odpowiedziećby tylko można: Wojewoda! Pokazuje się wszelako właśnie z obecnej sztuki, że na definicyą tego, co to jest być bohaterem utworu scenicznego, nie wystarczają te zewnętrzne kryterya. Najczęściej one wprawdzie spotykają się z przyjętą rzeczy tej definicyą; prawdziwa wszelako istota takowej na czem innem polega. Bohaterem dramatu jest ta jedynie figura, która idealnie zajmuje sam jego środek: tak, iż wszystko, co tylko do treści dzieła należy, okazuje się być promieniem wynikającym z tejże roli centralnej. Rola Wojewody żadną miarą nie ma tego stosunku ani do innych figur, ani do całości sztuki. Ze stanowiska, wytkniętego przypuszczeniem, jakoby Wojewody namiętność była tu głównym tematem,

na podobieństwo Szekspirowego Otella, tylko z tą od niego różnicą, iż tu ta monstrualna zazdrość rozwija się na tle domowego obyczaju polskiego — z tego, mówię, stanowiska niepodobną jest rzeczą wcale rozbierać Słowackiego „Mazepy".

W Szekspira sztuce wszystko się na to składa, ażeby Otella krok za krokiem wprowadzić w ten szał tragiczny, który całe jego szczęście niweczy i przywodzi go do tego, że żonę, niewinną i którą tak serdecznie kocha, morduje. Okoliczności nadzwyczajne, mające miejsce przy zaślubieniu Desdomony — przekleństwo ze strony jej ojca — niemniej rodowe, a raczej rasowe pochodzenie Otella, jego osobista przeszłość, szpetność jego powierzchowności, nareszcie przewrotna niegodziwość Jaga, który się uwziął na to, ażeby małżonków poważnić: wszystko to zbiega się w jednym punkcie, żeby wzbudzić w Otellu tę kolosalną namiętność, pod której władzą go oglądamy w drugiej połowie utworu.

W dziele Słowackiego nic się zgoła na to nie składa, żeby obudzić w głowie Wojewody podejrzenie i nienawiść przeciw Amelii. Ani jej przeszłość, ani teraźniejsze jej zachowanie, ani nawet skryte skłonności nie dają do tego wcale powodu. Niema podżegacza, któryby sztucznie obudzał podejrzliwość w jej mężu. Całem źródłem zazdrości w Wojewodzie jest jego własna zapalczywość, jego zaślepienie, upór, duma i trochę fatalizmu w biegu samym przypadkowych okoliczności. Te momenta żadną miarą nie wystarczają na to, żeby z tego charakteru utworzyć figurę, którejby cierpienia i postępki były dostatecznym materyałem do utworzenia tragedyi...

Okazuje się tedy, że można przeczytać z natężoną uwagą całą tę sztukę Słowackiego, można ją widzieć kilka razy odegraną na scenie, i być w prawdziwym kłopocie, co odpowiedzieć na to, jeżeliby kto zapytał: o czyją namiętność w niej głównie chodzi i kto w niej jest pryncypalną postacią? Był rzeczywiście już nawet spór o to, w lwowskich pismach czasowych, po odegraniu tam po raz pierwszy „Mazepy". W jednym dzienniku dano wzmiankę o reprezentacyi, rozwiniętą z założenia, że główną rzeczą jest w tym dramacie rola Amelii. Drugi dziennik wystąpił przeciwko temu twierdzeniu, dowodząc, że nie Amelia, lecz Wojewoda ma w „Mazepie" pierwszorzędne znaczenie. Nie byłoby dziwu, gdyby się odezwał głos trzeci, forytujący znowu na protagonistę tej sztuki szlachetnego, pełnego najwznioślejszych instynktów, a tak nieszczęśliwie kończącego w niej swój zawód Zbigniewa... Sam ten fakt, że mógł być spór taki względem tego pytania, upoważnia do wniosku, że założenie autora w „Mazepie" przeprowadzone być musi w sposób jakiś nieodpowiedni celowi. Nieodpowiedniość ta, o ile się nazwać daje chwiejnością jakąś w prowadzeniu wątku dramatycznego, mogła być tedy, jak się to już rzekło powyżej, skutkiem samego sposobu pracy autora nad tym utworem.

Jest jednak i druga jeszcze przyczyna, dla której Mazepa pod wskazanym wyżej względem nie czyni zadość koniecznym wymaganiom krytyki. Za przyczynę tę poczytuję brak znamion rzeczywiście tragicznych w roli, która w tragedyi naszej stanowić miała właśnie

sam środek jeśli nie działania, to przynajmniej cierpienia tragicznego. Taką jest rola Amelii, o czem ażeby się przekonać, chciejmy choć jednym rzutem oka spojrzeć na całą rzecz sztuki naszej z punktu widzenia poety i w jego duchu.

Słowacki miał wprawdzie całe współczucie dla cierpień, dla boleści, dla łez, dla pragnień serca ludzkiego; kochał istotę człowieczeństwa, ale... kochał ją i pojmował tylko w szczególnych, upatrzonych i wyidealizowanych jednostkach. Dla ogółu, dla „tłumu“ poeta nasz nie miał serca. Wielką liczbę odsuwał od siebie ze wzgardą. Połowa jego poezyi jestto nieustanna walka z człowiekiem, jakim tenże jest w masie w rzeczywistości, w obowiązujących społecznych formach, słowem w tej rzeszy tysiąco-głowej, która najszlachetniejsze indywidua pochłania, zamieniając im życie na jeden szereg nieprzerwanych goryczy, przykrości, rozczarowań, a w danym razie i udręczeń.

Zamierzył sobie i w obecnej sztuce wystawić dolę ziemską biednej takiej jednostki, osobistymi przymiotami upoważnionej do lepszego losu, niż jaki ją spotyka w jej otoczeniu. Tą jednostką, tą jedyną postacią w całym dramacie, z którą autor bezwarunkowo sympatyzuje, jest Amelia.

Przypadkową i obojętną zupełnie to jest rzeczą, że ją umieścił na tle stosunków naszych XVII stulecia, za panowania Jana Kazimierza. Cały akt pierwszy „Mazepy“, w wielu względach przeznaczonym wprawdzie zdaje się na to, żeby nam przewrotność wiekowi temu właściwą w różnych napomknieniach naznaczyć. O wiek siedmnasty jednakże i o jego w narodzie naszym zdrożności bynajmniej tu nie chodziło. Jakiekolwiek czasy byłby autor rzucił za tło utworowi swojemu, w każdym razie byłby on w nich ze stanowiska swego odsłonił złe, przemagające nad dobrem. Pessymistą był nasz poeta. Że tu z przypadkowych przyczyn miał należeć do działających osób Mazepa, którego przygody w pierwszej redakcyi sztuki zapewne traktowane były dosadniej: stało się mimowolnie, że owa właśnie epoka posłużyła obrazowi za ramy, przez co ten obraz otrzymał pozory historycznej tragedyi. Rzeczywiście niema tu zgoła historycznych żywiołów i z tego punktu nie można autorowi czynić żadnych zarzutów.

Biorąc rzecz w tym duchu, jak jest dana, przypatrzmy się z bliska bohaterce dramatu. Widzimy ją od pierwszej chwili postawioną w położeniu bardzo trudnem. Jest żoną człowieka, do którego nie zbliża jej ani wiek, ani serce. Całe usposobienie Amelii tkliwe i potulne, a ile wnosić, nawet i stosunki towarzyskie dawniejsze, nie rymują z jej położeniem w tym domu. Wojewoda — to magnat, starzec, człowiek popędów impetycznych i samowładnych, dumy twardej i samolubnej. Popędliwość jego zdolna jest wystawić na szwank życie nawet najdroższych osób[2]). Zaślepienie jego nie ma

[2]) Powiada mu Zbigniew w akcie III: „Ojcze. o! będzie ze mną tak, jak z moim bratem, którego ty zabiłeś przed laty niechcący“.

granic, jeżeli raz weźmie zapęd w pewnym kierunku. Nie jest on wprawdzie wyzuty z uczuć ludzkich, które na spodzie serca ukryte, lepsze są, niźli jego postępowanie; ale się wstydzi okazać, że je ma!

„Ba! pańskiemu czołu
Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie.
Ja go znam. On się prędzej pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu (tego co uczynił).
To panisko dumne!
Ja go znam. Taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę;
Ja go znam — to dotkliwy jest pan na honorze.

Tak go opisuje stary sługa, który nie na to te słowa mówi, żeby Wojewodę oskarżać, ale raczej, żeby go uniewinnić; dobiera więc słów ile możności eufemistycznych na określenie tej szorstkiej i samolubnej natury.

A Amelia? — posłuchajmy, co o niej trzepie stara kasztelanowa, kiedy ją widzi raz pierwszy:

„Cóż to jest za dzieweczka? ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma — na głowie bez żadnego fiocha —
Zbigniew. To mościa dobrodziejko, jest moja macocha.
Kasztelanowa. Ta młodziutka? to jeszcze dziecko! — A proszę cię,
Bądźże mi przyjaciółką, moje piękne dziecię;
Uważaj mię jak swoją. — Cóż? jaka ty ładna!
A to, panie Zbigniewie, cud! z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. — Nie płoń się, starej wolno mówić“...

Takto więc dobrane jest ono stadło. Kto je złączył? — Bogu chyba wiadomo! Poeta o tem nie mówi. Łatwo odgadnąć, że wzajemna skłonność nie była tu dziewosłębem. Groźny rozkaz rodziców, albo krewnych, lub opiekuna — to była najpewniej cała przyczyna, dla której znalazła się biedna sierota w objęciach możnego pana. Po takim ślubie, jakie być może pożycie? Amelia wprawdzie ani słowem nie skarży się na swą dolę, gdyż ją poczciwie, uległe, cierpliwie znosi. Ale podobno bynajmniej nie rozmija się stara Robroncka z istotną prawdą, kiedy powiada, już w chwili pierwszego poznajomienia się z młodą wojewodziną:

„Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce!
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca“.

Owóż w takichto stosunkach postawioną kobietę wprowadza Słowacki w zawikłania, które jako wyjątkowe, nieprzewidziane i nie od jej woli zawisłe, trudność jej położenia zamieniają w zawód pełen okropności i męki. Widzimy w Amelii przedmiot pokuszeń i ubliżeń, posądzeń i oskarżeń, nakoniec ofiarę brutalnej bezlitości — i to ze strony osób, których rzeczą było właśnie bronić czci i pokoju takiej istoty — jeżeli już nie na mocy praw i wynikających z nich obowiązków w sferze rodziny, to z mocy najwyższej politycznej władzy nad społeczeństwem. Król wystawiony tu w całej szkaradzie

cynizmu; dworzanin jego, lekkomyślny, niesumienny, zepsuty światem, choć nie bez szlachetnych usposobień, które niekiedy dają się z ust jego słyszeć; pasierb waryat, rozmiłowany i niby idealny, gotów życie dla Amelii poświęcić i nawet poświęcający je w końcu, ale bez najmniejszego pożytku, gdyż miłość jego jest występną, a z takich źródeł wynikają same tylko zgubne następstwa, choćby były zamierzone w najlepszej myśli... nareszcie sam Wojewoda, w zaślepieniu dochodzący zadanej sobie obrazy — nie tam, skąd ta obraza wyszła, ale na osobie najboleśniej właśnie oną obrazą dotkniętej: — oto najgłówniejsze typy w dramacie, których działanie samowiednie i bezwiednie składa się na to, żeby intrygę rozpoczętą tak zagmatwać, tak splątać, tak zawikłać w jeden kłąb nierozdzierzgnionych nieporozumień, iż życie na takim świecie staje się dla tej bezbronnej, niewinnie potępionej kobiety prawdziwem niepodobieństwem i zmusza ją do przecięcia tego pasma zawikłań — samobójstwem.

Otóż nastręcza się pytanie, czy natura z takich stworzona żywiołów, czy rola w taki przeprowadzona sposób, nadawała się na charakter, zajmujący to główne miejsce w dramacie, jakie zapełnia nasza heroina w „Mazepie“?

Nie tylebym tu jeszcze był skłonny kłaść przycisk na tem, że rola Amelii, jako przeważnie bierna, nie zdaje się być w należytym stopniu dramatyczną wogóle. Przyznaję wprawdzie, że utarte nasze o poezyi pojęcia, czy takowe są wysnute z teoryi sztuki, czy w praktyczny pozyskane sposób z rozpatrywań najcelniejszych arcydzieł, żądają tego koniecznie, ażeby z rąk bohatera dramatu wychodziła rzeczywista inicyatywa całego przebiegu sprawy, która się toczy. Pierwszorzędne role bywają i powinny być nietylko najsympatyczniejsze dla widzów, ale i najwięcej czynne. Na tem polega głównie cała ich waga, jako dramatycznych czynników. Od tej reguły jednakże w sferze poetyckiej praktyki zdarzają się przecież czasem wyjątki. Król Lir Szekspira naprzykład przeprowadzony jest przez całą dalszą sztukę jako zupełnie biernie tylko zachowująca się osobistość. Z wyjątkiem pierwszej sceny, gdzie Lir dzieli królestwo swoje między dwie córki najstarsze, a trzecią niesprawiedliwie wydziedzicza i od serca swego odtrąca, cały dalszy przebieg tragedyi jest to już ciąg nieprzerwany samych ciosów, niewdzięczności i prześladowań, które na starca tego spadają. Mimo tak przeważnej zawisłości bohatera tragedyi zaliczają przecież wszyscy rzeczony utwór największego z dramatycznych wieszczów europejskich do jego najgenialniejszych robót.

Na mocy tak wymownego przykładu ze strony dawniejszej dramaturgii byłoby tedy to uszło i naszemu poecie, że stworzył heroinę w tej sztuce w sposób, jak ją widzimy przeprowadzoną. Jego Amelia choć nierównie więcej znosi, aniżeli czyni, zajmuje przecież już przez to sam środek w rozbiegu akcyi, że działanie innych osób bez wyjątku do niej i tylko do niej się ściąga. W jej roli tedy mamy węzeł, łączący w jedno wszystkie szczegóły. A brak dramatycznej czynności może tu być tłómaczony uwagą, że przecież to postać

niewieścia. Natomiast upatruję stanowczo uchybienie poety co do charakteru Amelii w innej okoliczności. Bohaterka Słowackiego niczem się sama nie przyczynia do tego, że z jednej strony przewrotność i namiętność otaczających ją osób, z drugiej sam nawet zbieg przypadkowych okoliczności przeciwko niej się obraca. Amelia nie wyzwała rzeczywistości do walki; nie zaczepiła jej wcale! Bez zaciągnienia samochcąc winy, żadna rola nie sprawia prawdziwie tragicznego wrażenia. Kara i cierpienia mogą być nierównie sroższe niż przewinienie; owszem im nierówniejszy jest ten stosunek, tem więcej na tem zyskuje odnośna osobistość tragiczna. Ale jakiś powód do tego wszystkiego, co jej znosić przychodzi, koniecznie musi być przez nią dany. Cierpienia i gorzkie rozczarowania Lira nie byłyby miały miejsca, gdyby nie własna jego wola, z niesprawiedliwością i ślepotą i uporem wyzywającym, w czyn zamieniona na samym wstępie tragedyi. Wszystko, czego tenże potem od dzieci swoich doznaje, są to tylko następstwa jego własnego czynu. Dał do nich powód, wywołał je: chociaż dopiero nieprawość drugich jest źródłem, z którego wszystko z jaskrawością wynika.

Podobnego przyczynienia się do cierpień, jakie w naszym dramacie znosić przychodzi Amelii, żadną miarą dopatrzyć się nie można w całem jej postępowaniu. Rola jej tak jest przeprowadzona, że jej n'gdzie nic zarzucić nie można. Są wprawdzie w pierwszych scenach aktu piewszego, są i w dalszym toku sztuki takie miejsca, które, jeżeli się po raz pierwszy ten dramat czyta, zdają się na razie być zdolnymi wykładu źle uprzedzającego o tej osobie[3]). Wykład takowy prostuje się jednakże na jej stanowczą korzyść w dalszym toku działania. Nawet w stosunku Amelii do Zbigniewa nie można nic takiego upatrzyć, coby ją oskarżało. On nią zajęty od pierwszej chwili; to prawda. Ona jednakże ani podziela tych uczuć, ani się nawet nie domyśla, że jest kochaną. Stąd też ta naiwna swoboda, z jaką się z pasierbem swym obchodzi (np. na końcu aktu drugiego, w owej scenie z lilią). Dopiero w akcie trzecim, kiedy słyszy od Zbigniewa, że odjeżdża i to na zawsze, kiedy go widzi przed sobą walącego się bezwładnie na kolana, i na pożegnanie żądającego błogosławieństwa na całą wieczność; wtedy dopiero otwierają się przed oczyma Amelii widoki, równie jej dotąd nieznane, jak uczucia, które w niej samej teraz dopiero się rodzą. Po mistrzowsku przeprowadził Słowacki tę skalę psychicznych odkryć, tę rosnącą stopniowość usposobień, słowem tę genezę miłości zapalającej się w wolnem dotąd sercu jak prochy iskrą dotknięte niby z nienacka, raptownie, naglc, doraźnie, a jednak nie bez tych przejść pośrednich,

[3]) Mam tu na myśli np. owe słowa: „O Boże, król!“, które wymawia Amelia, słysząc wystrzał armatni, zwiastujący przybycie Jana Kazimierza. Podobnie wątpliwymi zdawać się mogą i wyrazy: „O Boże!... tak mi coś na sercu smutno“, z którymi się odzywa, kiedy Mazepa z natręctwem jej się narzuca. Nie są to jednak objawy niepewności siebie samej wobec tych ponętnych ułud i stąd trwogi o przyszłość, ale przeczucia możliwych nieprzyjemności, uzasadnione świadomością okoliczności.

niewidomych zwykłemu oku, bez których niema potężnych wzruszeń w naturze ludzkiej. Przychodzi więc w taki sposób jakoby do wyznania miłości.

W tej scenie jest perypetya roli Amelii, a razem z nią byłby tedy i pozór winy, którą niby popełnia, i za którą pokutuje następnie. Pozór rzeczony atoli złudnym się okazuje natychmiast. Bezpośrednio po wyrzeczeniu mimowolnem pierwszych słów zdradzajacych jej stan wewnętrzny, odzyskuje matka Zbigniewa świadomość obowiązku swojego, i silną wolą broni się przeciwko uczuciu, które ją znienacka już owładać poczęło, ale je nawet strząsa z siebie.

...„Jaka plama
Dla mojej czystej duszy, tak z waćpanem gadać!
Jak gdybym rozumiała! Nie chcę o nic badać.
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła. —
Nie bój się: my niewinni! Bóg cierpienia zsyła;
Ale można spokojność wyprosić u Boga!
Ja pana żegnam wiecznie...“ itd. itd.

Gdyby Amelia odkrytą miłość pasierba odrazu tym tonem była odsunęła od siebie, byłoby to wprawdzie może jeszcze chwalebniej, niż jak się stało. Czyby to jednak było z jej stanowiska takim aktem heroizmu jak się to komu wydaje? — to mi się widzi inne pytanie. Stoicyzm taki tegoby tylko dowodził, że Amelia nic nie czuła dla Zbigniewa; że go odprawiła... bo ją to nic nie kosztowało. Niema w tem wielkiego tryumfu, być tam zwycięzcą samego siebie, gdzie niema żadnej walki, gdzie nawet pokuszenia nie było. Lecz doznać całej potęgi ułudnego na bezdroża pociągu, a jednak ten pociąg stłumić szlachetnie i narazie: to chwała i zasługa prawdziwa.

Okazuje się zatem, że nawet w tych zawikłaniach z pasierbem nie podlega postępowanie Amelii żadnym zarzutom, z zwyczajnego moralnego stanowiska ją sądząc. Lecz właśnie ta jej wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada koniecznym żądaniom sztuki. Warunki tragiczności wymagały czego innego. Im doskonalszą wogólności jest Amelia kobietą, tem jest słabszą heroiną dramatu. Bo wśród wszystkich tych cierpień, które jej przychodzi znosić w dalszej osnowie tragedyi aż do ostatniej sceny, widzimy w niej tylko niewinną ofiarę, pokutującą za zdrożności, których nie było. A tragedyi celem nie jest bynajmniej wystawiać ofiary i męczenniki, lecz namiętności ludzkie, na tle których nawet wiekuiste idee przybierają kierunek doczesny i ku ziemi ciążący...

Nie tylko ze strony wymagań sztuki, ale i z etycznego punktu widzenia rzecz ta nie może być nazwaną inaczej, jak zbłądzeniem poety. Cierpienia ani niezasłużone, ani niewynagrodzone, to najwyższy fałsz w świecie ducha! W doczesnej rzeczywistości wypadków takich wprawdzie, niestety, aż nadto. Ale doczesna rzeczywistość, to tylko ustęp całości, której tak początek jak koniec idzie poza granicę widnokręgu śmiertelnych. Nie dziw tedy, że my jej nie rozumiemy. Poezya jest od-

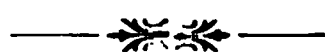
biciem nieskończoności. Poezya nie jest na to, żeby powtarzała ułomności nędznej naszej egzystencyi na ziemi.

Desdemona w sztuce Szekspira, w której także zazdrość męża stanowi główną przyczynę akcyi, ma na pozór wiele podobieństwa do naszej bohaterki. I ona kończy smutnie, a zupełnie niewinnie. Ale z jakąż to starannością baczny był na to ten niezrównany mistrz w swojej sztuce, ażeby usunąć od nieszczęśliwej żony Otella tę woń i aureolę idealnej doskonałości, która w dramacie również jest nie na miejscu, jak skończone i bezwarunkowe zbrodniarstwo.

Cały akt pierwszy Otella temu jest poświęcony, ażeby przeprowadzić przed oczyma widzów w roli Desdemony antecedencye, wobec których dalsza jej dola jest tylko logiczną wynikłością własnych jej... jeśli nie lekkomyślnych, to zawsze nierozmyślnych, jeśli nie płochych, to zawsze w każdym razie ekscentrycznych i na oślep popełnionych postępków. Mianowicie oddanie ręki takiemu człowiekowi jest tam nietylko aktem jej własnej woli, ale mu towarzyszy jeszcze jaskrawe nieposłuszeństwo przeciwko ojcu, z którego domu podstępnie i obłudnie ucieka. Rzuca się tedy na to burzliwe morze, które ją ma pochłonąć, samochcąc i przy niebłogosławieństwie rodzicielskiem. A Amelia w Słowackiego „Mazepie" i z tej strony jest bez zarzutu.

Ujmując pod jeden widok wszystko, com w powyższem o obecnej sztuce powiedzieć za potrzebne uważał, przyznaję jej więc z jednej strony niepospolite zalety sceniczności, dla których też dramat ten na zawsze pozostanie równie dla widzów, jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycyą w repertoryach; obok tego jednak zarzucam jej rażącą niejasność co do zamiaru, dla którego była pisaną. Wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastręczają, to jedno, w którem się ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora, przychodzimy do uznania, że przeciw niejednemu w tej dążności protestować koniecznie trzeba.

Rozmiar dzieła nie pozwala zastanawiać się nad pojedyńczymi ustępami „Mazepy", o których byłoby wiele do powiedzenia. Są w tej sztuce wielkie piękności, na które wartoby zwrócić uwagę. Są też i mniej szczęśliwe już to wiązania scen między sobą, już rzuty charakterów np. Jana Kazimierza, któreby koniecznie wytknięte być powinny. Lecz zbyteczna rozwlekłość nie byłaby tu na miejscu: poprzestaję tedy na rozpatrzeniu powyższem samych tylko ogólnych względów.



XII. Kazimierz Kaszewski.

Eschil (Ajschylos) i Sofokles. 1888.

Dwa są objawy udoskonalenia, jakie do teatru wprowadził Eschil. Pierwszy z nich był przeważnie natury technicznej. Dotąd (tj. do czasów Eschila), oprócz części chóralnej, w skład widowiska

wchodził monolog opowiadawczy, mieszczący osnowę jakiegoś mitu. Potrzebował zatem jednego tylko aktora, czyli deklamatora, który z opowiadaniem łączył akcyę, lecz akcyę jednostronną. Eschil wprowadza na scenę drugiego aktora, skąd, zamiast monologu, powstał dyalog, a za nim i akcya podwójna, stosownie do wieku, płci i charakteru osób, biorących udział. Nie skończyło się jednak na dyalogu. w znaczeniu rozmowy, gdzie jeden opowiada jakiś fakt i kreśli swoje wrażenia, a drugi słucha, współczuje lub daje repliki, jest tam i ten kształt, lecz nie na nim samym ogranicza się reforma. Naprzykład: Prometeusz, dajmy na to, nie opowiada odwiedzającym go Nimfom, że stoi tu przykuty do skały z rozkazu Zeusa, jakby to było w teatrze z czasów Tespisa[1]), przy panującej zasadzie monologu; ale akcya przykucia go odbywa się na scenie, w oczach widzów. Przybywa on na scenę pod strażą dwóch Jędz Zeusowych (Przemoc i Siła), a w towarzystwie kowala olimpijskiego, Hefesta, który napędzany przez jedną z Jędz i w ciągłej z nią rozprawie, dokonywa zleconego sobie zadania, rękę za ręką, nogę za nogą, nareszcie bok, przy potężnym huku narzędzi przybijając do sterczącej nad przepaściami opoki, z politowaniem nad męczennikiem i zgrozą, wyrzekając na swoje rzemiosło.

Inne też to wrażenie sprawia na słuchaczu i widzu. Przedtem niemal słuch, teraz wzrok równym staje się pośrednikiem wrażenia; dusza używa rozkoszy pełnością zmysłów; rozpoczyna się prawdziwy dramat. Niedosyć na tem. Dawniejsze widowisko składało się z kilku monologów, niezależnych od siebie osobami bohaterów, a zatem i treścią. Eschil przedmiotem widowiska czyni treść jedyną, ujednostajnioną w osobie bohatera, mającą jakieś zawiązanie, organicznie i psychicznie połączone z zakończeniem. Widowisko więc jego nie wyobraża, jak dawniej, luźnego epizodu, wyjętego z całości życia, ale jeden z najważniejszych moralnie jego momentów, niejako treść jego przedstawiających. Oto jest właściwe dzieło Eschila.

Jeśli powiadamy, że on dodał drugiego aktora, nie znaczy to, ażeby w całej sztuce brały udział tylko dwie osoby.

Przeciwnie: poszło samo z siebie, że jeśli do głównego bohatera przystepuje ktoś w pewnym interesie osnowy, to czemużby nie miał przystąpić ktoś inny jeszcze, drugi, trzeci i piąty, byle jedność rozmowy nic na tem nie traciła. Jakoż w tym samym Prometeuszu wchodzi (nie licząc chóru) osób sześć, razem z bohaterem głównym, a każda zaznacza się nader charakterystycznie. Tylko wyrażenie: drugi aktor oznacza, że w pojedyńczej scenie więcej nad dwie osoby udziału nie bierze. Lecz zważmy, przez taką kombinacyę ile widowisko zyskało potęgi, naprzód pod względem akcyi, następnie pod względem urozmaicenia. Już odtąd nikt nie przedstawiał się po za sobą, przez pośrednictwo cudzych ust, zdaleka, ale rozsnuwał się żywo, istotowo, bezpośrednio, tak, jak się niegdyś odbywał na świecie według tradycyi.

---

[1]) Tespis, twórca teatru greckiego, żył w połowie VI-go w. przed Chr.

Do tej wielkiej reformy technicznej przyłączył się zgoła subjektywny pierwiastek, jakim był olbrzymi talent indywidualny reformatora. Eschil w swoje postaci wprowadza, więcej niż to uczynił przed nim którykolwiek poeta, charakter indywidualny, a czyni to z biegłością nietylko potężnego malarza, ale i bystrego spostrzegacza. Obrazy jego wprawdzie są bardzo szkicowe, kreślone z grubsza, wielkiemi rzutami, ale jest w nich głębia i wyrazistość; materyał zaś duchowy, z którego czerpie ten poeta, zda się, wykrytym był przezeń w przyszłości i nie zużywa się też nigdy. Jeżeli przejrzymy choćby wspominanego tu Prometeusza, przekonamy się odrazu, jak tu wydatnie występują znamiona ustrojów moralnych i namiętności. W uosobionej tam Przemocy każdy pozna bezmyślnego, bezserdecznego oprawcę, który rozkaz władcy wykonywa ślepo i zimno, a srogo jak pies, którym pan poszczuje zwierzynę. Jakaż to różnica od Hefesta, który jako bóg, a przytem krewny męczennika, okazuje już pewną delikatność i niezawisłość uczuć, przez opieszałość i ubolewanie, z jakiem dopełnia rozkazu, drżąc wszelako przed gromowładnym panem. A cóż piękniejszego nad tę iście kobiecą rzewność i odwagę serca, jaką przez usta przodownicy objawiają współczujące niedoli i wielkości Prometeusza Okeanidy, które na pierwszy odgłos huku przybiegają go pocieszać i wbrew ostrzeżeniom o nadchodzącej grozie, która ma zwalić go ze szczytu Kaukazu na dno Piekieł, nie ustępują z miejsca, towarzysząc mu aż do końca. Ojciec ich Okeanos, to znowu stary dyplomata, który jużciż czuje się w obowiązku do kondolencyi dla krewnego, może nawet szczerze wynurza mu swe współczucie, ale czyni to roztropnie, oględnie, pojednawczo, wyrazy waży, ażeby na wszelki wypadek zasłonić się od odpowiedzialności przed Zeusem. A ów Hermes, kuryer wszechwładcy, jakaż to typowa postać służalca, który wsparty na potędze pana i dmąc w jego dudkę, z naigrawaniem się nad bezbronnym, z butą nikczemnika, pewny bezkarności, śmiele powtarza otrzymany rozkaz.

Cóż to wszystko dopiero w porównaniu z bohaterem głównym, silnym, nieugiętym, dumnym przedstawicielem wielkiej idei wybawienia, który wzajem urąga przemocy, drwi sobie z pogróżek i cierpień! I zważmy nadto, że ponad tą charakterystyką szczegółową przepływa ogólna charakterystyka, wskazująca, do jakiego stopnia poddane atmosferze despotyzmu charaktery maleją, tracą lub zgoła się podlą, bez tej siły odpornej, którą nadaje wielka zasada szczerze ukochana, jak u Prometeusza, lub wielka naiwność duszy, jak u Okeanid.

Jedną z waściwości dramatu Eschila jest to właśnie, że przedstawia on ideę i widoki przerażające. Tu Tytan buntuje się przeciw najwyższemu bogu i wywołuje ruiny ziemię wstrząsające u posad; tam wskutek dzikiej zawiści, dla uratowania idei ojczyzny, w bratobójczej walce mordują się wzajemnie dwaj bracia; ówdzie dla wymiaru odwiecznej sprawiedliwości, syn zabija matkę. Po takich to groźnych labiryntach przechadza się muza Eschila, gromadząc obrazy wspaniałe, ale ponure: na ustach jego bohaterów nigdy nie

postanie uśmiech, słychać tylko zgrzyt; w oczach pała nienawiść lub zemsta; ręka podnosi się do przekleństwa częściej niż do uścisku. To śpiewak wielkich niedoli, których przyczyna leży w przeznaczeniu. Bóstwa mściwe kołują nad człowiekiem i rękę uzbrajają mu do zbrodni, jak Agamemnonowi i Orestesowi.

W takiej atmosferze znajdował się dramat, kiedy do niego przystępował Sofokles. Roczniki nie wskazują nam pierwotnej daty jego występów, ale musiał on rozpocząć bardzo młodo i z pewnem powodzeniem, skoro w dwudziestym piątym roku już się opinie ludu ważą między nim a Eschilem, jak świadczy okoliczność, mająca za sobą powagę autentyczności. Podał on. w roku 468 przed Chr. do konkursu tragedyę, której, niestety, tytuł nawet zaginął, na równi z poprzednim mistrzem. a ogół już wtedy podzielił się na dwa stronnictwa: jedni byli za tym, drudzy byli za tamtym, tak, że przewodniczący teatrowi archont Afezyon wahał się, jakich wybrać sędziów.

Pod ten czas świeżo właśnie przybył do Aten sławny bohater, zdobywca wyspy Skyros, syn Miltyadesa, Kimon, i wraz z dziewięciu znakomitszymi wodzami zwycięskiej armii znajdował się w teatrze dla złożenia ofiar Bachowi. Archont, ażeby wyjść z kłopotu, uprosił tych bohaterów spółczesnej doby, ażeby uczestniczyli w przedstawieniach obu sztuk i przyjęli godność sędziów konkursowych. Oczywiście. że ogół nic nie miał przeciwko wyborowi tak dostojnych sędziów, którzy wreszcie jako wojacy, świeżo przybyli, nie należeli do żadnego stronnictwa.

Zgodzili się więc na propozycyę i po wysłuchaniu jednozgodnie wydali wyrok za Sofoklesem. Było to wyrażenie gustu publiczności dystyngowanej, nowy zwrot w upodobaniach, który zdecydował o losach tragedyi ateńskiej. Czem ona różniła się od poprzedniej? Nasamprzód Sofokles nie poprzestaje, jak jego poprzednik, na szkicach charakterów, lecz zrozumiawszy, iż charakter stanie się główną dźwignią poezyi dramatycznej, jej najcenniejszym żywiołem, usiłuje rozwijać go, szczegóły wykończać, czynić go barwnym, przejrzystym. Możnaby objaśnić to takiem porównaniem, że charaktery Eschila przedstawiają się jako posągi; Sofoklesowe nie tracąc nic z posągowej powagi, wkraczają w dziedzinę malarstwa; a jako obrazy przybierają tę rozmaitość odcieni i barw, która zrozumienie ich udostępnia ogółowi. Pod względem zasad moralnych Sofokles nie ustępuje swemu poprzednikowi, ani go też w niczem gruntownem nie zmienia. Nie puszcza się na kompozycye fantastyczne i dowolne, ale czerpie jak tamten z mitów i dziejów, biorąc nawet te same przedmioty. Szanuje on jądro mitu, ale przy rozwijaniu go w świecie ludzkim wkłada weń psychologię własną i własną urządza scenerye. Przeznaczeniu przyznaje potęgę wielką, pierwszorzędną, ale ludziom, zostającym pod jego obuchem, nadaje wszelką swobodę do rozwinięcia woli, pojęć, namiętności, tak, że widzimy ich jako rycerzy, w zapasach z Przeznaczeniem, nie zaś, jako proste ofiary, załamujące i opuszczające ręce. Ustanawiając kolizyę dramatyczną dba wielce o to, ażeby się ona rozwiązała logicznie, sama przez się

wywinęła jak kwiat z nasienia, w porządku tych samych pierwiastków i środków, które ją zawiązały i w pozostałych po nim utworach wszędzie, zwłaszcza też w „Antygonie“ widzimy ten rozwój z nieposzlakowaną dokonany prawdą; w jednym tylko „Filoktecie“ kollizya pomiędzy dwoma bohaterami rozwiązuje się poniekąd z pomocą siły obcej zawiązaniu, z pomocą tak zwanego *deus ex machina*, nieprzewidzianego wypadku.

Wszystko to, co czynił Sofokles, u Eschila znajduje się w zawiązku. On to powołał do życia charaktery, nawet imponujące; on urządził na scenie seryę wypadków związanych z dolą bohatera głównego; on tę dolę doprowadza do jakiejś chwili stanowczej. Lecz zajęty poetyzowaniem wielkich myśli, nieporównanie dzielniejszy liryk od Sofoklesa, nadzwyczaj szczupły daje zakres wypadkom.

U niego po większej części całe widowisko zajmuje tylko jedna sytuacya, której szczegóły rozbierają się już to w dyalogu, już to w chórach. W „Siedmu pod Tebami“ naprzykład bohater główny, Eteokles, ukazuje się raz tylko, ażeby zgromadzonym kobietom powiedzieć, jak i z czyją pomocą walczyć będzie w obronie grodu i brata rodzonego wyzwie na rękę, jako zdrajcę ojczyzny; potem już znika, a resztę widowiska wypełniają uwagi i żale, nad wypadkami, które ściągnęły tę katastrofę, i aż w samym końcu znowu dźwiga się nieco idea dramatyczna z powodu pogrzebu dwóch braci. Czasami też z interesem bohatera głównego łączy interes innej osoby, zgoła obcej, jak w „Prometeuszu“ nieszczęsne wypadki nimfy Iony. Sofokles przeciwnie, bierze sobie za zadanie wypadki mnożyć, stosunkować, stopniować powoli, tak, ażeby one służyły do wyświetlenia charakteru bohatera i były zarazem piętrami, wznoszącemi budowę dramatyczną, w której mieszka idea panująca. Z tego wynika, że u Sofoklesa treść sztuki, jej tkanka artystyczna, czyli to co nazywamy fabułą, rozprzestrzenia się na szerokiem tle, które wygląda jak wspaniały parter ogrodowy, pełen kwietników różnobarwnie i harmonijnie z sobą skombinowanych; kiedy u Eschila osnowa zwykle jest szczupłą, ubogą w szczegóły, a tło wygląda jakoby krajobraz malowniczy, lecz dziki, urwisko pełne grozy i mrocznej poezyi, zbyt jednostajne, na którem tylko dusza pozostawiła swe ślady. Ze względu na tę zasobność treści, któraby i na epos starczyć mogła, oraz na to ożywianie tła, Sofokles bliższym jest metodzie dramatu dzisiejszego: więcej w nim życia, urozmaicenia, harmonii scenicznej, nadewszystko więcej bodźców zaciekawiających imaginacyę, co go też zapewne, pomiędzy innemi, uczyniło popularniejszym u widzów.

Sofokles utrzymał ściśle cały aparat sceniczny, jaki zastał u swego poprzednika, ale jakżeż góruje nad nim harmonią szczegółów tego aparatu! Kiedy u Eschila chór największą zabiera część widowiska, a jak w „Błagalnicach“, główną odgrywa rolę, zajmuje niejako stanowisko bohatera głównego, tak, że tym sposobem mało, bo ledwie trzecią część widowiska zostawia na dyalog i akcyę, u Sofoklesa, naodwrót akcya stoi na czele, przez co oczywiście bohate-

rowie mają więcej ruchu, dyalog potrzebuje szerzej się rozpostrzeć, a chór odzywa się w przerwach, prawie nie tamując akcyi.

Reforma ta zaprowadziła, rzeczywiście, harmonię niezmiernie dla dramatu korzystną. Sofokles nigdy się tego nie dopuścił, ażeby bohatera swego zupełnie na scenie unieruchomić, tak jak to uczynił Eschil z Prometeuszem; nigdyby nie wprowadził tak nieskończenie długiego opowiadania przeszłych i przyszłych wypadków Iony. Wogóle budowa Eschilowego dramatu, pod względem technicznym, przedstawia chaos i słabość, u Sofoklesa, w niektórych zwłaszcza, jest wzorem harmonii i siły.

Utwór tamtego, pomimo silnie wydatniejących motywów psychicznych wysokiego znaczenia, co do formy, jest jeszcze raczej rozszerzonym, wspaniałym dytyrambem; utwór Sofoklesa jest już tak co do ducha jako i formy dramatem skończonym. Dodanie trzeciego aktora, na które się odważył, było także nowym przyczynkiem do ożywienia i urozmaicenia akcyi, lubo poeta mało jeszcze sam z tego przyczynku korzysta. Tak więc Sofokles wszedł na drogę, utorowaną przez Eschila, ale ją znacznie rozszerzył i nowe na niej poodkrywał widoki, przestronniejszy prospekt pozostawiając innym. Mniej potężny w kierunku twórczym, mniej zadziwiający kolosalnymi pomysłami od poprzednika, mniej od niego zwłaszcza namiętny w wyrażaniu uczuć i wrażeń, czy to w chórach, czy w dyalogu, mniej też jest od niego ponurym. Jeżeli tamten, obok majestatu prawdy, imponuje grozą, przeszywa obrazami okropności; ten porywa wdziękiem, harmonią, wykwintem poetycznego słowa.

Dzisiaj zmieniła się metoda twórczości, jak i cały duch czasu. A jak nie możemy porównywać kawałkami szczegółów architektury gotyckiej lub bizantyjskiej z koryncką, tylko rozważać je powinniśmy w całości i to z właściwego punktu — tak samo i stosunku naszej dramaturgii dzisiejszej do klasycznej nie możemy oceniać inaczej tylko przez porównanie całości i umiejętne wyszukanie harmonii pomiędzy treścią i formą. Sztuka nowożytna, dzięki zwłaszcza religii, mającej za ideał Boga nieskończonego i obejmującej wszechświat, lubi ogromy, rozmaitość, nawet chaos, a estetyczne jej prawidło polega między innemi i na tem, ażeby pomimo tych ogromów i rozmaitości zaprowadzić odpowiedniość, jedność. W tumie gotyckim na wielkich przestrzeniach mieści się wszystko, od wieżyc, których ostrza giną prawie w wyżynach powietrznych, od potężnych bloków aż do filigranów. Dążność ta przenosi się do poezyi, której wzór dała „Komedya Boska“ Dantego, autora zarazem dzieła „La vita nuova“. W takiej to dążności sztuka dzisiejsza, zakres swój rozciągając do wszechpojęć i wszechludzkości, wpada na tor szerokich rozprowadzeń, cieniowań, gromadzenia szczegółów, na czem zyskuje pełność obrazu. Stąd to w dramatach, za przykładem znowu Szekspira, wynika ten szeroki koloryt psychiczny, to wyczerpywanie myśli, ta mnogość kombinacyi scenicznych, połączona z wielostronnym obrazem stosunków moralnych, który charaktery przedstawia w tak zdumiewającem wykończeniu.

Sztuka klasyczna tego wszystkiego nie posiada i posiadać nie może, jako powstała w innych warunkach i z innego wyrosła gruntu. Wytworzyła ją religia pojmująca nie jednego Boga bez początku i końca, ale mnóstwo bóstw i bóstewek większych, mniejszych i malutkich; wytworzyła ją społeczność, która nie zna ludzkości i ogranicza się plemieniem, nie zna nawet narodowości, ale drobne gminy, niezależne od siebie, miewające tylko wspólne schadzki, czasami wspólne interesa. Ona też i sztuce swej zakreśliła odpowiednio drobne rozmiary. Jej świątynia — objaw regulujący wszystkie inne — przeciwną jest ogromom; to nie kościół, w którym przebywa Duch Boży, nieskończony; to tylko schronienie dla posągu bożyszcza, schronienie dostojne, bo dostojną jest idea, ale pojęcie wyobraża szczupłe (bóg wody, bóg ognia, i t. p.). Ograniczenie, tak konsekwentne z ustrojem społecznym i jemu odpowiednie, daje się spostrzegać we wszystkich objawach sztuki, czy to będzie świątynia czy posąg, epos czy dramat.

Wszędzie tam znajdujemy jeden tylko motyw, pilnie strzeżony przed tem, by mu inny nie wszedł w drogę; stąd to pochodzi owa treściwość, prostota i czystość, trzy przymioty charakterystyczne sztuki klasycznej, stanowiące jej doskonałość. Łatwo stąd wywnioskować, że do tak ograniczonego zakresu stosować się musi i ilość szczegółów i sposób ich wykończenia. Sztuka grecka, mianowicie za swych najlepszych czasów, chętnie posiłkuje się matematyką i to nietylko przy budowie filarów, dla zastosowania grubości do długości, różnicując kolumnę dorycką od jońskiej i korynckiej; ze względu zaś na swą zasadniczą prostotę i szczupłą przestrzeń, jest wstrzemięźliwa w akcesoryach i ozdobach: wszystkiego tam musi być w miarę tak co do liczby jako i rozległości, i to się zowie harmonią pomiędzy treścią i formą, z której tak słynie wytworny attycyzm[2]) z wieku Peryklesa.

Tę samą zasadę wprowadziła ona i do dramatu. Jak świątynia grecka, jest on prostym i szczupłym. Wystarcza mu jeden motyw, najprostszy nawet, a rozrobienie tego motywu, odjąwszy część czysto liryczną, nie wymaga więcej nad tysiąc wierszy. Stąd też unika on najstaranniej wszelkich scen epizodycznych, z głównym motywem nie mających bezpośredniego związku; stąd charaktery jego nie wyczerpują się w całej naturze, ale tylko w rysach głównych, i w tem mianowicie, co się w nich do motywu dramatycznego odnosi.

Sądząc więc według ducha i modły nowoczesnej, moglibyśmy wszystkim tragedyom greckim zarzucić już to nieraz zbyt prosty motyw, już też ubogie rozwinięcie szczegółów, albo i na tej pozornej zasadzie (jak to czasami się zdarza niedouczonym estetykom), nazwać sztukę grecką jakimś tylko pierwotniakiem, organizmem zaczątkowym, czekającym udoskonalenia swych form od czasu i doboru. Byłby to błąd. Sztuka ta, w epoce zwłaszcza Sofoklesa, która

[2]) to jest smak estetyczny wytworzony w Atenach, a górujący nad upodobaniami innych plemion greckich.

vcipu, bo niema go tu więcej niż w innych
kiem tego, że w tej parze kochanków jest
tości. A wdzięk, kiedy dochodzi wysokiego
Cóż to jest ten wdzięk w kobiecie, któ-
-e, a o którym wszyscy mówią, że znaczy
jest w duszy, w sercu, w wyobraźni tej
zebija przez jej słowa, ruchy, wyraz twa-
ıru, któremu poddać się musi, kto w niego
, ten wpływ, jaki wywierają czasem męż-
yzn? To nie wyższość rozumu, nie tylko
Fryderyk byłby tak samo ludzi podbijał
n — ale jakiś pociąg magnetyczny, jakiś
nię, właściwy tylko ludziom, którzy na-
k ten mężczyzn jak i wdzięk wielu kobiet
bezpiecznym, na złe użytym; wszystko to
tam musi być jakiś promień poezyi w oso-

obraźni jest podobnie. Jeżeli one nie ba-
odobają tak, że chciałoby się je lubić, że
jak do żywych ludzi, że każde ich uczu-
podobnem w naszem własnem sercu, że
iło, a kiedy im smutno, to myśmy płakać
odna, w tych kreacyach jest poezya.
jest takich bardzo mało; zwłaszcza mało
ury, o które właśnie chodzi i które z na-
czucia i położenia powinny być najbardziej
najczęściej blade, sztywne, mdłe, kon-
jest w komedyi, z wyjątkiem naturalnie
usseta, para kochanków tak ładna jak
Moliera, ani u Beaumarchais'go. Figaro
więcej dowcipu niż Gustaw i Aniela, ale
tylko tak zajmowali i tak się podobali,
całą swoją wartość i cały swój wdzięk,
stąd właśnie że nie są parą zakochanych.
poczciwa, ... liwa, którąby bez prze-
sto do ... zdołała sobą ... zająć,
to ... dyach tra... nie
ch ... nieli, tak... nych
wogól... w literatu... ele-
cia ... czyna ...
to ... ogu ...
ach w ... który ...
i nie...
też poety...
drugą ta...
u w codzi...
tylko wyso...
że w naszej ...

i jednej z dziewięciu Muz, biednej Talii, każą stać za drzwiami, jako niegodnej. Czy to słusznie? czy nie byłoby lepiej wyrzucić z grona Muz uczoną Uranię naprzykład z cyrklami, globusami i teleskopami? Bo Talia, prawda, czasem się zapomina, czasem lubi złe towarzystwo, poniewiera się po małych teatrzykach, miewa takie dziwne pomysły, że niktby się w niej nie domyślił Muzy i bogini. Przecież czasem, jak młody Wenecyanin wykradnie piękną żydówkę i w noc księżycową rozmawia z nią o muzyce, Talia miewa natchnienia, którychby jej pozazdrościć mogła nawet wzniosła Polihymnia. Ale to Szekspir; to komedya także, choć trochę przynajmniej czarodziejska. Ale w tej prawdziwie społecznej i potocznej? kto wie, czasem. Cóż może być prozaiczniejszego na świecie, jak Bawarczyk i monachijski bursz, a przecież jest pewien Fantasio; dependent od notaryusza także nie bywa zwykle otoczony poetyczną aureolą, a jednak jest pewien Fortunio... Ale to także inna kategorya, to Musset,[2]) to kapryśna fantazya, która tylko rzeczywistość udaje, to poezya przebrana za komedyę. A chodzi o prawdziwą; gdzie w komedyi prawdziwej od Arystofanesa[3]) do Sheridana[4]) i od Moliera do Sardou,[5]) gdzie jest poezya?

Gdzie? Tam, gdzie bez lirycznych dygresyj, bez pretensyi i bez zamiaru może stworzenia czegoś poetycznego, bez sytuacyi bardzo zajmujących, owszem w najprostszych i najpotoczniejszych, autor umiał figurom swoim nadać tyle wdzięku, że one są nietylko żywe i zabawne, jak często w komedyach, ale i ładne; gdzie młody chłopiec w swojem trzpiotostwie jest taki miły, taki figlarny, taki wesół i dowcipny, że wszystkie kobiety za nim przepadają, wszyscy chłopcy mu zazdroszczą, a w swojem uczuciu taki porywający, taki śmiały i taki pewny, że kiedy o niem mówi, robi się miękko na sercu; i znowu chłopcy zazdroszczą, a zazdroszczą i panie i panny tej, która takie oświadczenie słyszała: gdzie młoda dziewczyna „czysta jak śnieżek, co świeżo popruszy“, świeża jak kwiatek, prosta jak dziecko, ciekawa jak Ewa tego uczucia, które „po raz pierwszy westchnąć ją przymusi“, przyjmuje je z takim szlachetnym i niemylnym instynktem kobiecej godności: gdzie w jakimś wiejskim dworze pod Lublinem, między balem „pod złotą Papugą“, płaczliwemi burami starego wujaszka, i poważnymi morałami matki, przędzie się romans zwyczajny i prosty, ale ładny jak najładniejsza idylla, — w „Ślubach Panieńskich“.

I to cały sekret. Pytamy się nieraz, dziwimy się, dlaczego one podobają się tak bardzo, dlaczego sto razy widziane, za setnym nie tracą nic na uroku. To nie skutkiem akcyi bardzo bogatej i efektownej, jak w „Weselu Figara“,[6]) nie skutkiem charakterów bardzo potężnych i głębokich, jak w „Tartuffie“ lub „Mizantropie“;[7]) nie

[2]) Alfred de Musset, znakomity poeta francuski (1810 † 1857). [3]) najznakomitszy komedyopisarz grecki z V-go wieku przed Chr. [4]) Ryszard Sheridan (czytaj Szeridan), utalentowany komedyo-pisarz angielski, ur. 1751, zm. 1816. [5]) Wiktoryn Sardou, żyjący komedyopisarz francuski, ur. w r. 1831. [6]) Utwór Beaumarchais'go (1732 † 1799). [7]) Komedye Moliera (1622 † 1673).

skutkiem błyszczącego dowcipu, bo niema go tu więcej niż w innych sztukach Fredry: ale skutkiem tego, że w tej parze kochanków jest wdzięk nieśmiertelnej młodości. A wdzięk, kiedy dochodzi wysokiego stopnia, staje się poezyą. Cóż to jest ten wdzięk w kobiecie, którego nikt określić nie umie, a o którym wszyscy mówią, że znaczy więcej niż piękność? To jest w duszy, w sercu, w wyobraźni tej kobiety poezya, która przebija przez jej słowa, ruchy, wyraz twarzy, i otacza ją kręgiem czaru, któremu poddać się musi, kto w niego wstąpił. Co jest ta władza, ten wpływ, jaki wywierają czasem mężczyzni na drugich mężczyzn? To nie wyższość rozumu, nie tylko siła woli; w takim razie Fryderyk byłby tak samo ludzi podbijał i fanatyzował jak Napoleon — ale jakiś pociąg magnetyczny, jakiś dar działania na wyobraźnię, właściwy tylko ludziom, którzy naprawdę poetyczni są. Urok ten mężczyzn jak i wdzięk wielu kobiet może być szkodliwym, niebezpiecznym, na złe użytym; wszystko to prawda, ale gdzie on jest, tam musi być jakiś promień poezyi w osobistości, która go wywiera.

Otóż z kreacyami wyobraźni jest podobnie. Jeżeli one nie bawią lub śmieszą, ale się podobają tak, że chciałoby się je lubić, że się do nich czuje sympatyę jak do żywych ludzi, że każde ich uczucie lub wrażenie odbija się podobnem w naszem własnem sercu, że kiedy im dobrze, to nam miło, a kiedy im smutno, to myśmy płakać gotowi: wtedy rzecz niezawodna, w tych kreacyach jest poezya.

W komedyi, prawda, jest takich bardzo mało; zwłaszcza mało między kochankami! Te figury, o które właśnie chodzi i które z natury rzeczy w moc swojego uczucia i położenia powinny być najbardziej zajmujące, jak na złość są najczęściej blade, sztywne, mdłe, konwencyonalne i nudne. Gdzie jest w komedyi, z wyjątkiem naturalnie Szekspira i z wyjątkiem Musseta, para kochanków tak ładna jak Gustaw i Aniela? Nie u Moliera, ani u Beaumarchais'go. Figaro i Zuzanna mają daleko więcej dowcipu niż Gustaw i Aniela, ale żeby samą swoją miłością tylko tak zajmowali i tak się podobali, to nie. Alcest i Celimena całą swoją wartość i cały swój wdzięk, niepospolity zresztą, biorą stąd właśnie, że nie są parą zakochanych. Miłość prosta, wzajemna, poczciwa, szczęśliwa, któraby bez przeszkód i perypetyi szła prosto do ołtarza, a zdołała sobą tak zająć, tak całą sztukę zapełnić, to istotnie w komedyach trafiać się nie zwykło; a postaci podobnych do Gustawa i Anieli, takich ładnych typów młodości i miłości, wogóle nie wiele jest w literaturze. Nieledwie łatwiej o takie w życiu jak w sztuce. Dziewczyna miła i urocza, sympatyczny chłopiec, to na świecie dzięki Bogu spotyka się dość często. Ale w utworach wyobraźni bohater, który jest tylko dobrym, miłym chłopcem i niczem więcej, bohaterka taka sama, oboje zwyczajni, a przecież poetyczni, to bardzo rzadkie: i w naszej literaturze przynajmniej, drugą taką parę kochanków, zupełnie inną, ale jak ta pełną wdzięku w codziennej zwyczajności natury i położenia, spotkać można tylko wysoko ponad komedyą, tak wysoko, że już wyżej niema nic w naszej poezyi, w „Panu Tadeuszu“.

A więc nie pytajmy, dlaczego nam się „Śluby“ tak podobają: to cała, a przynajmniej główna przyczyna. Są inne, pomniejsze, jest doskonały i zabawny Radost, jest śliczna Klara; ale to wszystko nie byłoby zrobiło ze „Ślubów“ najulubieńszej ze wszystkich komedyj polskich, gdyby nie było podniesione poetycznym wdziękiem Anieli i Gustawa.

Wujaszek, matka, starzy przyjaciele, ułożyli projekt małżeński; sprowadzili kawalera, żeby pannę zobaczył. Kawaler, dzieciak jeszcze wielki, pomimo swoich lat dwudziestu czterech lub pięciu, ma się trochę za Cezara, i myśli, że dość mu będzie przyjść i pokazać się, żeby zwyciężyć. Panna widzi to dobrze, oburza się, przyjmuje jego i jego starania z niezmienną, a co więcej nawet przez jakiś czas z nieudaną obojętnością. Młodzieniec, tem zdziwiony, zaczyna na nią uważać, zadawać sobie pracę; nadarmo! Zdziwiony coraz bardziej, upiera się przy swojem, musi zwyciężyć: nie przez upór i miłość własną tylko, ale już i przez coś więcej. Już on poznał, że to głowa, co myśli, wyobraźnia, która ma swoje marzenia, wola, która ma swoje żądania. Poznał, że ta, którą uważał za tuzinkową istotę, to nie lalka, ale dusza, i kocha. A ona, kiedy usłyszała słowa prawdziwego uczucia, choć nie do siebie niby zwrócone, uwierzyła i zaczęła kochać także: oto cała ich historya najprostsza, najzwyczajniejsza w świecie. Ale jak ładna, z jakim wdziękiem, z jaką znajomością ludzkich uczuć, z jakiem delikatnem cieniowaniem przeprowadza autor swoich bohaterów od obojętności lekceważącej z jednej strony, podejrzewającej ze strony drugiej, aż do miłości! Ta gra uczuć, to ich stopniowanie, ta walka miłości i woli męskiej z kobiecą stanowi właściwą treść i największy powab sztuki.

Czy są w niej błędy? Bardzo małe. Ekspozycya jest nieco za długa, skoro intryga zawiązuje się dopiero w końcu drugiego aktu (sc. VII, monolog Gustawa). Ale któż się spostrzeże, że tak jest, kto ma czas i uwagę o tem myśleć, patrząc na Gustawa wracającego z nocnej wyprawy, na uroczyste śluby panien, na desperacye Radosta, albo słuchając wzajemnych przytyków Gustawa i Klary. Podstęp Gustawa, podstawa całej dalszej akcyi, nie dość może wyraźnie oznaczony w kilku wierszach monologu, które w graniu zwłaszcza łatwo mogłyby ujść uwagi widza. Zakończenie znowu idzie może za prędko na wspak zawiązaniu, które postępuje zbyt pomału; w piątym akcie zmierza wszystko do końca przyśpieszonym pędem, i byłoby może lepiej, żeby eksplikacya Radosta z panią Dobrójską naprzykład odbywała się na scenie, albo żeby scena ostatnia trwała cokolwiek dłużej, była więcej rozwiniętą: ale to rzeczy małe, a zresztą co tam wytknąć można? chyba jakieś drobne zaniedbania w wierszach. Nie mógł np. Gustaw powiedzieć Anieli, że go od ułożonego z nią związku „mniej zamiar, więcej wstręt oddala“: tego nigdy mężczyzna kobiecie nie powie, nawet kiedy do niej wstręt czuje, cóż dopiero... Zastąpić to wyrażenie innem lepszem było bardzo łatwo, tylko autor nie uważał, nie zastanowił się. Oto podobno wszystkie grzechy „Ślubów“, z dodatkiem jednego jeszcze, ale ten jest

większy. Kontrast czułego Albina z trzpiotem Gustawem, prawo przeciwieństw, mocą którego lgną do siebie natury najbardziej odległe (Albin do Klary), wymyślone są dobrze. Ale w wykonaniu Albin jest chybiony. Sentymentalność jego jest tak przesadzoną, tak śmieszną, że z nią on ani Klarze, ani żadnej innej, podobać się nie mógł. Tymczasem autor chciał czego innego; chciał, żeby Albin Klarę gniewał, korcił, niecierpliwił, a przecież na złość jej woli i naturze, żeby ją pociągał, żeby to prześladowanie, to niemiłosierne znęcanie się nad nim było z jej strony zemstą za to, że mimo jej woli mógł i śmiał jej się podobać. Sytuacya taka byłaby śliczna, ale z takim Albinem nie jest prawdopodobna. Mężczyzna, który prawi ciągle o swoich łzach i chce od kochanki, żeby z nim „kwiliła“, jest za śmieszny, i przekonany o zbrodnię mazgajstwa, która podług kobiecego kodeksu nigdy darowaną być nie może, skazany będzie na śmierć w stanie kawalerskim. Wprawdzie Klara idzie za niego niby ze strachu tylko, ale kiedy strach minął, ona się nie cofa; widać, że pod strachem była i ochota: mówi zresztą wyraźnie, że „kochać go musi“. To należało usprawiedliwić, a usprawiedliwić było można tylko, robiąc Albina mniej śmiesznym i dając mu choć trochę tego sympatycznego wdzięku, jaki autor zlał tak hojnie na Gustawa, Anielę i Klarę.

Ci troje są nieporównani; Klara ze swoim ostrym językiem, zawsze gotowa do odpowiedzi, dzielna w ataku, nieustraszona w odparciu, a nawet kiedy jest zmuszona do odwrotu, cofająca się w porządku; kiedy kapituluje, to ze wszystkimi honorami, Klara,

„Co rzadko spocząć, rzadziej myśleć zdoła,
Sprzeczna z układu, z natury wesoła“

jest z familii wielkiej Beatrice z *Much ado about nothing*,[8]) a jej wojna na dowcip z Gustawem przypomina wojnę tamtej z Benedyktem. Że Fredro nie znał Beatrice, to można przypuszczać na pewno. Znajomość Szekspira właściwie ledwo się u nas zaczynała, kiedy on pisał „Śluby“, ograniczała się do kilku co najwięcej sztuk najsławniejszych; nie zdaje się zresztą, żeby nasz autor z wielkiem zamiłowaniem czytywał był Szekspira. Ale że te dwa charaktery są podobne, to pewna, i to najpochlebniejsza pochwała, jaką Klarze oddać można. Zbliżyć się do takiej kreacyi, jak Beatrice, nie znając jej, mieć tyle fantazyi, tyle dowcipu, tyle życia, żeby aż do niej być podobną, w niczem jej nie naśladując: to sztuka, której można powinszować autorowi i jego kreacyi. Od pierwszej chwili, kiedy się zjawia na scenie, jak fajerwerk wesołości i dowcipu, nie podupada, nie słabnie nigdy: zabawna, kiedy naucza Anielę, że

„Do przyszłości duch każdej przykuty,
Żyje dla nieba, kocha dla pokuty“.

---

[8]) tytuł komedyi Szekspira; czyta się: Möcz edu ebaut nödding, a znaczy: „Wiele hałasu o nic“.

pusta, kiedy powtarza co „babunia jej śpiewała", nielitościwa, kiedy drwi z Gustawa, paradna, kiedy zgorszona i oburzona woła: „I jakże ma być porządek na świecie", kiedy mężczyźni chcą rządzić; najładniejsza jest dopiero wtedy, kiedy się łasi Gustawowi, szuka Albina, Radostowi depcze po nogach, a Anieli tłómaczy, że jedna powinna złamać śluby, żeby choć druga mogła ich dotrzymać. Klara w kłopotach, w strachu, Klara pobita, tak przewyższa samą siebie, że każdy, ktoby taką spotkał, mógłby sobie mówić: „ach, strach! trzymaj się, Albinie!"

Która z nich ładniejsza? Klara ze swoim charakterem śmiałym i ze swoim świetnym dowcipem na pierwszy rzut oka olśni bardziej, zrobi więcej efektu. Była też zapewne łatwiejsza do odmalowania. Aniela spokojniejsza, poważniejsza, uważająca na każde swoje słowo, nie ma tak błyszczącego pozoru. A jako trudność: co może być trudniejszego, jak stworzyć taki typ panny, jak być powinna, a nie zrobić jej ani pedantką, ani trusią ze spuszczonemi oczyma i zasznurowanemi ustami, ani zbyt naiwną, ani sztywnie godną, tylko właśnie w każdem słowie, w każdym ruchu taką, jak być powinna, taką, jaką każdyby chciał, żeby była jego siostra, albo córka. Aniela jest w całem znaczeniu słowa porządna panna. Klara także jest bardzo porządna, ale jest trochę kozak; Aniela jest bez restrykcyi i zupełnie taka, jak potrzeba. Ale dlatego właśnie, że niema żadnych dodatków, że ma postawę tak spokojną i cichą, na pierwszy rzut oka przy Klarze może się wydać indywidualnością cokolwiek bierną i bladą. Mogła była nawet taką być, gdyby nie jej wdzięk kobiecy; gdyby nie to uczucie, które w niej rośnie a wyraża się tak mimowolnie, a tak ładnie; gdyby nie ta ciekawość urocza, z jaką ona o miłości myśli, gdyby nie te naiwności cudowne, które czasem jej sekret zdradzają, gdyby nie ta godność prosta i nieświadomość siebie, z jaką ona odrzuca pierwsze oświadczenie Gustawa; gdyby nie zdziwienie nieprzyjemne, z jakiem się dowiaduje, że to miłość ku innej osobie; gdyby nie ten popęd serca tak młody, tak dziewczęcy, tak łatwowierny, za którym idąc, chce pomagać w tej sprawie; gdyby nie to, że na propozycyę Gustawa odpowiada nawet nie oburzona tylko zdziwiona „co, takie listy, jabym pisać miała?" i gdyby nie to, że list przed matką chowa... *ange par l'amour, enfant par la foi, femme par le coeur, et poéte par les rêves — c'est une Polonaise:*[9]) mówi francuski autor[10]). Możnaby dodać: to Aniela! i jedno byłoby prawdą jak drugie, bo z pewnością jest ona jednym z najwierniejszych i najładniejszych typów polskiego dziewczęcia, z którego kiedyś zrobi się kobieta: *homme par le cerveau, vieillard par l'expérience,* czasem i *démon par la fantaisie,* ale częściej: *géant par l'espérance et mère par la douleur!*[11])

A ten list i scena, która go poprzedza (akt IV), co za prze-

---

[9]) anioł miłością, dziecko wiarą, kobieta sercem, poetka marzeniami — oto Polka. [10]) Honoryusz Balzac (1798 † 1852). [11]) mężczyzna mózgiem, starzec doświadczeniem, szatan fantazyą — olbrzym nadzieją i matka boleścią.

śliczny duet miłosny! Już to Aniela to imię szczęśliwe w naszej poezyi, a Aniele mają w niej szczególne jeszcze szczęście do listów. Bohaterka Beniowskiego pisze z głowy najpiękniejszy, jaki być może; ta pisze pod dyktowaniem tylko, i nie pisze nawet, ledwie że zaczyna, ale jaką ma scenę! Jest i komedya w tej scenie, i to komedya najwyższa, najwykwintniejsza, jak być może, n. p. kiedy Gustaw zawoławszy: w uniesieniu „kocham cię nad życie“ miarkuje się i dodaje: „pisz z łaski swojej“, a biedna Aniela, która już była zapomniała, że to nie do niej, pyta smutno, co ma pisać dalej? Ale co za wdzięk komedyi, co za wdzięk poetyczny, co za śpiew miłości, kiedy Gustaw uczy Anielę wymawiać ten wyraz, którego Wallenrod nauczył Aldonę, albo kiedy wpaja w nią wiarę, że „są dusze dla siebie stworzone“, ale kiedy maluje to, co:

„Kiedy polot myśli,
Obraz nam szczęścia czasami zakréśli“:

staje zawsze na pierwszem miejscu w tym obrazie. Mężczyzna mówi tem śmielej, tem goręcej, kobieta tem śmielej słucha, że niby o innej: on szczęśliwy tę chwilę obecną odbywa jak żeby próbę szczęścia przyszłego, kiedy jej wprost będzie mógł powtórzyć to samo: czuje razem rozkosz, którą ma, i przeczucie tej, której się spodziewa. U niej dusza się otwiera jak kwiat pod promieniem słońca, pod wrażeniem tych słów, których nie byłaby chciała słuchać, gdyby były do niej wprost wymierzone. Jak ślicznie wyglądają: ona z piórem w ręku, on schylony nad jej głową, mówiący rzeczy, których ona do siebie nie bierze, i korzystający z tego, że ona nie widzi, żeby na nią patrzeć z rozczuleniem, z uniesieniem. Z wyjątkiem Musseta nie ma nigdzie ładniejszej sceny miłosnej w komedyi. A Gustaw? Gustaw jest najmilszy trzpiot i najładniejszy kochanek w polskim teatrze, (nie mówi się naturalnie o poważnych bohaterach dramatów Słowackiego). Filut, pieszczoch, zepsute dziecko ze stryjaszkiem, fanfaron z pannami jak długo nie kocha, od chwili kiedy kochać zaczął, zmienia się, dojrzewa, i z miłego fircyka robi się mężczyzna, który chce i wie, czego chce, i czuje swoją siłę. Wesołości, dowcipu, żywości nie traci, ale nabiera takiej pewności siebie, takiej równowagi, takiej wyższości wobec Anieli i Klary, że żadna już nie śmie z niego żartować, że jedna go kocha, a druga, co dziwniejsza, słucha, choć nie kocha. Wyszedł na człowieka w przeciągu tych kilku godzin. A z jaką wymową, z jaką siłą umie „wycisnąć swoich uczuć piętno“ na sercu Anieli, jak umie i rozkochać i być zakochanym, jaki jest przytem mądry w postępowaniu z Anielą, jaki dowcipny z Klarą, jaką ma filuteryę i kokieteryę z Radostem: nie dziw, że wie, co to magnetyzm, bo działa magnetycznie na wszystko, co się do niego zbliży, od Anieli aż do czytelnika.

Gdyby Albin, w swoim rodzaju sentymentalnym, miał choć cokolwiek tego wdzięku, jaki ma w swoim Gustaw, i był tak do niego dobraną parą, jak jest Klara dla Anieli, „Śluby panieńskie“ byłyby doskonałością. Albin, choć bardzo zabawny, choć się go lubi

takim, jak jest, jest Achillesową piętą sztuki. Ale Achilles, pomimo pięty, był pierwszym z Greków; „Śluby“, pomimo tego, co im zarzucić można, są pierwszą z polskich komedyi. A komedya, która przy bardzo dobrej budowie, przy prostej, ale bardzo żywej i doskonale prowadzonej akcyi, przy humorze najweselszym i najświetniejszym dowcipie, ma charaktery skreślone z wielką psychologiczną prawdą: taka komedya spełniła swoje zadanie, odpowiedziała wszystkiemu, czego od niej żądać można. A jeżeli nadto ma coś więcej jeszcze, jeżeli jej postaci są wiernemi a pięknemi typami natury tego narodu, do którego należą; jeżeli w powszedniości swojego położenia i mierze przeciętnej swoich natur, mają niezwyczajny urok poetyczny; jeżeli każda z nich jest nie wielkim i patetycznym, ale wdzięcznym i sympatycznym ideałem: wtedy komedya daje już więcej niż winna, dotrzymuje więcej, niż obiecuje, wtedy wkracza już w sferę poezyi, i przestaje być ładną lub bardzo ładną, co zwykle bywa ostatnim kresem jej ambicyi i możności, a ma prawo nazywać się piękną.



XIV. Henryk Struve.

Wstęp krytyczny do filozofii. (1898).

Zasadnicze prawo rozwoju umysłu filozoficznego.

Psychologia wykazuje, że w dziecku proces poznawania rzeczy w odróżnieniu od doznawanych podmiotowo wrażeń zmysłowych, rozpoczyna się u o g ó l n i e n i e m pewnych wydatnych własności przedmiotów zewnętrznych. Wskutek braku wyrobienia zdolności obserwacyjnej, dziecko nie spostrzega dość wybitnych nawet różnic w przedmiotach, lecz skupia swą uwagę jedynie na rysach, powodujących silniejsze wrażenia zmysłowe, a napotykając następnie też same rysy w innych przedmiotach, obejmuje wszystkie te przedmioty w jednem p o j ę c i u o g ó l n e m, bez względu na resztę własności, rozróżniających te przedmioty pomiędzy sobą. W ten sposób łączy w jedno pojęcie i oznacza jednym wyrazem takie rzeczy, które człowiek dojrzały rozróżnia bardzo wyraźnie. Dla dziecka np. wyraz „papa“ oznacza przez dłuższy czas wogóle mężczyznę dorosłego, ponieważ tym wyrazem nazywa nietylko ojca, lecz i innych ludzi do niego podobnych. Nie wyróżnia on jeszcze ojca wśród innych mężczyzn, nie uchwyciło jeszcze jego rysów charakterystycznych, jako ojca, ale odróżnia już zewnętrzny wygląd mężczyzny od kobiet lub dzieci, więc ma ogólne pojęcie mężczyzny, kobiety, dziecka, ale nie zdało sobie jeszcze sprawy ze szczególnych, indywidualnych składników tego pojęcia.

Zaznaczoną drogą wytwarzają się w umyśle dziecka rozliczne klasy i szeregi przedmiotów, czyli pojęcia ogólne, skupiające w so-

bie rzeczy o pewnych uderzających rysach wspólnych, niezależnie od różnic zasadniczych, głębszych, niedostępnych w sposób doraźny dla zmysłów. Proces różniczkowania, dyferencyacyi tych pojęć ogólnych i przejścia od nich do coraz bardziej szczegółowych, ściśle określonych zależy od rozwoju działalności obserwacyjnej dziecka, od zbogacenia jego umysłu nowemi specyalnemi rysami przedmiotów, nadającemi im charakter coraz bardziej indywidualny. Wówczas, pojęcia ogólne wydobywają się stopniowo z mętnego żywiołu nieokreślonej myśli, z objęć subjektywizmu i przybierają charakter wyraźny, o treści określonej, zastosowanej bardziej do przedmiotowych danych wiedzy. Początkowo zaś różnice pomiędzy rzeczami sprowadzają się dla dziecka do niewielkiej liczby rysów ogólnych, uchwyconych mniej lub więcej przypadkowo przez niedość jeszcze rozwinięte zdolności umysłowe.

Wobec tego prostego faktu psychologicznego, jest rzeczą zupełnie naturalną, że i umysł filozoficzny, rozpoczynający zastanawiać się nad przedmiotami poznania, uderzonym zostaje przedewszystkiem ich rysami wybitniejszemi i według tych rysów wytwarza pojęcia ogólne, skupiające w sobie zjawiska i jestestwa świata. I tak, wszystko, co działa na zmysły zewnętrzne, jednoczy się w jednem ogólnem pojęciu, oznaczonem wyrazami: świat zewnętrzny, przyroda, materya, rzeczywistość przedmiotowa. Przeciwstawia się ono wszystkiemu, co nie dochodzi do naszej świadomości za pośrednictwem zmysłów, a stanowi treść wewnętrzną umysłu, jak uczucia, pojęcia, popędy, pragnienia i t. p. Duch, dusza, wogóle świat idealny, są wyrazami, obejmującemi w sobie zazwyczaj ten szereg przedmiotów poznania.

W naturalnym rozwoju człowieka wrażenia zmysłowe poprzedzają zawsze działalność zwrotną umysłu, doprowadzającą nas do świadomego ujęcia własnych stanów wewnętrznych, jako czegoś odrębnego, różnego od świata zmysłowego. Wskutek tego pojęcia ogólne ducha, duszy, świata idealnego pojawiają się później i wytwarzają się zawsze na podstawie i przy udziale poprzednio już wyrobionego pojęcia przyrody, świata materyalnego. Naiwny, życiowy realizm wyprzedza wszelkie ukształtowanie myślowe idealizmu. Stąd pochodzi, że wszelkie pojęcia, dotyczące ducha, świata idealnego, urabiają się w umyśle ludzkim na podstawie analogii z pierwotnie wytwarzanemi pojęciami o świecie zmysłowym, jego zjawiskach i jestestwach. Świadczy o tem poglądowo etymologia wszystkich języków, jako bezpośredni wyraz owej pracy umysłu nad wytwarzaniem pojęć ogólnych. I na polu dziejów filozofii pojęcia ogólne stały się punktem wyjścia dla wszelkich dalszych, bardziej szczegółowych badań filozoficznych.

Nie należy jednak sądzić, że uznanie wytworów uzdolnienia dyalektycznego za objawy pierwotne w rozwoju filozoficznym, odpowiadające działalności umysłu dziecięcego, pociąga za sobą zaprzeczenie ich doniosłości przy późniejszych, dojrzalszych nawet funkcyach myśli. Racyonalny pogląd na rozwój wogóle, a w szczególności

na rozwój życia umysłowego, wykazuje, że w rozwoju postępowym każdy nowy, wyższy stopień nie niweczy czynników, działających na stopniach poprzednich, nie wstrzymuje ich normalnej działalności, lecz obejmuje je, ożywia i do nowych, pełniejszych objawów podnieca. To też wytwarzanie pojęć ogólnych, więc i działalność dyalektyczna umysłu, nie ulega osłabieniu lub przerwie wskutek dalszego rozwoju uzdolnienia filozoficznego, lecz pozostaje ciągle jedną z koniecznych funkcyi tego uzdolnienia, niezbędną dla prawidłowego rozwiązania zadań filozofii. Uzupełnienie tej funkcyi nowemi, na wyższym stopniu rozwoju przyczynia się zarazem do jej wzmocnienia i bogaci ją całym szeregiem żywotniejszych i dojrzalszych wytworów, zaznaczającym postęp i na tem specyalnem polu dyalektyki. Przecież i procesy umysłowe, przy których pomocy dziecko wytwarza pojęcia ogólne i wyrazy, oraz przyswaja sobie mowę i z niej korzysta, dojrzewają wraz z pozostałemi czynnościami umysłu i w łączności z niemi rozwijają się bardziej prawidłowo, normalnie.

Z powyższego wynika, że następująca po pierwszych objawach uzdolnienia dyalektycznego działalność krytyczna umysłu, nie wyklucza bynajmniej dalszego rozwoju czynników dyalektyki, lecz łączy się z niemi, korzysta z nich, dąży do naprawy ich zboczeń, do ich uzupełnienia swemi nowemi zdobyczami umysłowemi. Młodzieniec nie przestaje wytwarzać dalej pojęć ogólnych; przeciwnie, pod wpływem coraz żywszych dążności podmiotowych, dążności ogólne przybierają charakter samodzielny, nabierają więcej treści rzeczywistej, życiowej.

Z tem wszystkiem, obok powyższej czynności dyalektycznej wytwarza się w młodzieńcu nowa, dziecku nieznana jeszcze dobrze, lub wcale nieznana, a mianowicie czynność refleksyjna, rozbiorowa, krytyczna. Dogmatyczna ufność dziecka w prawdę poglądów tradycyjnych lub bezwiednie wytwarzanych, utraca z czasem, wskutek doświadczeń różnego rodzaju, swój charakter bezwzględny. Do umysłu wciskają się rozliczne wątpliwości teoretyczne, oraz niechęć praktyczna, wywołane przez refleksyjną działalność myśli. Bogaty zasób wytworów podmiotowych i potrzeb indywidualnych staje w sprzeczności z przedmiotowemi danemi i z potęgą rzeczywistych stosunków życiowych, coraz bardziej oddziaływających na świadomość jednostkową. Młodzieńcze poczucie tej treści podmiotowej nabiera tem więcej żywości i stanowczości, im mu się owa sprzeczność pomiędzy podmiotowemi dążnościami i przedmiotowemi warunkami bytu daje silniej we znaki. Pobudza go to z jednej strony do coraz głębszej refleksyi, do coraz wyraźniejszego ujęcia myślą własnej treści podmiotowej; z drugiej do coraz ściślejszego rozbioru i oceny przedmiotowej rzeczywistości ze stanowiska tej treści podmiotowej.

Oto początki psychologiczne krytyki i przyczyna, dla której wiek młodzieńczy można nazwać krytycznym pod wieloma względami. Jest krytycznym nietylko z powodu oznaczonej działalności refleksyjnej i rozbiorowej, lecz zasługuje na tę nazwę i dlatego, że jest epoką najważniejszą i najniebezpieczniejszą w całym roz-

woju człowieka, a zarazem decydującą o jego przyszłości. W epoce tej dochodzi bowiem do rozwiązania zaznaczona sprzeczność pomiędzy podmiotowymi i przedmiotowymi czynnikami życia umysłowego. Dwa są tylko wyjścia z tego położenia krytycznego. Osobnik albo się zatapia w owej sprzeczności, do niej przywyka i doprowadza ją do ostateczności, stając się sceptykiem lub anarchistą; alboteż przezwycięża sprzeczność, wyrównywając swe wygórowane przedmiotowe wymagania z przedmiotowymi danemi i posiłkując się niemi, wedle możności, dla energicznego zaspokojenia potrzeb swego ducha, wstępuje na drogę życiowego rozwoju i zbliża się coraz bardziej do męskiej dojrzałości.

Zgodnie z tą fazą umysłowego życia osobnika i historya filozofii wykazuje zawsze pojawienie się krytycznej reakcyi po żywszym rozwoju dyalektycznych ogólników. Po pierwszych szkołach w Grecyi, które wydały najogólniejsze pojęcia filozoficznego na świat poglądu, pojawiła się reakcya krytyczna ze strony sofistów, sceptyków i Sokratesa. Sofiści zabawiali się wprawdzie sami jeszcze dyalektyką, ale ich dyalektyka miała już charakter opozycyjny i krytyczny. Zamiast postępowego pochodu myśli do najogólniejszych pojęć i zasad, wyszukiwali oni przeciwieństwa w myśleniu i przygotowali przez to grunt dla sceptycyzmu, rozwijającego jednostronnie negacyę krytyczną. Sokrates zaś, występując po raz pierwszy z jasno pojętą zasadą refleksyjnego poznania samego siebie, zaznaczył raz na zawsze fundamenta wszelkiej prawdziwej, dodatniej krytyki umysłu. Prawda, że krytyka wogóle nie rozwija się w sposób należyty w filozofii greckiej, która w całości ma jeszcze charakter dyalektyczny. Krytyka, w ścisłem znaczeniu tego słowa, jest dopiero wytworem nowszych czasów, ale w zakresie ogólnego, przeważnie dyalektycznego rozwoju filozofii w Grecyi, zaznaczone objawy wykazują wyraźnie pojawienie się reakcyi krytycznej w stosunku do poprzednich wytworów dyalektyki.

Podobnież i filozofia scholastyczna, pomimo jednostronnej tendencyi konstrukcyjnej do systematyzowania pojęć, reprezentuje, ze względu na treść swych poglądów, czynnik dyalektyczny, bo żyje umysłowo przeważnie pojęciami ogólnemi. W przeciwstawności zaś do niej rozwijały się zawiązki reakcyi krytycznej już w naukach nominalizmu, naturalizmu i humanizmu, aż wreszcie doszły do zupełnego rozkwitu w poglądach Bakona, Kartezyusza i ich krytycznych następców. I w nowszej filozofii, nastrój przeważnie krytyczny przerywanym bywa często przez jednostronne wytwory dyalektyki, ale wtedy pojawia się zawsze na nowo i coraz silniej czynnik krytyczny. Kant zbija dogmatyzm filozoficzny XVIII-go wieku, a pozytywizm Comte'a stanowi krytyczną reakcyę względem wybujałej dyalektyki idealizmu Fichtego, Schellinga i Hegla.

Trzecią wybitną epokę umysłowego rozwoju osobnika wypełnia dojrzała męska działalność życiowa. Przetwarza ona przedmiotową rzeczywistość według wymagań podmiotowych. Na szczytach ży-

cia człowiek nie wyrzeka się wprawdzie ani najrozleglejszych pojęć ogólnych idei, ani ich wszechstronnego rozbioru krytycznego; ale już nie poprzestaje na tyh jednostronnych dążnościach, rozkładających jego istność na przeciwległe podmiotowe i przedmiotowe czynności, na idealne porywy ducha i dane bytu przedmiotowego. Skupiając swe zdolności umysłu i ciała, wszystkie zasoby swego jestestwa, osobnik, doszedłszy do męskiej działalności, zrywa się do czynu i dąży do możliwie pełnego zaspokojenia swych głęboko odczuwanych i rozważnie rozpatrywanych potrzeb. Ochocza, dodatnia, twórcza energia, silna wola w przeciwstawieniu zarówno do pośrednich porywów uczucia, jak do rozbiorowej myśli: oto nowy czynnik rozwoju umysłowego, występujący na jaw w wieku męskim i wytwarzający przy udziale poprzednich czynników ostateczne rysy charakteru danego osobnika. Teraz dopiero świat zobaczyć i przekonać się może, czem osobnik jest wistocie i jaki bierze udział w pracy powszechnej około udoskonalenia warunków ludzkiego bytu.

Działalność konstrukcyjna umysłu filozoficznego odpowiada na tem polu w zupełności rysom charakterystycznym wieku męskingo w zakresie ogólnego rozwoju życia umysłowego. Zaokrąglony systemat wiedzy, nauka filozoficzna, jako jednolity pogląd na świat, oparty ściśle na wynikach badań specyalnych, jest właściwym czynem filozoficznym i dlatego też mogliśmy powiedzieć, że uzdolnienie konstrukcyjne zaznacza ostatni, najwyższy objaw rozwoju umysłu filozoficznego.

Po epoce dyalektyki i krytyki następuje w historyi filozofii zawsze epoka pracy konstrukcyjnej nad nauką filozoficzną i znajduje swój wyraz w całokształtach myśli, streszczających wyniki dyalektycznych i krytycznych dążności poprzednich pokoleń. Po Jończykach, Pitagorejczykach, Eleatach i Sofistach wystąpili ze swymi skończonymi na świat poglądami Sokrates, Platon i Arystoteles, przedstawiający wiek męskiej dojrzałości w rozwoju greckiej filozofii. Arystoteles szczególniej rozwinął pierwsze zawiązki nauki w ścisłem znaczeniu tego słowa, jako systematu pojęć, odtwarzającego w umyśle ludzkim budowę świata rzeczywistego. Pod jego wpływem rozwija się też konstrukcyjna dążność scholastyki, która atoli w swej jednostronności uwzględniała jedynie formę nauki, jej ustrój systematyczny, zaniedbując zupełnie jej treść rzeczową. W nowszych czasach Kartezyusz, Spinoza, Leibniz, Fichte, Schelling, Hegel, Schopenhauer, Herbart i Comte, a w chwili obecnej Herbert Spencer, Wilhelm Wundt, Edward Hartmann i inni reprezentują szereg prób systematycznego obrobienia filozofii na podstawie dyalektycznych i krytycznych zdobyczy swych poprzedników, uzupełnionych samodzielnemi badaniami.

Jeżeli jednak, na podstawie zaznaczonych punktów widzenia, zastanowimy się wkońcu nad charakterem filozoficznym naszych czasów i przyłożymy do nich miarę idealną, zaczerpaną z istoty filozofii i jej badań: natenczas wyznać musimy, że i najnowsze objawy dążności konstrukcyjnej nie czynią jeszcze w zupełności zadość wy-

maganiom dojrzałej twórczości na tem polu. Bezstronny badacz współczesnego stanu filozofii wyznać musi, że i dzisiaj jeszcze górują w dążnościach filozoficznych czynniki dyalektyczne i krytyczne nad prawdziwie konstrukcyjnemi, a więc beztreściowe pojęcia ogólne i rozbiór negacyjny nad dodatnią, budującą pracą myśli. W przeszłości filozofii zaznaczyliśmy wprawdzie stopniowe następstwo powyższych trzech czynników, a wśród nich i ostatniego; ale mieliśmy przytem na myśli raczej jego pierwsze, zarodkowe objawy, aniżeli pełnię jego dojrzałego rozwoju. Jak dziecko i młodzieniec posiadają pewną wolę i energię, a zatem i objawiają swą treść wewnętrzną w pewnych czynach, chociaż czynom tym nie możemy jeszcze przyznawać charakteru dojrzałości: podobnież i umysł filozoficzny ludzkości występuje w różnych fazach swego rozwoju z dążnością konstrukcyjną; ale pomimo to znajduje się ona dotąd zawsze jeszcze pod bezpośrednim wpływem dyalektyki i krytyki, zamiast zawładnąć niemi i uczynić je służebnicami dążności dodatnich, mających na celu urobienie całokształtu wiedzy ludzkiej.

W greckiej i średniowiecznej filozofii przy wszelkich zawiązkach krytyki i nauki systematycznej, posiadają znaczenie pierwszorzędne pojęcia i idee ogólne, sformułowane przeważnie drogą dyalektyczną przez Platona i Arystotelesa. Krytyka zaś filozoficzna, w poważnem tego słowa znaczeniu, bierze początek właściwie dopiero w pracach Bakona i Kartezyusza, wnika głębiej w pierwiastki zasadnicze poznania dzięki pracom Locke'a, Hume'a, szczególniej zaś Kanta, a znajduje wszechstronne zastosowanie do głównych dziedzin filozofii dopiero w naszych czasach, które zawsze jeszcze mają charakter bardziej negacyjny niż prawdziwie pozytywny, dodatni. Żyjemy dotąd raczej w epoce krytyki, aniżeli konstrukcyi naukowej. Dopiero po ostatecznem przezwyciężeniu negacyi krytycznej, po wyjaśnieniu, przy jej pomocy, niezachwianych fundamentów wiedzy ludzkiej i jej składowych czynników: rozpocznie się w przyszłości właściwy rozwój uzdolnienia konstrukcyjnego ludzkości, dojrzała praca myśli nad filozofią, jako nauką, doprowadzającą do jednolitego i zarazem pełnego poglądu na świat. Dotąd tę pracę dodatnią przygniatają czynniki dyalektyki i krytyki i dlatego niema jeszcze cechy męskiej, świadomej siebie i rozważnej dojrzałości.

Zaznaczony, ze stanowiska powszechnego rozwoju, charakter filozofii naszych czasów odpowiada zupełnie owemu brakowi dojrzałości na polu współczesnych objawów życia społecznego, o którym mówiłem obszerniej już dawno w swej Syntezie dwóch światów[1]) (str. 98 i następne). Obecnie tej kwestyi na tem miejscu nie mam powodu dalej roztrząsać.

Tak tedy pogląd na rozwój historyczny umysłu filozoficznego doprowadza do przekonania, że ogólne prawo tego rozwoju w ludzkości odpowiada prawu, określającemu rozwój umysłowy życia oso-

[1]) dziełko H. Struvego p. t. „Synteza dwóch światów" wyszło w Warszawie, r. 1876 (str. 154).

bnika. *Dyalektyka*, wytwarzająca pojęcia ogólne pod wpływem podmiotowych porywów uczucia; myśl *krytyczna*, rozbierająca te pojęcia ogólne w celu dotarcia do podmiotowych podstaw poznania i wreszcie *naukowy* na świat pogląd, jako objaw energii dojrzałej, systematycznie działającej; oto główne momenta tego rozwoju. Występują one wprawdzie na jaw stopniowo, lecz następnie uzupełniają się nawzajem w zasadniczych dążnościach filozofii. Postęp filozofii polega z jednej strony na wyrównaniu i uzupełnieniu poprzedniego czynnika przez następny, a z drugiej, na skoncentrowanem działaniu wszystkich. Historya filozofii jest historyą rozwoju umysłu filozoficznego ludzkości. Obejmuje ona zarówno kolejne następstwo głównych typów uzdolnienia filozoficznego, jak i ich łączność organiczną przy stopniowem urzeczywistnianiu istoty filozofii.



Spis rzeczy tomu III-go.

OKRES SZÓSTY.

Początek i najświetniejszy rozkwit romantyzmu.

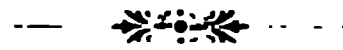
b) Rozwój Prozy.

OKRES SIÓDMY.

Przekwitanie romantyzmu (1850—1863).

OKRES ÓSMY.

Czasy realizmu po roku 1863.



SKOROWIDZ

NAZWISK AUTORÓW I DZIEŁ BEZIMIENNYCH.

Liczba rzymska oznacza tom, liczba arabska stronicę »Obrazu literatury polskiej;« przy nazwiskach lub tytułach liczby rzymskie z literą w, oznaczają wiek (stulecie), w którym żył autor, a liczby arabskie wskazują rok urodzenia i śmierci.

SPIS UTWORÓW BEZIMIENNYCH:

SPROSTOWANIE.

Tom I, str. 44 zam. „Elegia na śmierć *królowej* Jadwigi“, czyt. należy *królewny*.

Tom I, str. 87 w Pieśni Sandomierzanina „o dwu kostarzach“ w wierszu 15 ym, zamiast „zły to czynek“ należy czytać „zły to cynek“, a wskutek tej zmiany sposobu czytania, trzeba zmienić objaśnienie: *cynek* oznacza w grze w kości *piątkę* kostkową; dalej zaś wyraz *dryja* objaśnić jako *trójkę* kostkową.

Tom I, 107 wiadomość o biografii Janickiego należy uzupełnić dodotkiem: „Najlepszy życiorys i rozbiór poezyi Klemensa Janickiego dał Ludwik Ćwikliński, Kraków, 1893“.

